



**JEFF**  
**ABBOTT**

**ZAUF AJ MI**

Koktajl Quentin Tarantino i Szklanej pułapki  
LIBRARY JOURNAL

**JEFF  
ABBOTT  
ZAUFAJ MI**

Z angielskiego przełożyła  
MAŁGORZATA MAŁECKA



Tytuł oryginału: COLLISION

Copyright © Jeff Abbott 2009 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2012

PoJish translation copyright © Małgorzata Małecka 2012

Redakcja: Ewa Pawłowska

Ilustracja na okładce: Witold Kuśmierczyk/Andrzej Kuryłowicz

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-755-3

*Dystrybutor*

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp. k.-a.

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

2012. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*Dla Trávisa Wilhite'a,  
ponieważ zawsze jest nadzieja*

*Tak bym chciała być jedną z tych figur!  
Albo i Pionkiem, żebym tylko mogła wziąć udział...*

*Alicja w Po drugiej stronie lustra\**

*\*Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów; Po drugiej stronie lustra,  
tłum. Robert Stiller, Wydawnictwa „Alfa”, Warszawa 1986.*

# 1.

Staruszek spędził całe swoje życie otoczony niewyobrażalną potęgą i bogactwem – aż do dzisiaj. Ubrany w podniszczone spodnie i wytartą marynarkę, w zabłoconych butach, siedząc na parkowej ławce w szare londyńskie popołudnie i karmiąc gołębie, wyglądał jak aktor z podrzędnego teatru grający rolę emeryta, który nie ma z czego żyć. Okruchy, które rzucał ptakom, były wielkości małych diamentów.

Mężczyzna w szarym garniturze, który stał obok niego i udawał, że rozmawia przez komórkę, nie patrzył na staruszka; obserwował ludzi przechadzających się po parku, wypatrując zagrożenia. Młoda para trzymająca się za ręce; dwóch nastolatków, którzy bezskutecznie próbowali sprawiać wrażenie twardych i wyluzowanych; elegancko ubrana matka pchająca przed sobą wózek, która śmiała się do telefonu, poprawiając kocyk dziecku; para staruszek kurczowo ściskających swoje torebki, jedna z pań monologowała, a druga tylko się przysłuchiwała i potakiwała. Ludzie ci nie stanowili zagrożenia.

Mężczyzna w szarym garniturze chciał się uśmiechnąć na widok przebrania, które wybrał staruszek, ale śmiech byłby zgubny w skutkach. Trzeba znosić fanaberie bogaczy. Nikt nie śmiał się z miliarderów, niezależnie od ich wybryków.

– Ledwo pana poznałem, Wasza Wysokość – powiedział mężczyzna

w szarym garniturze. Znow rozejrzał się po parku, nie odejmując milczącego telefonu od ucha.

– Spójrz, jak ze sobą walczą – odpowiedział po arabsku staruszek, patrząc na gołębie bijące się o chleb, dziobiące bruk i siebie nawzajem. – Tańczą dla mnie, jakbym trzymał je na sznurku. – Rzucił kolejną porcję okruchów i zaśmiał się, gdy ptaki szybko podreptały w ich kierunku.

Nie tylko ptaki tak się zachowują, pomyślał mężczyzna w szarym garniturze. Jednak czekał, aż staruszek znów przemówi. Przecież, jak większość tyranów, uwielbiał dźwięk własnego głosu.

– Wszystko gotowe? – zapytał staruszek.

– Tak – odpowiedział mężczyzna. „Prawie” byłoby dokładniejszą odpowiedzią, ale staruszek nigdy nie interesował się szczegółami. Wkrótce wszystko będzie gotowe. Wtedy będzie mógł zacząć zmieniać świat.

– Twoi ludzie są gotowi na przyjęcie pieniędzy?

– Tak. Pański bankier bardzo nam pomógł. Założył konta, zatarł ślady, aby nie wzbudzać podejrzeń. – Z trudem panował nad emocjami, miał ochotę powiedzieć: Tak, stary głupcze, a teraz daj mi to, czego chcę, i zjedź mi z oczu. Mężczyzna w szarym garniturze zadał pytanie, z którym tu przyszedł: – Muszę wiedzieć, ile pan chce zainwestować.

– Pięćdziesiąt milionów dolarów teraz. – Księżę przebrany za żebraka rzucił ostatnią garść okruchów gołębiom i z uśmiechem przyglądał się, jak biegną i walczą o resztki. – Jeśli w ciągu następnych pięciu lat zamachy, które proponujesz, okażą się udane, to również kolejne pięćdziesiąt milionów na dalszą działalność.

Mężczyzna w szarym garniturze miał wrażenie, że wokół klatki piersiowej zaciska mu się obręcz, poczuł pulsowanie krwi w skroniach. Przez jego ręce miało przejść sto milionów dolarów. Jednak nie okazał żadnych emocji. Wciąż trzymał komórkę przy uchu.

– Ataki jedenastego września nie kosztowały nawet miliona dolarów.

– Tak, ale to nie były długoterminowe inwestycje. Ja oferuję o wiele więcej. Proponuję wielokrotność środków wykorzystanych jedenastego września. – Staruszek spojrział na mężczyznę w szarym garniturze i przez chwilę jego skóra naciągnęła się w okropnym uśmiechu. – Chcę, aby w ciągu najbliższych lat rezultaty też były wielokrotnie większe. Niech się wykrwawiają.

– Tak będzie.

Staruszek milczał przez chwilę; słychać było tylko szum samochodów i trzeszczenie gałęzi poruszanych wiatrem.

– To inwestycja w przyszłość dla lepszego świata – powiedział. Gołębie tłoczyły się wokół jego stóp, dopraszając się okruchów. Przepędził je z obrzydzeniem.

– Jest pan hojny.

Staruszek spojrział w górę.

– Jeśli mnie zawiedziesz, zginiesz, i zginą wszyscy, na których ci zależy.

Mężczyzna w szarym garniturze odpowiedział:

– Groźby i kopniaki działają na psa. Nie na mnie. Nie musi się pan martwić. – Nie lubił, kiedy mu grożono. Jednak nie okazał tego po sobie.

– Wybrałeś odpowiednich... ludzi? Nie mam ochoty polegać na głupcach lub amatorach.

– Tak. Mamy gotowy do działania zespół i ciągle werbujemy. Najpierw nastąpi wstępna fala zamachów. Dla odciążenia uwagi, zmylenia i zasiania paniki. Ci bojownicy, którym uda się przeprowadzić te początkowe operacje, zostaną wyróżnieni możliwością udziału w fazie drugiej, którą stanowi zmasowany atak. Nazywamy ją Piekielny Ogień. Dużo ofiar, ogromne straty gospodarcze. Obiecuję, że to będzie warte pańskich pieniędzy.

Staruszek znów uśmiechnął się do mężczyzny w szarym garniturze.

– Wykorzystaj dobrze moje pieniądze. – Wstał z ławki, otrzepał się z okruchów i odszedł, płosząc ptaki.



Pięćdziesiąt milionów, pomyślał mężczyzna w szarym garniturze. Na to właśnie liczył. Dostatecznie dużo, aby świat pożałował. Wystarczy, aby zyskać szacunek. Odwrócił się i wyszedł z parku, chowając telefon do kieszeni.

Piętnaście metrów za nim kobieta z wózkiem chichotała do telefonu. Pochyliła się i poprawiła nieco kocyk otulający śpiące maleństwo. Zaoferowała się, że zabierze córeczkę przyjaciółki na spacer – to pozwoli jej na chwilę tak potrzebnego wytchnienia. Młoda mama prawie nie spała w ciągu kilku ostatnich dni i ta propozycja niemal doprowadziła ją do łez wdzięczności.

– Jane, wiem, że jesteś w mieście tylko na chwilę. Nie masz tu nic do załatwienia?

– Nic ważnego. Kochanie, zrób sobie przerwę od pieluch i płaczu. Zabiorę ją na długi spacer. – I tak zrobiła, podając dziecku odrobinę lekarstwa na alergię, kiedy tylko nieco się oddaliły, żeby mała spała przez cały ten czas.

Dziecko w wózku stanowiło dla Jane świetny kamuflaż.

Jane sprawdziła ustawienia mikrofonu parabolicznego i cyfrowej nagrywarki, które leżały obok drzemiącego maluszka. Trzymając przy uchu specjalnie przerobioną komórkę, słyszała słowa miliardera i człowieka w szarej marynarce tak wyraźnie, jakby stali tuż obok. Obaj mówili po arabsku, ale to jej nie przeszkadzało. Rozumiała każde słowo.

Pieniądze przejdą z rąk do rąk. Czas zacząć realizację jej planu. Poczwała dreszcz emocji i strach jednocześnie.

Wyjęła swój prawdziwy telefon i wybrała numer. Odjechała wózkiem, kiedy spostrzegła, że w jej stronę idą dwie starsze kobiety. Starsze panie lubią oglądać małe dzieci. Nie chciała, żeby zauważyły jej zestaw podsłuchowy.

– Tak?

– Tu Jane – powiedziała po angielsku.

– I?

– Pieniądze zostaną przesłane do Ameryki. Pięćdziesiąt milionów. Zaczynamy dzisiaj. Idziemy na całość.

– Idziemy.

Jane odłożyła słuchawkę. Powiedziała tylko to, co konieczne.

Wyszła z parku, nucąc śpiącemu dziecku wesołą melodię. Niebo szarzało, ale dla Jane był to najpiękniejszy dzień w życiu.

Pięćdziesiąt milionów dolarów, aby znów rozpanoszył się chaos podobny do tego z jedenastego września. Mimo uśmiechu poczuła, że zaschło jej w gardle.

Mikrofon i resztę wyposażenia zostawiła w hotelu. Musiała zdążyć na dzisiejszy lot i napisać sprawozdanie dla przełożonych. Nie wspomni w nim o pięćdziesięciu milionach i zbliżających się zamachach, będzie musiała trochę popracować nad nagraniem z parku. Mała dziewczynka w wózku zaczęła się budzić i popłakiwać. Jane nuciła jej całą drogę do domu.

## 2.

Luke Dantry był najniebezpieczniejszym człowiekiem na świecie. Oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy; teraz chciał się po prostu przebiec i odświeżyć nieco umysł.

Biegł. Gdyby ktoś się mu przyjrzał, nie dostrzegłby, jak bardzo jest niebezpieczny; zobaczyłby tylko tyczkowatego dwudziestoczerolatka o przydługich, kręconych, ciemnobrązowych włosach, ubranego w szorty i koszulkę z napisem *Psychologzy robią to na koczce*. Nie przepadał za tą koszulką, głupawym prezentem od byłej dziewczyny, ale była to jedyna dostatecznie czysta rzecz, którą mógł włożyć na dzisiejszą trasę prowadzącą wzdłuż Jeziora Lady Bird, w samym sercu Austin. Jego błękitne oczy były skupione na wytyczaniu ścieżki wśród przechodniów. Nie przystawał, by popatrzeć na twarze ładnych dziewcząt, światło odbijające się od powierzchni jeziora czy też ruchome cienie rzucane przez gałęzie dębów. Omijał powolnych biegaczy, pędzących rowerzystów, psy rwące się na smyczy. Musiał się spieszyć, żeby wrócić do pracy. To ona rządziła jego myślami dzień i noc.

Powietrze w Austin było chłodne, niezbyt wilgotne – ledwie minęła połowa marca i letnie upały nie przejęły jeszcze władania nad miastem. Cudownie było poczuć powiew wiatru, który choć na kilka chwil oczyszczał jego umysł ze zmartwień.

Luke minął most prowadzący do centrum i zwolnił tempo. Pochylił się,

ciężko dysząc. Zza koszulki wyslizgnął mu się medalik, srebro anielskiego miecza połyskiwało w słońcu. Ostrożnie schował go z powrotem; czuł jego chłód na rozgrzanej skórze. Wyprostował się i minął ostatnie trzy przecznice dzielące go od apartamentowca, w którym znajdowało się jego mieszkanie. Dostał je od ojczyma, kiedy wrócił do Austin na studia. Pomachał portierowi, który spozjrzał na niego z lekką przyganą.

– Ile kilometrów? – spytał portier.

– Tylko trzy.

– Tylko trzy? Przyłóż się trochę. – Portier miał gorliwsze podejście do biegania niż Luke.

– Późno wstałem.

– Po co ci mieszkanie w centrum, skoro nigdy nie wychodzisz do klubów albo się zabawić?

– Skąd wiesz, że tak nie jest? – Luke uśmiechnął się do portiera.

– Na nocnej zmianie widzę, kto imprezuje, kto był w dzielnicy Warehouse, a kto na Szóstej Ulicy. Ty nigdy nie wracasz późno.

– Teraz większość czasu spędzam w Internecie.

– To przestań. – Portier wyszczerzył się do niego. – Życie jest zbyt krótkie.

Podjechała winda i Luke powiedział:

– Postaram się trochę poprawić swój poziom imprezowania.

– Nie dzisiaj. Twój ojczym na ciebie czeka. Przyjechał kilka minut temu.

– Dzięki. – Drzwi się zamknęły i Luke wcisnął przycisk dziesiątego piętra. Henry już wrócił z Waszyngtonu, a Luke nie skończył jeszcze projektu. Wziął głęboki oddech.

Winda otworzyła się i wyszedł na krótki korytarz prowadzący do jego apartamentu. Drzwi były lekko uchylone; Henry zapomniał je zamknąć. Typowe. Luke otworzył je i zawołał: – Hej, to ja. – Zamknął drzwi za sobą i usłyszał skrobanie długopisu po papierze, dźwięk, który zawsze kojarzył mu się z Henrym.

Ojczym siedział przy stole w jadalni i pisał coś w notesie, przed nim

leżała otwarta, gruba książka, jego walizka stała na podłodze obok. Luke wiedział, że nie należy mu przeszkadzać, kiedy myśli, a proces ten może być długi i skomplikowany. Henry podniósł dłoń, nie przestając pisać, prosząc o cierpliwość, zatem Luke podszedł do lodówki i wyjął butelkę wody; pijąc chciwie, słuchał, jak pióro Henry'ego skrobie po papierze, i spoglądał na zapierający dech w piersiach widok na jezioro i rozciągający się za nim park Zilkera.

– Przepraszam, Luke – powiedział Henry z zakłopotanym uśmiechem.  
– Pracuję nad kilkoma raportami jednocześnie i moje pomysły kiełkują w szalonym tempie.

– Masz za dużo pracy.

– Czuję, że nadchodzi zmiana. Jak się biegało? – Henry podniósł wzrok znad notatnika. Był około pięćdziesiątki, szczupły, siwe włosy miał lekko zmierzwione i ciągle przegarniał je palcami, kiedy mówił, marynarka również była wygnieciona. Henry nie umiał elegancko podróżować.

– Ostatnio moim jedynym wysiłkiem jest siedzenie przed komputerem.

– Luke podszedł do Henry'ego, a ten wstał i nieporadnie go objął.

– Cóż, idź, weź prysznic, a ja zabiorę cię na porządną kolację. W twojej lodówce nie ma nic jadalnego. – Odchylił się nieco i spojrzał na swojego pasierba. – Jesteś błydy, chudy i powinieneś się ogolić. Chyba za dużo od ciebie wymagam.

– Chciałem się przyłożyć do tego projektu. Martwię się, że nie dostajesz ode mnie informacji, które są ci potrzebne.

Henry usiadł i znów założył okulary. Jego nos był lekko skrzywiony – zawsze wmawiał Luke'owi, że złamano mu go w barowej bójce, ale Luke wiedział, że Henry nigdy nie przestąpił progu baru.

– Te dane, które mi przesłałeś, były niezwykle... zajmujące.

– Obawiam się, że to tylko internetowe brednie jakichś zgorzkniałych nieudaczników.

– Nigdy nie wiadomo, czy takie brednie nie staną się początkiem czegoś większego. Czegoś niebezpiecznego.

– Zbieranie bredni nie musi skutkować namierzeniem i powstrzymaniem ekstremistów, nim ci posuną się do przemocy.

– To ja o tym decyduję.

Luke dopił wodę.

– Chciałbym wiedzieć, kim jest twój klient. Chcę wiedzieć, komu zależy na szukaniu potencjalnych terrorystów w Internecie.

Henry złożył kartkę, na której pisał, schował ją do kieszeni i zamknął książkę. Jej tytuł brzmiał *Psychologia ekstremistów*. Było to arcydzieło Henry'ego; napisał je kilka lat wcześniej, jako pokłosie zamachu bombowego McVeigha, ale przeszło niezauważone, aż jedenasty września wszystko zmienił, a jego teorie o osobowości terrorysty okazały się słuszne. Po tym, jak przez kilka lat piastował stanowiska naukowe na całym świecie – będąc kimś w rodzaju naukowca-podróżnika, podobnie jak ojciec Luke'a – w zeszłym roku założył własną grupę analityczno-doradczą w Waszyngtonie, którą nazwał Shawcross. Jej członkowie prowadzili badania i pisali o psychologii oraz jej roli w rządzeniu, terroryzmie i ekstremizmie, w przestępczości międzynarodowej i wielu innych dziedzinach. Wśród jego klientów były najważniejsze osobistości z Waszyngtonu, Londynu, Paryża i reszty świata: członkowie rządów odpowiedzialni za podejmowanie decyzji i międzynarodowe spółki, które chciały chronić swoją działalność przed zagrożeniami ze strony terrorystów i fanatyków.

– Nie mogę ci powiedzieć. Nie teraz. Przykro mi.

– Zastanawiam się tylko... powinniśmy dostarczyć te informacje policji. Lub powinien to zrobić twój klient.

– Znalazłeś jakieś dowody na faktyczną działalność przestępczą? – Henry zdjął okulary w drucianych oprawkach.

– No nie.

– Ale odkryłeś potencjalne źródła takiej działalności?

– Chodź i sam spójrz na najświeższe, wieści z Mrocznej Drogi.

Luke usiadł przy komputerze.

Miał listę ponad stu stron, grup dyskusyjnych i internetowych forów, które przeglądał, próbując rozmawiać z ludźmi o ekstremalnych lub wprost niebezpiecznych pomysłach na rozwiązanie problemów świata. Otworzyło się okienko z raportem dotyczącym odpowiedzi na różnorodne komentarze, które umieścił w Internecie, zanim poszedł biegać. Wszystkie nazwy użytkowników i hasła przechowywał w pliku tekstowym na swoim macu, ponieważ nie był w stanie ich spamiętać. Zalogował się do pierwszej listy dyskusyjnej, gdzie poruszano tematy od reformy imigracyjnej aż po prywatyzację ubezpieczeń społecznych. Tutaj poglądy uczestników forum były raczej prawicowe i jego umiarkowane wypowiedzi zebrały od wczoraj liczne reakcje. Luke spojrzął na nie pobieżnie; na ogół komentujący zgadzali się ze sobą nawzajem i wspólnie się nakręcali. Zalogował się jako MrEagle, pod tym nickiem pisał, i przedstawił o wiele bardziej umiarkowane poglądy na zagadnienie imigracji. Wkrótce jego opinie zostaną zjadliwie zaatakowane, a wszystkie komentarze będzie musiał pozbierać i ocenić. Będzie pisał także pod innymi nickami, zgadzając się z tymi, którzy atakowali jego pierwotne poglądy, sprawdzając, czy traktują przemoc jako rozwiązanie.

Czasem ignorowali jego zaczepki; innym razem byli skłonni przyznać, że przemoc jest rozwiązaniem problemu.

Luke wszedł na kolejne forum, znalazł tym razem ultralewicowe miejsce, gdzie mógł kogoś rozdrażnić. Jego wyważone komentarze, które umieścił wczorajszej nocy pod dyskusją na temat najemników, spotkały się zarówno z opryskliwym sprzeciwem, jak i nieuzasadnioną furią, która niemal buchała z ekranu.

– Mroczna Droga? – zapytał Henry. – A, tak. Twoje określenie dla tych ludzi.

Luke używał tej nazwy od tygodni, ale zabiegany Henry zawsze zapominał. Dużo podróżował w ciągu ostatnich dni i widocznie zmiana stref czasowych dała mu się we znaki.

– Nazywałem ich Wściekli Kąsacze, ale to brzmiała jak nazwa jakiejś punkowej kapeli. Pewnej nocy przyszło mi się, że rozsierdzony tłum

fanatyków różnej maści gonił mnie po długiej drodze w ciemność. Nazwałem ich zatem „Mroczna Droga”.

– Mroczna Droga. Hm. To dosyć ponure. – Henry miał dziwny wyraz twarzy, nagle się zasepił, a potem uśmiechnął.

– Dzisiejszego wieczoru kwestionowano już moją męskość, mój patriotyzm i moją inteligencję. – Luke wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. – Muszę jeszcze sprawić, żeby ci, z którymi niby się zgadzam, zaczęli mówić, dzięki czemu sprawdzę, czy rzeczywiście pociąga ich przemoc.

– Mąciiciel, jak zwykle – skomentował Henry z uśmiechem. – Zatem wciąż dostajesz wiele odpowiedzi.

– O połowę więcej niż w listopadzie, kiedy zaczynałem. Myślę, że to anonimowość, którą zapewnia Internet; ludzie wyrażają swoje poglądy o wiele dosadniej. A ci tutaj szukają osób, które poprą ich zapatrywania. Dlatego złość i poczucie domniemanej niesprawiedliwości tak się potęgują.

– Ile danych udało ci się zebrać dotychczas?

Luke spojrział na ekran. Najbardziej warte uwagi, ekstremistyczne wypowiedzi zostały przejrane, skopiowane i zapisane do bazy danych.

– Mam teraz prawie dziesięć tysięcy komentarzy od około sześciu tysięcy osób, zebranych w ciągu ostatnich czterech miesięcy. \

– Wow.

– To dziwne. Czuję się jak gliniarz, który udaje trzynastoletnią dziewczynkę prowokującą starych zbrojeńców. Tylko że ja próbuję zwabić następnego Timothy'ego McVeigha, kolejnego zamachowca z Madrytu lub naśladowcę Al-Kaidy tutaj w Ameryce.

– Naprawdę myślisz, że niektórzy z nich są aż tak niebezpieczni?

– Spójrz na dzisiejszą kolekcję. – Wyświetlił jeden z komentarzy pochodzących z bazy danych. – Nie dziwi mnie, że wielu z nich jest przeciwnych rządowi.



*Zacznijmy od początku. Zabijmy wszystkich sędziów, położymy kres ich dożywotnim funkcjom.*

– Może ten facet chciał sobie po prostu ulżyć, może jest niegroźny. To jego pierwszy wpis, muszę poczekać i sprawdzić, czy nie pociągnie tego dalej. Jeśli tak, to jest potencjalny trop do zbadania.

Henry potarł usta.

– Przyduś go. Sprawdź, co jeszcze powie.  
– Tu masz coś od jednego z moich regularnych korespondentów – powiedział Luke. – ChicagoChris. Jest na kilku forach dla anarchistów...  
– Zorganizowani anarchiści. Bardzo mi się podoba ten pomysł.  
– ...uwielbia gadać o ekoterroryzmie. – Luke nacisnął klawisz i na ekranie pojawiła się długa lista komentarzy autorstwa ChicagoChrisa z ostatnich kilku dni:

*Na początek spalić na popiół każdy McPałac. Poważny zamach na strzeżone osiedle powinien być czytelną wiadomością. Nie zabijać ludzi, tylko ich ostrzec i zrównać ich domy z ziemią. Sabotaż maszyn budowlanych. Trzeba zacząć działać, żeby ocalić ziemię.*

*Ludzie, którzy ją niszczą, zasługują na nieszczęścia, jakie ich spotykają.*

*Zbrodnie dokonywane na naturze są jak najgorsze morderstwo. Winę za nie koncerny naftowe i budowlane. Znam tych gości, wiem, jak się zachowują, kiedy się im nie przyglądamy. To szumowiny. Zabić ich, zabić ich wszystkich, a coś się zmieni. Zmiany czuć w powietrzu. Nadchodzą szybkim krokiem. Chcę być częścią nawałnicy, która je wywoła.*

– Czarujący typ – stwierdził Henry.  
– Wierzy w każde swoje słowo. Wysłał mi dużo e-maili przez grupy

dyskusyjne. Jestem jego nowym, najlepszym przyjacielem w sieci. On jest nie tylko szalony, Henry, on jest zdeterminowany. To przerażające.

– W raporcie z zeszłego miesiąca wspomniałeś, że jest jednym z tych, którzy mogą posunąć się do przemocy.

– Tak, jest obiecujący. – Luke wykrzywił się. – Ale to wariat.

– Nie interesują mnie wariaci. Interesują mnie oddani sprawie. To duża różnica.

– Nie jestem w stanie diagnozować tych ludzi. Mogę tylko katalogować ich komentarze. Mam nadzieję, że masz wystarczająco dużo informacji do swoich badań. – Przyglądanie się całej tej nienawiści sprawiło, że czuł się zmęczony. – Dla twojego klienta.

Henry wyczuł w głosie Luke'a natrętne pytanie.

– Mówiłem ci, że muszę trzymać jego dane w tajemnicy.

– Niech zgadnę. To rząd. Chcą obserwować tych ludzi, upewnić się, że tylko rzucają ostre słowa i nie zaczną kupować broni, podkładać bomb w autobusach czy brać na cel polityków.

– Nie mogę powiedzieć. Ale wiem, że mój klient będzie niezwykle zadowolony z twojej pracy.

– Dziwię się, że mi nie ufasz. Zawsze ufałeś – powiedział Luke.

– I zawsze będę. Jednak klient jasno określił swoje wymagania. Gdybyś pracował na pełny etat, był oficjalnie zatrudniony, wtedy może... – Henry wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

– Nie nadaję się do pracy w grupie badawczej.

– Daj spokój. Jesteśmy naukowcami, mamy tylko ładniejsze garnitury – odpowiedział Henry. – Niech zgadnę. Sam chciałbyś coś napisać na podstawie tych danych. Może jakiś zaczątek twojego doktoratu.

– Chciałbym – przytaknął Luke. – Ale szanuję to, że wynająłeś mnie do tych badań. To twoje dane, nie moje.

– Luke, rozumiem, dlaczego tak cię ciągnie do zgłębiania umysłów tych, którzy myślą, że przemoc rozwiąże każdy problem. – Cisza, jaka zapadła, stała się nagle krępująca. – Jednak nie da się wyjaśnić, dlaczego dochodzi do przemocy. To nie przywróci życia twojemu ojcu. – Henry chrząknął, spojrzał na wspólne zdjęcie Luke'a z ojcem. Zacisnął wargi i lekko pochylił głowę, jakby pod niewidzialnym ciężarem.

Henry był urodzonym mówcą, jednak jego przemówienia sprawdzały się na mównicy, a nie w towarzystwie. Spędził tak wiele czasu z nosem w książkach i tak późno założył rodzinę, że Luke musiał się przyzwyczaić do dobrodusznych, lecz niezręcznych wypowiedzi swojego ojczyma.

– Wiem, ale mam nadzieję, że te poszukiwania pozwolą znaleźć kolejnego dupka, który chce dla sprawy zabijać niewinnych ludzi.

Luke nie patrzył na Henry'ego. Nie patrzył też na zdjęcie, które stanowiło jedyną ozdobę kominka. Był na nim Warren Dantry i siedmioletni Luke trzymający okonia, którego przed chwilą wyłowił z jeziora Virginia. Pamiętał zapach świeżej ryby, aromat sosen, promienie słońca na skórze i cichy śmiech ojca. Szczęśliwe wspomnienia jednej z rzadkich chwil, które spędził z ojcem, na długo przed tym, nim zło, wcielone w osobę bezlitosnego mechanika lotniczego Ace'a Beere'a, pozbawiło go taty. Zło, które Luke starał się zrozumieć.

Lektura chaotycznych tłumaczeń Ace'a Beere'a spisanych przed samobójczą śmiercią – porzuconych w hangarze lotniska, po tym, jak zabił ojca Luke'a i kilkoro innych ludzi – podsyciła pragnienie Luke'a, aby zrozumieć psychologię zbrodniczego umysłu.

*Zrobiłem to, bo tak mi kazał Bóg, to był jedyny sposób na odzyskanie dumy, odwet na moim pracodawcy. Musiałem wybrać jakiś lot, a w tym byli profesorowie, którzy są bezużyteczni dla społeczeństwa. Nikt nie będzie za nimi tęsknił.*

Bezsensowne śmieci, ale w tym długim liście musiał być jakiś załączek odpowiedzi, wyjaśnienie. Luke nigdy go nie znalazł.

– Wyjaśnij mi coś – poprosił Luke. – Chodzi o twojego klienta. Kimkolwiek jest, chce znaleźć potencjalnych terrorystów, nim przejdą od ideologii do przemocy. To nie jest jedynie wymyślny projekt badawczy.

– Luke. Typowanie terrorystów to coś o wiele więcej niż tylko zaczepianie frustratów na forach internetowych.

– Przecież już wiemy, że mnóstwo ekstremistów kontaktuje się przez Internet. Moglibyśmy skupić się na nich, zniechęcić ich, zanim zdecydują się na ostateczne kroki, sprawić, żeby przemoc wydała im się nieatrakcyjna albo niemożliwa... – Luke wstał od komputera i podszedł do okna. – Każdy z tych ludzi może okazać się niegroźny albo być jak bomba zegarowa. Dziesięć tysięcy komentarzy, tysiące ludzi, ale nie mogę dowieść, że którykolwiek z nich stanie się terrorystą. Doprawdy, następną fazą projektu powinna opierać się na obserwacji, żeby sprawdzić, czy da się ich przekonać, że przemoc nie jest wyjściem.

– Świetnie się spisałeś, mój klient przejrzy te dane. Nie wiadomo, być może znalazłeś następnego McVeigha lub kolejną osobę, która wyśle wąglika do Kongresu, albo kogoś, kto zechce przejąć obowiązki Al-Kaidy. Spędziłeś nad tym tyle czasu, że zaczynam się zastanawiać, czy to nie jakaś niezdrowa obsesja.

– Nie, chcę skończyć projekt, ale...

– Ale co?

– Konta pocztowe, które musiałem założyć. Z listów tych ludzi jasno wynika, że są przekonani, iż chcą dołączyć do ich wojny... Martwię się, że mogą mnie znaleźć. Chociaż korzystam z różnych adresów i używam kilku fałszywych nicków. Można mnie namierzyć, jeśli ktoś się postara.

– Ale oni są po drugiej stronie ekranu, w sieci. – Henry postukał w monitor. – Ty nie żyjesz na krawędzi, Luke.

– Chyba nie. – Już nie. Nigdy nie mówił Henry'emu o tym, co się działo po śmierci ojca, kiedy uciekł z domu i dwa miesiące mieszkał na ulicy. Nie było po co; to był mroczny okres w jego życiu, który dawno się skończył.

– Zastanawiałem się, czy nie zawiózłbyś mnie jutro na lotnisko. Mój lot jest po południu. Cały rano mam spotkania na uniwersytecie. – Zupełnie, jakby nie słyszał, że czegoś się boję, pomyślał Luke, po prostu przeszedł do kolejnej kwestii.

– Jasne.

Na ekranie pojawiła się odpowiedź na jeden z fałszywych komentarzy Luke'a:

*Masz racje. Wojna na tle rasowym jest nieunikniona w tym kraju. Trzeba zmusić wszystkich nieporządkanych do opuszczenia tego kraju. Jak zaczniemy ich zabijać, to się zaczniemy spieszyć. Może się spotkamy i pogadamy o tym. Zobaczę, czy muwiesz serio.*

Henry przeczytał wiadomość.

– Twoja przynęta działa, Luke. Bardzo dobrze. Posłuchaj mnie. – Luke pomyślał z rozrzewaniem, że teraz Henry będzie się starał zachowywać jak ojciec. Zaraz położy mi dłoń na ramieniu... o tak. A teraz czas na niezdarne rady. – Luke. Wiesz, że nienawidzę cikliwości. Ale...

– Jestem całą twoją rodziną. – Zamilkł na moment. – Tę wyjątkową chwilę zawdzięczasz grupie Shawcross.

– No, Luke. – Henry zdobył się na rzadki u niego uśmiech. – Kiedy zeniłem się z twoją mamą, obiecałem jej, że zaopiekuję się tobą, gdyby jej się coś stało. Dla mnie to było poważne zobowiązanie.

Jego matka. Schował jej zdjęcia, kiedy dowiedział się, że Henry go odwiedzi; ich widok był dla ojczyzna zbyt bolesny. Od wypadku samochodowego minął zaledwie rok.

– Henry, nie traktuj mnie, jakbym był dzieckiem. Nie musisz mnie pilnować.

– Trudno zmienić przyzwyczajenia. – Henry chrząknął, jakby miał ochotę na kolejne przemówienie albo prezentację. Najwyraźniej miał problemy ze spojrzeniem na Luke'a. – Całe moje życie, oprócz ciebie, to ta grupa badawcza. Zaczniij dla mnie pracować. Chciałbym ją kiedyś przekazać tobie. – Ostatnie słowa wypowiedział bez namysłu.

– Wow, Henry. Nie wiem, co powiedzieć. – Poczul się wzruszony. Zaszczycony. Henry był trochę dziwakiem – skupiony na badaniach, zastanawianiu się nad trendami politycznymi na świecie, swoich książkach i artykułach – był jednak jedyną rodziną, jaką miał Luke. Świat bez rodziny to bardzo samotne miejsce. Luke uważał, że dla Henry'ego musiało to być wręcz nieznośnie samotne miejsce, dopóki nie ożenił się z jego mamą. Między Lukiem i jego ojczymem nie zawsze dobrze się układało, ale Luke nigdy nie wątpił, że Henry kocha go na swój sposób.

Na monitorze pojawił się komentarz:

*Masz rację, w Ameryce przydałaby się nam jakaś porządna bomba na obwodnicy, wyczyścić atmosferę, niech Potomac stanie się ściekiem dla całego ludzkiego śmiecia w stolicy, zacznijmy od nowa.*

Kolejny świr, który chciał się pokazać. Porządna bomba w odróżnieniu od nieporządnej. Ci ludzie sprawiali, że dostawał gęziej skórki.

– Mój Boże – powiedział Henry, wpatrując się w komentarz. – To kolejny powód, dla którego chcę, abyś ze mną pracował. Masz wyniki. Zgódź się. Proszę, Luke. Proszę.

Błaganie było zupełnie nie w stylu Henry'ego i Luke poczuł wdzięczność.

– Zastanowię się nad tym. Najpierw trochę się powłóczę Mroczną Drogą.

– W porządku. Muszę podzwonić, a potem idziemy na kolację. Idź się umyć. – Ojczym poklepał go po ramieniu i poszedł do pokoju gościnnego.

Luke spojrzął na monitor, osiem kolejnych paszkwili, uśmiechnął się z powodu zjadliwości niektórych komentarzy. Nie chciał się do tego przyznać, ale szydzenie z ludzi o tak ekstremalnych poglądach uzależniało. Zastanawiał się, pomimo obaw, jakie miał z powodu osób, które wkurzył, czy łatwo byłoby mu z tego zrezygnować. Zanurzony w Internecie był draniem, mącicielem, twardzielem, który nie brał zakładników. Nie odpowiadał

mu typ naukowca, który, pisząc, najpierw się zastanawia, jakie reakcje spowodują jego słowa.

Luke poszedł do łazienki wziąć prysznic. Myjąc włosy, rozmyślał o tysiącach ludzi, z którymi się zetknął – wkurzonych, zgorzkniałych, tak zapalonych w swej nienawiści, że byli ślepi na szczegóły czy okoliczności de nerwujących ich wydarzeń. Ignorowali nawet moralność, Internet łączył ich wszystkich, elektroniczne nici oplątywały kraj, miał niemiłe poczucie, że ludzie, którym nadał miano Mrocznej Drogi, mogą go osiągnąć, w jednej chwili przejrzeć jego kłamstwa.



Luke nienawidził lotnisk. Ostatni raz widział swojego ojca na Dulles dziesięć lat temu. Za każdym razem, kiedy otwierała się przed nim chłodna przestrzeń terminalu, myślał o swoim ojcu; dłoń wystająca z mankietu marynarki, podniesiona w geście pozdrowienia, ubrania Luke'a wciąż zmięte pożegnalnym uściskiem.

– Dobrej podróży, tato – powiedział.

Ojciec stał blisko niego. Był przystojnym mężczyzną o przyszyżonej brodzie, gęstej, przedwcześnie posiwiałej czuprynie i intensywnie niebieskich oczach.

– Wrócę niebawem. Opiekuj się mamą.

– Dobrze.

– Mam ci przywieźć trochę ryb w kieszeni? – Ich wspólny żart od czasu, kiedy w wieku pięciu lat Luke po złapaniu okonia natychmiast włożył go do kieszeni i zostawił tam na kilka godzin. Jego spodnie trzeba było spalić.

– Nie. Mama by się wściekła.

– Mama musiałaby ci kupić nowe ubrania – powiedziała mama z uśmiechem, dotykając ramienia ojca.

Wtedy ojciec delikatnie zmierzył mu włosy.

– Będę za tobą tęsknił w każdej chwili.

– To chyba trochę za dużo – odparł Luke. Miał czternaście lat i ojcowska

miłość okazywana w miejscach publicznych trochę go krępowała. Chciał wracać do samochodu, odpalić znowu grę komputerową i przejść kolejny poziom. Westchnął i przewrócił oczami, żeby pokazać zniecierpliwienie.

– Kiedy będziesz miał dziecko, zrozumiesz, jak to jest cały czas za kimś tęsknić.

– Uspokoję cię, że właśnie udało mi się zrobić dziecko jednej dziewczynie.

– Ha, ha – zaśmiał się ojciec, a potem spojrział na niego z udawanym zaskoczeniem.

– Żartowałem – powiedział Luke. – Dwóm dziewczynom.

– Dowcipniś. – Ojciec pocałował go w czoło. – Bądź dobrym chłopcem. Muszę dogonić pozostałych. – Szybki pocałunek z mamą i ojciec poszedł. Jechał na ryby razem ze swoimi kolegami profesorami do Karoliny Północnej. Odszedł na zawsze. Luke nawet nie zobaczył go w trumnie. Ciało pochłonęły szare fale Atlantyku. Spacerował po plaży, najbliżej jak się tylko dało miejsca, gdzie spadł samolot, zastanawiając się, czy usłyszy ciepły baryton ojca w huku fal. To była szalona myśl, ale po długim okresie żalu i tygodniach błąkania się po ulicach jako uciekinier przebywanie w pobliżu miejsca, gdzie zginął ojciec, przynosiło mu dziwną ulgę.

Ojciec stał się jedynie mglistym widmem, pozostało po nim ledwie kilka wyraźnych wspomnień – pływanie w basenie przy domu na przedmieściach Wirginii, spacer po kampusie w Georgetown do biura ojca, mecz Redskinsów, kiedy Luke miał pięć lat, noszenie na barana, palec ojca poruszający się po rozgwieżdżonym niebie, kiedy nazywał wszystkie gwiazdy i konstelacje. To światło, mówił ojciec, wędrowało do nas setki lat. Światło gwiazd to coś, co trwa długo. Szersza perspektywa. Pamiętaj zawsze o tym, że trzeba czasu i szerszej perspektywy, Luke.

Potrzebował teraz rady swojego ojca. Wiedział, że znalazł się na rozdrożu.

Luke zaparkował bmw, które Henry kupił mu jako nagrodę za skończone studia, na krótkopostojowym parkingu. Henry wyskoczył z siedzenia



pasażera. Jego spotkania się przedłużyły i mieli mało czasu. Luke wyciągnął niewielką torbę Henry'ego z bagażnika.

– Włożyłem ci do torby kopię mojego ostatniego sprawozdania i najświeższej bazy danych – powiedział Luke. – Możesz postraszyć współpasażerów, czytając to na głos. Wszyscy świetnie by się bawili.

– Jak to zatytułowalesz? – Henry uśmiechnął się do niego, kiedy wsiadli do parkingowej windy.

– *Przejażdżka Mroczną Drogą.*

– Brzmi jak tytuł kiepskiej płyty rockowej.

– Tak, ale podtytuł to już delikatny jazz: *Bieżąca analiza ekstremizmu w Internecie.*

Henry się zaśmiał.

– Dzięki za twoją pracę, Luke. Spotkanie z tobą to była najlepsza część mojej wizyty; próba przekonania moich kolegów naukowców, że grożą nam niebezpieczeństwa, nie była już tak przyjemna.

– Twoi koledzy nie chcą cię słuchać?

– Uważam, że zbliżają się groźne ataki. A oni traktują to tak, jakbym mówił, że niebo się wali. – Henry nie umiał powstrzymać gniewu. Szli w stronę terminalu lotniska w Austin; wiosenna bryza była chłodna, ale słońce mocno dogrzewało. – No więc, co z moją ofertą pracy?

– Jeśli ją przyjmę, to moje oficjalne zajęcie będzie polegało na... myśleniu. Mama uznałaby to za zabawne.

– Twoja matka byłaby z ciebie niezwykle dumna. – Cisza, zawsze około dziesięciu sekund po tym, jak obaj wspomnieli matkę Luke'a. – Byłaby dumna z tego, że razem pracujemy. – Zatrzymali się, czekając, aż policjant wstrzyma ruch, żeby mogli przejść na drugą stronę ulicy, Henry podziękował mu skinieniem głowy.

– Nie jestem pewien, czy przy takiej pracy moje psychologiczne studia na cokolwiek się zdadzą. Jednak zabawa w berka ze świrami uzależnia.

– Niebezpieczeństwo uzależnia – powiedział Henry. Luke pomyślał, że dla Henry'ego niebezpieczne jest pewnie zastawienie kogoś samochodem lub postawienie pięciu dolarów w kasynie. – Ale twoje badania, Luke, są przede wszystkim ważne. – Henry zatrzymał się przed terminalem. Skrzywił się. – Koło historii znajduje się teraz w krytycznym momencie, Luke. Świat stał się o wiele mniejszy, niż kiedykolwiek to sobie wyobrażaliśmy. Ludziom o pewnych... gwałtownych skłonnościach łatwiej nawiązać kontakt z podobnymi sobie. Mógłbyś nam pomóc ich zrozumieć i z nimi walczyć.

– Chciałbym, żebyś mi powiedział, kto jest twoim klientem.

– Przyjmij tę posadę, to się dowiesz. – Przystanęli przy elektronicznej odprawie American Airlines. Henry wpisał swoje dane, a automat wypuł jego kartę pokładową. Luke podszedł z nim do kolejki ludzi czekających na przejście przez bramki kontrolne.

– Nie chcę... – Luke przerwał.

– Czego synu? – Henry nieczęsto nazywał go synem. Tylko wtedy, kiedy się o niego martwił.

– Nie chcę, żeby ta propozycja brała się z litości, Henry. Tylko dlatego, że obiecałeś mamie.

– To dobrze, bo nie robię tego z litości. Wykonałeś dla mnie wspaniałą pracę, Luke, obserwując... Mroczną Drogę, jak to pięknie określiłeś. Jednak nie zaproponowałbym ci posady z litości. Za bardzo cenię sobie ciebie i moją firmę.

Super, pomyślał Luke, wyszedłem na gbura. Jedyne członek twojej rodziny proponuje ci pracę, a tobie udaje się go obrazić.

– Nie to miałem na myśli. Wiem, że mówisz serio. – Luke chrząknął i poczuł nerwowy skurcz w środku. – Dobrze, przyjmę tę ofertę.

W oczach Henry'ego pojawiła się niespodziewana ulga.

– Naprawdę bardzo się cieszę z twojej decyzji. I jestem z ciebie dumny. Wspólna praca będzie, no wiesz, super.

Luke nie mógł powstrzymać uśmiechu. Definicja tego, co było „super” w mniemaniu Henry'ego, była dość wyjątkowa. Monografie na temat

ekonomii politycznej, rozprawy o historii terroryzmu, wszystko to, według Henry'ego, było super. Być może dzięki temu ich relacje staną się łatwiejsze... doroślejsze. Nie będzie go traktował jak dziecka.

– Masz rację, będzie super.

Henry'emu nie udało się ukryć szczęścia – rozjaśniło mu twarz.

– Zadzwoń jutro i zajmijmy się papierami.

– Dzięki, Henry.

– Idź do domu i prześpij się trochę. Daj sobie na jakiś czas spokój z Mroczną Drogą. Posiedź trochę na słońcu.

– Będzie mi brakować potrząsania tym drzewem, żeby obserwować, jak spadają z niego zgniłe jabłka.

– Ty i ja zmienimy świat.

– Trudne zadanie.

– Możemy zmienić świat. Zaufaj mi. – Henry uściśnął mu dłoń i niezgrabnie go przytulił. Luke odwzajemnił uścisk. Potem Henry odwrócił się i dołączył do kolejki.

Luke wyszedł na zewnątrz i skierował się w stronę parkingu.

„Zmienimy świat”, powiedział Henry. Przynajmniej nie brakowało mu ambicji.

Luke zatrzymał się przed parkingiem, próbując sobie przypomnieć, gdzie zostawił swoje bmw.

– Luke, hej, jak leci? – Poczł ciężką rękę obejmującą go za ramię. Twarz mężczyzny – około trzydziestki, szatyn, krzywy, nerwowy uśmiech – pojawiła się tuż obok. Zbyt blisko.

Luke zaczął się wycofywać.

Poczł ucisk czegoś metalowego na karku.

– Nie krzycz, Luke. Nie uciekaj. Broń jest wycelowana w twój kręgosłup. Czy możesz się uspokoić na chwilę? – Mężczyzna przyciągnął Luke'a do siebie tak blisko, że mógł szeptać mu do ucha. Był ubrany w drogi, prążkowany garnitur, miał klasyczny, granatowy krawat. Jego twarz była lekko nabrzmiała, rozmiękła; nie wyglądał na faceta, który nosi broń na co dzień.

Luke czł jego miętowy oddech i nerwowy pot.

– Nie...

Mężczyzna mocniej przycisnął broń do karku Luke'a. Luke zamilkł. Nie pamiętał, jak się oddycha. Nie z bronią przyłożoną do kręgosłupa, schowaną pod marynarką. To niemożliwe. To się nie dzieje naprawdę.

– Zaparkowałeś w rzędzie H. Chodźmy. Powoli. Spokojnie.

– Weź kluczyki, no weź. – Luke wreszcie coś z siebie wykrztusił. Podniósł kluczyki drżącą dłonią. Ogarnęła go panika. Tak powinno się postępować; po prostu oddaj mu samochód. Samochód można odkupić.

– Nie, zatrzymaj kluczyki, Luke. Ty prowadzisz.

– Co chcesz...

– Musimy odwiedzić kilka miejsc i spotkać się z kilkoma osobami. – Prowadził Luke'a w kierunku rzędu H. – Wszystko będzie dobrze.

Rodzina, młodzi rodzice i ich dwie córki mające może sześć i cztery lata, zbliżali się w ich kierunku. Młodsza z dziewczynek śpiewała głośno, fałszując, i tańczyła między rzędami samochodów.

– Zawrzyjmy układ – powiedział cicho mężczyzna. – Krzyknij, próbuj uciekać, a zastrzelę całą tę czwórkę. Jeśli będziesz grzeczny, nic się im nie stanie.

To nie może się dziać ze mną. Luke zacisnął usta. Jego skóra kurczyła się pod naciskiem lufy. Starał się nie patrzeć na twarze dwojga rodziców, dziewczynka z zapałem fałszowała. Po prostu siedł.

Dzieliło ich jeszcze jakieś półtora metra, mężczyzna z bronią powiedział spokojnym, biznesowym tonem:

– Chcę, żebyś po powrocie do biura jeszcze raz sprawdził wszystkie konta...

– Tak – zdołał wykrztusić z siebie Luke. – Rozumiem. – Każdy miesiąc w jego ciele chciał się zerwać do ucieczki, do biegu. Ale ta rodzina. Jezu. Nie mógł ryzykować ich życia.

Luke napotkał wzrok starszej z dziewczynek – odsunęła się trochę od fałszującej siostry, której głos echem odbijał się w garażu.

Uśmiechnęła się do niego i poszła dalej, matka skarciła młodszą córkę:

– Emma, wystarczy tego śpiewania. Mamusię będzie strasznie bolała głowa.

– Dobra robota – wyszczał mu do ucha mężczyzna. – Wsiądziemy do twojego samochodu. Walcz lub zacznij krzyczeć, a załatwię tego miłego tatuśka. – Mężczyzna głośno przełknął ślinę.

– Samochód jest twój, weź go sobie, proszę...

– Rób, co ci każe. – Zmusił Luke'a, aby ten wsiadł do samochodu od strony pasażera i przesunął się nad skrzynią zmiany biegów na siedzenie kierowcy, cały czas trzymając mu lufę na karku. Luke usiadł za kierownicą, a mężczyzna zamknął drzwi od strony pasażera.

– Czego u diabła chcesz? Proszę, po prostu mnie wypuść...

– Jedź. Nie skupiaj na nas uwagi, bo zabiję ciebie, a potem każdego, kto nas zauważy. – Z kabury ukrytej pod płaszczem wyciągnął stalowy nóż. Jego krawędzie były dobrze zaostrzone. Luke poczuł, jakby w gardle miał pełno piachu. – Widzisz? To gorsze niż spluwa. Mogę cię zranić, ale nie zabić, żebym mógł cię jeszcze pomęczyć. Włącz silnik.

Luke posłuchał, trzęsły mu się ręce, oddychał nierówno. Wmawiał sobie, że musi zachować spokój. Myślał o tych długich tygodniach, które, jako czternastolatek, spędził samotnie, uciekając przed żalem, ukrywając się przed policją, chadzając bocznymi ścieżkami, łapiąc stopa, żeby przedostać się z Waszyngtonu na przylądek Harteras. Tam, gdzie zaczynał się ocean, który pochłoniął jego ojca. Wtedy, raz, widział broń i udało mu się uciec. Znów może mu się udać, trzeba tylko poczekać na odpowiednią chwilę.

– Wyjeżdżaj, nie gadaj ze strażnikiem.

Luke wycofał samochód ze stanowiska postojowego i wyjechał z garażu, mrużąc oczy przed światłem. Dwa punkty pobierania opłat były otwarte; był środek popołudnia, ruch spowodowany wieczornymi lotami jeszcze się nie zaczął.

– Tu masz pieniądze na parking – powiedział mężczyzna. – Ja stawiam. – Podsunął Luke'owi pod nos pięciodolarowy banknot, który lekko zadrżał.

On też jest przerażony, zdał sobie sprawę Luke, ale ta myśl go nie uspokoiła. Spanikowany mężczyzna uzbrojony w pistolet i nóż był bardziej przerażający niż wyrachowany porywacz.

Luke chwycił banknot i opuścił szybę.

– Pański bilet? – spytał strażnik. Był to wyrośnięty dzieciak, na oko jeszcze w college'u, krótko ostrzyżone ciemne włosy, szeroki, przyjacielski uśmiech.

Luke sięgnął do kieszeni płaszcza i poczuł, że nóż dotyka jego żeber, tak aby strażnik tego nie widział. Wyrwał bilet z kieszeni i podał go strażnikowi wraz z pomiętym banknotem.

Strażnik wydał mu resztę drobnymi.

– Wszystko w porządku?

Większość ludzi nie zwróciłaby na to uwagi. Luke usłyszał swój niespokojny głos:

– Choroba lokomocyjna, ciężki lot.

– Życzę poprawy. – Drewniana bramka podniosła się i opadła.

Ostrze noża przeszło przez jego koszulę i niemal zjechał z drogi.

– Myślisz, że jestem głupi, Luke? Naprawdę? Chciałeś, żeby cię zapamiętał?

Luke wykrzywił się z bólu. Ostrze się cofnęło i poczuł, jak z rany wypływa mu cienki strumyczek krwi.

– Nie, niczego nie chciałem. Zrobiłem tak, jak mi kazałeś...

– Właśnie zapłaciłeś za krótkookresowy parking, ale narzekałeś na ciężki lot. Pasażerowie tu nie parkują. Chciałeś, żeby cię pamiętał, kiedy będzie rozmawiał z policją.

Luke wzdrygnął się, a potem skupił na drodze.

– Nie wiem co powiedzieć. Zraniłeś mnie... odbiło ci?

– Zawrzyjmy układ. – Najwyraźniej było to jego ulubione powiedzonko. – Ty sprawiasz problemy, a ja rozcinam ci żołądek, żebyś mógł zobaczyć, co masz w środku. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem.  
– Wyjedź z lotniska. Jedź na wschód autostradą numer siedemdziesiąt jeden.

- Zrozum, naprawdę nie wiem, co powiedzieć...
- Nie zgrywaj głupka, to mnie wkurza.

Luke wjechał na autostradę 71, która prowadziła przedmieściami Austin i dalej, na wschód, do Houston. Włączył się do ruchu. Nóż zniknął, ale przy żebrach Luke miał teraz lufę.

- Jedź do Houston.

Trzy godziny drogi. Trzy godziny z tym wariatem u boku. Ta myśl wytrąciła go z równowagi. Czego chciał ten facet? Znał moje imię. Wiedział, gdzie zaparkowałem.

- Houston... dlaczego?
- Dowiesz się, kiedy dojedziemy. Zjedź na bok, spróbuj spowodować wypadek albo zgrywaj odważniaka i zacznij ze mną walczyć, a jesteś trupem. Jeśli będziesz mnie słuchał, wyjdiesz z tego żywy. A teraz się zamknij i jedź.

– Jesteś szalony! Proszę, wypuść mnie! – Wariat. To słowo dudniło mu w głowie. Facet, który wyglądał zwyczajnie, ale jego misją była przemoc. Luke ponownie na niego spojrział.

– Nie jestem szalony – powiedział mężczyzna i Luke dostrzegł, że mówił prawdę. Ani śladu szaleństwa w spojrzeniu. Facet był całkowicie skupiony na tym, co robił.

Jesteś jednym z nich? – pomyślał Luke. Jednym z ludzi, których wyważyłem z ciemności?

Wtedy zdał sobie sprawę, że Mroczna Droga właśnie go dopadła.

### 3.

Autostrada 71 wiała się obok niebosiężnych sosen hrabstwa Bastrop, biegła ponad rzeką Kolorado, która meandrowała na południe i wschód, w stronę Zatoki Meksykańskiej. Lekko pofałdowany krajobraz powoli przechodził w przybrzeżną równinę. Nie było zbyt wielkiego ruchu.

Zostałem porwany – ta myśl wdarła się w umysł Luke'a, który wciąż był w szoku. Aż do jutra nikt nie zwróci uwagi na to, że go nie ma. Henry powiedział, że jutro zadzwoni – teraz wydawało się to wiecznością. Nikt inny nie będzie go szukał. Może portier w apartamentowcu, ale jeśli nie zobaczy Luke'a, to nie będzie się nad tym zastanawiał. Nie pracował każdego dnia. Może, pomyślał Luke histerycznie, uzna, że wreszcie poszedłem się zabawić.

Jechał w milczeniu.

Luke analizował różne możliwości, próbując uspokoić myśli. Jeśli zatrzyma samochód i zacznie uciekać, oberwie kulkę w plecy. Odrzucił pomysł spowodowania wypadku; jeśli inni kierowcy zatrzymaliby się, aby mu pomóc, to ryzykował ich bezpieczeństwo. Siła fizyczna niewiele znaczy wobec broni palnej. Musi wymyślić jakiś sposób i przekonać tego faceta. Jednak wszystko, co wiedział o psychologii przemocy, nagle uleciało mu z głowy. Ciągle myślał o nożu i pistolecie.

– Nie mędrkuj, tylko zajmij się prowadzeniem – odezwał się mężczyzna.



Nie mówił nic, odkąd rozkazał Luke'owi jechać do Houston. Czterdzieści minut posępnej ciszy.

– Co?

– Próbujesz to sobie poukładać. Jak szybko ktoś się o ciebie zaniepokoi. Ile czasu zajmie komuś odkrycie, że nie ma cię tam, gdzie powinieneś być. Plan A to słuchanie się mnie. Próbujesz obmyślić plan B.

– Nieprawda.

– Mieszkasz sam w apartamentowcu niedaleko centrum. Masz dobre stosunki z sąsiadami, ale nie na tyle dobre, żeby zauważyli twoją nieobecność dziś czy jutro, a nawet pojutrze. Są ferie; nie masz zajęć.

– Dużo o mnie wiesz. – Może jest tak dlatego, pomyślał Luke, że to jeden z ludzi, których szukałem. Próbował przypomnieć sobie okazje, kiedy ktoś z Mrocznej Drogi odpowiadał na jego posty, wysyłając wiadomości na prywatne konto pocztowe, wciągając go w długie rozmowy o swoich obsesjach i pragnieniach. Bardzo uważał, żeby nie ujawniać prawdziwych informacji o sobie. Jednak ten mężczyzna i tak go znalazł. – Czego ode mnie chcesz? – Głos Luke'a był nieco spokojniejszy.

– Chcę, żebyś gdzieś ze mną pojechał. Słuchaj mnie, a nic ci się nie stanie.

Muszę coś z niego wyciągnąć, pomyślał Luke tak, jakby siedział po drugiej stronie monitora.

– Gdybym zrozumiał, co chcesz osiągnąć...

– Nie zrozumiesz.

– Rozmawialiśmy już kiedyś? Może przez Internet?

Mężczyzna cicho się zaśmiał.

– Nie jestem jednym z twoich projektów badawczych.

W takim razie zapewne wiedział o Mrocznej Drodze, a przynajmniej o tym, co Luke robił dla Henry'ego.

– Mój ojczym zadzwoni do mnie, jak tylko wyląduję.

– Daj mi swoją komórkę. – Lufa pistoletu wbiła mu się w zębra.

Luke wzdrygnął się i sięgnął do kieszeni marynarki. Mężczyzna zabrał mu telefon i rzucił go na podłogę samochodu. Zgniółł go butem.

– Natychmiastowy spokój umysłu.

Luke spojrział na radio. Powyżej odbiornika znajdował się przycisk uruchamiający lokalizator i serwis monitorujący – kontaktował się z kierowcą w razie wypadku albo po zawiadomieniu o potrzebie wskazówek lub pomocy. Jednak Luke nagle przypomniał sobie, że nie chciało mu się w zeszłym roku odnawiać umowy na tę usługę. System monitorujący był bezużyteczny.

– Jeśli mnie wypuścisz – powiedział Luke – nie powiadomię policji. Będziemy udawać, że to się nie wydarzyło. Nigdy cię nie spotkałem.

– Nie da się tak. – Głos mężczyzny był cichy i niski, ale nie słychać w nim było opanowania. – Żał mi cię, ale to się musi stać.

Musi stać. Pomyślał o tylu opuszczonych poboczach między Austin a Houston. Lasach. Miejscach, w których można porzucić ciało. Wysiłkiem woli nie dał się ponieść panice.

– Nie musi – powiedział Luke. – Powiedzmy, że... wypuścisz mnie tutaj, nim dojdę do miasta, będziesz już w połowie drogi do Houston. Już zapomniałem, jak wyglądasz...

– Nie negocjujemy. – Mężczyzna obtarł usta.

– Zaufaj mi, nie muszę cię pamiętać, nie będę. Jestem w tym względzie bardzo praktyczny.

– To wszystko zaszło już za daleko, nie ma odwrotu.

– Nieprawda. Zawsze można zawrócić. – Nie chciał, żeby ten facet poczuł się jeszcze bardziej zdesperowany. – Masz wybór.

– Niewiele w życiu widziałeś, co? – Mężczyzna zaśmiał się nerwowo.

Luke nie wiedział, jak rozgryźć tego faceta; w jednej chwili wydawał się zatwardziałym przestępcą, zaprawionym w używaniu przemocy, a potem sprawiał wrażenie zdenerwowanego, niespokojnego, jakby podjął się

niewłaściwego zajęcia i zdawał sobie z tego sprawę.

– Zrozum. Było trochę nieporozumień. Padło trochę słów. To przeszłość. Jestem najlepszy na świecie w wybaczeniu. I najlepiej umiem okazywać wdzięczność. Tylko mnie wypuść.

– Potrzebujemy jakiejś wesołej muzyki i tego, żebyś się zanięła. – Mężczyzna włączył radio i zaczął szukać jakiejś stacji, ale nic mu się nie spodobało, więc znów zapadła cisza. – Nienawidzę jechać bez odpowiedniej muzyki. Albo chociaż wiadomości. Tylko że teraz wszystkie wiadomości są złe; tak urządziliśmy świat, nic, tylko złe wieści.

Luke jechał dalej w przerażającej ciszy. Mężczyzna gapił się przez okno, zamyślony. Jednak broń wciąż wpijała się w bok Luke'a, a on wyobrażał sobie strumień krwi i wnętrzości wypływające mu na kolana.

Minął tablicę z nazwą Mirabeau, dość sporego miasta w połowie drogi między Houston a Austin. Przypomniawszy sobie, że na wschodnim krańcu miasta często stał patrol drogowy. Delikatnie, ale zdecydowanie wcisnął pedał gazu. Przekroczyć dozwoloną prędkość, tak nieznacznie, żeby mężczyzna tego nie zauważył. Po raz pierwszy w życiu Luke miał nadzieję, że zatrzyma go drogówka.

Mów do niego, odciągnij jego uwagę od tego, co robisz.

Jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zadzwonił telefon porywacza. Wyciągnął go z kieszeni i spojrzawszy na ekran.

– Siedź cicho – powiedział. Przeciągnął nożem po żebrach Luke'a, a ten wzdrygnął się i przytaknął.

– Tak? – powiedział mężczyzna do słuchawki.

Luke usłyszał kobiecy głos w telefonie:

– Eric, tu Jane. Jak tam projekt? Zebrałeś się w końcu w sobie, żeby schwytać tego chłopaka? – Miała brytyjski akcent. Luke przycisnął gaz i jechał już o sześć kilometrów za szybko.

– Wszystko... wszystko pod kontrolą. Naprawdę nie mogę teraz rozmawiać.

– Pewnie ciężko ci robić dwie rzeczy naraz – powiedziała ta kobieta, Jane. Zaśmiała się nienaturalnie, z okrucieństwem. – Pospiesz się, czasu jest coraz mniej.

Mężczyzna ściszył głośnik telefonu i głos Jane stał się tylko niewyraźnym pomrukiem.

Eric. Nazywa się Eric. Luke patrzył na drogę. Pod kontrolą. Ta kobieta, Jane, musiała wiedzieć, co planuje Eric i dlaczego. Ledwie odczuwalny zryw i jechał dziesięć kilometrów szybciej, niż pozwalały na to przepisy drogowe.

Eric, skupiony, słuchał głosu w słuchawce i nie patrzył ani na prędkościomierz, ani na Luke'a. Dwanaście powyżej ograniczenia. Piętnaście. Zastanawiał się, czy zaryzykować i jeszcze przyspieszyć. Nie. Nie może zaryzykować, że Eric zauważy. Mocno trzymał kierownicę.

Eric posłuchał jeszcze trochę i w końcu powiedział:

– Zadzwoń, kiedy wszystko się uda, a ty lepiej dotrzyмай swoich warunków umowy.

„Wszystko się uda. Dotrzyмай swoich warunków umowy”. Co Eric miał na myśli? Dlaczego jakaś Brytyjka była zaangażowana w jego porwanie, skoro on koncentrował się na znalezieniu amerykańskich ekstremistów? Nie podniósł wzroku, kiedy Eric zakończył połączenie, nie żegnając się z rozmówczynią.

W Mirabeau było kilka zjazdów na autostradę – bmw przemknęło obok McDonalda, piekarni i stacji benzynowej w jednym, gdzie sprzedawano drożdżówki, zjazdu dla pracujących w śródmieściu. Ani śladu drogówki. Proszę, proszę, niech będzie przed nami!

Eric wydawał się pogrążony w myślach i nie patrzył na prędkościomierz. Spróbuję to przeciągnąć, pomyślał Luke. Wkurzę go trochę, tylko tyle, żeby odwrócić jego uwagę.

– To była twoja dziewczyna?

– Zamknij się, do cholery.

– Załóż się, że nie wie, iż porywasz niewinnych ludzi na lotniskach. Byłaby taka dumna.

- To nie jest porwanie.
- Większość porywaczy sama prowadzi samochód. Marny z ciebie porywacz, skoro zmuszasz mnie do kierowania.

Eric spojrział na niego.

- Próbujesz być dowcipny?
- Tak. Chciałem nieco ocieplić atmosferę. – Luke zaryzykował nędną imitację uśmiechu. Gdzie do licha jest ten glina, który za każdym razem, kiedy przejeżdżał tędy Luke, czekał na kogoś, komu będzie mógł wlepić mandat? Miał ochotę walnąć w kierownicę z wściekłości. Musiał jednak odwrócić uwagę Erica od deski rozdzielczej.

– Dzisiejszy dzień wcale nie jest zabawny. – Luke wyczuł, że jego porywacz jest bardzo zdenerwowany. – Piekło, w którym się znalazłem, nie ma w sobie nic zabawnego!

– O jakim dokładnie piekle mówisz? To ty masz broń! – wykrzyczał mu w twarz Luke. Przemknęli pod mostem, a po jego przeciwnej stronie stał radiowóz z Mirabeau, czając się jak pająk na swojej ofiarę.

Tak, pomyślał Luke, dzięki ci Jezu i patronie przekraczających prędkość. Był uratowany.

Eric spojrział w lusterko, zobaczył, że policjant włączył koguta.

– Zwolnij! – wrzasnął.

Luke posłuchał, ale było za późno. Radiowóz zjechał z pobocza na autostradę.

- Ty nędzny dupku! – krzyknął Eric.
- Przepraszam. Zdenerwowałeś mnie. Nie uważałem... mam zjechać?
- Jeśli będę musiał zabić tego biednego glinę, to będzie twoja wina – wyszczał Eric.
- Nie rób tego. Nie wyglądasz, jakbyś miał ochotę go zabić!
- Nie mogę, nie mogę! Nie rozumiesz! Nie wiesz, co robisz! – Eric ściszył głos. – Zjedź na pobocze i nic nie mów. Ani słowa.
- A on nie zobaczy, że trzymasz broń.

– Mam zamiar ją schować.

Luke pomyślał: dobrze, bo wtedy mam zamiar drzeć się ze wszystkich sił.

– Ale jeśli powiesz coś, co mi się nie spodoba, jeśli zrobisz cokolwiek oprócz przyjęcia mandatu i podziękowania policjantowi, to zastrzelę was obu. Właśnie naraziłeś tego glinę na niepotrzebne niebezpieczeństwo, ponieważ tak, zabiję go, a jeśli będę musiał go zabić, to ty też zginiesz. Zawsze mam plan awaryjny i polega on właśnie na tym. Teraz ten glina wpada w zasadzkę, którą na niego zastawiłeś, ty głupi, bezlitosny idioto. – W głosie Erica brzmiała zimna pewność, niezłomne postanowienie.

– Bezlitosny? To ty jesteś cholernym porywaczem! – Luke zahamował bmw, za nim zatrzymał się radiowóz.

Luke poczuł, że żółć podeszła mu do gardła. W lusterku zobaczył, że policjant wysiada z samochodu i idzie w jego stronę.

– Wyciągnij prawo jazdy i dowód rejestracyjny. Natychmiast. Jeśli będę chciał, to sięgnę po broń. Jeśli go ostrzeżesz, obaj zginiecie.

Luke sięgnął po dokumenty. Odwaga, którą, jak mu się wydawało, poczuje, jeśli przyciągnie uwagę patrolu, znikła. Opuścił szybę, kiedy policjant podszedł do drzwi samochodu.

– Przepraszam, panie władzo – powiedział Luke.

Policjant był w średnim wieku, wysoki, dobrze zbudowany.

Miał spojrzenie, które mówiło, że setki razy słyszał już wszystkie możliwe wymówki. Na identyfikatorze miał napisane nazwisko: Moncrief.

– Nie spieszył się pan z zatrzymaniem.

– Niezbyt. – Luke podał policjantowi prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

– To moja wina, panie władzo – powiedział Eric ze słabym uśmiechem. Mówił jak rozczarowany starszy brat. – Krzyczałem na niego, bo za szybko jechał, a on i tak jest już wytracony z równowagi. Właśnie się dowiedzieliśmy, że umarł nam ktoś z rodziny, nasza babcia, i jechaliśmy

szybko, chyba za szybko, do Houston.

– Przykro mi – powiedział policjant z autentycznym współczuciem w głosie. Jednak i tak zaczął wypisywać mandat.

Luke patrzył, jak pisze; ręce miał zajęte i z dala od broni. Okazja minęła. Luke ścisnął kierownicę z gniewem. Gdyby teraz zawołał o pomoc, to Eric zastrzeliłby policjanta, zanim ten mógłby zareagować. Zerknął na Erica i ujrzał na jego twarzy ledwie dostrzegalny uśmiech triumfu.

Moncrief podał mandat do podpisania. Luke chciał napisać POMOCY w miejscu przeznaczonym na podpis, ale czuł, że Eric go obserwuje. Przerwał w połowie podpisu i usłyszał, jak Eric cicho wciąga powietrze, szykując broń.

Dopisał nazwisko i oddał notes policjantowi.

– Zwolnijcie, panowie. Kolejna tragedia w rodzinie nie jest wam potrzebna.

– Święte słowa, panie władzo, dziękujemy – powiedział Eric.

– Tak – dodał Luke. Była to prawda. Kiedy tylko policjant odwrócił się i ruszył w stronę radiowozu, broń znowu znalazła się przy boku Luke'a.

– Wracaj na drogę. Natychmiast. Pamiętaj o ograniczeniu prędkości.

Luke posłuchał, ręce drżały mu na kierownicy, był wściekły na siebie za to, że stchórzył.

– Zawrzyjmy układ – powiedział Eric, przerywając milczenie, kiedy wyjeżdżali z Mirabeau.

– Ty i twoje układy. Korzystasz na nich tylko ty.

– Jeszcze jeden numer i odstrzelę ci duży palec u stopy. Nie muszę cię dostarczyć w idealnym stanie. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Dostarczyć, pomyślał Luke. Teraz był przesyłką. Na czyje zamówienie?

## 4.

### *Houston*

Miasto rozciągało się na szerokiej, nadbrzeżnej równinie; wyglądało jak ogromny patchwork złożony z centrów handlowych, budynków biurowych i osiedli, pozszywanych ściegiem autostrad. Horyzont zasłaniała mgła. Było to miasto kierowców, unosił się nad nim nieustanny pomruk towarzyszący przepływającej miastem energii. Zbliżała się popołudniowa godzina szczytu, sznur samochodów z autostrady I-10, która prowadziła na wschód miasta, zatrzymywał się i znów ruszał.

Powolne tempo jazdy natchnęło Luke'a nową nadzieją. Wyrzucał sobie w myślach, że zabrakło mu odwagi, by spróbować ucieczki, kiedy mógł mu pomóc policjant z Mirabeau. Wierzył jednak, że mogłoby się to skończyć śmiercią ich obu. W oczach Erica widać było autentyczną desperację.

Dopiero teraz trafili na utrudnienia drogowe. Gdyby musieli się zatrzymać, to może mógłby uciec. Eric pewnie nie chciałby strzelać do niego na oczach kilkunastu osób. Mógłby też bezgłośnie poprosić o pomoc, gdyby ktoś na niego spojrział. Kierowcy patrzyli na drogę. W Houston kierowcy nie przyglądali się obcym ludziom w samochodach.

- Nóż chciałby, żebyś patrzył przed siebie – powiedział Eric.
- Nóż pewnie nie chciałby dźgać mnie, kiedy prowadzę, bo moglibyśmy w kogoś uderzyć. Wiadomo, że zrobimy wszystko, czego pragnie.



– Uspokój się. Dziś będziesz bezpieczny. – Stwierdzenie Erica brzmiało nieszczerze. W ciągu minionej godziny kilkakrotnie uciszał Luke'a, kiedy ten próbował nawiązać rozmowę. – Trzymaj się środkowego pasa, dopóki nie dojedziemy do zjazdów wiodących do centrum.

Samochody znowu zwolniły. Po raz pierwszy Eric złapał Luke'a za koszulę, chwytając również pas, którym był przypięty.

– Zastanawiasz się nad ucieczką. Obiecuję ci, że cię zabiję.

– Nie musisz mi grozić. Nie walczę już z tobą. – Ogarnął go strach, że ktoś zobaczy, jak Eric mu grozi, i będzie próbował pomóc, co tylko pogorszy sprawę. Zerknął na samochód po lewej. Kierowała nim kobieta, obok niej siedziała znużona nastolatka pisząca SMS-y. Po prawej starszy mężczyzna w pick-upie stukał do rytmu palcami po kierownicy. Żadne z nich na niego nie spojrzęło, byli zajęci tym, co znajdowało się za przednią szybą.

– Dziwne, że jesteśmy sami, każdy z nas, choć otaczają nas tysiące innych. Nawet nie wiemy, do kogo możemy się zwrócić, kto nas zrozumie. – Eric zaśmiał się chrapliwie. – Dlatego świat staje się piekłem.

– Nie dajmy się w to wciągnąć. Proszę. Nie jesteś złym facetem.

– Powinieneś się mnie bać, Luke.

– Boję się. Ale... nie chcesz mnie skrzywdzić. Wiem to. Nie jesteś przestępcą, nie chcesz tego robić. Daj sobie pomoc w wyplątaniu się z tego wszystkiego. – Musiał przekonać Erica, że nie jest za późno, aby się wycofał, wypuścił go.

– Pomagasz mi. Tylko że jeszcze o tym nie wiesz. – Eric zacisnął zęby.

– Ale...

– Kiedy się złamie prawo, to coś w środku zmienia się na zawsze – powiedział cicho Eric. – Nie mogę zawrócić. Dokonałem wyboru. A teraz chcę, żebyś się zamknął.

Musieli ominąć korek spowodowany karambolem i kiedy udało im się w końcu dotrzeć do centrum, zapadał już zmrok. Eric wydawał się

podenerwowany, co chwila spoglądał na zegarek. Na twarz wystąpił mu pot. Centrum Houston rozświetlały wieżowce. W ciągu ostatnich kilku lat miasto przeszło metamorfozę: stare, opuszczone hotele i budynki przejęły różne przedsiębiorstwa, zamieniono je w mieszkania i biura. Luke manewrował swoim bmw, żeby wyminąć licznych przechodniów – pracowników biur spieszących się do kolejki miejskiej, na przystanki autobusowe, do garaży lub do modnych nowych barów i restauracji. Luke zawsze uważał, że Houston to miasto pełne energii i gwaru, jednak teraz marzył o tym, żeby ktoś zatrzymał się na dłuższą chwilę i dostrzegł, że on ma kłopoty.

– Teraz zrobi się niebezpiecznie – powiedział Eric. Pochylił się do przodu, jakby szukał wśród przechodniów jakiejś twarzy, znaku ostrzeżenia.

– Jakby już nie było.

– Skręć tutaj.

Minęli park Minute Maid, gdzie grali Houston Astros, potem zanurzyli się w okolice, które nie skorzystały jeszcze na rozwoju śródmieścia. Budynki były starsze, firmy mniejsze, chodniki pełne dziur.

Luke dojechał do niewielkiego parkingu, Eric polecił:

– Tu zaparkuj.

Luke zaparkował na miejscu położonym najbliżej ulicy. Mieli widok na całą jej długość. Chodniki były mniej zatłoczone; mniej ludzi szło, by się gdzieś zabawić wieczorem. Luke zobaczył starszą parę, która powoli sunęła chodnikiem, nieśli w rękach siatki z zakupami; obok nich szybko przeszła młoda kobieta, rozmawiała przez komórkę i energicznie gestykulowała; potem starsza kobieta, ubrana zbyt młodzieżowo jak na swój wiek, zapuściła się w mrok z bolesnym uśmiechem na wymalowanej twarzy. W perspektywie ulicy Luke dostrzegł mały bar, kościelne schronisko dla bezdomnych, sklep monopolowy, z używaną odzieżą i jadłodajnię ze świecącym neonem Tex-Mex. Witryny sklepów były wyblakłe i zniszczone.

– Co teraz? – spytał Luke.

– Czekamy.

– Na co? – Czy ktoś miał się tu z nimi spotkać? Przejąć Luke'a? To mogła być dla niego ostatnia szansa na ucieczkę. Nie mógł się jednak dostać z samochodu, nie ryzykując, że Eric go zastrzeli lub zadźga nożem.  
– Co masz zamiar zrobić?

Eric znów spojrzął na zegarek i nerwowo przygryzł wargę.

– Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

Minęło dwadzieścia minut; słońce zaszło. Na ciemnopurpurowym niebie pokazały się pierwsze gwiazdy. Broń Erica spoczywała w zwykłym miejscu – między żebrami Luke'a. Luke poczuł, że od tak długiego siedzenia ścierpły mu nogi. Burczało mu w brzuchu, ale wciąż musiał walczyć z mdłościami spowodowanymi strachem. Już postanowił, że jeśli zwymiotuje, to tylko w tę cholerną twarz Erica. Zwymiotuj i uciekaj. Czyn godny prawdziwego bohatera. Pomyślał, że zaczyna mu odbijać.

Zamknął oczy. Zastanawiał się, czy ta obojętna zgoda na to, że koniec jest blisko, była podobna do tego, co w swych ostatnich chwilach czuł jego ojciec, czy tato wiedział, że samolot, którym leci, rozbije się.

Luke namacał medalik na szyi i mocno go uchwycił. Przypomniał sobie rozmowę z ojcem; mama spała wtedy w namiocie, a oni siedzieli przy blasku dogasającego ogniska.

– Chcę ci to dać synu, noś go zawsze przy sobie – powiedział wtedy ojciec. – Zawsze. Ochroni cię w niebezpieczeństwie.

– Tato. Naprawdę? Nie jesteś religijny. – Ojciec został wychowany jako episkopalianin, ale nie chodził do kościoła, chyba że w Boże Narodzenie i na Wielkanoc, kiedy zmusiła go do tego matka Luke'a.

– W okopach nie ma ateistów, Luke – powiedział Warren Dantry.

– Jesteśmy na biwaku, to nie okopy – odparł Luke. Wzniósł medalik tak, że oświetlił go blask ogniska: anioł bez twarzy, mocne skrzydła, w rękach trzymał miecz i tarczę.

– Święty Michał Archanioł to symbol siły i determinacji, porządku i

rozumu górującego nad chaosem i przemocą. Jest wyjątkowy, bo pojawia się w religii chrześcijańskiej, judaizmie i islamie. Jest bohaterem, jakiego potrzebuje świat: dobrem, które zwycięża ogromne zło.

– Zło. Takie jak Darth Vader? – Nie pamiętał historii o czynach świętego Michała, jakie zło pokonał.

– Gorsze niż Darth Vader – stwierdził ojciec. – Święty Michał cię ochroni, Luke. Jeśli nie teraz, to pewnego dnia.

– Ochroni przed czym?

– Przed ciemnością, która może pojawić się w twoim życiu. Pewnego dnia może będziesz zmuszony stanąć do walki, Luke. Pomyśl wtedy o Michale. Pomyśl o jego sile i wiedz, że możesz zwyciężyć.

– Rozum jest lepszy niż siła, tato.

Ojciec uśmiechnął się do niego.

– Tak. Jednak razem są niepokonane.

– Dzięki, tato. – Luke nie przepadał za biżuterią. Ten podarunek wydał mu się trochę głupkowaty i nie w stylu taty, włożył medalik do kieszeni. Ojciec nic więcej już nie mówił, grzebał w ognisku patykiem.

Miesiąc później ojciec zginął, od tamtego dnia Luke nie rozstawał się z medalikiem.

– Co robisz? – zapytał Eric podniesionym głosem.

Luke otworzył oczy.

– Nic.

Eric mocno wbił broń w bok Luke'a, odgiął mu palce i wyciągnął medalik zza koszuli. Był płaski, okrągły i przedstawiał anioła z ognistym mieczem. Skrzydła anioła były rozłożyste i silne, jak u orła.

– Co to jest? – zapytał Eric nerwowo.

– Święty Michał. Archanioł. Dostałem go od ojca.

– Nie musisz... nie musisz się modlić. Wszystko będzie dobrze, jeśli zrobisz to, co ci każe. – Eric wypuścił medalik, jak gdyby ten parzył go w palce. Luke schował go z powrotem za koszulę.

Eric znów zaczął obserwować ulicę.

– Święty Michał. To ten, który wyrzucił Szatana z nieba i zrzucił go do piekła, prawda?

– Tak – odpowiedział Luke. – A kto ciebie wrzucił do tego piekła, Ericu? – To mogła być jego jedyna szansa na rozmowę z nim. Czekali Bóg wie na co, a Eric był przerażony. Przełykając ślinę, Luke poczuł, jakby miał w gardle kawałki szkła. – Kobieta, która dzwoniła... Kim ona jest?

– Zamknij się.

– Rozkazywała ci.

– Zamknij się.

– Kazała ci mnie porwać. Dlaczego?

Eric wciąż obserwował ulicę. Hello, powiedział do siebie. Luke podążył za jego wzrokiem i zobaczył błysk światła, kiedy zamknęły się drzwi schroniska dla bezdomnych. Wysoki mężczyzna w podeszłym wieku zbliżał się do ich auta, jego zniszczoną twarz oświetlały światła mijających go samochodów i lampy uliczne. Był ubrany w zwyczajny strój bezdomnych: podniszczony płaszcz, na głowie miał bandanę, którą przewiązał tłuste włosy.

W ciszy czekali, aż mężczyzna podejdzie bliżej.

– Zapal silnik! – rozkazał Eric tak energicznie, jakby ostatnie męczące godziny nie miały miejsca. – Wyjedź na ulicę.

– Dlaczego?

– Po prostu to zrób.

Luke zapalił silnik i wyjechał na ulicę. Bezdomny mężczyzna znajdował się kilkanaście metrów przed nimi, szedł po lewej.

– Muszę się upewnić – zamruczał Eric do siebie. – Trzymaj się blisko, ale nie za blisko.

Luke zatrzymał bmw na światłach. Bezdomny szedł do przodu ze wzrokiem wbitym w chodnik. Zapaliło się zielone.

– Jedź – rozkazał Eric.

Luke ruszył, zrównali się z mężczyzną. Kiedy go mijali, podniósł wzrok.

– Podjedź jeszcze kawałek, a potem zawróć – nakazał Eric.

Luke zawrócił na następnych światłach, teraz okno od strony pasażera znajdowało się bliżej bezdomnego mężczyzny. Eric przyglądał się swojej ofierze.

– To on – powiedział Eric. – Dobra. Tylko spokojnie, spokojnie.

Luke nie był pewny, czy Eric mówi do siebie, czy do niego.

Bezdomny uniósł głowę, kontynuując swój niezdarny marsz. Wytarł nos wierzchem dłoni. Kolejny mężczyzna czekał na rogu ulicy – opierając się o słup sygnalizacji świetlnej, obserwował, jak zbliża się do niego bezdomny i bmw. Miał na sobie skórzaną kurtkę z aplikacją orła na plecach i okulary przeciwsłoneczne, niepotrzebne o tej porze dnia. Wydawało się, że wyczuł zbliżające się kłopoty; odwrócił się i zaczął szybko uciekać w mrok ulicy, raz tylko obejrzał się za siebie. Luke zobaczył na jego pooranej bliznami twarzy wyraz bezbrzeżnego strachu.

– Ten facet w kurtce z orłem miał zamiar pogadać z tym bezdomnym – powiedział Luke. Nie był pewien, dlaczego powiedział to głośno, ale widział, że mężczyzna najpierw uśmiechał się wyczekująco, a potem zmienił zdanie. Luke miał wrażenie, że w czymś przeszkodzili – w jakiejś rozmowie lub spotkaniu. Bezdomny zatrzymał się, kiedy mężczyzna w skórzanej kurtce zaczął uciekać.

Zrównali się z bezdomnym, a ten czekał, aż bmw się zatrzyma. Eric opuścił szybę.

Bezdomny niezgrabnie postąpił naprzód, stając w świetle rzucanym przez latarnię.

Potem odwrócił się i zaczął pospiesznie odchodzić. Szedł zdecydowanie, szukając czegoś w kieszeni.

– Jedź za nim – rozkazał Eric Luke'owi, dźgając go lufą w zębra.

Bezdomny mężczyzna zaczął biec. Przebiegł przez ulicę w stronę parkingu przed bankiem. Budynek wyglądał na nowy – stanowił początek zmian w tej części śródmieścia.

– Podjedź do niego. Muszę z nim porozmawiać – powiedział Eric.

Mężczyzna biegł w stronę wąskiej, pustej uliczki, w której słabo świeciło się logo bankomatu.

– Odetnij mu drogę, nie pozwól mu uciec – mówił Eric.

Luke wjechał między bezdomnego mężczyznę a budynek, zatrzymując samochód w taki sposób, że bankomat znalazł się po jego stronie, a okno pasażera było na wprost biegnącego mężczyzny. Bezdomny zatrzymał się i gwałtownie odwrócił, aby pobiec w przeciwnym kierunku. Eric odjął pistolet od boku Luke'a.

– Nie! – krzyknął Luke, ale Eric wychylił się przez okno i nacisnął spust. Trzy głośne strzały. Bezdomny mężczyzna podskoczył, a następnie bezwładnie osunął się na ziemię. Z tyłu głowy sączyła mu się krew.

Luke rzucił się na rękę Erica, w której trzymał broń; zdjął nogę z hamulca, a bmw przejechało obok bankomatu. Eric zdzielił go mocno łokciem i Luke uderzył w szybę od strony kierowcy. Poczuł dotkliwy ból nosa i reszty twarzy. Broń, jeszcze ciepła od wystrzału, dotykała teraz jego szyi.

Eric odwrócił się i, trzymając telefon w drugiej ręce, zrobił nim zdjęcie martwemu mężczyźnie. Zamknął klawkę aparatu i jeszcze mocniej przycisnął broń do gardła Luke'a.

– Mój Boże, zastrześliłeś go – wyszeptał Luke.

– Ruszaj, prędko. Już.

Luke ruszył, trzęsły mu się ręce, cały zeszywniał z przerażenia. Wyjechał z powrotem na drogę. Broń grzała mu skórę. O Boże! Właśnie był świadkiem morderstwa. Ze strachu ledwie mógł oddychać. Nie był pewien, co czuje, poza tym, że nie chciał umierać.

– Jedź na autostradę. – Ericowi łamał się głos. – No już, już.

– Na którą? – Jakby to miało jakieś znaczenie, pomyślał Luke. Eric właśnie zabił człowieka, a Luke wiedział, że jest następnym w kolejce.

– Po prostu wjedź na autostradę, zabierz nas stąd. – Eric znów otworzył klapkę komórki. Wystukał coś kciukiem na klawiaturze. Potem, trzęsąc się, wybrał kolejny numer. Z gardła wydobył mu się wymuszony, pełen zdenerwowania skrzekot – przerażająca parodia śmiechu – kiedy przyłożył słuchawkę do ucha.

– Zrobione. On nie żyje. Właśnie wysłałem ci e-mailem dowód. Powiedz mi teraz, gdzie ona jest.

Luke poczuł, jak Eric patrzy na niego przenikliwie. Prowadził jak automat; próbował się skupić na drodze. „Gdzie ona jest?”. Eric zamknął telefon.

– Wjedź na autostradę pięćdziesiąt dziewięć i jedź na północny wschód.

– Po co, żebyś mógł zabić kogoś innego?

– Nie. Teraz jedziemy ocalić czyjeś życie. – A potem broń znów wróciła między jego żebra, jak stary przyjaciel.



## 5.

Zostawili miasto daleko w tyle, jego światła i sieć przedmieść, a także otaczające je mniejsze miasteczka; zanurzyli się w gęstwinę sosnowych lasów. Luke mocno trzymał kierownicę. Czuł, że musi natychmiast się załatwić, głód ścisnął mu żołądek. Wskazówka poziomu paliwa zbliżała się do zera.

- Musimy zatankować – powiedział.
- Zjedziesz, kiedy ci powiem.

Dwie minuty później napotkali pustą, boczną drogę. Pobocze było szczelnie zarośnięte wysokimi sosnami, które zdawały się go strzec.

- Zjedź tutaj – nakazał Eric.

Teraz mnie zabije, pomyślał Luke. Z jakiegoś dziwnego powodu byłem mu potrzebny, ale już nie jestem, i teraz ma zamiar się mnie pozbyć. Poczował, jak ogarnia go przerażenie.

- Zatrzymaj się.

Luke zatrzymał samochód.

Eric wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

- Wsiądź z samochodu. Powoli.

To będą pewnie jego ostatnie kroki w życiu. Luke wykonał polecenie. Tkwił za kółkiem, zeszytniały ze strachu, całą wieczność. Noc była cicha, tylko milczące gwiazdy oświetlały scenerię.

- Chce ci się siku?

- Tak. – Czy to był ostatni akt łaski? Jakie to miało znaczenie?
- Idź na drugą stronę samochodu. – Przytknął pistolet do pleców Luke'a.

Luke opróżnił pęcherz. Kiedy skończył, Eric popchnął go w kierunku bagażnika. Otworzył go pilotem.

– Dam ci trochę odpocząć od prowadzenia. Ale jeśli wystawisz stamtąd choćby czubek głowy, jesteś trupem. Choć tak dobrze się razem bawiliśmy, to będę udawał, że jesteś tym facetem, którego zabiłem. Bum i nie żyjesz. – Głos Erica już nie drżał. Mówił wcześniej, że złamanie prawa zmienia człowieka, a on złamał najświętsze prawo. Odebrał komuś życie.

– Wiem. – Trzęsąc się, Luke wgramolił się do bagażnika. Kłapa się zatrzasnęła. Ciemność. Silnik zaczął pracować. Żwir cicho zachrobotał pod oponami, samochód wycofał się i zakręcił na drodze.

Lukę, teraz sam, rozprostował nogi, na ile tylko mógł. Być może będziesz zmuszony do walki. Tak mówił tato. Nadszedł czas. Musiał coś wymyślić.

Samochód zatrzymał się i Luke otworzył oczy w ciemności.

Usłyszał, jak Eric cicho mówi, stojąc przy bagażniku:

– Napelniam bak. Jeśli się odezwiesz, to zabiję kasjera.

Luke przycisnął pięść do kłapy bagażnika.

– Zabawne... wyobrażałem sobie, że to zabójstwo będzie o wiele trudniejsze. Myślałem, że to będzie coś okropnego, ale kiedy pierwszy raz nacisnąłem spust, mój umysł się wyłączył i nie było tak źle. – W głosie Erica słychać było zaskoczenie.

Muszę cię powstrzymać, pomyślał Luke. Nie mogę pozwolić, żebyś skrzywdził kolejną osobę. Usłyszał, że Eric skończył tankowanie.

Luke zaczął po omacku przeszukiwać bagażnik. Potrzebował broni. Wymacał coś okrągłego – zestaw kabli do ładowania akumulatora. Potem znalazł stertę plastikowych pudełek. Stare taśmy magnetofonowe. Nic pod spodem. Szukał dalej, odwracając się plecami do siedzeń. Brzeg opony

zapasowej. Były tam narzędzia do jej wymiany, ale leżały pod oponą, nie mógł się do nich dostać, kiedy bagażnik był zamknięty.

Wyciągnął rękę i jeszcze raz natrafił na zwój kabli. Ciężki plastik, jak gruby, pleciony sznur, a na końcu miedziane zaciski.

Kiedy samochód ruszył i wyjechał ze stacji, Luke zaczął rozwijać kable.

## 6.

Luke stracił poczucie czasu. Trzymał kable blisko siebie i zastanawiał się, długo i dokładnie, co zrobi, kiedy Eric – morderca – otworzy klapę bagażnika.

W końcu samochód się zatrzymał.

Luke zeszywniał. Przyciągnął do siebie kable. Przećwiczył to, co chciał zrobić, najlepiej jak umiał, wzięwszy pod uwagę, jak niewiele miał tu miejsca. Szaleństwem było próbować, ale gdyby nie spróbował, byłoby jeszcze gorzej.

Usłyszał głos w pobliżu bagażnika:

– Luke? Nie śpisz?

Jak gdyby mógł zasnąć.

– Nie śpię.

– Otworzę teraz bagażnik. Wyjdiesz i zrobisz dokładnie to, co ci każę.

Kłapa uniosła się. Ciemna noc stała się bardziej ponura, szare chmury przesłoniły gwiazdy. Gdzieś w oddali grzmiało. Widział cień Erica stojącego z tyłu samochodu. Trzymał broń wycelowaną prosto w Luke'a.

Luke zarzucił kabel na rękę Erica jednym szybkim ruchem i pociągnął do dołu, ciągnąc go w stronę bagażnika. Potem mocno kopnął, trafiając w klatkę piersiową.

– Debil! – zaryczał Eric. Luke pociągnął go do siebie, nie pozwalając

złapać równowagi, i próbował wydostać się z bagażnika. Pistolet, zaplątany w kable, upadł gdzieś między nimi dwoma.

Padł strzał.

Pałące ciepło. Luke usłyszał, jak kule wałą w klapę bagażnika. Znów kopnął na oślep, modląc się w duchu, żeby któryś z pocisków nie trafił w napełniony bak. Obaj mężczyźni przewrócili się na ziemię, próbując dosięgnąć broni. Eric wydobyl ręce ze zwojów kabli. Luke zablokował go uderzeniem kolanami w plecy, by nie mógł dosięgnąć broni. Pistolet leżał w zasięgu ręki, odcinał się od trawy oświetlony światłem księżyca. Chwasty i glina zatkały Luke'owi usta, kiedy Ericowi udało się go odepchnąć.

Palce Luke'a natrafiły na lufę pistoletu, ale wtedy poczuł, że ciężki zwój kabli zaciska mu się na szyi.

Kable wrzynały się w ciało jak stryczek. Kolano Erica wbijało się w plecy. Luke próbował się odwrócić, lepiej uchwycić broń i wycelować w Erica, ale nie mógł się ruszyć.

Eric zaczął go dusić. Ból, powodowany uciskiem i brakiem tlenu, rozsadał mu gardło.

– Puść broń, Luke! – krzyknął mu do ucha Eric. – Puść!

Jeśli ją wypuści, to zginie. Jeśli jej nie wypuści, też zginie. Nie mógł odwrócić pistoletu, żeby wycelować w Erica, nie miał się na czym oprzeć ani jak nacisnąć spust. Wypuścił broń, rozcapierzając palce, poczuł pod dłonią chłód trawy, zamiast rozgrzanej lufy pistoletu.

Pętla nie poluzowała się, ale Eric odciągnął go na kilka metrów od broni, a potem dał mu solidnego kopniaka w tył głowy.

Ciemność, ból. Luke leżał ogłuszony, łapiąc powietrze, ból rozsadał mu głowę. Poczul krew spływającą na ucho, na szczękę. Lufa znalazła się w jego włosach.

– Nie przechytysz mnie! – Kropelki śliny Erica uderzyły go w kark.

Luke nie mógł wydobyć z siebie głosu z powodu bólu w gardle, przytaknął tylko z głową w trawie.

Eric poderwał go do góry i pociągnął w kierunku bitej drogi, która przecinała trawę. Wokół wznosiły się majestatyczne sosny, powietrze pachniało mokrą trawą i nadciągającą burzą. W oddali rozległ się grzmot, jakby chmury odchrząkiwały przed spektaklem.

Luke i Eric szli drogą, kiedy nagle zapaliło się mocne, jasne światło. Luke zamrugał. Dostrzegł bramkę zamkniętą łańcuchem, która zagroziła im przejście. Nad furtką świeciło się światło. Nikogo nie było po drugiej stronie; pewnie lampę uruchomiła fotokomórka.

Eric pchnął Luke'a w stronę furtki. Ogniwa łańcucha zabrzęczały, kiedy Luke niezdarnie się o nią oparł.

– Odwróć się.

Kiedy wykonał polecenie, Eric podniósł telefon.

– Uśmiechnij się.

Luke nie posłuchał.

– Chcę, żeby ta dziwka zobaczyła, że dostarczam cię w dobrym stanie. Uśmiechnij się.

„Dostarczam cię”. Luke przygryzł wargę, a potem się uśmiechnął.

– Dobrze. – Eric manipulował przy telefonie. Naciskał klawisze, popatrząc to na telefon, to na Luke'a. Luke ocenił, że wytyczenie drogi wymagało wycięcia pasa sosen o szerokości około dwunastu metrów. Eric mógł go zabić, zanim doszli do lasu.

Eric przyłożył telefon do ucha.

– Właśnie wysłałem ci zdjęcie Luke'a Dantry'ego. Gdzie ona jest?

Słuchał, a potem powiedział:

– Lepiej, żebyś mówiła prawdę. – Wyłączył telefon.

– Zadzwońiłeś do tej Brytyjki – stwierdził Luke.

Eric nie odpowiedział. Przestrzelił kłódkę spinającą łańcuch. Rozpadła się, odgłos strzału przestraszył ptaki, które zerwały się z gałęzi sosen. Eric odplątał łańcuchy i otworzył skrzypiącą furtkę. Z kieszeni wyjął małą latarkę i gestem dłoni nakazał Luke'owi iść przodem.

Luke szedł, powłóczęgając nogami, spod butów pryskał mu żwir. Droga wyglądała, jakby wytyczono ją z myślą o popełnieniu cichego morderstwa. Słychać było tylko ich kroki, świst wiatru i zawodzenie sów. Powietrze pachniało wilgocią, a światełko latarki tańczyło na ziemi. Zaczął padać drobny deszcz.

– Komu wysłałeś moje zdjęcie? – zapytał. Najpierw zdjęcie martwego faceta z Houston, a teraz jego. – Komu mnie dostarczyłeś? Jane? – zaryzykował pytanie.

Eric popatrzył na niego i pokręcił głową.

– Koniec gadania i kropka. Ani słowa. Nie chcę, żebyś pogarszała moją sytuację. – Jak gdyby to Eric był ofiarą, bardziej niż Luke albo ten martwy bezdomny mężczyzna.

Droga rozchodziła się w dwie strony i Eric powiedział:

– Skręć w lewo. I pospiesz się. Szybciej. – Dźgnął Luke'a lufą między łopatkami. Przed nimi widać było słabe światełko.

Luke niezdarnie poruszał się naprzód. Eric zmusił go do kulawego truchtu.

Nagle drzewa rozstały się przed nimi, na niewielkiej polance stał drewniany domek. Z okna obok drzwi sączyło się nikłe światło.

Eric zatrzymał go, kiedy dotarli do wejścia. Kopnął doniczkę, w której rósł usychający rozmaryn. W blasku światła Luke zobaczył dwa klucze. Jeden duży, do drzwi. Drugi był mniejszy, wyglądał jak kluczyk do kłódki bagażowej.

– Otwórz drzwi – rozkazał Eric.

Luke wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi.

Weszli do ciemnego, niewielkiego przedsionka. Po prawej, zza zamkniętych drzwi prześwitywało światło. Eric położył mu rękę na ramieniu – niemal w geście czułości – i weszli do środka.

Był tam niewielki pokój – w powietrzu unosił się zapach środka czyszczącego i potu. W rogu stała mała lampa, która oświetlała kobietę, leżącą na metalowym łóżku. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat, miała na sobie dżinsy i cienki sweter. Jej ciemne włosy były rozczochrane, a unoszący się w powietrzu zapach sugerował, że przydałaby się jej porządna kąpiel.

Popatrzyła na Luke'a z przerażeniem.

– Kochanie, to ja – powiedział Eric, wyłaniając się zza Luke'a.

Kobieta wyszeptała coś, co zabrzmiało jak „O Boże, Eric”, i zaczęła się trząść.

– O mój Boże, dlaczego, zabierz mnie stąd...

– Już dobrze. Wszystko dobrze – powiedział Eric. Luke zauważył, że kobieta była przykuta do łóżka – jedna para kajdanek skuwiała jej nadgarstki, a druga kostki.

Eric pospieszył w jej kierunku, ale potem się zatrzymał. Nie chciał się odwrócić tyłem do Luke'a, więc odsunął się od łóżka. Wcisnął Luke'owi klucz do ręki.

– Uwolnij ją.

– Eric, kto to jest? Gdzie jest policja?

– Nic już nie mów. Jesteś bezpieczna, tylko to się liczy. – Eric odszedł kilka kroków, nie celował w Luke'a, ale trzymał broń w gotowości.

– Dlaczego, do cholery, masz broń? – histerycznie dopytywała się kobieta.

– Już nic nie mów, skarbie, jesteś bezpieczna. – Głos Erica brzmiał twardo, ale słychać było w nim ulgę. – Cała i zdrowa.

Luke manipulował kluczami. Otworzył kajdanki, które więziły jej nadgarstki, odsunęła je gwałtownym ruchem, jakby paliły jej skórę. Metal zadźwięczał, kiedy kajdanki spadły na drewnianą podłogę.

– Dziękuję – powiedziała kobieta do Luke'a. – Bardzo dziękuję.

– Nie dziękuj mu! – krzyknął Eric. – W ogóle się do niego nie odzywaj!

Luke odpiął jej kajdanki z nóg. Napotkał wzrok kobiety; była zdezorientowana, patrzyła to na niego, to na Erica. Kopnęła kajdanki i zeszła z łóżka. Przytuliła się do Erica, rozkoszując się jego dotykiem, ale jej chłopak wciąż miał pistolet wycelowany w Luke'a.

– Chcę do domu – wysłochała w ramię Erica.

– Ja też – powiedział Luke.



Eric pocałował ją w czoło, pogładził po ramieniu. Popchnął ją lekko w kierunku drzwi i odwrócił się do Luke'a.

– Kładź się na łóżku.

Luke usiadł na brzegu materaca.

– Poruszyłem niebo i ziemię, żebyś była bezpieczna – powiedział Eric.

Pokiwała głową, wciąż wyglądała na zdezorientowaną, Eric znów pocałował ją w czoło.

– Chcę teraz, żebyś zrobiła to, o co cię poproszę. Muszę trzymać go na muszce, zatem ty musisz przykuć go do łóżka.

Luke'owi odjęło mowę, a kobieta wymamrotała:

– Co?

– Przykuj go do łóżka. Zajmie twoje miejsce.

– Eric... – zaczęła mówić. – Nie możesz go tu zostawić. Nie. Jedźmy na policję, proszę, po prostu pojedźmy na policję.

Wtedy Luke wstał.

– Nie – powiedział.

– Siadaj! – wrzasnął Eric.

– Nie zostawisz mnie tutaj.

– Aubrey, proszę – powiedział Eric. – Zrób to, co ci każe.

– Nie rozumiem... – zaczęła, ale Eric wydarł się na nią:

– Nie sprzeciwiaj mi się, nie po tym, jak zaryzykowałem dla ciebie wszystko! Po prostu to zrób, do cholery! – popchnął ją w stronę łóżka i, idąc za nią, przyłożył Luke'owi pistolet do skroni. – Nie ruszaj się. Nie próbuj walczyć. – Przełknął ślinę. – To zły człowiek, kochanie. Nie przejmuj się nim.

– Nie słuchaj go. On mnie porwał! – wykrzyknął Luke. Zamilkł. Jeśli powie tej kobiecie, że Eric kogoś zabił, to Eric może zabić również jego, zamiast go tu zostawiać. Postanowił nic nie mówić.

– On jest zamieszany w twoje porwanie – powiedział Eric. – Porwałem go, to twój okup. Nie lituj się nad nim, kochanie.

Kobieta – Aubrey – popatrzyła na Luke'a, a ten pokręcił głową. Złapał ją za nadgarstki.

- On kłamie. Nie jestem złym człowiekiem. Proszę.
- Puść ją! – zaryczał Eric. Wystrzelił w ścianę obok Luke'a.

Luke i Aubrey zastygli w przerażeniu. Kobieta zaczęła drżeć i Luke ją puścił. Podniosła kajdanki i zakuła go.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Przykro mi. Aubrey spojrzała na Erica. Potem skuła kostki Luke'a.

- On cię okłamuje. Jestem niewinny... – powiedział Luke.
- Dostarczyłem tylko okup – odparł Eric.

Aubrey cofnęła się, drżąc, Eric znów ją objął.

- Idź na zewnątrz i poczekaj na mnie. Jedziemy do domu.

Aubrey chwiejnym krokiem wyszła.

Eric otworzył swoją komórkę. Z kieszeni wyciągnął małe metalowe urządzenie – Luke doszedł do wniosku, że służy ono do zmieniania głosu – i nałożył je na telefon, potem wybrał numer.

Przyłożył palec do ust, nakazując Luke'owi ciszę.

Telefon miał włączony głośnik i Luke usłyszał, jak Henry mówi:

- Halo?
- Henry Shawcross? Mam złe wieści. Pański pasierb, Luke Dantry, został porwany.

– Co? Kto mówi?

– Powiedzmy, że przejmuje pan inicjatywę – powiedział Eric. – Proszę posłuchać. Odzyskanie pasierba będzie pana kosztowało pięćdziesiąt milionów dolarów, należy je przelać na zagraniczne konta.

– Henry nie ma pięćdziesięciu milionów dolarów. Zgłupiałeś? – powiedział cicho Luke. Pomysł wydał mu się idiotyczny. – Popełniłeś poważny błąd.

Nastąpiła długa, nieznośna cisza.

- Chcę porozmawiać z Lukiem – zażądał Henry.
- Powiedz mu, że żyjesz i masz się dobrze, nic więcej. – Eric zdjął

urządzenie z telefonu i przyłożył aparat do policzka Luke'a.

Luke odezwał się:

- Henry?
- Luke. – Henry był zaskoczony. – Czy to żart?
- Nie. Porwał mnie na lotnisku. Miał broń. On...

Eric zabrał mu słuchawkę i z powrotem nałożył urządzenie na mikrofon.

- Żyje i nic mu nie jest. Niech pan zrobi, co każę, albo umrze.

Znów długa cisza; Luke słyszał oddech Henry'ego.

- Przykro mi, ale nie zapłacę.

Luke zamarł. Chyba się przesłyszał. Ojczym powiedział, że nie zapłaci, a nie – że nie może zapłacić.

- Co?

– Nie wiem, o jakich pieniądzach mówisz. Nie rób krzywdy Luke'owi. Nie mam takich pieniędzy. – Głos Henry'ego brzmiał słabo, był zaledwie cieniem jego zwykłego tonu.

– Nie kłam. Masz przecież pięćdziesiąt milionów dolarów, draniu – naciskał Eric.

- Nie mam.

– Na Boga, daj mu to, czego chce! – krzyknął Luke. Myślał: Jeśli nie masz tych pieniędzy, to powiedz mu, że masz. Graj na zwłokę, niech pomyśla, że znajdziesz pieniądze, zawiadom FBI. – Proszę, Henry, powiedz mu, że godzisz się na współpracę. – Może Henry był zbyt zaskoczony żądaniem okupu i nie wiedział, co mówi.

- Luke, nie mogę, nie mogę.

Jego ojczym – mądry, zdeterminowany, wygadany – nie chciał blefować. Nie miał ochoty kłamać, obiecywać współpracy, żeby po skończeniu rozmowy zawiadomić policję. Zostawiał Luke'a na pastwę morderczych zapędów tego porywacza. Ta myśl uderzyła w niego jak ciśnięty z rozmachem w pierś kamień.

Dlaczego nie chce skłamać, powiedzieć czegoś, co ocaliłoby Luke'a?

– Nie rozumiesz, jeśli nie będziesz współpracował, to on zginie – powiedział Eric.

- Nie mogę ci pomóc – Henry był nieugięty.
- Już zabił jednego człowieka. Wie o Mrocznej Drodze! – krzyknął Luke. – Daj mu to, czego chce!

Cisza, jak napięta lina.

- Podejrzewam, że to jakiś żart w niezbyt dobrym guście Luke. Dlaczego to robisz?

Eric zbierał się do wyjścia z pokoju, wciąż trzymając telefon, na twarzy miał wyraz niedowierzania.

Co robi porywacz, kiedy rodzina ofiary mówi mu, żeby spadał? – zastanowił się Luke.

- Henry, to nie żart!
- Odłóż teraz słuchawkę – powiedział Henry.

Rozłączył się.

Eric i Luke patrzyli na siebie w półmroku. Po tych wrzaskach cisza aż brzęczała w pokoju.

Luke bał się odezwać, instynkt nakazał mu milczenie, podpowiedział, że Eric albo go zabije, albo jeszcze raz zadzwoni do Henry'ego lub do Jane, Brytyjki – tej, która pociągała za sznurki – żeby jej powiedzieć o zachowaniu Henry'ego.

Eric patrzył na niego, podniósł pistolet.

Luke odwzajemnił spojrzenie. Była to jego jedyna broń. Eric strzelił temu bezdomnemu w plecy; nie musiał patrzeć mu w twarz, kiedy ten umierał.

- Ona usłyszy – powiedział Luke. – Usłyszy i będzie wiedziała, co zrobiłaś. Kim jesteś.

Broń zadrżała.

- Nie powinieneś tak mówić – stwierdził Eric. – Twój ojczym tkwi w tym po same uszy. Tyle mogę ci powiedzieć. Ty też w tym siedzisz.

– W czym?

- Kobieta, która porwała Aubrey, Jane, znowu skontaktuje się z Henrym. Jestem pewien, że jakoś się dogadają w twojej sprawie – Ericowi załamał się głos.

– Ja po prostu chcę wrócić do domu, proszę. – Luke zabrzączał kajdankami.

– Poradzę ci coś, na wypadek gdyby udało ci się uwolnić albo Henry zapłaciłby okup. Jeśli możesz, to znajdź sobie kryjówkę. Nikomu nie ufaj. Twoje życie będzie się musiało zmienić.

– Znasz Henry'ego. Wiesz o Mrocznej Drodze. Skąd?

Eric oparł się o ścianę, jak gdyby ten męczący dzień pozbawił go wszelkich sił.

– W co, do cholery, jest zamieszany mój ojczym? Skąd miałby mieć pięćdziesiąt milionów dolarów?! Powiedz mi.

Eric znów na niego spojrział.

– Nie mogę sobie pozwolić na litość wobec ciebie. Żegnaj. – I ruszył w stronę drzwi.

– Nie rób tego, nie zostawiaj mnie tu! – Luke mocował się z kajdankami. – Na litość boską, nikt nie wie, że jestem na tym pustkowiu!

– Masz rację, a ich niewiedza daje mi czas. – Eric odwrócił się i wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Kilka minut później Luke usłyszał samochód – swój samochód – ruszający w oddali, za bramą. Silnik bmw brzmiał radośnie – w końcu Eric i Aubrey pozbyli się kłopotów.

A on nie. Był sam, przykuty do łóżka. W samym środku niczego. Bez wyjścia. Nie było nikogo, kto by mu pomógł.

## 7.

Bomby wymagały wysokiego poziomu zaufania. Zaczęło się od kilkuset funtów najwyższej jakości semtexu, który został wywieziony z Republiki Czeskiej i sprzedany agentowi kolumbijskiego ugrupowania terrorystycznego FARC.

Materiały wybuchowe zostały następnie wymienione za szczegółowe informacje na temat nowej fali operacji antynarkotykowych, które w Kolumbii wspierał rząd amerykański. Wymiana ta zaowocowała torturami i w końcu zamordowaniem czterech tajnych agentów.

Semtex został następnie przeschmuglowany do Ameryki przez najbardziej zaufanych kurierów meksykańskiego potentata narkotykowego, w zamian za imię głównego informatora rządowego, który działał w jego szajce. Kobieta była torturowana przez trzy dni. Ciało, z poderżniętym gardłem, porzucono na progu domu jej matki w cichej dzielnicy Meksyku.

Kiedy materiały wybuchowe znalazły się wreszcie w Stanach, konstruowanie bomb odbywało się w garażu na przedmieściach Houston w Teksasie, a zajmowała się nim Amerykanka, która czuła głęboką i trwałą nienawiść wobec rządu. Mówili na nią Snow. Nieważne, kto sprawował rządy; nienawidziła wszelkiej władzy z taką samą intensywnością. Snow nauczyła się, jak robić bomby z semtexu, kiedy była nastolatką, od swojego ojca, zanim umarł. Odświeżyła sobie wiadomości, przeglądając instrukcje

znalezione w Internecie i wczytując się w zniszczony, poplamiony poradnik będący pamiątką po kampanii IRA prowadzonej w latach osiemdziesiątych, który udało się jej kupić na portalu aukcyjnym.

Snow zrobiła sporo bomb, ostrożnie, wciąż powtarzając te same czynności, tygodniami pracowała w ciszy, jaka panowała w domu jej ciotki. Ciotka zmarła rok wcześniej i Snow zatrzymała dom, przekształciła go w warsztat. Jej chłopak miał dość tego, że tak długo jej nie było, pokłócili się drugiego dnia, kiedy wróciła do domu wykończona, z paznokciami postrzępionymi od przecinania kabli i napiętymi do granic możliwości nerwami; wyprowadził się do kolegi. Ucieszyła się z tego. Nie był oddany sprawie, wkurzał ją. Na szczęście nie wiedział o bombach. Sama kupowała potrzebny sprzęt: telefony komórkowe, kable, spłonki.

Potem zrobiła jeszcze jedną, wyjątkową bombę; ukształtowała plastik tak, aby detonacja nastąpiła w określony sposób i z wyliczoną siłą, by uzyskać konkretny rezultat. Snow była z niej bardzo dumna; nazwała tę bombę Dzieciną. Sącząc sok, czekała na człowieka, który miał odebrać Dziecinę; miała nadzieję, że nie zjawi się jej chłopak, prosząc o jeszcze jedną szansę. Koniec z facetami.

– Jest lżejsza, niż sobie wyobrażałem – stwierdził Mouser, kiedy odbierał bombę. Stał w kuchni Snow; tak jak się umawiali, umieściła bombę we wzmocnionej brezentowej torbie. Podniósł ją i zważył w ręce. Ciężka, ale do udźwignięcia.

– Staram się, jak mogę – odparła skromnie Snow. Mouser pomyślał, że to przewisko bardzo do niej pasuje; włosy miała obcięte krótko i ufarbowane na czystą biel. Jej szare oczy wyglądały jak dwa kawałki lodu. Umieśniona – widać było, że nie boi się ciężkiej pracy. Po jej szczęce i szyi biegła cieniutka blizna; kiedyś się poparzyła. Być może wybuchła jedna z bomb. Przypatrywała mu się z założonymi rękami. – Zakładając, że twoi ludzie dostarczyli mi prawidłową specyfikację.

– Oczywiście, że tak.

Snow uniosła brew.

– Jeśli mylisz się co do grubości ścian zbiornika, to mamy problem. A raczej ty masz.

– Sprawdzono to dwukrotnie. Grubość dwa centymetry, nieznormalizowana stal. Bardziej krucha. Te wagony są stare. – Mouserowi nie podobało się, że ktoś kwestionuje jego informacje. – Jeśli dałaś za dużo materiału wybuchowego, to będziemy mieli więcej płomieni niż odrzutu.

– Ręczę za moje dzieło. – Snow sączyła sok pomarańczowy. – Nie wyglądasz tak, jak sobie ciebie wyobrażałam.

Ona też nie odpowiadała wyobrażeniom Mousera dotyczącym konstruktorów bomb. Znał kilku, byli obcokrajowcami, często starszymi facetami (przypuszczał, że niedouczeni konstruktorzy bomb umierają młodo), wielu z nich brakowało którychś palców. Jednak ona miała być z tych najlepszych.

– A jak sobie mnie wyobrażałaś?

– Myślałam, że jesteś Arabem.

Mouser wyszczerzył zęby w wymuszonym uśmiechu.

– Przykro mi, że cię rozczarowałem.

– Nie jestem rozczarowana – odparła Snow. – Gdybyś był Arabem, nie dałabym ci tej bomby. Nie przepadam za Arabami. Są gorsi niż rząd.

– Nie ma nic gorszego niż Bestia – stwierdził Mouser.

– Co? – W jej oczach zabłysło światło, przechyliła głowę, spoglądając na niego.

– Bestia, tak nazywam rząd. Ciekawi mnie, jak odebrałabyś mi tę bombę, gdybym ci się nie spodobał.

– Po prostu bym ją zdetonowała, kiedy odjechałbyś jakieś pięć kilometrów – odparła lekko.

– Aha. – Mouser uniosł brew.

– Żartuję – dodała.

Mouser starał się utrzymać neutralny wyraz twarzy.

– Nie lubię takich żartów.

– No tak, nie powinienes. To ważne zadanie. Dbaj o moją Dziecinę



– położyła rękę na torbie czułym gestem – a ona zadba o ciebie.

Zdziwił się trochę, kiedy usłyszał, że nazywa bombę Dziecinką.

– A reszta?

– Kiedy będziecie gotowi. – Przyglądała się mu z zainteresowaniem. Pewnie konstruowanie bomb, ciągłe życie na krawędzi, sprawiło, że pożądała doznań fizycznych, jakiegoś wyzwolenia. Nie chciał sobie komplikować życia kobietami. Miał misję, którą sobie wyznaczył; dla niego to ona była wszystkim. Należy obnażyć prawdziwe oblicze rządu, to, że jest Bestią, niszczycielem wolności, tłamsicielem nadziei, złem, które zniweczyło to, co było wspaniałe w Ameryce. Tylko to się liczyło.

– Zadzwoń do ciebie, jak już będzie po wszystkim – powiedział.

– Obejrzę sobie w wiadomościach.

– A potem kolejny etap.

Przytaknęła, ale wydawało się, że nie zależy jej zbytnio na pieniądzach. Przyglądała mu się tak intensywnie, że aż poczuł się nieswojo. Dziwna kobieta, ale przydatna, pomyślał.

Wsiadł do samochodu i ruszył przez spokojne uliczki. Trwały ferie wiosenne. Wolne od szkół, które tłoczyły do głów rządową indoktrynację; mnóstwo dzieci bawiło się na trawnikach, jeździły na rowerach w tych głupkowatych kaskach, które Bestia kazała im nosić dla bezpieczeństwa, kolejny przykład ich ingerencji. Pomachała mu jakaś dziewczynka, wzniosł rękę w szybkim pozdrowieniu.

Kochanie, uwolnię cię, pomyślał. Nastanie inny świat, w którym Bestia będzie miała połamane łapy i wyrwane pazury.

Mouser jechał przez Houston, bomba spoczywała na siedzeniu pasażera w torbie owiniętej w materiał. Słuchał z kaset przemówień, które sam dla siebie napisał, i myślał o tym, że musi jeszcze trochę popracować nad porównaniami; zbyt dużo mówił o celu, a zbyt mało o bitwie. To on zadawał pierwszy, wybrany z namysłem cios w długiej wojnie i myśl ta była dla

niego niezwykle ekscytująca. Kolejne ciosy zostaną zadane w ciągu najbliższych dni.

Miejsce spoczynku dla Dziecinki Snow zostało wybrane z wielką troską; cichy zakręt, niedaleko rozdzielni kolejowej w Ripley, w Teksasie, sześćdziesiąt pięć kilometrów na północny wschód od Houston. Ripley było małym miasteczkiem z dwoma tysiącami mieszkańców, kilkoma farmerami i ranczerami, większość mieszkańców pracowała w biurach rafinerii ropy naftowej i w związanym z nią przemyśle usługowym. Mouser nie miał nic do mieszkańców Ripley, nie byli mu oni również szczególnie drodzy. Wybrali sobie życie w niebezpiecznym miejscu. Ripley leżało w małej dolinie wzdłuż torów, całe miasto było bardzo zadrzewione. Ludzie z Ripley poniosą konsekwencje swojego wyboru, pomyślał. Całymi tygodniami szukał odpowiedniego miejsca.

Miał na sobie przebranie: dzinsy i koszulę z logo kolejowej linii towarowej. Nie miał kurtki, ponieważ chciał, aby logo było widoczne. Szedł wzdłuż torów z komórką przytkniętą do ucha, śmiejąc się, jak gdyby ktoś po drugiej stronie opowiadał dowcipy. Torba była uszyta z wojskowej panterki, dzięki czemu stapała się z kamieniami tworzącymi nasyp. Nie zatrzymując się, położył torbę w pobliżu torów, niedaleko stacji; nikt go nie zauważył. Postawił stopę na torach i poczekał, aż poczuje lekkie drżenie nadjeżdżającego pociągu. Zszedł trawiastym zboczem do miejsca, gdzie zaparkował swój samochód, machinalnie chowając komórkę, i patrzył na zegarek. Jakieś trzy minuty.

Wsiadł do samochodu. Nikogo nie spotkał, nikt go nie widział. Obok niego przejechał pick-up, z jego okien rozbrzmiewała głośna muzyka country. Dwóch roześmianych, młodych mężczyzn jadących na nocną zmianę na kolei. Mouserowi spodobała się ich piosenka; zaczął ją sobie nucić pod nosem. Kiedy był dzieckiem, śpiewał w kościele, miał całkiem dobry głos.

Wyjeżdżał z Ripley drogą, która prowadziła na autostradę. Wzdłuż torów biegł chodnik. Obok niego przemknął pick-up wypełniony meksykańskimi robotnikami. Potem kolejny samochód, minivan prowadzony przez zmęczoną matkę. Dostrzegł, że krzyczy na dzieci rozrabiające na tylnym siedzeniu.

Powinnaś poświęcić trochę czasu, żeby im powiedzieć, że je kochasz, paniusiu, a nie się wydzierać, pomyślał Mouser.

Usłyszał nadjeżdżający pociąg, zanim go zobaczył; długi, przeciągły gwizd. Ripley było jego przystankiem na trasie – w pobliżu znajdował się zakład uzdatniania wody, który obsługiwał większą część północnych przedmieść Houston.

Znów wyciągnął komórkę, wybrał numer, zatrzymał palec nad klawiszem. Snow pozwoliła mu wybrać: timer albo detonacja za pomocą telefonu. Wybrał telefon.

Pociąg nie był zbyt długi, parę starych, zniszczonych wagonów, w każdym z nich dziewięćdziesiąt tysięcy ton gazowego chloru.

Przycisnął pedał gazu, aż jechał sto sześćdziesiąt na godzinę, odczekał jeszcze minutę i nacisnął przycisk WYŚLIJ.



Ashley Barton bębniła palcami po kierownicy. Dzieci niemal doprowadziły ją do furii, ale poranek dobiegał końca. Dzięki Bogu. Opiekowała się swoimi dwoma synami i córeczką siostry, razem szaleli jak wariaci. Była wykończona. Wróć do domu z zakupów w Houston w samą porę, żeby udało się jej wepchnąć każdemu z dzieci lunch złożony z hot doga, posiekanej marchewki i lodowej kanapki. Potem włączy im Cartoon Network, a sama nastawi pranie, napije się mrożonej herbaty i będzie rozkoszować się ciszą i spokojem.

Skierowała nawiew sobie na twarz, dzień był ciepły i czuła, że się lepi. Zabrała dzieci do jednego z wielkich centrów handlowych w Houston, żeby kupić im ubrania, a one ubłagały ją o zabawki. Wiedziała, że jest łatwym

celem. Każdemu z nich pozwoliła wybrać jedną, ale niezbyt drogą. Wciąż spłacali święta.

– Oddaj! – krzyknął z tyłu siedmioletni Kevin i usłyszała znajomy odgłos kuksańca wymierzanego w bark.

– Kevin bije Brandona – oznajmiła jej siostrzenica Megan zmęczonym głosem. – Znowu przez te karty kolekcjonerskie. – Ton Megan wyraźnie sugerował, co sądzi o kartach kolekcjonerskich.

– Kevin – oświadczyła Ashley, spoglądając do tyłu – nie bijemy się.

– Ty nie, ale my tak – odpowiedział Kevin. – Mamo, on podrze moją kartę!

– Brandon, oddaj mu tę kartę. Kevin, nie bij brata. Jeśli jeszcze raz będę musiała was upominać, nie będzie deseru. – Minęła stację kolejową, jej dom był zaledwie dwie minuty drogi stąd.

W lusterku zobaczyła, że Kevin przyłożył twarz do szyby, przyglądając się, jak długi pociąg towarowy wjeżdża do Ripley. Kevin i pociągi. Był nimi zafascynowany, odkąd tylko przestał być niemowlakiem. Boże, to było zaledwie kilka lat temu. Ależ oni szybko rosną.

Nagle usłyszała okropny huk, minivan podskoczył na drodze, najpierw Ashley myślała, że złapała gumę. Odgłos pociągu wypadającego z szyn był ogłuszający, stal uderzająca o stal, metal rozdzierający się z potwornym zgrzytem, który aż czuła w kościach.

– Jezu! – krzyknęła. Potem usłyszała, że Kevin krzyczy, i zahamowała, widząc, że w samochodzie popękały szyby, jedna z bocznych szyb wpadła do środka i szklany pył osiadł na dzieciach. Huk był tak głośny, że nie usłyszała odgłosu pękającego szkła. Cała trójka dzieci wrzeszczała. Przyciskając hamulec, obróciła się w ich kierunku.

– Pociąg się wykoleił! – krzyknął Kevin. – Mamo, widziałem to, widziałem! – Z rozciętego czoła ciekła mu krew, Megan wciąż krzyczała, Brandon ukrył twarz w dłoniach, wciąż trzymając japońską kartę do gry swojego brata. Ashley patrzyła tylko na dzieci i nie widziała mężczyzn na

stacji – z niektórymi chodziła do liceum, do kościoła – potykali się, upadali, kiedy próbowali iść w kierunku pogieętych cystern, jak gdyby powalała ich jakaś niewidzialna dłoń.

– Mamo! Boli! – Kevin zaczął kasłać i trzeć oczy.

– Co?

– Gardło... moje gardło – jęczał Kevin, za chwilę Ashley też to poczuła, okropne palenie z tyłu gardła, w oczach. Jej oczy i gardło paliły tak, jakby ktoś powtykał w nie płonące zapałki. Poczowała intensywny zapach, jakby ogarnął ich ocean wybielacza. Dzieci zatykały sobie usta i oczy.

Uciekaj stąd, pomyślała Ashley. Coś okropnego wydobywało się ze zniszczonych cystern. Przy ziemi wiły się opary, żółtozielone, jak łuski węża.

O mój Boże. Tylko nie moje dzieci, pomyślała. Udało jej się zmienić biegi, oczy i gardło paliły ją żywym ogniem. Zrobiło jej się niedobrze. Organizm bronił się przed oddychaniem. Przycisnęła pedał gazu. Mrugając oczami i próbując złapać oddech, dojrzała zbliżający się zakręt drogi prowadzący do jej domu. Najlepszy widok na świecie. Do domu, zadzwonić pod 911, umyć dzieci, wszystko będzie dobrze, musi być dobrze.

Ledwie rejestrowała ludzi biegnących ulicami, uciekających ze stacji. Upadali, kiedy ona mknęła do przodu,

Uciekaj, uciekaj, schowaj dzieci, nam się to nie może przydarzyć.

Ashley Barton, spanikowana, zbyt szybko i zbyt wcześnie wzięła zakręt. Nie trafiła w uliczkę i wbiła się we frontową ścianę małego sklepiu monopolowego. Przebiła przednią szybę, myśląc: to nie może się dziać, nie może, a potem ból zniknął, a krzyki ucichły.



Wybuch nie był tak głośny, jak się spodziewał; siła bomby musiała być przecież precyzyjnie obliczona. Na tyle duża, żeby rozerwać cysterny z chlorem, ale nie na tyle mocna, żeby wysoka temperatura utleniła chlor, bo

wtedy większość gazu stałaby się nietoksyczna lub też chlor by się wypalił. Kształt ładunku wybuchowego autorstwa Snow był pomyślany tak, by przy wybuchu przedziurawić cysterny. Wykolejenie było zaplanowane.

Mógł sobie wyobrazić chaos, który zapanował: wszystko w promieniu trzydziestu metrów od miejsca katastrofy kolejowej będzie spowite duszącą chmurą chloru. Przy odrobinie szczęścia chmura mogła się rozrosnąć do dwóch i pół kilometra szerokości i, z pomocą wiatru, przebyć odległość prawie trzydziestu kilometrów.

Dwadzieścia tysięcy ludzi znajdzie się na jej drodze.

Bestia oczywiście zarządzi ewakuację, będzie walczyć, jak przystało na zranionego olbrzyma, ale ofiary śmiertelne będą zapewne szły w setki, jeśli nie w tysiące. Uśmiechnął się.

Miał nadzieję, że ten pierwszy cios okaże się skuteczny.

Jechał szybko pustą drogą w kierunku Houston. Miał przy sobie maskę przeciwigazową, ale nie czuł, żeby była mu potrzebna; Ripley zostało z tyłu, a pośliniony palec wysunięty przez szybę pozwolił mu orzec, że wjeżdża w strefę silnego wiatru wiejącego w stronę Ripley.

Jechał na południe, do Houston, do domu Snow, nie uprzedził jej, ponieważ pomyślał, że Bestia o tysiącach oczu będzie śledzić każdą rozmowę z komórki przeprowadzoną w pobliżu Ripley jako część sekcji zwłok miasta. Słuchał radia, muzykę przerwały wiadomości, podawane informacje były coraz bardziej bezładne, nakazano natychmiastową ewakuację.

Kiedy dojechał do domu Snow, wszystkie podjazdy były puste. Dostrzegł samochody wypełnione całymi rodzinami, które wyjeżdżały, choć chmura była daleko, a wiatr nie niósł trujących oparów w tę stronę. Ludzie tak łatwo poddają się panice.

Wysiadł z samochodu, odetchnął chłodnym powietrzem i wszedł do domu.

Snow siedziała na kanapie, oglądała CNN i pogryzała precle, zapijając je piwem wyjętym specjalnie na tę okazję.

Spojrzał na wiadomości, panikę, przerażenie, myśląc: ja tego dokonałem. Gratulacje. Spojrzała na niego.

– Widzę, że moja Dziecina się spisała.

Mouser poczuł nagłe pragnienie, żeby dotknąć jej gardła, poczuć smak jej skóry. Jednak ledwie ją znał, zatem byłoby to coś niewłaściwego. Najpierw misja, zawsze misja. Nalał sobie szklankę wody.

– Tylko jeden wagon został przedziurawiony wybuchem – powiedziała, patrząc na relację telewizyjną. Na ekranie widać było satelitarny obraz miejsca wykolejenia pociągu. – Chmura będzie spora. Ewakuują wszystkich w promieniu trzydziestu kilometrów.

Zobaczył ciała przy torach, na ulicach Ripley. Naliczył kilkanaście ciał, kiedy kamera filmowała główną ulicę. Dostrzegł rozbitego minivana, wbitego do połowy w wystawę sklepu niedaleko stacji kolejowej, przewróconego pick-upa. Rozgadani eksperci mówili, że chmura chloru nie powinna przesuwać się na południe, w stronę Houston, a obfite opady deszczu nadchodzące z Zatoki Meksykańskiej powinny przyspieszyć opadanie gazu. Całe wydarzenie już określano mianem ataku chemicznego, a nie wypadku, na ustach komentatorów zaczęły pojawiać się słowa „Al-Kaida” i „terroryści”.

– Al-Kaida. Zawsze najpierw myślą o nich – powiedziała Snow.

Mój Boże, pomyślał Mouser. To było proste. I tanie. Jakież ciosy mógł zadać Bestii, mając do dyspozycji konkretne pieniądze, takie, które wystarczyłyby na lata, teraz, kiedy dowiódł swojej wartości? Niemal zaśmiał się z radości.

Zadzwonił dzwonek. Snow spojrzała na Mousera.

– Spodziewasz się kogoś?

– Może to mój eks. Zerwaliśmy, może się tu zjawić, błagać, bym do niego wróciła.

Mouser wyciągnął broń i podeszedł do okna.

– Otwórz drzwi. Zejdź mi z drogi, jeśli go nie znasz.

- Jeśli to policja...
- Nie dam się zgarnąć. A ty?

Bez namysłu pokręciła głową.

Mouser ustawił się do strzału. Snow otworzyła drzwi.

- Myślałam, że jesteś w Waszyngtonie – powiedziała. Stojący na gan-  
ku Henry Shawcross odparł:
- Mamy poważny problem.



## 8.

– Powiedz, że zjawiłeś się tu, aby świętować – rzekł Mouser. Wiedział, że nie o to chodziło, ale nie chciał zmącić euforii, którą odczuwał.

– Nie. Mój pasierb został porwany. – Henry stanął pod ścianą w salonie ze skrzyżowanymi rękami. Na jego twarzy malowało się wyczerpanie.

Mouser przysiadł na brzegu kanapy Snow.

– Dlaczego mam się tym przejmować? To nie nasz problem.

– Nieprawda. Porwanie Luke'a ma wpływ na wszystko: pierwszą falę ataków i operację Piekielny Ogień. – Henry opowiedział mu o Luke'u, żądaniach porywaczy. – Chcą pięćdziesiąt milionów za jego uwolnienie.

– Zatem go nie uwolnią. Nie dostaną tych pieniędzy – powiedział Mouser. Było to zdecydowane stwierdzenie, nie pozostawiało miejsca na dyskusję.

– Nie pozwolę im zabić mojego dziecka.

– Nie pozwolę im przejąć naszych pieniędzy – odparł Mouser. – Poza tym to przecież syn Warren'a Dantry'ego, prawda?

Długie milczenie i przygryzione wargi pozwoliły mu się domyślić, że Henry'emu nie podoba się tak rozległa wiedza Mousera na temat jego rodziny. Mouser przyjrzał się profesorowi. Henry zawsze wyglądał tak, jakby

był spóźniony na wykład, tym razem też tak było, tylko w jego oczach tliła się paląca wściekłość.

– Tak. To syn Warrena. – Henry opuścił ręce. – Ale traktuję go jak własnego syna.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy masz nasze pieniądze, Henry?

Henry wpatrywał się w niego, jak gdyby czekał na pojawienie się noża lub broni.

– Nie. Próbowałem wejść na konta. Hasła zostały zmienione.

Cała duma Mousera, jego podekscytowanie dobrze wykonanym zadaniem, zadaniem ciosu Bestii, wszystko to legło w gruzach.

– Nie masz dostępu do pieniędzy? – spytała Snow, jak gdyby nie rozumiała tego, co powiedział.

– Nie dla ciebie. Dla nikogo z Mrocznej Drogi. – Henry znów skrzyżował ręce. – Przyjechałem tutaj najszybciej, jak tylko mogłem, żebyśmy się mogli zastanowić, co dalej...

– Nie. Nie. – Mouser rzucił się do przodu, żeby pochwycić Henry'ego. Ten wyciągnął broń zza pazuchy. Mouser przystanął.

– Przestań. Nie możemy ze sobą walczyć. Co się stało, to się stało. Posłuchaj mnie. Jakoś to naprawimy. Musimy kontynuować pierwszą falę ataków. Piekielny Ogień nie został odwołany.

Mouser się powstrzymał. Miał w tamtej chwili ochotę udusić Henry'ego Shawcrossa. To była po prostu kolejna zdrada, tak jak w tych chwilach jego życia, kiedy ocierał się o geniusz tylko po to, aby ujrzeć, jak ktoś przywłaszcza sobie należną mu chwałę. Zmusił się do spokojnego oddychania. Poczul dotyk na ramieniu, spojrzął za siebie.

– Czy porywacz wspomniał o pierwszej fali ataków? – zapytała Snow.

– Nie.

– A o Piekielnym Ogniu? – Jej spojrzenie się rozświetliło.

– Nie. Zatem porywacza interesuje pięćdziesiąt milionów, a nie powstrzymanie samych ataków – stwierdził Henry.

– Dobrze. Chęć okupu z naszych pieniędzy. Co im odpowiedziałeś? – Mouser z powrotem usiadł na kanapie.

Henry schował broń pod marynarką.

– Nie chciałem przyznać, że mam takie pieniądze, na wypadek gdyby nasza rozmowa była nagrywana.

– Zatem odmówiłeś wpłacenia okupu za swoje własne dziecko. Twoja lojalność jest inspirująca.

– Być może dzięki temu ocaliłem nas wszystkich. Ponieważ wiem, kto porwał Luke'a.

– Kto?

– Zaginął księgowy odpowiedzialny za założenie kont w całym kraju, na które miało wpłynąć pięćdziesiąt milionów. Eric Lindoe. Nie pojawił się w pracy od trzech dni.

– Kto mógł ci zablokować dostęp do tych kont?

– Tylko Eric. Tylko on i ja mieliśmy dostęp. Ja oczywiście pod fałszywym nazwiskiem.

– To nie ma sensu, Henry. Jeśli to Eric Lindoe przywłaszczył sobie pieniądze, to nie miał powodu, żeby porywać twojego pasierba – powiedziała Snow spokojnym tonem. Wciąż trzymała Mousera za ramię, a on strząsnął jej dłoń.

– Myślę, że istnieje proste wytłumaczenie. Gdyby Eric był zwykłym malwersantem, to mógłby po prostu ukraść pieniądze i próbować je przed nami ukryć. Nie byłoby powodu, żeby mieszać w to Luke'a. Gdyby to rząd... Bestia, jak to uroczu określasz, Mouser... nas namierzył i zwrócił Erica przeciwko nam, to nadal nie byłoby powodu, aby porywać mojego pasierba. FBI zamroziłoby fundusze, zaaresztowało Erica, mnie, próbowało wydusić ze mnie wasze imiona i dane wszystkich innych z Mrocznej Drogi. Zależałoby im na powstrzymaniu ataków, a potem Piekelnego Ognia... pieniądze nie byłyby ich celem. Fakty są sprzeczne. Zatem musi być trzecia możliwość: Eric chce, żeby wszyscy... my i nasz wróg... myśleli, że nie ma tych pieniędzy, a naszym wrogiem nie jest tu rząd.

– Zatem kto? – zapytał drwiąco Mouser.

– Nasz wróg chce tych pięćdziesięciu milionów dla siebie. Może to być ktoś z Mrocznej Drogi, jakiś zdrajca, choć nikt z tej grupy nie wie, że Eric jest naszym księgowym. Tylko ja go znam. Myślę zatem, że jest to ktoś z zewnątrz, kto dowiedział się o istnieniu pięćdziesięciu milionów i wie, że nie możemy zgłosić kradzieży na policję.

– Ale dlaczego Eric zażądałby okupu, którego nie możesz zapłacić, skoro wie, że nie masz dostępu do kont? – spytała Snow. W jej głosie pojawił się ton ostry jak nóż: – Jaki to ma sens?

– Chodziło pewnie o to, żebym się zgodził na zapłacenie tych pieniędzy, nagranie mojego potwierdzenia, że wiedziałem o pieniądzach. Szantaż. Być może nasz wróg dopadł Erica, ale nie mógł wydobyć od niego pieniędzy, bo on zmienił kody dostępu, żeby je chronić. Skłamał, że nie ma do nich dostępu, wtedy wróg spanikował i porwał Luke'a... albo zmusił Erica, żeby to zrobił, myśląc, że ja mogę zapłacić. A Eric pozwolił wrogowi myśleć, że nie ma dostępu do pieniędzy. Ale... to wszystko tylko teoria.

– Masz na myśli, że nie możemy nawet potwierdzić, czy te pieniądze są wciąż na naszych kontach? – powiedział Mouser zimnym szeptem.

– Nie. Nie wiemy, jakie teraz są hasła. Wykasował moje nazwisko i zmienił preferencje dostępowe. Jestem pewny, że ukrył te fundusze. Mając taką kwotę, Eric może się bez końca ukrywać. Może sobie kupić doskonałą ochronę.

– Jak mógł...?

– Był wysoko postawionym urzędnikiem bankowym. Mógł zmanipulować system i ukryć pieniądze w setkach miejsc. Kazałem, żeby jeden z naszych hakerów próbował włamać się do bazy danych banku, żeby sprawdzić, czy i kiedy pieniądze zostały przelane, ale jak na razie mu się to nie udało.

Mouser zaczął chodzić po pokoju, gniew nie dawał mu ustać w miejscu.

– Bez pieniędzy musimy odwołać Piekielny Ogień. Będziemy musieli odwołać wszystko, nad czym pracowaliśmy. Całe nasze ryzyko... na nic.

– Chcę, żebyś to ty rozwiązał ten problem. Pod jednym warunkiem – powiedział Henry.

– Jakim?

– Nic się nie stanie mojemu pasierbowi.

– On nie może się o nas dowiedzieć, Henry. Chyba że się do nas przyłączy.

– Zajmę się tym. Ale nie chcę, żebyś go skrzywdził. Może być dla nas bardzo cenny.

Po chwili Mouser pokiwał głową.

– Musimy odnaleźć Erica i Luke'a.

– W jaki sposób?

– Jeden z moich kontaktów w Mrocznej Drodze pracuje nad włamaniem się do systemu GPS w samochodzie Luke'a, żeby sprawdzić, gdzie teraz jest i gdzie był. Kiedy to się uda, chcę, żebyś odnalazł Luke'a i gdzieś go ukrył, żebyśmy mogli z nim porozmawiać. Jeśli to się nie uda, albo oni go zabili, znajdź jego porywaczy. Ja będę próbował odnaleźć Erica.

– Odrzuciłeś ich propozycję zapłacenia okupu. Zabili go – odezwała się Snow.

– Nie zrezygnuję z pięćdziesięciu milionów tylko dlatego, że za pierwszym razem odmówiłem. Mogą dojść do wniosku, że obawiałem się podsłuchów albo pułapki. Pozwolą mi się trochę pomartwić, a potem przyślą mi palec Luke'a lub jego ucho – Henry przerwał na moment, żeby uspokoić głos – na dowód, że negocjacje wciąż są możliwe.

– Dobra.

– Wracam do Waszyngtonu. Zawiadomię cię, czego się dowiemy o samochodzie Luke'a. Jeśli znajdziesz jego porywacza, utrzyj go przy życiu, żeby można go było przesłuchać. Rozumiesz?

– Biorę na siebie dodatkowe ryzyko.

– I zostaniesz wynagrodzony większą kwotą dla swojej sprawy i chwały.

– Potrzebuję wsparcia.

– Pojadę z tobą – zdecydowała Snow.

Mouser wydał z siebie nieokreślony dźwięk i zniżył głos:

– Bez urazy, ale jesteś mózgowcem, konstruktorką bomb.

– Jestem żołnierzem, tak samo jak ty – odparła Snow. – Wiem, jak walczyć, i to zaciekle. Nikt nie przeszkodzi nam w rozpoczęciu Piekielnego Ognia. Nikt. Nie po tej pracy, którą w to włożyłam. Każdego dnia, całymi tygodniami, ryzykowałam życie, żeby zrobić te bomby.

– Wolałbym, żebyś została tutaj – powiedział Mouser. – Masz jeszcze sporo pracy związanej z Piekielnym Ogniem.

– Daj sobie pomoc. Razem możemy szybko odnaleźć tych ludzi.

– Zgadzam się ze Snow. Zadzwońię do was, jak tylko się czegoś dowiem – wtrącił się Henry.

– Szybko się tu zjawiłeś – stwierdził Mouser. – Może przejąłeś pieniądze, wcisnąłeś nam tę historyjkę, a teraz zwiewasz. – Znów sięgnął po broń.

– Nie tworzyłbym Mrocznej Drogi, gdybym miał zamiar ją zdradzić – powiedział Henry. – Muszę natychmiast wracać do Waszyngtonu. Zabiorę się z... moim znajomym, jego samolotem. – Uścisnął dłoń Mousera, a potem Snow. – Pięknie się zapowiada. Odzyskamy pieniądze, operacja Piekielny Ogień zostanie przeprowadzona. – Wstał i spojrzał na obydwójce – Dbajcie o Luke'a. Niech nic mu się nie stanie. Mam wasze słowo.

Henry wyszedł.

– Musi być nieźle wystraszony. Mógł nam to powiedzieć przez telefon.

– Lepiej rozmawiać twarzą w twarz – odparła Snow. – Tym bardziej że prosi cię o uratowanie swojego dzieciaka.

Mouser zastanowił się nad tym.

– Masz rację. Rozczarowanie zawsze łatwiej przyjąć osobiście.

– Chcesz coś zjeść? Jestem głodna. Zrobię sobie kanapkę – postanowiła Snow.

Mouser pokręcił głową. Poszła do kuchni. Przysiadł na brzegu kanapy i

rozmyślał nad tym, jak przeszedł od radości z wybuchu do złości z powodu braku dostępu do pieniędzy. Ratować studenciaka, któremu trzeba jeszcze wycierać nos, pewnie kształcił się na uczelniach utrzymywanych przez Bestię, gdzie jego umysł zatruto tak, aby myślał, że system Bestii jest dobry i szlachetny. Czy Henry naprawdę myślał, że pozwoli temu dzieciakowi przeżyć? Jeśli porywacze wiedzieli o Mrocznej Drodze, to oni wszyscy byli w niebezpieczeństwie, a Luke Dantry był po prostu pechowym świadkiem. Ryzykiem.

Wszedł do salonu. Snow otworzyła mu piwo, zostawiła je dla niego na stoliku. Oglądała relację z Ripley.

– Chyba Dziecinka była trochę zbyt mocna. Teraz mówią, że na pewno rozerwało dwie cysterny, ale duża część chloru musiała się wypalić. Dzięki temu mieli czas, żeby ewakuować więcej ludzi.

– Ripley spełniło swoją rolę, przyciągnęło spojrzenie Bestii tam, gdzie chcieliśmy.

Spojrzała na niego...

– Jakie to poetyckie.

Mouser skrzywił się na taki komentarz, a ona się zaśmiała. Cicho. Zignorował to.

– Muszę się tu gdzieś walnąć.

– Pokój gościnny jest na końcu korytarza. – Znów zwróciła wzrok w stronę ekranu.

– Jesteś pewna, że możesz mi pomóc, jeśli będziemy mieć kłopoty?

– Mogę zrobić wszystko, do czego zmusi mnie życie – odpowiedziała Snow, chłonąc obraz umierającego miasta w telewizji, nie patrzyła na niego. – Zabijesz tego dzieciaka.

Mouser nie odpowiedział, była to najlepsza odpowiedź.



Henry Shawcross nie poleciał z powrotem do Waszyngtonu lotem rejsowym, jak to zrobił dzień wcześniej. Wrócił w ten sam sposób, w jaki

udało mu się przylecieć tego ranka. Pojechał na lotnisko i wszedł na pokład samolotu transportowego Travport dzięki okazaniu jakiejś legitymacji i prawa jazdy, które potwierdzały, że jest konsultantem Travportu i ma prawo do natychmiastowej podróży którymkolwiek z lotów przewoźnika, krajowym lub międzynarodowym.

Usiadł na jednym z niewielu siedzeń dla pasażerów i obserwował, jak samolot wznosi się nad wschodnim Teksasem. Za kilka godzin będzie w domu.

„Co z tobą nie tak!” – wrzeszczał Luke. „Daj im to, czego chcą!”. Błagania Luke'a zadawały mu cierpienie, ale musiał pozostać niewzruszony. Odzyskam cię, pomyślał, odzyskam i sprawię, że zrozumiesz, Luke.

Użył sieci internetowej samolotu, żeby obejrzeć relację w wiadomościach dotyczącą wybuchu chloru w Ripley. Jak dotąd najbardziej widoczny atak w pierwszej fazie. Bomba wypaliła więcej gazu, niż powinna, ale przykuła uwagę świata. W fabrykach chemicznych, na stacjach kolejowych i na lotniskach wzmacniano zabezpieczenia, w stacjach telewizyjnych analitycy perorowali na temat tego, czy było to dzieło Al-Kaidy, kolejnej grupy wierzącej w dżihad, rodzimego terrorysty, czy też wypadek. Każdy zakład chemiczny w kraju będzie teraz pod szczególnym nadzorem. Zbyt wiele miast, zbyt wiele ośrodków uzdatniania wody miało ogromne zasoby śmiertelnie niebezpiecznego chloru, Henry od dawna uważał to za wielką słabość amerykańskiej infrastruktury. Miesiąc temu opublikował artykuł o potencjalnym zagrożeniu z tej strony; sprawdził pocztę. Teraz jego artykuł stał się niezwykle aktualny. Okazał się mądry i świadomy sposobu myślenia terrorystów. Nowi i starzy klienci zasypywali go pytaniami o to, jak poradzić sobie z tym zagrożeniem i jakie może być kolejne. Uśmiechnął się przelotnie, pierwszy raz od telefonu z żądaniem okupu za Luke'a.

Wszystko to było wyśmienitym wstępem do Piekielnego Ognia.

Inaczej to wyglądało, kiedy napisał pierwszy artykuł o możliwym ataku terrorystycznym na dużą skalę, wtedy go zignorowano i wyśmiano. Wtedy



miał rację; teraz zadbał o to, żeby mieć rację.

Teraz jego teorie się sprawdziły, udowodnił swoje tezy, wszystkie środki rządowe pójdą na zapobieganie podobnym wydarzeniom w przyszłości.

Idealnie.

Henry dotarł do Waszyngtonu, odebrał samochód, pojeździł jeszcze godzinę, żeby się upewnić, że nikt go nie śledzi, i pojechał do domu.

Czekał na kolejny telefon w sprawie okupu. Tym razem był gotowy do rozmów; wiedział, co powiedzieć, aby się zabezpieczyć na wypadek, gdyby był nagrywany. Cały czas dzwonił do Erica Lindoego, ale bez rezultatu. Nie chciał dzwonić do księcia, z którym spotkał się trzy dni temu w londyńskim parku, i wyjaśnić mu, że pięćdziesiąt milionów dolarów zaginęło. Byłoby to równoznaczne z wydaniem na siebie wyroku śmierci. Chyba że ucieknie. Jednak jeśli to zrobi, Luke zginie.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Słuchał Bacha i Mahlera, żeby uspokoić umysł i spróbować zdecydować, co ma zrobić.

Próbował się oderwać od tego wszystkiego, przeglądając bazę danych Luke'a dotyczącą Mrocznej Drogi, czytał wpisy, w których Luke udawał ekstremistę, zadziwiały go dyskusje, które prowadził z innymi. Ten młody człowiek wykonał wspaniałą robotę. Wyczerpującą, wnikliwą, wykorzystał w niej wszystko, czego dowiedział się na temat potrzeb emocjonalnych ekstremistów, aby do nich dotrzeć, nawet za pomocą Internetu. Dla Henry'ego był on niemal idealnym szpiegiem.

W swoim dorosłym życiu Henry płakał dwa razy: pierwszy, kiedy jego żona, a matka Luke'a zginęła w wypadku samochodowym, który nie powinien był się nigdy wydarzyć. Teraz otarł łzę, kiedy pomyślał o Luke'u.

Głupia słabość, powiedział sobie. Na początku nawet go nie lubiłeś. Ani jego matki. Jesteś słaby. Nie może ci tak bardzo zależeć, nie może.

Ale zależało. Czyż księżę nie miał rodziny? A Mouser? Dlaczego on miał być sam? To było niesprawiedliwe, jak znaczna część jego życia. Wciąż same niesprawiedliwości.

W telewizji pokazywali zapomniane ciała leżące na ulicach Ripley, film nakręcono z pokładu helikoptera, nie budziło to w nim żadnych uczuć. W pobliżu dworca dostrzegł rozbitego minivana, obok wraku leżało ciało chłopca, pomyślał o Luke'u.

Spał płytkim snem przy swoim biurku z głową w pobliżu telefonu. Zapomniał, że powinien coś zjeść.

Kiedy zadzwonił telefon, prawie dwadzieścia cztery godziny po pierwszym żądaniu okupu, złapał aparat tak mocno, że prawie rzucił go przez pokój. Zmusił się do opanowania, zanim się odezwał:

– Tak?

To był haker, którego poprosił o włamanie się do bazy danych GPS.

– Samochód pańskiego syna przez ostatnią dobę był zaparkowany niedaleko lotniska Dallas/Fort Worth.

– Gdzie był przedtem? Od czasu, kiedy parkował na lotnisku w Austin?

– Lokalizator GPS śledził go do Houston. Auto zatrzymało się pod dwoma adresami. Mogę je panu podać...

Henry zanotował adresy. Wystukał je na komputerze, podczas gdy haker mówił dalej.

– Potem auto znalazło się w pobliżu Braintree, małego miasteczka we wschodnim Teksasie. Ze współrzędnych wynika, że chodzi o mały domek do wynajęcia. Było tam zaparkowane prawie dwadzieścia minut, potem pojechało na lotnisko DFW, dotarło tam o siódmej siedem rano.

Braintree, miasteczko w środku niczego. Dlaczego porywacz, który chciał dostać pięćdziesiąt milionów, jechałby do jakiegoś domku w samym środku sosnowego lasu?

Może po to, żeby ukryć tam Luke'a. Lub zabić go i pogrzebać pośród sosen. Ta myśl sprawiła, że zaschło mu w gardle.

Pod adresami z Houston mieścił się parking i bank.

Podziękował hakerowi. Dzwonek do drzwi zadźwięczał dziesięć minut później, kiedy Henry odkładał słuchawkę po rozmowie z Mouserem, w której przekazywał mu informacje dotyczące domku w Braintree.

Henry otworzył drzwi – zobaczył, że na progu stoją dziennikarz i kamerzysta. Młoda kobieta podsunęła mu mikrofon pod nos i Henry zamarł.

– Panie Shawcross, prosimy o pański komentarz...

## 9.

Wszyscy zginęli. Luke był tego pewien od momentu, w którym otworzył oczy. Stał w tylnej części prywatnego samolotu, zaczął iść wzdłuż niewielkiej kabiny. Słysząc było tylko jęk silników, które niosły maszynę donikąd. Przyjaciele jego ojca bezwładnie leżeli na swoich siedzeniach, mieli sine twarze i rozwarłe usta. Jeden z nich włożył palce pod kołnierzyk, jak gdyby to materiał dusił go niczym stryczek. Luke też nie oddychał. Widział, jak mróz pokrywa szyby samolotu od wewnątrz. Próbował go zetrzeć palcami. Kiedy ukląkł, widział przez szybę bezkres Atlantyku, żadnego lądu w zasięgu wzroku.

Medalik, który dostał od ojca, anioł zemsty, płonął zimnym gniewem, parząc mu skórę.

Samolot widmo, wszyscy martwi. Lot donikąd. Odszedł od skutego lodem iluminatora, który wychodził na puste morze. Drzwi do kabiny pilota były zamknięte. Pomiędzy nim a drzwiami stał mężczyzna w kombinezonie mechanika. Ace Beere. Był niski, czerwony na twarzy, żałosny.

– Zabiłeś ich wszystkich. Dopuściłeś się sabotażu. Zabrałeś mi ojca. Bez powodu.

– Było wiele powodów – powiedział Ace Beere. Postukał się w skroń, gdzie widać było ślad po kuli.

Luke odepchnął go z drogi. Jego ojciec i piloci powinni być w kokpicie, nic im nie będzie, są żywi, w przeciwieństwie do tych tutaj...

Otworzył drzwi.

– Tato? – zawołał.

Kokpit był pusty, ojca nie było, ocean ruszył na Luke'a ścianą wody.

Zerwał się ze snu. Przez chwilę wydawało mu się, że jest w tym widmowym samolocie, lecąc nad oceanem razem z ciałami uduszonych, dopóki nie skończy się paliwo. Jednak to był tylko sen. Był w o wiele gorszej sytuacji; kiedy poruszył rękami i usłyszał szcęk łańcuchów, przypomniał sobie, że jest przykuty do łóżka w domku.

Uwięziony w śmiertelnej pułapce, podobnie jak jego ojciec, z dala od tych, których kochał, nie do uratowania. Tylko że jego ojciec nie miał szans. A Luke może pomóc szczęściu.

Zdradzony. Ten skurwysyn Henry mnie zdradził. Myśl ta wbiła się w umysł Luke'a niczym nóż.

Luke spał przez większość ranka. Wyczerpanie, które nastąpiło po tak długim dopływie adrenaliny, było silniejsze od strachu. Obudził się późnym popołudniem, niewyspany po koszmarze, który mu się przyśnił; minęło dwadzieścia sześć godzin od jego porwania przez Erica, żołądek miał ściśnięty z głodu, a na zewnątrz grzmiało. Poczul się jak dziecko, które zaraz się rozplacze – miał zaciśniętą szczękę i guł w gardle – starał się zdystansować od tego uczucia, dopóki nie przeszło. Jeszcze raz szarpnął kajdankami, jak gdyby mogły stać się bardziej kruche, kiedy spał, a potem jeszcze trochę drzemał. Kiedy się obudził, słychać było już tylko szum deszczu, łagodny hałas w tle, który nie przeszkadzał w myśleniu. Kajdanki ciasno oplatały jego nadgarstki i kostki, jednak łańcuchy miały na tyle luzu, że udało mu się usiąść na materacu i stanąć obok łóżka.

Rozejrzył się po pokoju. Metalowe łóżko stało pod ścianą i było przykręcone do drewnianej podłogi. Kajdanki zostały przytwierdzone do metalowej ramy łóżka, a nie do ściany. Pod łóżkiem stał mały, plastikowy

pojemnik. Otworzył go; była to toaleta turystyczna. Potrzebował się wypróżnić i poczuł ulgę, że nie będzie musiał brudzić ani siebie, ani łóżka. Pod łóżkiem leżały również zmieci opakowania po krakersach z masłem orzechowym i pusta butelka wody. Pod szczelnie zasłoniętym oknem stał stolik. Była na nim niewielka lampa rzucająca mdłe światelko na podłogę z drewna. Proste, drewniane krzesło. Jeszcze jedne drzwi w rogu, być może do szafy. Nie mógł podejść bliżej.

Słowa Henry'ego wciąż dźwięczały mu w głowie: „Nie mogę panu pomóc. Odłożę teraz słuchawkę”.

Henry mógł skłamać, grać na zwłokę. Nie zrobił tego. Zostawił Luke'a na pastwę porywacza. Okazał się judaszem i Luke nie umiał znaleźć usprawiedliwienia dla swego ojczyma, chociaż się bardzo starał.

I co teraz?

Było kilka możliwości: może się tu zjawić ta Brytyjka, Jane. Albo żeby się go pozbyć, albo żeby zmusić Henry'ego do zmiany zdania. Może próbować udowodnić, że mówi serio, posuwając się do przemocy.

Druga możliwość była taka, że nikt go nie znajdzie, nikt się nie zjawi i w najbliższych dniach lub tygodniach czeka go powolna i samotna śmierć z głodu i odwodnienia. Ile czasu zajmie mu umieranie?

Musiał uciec.

Sprawdził kieszenie. Wciąż miał przy sobie portfel, wytrząsnął jego zawartość na łóżko: teksaskie prawo jazdy, czterdzieści jeden dolarów, karta Visa, z której często korzystał, i druga, MasterCard, używana w razie konieczności. Legitymacja studencka z Uniwersytetu Teksaskiego. I jeszcze medalik ze świętym Michałem na piersi, ostatnia obietnica ojca, że będzie go chronił. Nie na wiele się zdała.

Nic, czym można by rozwalić zamki.

Wstał z łóżka i mocno pociągnął metalowy stelaż. Ani drgnął. Przyjrzał się nogom łóżka. Były mocno przykręcone, ale jedna – z tyłu, po lewej – lekko się poluzowała. Ledwo co. Zauważył ślady obcasów na ścianie.

Aubrey nie czekała po prostu, aż zjawi się jej książkę i ją uratuje. Próbowała kopniakami oderwać łóżko od podłogi.

Luke popatrzył na lekko obłuzowaną śrubę. Ledwo co odkręcona od podłogi. Nie za dużo. Śruba była krzyżowa, Phillipsa. Włożył w rowek róg karty kredytowej. Próbował ją przekreślić, delikatnie, żeby nie rozciąć plastiku. Ostrożnie. Poczuł jak zapał, kuzyn paniki, popędza jego dłonie, i postarał się opanować.

Śruba ani drgnęła. Plastik nie był dostatecznie sztywny, aby ją przekreślić. Spróbował z prawem jazdy. Też nic.

Potrzebował czegoś twardszego. Musiał się jeszcze raz rozejrzeć po pokoju – tym razem za czymś, co mogło posłużyć jako potencjalne narzędzie – ale niczego nie znalazł. Poczuł narastającą panikę, a potem jego wzrok padł na lampę. Mnóstwo części: żarówka, podstawa, sznur, wtyczka. Znajdowała się dobre dwa metry od niego, widział, w którym miejscu była wtknięta do kontaktu. Luke wstał i odszedł dwa kroki od łóżka. Nie mógł podejść dalej, zatem lampa musiała się znaleźć bliżej niego.

Miał pomysł.

Zdarł koce i prześcieradło z łóżka. Związał je w długi sznur z troską harcerza, który stara się o odznakę. Sprawdził wszystkie węzły, potem przewłókł tę nieporęczną, improwizowaną linę przez dłonie.

Położył się na chłodnej, drewnianej podłodze i próbował sięgnąć najdalej, jak tylko mógł. Jego stopy pozostały na łóżku, łańcuchy nie pozwalały na nic więcej.

Rzucił linę z prześcieradła w stronę stolika. Chciał ją zahaczyć o nogę stolika i przyciągnąć go do siebie. Za pierwszym razem się nie udało. Spróbował kolejny raz, energiczniej ruszając nadgarstkiem, znowu nic z tego. Doszedł do wniosku, że musi rzucić w stronę stolika cięższą częścią liny – tą zrobioną z koca; prześcieradło było za lekkie. Odwrócił prowizoryczny sznur. Bolały go ramiona. Znów rzucił linę. Kłapa. Znowu. Ramiona ciążyły mu jak kamienie. I znowu. Kolejna próba. Sznur zahaczył o przednią nogę stolika, jego część oplotła się wokół nogi mebla, a koniec sznura poleciał w jego stronę. Jednak upadł poza zasięgiem.

Wstał i podniósł mały stolik, który stał obok łóżka. Roztrzaskał go o ścianę i, skacząc na jego nóżki, oderwał je od blatu.

Podniósł nóżkę, z której końca wystawał zakrzywiony gwóźdź.

Trzymając ją, wyciągnął rękę w kierunku końca sznura. Chciał pochwycić koc, żeby przyciągnąć stolik ku sobie. Wygiął całe ciało, próbując sięgnąć najdalej, jak tylko pozwalały mu łańcuchy. Obrócił nogę stolika tak, aby jej końcówka była zwrócona w kierunku koca.

W domku było chłodno po deszczu, ale jemu pot lał się po plecach; nie wiedział, jak inaczej przyciągnąć do siebie stolik, jeśli ta próba się nie powiedzie.

Wycelował nogę stolika wraz z wystającym z niej gwoździem w stronę liny z koca. Gwóźdź zahaczył o brzeg koca. Odetchnął; wszystko bolało go tak, jakby pchał pod górę ciężarówkę.

Zaczął ciągnąć koc w swoją stronę, używając naprędce przysposobionych nóg od stolika. Gwóźdź, zaplątany w koc, lekko skrobał po podłodze, kiedy Luke ciągnął go ku sobie. Wkrótce oba końce zaimprovizowanej liny znalazły się w jego dłoniach. Zaczął powoli ją ciągnąć. Stolik, z lampą na jego blacie, zaczął centymetr po centymetrze odsuwać się od okna. Przyciągnął stolik o metr bliżej siebie i sznur lampy się naprężył. Przestał ciągnąć.

Wstał, trzymając nogę od stolika zakończoną gwoździem. Pochylił się, jak tylko mógł do przodu. Gwóźdź zahaczył o brzeg klosza, a potem go puścił. Spróbował ponownie, ciągnąc klosz ku sobie, każdy mięsień jego ciała się napiął.

Lampa zachybotwała się, a potem spadła na podłogę.

Ciemność. Jednak zanim światło zgasło, dostrzegł, gdzie spadła lampa. Poszukał jej po omacku, a potem zahaczył gwóźdź o leżący na podłodze klosz. Czuł, że sznur lampy jest naciągnięty, wciąż podłączony do kontaktu. Jeśli sznur się przerwie, to Luke będzie skończony.

Klosz się wygiął, ale on wciąż ciągnął za wierzchołek lampy. Usłyszał, jak wtyczka upada na podłogę. Zupełnie wyczerpany przyciągnął kabel do siebie.



Skwapliwie obmacał metalowe trzpienie wychodzące z wtyczki. Wąskie i mocne.

Luke zbliżył się do nogi łóżka. Wymacał poprzeczny rowek w jednej ze śrub i włożył w niego trzpień wtyczki.

Śruba się obróciła.

Musiał poczekać, aż przestanie mu walić serce. Pracował z cierpliwością jubilera obrabiającego niewielki kamień. Nie spiesz się, nie trać cierpliwości, myślał.

Wykręcił pierwszą śrubę. Udało się. Cztery śruby przy każdej z nóg łóżka. Razem szesnaście. Zostało jeszcze piętnaście.

Spokojnie pracował w ciemności, nie panikował. Odkręcił pierwszą nogę i zdjął z niej łańcuchy. Zabrał się do drugiej. Obie tylne nogi łóżka były już odkręcone. Zabrał się do trzeciej. Potem czwartej. Zdarł sobie skórę z opuszek palców.

Kiedy odkręcił ostatnią nogę łóżka, poczuł ulgę. Pokuśtykał w stronę ściany, wciąż miał spętane nadgarstki i kostki, ale nie był już przykuty do łóżka.

Dostrzegł, że przez zasłonę prześwituje nikiłe światelko.

Latarki?

Ktokolwiek się zbliżał, usłyszy go, kiedy będzie uciekał w dzwoniących łańcuchach. Przypomniał sobie, że Eric wyjął klucze do kajdanek spod doniczki. Nie wiadomo, czy on albo Aubrey odłożyli je na miejsce.

Jeśli wyjdzie od frontu, to zaraz go zobaczą. Otworzył drzwi z pokoju i pokuśtykał w stronę tylnego wyjścia. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Odsunął rygiel, otworzył drzwi i podreptał na zewnątrz, starając się nie hałasować łańcuchami.

Zamknął drzwi za sobą.

Noc była ciemna i nieprzenikniona. Deszcz ustał, wiatr szumiał w sosnach. Luke usłyszał głosy i odgłos kroków na żwirze. Mężczyzna i kobieta. Przez chwilę miał niedorzeczny pomysł, że to Eric i Aubrey wrócili.

Jednak minęło zbyt wiele czasu, a im za bardzo zależało na tym, aby uciec i pozostawić go na pastwę losu.

– Z wysadzaniem kasyn jest taki problem – powiedział mężczyzna z zalem w głosie – że zamach ma wpływ tylko na tę branżę.

– Nie – odparła kobieta. – Wszystkie obiekty rozrywkowe stają się potencjalnym celem. Zagrożone są też parki tematyczne, kina, kurorty...

Na pewno nie byli to policjanci spieszący mu na ratunek. Podkładanie bomb w kasynach wyglądało mu na plan wymyślony przez jednego z jego kumpli z Mrocznej Drogi. Czuł, jak wali mu serce.

Luke usłyszał kolejne wymamrotane przekleństwo – z ust kobiety – a potem chrobot klucza w zamku i odgłos otwierania frontowych drzwi.

Pobiegł wzdłuż ściany domu, w kierunku głównego wejścia, przytrzymując łańcuchy. Położył się na ziemi niedaleko domku. Wyrzał zza węgła. Frontowe drzwi były otwarte i sączyło się przez nie światło. Ktoś przesunął doniczkę.

Może klucze do kajdanek wciąż tam były, czekały na Henry'ego, gdyby ten zmienił zdanie w sprawie okupu. Wstał powoli, starając się sprawdzić, czy coś nie błysnie na schodach.

– No to mamy przechlapane – usłyszał niski, zgrzytliwy głos kobiety. – Może go tu wcale nie było.

– Ktoś był przykuty do tego łóżka. Odkręcił je. Lepiej to zgłoszmy – odpowiedział mężczyzna donośnym barytonem.

– Jest zakuty w łańcuchy, nie uszedł za daleko – odpowiedziała ona. Jej głos brzmiał jak echo odbijające się w wilgotnej jaskini.

– Może ktoś go stąd zabrał. Ten, kto go porwał, zmienił zdanie i znów zabrał go ze sobą.

– Nie, Mouser – zaoponowała kobieta. – Po prostu by go uwolnili albo zabili na miejscu. Luke'owi udało się uciec. – Usłyszał, jak ktoś kopnął połamany stolik.

Mouser? A ta kobieta znała imię Luke'a.

Luke znowu wyrzął zza rogu domku. Przeszukanie wnętrza nie zajmie im zbyt wiele czasu. Może kilka minut. Miał kilka sekund na posłużenie się kluczami, jeśli wciąż były pod doniczką. Potem mógłby szybko zwać, znikając w lesie.

Kobieta wyszła na ganek. Była wysoka, szczupła, miała na sobie dzinsy. Światło płynące ze środka pozwalało dostrzec jej ufarbowane na białą włosy i niewielką bliznę biegnącą wzdłuż krawędzi szczęki. Poszła w stronę lasu, oddalając się od Luke'a.

Luke postanowił poczekać, aż kobieta zniknie w lesie, a potem szybko znaleźć klucze, jeśli tam były. Przynajmniej rozkuć nogi. Wtedy mógłby biec.

Weszła do lasu.

Pospieszył w stronę doniczki, starając się poruszać na tyle cicho, aby brzęk łańcuchów złał się z szumem wiatru w sosnach.

Ukląkł przy donicze. Usłyszał, jak mężczyzna woła z głębi domu:

– W lodówce jest jedzenie.

Przewrócił doniczkę. Klucze do kajdanek zniknęły. Usłyszał za plecami głos kobiety:

– Nie jesteś zbyt mądry, co?

– Chyba nie. – Luke wstał i odwrócił się twarzą do niej. Kobieta podeszła do niego, oświetlając mu twarz latarką.

– Nie zrozum mnie źle. Dziwi mnie, że uwolniłeś się choć w połowie.

Tak mało brakowało, pomyślał. Zauważył, że nie wycelowała w niego broni, i zastanawiał się, czy w ogóle widzi w nim jakieś zagrożenie. Przebiegła mu przez głowę myśl, że zajmował się tymi ludźmi, ale nigdy nie stanął z nimi twarzą w twarz. To coś zupełnie innego niż czytanie książek albo opublikowanie odważnego wpisu w sieci. Nie ma co ich analizować, trzeba z nimi walczyć. Wiedział, jacy są. Skupieni na jednym celu. Brutalni. Próby przekonywania okazały się nieskuteczne w przypadku Erica; tak samo będzie z tą dwójką.

Luke poczuł, że natura naukowca ustępuje w nim miejsca czemuś nowemu i bardziej pierwotnemu.

– Mouser, mam go. Wciąż zakuty. Wygląda, jakby brał udział w próbach do *Opowieści wigilijnej*. – Wydobył się z niej chory śmiech. – Wygląda jak Jacob Marley. A może to był Ziggy? Zapomniałam. Chodź no tu, chłopczyku.

Luke skoczył na nią, zadając jej cios, nim mogła sięgnąć po broń, pchnął latarkę tak, że uderzyła ją w twarz. Upadł razem z nią na trawę i okręcił jej szyję łańcuchem. Uderzyła go bronią w głowę, ale on był wysoki, silny i zdesperowany. Wysunął ją przed siebie i przycisnął łańcuch do jej szyi. Powalił ją na ziemię, wyrwał jej broń, a potem zmusił ją, żeby wstała.

Mężczyzna – Mouser – wypadł ze środka. Wycelował w głowę Luke'a.

– Puść ją.

– Nie. Ona idzie ze mną. – Głos Luke'a załamał się jak u nastolatka. Przyłożył jej broń do głowy. W lewej ręce miał splątany łańcuch, a w prawej trzymał broń. Nie myśl, tylko działaj, przebiegło mu przez głowę.

Mouser opuścił broń i Luke zrozumiał, że ten gest oznacza to samo, co śmiech kobiety – pogardę. Ta para wcale się go nie bała, nawet kiedy trzymał w ręku broń.

– Zostajesz tutaj – rozkazał mężczyźnie Luke. – Jasne?

– Luke'u Dantry – powiedział Mouser. – Przysłał nas twój ojciec. Chcemy ci pomóc, dowiedzieć się, kto cię porwał.

– Nie jesteście z policji – stwierdził Luke.

– Nie, jesteśmy lepsi. Nie bądź głupim dzieciakiem. Puść ją i zadzwonimy do niego.

Ale przecież wcześniej mówili o podkładaniu bomb pod kasyna i kurorty.

– Chcę tylko kluczy do tych kajdanek – zażądał Luke.

– Nawet nie wiesz, w jakie właśnie wdepnąłeś gówno – odpowiedział Mouser, siadając na ganku, jakby na coś czekał. Aż coś zacznie się dziać?

Nie tego spodziewał się Luke.

– Gdzie są klucze?! – wykrzyknął. Kobieta zaczęła się dusić i zdała sobie sprawę, że łańcuch mocno ściska jej gardło. Poluźnił lekko uścisk.

– Wykończę cię – wycharczała kobieta.

– Snow nie żartuje – stwierdził Mouser.

– Gdzie są klucze?! – wrzasnęła znowu Luke na Mousera.

Ponownie zacisnęła łańcuch.

Kobieta wskazała na Mousera.

– W jego kieszeni.

– Rzuć jej klucze! – rozkazał Luke.

Mouser wciąż siedział.

– Snow? Co robimy?

– Daj mu klucze – powiedziała Snow.

– Jak sobie chcesz. – Mouser wstał ciężko, pogrzebał w kieszeniach i rzucił klucze. Snow złapała je zgrabnym ruchem.

– Rozkuj mnie. Najpierw nogi.

– Myślisz, że jesteś taki mądry, bo udało ci się uwolnić? – Odpięła łańcuchy, które krępowały mu stopy. Jej skóra była chłodna w dotyku. Znów przyciągnął ją do siebie; nie protestowała. Odrzucił kajdanki stopą.

– Nie ruszaj się, to uwolnię ci dłonie – zapowiedziała. – Wtedy się pobawimy, chłopczyku.

Gdyby zdjął jej łańcuch z gardła, mogłaby z nim walczyć, pomimo broni. Ich pewność siebie była przerażająca. Znów zacisnęła łańcuch dookoła jej szyi, na tyle, żeby przyciągnąć ją do siebie.

– Jeszcze nie – odparł Luke. – Chodźmy do waszego samochodu.

– Mouser ma kluczyki.

– Kluczyki! – zawołał.

– Nie – powiedział Mouser. – Dobra, Snow, wystarczy. Chodźmy stąd, zanim znowu zacznie padać.

Snow się nie poruszyła.

– Chcę zobaczyć, czego będzie próbował. Co robi. To jak oglądanie chomika w labiryncie.

– Zastrzelę cię, oto, co zrobię! – odparował Luke.

– To strzelaj – odpowiedziała.

Jej spokój był denerwujący.

– Teraz... jesteś mi teraz potrzebna żywa. Idziesz ze mną do samochodu.

– Będziesz go odpalał, zwierając kable? – spytała. – Widziałeś to w filmie, prawda, chłopczyku?

– Chodź. – Pociągnął łańcuch mocniej, niż chciał, i zaczęła się dławić.

– Za każdą sekundę bólu, który mi sprawiłeś, czeka cię godzina cierpienia. – Lodowaty ton, jakim wypowiedziała tę obietnicę, przyprowadził go o gęsią skórę. Nie powinien się jej bać, ale mimo to się bał.

– Może on nie ma kluczyków i dlatego nie może mi ich rzucić. Może ty je masz – powiedział chrapliwie. – Ty. Mouse!

– Mouser.

– Nieważne. Zostań na ganku. Jeśli zobaczę, że tu idziesz, zastrzelę ją.

– Jak chcesz to rozegrać, Snow? – spytał Mouser. Znów zaczęło padać, deszcz szumiał w sosnach, w oddali rozległ się grzmot.

– Rób, co każe! – zawołała Snow.

Pospiechali ścieżką z powrotem, w stronę miejsca, skąd przyszli on i Eric. Deszcz lał się z nieba strumieniami. Błoto czepiało się butów, spowijała ich ciemność, z wyjątkiem chwil, kiedy niebo rozświetlał błysk.

Luke zamrugał, starając się nie stracić Mousera z oczu, spoglądał przez ramię w stronę furtki. Metalowe łańcuchy stały się śliskie w dotyku od potu, a może deszczu.

– Opróżnij kieszenie.

– Nie...

– Zamknij się. Udowodnij, że nie masz kluczyków. Wywróć kieszenie.

Wydała z siebie odgłos pełen wściekłości i wcisnęła rękę do kieszeni. Broń jej zawadzała, więc Luke odsunął pistolet od jej głowy. Nagle machnęła głową do tyłu, chcąc uderzyć go w twarz. Zachwiał się, a ona się

obróciła i popchnęła go w błoto. Dłoń, w której miał pistolet, zanurzyła się w maź. Snow wyrwała się z łańcuchów, niemal łamiąc mu rękę. Chciała go mocno kopnąć w głowę, ale udało mu się odsunąć i oberwał w górną część pleców. Podniósł oblepiony błotem pistolet, ale ona wytrąciła mu go z ręki mocnym i precyzyjnym kopniakiem.

Nie miał broni. Snow zaczęła wołać Mousera.

Zamachnął się łańcuchami, celując w jej twarz, zrobiła unik i przewróciła się, a on odwrócił się i zaczął uciekać. Jak najdalej od bramki i zamontowanego tam oświetlenia na fotokomórkę. W mokrą ciemność.

Biegł z boczem trawiastego pagórka, który kończył się gęstymi sosnowymi zaroślami. Starał się chować za drzewami; delikatny poblask światła nad bramką słabł.

Nic nie oświetlało mu drogi, prócz nieregularnie przecinających niebo błyskawic. Potknął się i upadł, przebiegł kilka metrów i zderzył się z sosną, której kora podrapała mu ramiona. Błyskawica oświetliła przecinkę między drzewami – pobiegł w tym kierunku. Dostrzegł srebrny błysk ogrodzenia z drutu kolczastego. Wsunął się pod jego dolną część, ślizgając się w błocie i oblepiając się nim od stóp do głów.

Przedostał się na drugą stronę i, kuśtykając, skierował w kierunku nieutwardzonej drogi. Powinna go w końcu doprowadzić do jakichś ludzi. Próbował zorientować się, gdzie się znajduje. Po prawej droga skręcała w ciemność, z której wybiegł. Po lewej wiodła prosto, w kierunku cywilizacji.

Pognał szybko w lewo, wdzięczny za pustą i gładką nawierzchnię, na której nie czaiły się przeszkody. Miał dosyć wymijania sosen.

Biegł. Nie zwracał uwagi na nic, prócz dotkliwego bólu w nogach, szalonego tempa, w jakim waliło jego serce i łańcuchów, które ciążyły mu na rękach.

Nagle za jego plecami pojawiły się światła samochodu, usłyszał szorowanie opon po żwirze, silnik wchodził na coraz wyższe obroty. Kiedy oświetliły go światła nisko osadzonych reflektorów, zaczął biec jeszcze

szybciej, jakby poczuł ciężar na plecach. Samochód przyspieszał, jadąc za nim. Luke skręcił ostro w prawo. Trafił na rów biegnący wzdłuż drogi, a za nim kolejne ogrodzenie z drutu. Samochód nie da rady pokonać rowu.

Zsunął się po zboczu porośniętym mchem, a potem wspiął się na drugą stronę i przeczołgał pod płotem. Sosny rosły tu gęsto. Deszcz padał coraz mocniej, wiatr też się wzmaczał. Luke odbijał się od pni drzew, próbując biec tak szybko, jak to tylko było możliwe. Okręcił łańcuchy dookoła ramion, aby stłumić ich dzwonienie.

Słyszał za sobą odgłosy pościgu, biegli pośród drzew. Światło latarki oświetliło jego ramiona, podbiegł do kupy przewróconych sosen. Wślizgnął się pod gałęzie. Tam gdzie jeszcze przed chwilą była jego stopa, trafił pocisk wystrzelony przez jedno z nich. W tym deszczu trudno było dobrze wycelować.

Krzyk narastał mu w gardle, ale pozwolił sobie tylko na jęk. Po omacku wślizgnął się pod górę przewróconych sosnowych pni – między nimi utworzył się wąski przesmyk. Miał nadzieję, że nie pcha się w ślepy zaułek albo do nory grzechotnika. Dostrzegł wyłom, wysunął się przez niego i chwycił nie stanął na nogach.

Biegł jeszcze kilka minut, nim opadł z sił i bezwładnie oparł się o jeden z grubych pni.

Kiedy próbował złapać oddech, niemal nieprzytomny ze zmęczenia, usłyszał przed sobą warkot silnika.

Przemoczony do suchej nitki podążył za cichnącym dźwiękiem. Minutę później wyszedł na kolejną drogę. Utwardzoną. Na jej środku, w strugach deszczu, lśniła wymalowana linia ciągła. Droga międzystanowa albo lokalna. W oddali dostrzegł czerwone światła samochodu. Omijał jakiś ciemny kształt stojący na poboczu.

Ktoś się zatrzymał z powodu deszczu. Luke pobiegł w tym kierunku.

Ciężarówka. Była sześć metrów od niego, kiedy kierowca włączył kierunkowskaz i pojazd ruszył do przodu.



Z powrotem na drogę.

Nie, pomyślał. Musiał się stąd natychmiast wydostać albo go zabiją.

Z tyłu ciężarówka widniał napis WINGED FEET TRANSPORTATION  
Houston/Beaumont/Tyler.

Jej lewe koła znalazły się na asfalcie.

Luke biegł, każdy jego mięsień krzyczał. Tył ciężarówka znajdował się zaledwie trzy metry od niego, ale droga była śliska. Potknął się, prawie upadł, lecz utrzymał się na nogach. Złapał za tylne drzwi i wspiął się na masywny, metalowy zderzak. Stał na nim i próbował otworzyć pakę, ale była zamknięta na klucz.

Nieważne – dobrze, że uciekał przed pościgiem. Przycisnął twarz do mokrych drzwi ciężarówka i pewniej stanął na szerokim zderzaku, który równocześnie pełnił funkcję stopnia.

Założył łańcuch na klamkę, tym sposobem zyskał prowizoryczne zabezpieczenie. Ramiona trzęsły mu się jak galareta. Zastanawiał się, czy nie zaalarmować kierowcy – ale wtedy ciężarówka by się zatrzymała, a wówczas mogą ich dogonić Mouser i Snow. Lepiej po prostu uciekać.

Pojazd powoli nabierał prędkości, aż rozpędził się do jakichś sześćdziesięciu na godzinę. Deszcz i wiatr targały Lukiem. Słyszał własny oddech, trząsł się z zimna.

Usłyszał świst, potem kolejny, przyczepa zakołysała się pod uderzeniem powietrza. Wyminęły ich dwie ciężarówka jadące w przeciwnym kierunku.

Jak długo tak jechał? Dziesięć? Dwadzieścia minut? Bolały go przykurczone nogi, mocno trzymał się klamki, łapiąc równowagę. Jeśli spadnie, to skręci sobie kark.

Może jego prześladowcy wciąż szukali go w lesie, nie wiedząc, że udało mu się stamtąd uciec, kiedy dostał skrzydeł u nóg. Niezdolnie bolały go ramiona. Nie może tak stać wiecznie, może nadszedł czas, żeby dać znać kierowcy...

Wyczuł, że z tyłu ktoś nadjeżdża. Obejrzał się i zobaczył światła samochodu – nisko nad ziemią, nie była to ciężarówka, tylko samochód osobowy.

Światła zbliżały się szybko, jak nieubłagane pełznący wąż, który hipnotyzuje wzrokiem.

To nie mogą być oni, przekonywał siebie Luke. W najgorszym razie kierowca da znać szoferowi w ciężarówce i Luke będzie musiał zakończyć jazdę.

Sedan podjechał blisko ciężarówki, jak gdyby kierowca chciał obejrzeć dziwnego, wielkiego robala, który trzymał się jej drzwiczek. Mercedes.

Mercedes podjechał jeszcze bliżej.

Luke poczuł szarpnięcie hamulców, a potem szorowanie opon po asfalcie. Kierowca ciężarówki ostrzegawczo zwolnił.

Sedan odrobinę zwolnił, wyminął ciężarówkę, a potem przyspieszył.

Przez ścianę deszczu Luke zobaczył obserwującą go Snow. Uśmiechała się. Potem mercedes zniknął mu z oczu, jechał przeciwnym pasem w stronę czoła ciężarówki.

Chcą mu odciąć drogę, zmusić go, żeby się zatrzymał, zdał sobie sprawę Luke. Niestety ciężarówka zbyt szybko przyspieszała, aby mógł z niej zeskoczyć.

Powoli przesunął się na bok zderzaka, żeby zerknąć, co się dzieje z przodu. Mercedes jechał blisko kabiny kierowcy, okno od strony Snow było uchylone, machała do kierowcy, żeby zwolnił.

Ciężarówka zwolniła, zakołysała się, a potem znowu nabrała prędkości.

Może kierowcy nie spodobało się to, co zobaczył. Z tym chorym uśmiechem Snow wyglądała jak wariatka. Może wioził coś wartościowego i nie miał ochoty zatrzymywać się na takim pustkowiu tylko dlatego, że machał do niego inny kierowca.

Znów wyjrzał do przodu. Mercedes schował się na swój pas, aby zrobić miejsce ciężarówce pędzącej z przeciwka, jej donośny klakson zagłuszył ryk burzy.

Luke czuł, że ramiona ma zdrętwiałe aż do kości, jego mięśnie były boleśnie przykurczone. Zdjął łańcuchy z klamki i zamiast tego złapał się jej dłońmi, zrozpaczony sprawdzał, czy drzwi są naprawdę zamknięte na

głucho. Gdyby tylko mógł się jakoś dostać do środka, wślizgnąć się tam, wtedy Mouser i Snow nigdy by go nie znaleźli...

Usłyszał odgłos strzału. Ciężarówka przechyliła się, skrzyła i Luke niemal spadł na drogę. Uchwycił się klamki i mocniej stanął na zderzaku.

Ciężarówka zjeżdżała z drogi, przechylała się i trzęsła, kiedy gałęzie sosen i dębów łamały się na jej drodze. Gruby pień rozpadł się w drzazgi i obok Luke'a przeleciała chmura odprysków drewna i sosnowych igieł.

Ciężarówka pędziła w dół zbocza, dostrzegł, że mijają wjazd na most.

Ciężarówka spadała, wytracała prędkość, miażdżąc mijane drzewa. Kiedy wokół zaczęły fruwać kawały błota, Luke przyłożył twarz do metalowych drzwi.

Gdyby wciąż miał łańcuchy zakręcone dookoła klamek tylnych drzwi, to pewnie szarpnięcie towarzyszące składaniu się ciężarówki na pół wyrwałoby mu ręce ze stawów. Instynktownie próbował znaleźć dobry moment na skok, ale kiedy w coś uderzyli, dookoła zapanował chaos.

Zgniecie cię to żelastwo, pomyślał, lecz wtedy drzwi się otworzyły i wyrzuciło go w górę; przekoziółkował obok miażdżonej przyczepy.

Powietrze. Spadając, otworzył oczy i ujrzał pod sobą zbliżającą się z dużą prędkością powierzchnię rzeki.

Woda. Lodowato zimna i ciemna.

Łąd. Uderzył ramieniem w kamieniste dno rzeki.

Odbił się ku górze, wypłynął na powierzchnię, żeby zaczerpnąć powietrza. Czasu starczyło tylko na jeden haust.

Potem łańcuchy pociągnęły go w dół.

Ogień. Żar, który przepływał rzeką jak puls. Prąd pchał go do przodu, siła wybuchu znów wyrzuciła go na powierzchnię i dojrzał szare niebo, świt przebijający się przez chmury.

Potem porwała go rozszalała rzeka.

## 10.

Luke wypłynął na chwilę na powierzchnię, prąd niósł go w dół rzeki, znów się zanurzał i walczył, aby znowu wypłynąć. Silny nurt niósł go już chyba całą wieczność. Próby utrzymania głowy nad wodą i zaczerpnięcia powietrza były męczarnią. Przycisnął łańcuchy do siebie, przerażony, że mogą się zaczepić o skałę lub powalone drzewo i pociągnąć go za sobą na pewną śmierć. Ich ciężar był jak uchwyt łap ciągnących w głębię, w której czeka wieczny odpoczynek. Nagle przed nim pojawił się zakręt rzeki i prąd wyrzucił go na mieliznę, jej brzegi były porośnięte cyprysami i sosnami. Potem jednak woda ponownie porwała go w swój nurt. Próbował walczyć, płynąć. Znowu został rzucony w pobliże brzegu, dostrzegł ciemny kształt zanurzony w wodzie. Butwiejące drzewo. Jego ostro zakończone gałęzie wystawały sponad wody.

Luke, resztką sił, zarzucił łańcuchy na jedną z gałęzi.

Zatrzymał się. Mógł oddychać. Leżał w wodzie z głową ponad jej powierzchnią, spragniony powietrza. Powoli podciągnął się bliżej drzewa. Użył łańcuchów, żeby zahaczyć się o gałęzie bliżej brzegu i w końcu upadł w zimne błoto.

Otrzeźwił go ból w ramionach i klatce piersiowej. Powoli wstał i pokuszył w gęstwinę porastającą brzeg. Korony cyprysów i sosen tworzyły sklepienie nad jego głową, niemal całkowicie chroniąc od deszczu. Za nim

płynęła chłostana ulewą rzeka, brudna od spływającego do niej błota. Na jej brunatnej powierzchni unosiły się białe plamy; paczki krewetek i ryb świeżo wyłowionych z zatoki.

Ładunek ciężarówki.

Będą mnie szukać.

Szybko wspiął się na wysoki brzeg i niepewnym krokiem ruszył w stronę sosen.

Proszę, Boże, pomyślał, daj temu kierowcy ciężarówki wyjść z tego cało.

Luke oddalał się zarówno od rzeki, jak i drogi, szedł w głąb lasu. W czasie marszu dokonał przeglądu. Spodnie oblepione błotem. Koszula rozdarta, guziki pourywane w czasie zmagania z rwącą rzeką. Spojrzał w dół: święty Michał srebrzył się na jego piersi. Dzięki Bogu, pomyślał, nie zgubiłem go. Stracił jeden but i skarpetkę, ale błoto wydawało mu się dość przyjemne w dotyku. Jego pieniądze i portfel zostały w domku. Nadgarstki miał zakrwawione i poobdzierane do żywego przez kajdanki.

Szedł. Nasłuchiwał odgłosów pościgu, ale słyszał tylko delikatny szum deszczu.

Mouser i Snow byli z Mrocznej Drogi. Ci wszyscy rozczarowani państwem, których znalazł, mogli do niej należeć. Ta grupa naprawdę istniała. Był o tym przekonany. Mówili o podkładaniu bomb w kasynach. Umysł pracował mu jak szalony. Twierdzili, że przysłał ich jego ojczym. To nie miało sensu. Nie mogli być jednocześnie od Henry'ego i z Mrocznej Drogi.

Nagle uderzyła go pewna myśl. Czy Henry może mieć coś wspólnego z Mroczną Drogą? Nie wydawało się to możliwe. Ale to, że odmówił zapłacenia za niego okupu, też brzmiało nieprawdopodobnie.

„Kto jest twoim klientem w tym projekcie?” – pytał Henry'ego. „Po co ci potrzebne te badania?”. Henry uśmiechnął się i wymigał od odpowiedzi, chyba go przekupił ofertą lukratywnej posady, żeby nie zadawał więcej pytań.

Luke wręczył mu wypowiedzi z grup dyskusyjnych i imiona, pokazał

też sposób na nawiązanie kontaktu z setkami potencjalnych ekstremistów. Podał ich Henry'emu jak na tacy. Bóg jeden wie, kim naprawdę był jego klient.

Musiał znaleźć telefon. Zawiadomić policję.

Nagle natknął się na polanę wśród sosen. W mokrych ciemnościach dojrzał małą chatkę. Pomalowana na biało, weranda z tyłu wychodziła na rzekę, huśtawka i niewyściełane wiklinowe krzesła. Mały pomost do łowienia.

Podbiegł do tylnych drzwi chaty i zapukał, ale nie było odpowiedzi. Zastłony we wszystkich oknach były zaciągnięte. Nasłuchiwał przy szybie, ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Obszedł dom; z drugiej strony stał niewielki, jednostanowiskowy garaż, prowadził do niego nieutwardzony podjazd biegnący od ubitej drogi, była tam też szopa na narzędzia.

Drzwi szopy zamknęto na kłódkę. Podniósł kamień i próbował ją rozbić mocnymi uderzeniami. Nic to jednak nie dało.

Pobiegł z powrotem w kierunku domku. Zawahał się, czy rozbić szybę. Jednak był zdesperowany, poza tym tego wymagała nowa rzeczywistość, w której się znalazł. Musiał się do niej przyzwyczaić.

Zbił szybę. Nie rozległ się żaden alarm. Namacał zamek, otworzył go i wszedł do środka.

Trząśnięcie z zimna, więc włączył ogrzewanie. Urządzenie zahuczało, budząc się do życia, a z wylotów ciepła dobył się zapach kurzu. Chata była dobrze wyposażona; miejsce na weekendowe wypady, pomyślał. Chciał coś zjeść, napić się dla rozgrzewki odrobinę whisky i zdjąć te brudne i przemoczone ubrania. Jednak najbardziej chciał się uwolnić z kajdanek. Przeszukał kuchnię i w jednej z szuflad znalazł pęk kluczy.

Pospieszył z powrotem do szopy i zaczął je wypróbować. Trzeci klucz otworzył zabrudzoną od uderzeń kłódkę.

Na ścianie wisiało sporo narzędzi. Dostrzegł to, czego potrzebował – wiertarkę.

Włożył wiertło w zamek kajdanek; musiał trzymać wiertarkę pod niewygodnym kątem. Włączył ją i zaczął wiercić. Metalowy zamek zazgrzytał,

a potem zaczął ustępować. Kajdanki dygotały pod wpływem wiercenia; nareszcie zamek się rozpadł. Rozkuł prawą rękę i poczuł, jak zrzuca z niej ciężar. Skóra pod kajdankami była zdarta, zakrwawiona i opuchnięta. Zaraz potem uwolnił lewą rękę.

Luke odłożył narzędzia na miejsce i zamknął szopę. Kajdany wrzucił do kosza w kuchni.

Nie było w niej telefonu. Przeszukał resztę domu, dwie sypialnie, dwie łazienki, schowek, żadnego telefonu. Dziwne. Jednak teraz wszyscy używali komórek, więc pewnie właściciel nie potrzebował telefonu stacjonarnego.

Podszedł do wybitej szyby. Nikt go nie gonił; wśród ociekających wodą sosen nie było śladu Mousera lub Snow. Był bezpieczny, nie wiadomo tylko na jak długo.

Nie włączał światła. Zdjął z siebie zniszczone ubrania i wszedł pod gorący strumień wody z prysznicą. Kiedy skończył się myć, owinął się ręcznikiem. W jednej z szaf w sypialni znalazł męskie ubrania. Luke miał prawie metr dziewięćdziesiąt, ale dzinsy, które znalazł, były i tak trochę za długie i za szerokie w pasie. Lepsze to, pomyślał, niż gdyby miały być za małe. Znalazł szarą bluzę z długimi rękawami, flanelową koszulę i kurtkę. Nie było butów, tylko kalosze; włożył je i białe skarpetki, które też znalazł, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać.

W łazience nałożył żel antybakteryjny na swoje poranione nadgarstki i zawiązał je bandażem. Wyglądał, jakby próbował ukryć próbę podcięcia sobie żył. Ale znów czuł się jak człowiek. W apteczce było kilka fiolek z nazwiskiem Olmstead. Ukrywał się w domu Olmsteadów. Miał nadzieję, że byli to mili, wyrozumiali ludzie. Nagle poczuł przejmujący głód, który przez długie godziny tłumiła adrenalina. Ostatnim jego posiłkiem był lunch zjedzony w dniu, kiedy odwoził Henry'ego na lotnisko, wieki temu.

W lodówce nie było zbyt wiele – stoik dżemu truskawkowego, przeterminowane mleko i śmietana, kilka puszek piwa.

W spiżarce znalazł masło orzechowe oraz puszkowane warzywa i zupy. W zamrażarce leżało kilka steków, bochenek chleba i dwie wegetariańskie pizze. Przygotowanie steku trwałoby zbyt długo. Podgrzał zupę pomidorową i włożył jedną pizzę do piekarnika.

Stał, czekając, aż zupa się podgrzeje, wdychając aromatyczną parę, w oddali, obok cichnących odgłosów burzy, usłyszał odgłos śmigieł helikoptera, ale zanim podszedł do okna, już go nie było.

Jedząc gorącą zupę, włączył telewizor i znalazł całodobowy kanał informacyjny nadawany z Teksasu. Większość informacji dotyczyła ulewnych deszczów we wschodnim Teksasie i zachodniej Luizjanie. Podawali, że w niewielkim miasteczku Ripley wykoleił się pociąg wiozący chemikalia, nastąpił ogromny wyciek chloru, ale deszcze pomogły zapobiec rozprzestrzenianiu się trucizny. Trzydziestu zabitych, setki rannych, całe miasto i obszar trzydziestu kilku kilometrów wokół niego zostały tymczasowo ewakuowane. Burze powstrzymały zagrożenie.

Czy był to wypadek, czy też, jak sugerują niektórzy przebywający na miejscu, to bomba podłożona na torach spowodowała wyciek...

Bomba. Mouser i Snow mówili o podkładaniu bomb.

Luke ukląkł przed telewizorem, nie czuł smaku zupy. Znów mówiono o skutkach szalejących burz: w Lufkin utonęło dwoje ludzi, kolejna osoba została porwana przez wodę w Longview, w pobliżu Braintree miał miejsce tragiczny wypadek – pokazywano nakręcone z helikoptera ujęcia ciężarówki zanurzonej w rzece. Jej kierowca został uznany za zaginionego, trwały poszukiwania.

Zaginiony. Proszę, niech nic mu nie będzie, pomyślał. Proszę. Jednak z powodu wystrzału i siły uderzenia wiedział, że są na to małe szanse.

Podbiegł do zlewu i poczekał, aż minie fala mdłości. Spojrzał na ekran, kiedy znów pojawił się na nim prezydent.



– Brutalna strzelanina na ulicy w pobliżu centrum Houston została sfilmowana przez kamerę umieszczoną przy jednym z bankomatów, jest w nią zamieszany pasierb jednego ze znanych dyrektorów pewnego ośrodka analityczno-badawczego. – Prezenter oddał głos reporterowi stojącemu w deszczu na parkingu bankowym, gdzie Eric zastrzelił tego bezdomnego.

Potem pokazano widok z kamery wychodzącej na parking. Zobaczył nadjeżdżające bmw należące do niego. Swoją własną twarz, kiedy hamował, odcinając drogę człowiekowi uciekającemu w kierunku bankomatu. Potem Luke rzucił się na Erica, którego twarzy nie można było dojrzeć. Bmw wyjechało poza kadr, a potem znów się w nim znalazło, kiedy opuszczało parking, przejeżdżając obok martwego mężczyzny, tablice rejestracyjne były niewyraźne, ale widoczne. Policja musiała popracować nad taśmą, żeby odczytać numery.

– Samochód użyty w czasie strzelaniny jest zarejestrowany na nazwisko Luke'a Dantry'ego z Austin, jest on pasierbem Henry'ego Shawcrossa, cieszącego się szacunkiem szefa jednego z ośrodków analityczno-badawczych zajmujących się polityką. Rysopis Dantry'ego: metr dziewięćdziesiąt, brunet, oczy niebieskie, szczupłej budowy, dwadzieścia cztery lata. Dantry studiuje psychologię na Uniwersytecie Teksaskim.

Kamera pokazywała teraz jego zdjęcie z prawa jazdy, z lekkim uśmiechem na twarzy. Nigdy go nie lubił, ale teraz miał wrażenie, że wygląda jak człowiek, który za bardzo próbuje wyglądać na uczciwego i mu się to nie udaje.

– Porzucony samochód znaleziono na parkingu niedaleko lotniska Dallas/Fort Worth. Dantry dostał mandat za zbyt szybką jazdę na przedmieściach Mirabeau, na kilka godzin przed strzelaniną, policjant zeznał, że podejrzany nie był sam w samochodzie. Oto co wczoraj miał do powiedzenia na ten temat pan Shawcross.

Na ekranie pojawił się Henry, wyglądał na wycieńczonego i zamyślnego.

– Mam nadzieję, że mój pasierb niezwłocznie odda się w ręce władzy.

Luke to dobry dzieciak, który w przeszłości dokonał kilku niewłaściwych wyborów. Luke, jeśli mnie słyszysz, to po prostu się poddaj, tak będzie najlepiej. – Henry zamrugnął wilgotnymi oczami do kamery.

Potem pojawił się jakiś dureń, który mieszkał w apartamencie piętro niżej.

– Dantry to typ samotnika. Nie odzywał się do nikogo, nie zawierał znajomości, ale nigdy nie przypuszczałem, że może kogoś zastrzelić. – Pokręcił głową. – Powinien być na tyle mądry, żeby nie robić tego przed kamerą. Studenci nie są chyba zbyt rozgarnięci.

Nigdy nie lubił tego faceta. Dupek, którego kilka razy musiał prosić, żeby ściszył muzykę. Zabolało go, że w ogólnokrajowej telewizji został określony jako samotnik. Zawsze tak mówiono o gościach, których ława przysięgłych uznawała za winnych w ciągu kilku sekund. No i Henry, mówiący o jego błędach przeszłości.

Ani słowa o tym, że Luke został porwany, a za jego uwolnienie domagano się okupu.

Nie wspomniano o tym, że jest niewinny.

Henry nawet nie zająknął się, że wie o niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się Luke – zasugerował jedynie jego winę.

„Jesteśmy od twojego ojczyma”. Luke był teraz pewien, że Snow i Mo-user mówili prawdę.

Całkowita zdrada. Nie tylko opuszczony, ale też wrobiony. Poczł gniew.

– Sprowadzę cię do parteru, Henry – powiedział głośno.

Te słowa go zaskoczyły; nigdy nikomu nie groził. W otaczającej ciszy brakowało im mocy, zdawały się dziwaczne i słabe. Nie wiedział, jak zacząć. Ale przerwie to wszystko, powstrzyma Henry'ego, zmusi go, żeby się przyznał do winy. Dlaczego Henry go zdradził, nie było istotne; Luke nie mógł tego pojąć. Liczyło się tylko „tu i teraz”.

Co powiedział jego ojciec? „Pewnego dnia możesz być zmuszony stanąć do walki, Luke. Pomyśl wtedy o Michale. Pomyśl o jego sile i wiedzy, że możesz zwyciężyć”.

Ten dzień właśnie nadszedł.

Luke usłyszał, jak prezenter mówi, że do czasu powiadomienia rodziny dane bezdomnej ofiary nie zostaną ujawnione.

Jedz, odzyskaj siły, powiedział sobie. Pochłonął całą pizzę. Wiedział, że jeśli pójdzie na policję, to zostanie aresztowany i oskarżony co najmniej o pomoc w morderstwie. Dopóki nie zdobędzie informacji, które mogą go oczyścić z zarzutów, kontakt z policją lub prośzenie Henry'ego o pomoc niosły ogromne niebezpieczeństwo. Jak wytłumaczy się z Mrocznej Drogi? W końcu to on przyczynił się do jej utworzenia. Czy ktoś uwierzy, że nie znał jej prawdziwego celu?

Eric. Eric był kluczem. Eric wiedział, co się dzieje – dlaczego porwano Luke'a, dlaczego musiał zginąć ten bezdomny.

Luke wyłączył telewizor. Ogrom tego, co musiał zrobić, przytłoczył go niczym lawina.

Jedynym wyjściem było odnalezienie porywacza i zmuszenie go do wyznania prawdy.

Ofiara samotnie ścigająca porywacza. Bez pomocy policji czy kogośkolwiek innego.

Luke skończył jeść pizzę. Umył talerz i kubek. Kiedy odkładał je do szafki, usłyszał kroki na ganku.

# 11.

Wybił szybkę w drzwiach wychodzących nad rzekę, żeby dostać się do środka. Zakładając, że właściciele raczej nie fatygowaliby się w tej ulewie, żeby sprawdzić stan domku, mogła to być albo policja, albo sąsiad, albo – co gorsza – Mouser lub Snow.

Co zrobili, kiedy ciężarówka rozbiła się i spłonęła? Pobiegli na most sprawdzić, czy Luke zginął. Może zobaczyli, jak wypływa na powierzchnię i płynie z nurtem. Mogli po prostu pójść wzdłuż rzeki – doszliby wtedy do chaty.

Otworzył szufladę i znalazł nóż do steków, trzymał go przy biodrze.

Luke nigdy nie użył noża w walce, ale kiedy uciekł z domu, nosił przy sobie mały nóż. Ten rodzaj broni można było łatwo zdobyć i łatwo ukryć. Posłużył się nim tylko raz, wyciągając go, żeby postraszyć jakiegoś dzieciaka, który napadł go na ulicy w Richmond, żądając pieniędzy, potem szybko zwiął.

Ślady jego obecności w tym domu były oczywiste: mokry prysznic, jego ubrania i kajdany w koszu, ciepły piecyk. Wszedł do zamykanej szpiżarki w kuchni i zostawił lekko uchylone drzwi. Nie mógł się ukryć z nadzieją, że po prostu sobie pójdą. Musiał się z nimi zmierzyć.

Zza zasłonki okrywającej wybitą szybkę w drzwiach wyłoniła się męska ręka i pokręciła gałką drzwi. Luke przyczał się w kuchni.

Drzwi otworzyły się, dał się słyszeć szum wiatru, potem znów ucichł, kiedy drzwi się zamknęły. Nikt nie zawołał: Jest tam kto? Nie był to zatem sąsiad. Intruz stał cicho, jakby nasłuchując.

Luke otworzył usta, aby uciszyć chrapliwy oddech.

Usłyszał odgłosy kroków, zbliżały się.

– Musisz być przerażony – powiedział Mouser z holu. – Ja bym był. Są pewne granice odwagi. – Zapadła cisza, Luke wyobraził sobie, jak Mouser sprawdza z odbezpieczoną bronią wejście do pierwszej sypialni. – Podejrzewam, że twoja cała wyczerpała się tej jednej nocy.

Wystarczyłoby, żeby Luke podszedł do tylnych drzwi po drugiej stronie kuchni i uciekł. W kaloszach. Jasne. Mouser zastrzeliłby go, nim udałoby mu się przebiec przez podjazd.

– Chcę z tobą tylko porozmawiać, Luke.

Półki spiżarki wbijały mu się w plecy. Mouser był cicho. Luke czuł, że półki uginają się pod ciężarem puszek» Rzucone albo wbite w czaszkę sprawiłyby pewnie ból. Nie trzeba było podchodzić tak blisko jak w przypadku noża. Miałby wtedy dwa rodzaje broni, a Mouser raczej nie pomyśli o tym, że ma więcej niż jeden. Chciał wsunąć nóż w tylną kieszeń spodni, ale w spiżarce nie było tyle miejsca, aby tam sięgnąć. Ostrożnie włożył nóż w rękaw koszuli, jego czubek ledwie dotykał mankietu. Potem sięgnął za siebie, po ciężką puszkę kukurydzy.

– Przerażony – Mouser przemawiał do niego tak, jakby uspokajał dziecko. – Trzymanie się tej ciężarówki musiało być dla ciebie wyczerpujące, a potem ta piekielna rzeka. – Mouser znalazł się na widoku, na wprost szpary w drzwiach, przyłożył rękę do pieca, sprawdzając, czy jest ciepły.

Potem spojrzał w prawo na niedomknięte drzwi spiżarni. Podniósł broń z uśmiechem.

– Widzę uciekającego chłopca. To był niezły wyścig. Wyłaź.

Luke otworzył drzwi jedną ręką.

Mouser uśmiechnął się. Luke mógł przyjrzeć się jego twarzy. Był wyższy od Luke'a, miał dobre dwa metry, był bardzo umięśniony. Jego twarz

miała chłopięcy wyraz – policzki mu się zarumieniły od deszczu i wiatru. Koszula i spodnie były pochłapane błotem, w którym biegł, goniąc Luke'a. Miał krótko ostrzyżone, ciemne włosy, a jego brązowe oczy wydawały się pełne jakiegoś chorego rozbawienia, choć pozbawione były ciepła. Sińce pod oczami wskazywały na to, że jest wyczerpany.

– Rzuć to, co masz w ręku! – rozkazał Mouser.

Luke upuścił na wyłożoną płytkami podłogę ciężką puszkę kukurydzy. Zatrzymała się u stóp Mousera, a ten się zaśmiał.

– Kukurydza to śmiertelna broń. Wyjdź powoli. Ręce na głowę. Porozmawiamy sobie.

Luke pokręcił głową. Nóż do steków schowany w rękawie tkwił w nim luźno, mógł się wyslizgnąć ze swojej kryjówki. Ostrze chłodziło mu skórę.

– Musimy spokojnie porozmawiać. Ten kierowca ciężarówki... nie był w planach – powiedział Mouser, jak gdyby skrucha mogła zmienić fakt, że zamordowali człowieka. – Moją kumpelkę trochę poniosło.

Luke nie odpowiedział.

– Chcę, żebyś mi wyjawiał, kto cię porwał, Luke.

Luke się nie odezwał. Niech gada, pomyślał. Niech powie jak najwięcej.

– Nie będę się powtarzał. – Mouser uderzył go w twarz. Było to mocne, okrutne uderzenie, wydawało się, że oderwie mu mięśnie od kości. Luke uderzył o lodówkę, ale utrzymał się na nogach.

– Morderstwo jest gorsze niż porwanie. Chcieliście mnie zabić – odezwał się wreszcie Luke.

– Doprawdy? Ja chciałem z tobą tylko porozmawiać. Dobra. Twój ojczym chce, żebyś wrócił w jak najlepszym stanie. Nie zmuszaj mnie, żebym cię maltretował, chłopcze.

– Henry na pewno się martwi, że skopię mu tyłek, kiedy go zobaczę.

– Nie lubię kłótni rodzinnych. Wróćmy do konkretów. – Podniósł rękę gotową do drugiego ciosu, poruszając palcami w oczekiwaniu, i zaśmiał się, kiedy Luke się cofnął. – Kto cię porwał?

- Nie wiem, jak on ma na imię.
- Jeden facet?
- Tak.

Mouser spojrział na niego, jakby poddanie się jednemu uzbrojonemu na-  
pastnikowi było jakimś grzechem.

- Opisz mi go.
- Jeśli to zrobię, to co się stanie?
- Nie wbiję ci tyłka w ziemię i zabiorę cię do ojczyma.
- Zabijesz mnie. Już próbowałeś. Strzelaliście do mnie w lesie i zabili-  
ście tego kierowcę ciężarówki.
- Na pewno? – Mouser udawał urażonego. – Strasznie grzmiało. Jesteś  
wykończony. Nie wiesz, co słyszałeś.

Luke postanowił powiedzieć Mouserowi tyle, żeby zachęcić go do ga-  
dania, ale nie wszystko, żeby nie stał się zbędny. Zdał sobie sprawę, że to  
wszystko jest bardzo podobne do internetowych dyskusji z ekstremistami.  
Tylko że zamiast ekranu miał przed nosem pistolet.

Luke odchrząknął.

- Ten facet porwał mnie na lotnisku. Zmusił mnie, żebym jechał do  
Houston; zastrzelił bezdomnego człowieka. – Przerwał. – Wiesz, kim był  
ten bezdomny?

– Gadaj dalej, albo złamię ci nos. Twoją puszką kukurydzy – ponaglił  
go Mouser.

Pierwsza próba się nie udała.

- Zadzwoił gdzieś i podjechaliśmy do tamtego domku. Zrobił mi  
zdjęcie, komuś je wysłał. Znaleźliśmy kobietę przykutą łańcuchami do  
łóżka. Zostawił mnie zamiast niej. Potem zadzwonił do mojego ojczyma,  
który mnie zdradził.

- Tak, wiem o tej greckiej tragedii w twojej rodzinie. Co jeszcze?
- On nie jest moim ojcem. Mój ojciec nie żyje.

– Nie interesuje mnie to. Każdy kiedyś umrze. – Mouser znowu go uderzył; ból rozszedł się po całej szczęce, aż po szyję. Zbliżył twarz do twarzy Luke'a, jego oddech był kwaśny. – Trzymajmy się tematu.

– Wcześniej zadzwoniła do niego jakaś Brytyjka.

Mouser się skrzywił.

– Kim ona jest?

Luke postanowił, że nie zdradzi mu imienia Jane. Jeśli zbyt wiele powie, może się okazać niepotrzebny.

– Nie wiem. Nie wymienił jej imienia.

Mouser spojrział na niego, zastanawiając się nad czymś.

– Opisz swojego porywacza. – Mouser podniósł pistolet.

Nie wycelował go w Luke'a, ale przyglądał się mu, jakby podziwiał stal, z której wykonano broń.

Luke wziął głęboki oddech. Eric był wysoki; Luke powiedział, że średniego wzrostu. Eric miał ciemne włosy; Luke określił je jako ciemny blond z początkami łysiny. Eric mówił bez akcentu, zatem Luke wspomniął o mocnym bostońskim akcencie.

– Coś ci pokażę. – Mouser pchnął go na krzesło stojące przy kuchennym stole. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i podał Luke'owi czarno-białe zdjęcie wydrukowane z komputera. Był na nim Eric.

Mouser usiadł naprzeciwko.

– Przemyśl swój opis. Dobrze się zastanów. Wygląda znajomo?

– Nie.

Mouser się uśmiechnął.

– Jesteś psychologiem, prawda? Wiesz, że kiedy kłamiemy, widać to po nas. Poruszanie oczami, ruchy ust. Najbardziej widoczne u tych za bardzo zmęczonych lub wykształconych. – Wycelował broń prosto w Luke'a. – Widziałeś tego gościa, tak czy nie?

– Tak. – Patrzył na pistolet, zastanawiając się, czy teraz oberwie kulę w pierś.



- Wspominał coś o pieniądzach?
- Tylko tę absurdalną kwotę, której chciał od Henry'ego.
- Mówił o jakichś miejscach? Datach? Coś o drodze? Wspomniał o Piekielnym Ogniu?

Teraz decyduje o twoim życiu lub śmierci, zdał sobie sprawę Luke. Przygryzł wargę.

– Nie pamiętam wszystkiego, co mówił, nie kiedy tak we mnie celujesz...

– Nie zabiję cię, Luke. Zaufaj mi. Henry bardzo chce się z tobą zobaczyć, żeby ci wszystko wytłumaczyć.

Zaufaj mi. Jasne. Henry mówił to samo ostatnim razem, kiedy się wiedzieli. Zaufaj mi, możemy zmienić świat. Eric też tak mówił, obiecując mu, że go wypuści, jeśli będzie współpracował. Nie miał już do nikogo zaufania.

– Powiedz mi, czy znalazłem cię dla Henry'ego w Internecie?

Mouser przyjrzał się mu.

– Nie spędzam w sieci zbyt wiele czasu. Innych tak, ale nie mnie. A teraz powiedz mi, jakie imiona wspominał.

– Imiona, tak. Daj mi się chwilę zastanović. – Czuł ciężar noża schowanego w rękawie.

– Skup się. Podobno jesteś takim mądrym chłopcem.

Luke skulił się nad stołem. Opuścił dłonie i udawał, że się trzęsie, nóż zaczął się zsuwać do jego dłoni schowanej pod stołem.

– Wspominał mojego ojczyma... mówił coś o Mrocznej Drodze, ale nie rozumiałem tego, to była nazwa, którą wymyśliłem dla Henry'ego...

– Wspomniał ją?

– Tak, mówił coś o Piekielnym Ogniu... To jakiś kryptonim? – skłamał, ale zadziałało.

– Powiedz mi, co mówił. – Głos Mousera przestał być spokojny.

Luke pod stołem złapał nóż za rękojeść. Przez chwilę sparaliżował go strach. Ty masz nóż, on ma pistolet. A tak na serio, jak to się twoim zdaniem skończy?

– Czy mogę prosić o papier i coś do pisania, żebym mógł spisać wszystko, co pamiętam? – powiedział z udawaną płaczliwością.

Mouser wstał i przeszedł obok Luke'a w kierunku kuchennych szuflad, wtedy Luke wbił nóż w jego nogę. Nóż przeciął spodnie i zagłębił się w ciele Mousera.

– Jezu! – krzyknął Mouser, kiedy skulił się z zaskoczenia.

Instynktownie złapał za rękojeść noża. Jednak kiedy Luke uskoczył w bok, Mouser puścił nóż i złapał Luke'a za szyję w żelaznym uścisku. Z wprawą wyszukał na jego szyi rozgałęzienie nerwów i żyłę.

Luke poczuł potworny ból. Sięgnął do tyłu i przekręcił rękojeść noża, Mouser puścił go, wydając z siebie coś pomiędzy rykiem a wrzaskiem.

Luke przeczołgał się po podłodze i złapał ciężką puszkę kukurydzy, którą wcześniej upuścił, po czym rzucił nią mocno w Mousera. Puszka uderzyła go w czoło w chwili, kiedy próbował się podnieść. Mouser znów upadł na podłogę, wpatrując się w nią, jakby nie do końca rozumiał to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej minuty.

Luke nie miał zamiaru ryzykować znalezienia się w pobliżu Mousera; dostał lekcję, kiedy próbował bić się ze Snow. Pomyślał: uciekaj. Wybiegł z chaty. Nie było samochodu. To znaczy, że Snow jeździła w górę i w dół drogi prowadzącej wzdłuż rzeki, polując na niego tak samo jak Mouser.

Wbiegł w gęstwinę sosen.

## 12.

Czekanie było dla Henry'ego Shawcrossa udręką. Policja pojechała, nie odbierał telefonów od prasy, po tym, jak wydał krótkie oświadczenie, stojąc na ganku własnego domu, w reakcji na pokazany mu przez dziennikarza film ze strzelaniną w Houston. Bardzo to nim wstrząsnęło; nienawidził być nieprzygotowany. Nie miał zamiaru z nikim rozmawiać, chyba że z Mouserem, Lukiem albo porywaczem, który będzie chciał dobić targu.

Przez pięć minut niewzruszony oglądał relacje z katastrofy w Ripley, ulewne deszcze spowodowały, że chlor opadł. Jednak udało się dokonać trochę zniszczeń, Amerykanów ogarnął nastrój paniki. Politycy w ostrych słowach domagali się wiedzy o tym, czy przewozy towarowe w Stanach Zjednoczonych są bezpieczne, czy nie istnieje zagrożenie dla fabryk chemicznych na terenie całego kraju, w których przechowywano chlor. Oczywiście wszystkim im zależy tylko na chronieniu własnych tyłków, pomyślał. Ci durnie potrafią się troszczyć tylko o to.

Jednak wszyscy oni – należący do jego klientów lub wkrótce mający nimi zostać – chcieli wiedzieć, co się teraz stanie. Wśród wielu artykułów na temat planu działania, jakie opublikował w ciągu ostatnich tygodni, wszystkie omawiały potencjalne formy ataku, zainspirowane trendami pojawiającymi się w zagranicznych zamachach lub, potajemnie, ambicjami Mrocznej Drogi.

Recepta na sukces była prosta. Przepowiadasz atak, a kiedy dojdzie do skutku, wszyscy najbardziej wpływowi ludzie w Waszyngtonie słuchają tylko ciebie. Chciał takiej właśnie władzy i szacunku. Jego druzgocący, ale proroczy artykuł o możliwości ataku przy użyciu chloru krążył wśród waszyngtońskich oficjeli w zeszłym miesiącu, teraz stał się scenariuszem realnych wydarzeń; jego poczta głosowa pełna była zapytań od potencjalnych klientów jego grupy analityczno-badawczej. Pochodzili oni z rządu i z kręgów prywatnej inicjatywy gospodarczej. Wszystkim zależało na jego ocenie zdarzeń, jego opiniach dotyczących tego, co czeka ich w przyszłości, przewidywaniach dotyczących celów następnego ataku.

To powinna być chwila jego triumfu. Jednak to, co się działo z Lukiem, zepsuło cały efekt. Ci, którzy chcieliby skorzystać z jego usług, obejrzą relację ze strzelaniny, w którą był zamieszany Luke, i pewnie postanowią się wstrzymać. Oznaczało to, że musi zdystansować się od Luke'a i jak najszybciej opublikować nowe artykuły, które dowiodą, że wciąż jest najważniejszym i najbardziej kompetentnym ekspertem w dziedzinie nowoczesnych technik terrorystycznych. Znow będą go szanować. Znajdzie się blisko ośrodków władzy w Waszyngtonie. Luke przestanie się pojawiać w wiadomościach. W najbliższych dniach kraj będzie miał dostatecznie dużo innych zmartwień.

Henry ze smutkiem przypomniał sobie, że matka musiała wynająć magika na jego przyjęcie z okazji szóstych urodzin. „Nie chcę magika, mamo”, i jej szczerą do bólu odpowiedź: „Henry, kochanie, wtedy może dzieci zechcą przyjść na twoje przyjęcie”. Powiedziała to bez namysłu i złośliwości; cechowała ją brutalna szczerłość i lekceważenie cierpienia innych. Henry odziedziczył po niej tylko tę drugą cechę. Siedziała na ocienionym trawniku razem ze znajomymi z sąsiedztwa, którzy niezbyt go lubili i których nie umiał przekonać do siebie. Kiedy dzieci, które właśnie zjawiły się, by obejrzeć pokaz i spałaszować ciasto czekoladowe, wznosiły okrzyki zachwytu, Henry wpatrywał się w miejsca, od których niewprawy,

nastoletni magik chciał odwrócić jego uwagę: ręka w kieszeni, moneta schowana między palcami, nietknięty papier schowany w rękawie. Widział, że nie było w tym magii, tylko odwracanie uwagi widzów.

Czegoś się wtedy nauczył.

Teraz siedział w swoim gabinecie w Arlington w Wirginii, w domu, przed nim stały szachy, które dostał od Luke'a pięć lat temu na Gwiazdkę, prowadził rozgrywkę. Henry wyobraził sobie, że rozparty na krześle Luke siedzi w tej chwili naprzeciw niego w pozycji, którą zawsze przyjmował, kiedy źle mu szło: przechylony w lewo, wsparty na łokciu, dłońią mierzył brązową czuprynę, język wepchnięty w policzek, nucił jakąś rockową melodię, której Henry nie znał. Henry grał czarnymi przeciwko białym, agresywnie atakując pionkami Luke'a. Swoje własne przestawiał z nadmierną ostrożnością. Gońcy i skoczki Luke'a zacieśniali pętlę, jego biała królowa groziła czarnemu królowi Henry'ego, do przegranej brakowało mu zaledwie trzech ruchów.

Właśnie na to zasługujesz, pomyślał Henry. Aby przegrać tę partię, i to z kretesem. Tak samo straciłeś Barbarę. A teraz stracisz Luke'a. Już straciłeś.

Henry wstał znad szachownicy i poszedł zrobić sobie kawy. Znad kubka unosiła się para. Dolał trochę mleka. Pociągnął wzmacniający łyk. Mouser znajdzie Luke'a i zabierze go w bezpieczne miejsce, gdzie Henry będzie go mógł wypytać, a potem sprawić, aby wszystko zrozumiał. Pojął, że Mroczna Droga jest kluczem do wspaniałej przyszłości ich obydwu – drogą wiodącą do szacunku, władzy i znaczenia.

Wrócił do gabinetu. Z lewej strony drzwi nagle wysunęła się dłoń odziana w rękawiczkę, która przytknęła nóż do jego gardła. Gorąca kawa, która wylała się z kubka, poparzyła mu rękę. Henry zamarł i powędrował wzrokiem w kierunku twarzy napastnika. Nie ruszał się, ponieważ wiedział, że człowiek ten zabiłby go bez cienia litości.

– Witaj, Shameless – powiedział mężczyzna z nożem.

Nikt tak Henry'ego nie nazwał od wielu lat. Mężczyzna mówił z południowym akcentem, miał ochryply głos. – Musimy porozmawiać.

Henry zmusił się do zachowania spokoju w głosie.

– Drummond.

– Wylej, proszę, tę kawę na podłogę. Wolę, abyś był nieuzbrojony.

Henry usłuchał. Potem upuścił kubek, ten roztrzaskał się na drewnianej podłodze.

– Dobrze.

– Mogłeś zadzwonić do drzwi. – Jest tutaj, bo wie, pomyślał Henry, wie o Mrocznej Drodze. I Piekielnym Ogniu. Przekonaj go, że się myli, albo zabij. – Na Boga, odłóż ten nóż. Zwariowałaś?

– W kontaktach z tobą wolę bezpośrednio podejście – powiedział Drummond.

– Dzwonek do drzwi byłby bezpośredni. Chowanie się za ostrzem noża nie jest.

– Mój Boże – stwierdził Drummond. – Czyżby przez ostatnie dziesięć lat wyrosły ci jaja, Shameless? Jesteś taki opanowany. A, poczekaj, widzę, że jednak spociło ci się trochę czoło.

– Proszę, odłóż ten nóż.

– Jeszcze nie. Nie zjawiłem się tutaj na towarzyską pogawędkę.

– Nóż na gardle pozwolił mi się tego domyślić.

– Twój pasierb zabił jednego z naszych starych kumpli.

Henry poczuł kompletną pustkę w głowie.

– Co?!

– Facet, którego twój pasierb zastrzelił w Houston, to nasz stary kumpel, Allen Clifford.

– Co?! – Henry nie musiał udawać zaskoczenia; czuł, jak go sparaliżowało. – To... to niemożliwe.

– Powiesz mi, co knujesz razem z tym swoim bachorem – zażądał

Drummond. – Jeśli skłamiesz, zginiesz. Jasne, profesorku?

– Jasne, Drummond.

Drummond opuścił nóż. Obrócił Henry'ego i pchnął go w kierunku stołu.

– Siadaj. Ręce tak, żebym je widział.

Henry usiadł przy szachownicy. Drummond zasiadł naprzeciwko, wciąż trzymając nóż. Henry'emu Drummond zawsze przypominał z wyglądu hydrant. Niski, przysadzisty, o grubej szyi i płaskiej twarzy bez wyrazu z kwadratowym nosem na środku. Drummond rozejrzał się po gabinecie.

– To był kiedyś gabinet Warrena.

– Tak.

– Pamiętam, że kiedy Warren pracował nad jakimś artykułem albo projektem, te ściany były całe pokryte kartkami papieru, zdjęciami, karteczkami samoprzylepnymi, wyglądało to jak eksplozja pomysłów.

– Swoje pomysły przechowuję w głowie.

– Pewnie tam jest bezpiecznie. – Drummond przyjrzał się ścianom: dyplomy Henry'ego, zdjęcia z jego podróży, oprawione medale z Klubu Strzeleckiego Alexandria. – Wciąż strzelasz?

– Tak.

– Zawsze byłeś dobry, Henry, muszę to przyznać. Oczywiście to ja cię tego nauczyłem. A ty nauczyłeś Luke'a? Nauczyłeś go strzelać z samochodu do uciekającego człowieka?

– Warren nauczył go podstaw.

Drummond spojrział na przerwana rozgrywkę na szachownicy.

– Wciąż nie masz przyjaciół i musisz grać sam, Shameless?

Stare, niepasujące do niego przezwisko, gorsza wersja nazwiska Shawcross, sprawiło, że krew napłynęła mu do twarzy. Upokorzenie. Nienawidził Drummonda z całego serca, ale wiedział, że go potrzebuje; musiał się dowiedzieć, dlaczego jego przeszłość i przyszłość tak gwałtownie się spotkały. Wiedział, że Drummond próbuje wyprowadzić go

z równowagi: cała ta szopka z nożem przy gardle, rzucony od niechcenia komplement o umiejętnościach strzeleckich Henry'ego. Standardowe techniki stosowane w trakcie przesłuchań, ciągle przejścia od gróźb do uprzejmości. Henry starał się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Już z holu słyszałem, jak przestawiasz pionki – powiedział Drummond.

– Gra pomaga mi zapomnieć o synu. – Henry chrząknął.

– Masz na myśli twojego pasierba. – Drummond wziął do ręki jeden z pionków – króla należącego do Luke'a – i przyglądał się mu, jak gdyby podziwiając jego wykonanie. – Zawsze lubiłeś grać sam ze sobą.

Henry splótł ramiona.

– Powiedziałaś, że tym zabitym mężczyzną był Allen Clifford. Od kiedy był bezdomny?

– Nie był. Udawał, że jest.

– Udawał?

– Allen Clifford miał się spotkać z facetem, który miał powiązania z rodzimymi ekstremistami, chcieli sprzedać jakieś informacje.

– Informacje? – Henry postarał się, aby jego głos zabrzmiał niepewnie.

– Tak. Istnieje dla nich czarny rynek.

– Zatem Allen Clifford udawał bezdomnego?

– Poprosił go o to facet, z którym miał się spotkać. Informator chciał spotkania na otwartym terenie; transakcja miała wyglądać jak rozmowa dwóch zupełnie niegroźnych koleśków na ulicy. Był bardzo nerwowy. Sądzę, że bał się przebywać w zamkniętym pomieszczeniu... Albo że ktoś może nagrać jego rozmowę.

Ekstremista w Houston, sprzedający informacje. Henry zatroskał się, że ten facet mógł chcieć sprzedać jego dane. Niemożliwe. W Mrocznej Drodze znali je tylko Mouser, Snow i Eric. Kto to mógł być?

– Skąd to wiesz? Dla kogo pracował Clifford? Dla kogo ty pracujesz?



– Dla kogo? Tęskniłem za tobą, Shameless. Clifford i ja byliśmy wolnymi strzelcami. Opowiedział mi o tym wszystkim, zanim tam poszedł. Był sam, nie chciał, żeby ten gość się wystraszył. Twój pasierb musiał wiedzieć o tym spotkaniu. Powiedz mi, co porabiał, odkąd stracił ojca i – tu Drummond się wykrzywił – zyskał ciebie w zamian.

– Luke jest niegroźny. To zwykły student psychologii.

– Niegroźny? Policja z Houston pewnie nie przyznałaby ci racji. Ale ja wiem więcej od nich, dotarłem do spisu stron, na które wchodził, korzystając z domowego łącza, Shameless.

– Nie mów tak do mnie. To brzmi, jakbyś był licealistą.

– Przecież teraz się promujesz, prawda? Zupełnie jak w tej ksywce. Prorok polityki, Freud terrorystycznych umysłów, facet, który twierdzi, że zna terrorystów lepiej niż oni sami. – Drummond kopnął stół i szachowe pionki potoczyły się po podłodze. Przyłożył ostrze do szczęki Henry'ego. – Będę cię nazywał tak, jak na to zasługujesz. Wygląda na to, że twój pasierb odwiedzał setki stron internetowych, na których pojawiają się ludzie o radykalnych poglądach. Porozumiewał się z nimi za pomocą tych stron, korzystając z różnych kont, gorąco popierał ich zapatrywania. Dlaczego?

– Pisał pracę o... psychologii ekstremizmu. Fascynowało go to... odkąd zginął Warren. – Była to prawda. Henry wpatrywał się w stalowoniebieskie oczy Drummonda. Ich kolor przypominał mu niebo, które rozciąga się ponad szczytami gór.

– A zatem to bratanie się z marginesem jest mu potrzebne do pracy? Nie wydaje mi się. Zebrał mnóstwo danych, nawet jak na magisterkę. Sądzę, że jest jednym z nich.

– Nie, nie do pracy; do książki. Pracuje nad książką. – Kłamstwo zabrzmiało w jego ustach nieszczerze. Musiał przekonać Drummonda, w przeciwnym razie Drummond znajdzie Luke'a i zabije. Henry nie miał co do tego wątpliwości. – Powiedział mi o tym.

– Czytałeś albo widziałeś tę książkę?

– Nie.

– Mógł cię zatem okłamać. – Drummond odsunął nóż od gardła Henry'ego i błędził ostrzem gdzieś w okolicy jego rzęs. Henry przygryzł usta. – Czy on o nas wie, Henry? O mnie, tobie i Cliffordzie... i jego ojcu?

– Nie, przysięgam. Luke nic nie wie o Klubie Książki, przysięgam. Nigdy mu nie mówiłem. A nawet gdybym to zrobił, to nie ścigałby Allena Clifforda ani ciebie czy mnie... – Załamał mu się głos. – Pewnie uznałby nas za bohaterów.

– Bohaterów – powtórzył drwiąco Drummond. – Boże, powiedziałaś mu to tylko po to, żeby lepiej wypaść.

– Nie, nigdy mu nie mówiłem o Klubie Książki. Naprawdę, Drummond, dlaczego miałbym to zrobić?

– Żeby się pochwalić.

Henry zakrzuszył się ze śmiechu.

– Czyż to nie była nasza zbiorowa klęska, Drummond? Zatajenie przed światem tego, co wiedzieliśmy?

– W twoim pojęciu, Shameless, w twoim pojęciu.

– Obaj wiemy, że gdyby nas posłuchano, dzisiejszy świat wyglądałby zupełnie inaczej, Drummond.

– Nie interesuje mnie analizowanie przeszłości. Interesuje mnie analizowanie teraźniejszości. Mówisz, że Luke nie wie o naszej przeszłości. Wie jednak o spotkaniu Clifforda i tego ekstremisty, przypadkowo zaplanowanym w dniu zamachu, który napędził niezłego stracha całemu krajowi. Może ten ekstremista to jeden z internetowych kumpli Luke'a?

– Nie – zaprzeczył Henry. – Widziałem nagranie. Luke nie był sam w samochodzie. Ktoś siedział na fotelu pasażera. Może Luke został zmuszony do uczestniczenia w tym wszystkim.

Drummond pokręcił głową.

– Nędzna historyjka. Na Clifforda zastawiono pułapkę. A twój pasierb uciekł z miejsca przestępstwa.

– Założmy, że masz rację – powiedział Henry. Mógł trochę ponaciągać Drummonda i sprawdzić, co mu powie. – Co Clifford miał zamiar zrobić z

tym ekstremistą, kiedy już się z nim spotka? Jak rozległe są wasze kompetencje? Komu miał zamiar go wydać?

Drummond wydał z siebie odgłos niezadowolenia i skrzywił się. Henry widział, że zastanawia się, czy coś powiedzieć, w nadziei, że Henry zrobi to samo.

– Clifford miał zamiar zaciągnąć go do domku we wschodnim Teksasie, niedaleko Braintree, przesłuchać go. Jeśli to konieczne, przy użyciu siły. Zobaczyć, ile da się z niego wycisnąć.

Henry zamrugał oczami. Domek. Szykowano go z myślą o czymś innym niż porwanie Luke'a. Miał tam przesłuchiwać Clifford. Porywacz wiedział, że kiedy Clifford zginie, będzie tam można przetrzymywać Luke'a.

– Luke nie wzięłby dobrowolnie udziału w żadnym przestępstwie – powiedział Henry stanowczo. – Co do Clifforda, to on sam chciał uprowadzić tego ekstremistę. Jesteś tutaj, bo pracowałeś z Cliffordem. Wciąż jesteś tylko najemnym osiłkiem.

Drummond odczekał dziesięć sekund.

– Nie bronisz Luke'a zbyt przekonująco. – Pokręcił głową. – Jego tato nie byłby zadowolony z tego, jaki wyrósł mu synek. Kiepsko się spisałeś. Nie dziwi mnie to.

– Wynoś się z mojego domu albo zadzwonię na policję.

– Nie, nie zadzwonisz. Jak wytłumaczysz się z mojej obecności?

Zapadła cisza. W końcu Henry powiedział:

– Jeśli powiesz mi wszystko, co wiesz o tym spotkaniu, może uda mi się dociec, w jaki sposób został w to wmieszany Luke. Może znajdę w jego materiałach notatki, które ci pomogą.

Dam ci wszystkie informacje, jakie znajdę. Ale musisz mi obiecać, że nie skrzywdzisz Luke'a. Daj mi swoje słowo, jako członek Klubu Książki, że nie zrobisz mu krzywdy.

Drummond zastanawiał się nad tą propozycją dłużej dziesięć sekund.

– Zgoda. – Cofnął nóż.

- Kim był ten ekstremista? Jak się nazywał?
- Jimmy Bridger.

Były chłopak Snow, ten, który zwinął się kilka dni temu, rasistowski śmieć. Snow mówiła, a Bridger rozglądał się, jak sprzedać informacje. Henry utrzymał pokerowy wyraz twarzy.

- Chciał pogadać, a potem chciał ochrony.
- Dla kogo pracowaliście z Cliffordem, że mogliście zapewnić ochronę informatorowi?

Drummond nie zaprzeczył, że mieli z Cliffordem tego samego pracodawcę.

- Dla prywatnego pracodawcy.
- Prywatny pracodawca wykonujący tajne operacje, które leżą w gestii FBI. – Henry uniósł brew. – Czyżby Klub Książki znowu działał?

– Klub Książki umarł razem z Warrenem Dantrym i innymi w tym samolocie, Henry. Wszystko, co zostało z Klubu Książki, to ty – postukał Henry'ego końcem noża w nos – i ja. Teraz, kiedy Clifford nie żyje.

- Pracujesz dla Departamentu Stanu?
- Mówiłem ci, Klub Książki już nie istnieje.
- Okay. – Henry pomyślał, że Drummond pracuje dla kogoś, kto chce się pozbyć terrorystów i z jakiegoś powodu woli pozostać anonimowy. Może to być FBI albo CIA prowadzące nielegalne działania na amerykańskiej ziemi... dotyczące czego? Nie miał pojęcia. Zarówno Drummond, jak i Clifford byli w głębi duszy wyrachowani. – Jak Clifford znalazł tego informatora?

– Śledziliśmy działania tutejszych ekstremistów. Wywieraliśmy naciski na ludzi, którzy chcieli przejść na stronę dobra – powiedział Drummond. – Bridger wspomniał Cliffordowi, że zna szczegóły zbliżającego się ataku o kryptonimie Piekielny Ogień.

Lata planowania i czekania nie mogły pójść na marne, więc Henry nawet nie mrugnął, nie przełknął śliny, nie dał nic po sobie poznać, choć

poczuł, że robi mu się gorąco. Informacje wyjawiane mu przez Drummonda nie były wyrazem jego zaufania. To była próba ognia. Czuł, że Drummond szuka w jego twarzy jakiejś reakcji. Mrugnął tylko raz i miał nadzieję, że nie zdradził swoich uczuć.

– Piekielny Ogień. Ma coś wspólnego z religią.

– To raczej nie są terroryści z Kościoła baptystów. Jeśli wiesz coś o tym, Henry, niezależnie od tego, w co wpakował się Luke, możemy dojść do porozumienia. Teraz jest na to jeszcze czas.

– Nic nie wiem.

– Dzień po śmierci Clifforda w Ripley, w Teksasie, eksplodowała bomba. Na pewno widziałeś to w wiadomościach.

– Ripley to Piekielny Ogień?

– Z opisu Bridgera wynikało, że Piekielny Ogień to coś więcej niż tylko eksplozja jednej bomby. O wiele więcej. Atak na kilka miast.

– Nie mogę ci pomóc. Nie wiem nic, prócz tego, że Luke nie jest terrorystą.

– Nie, on po prostu kontaktował się ze świrami i malkontentami. Ale gdzież, nie jest terrorystą. – Drummond uśmiechnął się przelotnie. – Na kogo go wychowałeś, Henry? Warren wiedział, co to znaczy być ojcem. Ty chyba wiedziałeś tylko, jak to spieprzyć.

– Ty osądzasz mnie? Przypomnij mi, gdzie byłeś, kiedy zginęli nasi przyjaciele? Wszystkie te kliniki odwykowe mają takie podobne nazwy. – Henry patrzył Drummondowi prosto w oczy i, ku swojemu zadowoleniu, dostrzegł, że trafił w czuły punkt.

Drummond podniósł z biurka fotografię przedstawiającą Luke'a, jego matkę i Henry'ego, przyjrzał się jej. Szczęśliwe czasy, zdjęcie zostało zrobione na Hawajach, rok przed wypadkiem samochodowym, w którym zginęła Barbara. Uśmiechali się szeroko. Odstawił zdjęcie.

– Jeśli go ukrywasz, to przestań. Wydaj go mi. Jeśli jest niewinny albo został w to wciągnięty wbrew swojej woli, to pomożemy mu i wróci do

domu z czystym kontem. Jeśli jest winny, to dowiemy się, o co chodzi z tym Piekelnym Ogniem i powstrzymamy go w załączku.

Taktyka Drummonda była niczym innym jak odgrywaniem dobrego gliny, nim znowu zacznie odgrywać złego.

– Nie wiem, gdzie on jest.

– Świat, w którym żyjesz ze swoim pasierbem, Henry, jest dla mnie podejrzanie mały. Ty, Luke Dantry i Allen Clifford spotykacie się wiele lat po tym, jak powiedzieliśmy sobie do widzenia. Siedź tu. Jeśli się ruszysz, to cię potnę. – Drummond zabrał się do fachowego przeszukiwania gabinetu. Henry siedział spokojnie, maskując gorącą w nim wściekłość pewnym sobie uśmiechem. Nie było tu niczego, co mogłoby go łączyć z Mroczną Drogą czy Piekelnym Ogniem. Niech Drummond szuka.

Drummond wstał, kiedy skończył. Zawód w jego oczach był tak widoczny, aż prosiło się, by to wykorzystać.

– Nie wymieniłeś nigdzie nazwiska Clifforda – powiedział Henry.

– Nie.

– Zatem pracujesz dla rządu.

Drummond nie odpowiedział, ale Henry widział, że chce pokazać mu swoją pozycję. Przechwalanie się władzą i pozycją było zawsze słabością Drummonda.

Drummond wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie i podsunął je Henry'emu pod nos. Było to ujęcie z wideokamery zamontowanej w radiowozie, której obiektyw wychodził na przednią szybę. Zdjęcie przedstawiało funkcjonariusza rozmawiającego z dwoma mężczyznami siedzącymi w bmw, kontrola ruchu drogowego. Mandat, który Luke dostał w Mirabeau, przypomniawszy sobie Henry. Rozpoznał niewyraźny profil mężczyzny siedzącego w fotelu pasażera. Eric Lindoe.

Jeśli Drummond znajdzie Erica, to odkryje, że jesteśmy powiązani, pomyślał Henry. Nie sil się na skomplikowane kłamstwa.

– Za kierownicą siedzi Luke. Nie wiem, kim jest ten drugi. Dlaczego ta fotografia nie pojawiła się w prasie?

Drummond zignorował pytanie i postukał palcem w fotografię.

– Zdjęcie nie jest na tyle wyraźne, aby zidentyfikować go po twarzy, ale dowiemy się, kim jest. Jak rozumiem, ostatni raz widziałeś Luke'a na lotnisku w Austin. Zdobędziemy też wszystkie nagrania stamtąd.

Zdawał sobie sprawę, że pracodawca Drummonda i Clifforda zidentyfikuje i znajdzie Erica Lindoego; mogła być to kwestia kilku godzin. Może kilku dni. Wszystko się wyda.

– To dowodzi, że Luke jest niewinny... Został do tego zmuszony.

– To niczego nie dowodzi. Luke nie pociągnął za spust, ale to on prowadził. Ktoś już kiedyś zniszczył Klub Książki. Teraz znów próbuje. Ty i ja nie powinniśmy spać spokojnie. Może jesteście następni.

– Ten lot... Oni byli ofiarami ubocznymi. Ace Beere, mechanik opiekujący się prywatnymi samolotami, przestawił coś w maszynierii i wszyscy na pokładzie zmarli z powodu niedotlenienia. On chciał się zemścić na swoim pracodawcy. Nie na Klubie Książki. To nie my byliśmy celem.

– Cóż za szczęście, że ty, ja i Clifford nie mogliśmy polecieć tym samolotem.

– Zawsze tak uważałem – powiedział Henry.

Drummond splótł ramiona.

– Muszę zrozumieć Luke'a. Wtedy może uda mi się przewidzieć jego następne posunięcie.

Henry pomyślał, że pytania, które zada mu Drummond, mogą dostarczyć mu o wiele rozleglejszej wiedzy, niż tamten by chciał. Przytaknął.

– Co chcesz wiedzieć? Odpowiem ci, żeby pomóc Luke'owi. Obiecujesz, że go nie skrzywdzisz?

– Obiecuję. Po śmierci swojego ojca Luke Dantry zniknął na siedem tygodni.

- Uciekł z domu. Szedł i jechał stopem na południe.
  - Jego matka musiała odchodzić od zmysłów. Całe szczęście, że byłeś przy niej, aby ją pocieszyć. – Drummond uniósł brew.
  - Ucieczka Luke'a przyczyniła się do powstania pięknej przyjaźni i dobrego małżeństwa – powiedział Henry spokojnym tonem. – Luke dotarł na przylądek Harteras.
  - Dojście czy też dojechanie stopem na przylądek Harteras z Waszyngtonu nie zajęłoby mu aż siedmiu tygodni. Co robił w tym czasie?
  - Rozpaczał. Ukrywał się przed światem.
  - Mieszkał na ulicy.
  - Miał zaledwie czternaście lat. Warren nauczył go samowystarczalności. Kiedy znalazła go policja, siedział na plaży, na przylądku, i patrzył w morze, tam gdzie rozbił się samolot jego ojca. Siedział na piachu od dwóch dni, przyglądając się morzu. Ktoś go zauważył i zawiadomił policję.
  - Taki sposób wyrażania żałoby nie wydaje się całkiem normalny.
- Henry'emu nie podobał się lekceważący ton Drummonda, ale pomyślał, że ten chce go podjudzić, żeby powiedział więcej, niż powinien.
- Luke był bardzo blisko ze swoim... z Warrenem. Wiesz, jak bardzo wszyscy kochali Warrena.
  - No tak. – Drummond przekrzywił głowę. – Luke nie skontaktował się z matką, żeby powiedzieć, że jest bezpieczny?
  - Nie. Powinien był. To było dla niego trudne doświadczenie. Skończyła mu się gotówka, zabrał ze sobą tylko sto dolarów. Jego zdjęcia były we wszystkich gazetach w Wirginii; szukano go. Udało mu się wmieszać w tłum, ukryć, wiedział, jak przetrwać w trakcie ucieczki.
  - Nigdy przedtem nie pomyślałem, że zdolność do maskowania się może być cechą genetyczną. Jego ojciec też był w tym dobry. – Drummond oparł nóż o swoją nogę. – Ten dzieciak spędził siedem tygodni, ukrywając się przed policją i detektywami wynajętymi przez twoją żonę, którzy mieli go znaleźć. I to bez pieniędzy lub wsparcia. A teraz znów się ukrywa.



Henry zacisnął wargi. Poczuł, jak napętnia go duma z powodu Luke'a.

– Jeśli nie chce, aby go znalezione, to go nie znajdziesz. – Ja znajdę go pierwszy, pomyślał. A potem rozkażę Mouserowj, żeby zabił cię twoim własnym nożem, ty irytujący draniu.

– Wykorzystujesz tego dzieciaka, żeby wyrównać dawne rachunki? Bądźmy szczerzy. Nienawidziłeś mnie, nienawidziłeś Warrena, nienawidziłeś wszystkich w Klubie Książki.

– To nieprawda...

– Nie? Sądziliśmy wszyscy, że nas nienawidzisz.

– Skądże. To ja stworzyłem Klub Książki.

– Być może. Ale to Warren Dantry sprawił, że przedsięwzięcie odniosło sukces.

Henry powoli pokręcił głową. Te słowa, ta prawda, już nie mogły go dotknąć. Klub Książki nie istniał, Henry okazał się zwycięzcą.

– Cóż to za sukces. Kupa myślicieli i zbirów, na których nikt nie zwracał uwagi.

– A teraz twój pasierb...

– On jest moim synem! – warknął Henry.

Między dwoma mężczyznami zapadła ciężka cisza.

Drummond drwiąco wykrzywił wargi.

– Naprawdę przejąłeś życie Warrena. Jego karierę. Jego żonę. Jego syna. Mój Boże, chyba przestałeś go nienawidzić. Jak się czujesz w jego roli, Henry?

Henry oddychał powoli, policzył do dziesięciu i zmusił się do półśmiechu. Nigdy nie miał tak wielkiej ochoty kogoś zabić, jak teraz Drummonda. Zdusił w sobie gniew.

– Zdajesz sobie sprawę, że gdybym wiedział, tobym ci powiedział, bo wtedy pomógłbym ci w odnalezieniu Luke'a. Tylko tego chcę. Żeby Luke się odnalazł i bezpiecznie wrócił do domu.

Drummond złożył dłonie, zachowując się jak człowiek, do którego należy ostatnie słowo.

– Znajdę go. Zanim zrobi to policja. Porozmawia ze mną. – Potem wstał. – Byłoby dla ciebie najlepiej, Henry, żebyś się zgodził pozostawać pod moją ochroną.

Jeśli będą go obserwować, to pierwsza fala ataków może się nie powieść, a wtedy Piekielny Ogień nie dojdzie do skutku. Nie będzie miał możliwości, żeby odnaleźć Luke'a, Erica Lindoego czy pięćdziesiąt milionów.

– Co to za ochrona, twój nóż na gardle.

Drummond się zaśmiał.

– Tak. Ale nikt inny nie zbliży się do ciebie z nożem.

Henry przełknął żółć, która podeszła mu do gardła.

– Zostanę tutaj. Jeśli się tu zjawi... mój syn mnie potrzebuje. – Zakręciło mu się w głowie.

– Bądź ze mną w kontakcie, Henry. Ja będę. – Drummond podał Henry'emu prostą, białą wizytówkę. Był na niej odręcznie zapisany, czarnym tuszem, jakiś adres na Manhattanie, a pod spodem numer telefonu. – Henry, nie chcę, żeby dzieciakowi Warrena stała się krzywda, jeśli jest niewinny. Ale jeśli jest za to odpowiedzialny, jeśli zabił Clifforda, to nic, co zrobisz, go nie ochroni. Chcemy po prostu wiedzieć dlaczego.

– Ja też chcę wiedzieć dlaczego. – Była to prawda.

– Henry, to było wspaniałe. Uwielbiam spotkania po latach. – Wbił spojrzenie w Henry'ego. – Jeśli uznasz, że jest coś, czego mi nie powiedziałeś, zadzwoń. Ponieważ znajdę tego dzieciaka i dowiem się, nad czym naprawdę pracował. Nie chcesz, żebym się na ciebie wkurzył.

Henry nic nie odpowiedział.

Drummond wyszedł, tym razem frontowymi drzwiami. Henry je za nim zatrzasnął.

Potem stał przy oknie od frontu, dopóki Drummond nie odjechał. On nie odpuści, pomyślał. Zastanawiał się, kto był szefem Drummonda – mówił, że prywatny pracodawca. Co to mogło znaczyć?

Henry wyciągnął telefon i zadzwonił do agencji wynajmującej domki w Braintree, numer dostał wcześniej od Snow i Mousera. Znaleźli go na bramie wjazdowej, przy drodze prowadzącej do domku. Jeśli Clifford wynajął domek – a nie był to zbieg okoliczności – musiał się dowiedzieć, dla kogo Clifford wykonywał zlecenia.

– Dzień dobry. Braintree Park Rentals. – Usłyszał po drugiej stronie pogodny głos.

– Dzień dobry. Kolega z pracy powiedział mi, że wynajął u państwa domek numer trzy, o ile pamiętam, a nie odbiera komórki. Chciałem się dowiedzieć, czy zjawił się na miejscu.

– Pan Clifford? Widziałem się z nim na początku tygodnia.

Martwy Allen Clifford wynajął domek, w którym przetrzymywano Luke'a.

– Ale od tamtego czasu już nie?

– Ludzie przyjeżdżają tu, żeby uciec przed światem – powiedział mężczyzna. – Może po prostu wyłączył telefon.

– Czy kazał obciążyć kosztami wynajmu firmową kartę?

– Tak, proszę pana, ale nie mogę podać szczegółów. Nie wolno mi.

Henry nie rezygnował.

– Czy podał adres, na który chciał dostać rachunek?

– Tak. W Nowym Jorku. Kto mówi?

– Aha. Czy to był ten adres? – Odczytał adres z wizytówki, którą dostał od Drummonda.

– Tak, proszę pana, właśnie ten. – Głos jego rozmówcy nie był już pełen wahania. Henry niemal widział jego uśmiech.

– Działamy w imieniu kilku firm, na którą kazał wystawić rachunek?

– Quicksilver Risk.

– Bardzo dziękuję.

– Czy chce pan zostawić wiadomość dla pana Clifforda? Mogę pofatygować się do jego domku.

– Nie, dziękuję. Nie powinien używać firmowej karty, żeby opłacić swój urlop, ale nie ma problemu, wiemy, że zwróci nam pieniądze. Bardzo

dziękuję. – Henry odłożył słuchawkę.

Quicksilver Risk.

Henry połączył się z Internetem i znalazł stronę firmy. Była utrzymana w odcieniach szarości i bardzo stonowana, w stylu konsultantów o wysokich honorariach. Tylko misja firmy i trzech szefów. Jednym z nich był Allen Clifford, osiłek z Klubu Książki. Pozostali dwaj byli kiedyś wykładowcami, mieli doświadczenie w szacowaniu ryzyka biznesowego. Nie należeli do Klubu Książki. Nie było listy klientów ani wysokości opłat. Ani słowa o powiązaniach z rządem. Była informacja, że pomagali firmom z listy pięciuset „Forbesa” szacować ryzyko związane z akcjami humanitarnymi po tsunami w 2004 roku i po przejściu Katriny, a także to związane z pomocą afrykańskim krajom, w których wybuchły powybiorcze zamieszki.

Spróbował się dodzwonić pod podany numer. Włączyła się poczta głosowa, zostawił wiadomość dla Allena Clifforda.

– Cześć, Allen – nagrał się na sekretarkę martwego człowieka – tu Henry Shawcross, dawno nie rozmawialiśmy. Chciałbym to nadrobić. Doziedziczyć się, co porabiasz. Zadzwoń do mnie. – Zostawił swój numer. – Może ktoś z firmy zacznie oddzwaniać w imieniu Clifforda i będzie mógł zadać więcej pytań.

– W jakich brudach się paprałeś? – powiedział do zdjęcia przedstawiającego Allena Clifforda.

Zadzwoił dzwonek u drzwi.

Kiedy je otworzył, na progu leżała przesyłka ekspresowa, duża, gruba, plastikowa koperta. Adresem zwrotnym był apartament Luke'a.

Zważył ją w dłoni, obstuchał z każdej strony. Lekka. Żadnego tykania, choć w erze cyfrowych detonatorów nie miało to żadnego znaczenia. Ostrożnie otworzył kopertę.

W środku była jeszcze jedna paczka. Wysłana do amerykańskiej firmy przewozowej w celu transportu na terenie Stanów Zjednoczonych spod paryskiego adresu. Nic mu nie mówił.

Nie otwierając tej paczki, wpisał w Google paryski adres. Punkt pocztowy w Saint Germain, gdzie można było wynająć skrytkę pocztową.

W środku był telefon komórkowy. Zwykły, tani, na kartę. Na dołączonej do niego karteczce napisano: „Tylko dla uszu Henry'ego”.

Włączył telefon.

Miał ogromną ochotę na whisky. Bał się wiadomości, które może usłyszeć przez ten telefon. Bał się tego, jak okropny może stać się ten dzień. Jednak telefon był dobrym znakiem, prawda? To pewnie porywacz chciał się z nim skontaktować. Było to dobre wyjście, jeśli Drummond podsłuchiwał jego rozmowy. Musiał założyć, że tak jest. Drummond wiedział, jak zakładać podsłuch w telefonie i w pomieszczeniach – robił to latami, kiedy Henry z nim pracował.

Włożył telefon do kieszeni i poszedł po whisky, był zdezorientowany. Rzeczy, które nie powinny mieć ze sobą nic wspólnego, nagle okazywały się powiązane. Klub Książki, Luke, Piekielny Ogień, zadawniona i wciąż żywa nienawiść do ojca Luke'a. Nienawiść, którą bardzo starał się zamaskować, każdego dnia, kiedy był z Barbarą i Lukiem. Ciężko było tłamsić w sobie te uczucia. Warren cholerny Dantry. Warren był mądrałą i ignorantem jednocześnie. Nawet teraz, kiedy Henry o nim pomyślał, czuł, że ogarnia go wściekłość i obrzydzenie.

Drummond powiedział, że to Warrenowi Klub Książki zawdzięczał sukces.

Kłamstwo. Wierutne kłamstwo.

– To ja go znalazłem. Znalazłem was wszystkich – powiedział Henry do pustej kuchni. Ręce mu drżały, kiedy nalewał sobie drinka, butelka zadzwoniła o szklanke. Dotknął swojej szyi, upewniając się, że Drummond nie zostawił na niej śladu. Musiał zadzwonić do Mousera i Snow, ostrzec ich, że informacje o operacji Piekielny Ogień – a przynajmniej jej kryptonim – wydostały się na zewnątrz i, jeśli Bridger się znajdzie, Snow może zostać zdekonspirowana, oraz że Drummond poluje na Erica i Luke'a tak

samo jak oni. Jeśli zechcą się wycofać, nie będzie mógł ich przed tym powstrzymać.

Jednak wtedy będzie musiał zacząć budować Mroczną Drogę od początku. Wszyscy skupili się teraz na Ripley, ale cały rezultat pójdzie na marne, rozmyje się jak chlor w deszczu. Może też nie mieć innego wyboru i zostanie zmuszony do ucieczki przed krwawym gniewem księcia, ponieważ jego pięćdziesiąt milionów albo znajdowało się na koncie, do którego nie można się było dostać, albo zostało przelane do banku w Szwajcarii, albo wyparowało.

Potem usłyszał cichy dźwięk. Odebrał telefon.

– Henry Shawcross. – To była Brytyjka.

– Tak?

– Dla potrzeb naszej rozmowy możesz mówić do mnie Jane. Pomyślałam, że jeśli trochę potęknisz za swoim pasierbem, to może powtórnie rozważysz moją ofertę.

Ta kobieta była mózgiem całej operacji. Szefem. Poczł ogromną ulgę; teraz to on może dyktować warunki.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest Luke.

– Powinieneś się wstydzić za to, że zrzuciłeś na niego całą winę. Podejrzewałam, że jesteś podły, i nie zawiodłam się na tobie. – Zaśmiała się. Śmiała się z niego, żeby go rozdrażnić.

– Znalazłaś sobie wrogów w nieodpowiednich kręgach, młoda damo.

– Doprawdy? To raczej ty dobierasz sobie niewłaściwych przyjaciół. Ten wredny miliarder, który bawił się w przebieranki w londyńskim parku i zaferował ci pięćdziesiąt milionów dolarów, podczas gdy u jego stóp gołębie biły się o okruchy. Słyszałam każde wasze słowo. – Znow się zaśmiała, a Henry poczuł, jak zimna stalowa pięść zaciska mu się wokół serca.

– Czego chcesz?

– Przelej pięćdziesiąt milionów na pewne konto, a odzyskasz Luke'a.

Nie wiedziała, że hasła do kont zostały zmienione i Henry nie miał do

nich dostępu. W przeciwnym razie nie dzwoniłaby do niego.

– Chcę porozmawiać z Lukiem.

– Bez gotówki nie robię ustępstw. Nawrzeszczy na ciebie, kiedy dostanę pieniądze.

– Nie, teraz. – Mógł to być rozpaczliwy blef z jej strony, żeby wypłacić jej pieniądze, do których nie miał dostępu. Poczł jednocześnie gniew i mdłości. – Dlaczego kazałaś Ericowi zabić Allena Clifforda?

– Tak wiele pytań, a tak mało czasu – powiedziała Jane. – Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć, mój drogi. Na tym polega władza. Nie musisz nic wyjaśniać. A teraz: pieniądze za Luke'a. Czy mam ci to przeliterować?

– I tak go zabijecie. – Poczł nieopisany żal.

– Nie mamy takiego zamiaru. Wypuścimy go. To będzie twój problem, nieprawdaż? – Tu Jane zaśmiała się najokrutniejszym śmiechem, jaki kiedykolwiek słyszała. – Jak wytłumaczysz się z tego, że odmówiłaś mu pomocy? Z tego, kim jesteś i co zrobiłaś? Mamy mu powiedzieć, żeby cię spytał o to, co się stało z jego ukochaną matką?

Te niespodziewane słowa, wymówione tak beznamiętnie, sprawiły, że zamarł.

– Barbara zginęła w wypadku. Jeśli ktoś twierdzi inaczej, to kłamie.

– Oczywiście, oczywiście. Ten wypadek wydarzył się w bardzo dogodnym momencie.

– To naprawdę był wypadek!

– Ale teraz on ci nie uwierzy, Henry. Jesteś facetem, który nigdzie nie przynależy: zawsze na boku; zaczynasz się śmiać z cudzych żartów chwilę po innych, musisz ćwiczyć uśmiech. Po latach samotności nareszcie udaje ci się zdobyć rodzinę, zbyt dobrą, jak dla ciebie, i wszystko to marnujesz. Wątpię, żeby Barbara Dantry i Luke kiedykolwiek dostrzegli, że ten beznamiętny pies, którego wpuścili pod swój dach, jest tak naprawdę wilkiem.

Każde słowo było jak cios miażdżący jego kości i mózg. Henry gwałtownie wciągnął powietrze.

– Dam ci te pieniądze. Proszę...

– Chcę, abys zrozumiał, że jeśli nie dostanę tych pieniędzy w ciągu trzydziestu minut, Luke umrze.

O Boże, Boże, nie, pomyślał.

– Eric ma kody do kont, a nie ja – powiedział. – Proszę, nie róbcie krzywdy Luke'owi. Znajdę pieniądze...

– Eric nie ma pieniędzy.

– Jane, ma. Okłamał cię. – Teraz zabiją Luke'a; jest im niepotrzebny. Nie, nie, nie. – Dlatego wcześniej nie mogłem ci dać pieniędzy. Proszę. Uwierz mi. Proszę...

Jane odłożyła słuchawkę.

Spojrzał na ekran telefonu. Nie było listy połączeń; ta funkcja została wyłączona. Nie mógł oddzwonić.

Henry bardzo powoli wypił whisky. Ręce przestały mu się trząść. Wypił drugą. Potem wylał resztę zawartości butelki do zlewu.

Może teraz mordują Luke'a. Może teraz, kiedy stoisz nad zlewem, płacząc, z ust czuć ci whisky, właśnie przyczyniłeś się do śmierci jedynej osoby na tym świecie, na której jeszcze ci zależało, pomyślał Henry.

Zadzwonił telefon. Ten, którego używał tylko do kontaktów z Mouserem. Głos Mousera był chrapliwy, twardy, pełen gniewu.

– Luke zidentyfikował Erica Lindoego, jako swojego porywacza.

– Czy Luke jest bezpieczny? Powiedz, że go masz.

– Przyprawdzą ci go z powrotem. Dźgnął mnie w nogę i zwiął.

– Dlaczego cię zranił? Powiedziałem ci, żebyś nie robił mu krzywdy...

– Wie, że jesteśmy od ciebie, Henry, też jesteś na jego czarnej liście.

Uważaj na siebie. Twój chłopca jest wkurzony i nieźle walczy.



Nie słyszał ostrzeżenia. Luke był żywy. Z dala od macek Jane. A może złapała go po tym, jak uciekł Mouserowi?

– Jesteś pewien, że nie porwał go ktoś inny?

– Nie jestem pewien, ale kiedy widziałem go ostatni raz, był wolny jak ptaszek.

Zatem Jane blefowała. Musiał wykonać jakiś ruch, musiał znaleźć tę kobietę, dowiedzieć się, kim jest. I ją zniszczyć.

– Nie rozumiem, dlaczego Eric miałby się zwrócić przeciwko nam i obrać sobie Luke'a za cel?

– Luke mówił, że jakaś brytyjska dziwka zażądała go jako okupu za kobietę Erica. Myślała, że będziesz w stanie dostarczyć jej pięćdziesiąt milionów, ale Eric zdążył je przedtem ukryć. Jeśli Eric nie oddał ich jej, to pewnie sam je ma. Musimy go odnaleźć.

Henry otarł pot z twarzy.

– Eric okłamał nas wszystkich. Również tę Brytyjkę. Kazała mu porwać Luke'a, żeby mnie szantażować, a Eric się na to zgodził, żeby ukryć swoje oszustwo. Musiała najpierw jego prosić o pieniądze, a on jej wmówił, że nie ma do nich dostępu. I że ja go mam. – O Boże, życie Luke'a zniszczone przez jedno kłamstwo. – Eric nie dał jej pieniędzy. Właśnie dzwoniła do mnie, sądząc, że ja będę je w stanie dostarczyć. – Henry opadł na kanapę. – Nie rozumiem tego. Luke cię zranił? – Luke walczący z dwójką szalonych ekstremistów, którzy mają doświadczenie w walce i zabijaniu? Nie umiał sobie tego wyobrazić.

– Zastanawiam się, Henry, na ile znasz Luke'a. Potrafi chyba o wiele więcej, niż ci się wydawało.

– Nie rozumiem.

– To proste. Jest na wolności. Stanowi dla nas zagrożenie.

– Nie. Zajmę się nim. – Henry szybko myślał. – Będę obserwował wszystkich przyjaciół Luke'a, każdego, do kogo może się zwrócić o pomoc... Policja zrobi to samo, ale musimy być od niej mądrzejsi. I szybsi. Musimy odnaleźć Erica. I musimy odnaleźć Luke'a. Wytłumaczę mu to.

– Wątpię.

– Uda mi się. – Henry uniósł brew. – A jeśli jest tak mądry, jak twierdzisz, to może być dla nas przydatny. Posłuchaj, przykro mi, że cię dźgnął. Wszystko w porządku?

– Tak. Ale nie jestem zbyt zadowolony. Dowiedz się, gdzie on jest, a przyprowadzę ci go z powrotem. Może nawet w jednym kawałku.

Uciekający Luke. A w pogoni za nim Snow, Mouser i teraz jeszcze ten drań, Drummond. Co zrobi? Zjawi się tutaj? Nie. Waszyngton był daleko. Nie ufa teraz Henry'emu i może uważać, że policja obserwuje jego ojczyzna, czekając, aż zjawi się u niego Luke. Jak jeszcze może próbować oczyścić swoje imię?

Eric. Jeśli Luke zmusi Erica do zeznań, to może dowieść, że nie jest winny morderstwa.

Będzie ścigał Erica. Tak, jak ścigał ducha swego ojca aż na przylądek Halteras. Jeśli znajdziemy Erica, znajdziemy i Luke'a.

Henry czuł, że rozgorzał w nim na nowo ogień walki. Może zwyciężyć. Zadzwoił do hakera z Mrocznej Drogi i kazał mu szukać danych w bazach linii lotniczych i historii kart kredytowych, które mogłyby im pomóc w uzyskaniu informacji, gdzie są teraz Eric Lindoe lub Luke Dantry. Przez lata udało mu się znaleźć hakerów, którzy mieli dostęp do tak cennych baz danych. Jeśli nie motywowała ich ideologia Mrocznej Drogi, to motywowały pieniądze.

Jego myśliwi, ci na ziemi, albo elektroniczni, znajdą Luke'a, i to szybciej niż Drummond. Nie musiał się przejmować nakazami i pozwoleniami. Nie chciał myśleć o tym, że Luke może mu nie uwierzyć i jak wielkiego musiałby wtedy dokonać poświęcenia. Powinien się martwić jedynie tym, jak sprzedać innym największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek wymyślił.

## 13.

Przez dwadzieścia minut Luke biegł, maszerował, a potem znowu biegł przez las. Przechodził przez pastwiska, na których żadne zwierzę się nie pasło, w pojedynkę czuł się jak łatwy cel. Sosny, wśród których szedł, dawały złudzenie schronienia. Potem znalazł się na drodze, która biegła w pobliżu mostu na rzece. Nie miał pojęcia, gdzie jest, i wciąż oglądał się za siebie.

Wtedy dostrzegł nastoletniego chłopaka w żółtym sztormiaku. Chłopiec szedł w jego stronę znad wzburzonej rzeki.

– Cześć – powiedział. – Z której drużyny poszukiwawczej jesteś?

– Ja... – zaczął Luke. – Oddzieliłem się od reszty grupy. Jestem znajomym Olmsteadów, zatrzymałem się na kilka dni w ich chacie nad rzeką. – Starał się nie mówić zbyt szybko, ani nie pokazać po sobie zdenerwowania. – Pomyślałem, że pomogę. Ale na nic się nie przydałem. Nie znam tej okolicy.

– Mogę cię podwieźć do bazy.

– Dzięki.

Podążył za chłopcem wąską drogą, myśląc: jeśli ten dzieciak był zajęty poszukiwaniami kierowcy ciężarówki, to może nie widział reszty informacji, w których było pełno moich zdjęć. Nie mógł za bardzo rozmyślać o losie kierowcy. Gdyby to zrobił, przytłoczyłby go ciężar winy, popełniłby jakiś błąd i został schwytyany albo zabity. Nie przywróci temu kierowcy

życia, jeśli nie udało mu się wydostać z rzeki. Mógł się tylko upewnić, że Snow i Mouser odpowiedzą za to, co zrobili.

Na poboczu stał czerwony ciągnik. Chłopak podał Luke'owi rękę i powiedział:

– Nazywam się Dumont.

– Cześć Dumont. Jestem Warren – skłamał Luke. Było to imię jego ojca i wykorzystanie go było proste i naturalne. Uścisnął dłoń chłopca. Wsiadli do traktora.

– Współczuję rodzinie tego pana. Zastanawiam się, gdzie go znajdziemy. – Dumont kierował ciągnik na południe – w kierunku przeciwnym do chaty Olmsteadów. Luke musiał się siłą powstrzymać, żeby z ulgą nie oprzeć się o drzwi.

– Wyglądasz na wyczerpanego – stwierdził Dumont.

– Nie spałem za dobrze. Burza budziła mnie całą noc. – Patrzył za okno. Mouser wypadł z gry na kilka minut, chyba że Luke zrobił mu większą krzywdę, niż mu się zdawało, ale gdzie była Snow? I jak do licha miał znaleźć Erica?

Skręcili na główną drogę, która prowadziła w kierunku miasteczka Braintree, kiedy minął ich mercedes. Luke dostrzegł śnieżnobiałą czuprynę kierowcy i bał się, że coś zauważy, jeśli nagle się pochyli. Dlatego siedział wyprostowany i tylko potarł twarz dłonią.

– Na pewno wszystko w porządku? – spytał Dumont takim tonem, jakby zaczynał żałować, że zaoferował podwiezienie temu dziwnemu nieznanemu.

W lusterku Luke obserwował, jak mercedes znika za wzniesieniem. Nie zapaliły mu się światła stopu, nic nie wskazywało na to, że Snow go zauważyła.

– Tak. Nic mi nie jest. Po prostu jestem zmęczony. – Powinien się wydostać z tej okolicy. Musiał się dowiedzieć, gdzie są Eric i Aubrey. W tym, co mówili lub zrobili, mogła być jakaś wskazówka. Może Eric coś widział. Luke próbował walczyć ze zmęczeniem i odtworzyć od początku wszystkie szczegóły tego, co mówił Eric.

Traktor wjechał na parking małego motelu wypełniony radiowozami.

Policja. Jego twarz była we wszystkich wiadomościach i pewnie rozesłano za nim list gończy.

Z boku stała ekipa telewizji z Houston – reporterka i kamerzysta – przeprowadzali wywiady z ratownikami. Media stanowiły większe zagrożenie – ich przedstawiciele na pewno widzieli jego twarz w wiadomościach.

– Dzięki za podwiezienie, Dumont – powiedział Luke.

Otworzył drzwi traktora i wyszedł na deszcz.

Reporterka, która stała kilkanaście metrów od niego, otarła deszcz z twarzy i podniosła rękę.

– Hej! Wróciliście właśnie z poszukiwań?

O Boże, pomyślał Luke. Odwrócił się i odszedł w kierunku namiotu rozstawionego z myślą o ochotnikach biorących udział w poszukiwaniach.

Jak się stąd wydostać? Ukraść samochód? Nie miał pojęcia, jak to zrobić i, chociaż włamanie do czyjegoś domu, aby się ogrzać i pożywić po całym dniu głodówki i kąpeli w lodowatej rzece, było jak najbardziej usprawiedliwione, to kradzież auta już nie.

– Warren, tutaj!

Obejrzał się za siebie i dostrzegł Dumonta stojącego w towarzystwie reporterki i machającego, żeby do nich podeszedł.

Luke zdobył się na wymuszony uśmiech i na migi pokazał, że jest mu zimno i musi się napić kawy. Odmachał i zasłonił twarz dłonią. Potem odwrócił się, naciągnął kaptur na głowę i zanurkował do namiotu.

Na stoliku wewnątrz namiotu serwowano kawę, wodę mineralną, tortille i pączki. Porwał kubek kawy, czarnej i gorącej, starał się pozbierać myśli.

Nie miał dokąd pójść ani transportu, żeby się tam dostać. Przyglądał się policjantowi rozmawiającemu przez krótkofalówkę. Poddaj się, pomyślał z nagłą rezygnacją.

Znajdź Erica. Znajdź odpowiedź. Ani się waż poddawać, przyszło mu do głowy w chwilę potem.

Braintree nie było dużym miastem, więc ruszył na piechotę w kierunku centrum. Nie miał pieniędzy ani pomysłu, jak się wydostać z miasta. Spojrzał na zegarek, był to Rolex, który matka dała mu w prezencie, kiedy skończył college. Pewnie mógłby go zamienić na gotówkę, ale wolałby go zastawić w mieście, gdzie nie byłoby go tak łatwo zapamiętać. Ciężko byłoby mu rozstać się z czymś, co dostał od niej w prezencie, ale takie przyszły czasy.

Biblioteka była otwarta; właśnie minęła dziesiąta rano. Wszedł do środka i zaczął się przechadzać wzdłuż półek. Zapach i widok książek przyniosły mu niespodziewane ukojenie. Po śmierci ojca i wypadku matki książki okazały się najlepszymi przyjaciółmi, poza tym wiedział, jak wykorzystać możliwości tego miejsca. Podszedł do ogólnodostępnych komputerów i skinął głową wysokiej blondynce, która pracowała przy biurku.

Otworzył przeglądarkę w komputerze i wszedł na stronę internetową „Houston Chronicle”.

Większość nagłówków wciąż była poświęcona eksplozji cystern z chlorem w Ripley. Deszcze pomogły w opanowaniu zagrożenia, a cysterny udało się załatać. Czterdzieści ofiar. Zakłady chemiczne na terenie całego kraju zostały postawione w stan najwyższej gotowości.

Zabójstwo bezdomnego było na drugim miejscu pod względem popularności; w artykule nie zamieszczono ani zdjęć ofiary, ani jej danych. Inni bezdomni w tym rejonie nie wiedzieli zbyt wiele o tym człowieku. Kilku z nich twierdziło, że to ktoś obcy.

To nie była zagadka, którą mógł teraz rozwiązać. Musiał odnaleźć Erica i Aubrey.

Luke wszedł na stronę Google i wpisał „Aubrey porwana”. Pokazały się linki do streszczenia odcinków jakiegoś serialu, strona poświęcona chilijskiej aktywistce, której losy były nieznane od czasów terroru Pinocheta, i smutna historia dziewczynki porwanej przez ojca pięć lat temu w Oregonie. Nic świeższego.

Może porwanie Aubrey nie zostało zgłoszone. Eric wrócił z nią do domu, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że zaginęła.

Zaginięcie to nie to samo, co porwanie. Wpisał frazę „Aubrey zaginęła”.

To, czego szukał, znalazł pod trzecim linkiem. Blog zatytułowany „grace-a-matic”, pisała go młoda, prowadząca własną działalność projektantka Grace z Chicago:

*Moja znajoma, Aubrey (zaprojektowała logo jej firmy zajmującej się eksportem i importem), zaginęła. Nie odbiera telefonów, nie ma jej w domu ani w pracy, nie loguje się na serwisach społecznościowych i nikt jej nie widział. Zadzwo- niłam na policję, ale odprawili mnie z kwitkiem. Powiedzieli, że muszę poczekać dwadzieścia cztery godziny, zanim będę mogła zgłosić jej zaginięcie. To nienormalne. Jej chłopak – co prawda zerwała z nim kilka tygodni temu – mówi, że nie wie, gdzie ona może być. Nie wiem, co zrobić, OMG, dener- wuje mnie to, że gliny naprawdę każą ci czekać dwadzieścia cztery godziny.*

Dwa wpisy później.

*Nowe wieści w sprawie zaginionej przyjaciółki: Aubrey nie zaginęła. Zadzwo- niła do mnie dziś rano, mówiąc, że zro- biła sobie kilka dni wolnego, żeby pozatratować jakieś osobi- ste sprawy, i nic jej nie jest, dzięki Bogu, poprosiła, żebym nie pisała o jej życiu, czuję się głupio, że tak spanikowałam. Policjanci mieli rację.*

Wyszukał portfolio Grace i znalazł logo firmy zajmującej się importem i eksportem, które zaprojektowała. Perrault Imports specjalizująca się w imporcie dzieł sztuki z Ameryki Południowej i Azji – niezbyt efektowna ceramika i dekoracje ścienne, które były odsprzedawane sklepom. Właści- cielka firmy nazywała się Aubrey Perrault.

Kim zatem był Eric?

Luke zaryzykował zalogowanie się do serwisu społecznościowego – miał tam konto, jak większość ludzi z jego pokolenia – i znalazł profil Aubrey. A oto i kochany Eric, był na początku jej listy znajomych. Eric Lindoe. Wszedł w jego profil. Trzydzieści pięć lat. Pracuje w prywatnym banku Marolt Gold w Chicago. Wpisał jego dane w Google i znalazł kilka artykułów, głównie informacji prasowych jego pracodawcy poświęconych promocjom. Studiował na Uniwersytecie Illinois. Zaczynał karierę od operacji bankowych, ale szybko awansował do bankowości zagranicznej: przedsięwzięcia budowlane w Arabii Saudyjskiej, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Dubaju i Katarze.

Człowiek, który miał tak wiele do stracenia, decydujący się na porwanie i morderstwo – musiał być ku temu jakiś powód.

Spróbował wyszukać Erica w powiązaniu z Henrym Shawcrossem. Nie było żadnych wyników.

Musiał się dostać do Chicago. Nie miał pieniędzy ani wsparcia. Nie mógł się też zwrócić do kolegów ze szkoły; nie chciał ich narażać na niebezpieczeństwo.

Istnieli jednak ludzie, którzy chcieli zostać jego przyjaciółmi. Ci z Mrocznej Drogi.

Przypomniał sobie, jak któregoś wieczoru pokazywał Henry'emu wiadomości od niejakiego ChicagoChrisa. Zalogował się na swoje konto e-mailowe za pomocą strony, która pozwalała na anonimowe surfowanie po sieci. Dowiedział się o niej na jednym z forów. W jednym ze swoich e-maili Chris wysłał mu numer telefonu. Znalazł go w liście sprzed dwóch tygodni i zapisał.

Potem zalogował się na Twitterze, w serwisie internetowym, w którym mógł wysyłać krótkie komunikaty i informacje do wszystkich znajomych z listy. Na jego liście byli koledzy ze studiów, kilku z college'u i szkoły średniej. Ludzie, na których mu zależało.

Wysłał do nich wszystkich wiadomość: „Jestem niewinny”. Na wypadek gdyby nie udało mu się wyjść z tego wszystkiego cało, chciał wykonać ten gest, dać im jakiś dowód niewinności.



Potem wyczyścił historię wyszukiwarki i wylogował się z Internetu.

Spojrzał na bibliotekarkę, która siedziała zasępią przed komputerem. Dostrzegł dwie wolontariuszki pochylone nad wózkami z książkami, sortujące tomy. Jedna z nich cicho się zaśmiała. Bibliotekarka wstała i zniknęła w kantorku. Dwie kobiety przeszły do tylnej części biblioteki – Luke wy czuł orzechowy zapach kawy w powietrzu.

Spojrzał za biurko i dostrzegł tam torebkę. Zajrzał do jej wnętrza i znalazł telefon komórkowy. Złapał go i schował się za półkami. Nikt go nie zauważył.

Wybrał numer ChicagoChrisa.

– Halo? – odezwał się zmęczony, ochryply głos młodego palacza.

– Mam nadzieję, że to ChicagoChris. Tu mówi Lookout. Z forum TearTheWallsDown.

– Hej! Cześć! Jak się masz? – Chris wydawał się zadowolony z tego telefonu, ale był to raczej nadgorliwy entuzjizm kogoś, kto zbyt dużo czasu spędza w samotności i nie jest z tego powodu zbyt szczęśliwy.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że dzwonię. Podałeś mi swój numer.

– Nie, jasne. Fajnie w końcu pogadać. – W Internecie Chris kreował się na twardziela, kogoś, kto chce naprawiać świat, wprowadzając nowy podział dóbr za pomocą ekstremalnych środków. Miał to być sposób na uchronienie świata przed nadmiernym uprzemysłowieniem; teraz jednak jego rozmówca brzmiał jak zdekoncentrowany uczeń. – Jesteś w Chicago?

– Niestety nie – odpowiedział Luke. – Ale muszę się tam dostać i potrzebuję pomocy, nieźle się tu wpakowałem.

Chris cmoknął z podziwem i nic nie odpowiedział.

– Napisałem na forum coś, czego nie powinienem, i teraz szuka mnie FBI.

– Nie powinieneś używać słowa FBI w trakcie rozmowy. Rząd podsłuchuje i nagrywa wszystkie rozmowy z pięćdziesięciu stanów, w których

pada ta nazwa, a potem przesłuchują je w FBI. Jak powiesz: „Pieprzyć FBI”, to wiedzą, że to powiedziałeś. Zakładają ci kartotekę.

– Przepraszam – powiedział Luke.

ChicagoChris odłożył słuchawkę.

Luke znów wybrał jego numer. Chris odebrał.

– Musisz bardziej uważać. Nie chcesz włączyć oprogramowania monitorującego, używając jednego ze słów kluczy.

Luke pomyślał, że w paranoicznym świecie Chrisa „oprogramowanie monitorujące” to też pewnie jest słowo klucz, ale nie chciał, żeby Chris znowu się rozłączył.

– Dobra, wiem, że mnie nie znasz, ale jesteśmy braćmi w sprawie, prawda?

Chris znów milczał.

– Może.

– Muszę się dostać do Chicago. Potrzebuję twojej pomocy. Nie mogę zapłacić za podróż kartą kredytową i nie mam przy sobie pieniędzy.

– Chcesz, żebym ci je przysłał – powiedział z niedowierzaniem.

– Przysięgam, że ci je oddam. – Większość ludzi odłożyłaby słuchawkę. Pomóc komuś, kogo znasz z Internetu? Mało prawdopodobne. Brał jednak pod uwagę dwie sprawy: to Chris przesłał mu swoje dane kontaktowe, bo spodobały mu się wypowiedzi Luke'a na forum i chyba potrzebował przyjaźni. Wspólnoty – nawet te internetowe – dawały złudzenie bliskości, jakiegoś braterstwa. Ci ludzie byli tak osamotnieni w swojej nienawiści, nawzajem upewniali się w tym, że świat zmierza w złym kierunku. Był to klucz do psychologii terroryzmu: przemoc była wyborem grupy. Musiał podkreślać to, że są współnikami. – Bracie, potrzebuję tylko tyle, żeby zapłacić za autobus do Chicago i kupić coś do jedzenia.

– Gdzie jesteś?

– W bibliotece w Braintree, w Teksasie. – Wymyślił połowiczne kłamstwo, któremu Chris nie będzie się mógł oprzeć. – Zdobyłem informacje

na temat tego wypadku z chlorem w Teksasie. Rząd był w to zamieszany.

- Czego konkretnie się dowiedziałeś?
- Pomóż mi się dostać do Chicago, a wszystko ci opowiem. Jeśli wiesz co, to z trzema literami, nie dorwie mnie wcześniej.
- Ile warta jest ta informacja?
- Prześlij mi pieniądze, a wszystko ci opowiem.
- A może jesteś gliną, który próbuje mnie zrobić? Gliny bardzo chciałyby mnie dorwać.
- Nie jestem. Nie mogę wysłać ci e-maila, bo jestem śledzony. Muszę się ukrywać. Dzwonię z komórki, którą ukradłem z torebki pewnej kobiecie. Wybieraj. Pomagasz mi czy nie.

Znów cisza.

- W Braintree jest dworzec autobusowy – powiedział Luke. – Możesz mi kupić bilet przez Internet.
  - Potrzebujesz gotówki?
  - Nie mam nic przy sobie. Tak, Chris, potrzebuję gotówki.
- Usłyszał w tle odgłos stukania w klawisze.

- Znajdę oddział Western Union w pobliżu biblioteki w Braintree i wyślę ci kasę na jedzenie. Jeśli mi jej nie oddasz – znów cmoknął językiem – znajdę cię i zniszczę.

Brzmiał zupełnie inaczej niż Mouser. Był narwany, a nie opanowany i skupiony.

- Bez obaw, na pewno oddam. Dzięki, wielkie dzięki.
- Odwdzięczysz się – powiedział ChicagoChris i odłożył słuchawkę.

Luke wykasował połączenie z pamięci telefonu. Wolontariuszki jeszcze nie wróciły spomiędzy półek. Wrzucił telefon z powrotem do torebki kobiety i wyszedł z biblioteki.

Snow i Mouser wiedzą, że Luke będzie w drodze, a wszystkie drogi prowadziły do Braintree. Luke próbował nie poddawać się paranoi, która budziła się w jego sercu. Przeszedł kilkaset metrów i znalazł przedstawicielstwo Western Union w jednym z dyskontów. Chris wysłał mu dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów – gdyby wysłał tysiąc, Luke musiałby

pokazać dowód tożsamości. Tak głośił napis za plecami kasjera. Luke nie mógł uwierzyć, że Chris naprawdę to zrobił. I do tego był sprytny.

– Zgubiłem dokumenty – powiedział Luke, kiedy obsługujący go mężczyzna liczył pieniądze. – Zgubiłem portfel.

– Współczuję – powiedział kasjer bez cienia emocji.

Luke kupił w sklepie farbę do włosów. W kolorze blond.

Pomyślał: kiedy decydujesz się ufarbować włosy, to znaczy, że naprawdę nieźle się wpakowałeś. Kupił też czapkę z daszkiem i ciemne okulary; mały plecak, krakersy z masłem orzechowym, wodę, jabłka; przybory toaletowe, mocne buty sportowe, bieliznę, skarpetki i jeansy.

Dokładnie te same rzeczy zabrał ze sobą, kiedy uciekał z domu wiele lat temu. Teraz bardzo tęsknił za rodzicami. Kiedy wyszedł ze sklepu, wyrzucił do pojemnika na odpady kalosze i za duże spodnie, które ukradł z chaty. W stoisku operatora komórkowego po drugiej stronie centrum handlowego kupił telefon na kartę.

Poszedł szybko na dworzec autobusowy. Jego bilet elektroniczny, który w swej uprzejmości kupił mu Chris, nie był jeszcze gotowy do odbioru. Zjadł jabłko i wszystkie krakersy. Wiercił się. Czekał, aż Mouser i Snow wejdą przez drzwi i odetną mu drogę ucieczki z Braintree.

Nerwową godzinę później jego bilet był gotowy, a w dwadzieścia minut potem autobus Greyhound zmierzający na północ wyjechał z Braintree.

Osiem kilometrów za miastem Luke zapadł w głęboki, rozpaczliwy sen.



Haker zadzwonił, kiedy Henry wychodził spod prysznica. Było mu niedobrze z powodu braku snu i nieustannego zamartwiania się. Oby to były dobre wieści, pomyślał.

To był haker z Mrocznej Drogi.

– Chciał pan, żebym znalazł Erica Lindoego. On i jego dziewczyna

byli na liście pasażerów wczorajszego lotu z Dallas/ Fort Worth do Tajlandii. – Podał Henry'emu szczegóły. Tajlandia. Eric mógł sobie pozwolić na ucieczką jak najdalej stąd; zabrał pieniądze Mrocznej Drodze. Luke'owi będzie niezwykle trudno dopaść tam Erica, bez pieniędzy, bez paszportu. Bez wsparcia.

– Udało ci się włamać do banku Erica? – spytał Henry. Była to szansa na zdobycie informacji o losach pięćdziesięciu milionów bez pomocy Erica.

– Myślę, że pański Eric oszukał nas i swój własny bank. Włamałem się do bankowego dziennika kontroli... historii wszystkich transakcji, które miały miejsce w tym miesiącu. Ktoś w banku zapętlili ten dziennik; danych dotyczących transakcji jest o wiele więcej, niż powinno być. Całkowite przeciążenie informacyjne. System zarządzający dziennikiem zupełnie się załamał, jego zabezpieczenia zostały zniszczone. Pewnie wielu ludzi z banku Erica ma teraz poważne zmartwienia. Przez kilka dni trudno będzie się zorientować, które pieniądze gdzie się znalazły. Nawet systemy zapasowe zostały zniszczone. Eric dobrze wiedział, co robi.

Katastrofa. To arabski książę dał Henry'emu namiary na Erica. Jednak Henry nie za bardzo mógł teraz pójść do księcia i powiedzieć: Pieniądze przepadły gdzieś w tym banku. Mógłby pan przekonać bankierów, żeby je nam oddali? Przyznanie się do porażki byłoby jak wyrok śmierci. A bankierzy, jeśli Eric dokonał sabotażu w ich wewnętrznym systemie kontroli, nie za bardzo będą się chcieli przyznać, że mieli nieuczciwego pracownika; to zniszczyłoby ich reputację. Nie, Henry będzie musiał znaleźć pieniądze, nie mówiąc księciu o tym, że zginęły.

– Chyba nie mogę ryzykować dalszych włamań do banku. I tak zdążyłem zaalarmować ich systemy bezpieczeństwa.

Henry podziękował hakerowi i rozłączył się. Wtedy zadzwonił telefon w jego gabinecie. Owinięty w ręcznik pospieszył korytarzem do gabinetu i podniósł słuchawkę.

– Tak?

Beznamiętny, zimny głos, którego nie rozpoznał, powiedział:

– Chcesz swojego pasierba z powrotem? – Nie był to Mouser ani ta Brytyjka, ani Drummond.

– Kto mówi?

– Chcesz swojego pasierba z powrotem?

Zdał sobie sprawę, że już kiedyś słyszał ten z lekka jęklivy głos. Gdzie? Nie pamiętał.

– Tak – odpowiedział Henry. – Tak, chcę.

– Zadzwoń do ciebie, kiedy będę go miał, i dobijemy targu. – Rozmówca zakończył połączenie.

Henry sprawdził listę połączeń. Nie znał tego numeru telefonu, ale kierunkowy był dla Chicago. Rodzinnego miasta Erica Lindoego.



W dyskoncie mieszczącym się w Braintree znajdowało się siedemnaście stoisk dla promowanych produktów, uważano je za niezwykle istotne, ponieważ właściciele tegoż dyskontu chcieli zbadać, jakie są reakcje klientów na ceny danych produktów. W sklepie działały dwadzieścia cztery kamery. Sześć z nich, umieszczonych nad stoiskami promocyjnymi, spełniało podwójną funkcję – nie służyły wyłącznie bezpieczeństwu, lecz rejestrowały również zachowania klientów. Jaką trasą w sklepie podążał klient, który przystanął przed stoiskiem promocyjnym? Czy najpierw odwiedzał dział odzieżowy, a potem kosmetyczny, czy elektroniczny? Jaki miał wyraz twarzy, kiedy podchodził do stoiska – uśmiech, skrzywienie, kręcenie głową czy zaciekawienie? Ile czasu każdy z klientów przyglądał się temu stoisku? Czy oglądał znajdujące się na nim produkty i jak długo?

Każdego dnia w trzydziestu dziewięciu stanach kamery robiły zdjęcia dziesiątkom tysięcy twarzy. Materiał z każdej z taśm wędrował natychmiast do głównej siedziby firmy w Little Rock, w stanie Arkansas. Tam był poddawany wstępnej analizie komputerowej, aby dostarczyć menedżerom

sklepów danych, które pozwolą na lepsze dostosowanie cen i strategii zaopatrzenia sklepu.

Jednak, od kilku godzin, materiał filmowy był przesyłany również na inny serwer, który znajdował się w oddziale firmy zajmującym się projektami specjalnymi. Działo się tak w wyniku niezwykle dyskretnej prośby, która wpłynęła z zewnątrz. Każda twarz uchwycona na taśmie była porównywana z fotografią. Przedstawiała ona młodego mężczyznę, około dwudziestu pięciu lat, o jasnobrązowych włosach i niebieskich oczach, proporcje jego twarzy zostały dokładnie wymierzone i zamienione na równania matematyczne. Długość ust. Odległość od dolnej wargi do brody. Układ kości policzkowych. Rozstaw źrenic. Długość i szerokość ucha.

Każda twarz sfilmowana przez kamery była porównywana z tym zdjęciem.

Porównanie numer 10262 wypadło jak dotąd najlepiej, zdjęcie zostało zrobione młodemu mężczyźnie, który kupował parę butów w Braintree w stanie Teksas. Serwer automatycznie wysłał anonimowe zawiadomienie e-mailem, które wędrowało po świecie, zacierając za sobą ślady, aż w końcu pojawiło się na ekranie pewnego komputera w Paryżu.

Mężczyzna, który odebrał wiadomość, przyjrzał się twarzy Luke'a Dantry'ego. Przyglądał się jej dłuży czas. Potem podniósł słuchawkę i nakazał wyszukiwanie wszystkich rozmów przychodzących i wychodzących z Braintree w Teksasie, oraz monitorowanie wszystkich form komunikacji, przelewów pieniężnych i listów przewozowych.

Mężczyzna patrzył w ekran, myśląc: zabijają cię, kiedy cię znajdują.

## 14.

Mouser zdezynfekował i zabandażował ranę od noża. Nie miał zamiaru przyznawać się Snow, że został ranny. Powie jej, że dziurę w spodniach wyszarpała mu wystająca gałąź, kiedy biegł wśród sosen. Zadzwoił do niej, żeby odebrała go z chaty, ale, Jezu, ból był dotkliwy i intensywny, a bandaż chyba za dobrze się nie trzymał.

Ten mały gnojek. Poderżnie mu gardło, kiedy powie im wszystko, co chcą wiedzieć.

Snow dała się nabrać tylko przez pierwsze pięć sekund, kiedy szedł do jej samochodu.

– Jesteś ranny. – Zawróciła go do chaty i posadziła na brzegu wanny. Rozpięła mu rozporek i opuściła spodnie – nie protestował – a potem poszła do samochodu i przyniosła stamtąd apteczkę. Opatrzyła ranę tak profesjonalnie, że aż był zaskoczony. Najpierw ją zdezynfekowała, a potem zszyła.

– Wcześniej się nauczyłam, jak zszywać rany – powiedziała. – Musiałam.

– W tym samym czasie, kiedy nauczyłaś się od ojca konstruowania bomb?

– Aha – odpowiedziała.

– Niezłą ci dał szkołę.

– Szkołę życia – stwierdziła.



- Twardego życia.
- Byłam Dzieckiem Baranka – powiedziała.

Zamilkł z szacunku dla jej przeszłości. Dzieci Baranka były grupą religijną, która chroniła się przed światem w swojej siedzibie w Wyoming. Bestia wysłała tam swoją armię, by ich zmieść – pojawiły się plotki o gromadzeniu broni, unikaniu podatków, gwałceniu dzieci na ołtarzach oraz inne gładkie kłamstwa, które łatwo spływały z rozdwójonego języka Bestii. Po dwutygodniowym oblężeniu federalni zniszczyli siedzibę grupy, zabijając trzydziestu ludzi i oszczędzając dwunastu. To było dziesięć lat temu.

- Rozumiem – powiedział cicho. Z szacunkiem.
- Byłam jednym z czwórki dzieci, które przetrwały oblężenie – odpowiedziała. – Miałam czternaście lat.

To by wyjaśniało blizny po oparzeniach.

- A rodzice?
- Zginęli. Spalili się. Tata wypchnął mnie przez okno. Płonęły mu włosy. Uciekałam, ale dopadli mnie agenci, powalili na ziemię. Patrzałam, jak pali się nasza świątynia. Jak moja wspólnota unosi się w dymie ku Bogu. – Skupiła się na bandażowaniu.

- Przykro mi – powiedział.
- A mnie nie – odparła Snow. Spojrzała na niego. – To dzięki temu jestem, kim jestem, i taką siebie lubię.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Razem pokonamy Bestię. Znajdziemy Luke'a. Rozpętamy Piekielny Ogień.

- Tak – odpowiedziała.

Wyjął swój telefon i zadzwonił do Henry'ego, mówił, słuchał. Rozłączył się. Snow wciąż siedziała na podłodze, patrząc na niego i widząc, jak narasta w nim gniew pomieszany z dezaprobatą.

- Twój były chłopak, Bridger, próbował na nas donosić. Opowiedział jakiejś organizacji Quicksilver o Piekielnym Ogniu. A przynajmniej o tym, że jest planowana akcja o takim kryptonimie; nie chciał zdradzić szczegółów bez zapłaty. Musimy się pospieszyć. Ile wie ten drań?

– Przepraszam – powiedziała. – Nigdy nic nie mówiłam Bridgerowi. Może usłyszał, jak wymieniam tę nazwę przez telefon, kiedy rozmawiałam z Henrym o tym, jak przygotować wszystkie bomby. Ale nigdy mu nic nie mówiłam. Nie wiem jednak, czy i mnie nie szpiegował.

– Wie, gdzie są bomby? Czy zna nasze cele?

Nie odpowiedziała od razu i widział, że stara się przypomnieć sobie sceny z przeszłości. Robiła to z namysłem i dlatego jej uwierzył. Zamiast chwycić ją za szyję i udusić, dotknął tylko jej włosów opuszkami palców.

– Nie. Nie wie, gdzie je przechowujemy, nie zna też celów. Nigdy mu o tym nie mówiłam i nie zapisałam niczego, co mógłby znaleźć. – Mówiła z takim spokojem, w jej słowach nie wychwylił nawet cienia fałszu, którym mogłaby się chcieć wybielić. Mimo to odsunęła od niego głowę. Gdyby chciał ją zabić, mógłby to zrobić; zdał sobie sprawę, że przyjęłaby swój los jak żołnierz. Cofnął dłonie i splótł je na kolanach.

– Okay – odezwał się ochryplym głosem. – Gdzie będzie się ukrywał Bridger?

– Jego rodzina pochodzi z Alabamy. Może być tam. Może też być w Houston. Nie jest zbyt rozgarnięty.

– Nasi z Mrocznej Drogi zaczną go szukać. Kiedy go znajdziemy, powie nam, kim są te dupki z Quicksilvera.

Spojrzała na niego.

– Dlaczego nienawidzisz rządu?

– Po prostu.

– Ja powiedziałam ci dlaczego. Teraz twoja kolej. – Pochyliła się ku niemu, ich twarze znalazły się kilka centymetrów od siebie. – Proszę, Mouser.

Przez chwilę słowa, które zawisły między nimi w wilgotnym powietrzu, wytworzyły atmosferę bardziej intymną niż pocałunek.

– Wolałbym nie – odpowiedział.

Odchyliła się i zamknęła apteczkę.

– Dzięki za opatrzenie rany – powiedział Mouser. – Nadawałabyś się na lekarza albo pielęgniarkę.

– Nie. Nie przepadam za ludźmi.

Wiedział, co czuła.

– Co teraz? – spytała.

– Luke może być w pobliskim mieście.

– Albo łapać stopa na autostradzie. Chyba lubi ciężarówki.

– Dlatego musimy postarać się o jakieś wsparcie. W końcu gdzieś się pokaże i musimy być na to gotowi.

– Jak ból?

– Do wytrzymania – powiedział Mouser. Dała mu zastrzyk przeciwbólowy ze swojej apteczki.

– Sprawdźmy, czy to też będzie do wytrzymania. – Jego rana znajdowała się tuż nad kolaniem. Sięgnęła, chcąc jej dotknąć, ale prześlizgnęła się dłonią po bandażach, aż dotarła do jego bielizny. Włożyła dłoń w rozparek jego bokserek, poczuł jej palce na sobie.

– Co jest? – spytał zaskoczony.

– Jesteś samotny, prawda, Mouser? – odparła.

Minęły cztery lata. Miał swoją misję, nie potrzebował kobiet.

Jednak nie odepchnął jej, usta Snow były ciepłe, kiedy przyłożyła je do jego warg. Ból zdawał się mijać, kiedy opuściła mu spodnie, aż opadły na podłogę łazienki. Godzinę później, gdy wychodzili z domku, Mouser pomyślał: cholera, nie pozwól, aby twoje uczucia przeszkodziły ci w walce z Bestią. Powinieneś uganiać się za Luke'em, a nie za nią. Wstydził się za siebie.

Kiedy znów zadzwonił do Henry'ego, poczuł się zaskoczony tym, co usłyszał.

– Chcę, żebyście pojechali do Chicago – powiedział Henry. – Mam powody przypuszczać, że Luke właśnie tam zmierza.

## 15.

Luke poczuł, że ktoś potrząsa go za ramię i jego pierwszą myślą było, że go znaleźli.

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą pocziwą twarz starszej kobiety, która siedziała w rzędzie obok cierpliwie rozwiązując krzyżówki.

– Jesteśmy w Texarkana, złotko. Zatrzymaliśmy się na obiad i mamy dłuższy postój, jeśli jedziesz dalej.

Zamrugął oczami i podziękował jej nieprzytomnie. Odsunęła się z niepewnym uśmiechem i podreptała między siedzenia.

Luke wyszedł z autobusu. Powietrze było chłodne i wilgotne, deszcz przestał padać. Zaczął iść wzdłuż ulicy w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby coś zjeść.

Czterogodzinny postój, nim będzie mógł pojechać dalej, do Little Rock, Memphis, aż w końcu dotrze do Chicago. Pochłonął podwójnego hamburgera w barze szybkiej obsługi, starając się nie napotkać niczyjego spojrzenia. Minął kilka budynków, aż dotarł do baru, wślizgnął się w jego gościny półmrok i zamówił colę.

Telewizor był włączony, nadawano poranne wiadomości, w których informowano, że ulewne deszcze napływające z nad zatoki zaczęły zanikać. Jakiś reporter donosił, że katastrofa kolejowa w Ripley była skutkiem zamachu bombowego, a nie wypadkiem. Gwar w barze ucichł, kiedy

dziennikarz opisywał, w jaki sposób FBI stara się ustalić, czy był te atak zwolenników dżihadu, czy też rodzimego szaleńca. Nastąpiła przerwa na reklamy i rozmowy rozgorzały na nowo, jednak były cichsze. Luke sączył napój. Znowu powróciły wiadomości, tym razem skupiono się na tajemniczej strzelaninie, w której zginął bezdomny mężczyzna. Później w wiadomościach znowu wystąpił Henry, kolejny raz zdradziecko zachowując się wobec Luke'a. Twarz Luke'a mignęła na ekranie. Kilkoro klientów obecnych w barze o tak wczesnej porze było pochłoniętych rozmową, kontemplowaniem swojego piwa albo grą w bilard. Luke nie zdejmował ciemnych okularów.

Pojawiły się nowe informacje. Luke zobaczył zdjęcie komórki przyjaciela z wiadomością, którą wysłał do wszystkich znajomych na Twitterze: „Jestem niewinny”. Jeden z jego szkolnych przyjaciół bronił go, mówiąc: „Jeśli Luke Dantry twierdzi, że jest niewinny, to ja wierzę, że tak jest. Jaki miałby motyw, żeby zabić nieznanego mu bezdomnego? Żadnego”.

Wtedy jednak dziennikarz zaczął mówić o przeszłości Luke'a. Ucieczka, kilka zatargów z prawem w młodości. Wystarczyło, żeby przekonać przeciwnego widza o tym, że Luke to niezły gagatek, tym bardziej że jego ojczym apelował, by pasierb się poddał.

Właściciel baru przeczekał dwie kolejne wiadomości, a potem, kiedy w lokalu zaczęło przybywać ludzi, zmienił kanał na ESPN, gdzie transmitowano mecz drużyny Dallas Mavericks.

Luke zostawił dolara napiwku i przeszedł kilkaset metrów, aż trafił na sporą stację benzynową z dobrze zaopatrzonym sklepem. Kupił parę nożyczek i poszedł do łazienki, zamknął się w kabinie i przeczytał instrukcję dołączoną do farby do włosów. Stał przed lustrem i szybko, ale niezbyt zręcznie nałożył farbę na włosy. Wrócił do kabiny i siedział tam, czekając trzydzieści minut, w trakcie których ludzie przychodzili i odchodzili. Po upływie trzydziestu minut szybko spłukał maź z włosów pod kranem i osuszył je papierowym ręcznikiem. Potem wyjął nożyczki i krótko obciął włosy. Wyglądało to niezbyt porządnie, ale był teraz blondynem, większość

nowej fryzury ukrył pod czapką z daszkiem.

Próbował dodzwonić się do Chrisa ze swojego telefonu na kartę, ale bez powodzenia. Był spięty, niespokojny. Wrócił piechotą na dworzec autobusowy i siadł tyłem do pozostałych podróżnych.

Usłyszał komunikat wzywający pasażerów jadących do Little Rock, Memphis i Chicago. Wsiadł do autobusu – był wypełniony po brzegi. Niedobrze, ale nocą w autobusie nietrudno było zachować anonimowość. Usadowił się na siedzeniu z tyłu i, nie zdejmując ciemnych okularów, naciągnął daszek czapki na oczy. Kiedy autobus pokonywał kolejne punkty trasy i przystawał na krótkie postoje w Little Rock i Memphis, Luke zapadł w przerywaną drzemkę, długa noc i jego ewidentny brak zainteresowania rozmową odizolowały go od współpasażerów jak kokon.

Kiedy nie spał, rozmyślał o Henrym. Tak naprawdę nie znał człowieka, który pomagał go wychowywać od śmierci ojca. Człowieka, który ledwie przeżył wypadek, w którym zginęła jego matka. Ta świadomość sprawiła, że przeszedł go dreszcz. Po śmierci taty Henry był dla niego opoką. Silny w chwilach słabości Luke'a, skupiony, kiedy Luke błędził. Zawsze w niego wierzył; ten łagodny człowiek, który ożenił się tak późno i wydawał się zaskoczony i wdzięczny za to, że zyskał w Luke'u tak wyjątkowego przyjaciela i syna.

Czy to wszystko – każdy wyraz wsparcia, gest czułości, słowo zachęty – były najbardziej okrutnym i wyrachowanym spośród kłamstw? Jakimże potworem był Henry?

Dowiem się, jaka jest prawda o tobie, pomyślał Luke. Cała potworna prawda. Nieważne jakim kosztem, niezależnie od tego, co będę musiał zrobić.



Następnego dnia, o trzeciej po południu, dotarł do Chicago; autobus trochę się opóźnił w Memphis. Luke był wykończony i czuł się brudny. Dworzec autobusowy niedaleko centrum Chicago był bardziej zatłoczony, niż

się tego spodziewał. Były tam matki, żołnierze, starsze małżeństwa, samotni mężczyźni. Mógł zniknąć w tłumie, zorientować się w terenie. Potem zastanowić się, jak znaleźć Erica, i sprawdzić, czy dowie się czegoś przydatnego od ChicagoChrisa.

Nerwy miał napięte jak postronki. Będzie teraz miał do czynienia z kimś, kto jest naprawdę niebezpieczny, może nawet zdolny zabić człowieka; z kimś, kto być może należy do Mrocznej Drogi. Mógł się właśnie pakować do jaskini lwa. W pułapkę. Czuł, że niemal podskakuje w miejscu, jak bokser przygotowujący się do walki, próbował zwalczyć zmęczenie i zmusić się do logicznego myślenia.

Poszedł w stronę wyjścia prowadzącego na Harrison Street, wymijając tłumy przyjeżdżających i odjeżdżających, kiedy nagle ktoś złapał go za ramię. Odskokzył, niemal się przewracając. Mężczyzna, który położył mu rękę na ramieniu, był młody, ogolony na łyso, o przenikliwym spojrzeniu znad topornych okularów.

– Ty jesteś Lookout. – Wyprowadził Luke'a na słoneczną ulicę. ChicagoChris był niższy od Luke'a, z czołem zmarszczonym jakby od ciągłych zmartwień, niepewności lub gniewu. Białe usta i jasnobrązowe oczy sprawiały, że jego twarz była jakby niedokończona. Odsłaniał w nerwowym uśmiechu białe, szerokie zęby i Luke pomyślał: załóżę się, że dokuczali ci z powodu tych łopat. Miał na sobie czarną, skórzaną kurtkę i czarną koszulkę z rysunkiem czerwonej pięści i napisem „You made it!”.

– No tak – Luke nie spodziewał się spotkać z nim na dworcu, ale w końcu dlaczego nie? Chris zapłacił za bilet Luke'a, znał rozkład, miał w zamian obiecaną informację.

– Cieszę się, że moje pieniądze się przydały.  
– Oddam ci, kiedy tylko będę mógł.  
– Wszędzie pokazują twoje zdjęcia, Luke. Nie możesz tu stać. Chodźmy.

Wie, jak się nazywam. Luke nie chciał iść – chciał poszukać Erica i

Aubrey. Jego niechęć musiała być widoczna, bo Chris uśmiechnął się z przekąsem i powiedział:

– Oczywiście mogę zacząć krzyczeć do tych wszystkich miłych ludzi, że cię znalazłem. Gliny zjawiałyby się tu w parę chwil.

– To nie będzie konieczne – odparł Luke.

– Cieszę się, że się zgadzamy. Chodźmy. Mam studio w Wicker Park. Tam możemy porozmawiać.

– Wicker Park. – Słyszał o tym miejscu. – Bardzo modne, prawda? – Jeśli ten facet miał tak dobry adres i dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wysłać je internetowym znajomym, to pewnie odniósł sukces jako artysta. Po co zatem marnuje czas, pisząc o nienawiści, anarchii i rewolucji? Dlaczego przepelnia go wściekłość?

– Wicker to już przeszłość – stwierdził Chris. – Za dużo tam firm.

Czując, że nie ma wyboru, Luke podążył za Chrisem do jego samochodu. Było to lśniące nowością porsche. Odjechali spod dworca i ruszyli na północ od centrum. Luke siedział skulony w fotelu i zastanawiał się, czy Chris był jedynym ekstremistą, który jeździł takim autem.



Barman z Texarkana w końcu odezwał się do żony, kiedy palił papierosa i popijał kawę przed wyjściem na kolejną wieczorną zmianę:

– Ten młody facet z telewizji. Ten, który zastrzelił bezdomnego w Houston.

– Kto? – Nie śledziła wiadomości; przygnębiały ją, a niedawny atak w Ripley tylko ugruntował jej pesymizm.

Opowiedział jej to, co obejrzał w wiadomościach, i że jeden z jego wczorajszych klientów był bardzo podobny do tego człowieka.

– Nie zdjął ciemnych okularów w barze. Dziwne, jeśli nie był ślepy.



– Może był ślepy.  
– Nie daje mi to spokoju. Powinienem zadzwonić na policję – stwierdził barman.

– Bardzo wątpię, że widziałeś tego poszukiwanego – powiedziała żona. Jej praktycyzm był bardzo przydatny w ich małżeństwie. – Jest tyle barów na świecie, a on pojawił się właśnie u ciebie. Akurat kiedy mówili o nim w wiadomościach. Daj spokój.

– Musiał gdzieś się podziewać w trakcie tych wiadomości.. Ciągłe o tym myślę. Miał ze sobą torbę. Późnym popołudniem przychodzi do nas sporo podróżnych z dworca autobusowego.

– Poszukiwany w autobusie. Myślałam, że zwykle kradną samochody.

– Tylko w filmach. Mam zadzwonić na policję czy do FBI?

– Do FBI – stwierdziła. – Jeśli go widziałeś, to już przekroczył granicę stanu. Nikt nie uciekałby do Texarkana, żeby tu zostać. – Zapaliła kolejnego papierosa, przyglądała się, jak stanął przed telefonem, zastanawiając się, co zrobić. Dała mu lekkiego kuksańca, wołała mieć spokój w domu. W końcu jeden telefon nie zaszkodzi. – Jeśli masz rację i uda się go złapać, to w tym tygodniu będziesz w CNN. Oczywiście wtedy nie da się z tobą wytrzymać. – Uśmiechnęła się do niego.

To stwierdzenie ucieszyło barmana, ale w odpowiedzi tylko mruknął, podszedł do telefonu i otworzył książkę telefoniczną.

– Najpierw zadzwonię na policję. Z szacunku. Gliniarze wpadają do mojego baru, a jeszcze nigdy nie widziałem w nim agenta FBI.

Żona wzruszyła ramionami i wróciła do poprawiania wypracowania ich nastoletniej córki na temat *Alicji w Krainie Czarów*. Słuchała jednym uchem, jak jej mąż zaczyna opowiadać o swoich niemądrych, wydumanych podejrzeniach.

## 16.

Chris pracował niedaleko centrum Wicker Park, w pobliżu dworca kolejowego Damen, w starym budynku, na którego parterze mieścił się sklep, a na piętrze biuro i lofy. Do ceglanego muru przymocowano kunsztownie wykonany z metalu szyld GALERIA BENNINGTON. Obok mieściła się kawiarenka, w której ogródku odpoczywali przy swoich laptopach próżniacy spragnieni słońca. Po drugiej stronie była ekskluzywna szkoła sztuki walki, która wyglądała jak japońskie spa. Chris zaparkował z tyłu budynku, na zastrzeżonym miejscu, pod dawnymi schodami przeciwpożarowymi. Kiedy zmierzali do środka, w ich kierunku pospieszyła zdenerwowana kobieta. Była po czterdziestce, ubrana na czarno, chuda jak nastolatka, o dziecinnej twarzy, która wydawała się łagodniejszą wersją rysów Chrisa.

– Cześć, kochanie – zagadnęła. – To twój przyjaciel? – Uśmiechnęła się do Luke'a niepewnie, jakby błagając go, żeby okazał się przyjacielem Chrisa. I jednocześnie jakby nie była pewna, czy chce spotkać jakichś jego przyjaciół. Na jej twarzy odmalowały się sprzeczne emocje.

Chris zjeżył się, kiedy usłyszał „kochanie”, i powiedział:

– Tak, to przyjaciel, odwał się, mamo.

Luke zamarł. Przez lata dużo się kłócił z matką, ale nigdy by się tak do niej nie odezwał. Uśmiech na twarzy matki Chrisa zadrzał a potem zbladł,

lecz nie znikł zupełnie. Chris też się uśmiechnął, jakby mówiąc: dokładnie tego się spodziewałem.

– Przepraszam – powiedział Luke. Nie wiedział dlaczego, ale czuł, że ktoś musi to zrobić. – Jestem Warren, miło panią poznać. – Znow przedstawił się imieniem ojca.

– Miło cię poznać – odpowiedziała kobieta i pospieszyła do wnętrza galerii, skąd widać było ścianę zapelnioną abstrakcyjnymi mazajami. Nie czekał tam żaden klient, uciekła przed chamstwem swojego syna.

– Jest beznadziejna – stwierdził Chris. – Chodź, moje studio jest na górze.

– To należy do twojej mamy?

– Tak – przyznał niechętnie Chris.

Luke dostrzegł, jakim paradoksem było to, że Chris miał swoje studio nad galerią, choć na wynajmie tego miejsca można by nieźle zarobić. Chris zachowywał się jak nastolatek, który wyżywa się na matce, żeby dobrze wypaść przed nowym kolegą, a jednocześnie mimowolnie pokazuje, że jest niepewnym siebie durniem. Jednak Luke nie skomentował tego ani słowem.

Chris miał na drzwiach pięć zamków i dobrą minutę zajęło mu otworzenie ich wszystkich.

Pięć zamków, pomyślał Luke. Co takiego kombinujesz, że potrzebujesz aż pięciu zamków?

W studiu – które służyło też jako przestrzeń mieszkalna z niepościelonym łóżkiem w rogu – pachniało farbą, zwietrzałą kawą i trawką oraz brudnymi ubraniami. Odślonięte ceglane ściany i okna w dachu były największymi zaletami tego pomieszczenia. Było tu dużo przestrzeni, miejsca, gdzie mógł się rozwinąć prawdziwy talent, ale sztuka w wykonaniu Chrisa była bardzo słaba. Pełna złości. Plamy czerni i czerwieni, brunatna Ziemia zawieszona nad czerwoną pięścią, naszkicowane postacie mieszkańców przedmieść uciekających przed rozkwitającymi płomieniami napalmu. Beznadziejne, pomyślał Luke. Kolejny obraz przedstawiał gromadę pięści połączonych pajęczyną linii, po których pełzły płomienie. Rozmazane graffiti

z przekleństwami wypisanymi kolorowa czcionka, której zwykle używano w książkach dla dzieci. I wreszcie dwoje patrzących spode łba nastolatków, z których głów buchały płomienie, jakby byli wulkanami. Ich twarze wydawały się Luke'owi znajome, ale nie wiedział skąd.

– Ładne. – Luke nie wiedział, co powiedzieć, a bał się milczeć. Jak można skomplementować śmierć? Czy ta tandeta się sprzedawała?

– Ładne? To nie ma być... ładne. – Chris poczerwieniał na twarzy.

– Przepraszam. Miałem na myśli, że to jest znakomite. Głębokie. Przykuwające uwagę. Wybacz moje wyczerpanie.

Chris wziął głęboki oddech, chłonąc pochwały.

– Czerpię natchnienie z fotografii wojennych, transponuję to na amerykańskie realia.

– Pewnie się dobrze sprzedają – powiedział Luke nieszczerze.

– Do cholery, nie. Nigdy się nie sprzedały. Pewnego dnia uznają to za wielką sztukę, ale nie teraz, póki rządzi ta chora kultura.

– Z czego płacisz rachunki?

– Mój ojciec buduje domy. Tysiące domów. – Chris uśmiechnął się z przymusem. – Nie uwierzyłybyś, ile się marnuje w nowoczesnym domu za miastem. Wszystko jest takie ekstrawaganckie. Za te pieniądze można by wykarmić pół świata. – Pokręcił głową.

– Ale przecież ludzie potrzebują domów – stwierdził Luke.

Spojrzenie Chrisa zapłonęło ogniem.

– Budujmy bloki. O wiele wygodniejsze, mniejszy wpływ na środowisko. Spalmy miasta i wybudujmy wieżowce. O wiele mniej by się marnowało.

– To ponure – skomentował Luke. – Nadawałbyś się na architekta w Związku Radzieckim. – Zaczął się przyglądać obrazom, a kiedy się odwrócił, okazało się, że Chris stoi niecałe pół metra za nim, uśmiechając się szatańsko.

- Po tym, jak ci pomogłem – warknął Chris – nabijasz się ze mnie?
- Nie, wcale nie, przepraszam. – Popełnił błąd. Chris nie sprawiał wrażenia człowieka skupionego na konkretnym celu. Jego rozgorączkowane spojrzenie świadczyło o czymś innym. Musiał ostrożnie wyciągnąć od Chrisa informacje, na których mu zależało. – Dziwię się, że dałeś mi te pieniądze. W końcu mnie nie znasz.
- Znam twoje poglądy. To dla mnie to samo. – Chris zapalił i zaproponował papierosa Luke'owi, ale ten pokręcił głową. Chris nie był już zdeenerwowany, jego gniew ulotnił się w mgnieniu oka. – Dobra, jakie masz informacje na temat katastrofy w Ripley?
- To była bomba.
- To już wiem. Co jeszcze? – Uśmiechnął się. – Założę się, że wiesz, kto ją tam podłożył.
- Tak – skłamał Luke. – Rząd. – Pomyślał, że ta historyjka będzie dokładnie w stylu Chrisa.
- No tak. A ty powiesz, jaki masz na to dowód, jako gest wdzięczności za moje wysiłki.
- Wydaje mi się, że mogę zdobyć dowody. Jeśli będę miał właściwą pomoc.
- Pomoc.
- Muszę wiedzieć, czy jesteś członkiem... grupy, która może mi pomóc.
- Grupy.
- Mrocznej Drogi.
- Chcesz wiedzieć, czy należę do Mrocznej Drogi. – Ku zaskoczeniu Luke'a wyglądał tak, jakby zaraz miał się roześmiać.
- Tak.
- Niezłe kłamstwo – stwierdził Chris. – Lepsze, niż się spodziewałem.
- Nie kłamię, ja...
- Chcę w to wejść.

– W co?

– Chcę dołączyć do tej twojej grupy. Nazywa się Mroczna Droga? Podobają mi się, taka gra słów ze Świetlistym Szlakiem. To peruwiańska grupa terrorystyczna. Istnieli dość długo.

Luke zamrugał. Popęłnił błąd.

– Nie należę do żadnej grupy. Myślałem, że twoja organizacja może mi pomóc.

– Nie obchodzą mnie kłamcy. Wiesz, o co mi chodzi. O grupę, którą organizuje twój ojczym.

Luke splótł ramiona.

– Znasz go? – O Boże, a co, jeśli skontaktował się z Henrym i powiedział mu, że Luke przyjeżdża?

– Tak. – Chris wypuścił obłok dymu. – Dołączałem się do grup w Internecie, ponieważ nikt nie miał takich poglądów jak ja. Nikt z mojej rodziny, nikt z ludzi, z którymi próbowałem się zaprzyjaźnić... – ugryzł się w język – nikt z moich przyjaciół. Ale tak naprawdę nie da się nigdzie przynależać. Ludzie z grup internetowych tylko gadają, nakręcają się i plotą, a to nic nie oznacza. – Wskazał na obraz przedstawiający pięści połączone ognistymi liniami. – Tak powinny wyglądać społeczności internetowe, ogień i działanie, palenie tego odrażającego świata na proch, żebyśmy my, szlachetni i właściwie myślący ludzie, mogli zacząć od nowa, ale tak nie jest. – Popatrzył na Luke'a, a ten poczuł, jak robi mu się zimno. Zdał sobie sprawę, że ten facet nie jest po prostu wkurzony, on jest chory psychicznie. Triumf, który dostrzegł w jego spojrzeniu, był pokręcony, zły, chory. – Ta nowa grupa, w której jesteś, izoluje mnie. Ale nic z tego. – Znow miał uśmiech przylepiony do warg.

– Mówiłem ci, nie jestem w żadnej grupie. – Nagle ten człowiek zaczął przerażać go bardziej niż Mouser, kiedy był z nim sam na sam w tamtym domku w lesie. Fałszywy uśmiech Chrisa był przykrywką dla czegoś pokręconego, mrocznego.

– Twój ojczym się ze mną skontaktował. Miesiąc temu. Chciał się ze mną spotkać w pobliżu lotniska. Wczoraj rozpoznałem go w CNN, jak mówił o tobie.

Luke poczuł, że ogarnia go przerażenie.

– Mówił, dlaczego chce się z tobą spotkać? – To był dowód na to, że Henry wykorzystał poszukiwania Luke'a i osobiście kontaktował się z ekstremistami. A tego tutaj musiał wkurzyć.

– Znalazł mnie przez adres IP, z którego korzystałem. Powiedział, że podziwia piękno i logikę moich argumentów. Moją pasję. Rzadko dostają takie pochwały. Umówiliśmy się na kawę. Miał na głowie czapkę i inne okulary, mówił z południowym akcentem, którego nie było słychać w telewizji. Ale to był on.

– Spotkanie nie poszło za dobrze.

– Dostrzegam, kiedy maluczcy mnie osądzają. Jestem zagrożeniem dla ludzi, ich poczucia bezpieczeństwa. Dlatego że jestem mądrzejszy i bardziej utalentowany. Matka mówi mi, że wszyscy są zazdrośni. To wiele tłumaczy. Dla niego nie byłem dostatecznie dobry. – Jego nieporadne zadowolenie ustąpiło miejsca wściekłości. – Uwierzysz?

Stanowił zagrożenie, bo był wariatem, zrozumiał Luke. Nie był skupiony ani zdyscyplinowany, tak jak Mouser i Snow. Armia nie potrzebuje czubków, Mroczna Droga też nie. Narażają misję na ryzyko.

Chris nie dostał zaproszenia.

Luke spojrzął za plecy Chrisa, szukając czegoś do obrony. Jego wzrok padł na obrazy, pięści złączone w sieć, dwóch naburmuszonych nastolatków. Z przerażeniem rozpoznał ich twarze. Dwóch nastolatków odpowiedzialnych za masakrę w college'u Columbine.

– Mój ojczym źle ocenił twoje możliwości.

– Pytał, czy kiedykolwiek rozważałem wcielenie swoich słów w czyn. Czy umiem obsługiwać komputer. Czy mogę jakoś zdobyć pieniądze. Czy mam kontakty z dilerami narkotyków. Też coś. Nie zatruwam sobie umysłu narkotykami. Jestem przyzwoitym gościem, który ma dosyć hipokryzji. To, że jestem malarzem, mu nie wystarczyło. – Mówił z coraz większą pogardą.

– Nigdy więcej się nie odezwał. Jeśli skontaktował się ze mną w sprawie pracy nad zmianą świata, to pewnie skontaktował się też z innymi. Ludźmi, których znalazł na forach internetowych, którzy mogą coś zdziałać. Zatem...

– Zatem...

– Jesteś dla niego wartościowy. Jesteś moją przepustką do jego organizacji.

Luke cofnął się o krok.

– Mylisz się. Bardzo się mylisz.

– Błagałeś mnie o pomoc, a teraz nie chcesz pomóc mnie. Takie jest moje życie. – Od wściekłości przeszedł do błagalnego tonu. – Mogę się wam naprawdę przydać. Mogę wam pomóc zmienić świat. Mógłbym wreszcie... – Zamilkł, a Luke zrozumiał, co chciał powiedzieć: Mógłbym mieć przyjaciół.

Jakie to uczucie, kiedy odrzucają cię nawet ludzie z marginesu? W udręczonym spojrzeniu Chrisa Luke dostrzegł pustkę.

– Mam już dosyć tych, którzy powtarzają, że nie jestem wystarczająco dobry. Złapałem cię, chociaż inni nie byli w stanie. Zadzwońmy wspólnie do twojego ojczyma i zobaczmy, co się da zrobić.

Luke postąpił trzy kroki do przodu i uderzył Chrisa pięścią w szczękę. Dla obu było to zaskoczenie. Chris upadł, a Luke poczuł rozchodzący się po ręce ból.

– Powiedziałeś mojemu ojczymowi, że tu jadę?! – wrzasnął.

Chris otarł krew z wargi.

– Uderzyłeś mnie. Nie wolno ci mnie bić. – Brzmiał jak pierwszoklasista zagniewany złamaniem zasad w piaskownicy.

– Odpowiedz mi.

– Tak. Sprzedałem twój tyłek. Oddam cię mu i dostanę się do Mrocznej Drogi, będę mógł pokazać, na co mnie stać. – Zerknął na zegarek. – Niedługo powinni się po ciebie zjawić. Chciałem tylko, żebyś wiedział, że jestem od ciebie mądrzejszy. Od nich też.

– Jesteś szalony.



Chris wstał powoli, jakby badając reakcje swojego organizmu.

– Szkoła sztuk walki obok. Uczą krav magi. Wiesz coś o pięknie tej sztuki?

– Teraz bredzisz.

Chris wydał z siebie dźwięk poirytowania.

– Krav maga to izraelska sztuka samoobrony. Zapisalem się tam, bo kiedy rozpocznie się wojna, chcę być przygotowany. Ludzie mówili, że walczyłem tak, jakby mi się to za bardzo podobało. Wywalili mnie – powiedział lekceważąco. – Nauczyłem się wystarczająco dużo, żeby połamać ci kości. Nigdzie się nie wybierasz.

I rzucił się na Luke'a.

## 17.

Pierwsza seria precyzyjnych uderzeń powaliła Luke'a na stół pokryty szkicami Chrisa. Rozbolała go twarz, posiniaczona wcześniej ciosami Mouser'a. Ten wariat stłucze go na miazgę.

– W krav madze nie ma miejsca na litość – powiedział Chris ze spokojem wykładowcy. Zatrzymał się, by podnieść Luke'a, zaatakował pięściami jego klatkę piersiową i twarz, a potem pchnął go mocno w kierunku obrazów.

Luke spadł między te bazgroły, zahaczając o stół z materiałami malarskimi. Czuł ból w szczęce i piersiach, Chris zbliżał się w jego kierunku, balansując na palcach stóp. Luke szukał jakiejś broni, którą mógłby wykorzystać. Namacał pędzle, butelki po wodzie, wysuszoną, brudną paletę. Zacisnął palce na metalowym pojemniku.

Puszka po farbie w sprayu.

– Jest niezbędne – mówił Chris – abym otrzymał ważną funkcję, kiedy zapanuje nowy porządek. Wtedy każdy pozna moje imię. Pozna moje dzieła. Moje...

Luke był odwrócony tyłem do Chrisa, ten podniósł nogę, żeby kopnąć Luke'a, a wtedy Luke odwrócił się gwałtownie i wypuścił z puszkii strumień czerwonej farby. Twarz Chrisa znalazła się w szkarłatnej mgielce. Zawył i uskoczył. Farba oblepiła mu okulary, Luke uderzył go krzesłem w klatkę piersiową. Dwa razy, mocno. Chris upadł.

– Zorientują się – wyrzucił z siebie Luke – że nie wiesz, kiedy się zamknąć. – Pobiegł w kierunku drzwi z pięcioma zamkami. Pociągnął za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Musiał się stąd wydostać. Ten gość był świrnięty, a poza tym Mouser i Snow byli już pewnie w drodze.

Nie zauważył, że Chris zamknął drzwi za sobą, bo przyglądał się jego tandetnym obrazom. Poruszył zasuwą, ale drzwi nadal pozostały zamknięte. Potrzebny był klucz.

– Nigdzie stąd nie pójdziesz. – Chris chwiejnie wstał z podłogi. Z nosa leciała mu krew, podobnie jak Luke'owi. Umazany krwią i czerwoną farbą uśmiechał się. – Nie możesz, bo jesteś moją przepustką do chwały.

– Daj mi klucze – zażądał Luke.

Chris potknął się i upadł na stół. Luke zauważył, że obok ucha miał krwawą ranę, z której wystawała potężna drzazga z krzesła.

Luke rzucił się na niego.

Chris otworzył szufladę.

Luke był pewien, że wyciągnie broń. Chris nie posłużyłby się wyłącznie pięściami teraz, kiedy był ranny. Luke dostrzegł schody przeciwpożarowe za oknem i pobiegł w tamtym kierunku.

Trzy strzały strzaskały szybko chwilę potem, jak wbiegł na schody. Poczuli, że ma pełno szkła we włosach. Dźwięk strzału wdarł się w spokój popołudnia i zabrzmiał echem pośród szumu samochodów przejeżdżających przez Wicker Park, Zbiegł po schodach przeciwpożarowych i zeskończył na dach samochodu Chrisa, wgniatając go swoim ciężarem.

Posłyszał nad sobą, jak Chris wyje niczym zranione zwierzę.

Luke wyskoczył na szeroką ulicę, tuż przed koła taksówki, której kierowca wściekle na niego zatrąbił. Zaczął rozpaczliwie biec. Musiał zniknąć z ulicy, nim zobaczy go Chris. Wbiegł za jakiś budynek z krzykliwym neone i znalazł się w płataninie uliczek. Skręcił w lewo, w prawo i znalazł się obok wejścia do piekarni, z której wydobywał się smakowity zapach czekolady i migdałów, oraz otwartej o tej porze kawiarni.

Uliczka kończyła się ogrodzeniem z siatki. Luke wdrapał się na nią i usłyszał wycie syreny. Policja. Ogarnął go strach. Ktoś pewnie zadzwonił z doniesieniem o strzałach Chrisa.

Przebiegł alejką, na którą wychodziły zaplecza sklepów i restauracji. Zastanawiał się, czy nie schować się w kontenerze na śmieci, ale wtedy łatwo byłoby go schwytać. Musiał się wydostać z tej okolicy.

Na końcu alejki, która wychodziła na spokojną uliczkę, dostrzegł przejeżdżający samochód policyjny. Luke uskoczył za kontener na śmieci. Po chwili wyrzwał zza niego.

Radiowóz zniknął.

Wybiegł zza kontenera i próbował otworzyć jakieś drzwi. Zamknięte. Podbiegł do innych. Otworzył je. Wychodziły na niewielkie przejście kuchenne. Dwaj niscy mężczyźni, Latynosi, spojrzeli na niego znad mytych naczyń. W powietrzu czuć było zapach hamburgerów, a w radiu dźwięczała jakaś hiszpańska muzyka.

– Przepraszam, przepraszam – powiedział, przemykając obok nich, jeden z kucharzy krzyknął po hiszpańsku:

– Co u licha, to nie główne wejście!

Luke zignorował go i wbiegł na salę jadalną. Restauracja była niewielka, schludna, stało tam kilka stolików i tablica, na której polecano burgery, kanapki i zestaw dnia: klops i ziemniaki tłuczone z czosnkiem. Przy stolikach siedziało kilka osób, w tym większość obsługi. Jedna z kelnerek wycierała tablicę, żeby wypisać na niej zestawy kolacyjne.

Luke przebiegł obok niej i wypadł na ulicę. Tu ruch był większy, pełno było kawiarni, butików z oryginalnymi ubraniami, był też irlandzki pub.

Pojawił się radiowóz i zaczął jechać w jego kierunku. Luke wszedł do najbliższego sklepu – małej kwaciarni. W powietrzu unosił się zapach kwiatów. Nikt nie stał za ladą, ale dzwonki przyczepione do drzwi zaanonsowały jego przybycie.

Dostrzegł grubą, plastikową zasłonę – stały za nią pojemniki z kwiatami. Wszedł za nią i ruszył w stronę tylnego wyjścia.

Usłyszał, że ktoś wchodzi do sklepu.

– Dzień dobry, panie władzo, jak mogę pomóc... – usłyszał głos po drugiej stronie zasłony. Potem zapadła cisza.

Policjant chyba wszedł do kwaciarni. Szukali go. Albo jego zachowanie wzbudziło ich podejrzenie. Opuścił lokal tylnym wyjściem. Przez małe okienko dostrzegł, jak w środku jeden z policjantów ustawia się w gotowości.

Znalazł się w kolejnej uliczce; nie sięgały tu promienie popołudniowego słońca.

– Policja! – Chris krzyknął mu niemal do ucha. – Tutaj jest! – Jego twarz była czerwona od farby. Zamknął Luke'a w uścisku.

– Strzelał w mojej pracowni. To czubek! – Darł się wyszczerzony Chris.

– Policja! Stój! – Policjant wybiegł w uliczkę.

Luke zamarł.

– Pomocy! – krzyknął. – Ten człowiek próbował mnie zastrzelić!

Policjant przyjrzał się Luke'owi, jego włosom i ranom.

– Luke Jameson Dantry. Na ziemię, ale już! – zakomenderował.

Luke posłuchał.

– Nie mam broni – tłumaczył się. – To on strzelał, nie ja.

– Ten przestępca kłamie – zareagował Chris. – To ja go złapałem.

– Ty też na ziemię! – rozkazał policjant.

Chris zrobił, co mu kazano.

Luke poczuł, że policjant przytrzymuje go przy ziemi, usłyszał odgłos kajdanek odpinanych od pasa. Przypomniało mu to wszystko, co miało miejsce, kiedy był przykuty do łóżka w domku w lesie.

– Proszę mnie nie zakuwać w kajdanki! Proszę, proszę, nie! To nie ja jestem przestępcą! – Zaczął krzyczeć. Wyrwał dłoń z uchwytu policjanta i schował ją pod sobą.

Policjant próbował go na powrót uchwycić.

– Nie stawiaj oporu! Czy ty jesteś Luke Jameson Dantry?! – wrzeszczał policjant.

– Tak, panie władzo, mam informacje związane z groźną grupą przestępczą. Proszę, bardzo proszę mnie nie zakuwać w kajdanki...

Policjant zaczął coś krzyczeć do krótkofalówki, którą miał przymocowaną na ramieniu, ciągle próbując skuć Luke'a, który się wyrывał. Kiedy Luke odwrócił głowę, dostrzegł nagle postać stojącą u wlotu do uliczki.

Snow. Uśmiechała się do niego.

Luke krzyknął:

– Uwaga!

Snow podniosła rękę, Luke nie widział broni, ale odgłosy strzałów odbiły się echem od ścian budynków. Policjant upadł w pół słowa, w twarzy miał dwie dziury. Jego krew trysnęła na dłonie Luke'a, który schował się za kontenerami na śmieci.

Załatwione jak pstryknięcie palcami. Luke słyszał, jak Snow zbliża się do niego, obcasy jej butów stukwały o chodnik. Nie spieszyła się, bo nie wiedziała, czy Chris jest uzbrojony. Miał wrażenie, że może czytać w jej myślach, rozumie jej zachowanie.

– Ty jesteś Chris, prawda? – spytała Snow, kiedy podeszła. Jej ton był przyjazny.

– Tak – Chris wstał, był pełen chorej dumy. Nareszcie doceniono jego geniusz. – Czy jesteś tu, żeby mi pomóc?

– Tak, skarbie – odpowiedziała Snow i zastrzeliła go.

Chris opadł na kontener. Kiedy umierał, jego oczy nappełniła pustka, pochłonął go świat, w którym nie ma już zła.

– Chodź, chłopczyku, czas jechać do domu – nawoływała Snow, zbliżając się do Luke'a.

Luke zauważył, że służbowa broń policjanta wciąż wystaje z jego kabury, więc czym prędzej chwycił pistolet.

Strzelił w kierunku Snow, a potem jeszcze raz, kiedy chowała się za stertą rozrzuconych palet. Drugi strzał był celny – dostrzegł, że jej ramię podskoczyło, a na kurtce pojawiła się plama. Nie krzyknęła. Zazgrzytała

zębami, jakby ukąsiła ją pszczoła. Znow wycelował, strzelił, a potem odwrócił się i pobiegł w kierunku wylotu uliczki. Przeskoczył przez płot na drugą stronę.

Jej kule trafiły w płot, niemal raniąc go w dłonie, kiedy przeskakiwał nad ogrodzeniem.

Upadł po drugiej stronie płotu, potem zaczął biec.

Przebiegł kilkaset metrów. Nigdzie nie było jej widać. Dostała chyba na tyle mocno, że nie była go w stanie ścigać.

W powietrzu słychać było wycie syren. W opustoszałej uliczce Luke wrzucił broń policjanta do kosza. Gdyby go złapano z bronią zabitego policjanta w rękę...

Znalazł starą gazetę i starł nią krew z twarzy i dłoni. Usłyszał stukot przejeżdżającej kolejki, która jechała po torach rozciągniętych nad ulicą – była to chicagowska wersja metra – biegł, dopóki nie znalazł się w pobliżu stacji Damen.

Wrzucił pieniądze do automatu i odebrał bilet. Mój Boże, pomyślał, ona zabiła gliniarza. Mam nadzieję, że ją zabiłem. Nagle zdał sobie sprawę, że policjant zawiadomił innych, iż ujęli Luke'a – znał jego imię – a teraz nie żyje.

Luke wsiadł do pociągu jadącego w kierunku centrum. To jakieś szaleństwo. Policjant po prostu wykonywał swoją pracę. Cała policja w mieście będzie teraz szukała Luke'a. Długo nie uda mu się uciekać. Usiadł i przyjrzał się trasie kolejki. Trzęsły mu się dłonie i miał ochotę zwymiotować, kiedy pociąg zahamował, a potem znow ruszył. Próbował na nikogo nie patrzeć. Nikt się mu nie przyglądał. Był zaniedbany i brudny, nikt nie chciał się pakować w kłopoty, więc wszyscy unikali jego wzroku.

Co teraz?

Mógł zrobić tylko jedno i musiał to zrobić przed Snow i Mouserem. Eric Lindoe. Musiał go odnaleźć.

Luke niezbyt dobrze znał Chicago i nie był pewien, jak dotrzeć do banku Erica. Wsiadł na stacji w centrum. Wszedł do księgarni i skorzystał z

jednego ze stojących tam komputerów, aby sprawdzić w Internecie miejsce pracy Erica. Jego bank znajdował się przy LaSalle Avenue, w dzielnicy finansowej.

Dziesięć minut później stał przed biurem Erica. Z pobliskiego kiosku dobiegał dźwięk radia, Luke przysunął się, żeby posłuchać wiadomości o strzelaninie. Zginął policjant i jeden cywil.

Tylko dwóch. Chris nie żył. Oznaczało to, że tylko drasnął Snow i udało się jej uciec. Zrobiło mu się zimno. Wszędzie widział twarz policjanta, człowieka, który po prostu wykonywał swoją pracę i przez to zginął. Luke wyciągnął telefon, który kupił w Braintree, i zadzwonił na policję. Opisał dyspozytorowi Snow i Mousera jako odpowiedzialnych za strzelaninę. Potem rozłożył telefon na części i wyrzucił do kosza.

Odpowiedzą za to, co ci zrobili, obiecał w myślach policjantowi.

Poczuł, że burczy mu w brzuchu. Kupił hot doga i sok jabłkowy; jadł, nie czując smaku. Po trzech kęsach zauważył Erica Lindoego – porywacza i mordercę – jak wychodzi ze szklanego holu wieżowca, spogląda na zegarek i dokąś rusza. Był ubrany w płaszcz, miał czapkę nasuniętą na twarz, ciemne okulary, wyglądał na człowieka, który ma sporo na sumieniu.

Luke poszedł za nim.



## 18.

Eric Lindoe wszedł do trzeciego wagonika kolejki. Luke trzymał się z tyłu, więc ulokował się w czwartym wagoniku i usiadł przy drzwiach. Miał nadzieję, że zobaczy, jeśli Eric będzie wysiadał.

Na pierwszym przystanku Luke wyszedł z wagonu, udając, że robi miejsce wysiadającym pasażerom, i przytrzymał drzwi. Dostał za to kilka podziękowań, za bardzo zwracał na siebie uwagę.

Eric jechał dalej, Luke też.

Kolejne przystanki, pociąg zmierzał na północ. Kobieta siedząca obok niego miała telefon z Internetem; czytała wiadomości CNN. Luke spojrzął jej przez ramię. Zawsze były to tylko złe wieści, a tym razem nawet gorsze niż zwykle. Wybuch w Kanadzie zniszczył rurociąg naftowy, który trzeba było zamknąć. Ze sklepów wycofywano tony mięsa mielonego pochodzącego z fabryki w Tennessee po tym, jak kilkoro ludzi w dwunastu stanach zatrąło się wczoraj bakteriami *E. coli*; list wysłany do jednej z lokalnych gazet informował, że było to zaplanowane działanie, część ataku na amerykański przemysł żywnościowy. Przedstawiciele władz wydali oświadczenie, że nie mają jeszcze dowodów na przestępczy charakter wydarzenia. Sławna młoda aktorka zaczęła odwyk. Syn osobistości znanej w Waszyngtonie zamieszany w strzelaninę w Houston, która wciąż pozostaje

niewyjaśniona. Funkcjonariusz policji w Chicago i przypadkowy świadek zostali zastrzeleni godzinę ternu w Wicker Park.

Coś o nim.

Kobieta była odwrócona do niego tyłem, ale poczuła, że ktoś spogląda jej z bliska przez ramię, zesztyniała. Odsunął się od niej i przeniósł spojrzenie na podłogę. Policja zacznie grzebać w życiorysie Chrisa i dowie się, że wysłał komuś pieniądze na zakup biletu autobusowego, władze domyśla się, że tym kimś był Luke. Matka Chrisa zapomni o złośliwościach swojego syna, ale zapamięta twarz Luke'a. A Chris i policjant leżeli martwi na tej uliczce.

Nie mógł pozwolić na to, aby Eric wymknął mu się z rąk. Musiał go przekonać do wyjawienia prawdy.

Ponieważ Luke wiedział, że jego życie bezpowrotnie się zmieniło. Zostało zniszczone, pokręcone tak, że nie da się go już wyprostować. Gdyby to on je zniszczył – odwrócił się od ukochanej, zaczął pić, pochłonęła go praca i zaniedbał resztę życia – wtedy byłoby mu łatwiej zaakceptować konsekwencje. Ale to wszystko? Nie miał pojęcia, dlaczego tak się stało. Nie wiedział, dlaczego człowiek, który nazywał go synem, wykorzystał go i tak perfidnie zdradził. Nie miał żadnego śladu poza Erikiem. Jeśli teraz zgubi go w tłumie, albo jeśli ktoś rozpozna Luke'a i go złapie, to będzie skończony.

Pociąg zatrzymał się na stacji Armitage. Eric wyszedł z wagonu, a wraz z nim inni pasażerowie.

Będzie musiał minąć Luke'a, aby dostać się do wyjścia.

Luke został w tyle za Erikiem, a potem zaczął za nim iść, pozwalając mu oddalić się na jakieś trzy metry. Tłum pasażerów podążał ku metalowej klatce schodowej, którą można było zejść z peronu. Eric też zaczął schodzić, a Luke zaryzykował zmniejszenie dystansu – już tylko pięć osób dzieliło go od jego porywacza. Gdyby Eric obejrzał się za siebie, zauważyłby Luke'a.

Eric dotarł do Armitage Avenue i wyszedł na ulicę. Luke schował się za filarem i czekał, obserwował, jak Eric się zawahał, potem przebiegł na

drugą stronę jezdni pod torami kolejki, przepraszając gestem kierowców, którym niemal wpadł pod koła.

Luke poszedł za nim, trzymając się przeciwnej strony jezdni, starając się nie stracić go z oczu i nie dać się zauważyć. Po jego stronie ulicy rosły rachityczne drzewa, za którymi próbował się chować. Śledząc Erica, czuł się jak łatwy cel.

Lincoln Park – odczytał na tabliczce przymocowanej do latarni – była to chyba dość ekskluzywna lokalizacja, a do tego bardzo urokliwa. Witryny sklepowe, miłe restauracyjki, a na wyższych piętrach biura i apartamenty. Eric wszedł do małej cukierni. Luke zwalczył odruch, który kazał mu się zatrzymać. Przeszedł obok, ryzykując spojrzenie do wnętrza sklepu. Nie dostrzegł Erica. Zatrzymał się na rogu budynku. Stojąc tam, czuł się wystawiony na widok publiczny. Minęło pięć minut. Przeszedł kawałek w kierunku sklepu, a potem zatrzymał się, żeby obejrzeć menu jakiejś włoskiej restauracji. Kiedy odważył się spojrzeć za siebie, dostrzegł Erica jakiegoś sześć kroków od cukierni – dzięki Bogu, że nie przeszedłem na drugą stronę, pomyślał Luke – Eric szedł dalej przed siebie. W rękę trzymał torbę cukierków. Idąc, wybierał kciukiem jakiś numer na klawiaturze swojego telefonu. Luke pozwolił mu przejść obok siebie, cały czas uważając, żeby nie pokazać swojej twarzy.

Kiedy się odwrócił, Erica nie było, jak gdyby rozstąpił się pod nim chodnik.

Luke'a ogarnęła panika. Jeszcze raz przyjrzał się ulicy. Eric był wysoki, nie mógł tak po prostu zniknąć.

Przyjrzał się wystawom. Sklep z winem, mała księgarnia, butik z damską odzieżą, sklep z ubraniami dla dzieci. Eric mógł wejść do któregośkolwiek z nich. Mógł go obserwować ze środka.

Luke stanął przy wejściu do jakiegoś baru. Z wnętrza słychać było basowe rytmy. Spojrzał na zegarek. Minęli go dwaj roześmiani mężczyźni, którzy weszli do środka. Kiedy otworzyli drzwi, dobiegły go dźwięki gitarowej muzyki i śmiech.

Eric wyszedł ze sklepu z winem. W ręku miał elegancką papierową torbę. Nie spojrzął na Luke'a; był kilka metrów przed nim, po drugiej stronie ulicy.

Słodycze i wino. Luke zastanawiał się, czy Eric zamierza spędzić wieczór z Aubrey. Czy po morderstwie i porwaniu ot tak, po prostu, wrócił do swojego dawnego trybu życia?

Luke szedł powoli, starając się, aby jego i Erica naprzeciwko oddzielało kilka samochodów. Potem przeszedł przez ulicę, wymijając auta. Zbliżał się do Erica, spieszył się, ale nie biegł.

Dzieliło ich zaledwie półtora metra, ale nie mógł go napaść na ulicy. Zauważyliby to inni. Poza tym Eric mógł nadal mieć broń, którą groził Luke'owi.

Eric rozmawiał przez telefon:

– Tak, duża wegetariańska, na cienkim cieście. Tak. Crosby, Grace.

Grace Crosby. Luke pamiętał to nazwisko – młoda blogerka, która pisała o zaginięciu Aubrey; to ta wskazówka doprowadziła go do Chicago.

Eric skręcił w boczną uliczkę, a Luke został z tyłu, pozwolił Ericowi trochę się oddalić. Dzieliła ich zbyt mała odległość. Grupa młodych kobiet – tuż po dwudziestce, głośne, roześmiane, modnie ubrane i zdające sobie z tego sprawę – przeszła między nim a Edkiem. Wykorzystał je jako osłonę przy przechodzeniu na drugą stronę ulicy. Kobiety poszły w kierunku Armitage, do jakiejś włoskiej restauracji.

Eric wszedł po kamiennych schodach jednego z apartamentowców.

Luke poszedł za nim.

Eric zniknął w wejściu. Luke podbiegł do schodów i policzył do dzieściu. Następnie powoli po nich wszedł. Nie widział, co się dzieje po drugiej stronie wejścia; szyba była zabarwiona na ciemno.

Liczne przyciski były podpisane nazwiskami mieszkańców. Wśród nich znalazł Crosby.

Mógł zadzwonić za dwadzieścia minut, udając dostawcy pizzy. Jeśli jednak źle wyliczy czas, a prawdziwy dostawca zadzwoni, kiedy Luke będzie wchodził po schodach albo szukał właściwego mieszkania...

zastanowił się przez chwilę. Może mu nie wystarczyć czasu. A wtedy Eric będzie się miał na baczności. Lepiej poczekać i nie dać się złapać w pułapkę.

Dostarczyciel pizzy pojawił się na ulicy dwadzieścia minut później. Indianin, wyglądał na zmęczonego, pociągał nosem, chyba przegrywał walkę z przeziębieniem.

Kiedy wchodził po schodach, Luke zaryzykował.

– Zamówienie dla Crosby'ego?

– Hm, tak.

Luke wyciągnął trzydzieści dolarów.

– To dla mnie.

Dostarczyciel spojrział na zamówienie.

– Nie wygląda pan na Grace.

– Jestem Greg. Źle wpisali moje imię i nie udało mi się tego wyprostować. Ile?

– Mam dostarczyć pod drzwi.

– W takim razie może pan pójść za mną. Zadzwoń w drodze do domu, bałem się, że nie zdążę przed panem. – Za dużo gadasz, pomyślał Luke. Wyciągnął dłoń z pieniędzmi.

Dostarczyciel wziął banknoty i zaczął szukać reszty.

– Nie trzeba – powiedział Luke. – I powiedz im, że jestem Greg, a nie Grace.

– Oczywiście, proszę pana, dziękuję.

Luke ostentacyjnie otworzył pudełko i zajrzał do środka. Wydobywał się z niego kuszący aromat grzybów, oliwek i czosnku.

Na paragonie widniał napis: CROSBY GRACE M. 404.

Spojrzął za siebie, upewniając się, że dostarczyciel pizzy pospieszył do samochodu i nie mógł słyszeć słów Luke'a. Nacisnął przycisk „Crosby” na domofonie.

Długa cisza, a potem głos Aubrey, który dobrze zapamiętał, głos, który błagał Erica Lindoego o darowanie życia Luke'owi.

– Tak?

Spojrzął na rachunek.

- Romano Pizza, proszę pani.
- Proszę wejść na górę. – Miała zmęczony głos. Rozległ się zgrzyt otwieranych drzwi i Luke wszedł do środka.

Hol był niewielki, wyłożony terakotą, Luke słyszał jedynie własny oddech.

Nie skorzystał z niewielkiej windy, wybrał schody. Kiedy wchodził na górę, zastanawiał się nad planem ataku. Miał inny kolor włosów i okulary przeciwsłoneczne. Czy Aubrey rozpozna go przez wizjer, skoro spodziewa się dostarczyciela pizzy? Zastanawiał się, czy nie trzymać pudełka z pizzą pod takim kątem, żeby zasłoniło część jego twarzy, ale to wyglądałoby podejrzanie. A jeśli to Eric otworzy drzwi, na pewno pozna Luke'a. Zbyt wiele czasu spędzili razem.

Szedł po schodach, aż doszedł na czwarte, najwyższe, piętro. Klatka schodowa skręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ściany były świeżo pomalowane, ale chodnik nieco przetarty. Zza drzwi mieszkania położonego najbliżej schodów usłyszał najpierw kroki, a potem głos kobiety mówiący: – Wyłączcie to chłopcy, kolacja gotowa. – Znalazł numer 404. Podszedł cicho do drzwi i nasłuchiwał. Usłyszał, że włączono telewizję z lokalnym kanałem informacyjnym – nikt w środku się nie odzywał. Było to jedno z dwóch mieszkań usytuowanych w rogu klatki schodowej. Nieregularne rozmieszczenie drzwi pozwalało przypuszczać, że mieszkania były różnej wielkości.

To podsunęło mu pomysł.

Mieszkanie najbliższe tego o numerze 404 miało numer 405, podszedł na palcach do jego drzwi. Przycisnął ucho do drewna i nasłuchiwał. Żadnego dźwięku telewizora, odgłosów muzyki czy krzątania. Zapukał cicho, mając nadzieję, że nie usłyszą tego ani Eric, ani Aubrey.

Brak odpowiedzi.

Zapukał głośniejsze.

Nadał nic.

Stał pod ścianą. Był zwrócony tyłem do mieszkania 404, lekko się pochylił, pudełko z pizzą trzymał trochę krzywo.

– Pizza! – krzyknął, głośno pukając. – Pizza! Halo!

Nikt nie zareagował, ale usłyszał, że drzwi do mieszkania 404 – kilka metrów za nim – lekko się uchylły.

– Hej, to dla nas. – Eric. On także był zmęczony.

– Pizza – powtórzył Luke, wciąż tyłem do Erica, opierając się o framugę drzwi. Seplenił, niezgrabnie wymawiając słowa, miał nadzieję, że mówi trochę jak Rosjanin lub Serb. Chciał, żeby Eric pomyślał, że ma do czynienia ze zdeorientowanym imigrantem, który dopiero zaczyna karierę dostarczyciela.

Usłyszał odgłos kroków na wykładzinie.

– To niewłaściwe drzwi, koleś, to nasza pizza – powiedział Eric.

Luke odwrócił się i poczekał, aż Eric zda sobie sprawę, kogo ma przed sobą.

Potem zadał Ericowi cios w brzuch. Mocno. Eric zgiął się wpół i nadeptał na karton z pizzą, a Luke znów go uderzył, tym razem w szczękę. Zabolęła go dłoń.

Eric zatoczył się do tyłu i wymierzył cios Luke'owi. Trafił go w szczękę. Luke upadł na ścianę, usłyszał odgłos tłuczonego szkła. Sięgnął do stłuczonej gabloty przeciwpożarowej, wyciągnął z niej gaśnicę i uderzył nią Erica w twarz, aż usłyszał chrupnięcie. Eric upadł, z nosa i ust lała mu się krew. Jęczał.

Luke chwycił go za gardło i popchnął do mieszkania Aubrey. Kopniakiem zamknął za sobą drzwi.

W środku było ciasno, ale porządnie. Wnętrze urządzone w stylu minimalistycznym – gładkie drewniane powierzchnie i chrom, dywan w geometryczne wzory na podłodze, nowoczesne obrazy na ścianach. Na kominku stała fotografia jakiejś nieznanego mu pary. Po drugiej stronie salonu była mała kuchnia, z której wyszła Aubrey z kieliszkiem wina w dłoni.

Upuściła go; wino rozlało się u jej stóp w purpurową kałużę.

– Jeśli krzykniesz lub zaczniesz uciekać, to przysięgam, że zatłukę go na śmierć – powiedział Luke, który wciąż trzymał gaśnicę w rękach, tuż nad głową Erica.

- Nie rób mu krzywdy – prosiła. – Błagam cię! – Pobladła ze strachu.
- Co tu, do licha, robisz?!
- Kto jeszcze tu jest? – zapytał Luke.
- Nikt – odparła Aubrey. Wyglądała ślicznie, mimo zmęczenia; nie widać było po niej śladu dawnych przeżyć. Miała na sobie dzinsy i ciemny sweter, włosy związała z tyłu głowy.
- Gdzie jest Grace Crosby?
- Ze swoim mężem; on jest prawnikiem. Są na konferencji w Detroit. Pojechali na weekend. Postanowiliśmy się tu ukryć.

Ukryć.

- Gdzie jest broń Erica?
- Spojrzała na Erica. Jej głos nabral przyjacielskiego tonu.
- W rzece Chicago. Kazałam mu się jej pozbyć.
  - Proszę – odezwał się Eric. – Proszę, po prostu zostaw nas w spokoju.
  - Chyba sobie żartujesz! Zostawić was w spokoju! – Luke rzucił Erica na ścianę i gwałtownie odchylił poły jego marynarki. Nie znalazł broni.
- Eric próbował się wyrwać. Luke zamachnął się gaśnicą, a ta uderzyła mocno w ścianę, a potem w głowę Erica. Eric skulił się, trzymając za głowę.

Luke rozejrzał się dookoła. Aubrey zniknęła. Skoczył przez salon i dostrzegł, jak zamykają się drzwi sypialni. Otworzył je kopniakiem; posypały się drzazgi. Aubrey pchała drzwi z drugiej strony. Luke przecisnął się przez nie i złapał ją za sweter, kiedy próbowała dosięgnąć telefonu.

Zatkał jej usta, żeby nie krzyczała.

- Eric mnie porwał – wysyczał jej do ucha, kiedy ją ciągnął, mimo że się opierała, do kuchni. Była bardzo silna, zdeterminowana i dwa razy rzuciła go o ścianę, zanim udało mu się przeciągnąć ją przez korytarz.

Eric wciąż tu był. Mógł uciec, ale tego nie zrobił. Nie bez Aubrey, zrozumiał Luke.

- Nie rób jej krzywdy – powiedział Eric, wstając chwiejnie i wznosząc zakrwawioną dłoń.



– Nie chcę nikogo skrzywdzić. Aubrey! – wrzasnął Luke; niemal wymknęła mu się z uchwytu. – Przestań. Wiesz, że porwał mnie, żeby cię ratować. Byłem okupem za ciebie.

Znieruchomiła.

– Wiesz, co jeszcze zrobił?

Eric otarł twarz rękawem marynarki.

– Aubrey, to oszust. Tłumaczyłem ci, co to za człowiek. Wiesz, jak wiele ryzykowałem, żeby cię uratować...

– Porwał mnie na lotnisku w Austin. Zagroził, że zastrzeli jakąś rodzinę, jeśli zawołam o pomoc. Zmusił mnie, żebym jechał z nim do Houston. Zastrzelił bezbronnego człowieka na ulicy. Z zimną krwią – Aubrey jęknęła, zaczęła siłować się z Lukiem – a potem ktoś do niego zadzwonił z informacją, gdzie jesteś. Wiesz, że zostawił tam mnie zamiast ciebie.

Aubrey przestała się szarpać.

– Aubrey, nie słuchaj... Zrobiłem to wszystko dla ciebie – powiedział Eric łamiącym się głosem.

– Tak, zrobił to. Zrobił to wszystko. Każdą cholerną rzecz, którą opisałem.

– Wiesz, kim on jest, Aubrey!

– Powiedz mi, kim jestem, Aubrey? – Luke trzymał dłoń przy jej ustach, jej oddech łaskotał go w skórę.

– Nic nie wiem. Nic mi nie powiedział. Proszę, zostaw nas w spokoju.

– Wiem, że uważasz, iż cię uratował – rzekł Luke. – Dobra. Jest dla ciebie bohaterem. Nie obchodzi mnie to. Ale musi powiedzieć policji, co zrobił...

Eric zaczął kręcić głową, był wściekły.

– Musisz. Pójdziemy na policję razem, opowiemy im o Mrocznej Drodze. Odkąd wydostałem się z tego domku, wciąż muszę uciekać. Mam dosyć. To jedyny sposób na ocalenie nas obu, Eric. Idziemy na policję. Razem.

– Nie. Nie.

Luke spojrzał na Aubrey.

– Powiedział ci, dlaczego zostałaś porwana?

Aubrey pokiwała głową.

– Jakaś kobieta chciała uzyskać dostęp do pieniędzy z konta, które kontroluje Eric. Ale on nie ma dostępu do tych pieniędzy, ma go tylko twój ojczym.

– Pieniądze. Pięćdziesiąt milionów dolarów w rękach złych ludzi. Są powiązani z siecią ekstremistów, którzy być może podłożyli tę bombę w Teksasie.

– On, on... – Aubrey zamrugła oczami i spojrzała na Erica.

– Wszystko w porządku, kochanie. – Eric schował twarz w zakrwawionych dłoniach.

– Nie mów do mnie „kochanie” – powiedziała, a Luke zauważył, że jej słowa zraniły Erica jak nóż.

Luke ukląkł obok Erica.

– Ta Jane... kto to jest, skąd wie o tobie i moim ojczymie?

– Nie mam pojęcia, inaczej powiadomiłbym policję. Powiedziała, że Aubrey zginie, jeśli nie zrobię tego, co mi każe, a ja dla Aubrey zrobiłbym wszystko. Wszystko. – Podkreślił ostatnie słowo.

Luke poczuł, że Aubrey napięła mięśnie. Wyglądała na zdezorientowaną. Eric okłamał ją, aby zostać w jej oczach bohaterem, a Luke miał zniszczyć to, w co wierzyła.

– Aubrey – powiedział Luke cicho – nie chcę zrobić krzywdy tobie ani nawet jemu...

– Nie mieszaj do tego Aubrey. Pójdę z tobą na policję. Powiem, co trzeba. Tylko jej w to nie mieszaj. – Cała odwaga Erica zniknęła. Jak gdyby nareszcie dopadło go poczucie winy. Ale nie oznaczało to, że nie będzie próbował uciekać. Szczególnie że mógł mieć dostęp do tych pięćdziesięciu milionów. Mógł mieć środki, które pozwolą mu zniknąć, a wtedy Luke już nie zdoła go odnaleźć.

Nie daj się nabrać, pomyślał Luke. To niebezpieczny człowiek, który jest teraz zależny od ciebie.

– Nie. Ona jest świadkiem. Też musi zeznawać. W przeciwnym razie wyjdziemy na dwóch dupków w bmw, którzy zastrzelili bezdomnego na

ulicy i nikt nie może potwierdzić ich wersji.

– Czy pozwolisz mi go opatrzyć? – spytała.

– Nie. Najpierw porozmawiamy. Niech odpowie na moje pytania, zanim pójdziemy na policję.

Eric wstał z podłogi, usiadł na kanapie i zdjął marynarkę. Starannie ją złożył i przycisnął do twarzy, choć już nie krwawił.

– Jeśli zabrudzę tę kanapę krwią, to kupię twojej przyjaciółce nową, Aubrey.

– Na Boga, Eric. – Luke wyczuł w jej głosie zmęczenie i jakiś smutek. Było w nim też zniecierpliwienie, którego nie mógł zrozumieć. – Po prostu powiedz mu, co chce wiedzieć. Zrób to dla mnie.

Eric zamrugał.

– Jakie masz związki z moim ojczymem?

– Mój przyjaciel zadzwonił do mnie, prosząc, abym przeprowadził dla kogoś kilka operacji bankowych, przelał trochę pieniędzy zza granicy. Nie miałem pojęcia, że ma to związek z działalnością przestępczą.

Luke nie był pewien, czy w to wierzy, ale Eric miał się teraz pogryźć przed Aubrey; zatem obserwował jej reakcje tak samo uważnie jak Luke'a.

– Twój ojczym był moją osobą kontaktową.

– Ale zniekształcałeś swój głos.

– Tak mi kazano. Modulator głosu przyszedł pocztą, razem z telefonem, który Jane przysłała mi po porwaniu Aubrey.

Dlaczego Henry nie mógł rozpoznać głosu Erica? Sensowna wydawała się teoria, że Jane miała jakiś cel w tym, aby Eric nie został rozpoznany jako porywacz Luke'a. Dlaczego tak jej na tym zależało? Czy Jane próbowała chronić Erica? Kim była ta dziwaczna, tajemnicza kobieta?

– Aubrey, kto cię porwał? – spytał Luke.

Aubrey usiadła obok Erica i objęła go ramieniem.

– Nie widziałam twarzy. Wychodziłam z biura... pracowałam sama do późna... kiedy nagle ktoś zarzucił mi na głowę worek śmierdzący cebulą.

To wszystko, co pamiętam, potem poczułam ukłucie igły w ramię. Obudziłam się związana w bagażniku samochodu. Zawiązano mi oczy. Chyba byłam nieprzytomna dosyć długo. Samochód się zatrzymał... – zawahała się i dotknęła palcami skroni, jakby rozboleła ją głowa – ktoś wciągnął mnie do tego domku w lesie i przykuł do łóżka. Porywacz wyszedł bez słowa. Udało mi się zdjąć worek z twarzy. Leżałam tam, nie wiem, jak długo, około półtora dnia, zanim przyjechaliście z Erikiem. Miałam wrażenie, że to trwa wieczność.

– Czy porywaczem mogła być kobieta? – Może Jane sama wykonywała brudną robotę.

Aubrey spojrzała na Erica.

– Może, nie wiem.

– Jesteście małżeństwem?

Aubrey pokręciła głową.

– Spotykaliśmy się kilka miesięcy. Niedawno ze sobą zerwaliśmy, ale myślałam, że porywacze nie byli tego świadomi.

– Znów jesteśmy razem – zaczął Eric.

– Eric! – przerwała mu krótko i zdecydowanie.

– Nigdy nie chciałem cię w to mieszać ani narażać na niebezpieczeństwo – powiedział Eric.

– Nie zdążyłam cię naprawdę poznać – odparła Aubrey. – To jest najgorsze. Nie zdawałam sobie sprawy, do czego jesteś zdolny.

– Dowiodłeś swojej miłości i jednocześnie ją straciłeś. – Luke zrozumiał, że na Henry'ego zastawiono podobną pułapkę. Porwanie sprawiło, że Luke dowiedział się o nieczystych sprawkach Henry'ego i przestał go uważać za uczciwego człowieka.

– Nie jęcz – powiedziała Aubrey. – Możesz liczyć na mój szacunek, jeśli będziesz uczciwy. Proszę, opowiedz mi o tej Mrocznej Drodze.

Eric zachmurzył się i skulił pod ciężarem tego, w co się wpakował.

– Nie wiem dokładnie, kim są. Grupa ludzi. Klient z banku kazał mi otworzyć dla nich kilka kont. Tak też zrobiłem. Ale Jane kazała mi

pozamykać te konta. To była pierwsza część okupu: zamknięcie kont. Drugą było zabicie człowieka w Houston. Trzecią i ostatnią, porwanie ciebie.

Luke był pewien, że Eric kłamie.

– Jane nie prosiła cię o pieniądze?

– Wtedy ich nie miałem. Kontrolował je twój ojczym.

Dlatego Jane chciała pieniędzy od niego – teraz Eric postanowił mu dopiec. – Słyszałeś, jak mówił „nie”. Wybrał pięćdziesiąt milionów zamiast ciebie.

Luke zignorował przytyk.

– Kim jest ten klient, który kazał ci założyć konta?

– To firma Travport. Zajmuje się transportem lotniczym; ich samoloty latają po całym świecie. Godna zaufania.

– Gdzie ma siedzibę?

– W Dubaju. Należy do Saudyjczyków.

Pięćdziesiąt milionów dolarów. Dla Mrocznej Drogi. Aby wywoływała chaos i osiągnęła swoje cele poprzez przemoc i strach. Rozpętując małe wojny. Do ich prowadzenia niezbędne były pieniądze.

Żeby dokonać ataków takich jak w Ripley. Ile działań terrorystycznych można przeprowadzić za pięćdziesiąt milionów dolarów? Wysłał Henry'emu sześć tysięcy nicków, które udało mu się zdobyć w sieci. Jeśli Henry'emu udało się zwerbować do Mrocznej Drogi pięćdziesięciu oddanych sprawie ekstremistów, to każdy z nich mógł dostać milion dolarów. Ile można za to kupić broni, ludzi, ile materiałów wybuchowych? Terroryzm był dość tani. Milion dolarów wystarczyłoby na sporą serię ataków. A pięćdziesiąt milionów...

Ogarnęło go przerażenie.

– Jeśli szykowałeś konta, na które miało wpłynąć pięćdziesiąt milionów, to musiałeś wiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze. – Nagle był tego pewien. Co Henry powiedział najpierw? „Nie zapłacę”. Nie: „nie mogę”, ale „nie zapłacę”. – Przekonałeś Jane, że nie masz do nich dostępu, że ma go mój ojczym.

– Henry jest tu ważną osobistością, a ja tylko najemnikiem.  
– Gdzie są pieniądze, Eric? Skąd się wzięły? Kto mógłby tak po prostu dać pięćdziesiąt milionów grupie amerykańskich ekstremistów?

– Jeśli nawet wiem, to jest to moja polisa ubezpieczeniowa, prawda? Nikt, oprócz mnie, nie ma do nich dostępu. – Eric spojrzął na Luke'a z przekorą.

– Masz te pieniądze – wycedził Luke.

– Tak, mam. Możemy się za nie ukryć, gdzie tylko chcemy. Odpalę ci trochę, Luke. Wszyscy się ukryjemy. Znow będziemy mogli zacząć naprawdę żyć.

– O Boże, Eric. – Aubrey schowała twarz w dłoniach. – Po prostu powiedz nam, gdzie one są.

– Jedną z rzeczy, przed którą pieniądze cię nie obronią, jest oskarżenie o morderstwo – stwierdził Luke. – Mogę zeznać, że zabiłeś tego człowieka, bo zmuszono cię do tego.

Eric poprawił się na kanapie.

– Nie powiem ci, gdzie są pieniądze. Nie musisz tego wiedzieć.

Luke spróbował inaczej.

– Kim był ten człowiek, którego zabiłeś w Houston?

– Nazywał się Allen Clifford. Nic więcej o nim nie wiem. Powiedziano mi tylko, gdzie go znajdę i jak będzie wyglądał. Jane wysłała mi jego zdjęcie przez Internet.

Allen Clifford. To imię nic nie mówiło Luke'owi.

Zastanawiał się, skąd w tym wszystkim wzięła się Jane. Organizacja ekstremistyczna stworzona przez Henry'ego, finansowana przez tajemniczą firmę, gdzie Eric był odpowiedzialny za wypłacanie pieniędzy. Jane rujnowała plany Mrocznej Drodze. Ale kim była? Kto jeszcze mógł wiedzieć o istnieniu Mrocznej Drogi – oprócz ludzi takich jak Chris, z którymi się skontaktowano, ale nie przyjęto ich do organizacji?

Kim jest Jane?

– Daj mi telefon, który przysłała ci Jane – powiedział Luke i wyciągnął rękę.

Eric się zawahał.

– Daj mu go – odezwała się Aubrey. – Proszę. On jest sprytny. Dotarł aż tutaj, może dowie się, kto nas ściga. – Eric rzucił mu telefon.

– Chcę wiedzieć, dlaczego nie uciekłeś i nie ukryłeś się razem z tymi pięćdziesięcioma milionami – powiedział Luke. – Za tę sumę można kupić porządną ochronę. Mogłeś zawrzeć jakiś układ, o którym tak lubisz wspominać. – Luke zamilkł. – A może już to zrobiłeś.

Eric spojrział na niego, otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Wtedy zgasły światła.

## 19.

Mouser wykonał trzy telefony, zanim znalazł odpowiedniego lekarza dla Snow. Zadzwoił do Henry'ego i nawrzeszczał na jego pocztą głosową, podczas gdy Snow wykrwawiała się na tylnym siedzeniu samochodu. Cały czas się śmiała.

– Nigdy nie widziałam umierającego – mówiła. – Bomby zmuszają do zachowania pewnego dystansu odległości. Ale pistolet, Jezu, to było super! Widziałam to na własne oczy! – Krzyczała, śmiała się i mocno trzymała za ramię. Nie skarżyła się.

Henry wkrótce oddzwonił i skierował do lekarki przyjmującej na zachodnim krańcu centrum Chicago. Jej zezwolenie na prowadzenie praktyki lekarskiej zostało zawieszono po tym, jak w ciągu roku wypisała zbyt wiele recept, a kiedy ją ułaskawiono, stała się ratunkiem dla członków gangów i przestępców, którzy potrzebowali zastrzyków lub szwów. Przyjmowała na piętrze budynku, w którym mieścił się zapyziały bar kanapkowy. Mouser wniósł Snow po schodach, a lekarka wyszła mu naprzeciw, wciąż jeszcze w siateczce na włosach i z dłońmi mokrymi od octu i oliwy.

Jednak działała szybko i sprawnie, a jej mieszkanie było nieskazitelnie czyste. Pomogła mu wnieść Snow do sypialni wypełnionej sprzętem medycznym.

– Proszę wyjść – zarządziła.



- Będzie dobrze – powiedział do Snow. – Zabiję go dla ciebie.
- Nie. Sama go zabiję – wyszeptała w odpowiedzi.
- Nie chcę słuchać takich obietnic – stwierdziła lekarka. – Proszę, aby pan wyszedł.

Zdał sobie sprawę, że mogłoby mu zależeć na Snow. Było to niepokojące. Usiadł na kanapie, w godzinę później pojawiła się lekarka. Oglądała relację z miejsca strzelaniny – nie wspomniano o nim, Snow lub kimkolwiek zgodnym z ich rysopisem, kto by uciekł z miejsca zdarzenia.

Lekarka położyła mu na dłoni nabój.

- Skoro tak panu zależy na zemście. Prosiła, żeby to pan dla niej przechował.

- To do niej podobne. – Mouser zacisnął pocisk w pięści.

- Musi odpoczywać, lecz nic jej nie będzie. Pocisk utkwiał w ramieniu, żaden ważny organ nie został naruszony, ale przez kilka dni będzie trochę obolała. Dam panu kilka opakowań leku przeciwbólowego i środki opatrunkowe. Wie pan, jak zmieniać opatrunki?

- Tak, proszę pani.

- Przetoczyłam jej trochę krwi. Mam tu zapas. Odpoczynek jej pomoże. Powodzenia.

- Czy może tu zostać, zanim dojdzie do siebie?

- Podam panu adres motelu, tu niedaleko. Będzie mogła dochodzić do siebie w spokoju, a w razie czego będę w pobliżu, żeby się nią zająć.

Poczuł wdzięczność. Dlatego właśnie tak cenił sobie przynależność do Mrocznej Drogi; to dzięki nim znalazł tę lekarkę. Gdyby nie Mroczna Droga, nie miałby gdzie się zwrócić.

- Czy mogę ją zobaczyć?

- Tak. Naszykuję panu wszystko, co trzeba. Potem zerknę na pańską nogę i zmienię opatrunki. Powiedziała mi, że panem też się trzeba zająć.

Snow leżała w łóżku. Wydawała się taka krucha. Patrzyła w sufit. W pokoju unosił się zapach krwi, środków chemicznych i mokrego papieru.

Wzięła ją za rękę; wyrwała dłoń z jego uścisku, co go zdziwiło.

– Nie bądź zła – powiedział.

– Ten chłoptaş uciekł nam już trzy razy. Wstyd mi z tego powodu.

Przecież on jest nikim.

Splótł ramiona.

– Czy musiałaś zabijać gliniarza i tego świra?

Podniosła półprzymknięte powieki.

– Tak. Gliniarz stanowił większe zagrożenie. Ten mały świr przycze-  
piłby się do nas jak pchła, chciałby zostać naszym najlepszym przyjacie-  
lem, tak mówił Henry. – Zakryła oczy dłonią. – Ma tupet ten drań. Strzelać  
do mnie.

Weszła lekarka i zajęła się raną Mousera. Zmieniła mu bandaż i po-  
chwaliła Snow za opatrzenie rany Mousera. Snow podziękowała. Kiedy  
wyszli, zameldowali się w tanim motelu. Pokój był schludny, pachniało w  
nim środkiem odkażającym, mieli nawet kablówkę. Mouser delikatnie po-  
łożył Snow do łóżka.

Obserwowała go.

– Nie bądź taki przymilny – powiedziała, ledwie przytomna od leków.

– Nie umiem być przymilny.

Zaśmiała się cicho. Czule dotknęła wierzchu jego dłoni. Nie wiedział,  
co powiedzieć. Zadzwoił jego telefon.

– Mouser? Henry kazał mi do ciebie zadzwonić. Wpadliśmy na ślad  
poszukiwanych – usłyszał beznamiętny głos z południowym akcentem.  
Jeden z kolegów Henry'ego, kolejny członek Mrocznej Drogi, pomyślał.

– Ślad.

– Erica Lindoego i jego dziewczyny.

– Według Henry'ego są w Tajlandii.

– Nie. Mieli bilety na ten lot, ale nie pojawili się, powtarzam, nie po-  
jawili się, na liście przybyłych pasażerów. Nie wsiedli do samolotu. Nie  
dokonali żadnych transakcji w Tajlandii, tajlandzkie służby celne nie

odnotowały ich kontroli paszportowej. Piętnaście minut temu udało się nam włamać do właściwych baz danych.

– Gdzie oni są?

– Mogą ciągle być w Chicago. Nikt ich tam nie szuka. O tak, oby, pomyślał.

– Gdzie w Chicago?

– Nie korzystali z kart kredytowych. Mogą ukrywać się u znajomych. Sprawdziliśmy billingi Aubrey, kilka razy kontaktowała się z niejaką Grace Crosby. Sprawdziłem to, karta na nazwisko Grace Crosby była dzisiaj używana w Detroit. Crosby mogła im pozwolić ukryć się w swoim mieszkaniu na czas swojej nieobecności.

– Gdzie jest jej mieszkanie?

Głos podał mu adres w Lincoln Park.

– Mogę tam być za dwadzieścia minut.

– Zadzwoń do mnie, kiedy dojedziesz na miejsce. Będę miał dla ciebie prezent.

– Co?

– Mogę odciąć zasilanie w budynku. Pewien znajomy udostępnił nam wejście do systemu zasilania. Mogę odciąć prąd w okolicy. Uczyliśmy się tego, przygotowując się do Piekielnego Ognia. Wtedy sytuacja w trakcie ataku wyglądałaby znacznie gorzej, rozumiesz.

Podziękował koledze z Mrocznej Drogi i rozłączył się. Nie ma to jak praca zespołowa. Poczł nadzieję. Wkrótce wszystko się ułoży, pieniądze znów trafią tam, gdzie trzeba. Mouser pochylił się nad Snow. Zasnęła. Zarzykował i delikatnie pocałował ją w czoło. Nie poruszyła się. Kiedy szedł do samochodu, wciąż czuł jej ciepło na swoich wargach.

## 20.

Luke zastygł w ciemności.

Cała trójka siedziała w milczeniu, aż w końcu Eric powiedział:

– To nie przypadek. Nie ma mowy. Ktoś cię śledził.

– Mnie? Nie. Ja śledziłem ciebie. Nikt...

– Nie wiesz, do czego są zdolni ci ludzie – stwierdził Eric. – Przez ciebie jesteśmy już martwi. Znaleźli nas. Dotąd wierzyli, że pojechaliliśmy do Tajlandii.

– To po prostu awaria. – Musiało tak być. – Mroczna Droga nie jest w stanie kontrolować dopływu prądu do budynków w mieście.

– Idiota z ciebie! Znalazłeś dla Henry'ego te kanalie, a teraz ich nie doceniasz. Planowali zmasowany atak. Manipulowanie przy sieci energetycznej nie powinno być dla nich trudne. – Przerażenie sprawiło, że niemal krzyczał.

– Musimy się stąd wydostać – powiedziała Aubrey niezwykle opanowanym głosem.

Luke podszedł do okna.

– Nie mogli wyłączyć prądu w całej okolicy. – Dostrzegał jedynie pobłask światła, które paliło się w odległości kilku ulic. Święty Boże. Zaskoczenie ustąpiło miejsca poczuciu zagrożenia.

W korytarzu słychać było głosy, sąsiedzi nawoływali się nawzajem.

- Mogą czekać na nas na korytarzu – odezwał się Luke.
- Nie ma tu wyjścia przeciwpożarowego – odpowiedziała mu Aubrey.
- Parapet jest dość szeroki, może... – zaczął Eric.
- Oszalałeś? – Luke chwycił go za ramię – Nie będziemy się wspinać po gzymsach budynku.

- Nie wiesz, z kim mamy do czynienia. Ci ludzie potrafią być brutalni.
- Chodźmy już. – W głosie Aubrey dało się słyszeć panikę.
- Zabierz ją ze sobą – powiedział Eric. Poszedł do kuchni, poszukał czegoś w szufladzie i wrócił z latarką. – Im chodzi o mnie; o pieniądze. Zabierz ją ze sobą. Niech gonią mnie.

- Nie. Idziesz z nami – zdecydowała Aubrey. – Nigdzie bez ciebie nie idę. – Wydawało się, że jest zdenerwowana jego propozycją.

- Nie mogę. Zostanę tutaj. Dogadam się z Mroczną Drogą.

Pieniądze były kluczem do przetrwania Mrocznej Drogi, zdał sobie sprawę Luke. Dzięki nim można było przeprowadzić zamachy o wiele większe niż podłożenie bomby w Teksasie. Nie mogły wpaść w ręce organizacji, zatem Eric musiał iść z nimi.

- Daruj sobie, Eric, trzymamy się razem. – Luke otworzył drzwi. Większość sąsiadów stłoczyła się w korytarzu z kilkoma latarkami. Luke usłyszał śmiech, dźwięk otwierania puszek z piwem, ludzie starali się zmienić awaryj w spotkanie towarzyskie, nie chcieli siedzieć samotnie po ciemku.

Luke złapał Aubrey za rękę – ona była dla niego gwarancją, że Eric również z nimi pójdzie. Nie wrywała się, kiedy szli korytarzem.

- Klatka schodowa jest po twojej lewej – powiedziała.

Poświecił latarką na drzwi, otworzył je. Schody tonęły w ciemności.

Luke musiał zakładać najgorsze. Gdzie zaatakują? Klatki schodowe i korytarze były zatłoczone, a Mouser i Snow będą go chcieli zabić w miejscu

odosobnionym. Klatka schodowa kończy się małym holem. Przypomnił sobie, jak to wyglądało – klatka schodowa po lewej, z tyłu, płytki na podłodze, wymiary pomieszczenia. Jeśli chciało się zastawić na kogoś pułapkę, to hol świetnie się do tego nadawał. W tym zamieszaniu Snow i Mouser mogliby zniknąć na ulicy w ciągu kilku sekund. Przystanął i Aubrey zde-  
rżyła się z nim w ciemności.

– Zatrzymajcie się na drugim piętrze. Nie schodzimy do holu.

Zeszli na drugie piętro i weszli na korytarz – był pusty.

– Czy da się stąd wyjść na tył budynku?

– Tylko z holu. Nie ma takiego wyjścia z pięter.

– Poczekaj chwilę – powiedział Eric. Luke poświecił mu latarką w oczy, a ten zamrugał. – Porozmawiam z tym, kto nas ściga. Dogadam się z nimi. – Eric znów był pewny siebie.

– Nie będą chcieli rozmawiać.

– Ze mną porozmawiają. Przejmuję dowodzenie, Luke. Przykro mi.

– Później pogadamy, teraz chodźmy. Proszę – odezwała się Aubrey.

Nagle gwałtownie wciągnęła powietrze, a w świetle latarki Luke zobaczył, że Eric trzyma w ręku pistolet.

## 21.

Kiedy Mouser czekał w holu na swoje ofiary, okazało się, że nie przewidział pewnego sporego problemu.

Ludzie poruszający się po ciemnym budynku z latarkami mają zwyczaj świecić innym prosto w twarz. Spodziewają się ujrzeć sąsiadów lub elektryków i nagle stają się niezwykle podejrzliwi wobec nieznajomych. Mouser zatrzymał się przy kolumnie.

Dwie starsze kobiety stojące w holu rozmawiały po cichu o tym, jak ta awaria zepsuła im kolację, jedna ciągle świeciła Mouserowi w twarz.

– Przepraszam – spytała w końcu. – Czy pan tu mieszka?

– Nie, proszę pani, mieszka tu moja znajoma, poprosiła mnie, żebym poczekał w holu.

– Jak się nazywa?

– Grace Crosby.

Ta odpowiedź chyba zaspokoila jej ciekawość.

– Mam nadzieję, że zaraz włączą prąd. Mam w rondlu na wpół udużone kotlety wołowe.

– Mówiłam ci, że trzeba je było upiec – stwierdziła druga z kobiet. – W piekarniku i tak by doszły, bo trzyma temperaturę.

Pierwsza z kobiet niechętnie się z nią zgodziła. Mouser był jej bardzo wdzięczny, bo świeciła w twarz każdemu, kto pojawiał się w holu. Pozwoli

mu to spostrzec Aubrey i Erica, zanim oni go zobaczą, bo będą oślepieni przez kilka sekund. W ręce, którą schował w kieszeni, trzymał glocka 18. Mógł od razu zabić kobietę, zabrać Erica w jakieś miejsce, gdzie da się go przesłuchać, i znaleźć pieniądze. Jeśli te dwie starszki będą mu przeszkadzały, tym gorzej dla nich. Ciemność i panujący dookoła chaos pozwolą mu uciec z Erikiem.

Potem, kiedy wykona tę robotę, będzie mógł zabrać Snow w jakieś bezpieczne miejsce. To będzie ich nagroda; będą mogli zacząć urządzać świat na nowo. Rozpętać Piekielny Ogień i wreszcie zabić Bestię.

Prędzej czy później ci, na których czekał, pojawią się tutaj.

Minęło dziesięć minut i nie nadchodzili.

Drzwi prowadzące do holu znów się otworzyły, światło z latarki kobiety znów padło na nieznaną mu twarz i Mouser stwierdził, że za bardzo zależało mu na szybkim wyprowadzeniu Erica na ulicę. To nie była dobra taktyka w ciemnościach. Ruszył w kierunku schodów.



## 22.

Luke zdał sobie sprawę, że kiedy Eric szukał latarki, wziął również broń, którą Aubrey ukryła w mieszkaniu.

– Aubrey, chodź tutaj – powiedział Eric.

Aubrey stała nieruchomo.

– Eric, to wariactwo. Przestań.

– Nie mam wyboru. Nie idę na policję. Ty też nie. Jeśli on zniknie, będziemy wolni.

– Wolni? – spytał z powątpiewaniem Luke.

– Nie szukają nas. To jego szukają.

– Nieprawda. Są tu z powodu Erica i pięćdziesięciu milionów dolarów, a on o tym wie – stwierdził Luke. – Dlatego chciał z nimi rozmawiać. Chyba że chciał cię w ten sposób zostawić, Aubrey, i miał zamiar rzucić się do ucieczki, kiedy tylko dojdzie do drzwi wyjściowych.

– To kłamstwo! – warknął Eric.

– Eric, przestań – powiedziała Aubrey.

– Nie zmieniaj teraz strony, Aubrey, nie po tym, co dla ciebie zrobiłem.

Luke poświecił jej w twarz latarką i zobaczył, że jest wściekła.

– Dupek! – odpaliła Ericowi. – Powinnaś była zerwać z tobą dawno temu. Żaden z ciebie bohater.

– Przestańcie, potrzebujemy siebie nawzajem – przerwał im Luke.  
– Daj sobie spokój z idiotycznymi propozycjami w stylu: „współpracujmy” – powiedział Eric. – Aubrey, odsuń się od niego.

– A dokąd mam iść? – Aubrey nie ruszyła się z miejsca. – Gdzie mamy się ukryć? Jak mamy żyć w ten sposób? Nie ma takiego miejsca, gdzie moglibyśmy założyć dom.

– Mogłem pozwolić ci umrzeć, Aubrey. – W głosie Erica nie było ciepła. Nie był również zły. Luke słyszał tylko cierpienie i rozczarowanie. – Wszystko dla ciebie poświęciłem. Nawet po tym, jak ze mną zerwałaś.

– Eric, jeszcze nie jest za późno.

– Zabiłem dla ciebie człowieka! Jezu, nie da się tego odwrócić, zabiłem go.

– Pod przymusem. W stresie. – Głos Aubrey był łagodny, kojący. – Możesz wszystko odzyskać, to nie jest sposób na uratowanie nam życia.

– Daj mi broń – powiedział Luke.

– Wiem, że w głębi serca jesteś dobrym człowiekiem, Eric – stwierdziła Aubrey. – Wiem, że się boisz. Wiem, czego pragnąłeś dla mnie i dla siebie. Ale to nie jest sposób...

Luke poświęcił latarką w twarz Erica, chciał go oślepić, wpłynąć na jego decyzję.

– Musimy się stąd wydostać. Załóżmy, że chcą cię wykurzyć z kryjówki, zmusić, żebyś powiedział, gdzie są pieniądze. Znaczy to, że mogą czekać w holu lub na ulicy. – Przypomniało mu się, jak kradł jedzenie w trakcie swojej ucieczki z domu. Jeśli trzeba się było ukryć, nie należało się chować w oczywistym miejscu. – Potrzebujemy innego wyjścia; musimy się ukryć tam, gdzie nie będą nas szukać.

– Mam pomysł – powiedziała Aubrey.

## 23.

Mouser wchodził szybko po schodach. Kiedy doszedł do drzwi klatki schodowej, włączyły się światła w całym budynku.

Przedsiębiorstwo energetyczne rozprawiło się z tak dogodną ciemnością.

Nieważne. Znalazł się przy drzwiach do mieszkania Crosby, nacisnął na klamkę. Otwarte. Uchylił drzwi i z bronią w gotowości obszedł mieszkanie. Potłuczone szkło, rozlane czerwone wino, gaśnica, krew na dywanie.

Pokój był pusty. Nie wyszli przez hol, widziałby ich przez szybę. Muszą być gdzieś w budynku.

Gdzie się ukryli? U sąsiada? Mało prawdopodobne – Aubrey i Eric tu nie mieszkali; nie znali sąsiadów. Muszą być zatem na dachu lub w piwnicy.

Dach był ślepym zaułkiem. W piwnicy znajdowały się wyjścia serwisowe. Może na tył budynku albo na jedną z uliczek.

Mouser pospieszył do holu, znalazł tam wejście do piwnic i zszedł po schodach. Czerwone światła awaryjne rzucały lekką poświatę na pomieszczenie, wyglądało to jak parodia piekła.



– Zaufajcie mi, mogę się dogadać – mówił Eric. – Przekonam ich. Taki był mój plan.

Oczywiście, skoro traktował pieniądze jak kamizelkę kuloodporną, pomyślał Luke.

– Nie chcę negocjować. Zmuszą cię, żebyś oddał im pieniądze, a potem cię zabiją. – Luke popychał go przez piwnicę.

Część pomieszczenia przerobiono na mieszkania, ale otwarta przestrzeń z tyłu była wypełniona urządzeniami elektrycznymi, płataniną rur, stały tam też podgrzewacze wody. Cały ten bałagan tworzył labirynt składający się z materiałów budowlanych, zbudowanych do połowy ścian i urządzeń kontrolnych budynku. Zaryzykowali, schodząc tutaj; nie napotkali żadnego mordercy na klatce schodowej.

Światła znów się włączyły.

– Może sobie poszedł – powiedziała Aubrey. Luke sięgnął do kontaktu i wyłączył światło.

– Może uda nam się tu przeczekać. Eric, oddaj mi broń – zażądał Luke.

– Nie.

– Jeśli to ten facet, który mnie ściga, to kiedy zobaczy, że masz broń, od razu cię zastrzeli. Nie będzie czasu na układy – przekonywał Luke.

– Wiem, co robię. Nie oddam broni. Nie pozwolę im skrzywdzić Aubrey.

Luke usłyszał, że na górze otwierają się drzwi.

Ukryli się w płataninie rur, ukłękli na betonowej podłodze. Z tyłu kryjówki klęczała Aubrey, potem Luke, a przy brzegu Eric. Luke położył palec na ustach.

Nasłuchiwał. Kroki. I znowu.

Kiedy zerknął w przerwę między rurami, dojrzał w lekkiej poświacie ciemną postać, która przeszła między odległą ścianą a stołem z narzędziami. Zatrzymała się. Nasłuchiwała.

Eric wstał, wyszedł z kryjówki i podszedł do ciemnej postaci. Luke znieruchomiał. Jeśli krzyknie, zdradzi, że są tu z Aubrey. Jednak Eric też ich zdradził.

– Hej – powiedział Eric cicho. – Mroczna Droga?

Cień nie odpowiedział.

Luke z całych sił powstrzymywał się, żeby nie rzucić się do ucieczki. Eric albo ich uratuje, albo wyda wrogom.

– Jestem Eric Lindoe.

– Wiem, kim jesteś. – To był Mouser. – Mam twoje zdjęcie w kieszeni. Miałem nadzieję, że załapię się na małe wakacje w Tajlandii w trakcie pościgu za tobą. Jak się masz? – Jego ton był przyjacielski, wyluzowany. – Wyglądasz nie najlepiej.

Aubrey ścisnęła Luke'a za ramię.

– Nic mi nie jest – odparł Eric.

– Gdzie jest twoja dziewczyna, panie Lindoe? – spytał Mouser.

– Jest w bezpiecznym miejscu. Nie musisz się o nią martwić. Nie wspomni nikomu o tym całym zamieszaniu. Ale Luke Dantry uciekł.

– Co proszę?

– Po drugiej stronie piwnicy jest wyjście dla służb porządkowych budynku. Wyszedł tamtędy.

– Luke Dantry był tutaj?

– Tak.

– Kiedy? – Mouser szykował się do pościgu.

– Pięć minut temu. Raczej go nie złapiesz.

Cisza. Luke słyszał, jak wali mu serce.

– Musisz sporo wyjaśnić. Masz nasze pieniądze – odezwał się Mouser.

– Tak, ale pilnowałem ich dla was.

– To kiepskie wyjaśnienie.

– Wiem, gdzie są. Chciałbym wymienić tę informację.

– Dobra. Wymienisz ją za swoje życie. Gdzie są te pieniądze?

Eric nie odpowiedział – słychać było tylko hałas dochodzący z budynku, szum samochodów na ulicy, odległe głosy. Luke czuł oddech Aubrey.

– Zawrzyjmy układ – powiedział Eric, biorąc głęboki wdech. – Jeśli dam wam pieniądze, pozwolicie mi odejść. Mam już dość Mrocznej Drogi, chcę z tym skończyć.

Głos Mousera zabrzmiał jak syk.

– Nie negocjujemy. Mów, gdzie są pieniądze. Albo zginiesz. Pięć. Cztery. Trzy.

– Okay. Moja propozycja. Nietykalność dla mnie i mojej dziewczyny; nie skrzywdzi nas Henry ani Mroczna Droga. Tylko trochę namieszałem wam w planach, po to, żeby odzyskać dziewczynę. Oddam wam pieniądze. Rozejdziemy się. Chcę to skończyć, znów być wolny i bez zobowiązań.

– Potrzebuję nie tylko pieniędzy.

– Co?

– Ta Brytyjka, Jane. Jest wrogiem Mrocznej Drogi – powiedział Mouser. – Musimy ją znaleźć, dowiedzieć się, skąd o nas wie. Nikt nie powinien o nas wiedzieć, o tym, co planujemy, o Piekielnym Ogniu.

– Nie mam pojęcia, kim ona jest. Mogę wam dać tylko pieniądze. – A potem cios. – Luke Dantry o was wie. Domyślił się, że jesteście tymi, których znalazł w sieci dla swojego ojczyma. Nie będzie milczał.

– Zadzwonimy do Henry'ego; porozmawiamy z nim razem przez telefon.

Luke dostrzegł, że Eric odetchnął z ulgą.

– Ale – to słowo zawisło w powietrzu jak miecz gotowy do ciosu – chciałbym poznać kilka szczegółów.

– Jakich?

– Ty i twoja przyjaciółka byliście na liście pasażerów samolotu do Tajlandii. Jak to się stało, że do niego nie wsiedliście?

Eric milczał.

– Mieliście bilety?

– Tak, ale ich nie wykorzystaliśmy.

– Nie wpisuje się nikogo na listę, jeśli nie wykorzysta biletu. Jak wam się udało na nią dostać?

– Nie wiem. Błąd urzędnika. Jakie to ma znaczenie? – W głosie Erica dało się słyszeć panikę.

– Ma. Ktoś bardzo się stara cię chronić, Eric. Ktoś, kto ma mocne wpływy, skoro jest w stanie namieszać na liście pasażerów. Powiedz mi, kto cię chroni, Eric?

Cisza, jaka zapadła, sugerowała, że Mouser trafił w czuły punkt, wyłapał najistotniejsze fakty. W końcu Eric odpowiedział ochryplym głosem:

- Nikt nie próbuje mnie chronić.
- Dogadałeś się z kimś innym. Pewnie z kimś wpływowym, kto może ci się ukryć, jeśli zdradzisz Mroczną Drogę, wyjawisz wszystkie nasze tajemnice. Może pozwolą ci zatrzymać część z tych pięćdziesięciu milionów.
- Nie. – Eric, przyparty do muru, brzmiał tak, jakby za chwilę miał się rozpłakać.
- Czy ta sama osoba zawarła układ z Lukiem Dantrym? Czy on wie, gdzie są pieniądze?
- Nie.
- Chcę znać nazwisko, Eric. Kto cię ochrania?
- Nikt.

Luke spojrział przez szczelinę między rurami i dostrzegł, że Mouser rzucał Ericowi jakiś przedmiot. Eric pochwycił go niezręcznie.

- Co to jest? – spytał.
- Palmtop z dostępem do Internetu. Przypuszczam, że nie targasz ze sobą pięćdziesięciu milionów w dziesiątkach i dwudziestkach. Schowałeś te pieniądze na jakimś koncie. Udowodnij mi, że je masz, pokaż mi stan konta, wtedy możemy się układać. Pokaż, że masz kasę, koleś.

Eric patrzył na ekran urządzenia.

- Ja... Ja...
- Na co czekasz?
- Nie będę ci niczego udowadniał.
- Potrzebuję dowodu na to, że wciąż masz całe pięćdziesiąt milionów.

Eric nie spojrział w kierunku Luke'a, lecz wznosił głowę z godnością. Podjął decyzję. Odrzucił palmtop Mouserowi.

- Mam całą sumę, ale nie będę ci pokazywał stanu konta. Nie mam powodu, żeby kłamać.

Dźwięk wystrzału zabrzmiał jak uderzenie w zamkniętej przestrzeni

piwnicy. Luke poczuł, że Aubrey, której zasłonił usta dłonią, krztusi się w niemym krzyku.

– Już nie – powiedział Mouser.

Luke nie ryzykował podglądania przez szpary w instalacji. Próbował bezgłośnie oddychać przez usta. Mouser zabił Erica. Zaledwie trzy metry od nich.

Usłyszał kroki. Szczęknięcie metalu – dawno nieużywane drzwi do piwnicy. Do pomieszczenia zakradł się chłód wieczoru.

Aubrey schowała twarz w zagłębieniu łokcia i skuliła się na betonie.

Drzwi się zatrzasnęły. Mouser wyszedł na uliczkę na tyłach domu.

Broń. Eric wciąż miał broń w kieszeni marynarki.

Luke wysunął się spomiędzy płataniny rur, nie oglądając się na Aubrey.

Eric leżał na plecach, martwy, na czole rozkwitła mu plama krwi. Pośmiertne rysy twarzy układały się w wyraz zaskoczenia.

Luke zerknął na drzwi. Znów zaczęły się uchylać. Zbyt szybko, by mógł być to ktokolwiek inny niż Mouser.

Luke podbiegł i mocno popchnął drzwi, wbijając obcasy butów w beton.

Kula rozdarła cienki metal, przeszywając powietrze kilka centymetrów od głowy Luke'a.

Zamknął drzwi i zasunął metalową zasuwę.

Podbiegł, krzycząc, do Aubrey. Siedziała skulona nad Erikiem, drżały jej usta, była niezwykle blada. Ukląkł, wyciągnął z marynarki martwego mężczyzny broń, plik papierów, pęk kluczy i telefon komórkowy. Breloczek w formie piłki do koszykówki postukiwał go w dłoń. Luke chwycił to wszystko i schował broń w kieszeni.

Razem z Aubrey wbiegli na schody, przebiegając obok ludzi zgromadzonych w holu, a potem wydostając się na wietrzną ulicę. Skręcili ostro w lewo i znaleźli się na zatłoczonym chodniku. Obok niknęły samochody, oświetlając przechodniów białym światłem.



Za chwilę Mouser też tu będzie.

Ludzie tłoczyli się na chodnikach, wciąż nowi wychodzili z restauracji i sklepów. Luke i Aubrey biegli, Luke rozglądał się dookoła; przed nimi było skrzyżowanie ulic, nagle zobaczył Mousera, który obserwował ulicę i podniósł rękę. Zaczął za nimi biec. Wpadli w Armitage Avenue. Mouser ich doganiał.

Znaleźli się w powodzi świateł, słysząc było pisk hamulców. Zatrąbił na nich autobus miejski, który musiał gwałtownie skręcić, żeby ich wyminąć. Luke spojrzął w rozświetlone okna autobusu, na stojących i siedzących pasażerów, którzy chcieli po prostu dojechać do swojego bezpiecznego domu, a teraz, przerażeni, chwyтали się siedzeń i siebie nawzajem, kiedy kierowca wcisnął hamulec, a autobus wpadł w poślizg na ostrym zakręcie i uderzył w samochody zaparkowane wzdłuż alei.

Przez chwilę Luke myślał, że autobus albo się na nich przewróci, albo po prostu ich przejedzie. Jednak udało im się umknąć mu z drogi, a kiedy Luke obejrzał się za siebie, dostrzegł, że Mouser został odgradzony od nich przez autobus. Bok pojazdu staranował kolejny samochód.

Biegli. Luke usłyszał pisk hamulców ciężarówki, która próbowała ich ominąć. Aubrey złapała go za rękę i wbiegli w jakąś boczną uliczkę. Luke znowu się obejrzał, tym razem nie widział Mousera wśród gwałtownie zatrzymujących się aut, nie słyszał kolejnego strzału.

Dotarli do dworca kolejki miejskiej. Skasowali bilety i pobiegli ku peronom.

Stali na końcu peronu i czekali, aż nadjedzie pociąg. Aubrey oparła się o Luke'a, dyszała ciężko. Jeśli Mouser wejdzie po schodach...

– Idź – powiedział Luke. – Idź na policję.

Spojrzała na niego i dostrzegł w niej jakąś nieugiętość, której wcześniej nie zauważył.

– Nie jestem pewna, czy policja może mnie ochronić przed ludźmi, którzy są w stanie manipulować dopływem prądu. Wzięłaś klucze?

– Tak.

Na peron wjechał pociąg zmierzający w kierunku pętli.

– Chodźmy – powiedziała.

Wsiadli do pociągu. Tłum falował, ludzie przepychali się ku siedzeniom i miejscom w pobliżu drzwi. Wagon był mniej zatłoczony, niż się tego spodziewał. Biznesmeni, dzieciaki, grupka kobiet porozumiewających się po hiszpańsku. Luke i Aubrey usiedli najdalej jak mogli od reszty.

Aubrey przysunęła się do niego i zadrżała.

– Nie wiem, czy nie zwymiotuję.

Objął ją niezdarnie. Oddychała ciężko.

– O Boże. O Boże. Zrobił to, żeby nas ratować.

– Żeby ratować ciebie. Na pewno nie mnie. Równie dobrze mógł mi wymalować na plecach tarczę strzelniczą.

Spojrzała na niego; oczy miała mokre, ale mrugała szybko, jakby chciała powstrzymać łzy. Dostrzegł w jej twarzy niezłomność.

– Źle zrobił.

Luke obserwował, jak pociąg mija rozświetlone budynki; mgła zaczęła opadać i rozproszone światło nadawało wszystkiemu nierealny wyraz.

Pieniądze były kluczem do powstrzymania Mrocznej Drogi i być może poznania tożsamości Jane – osoby odpowiedzialnej za zniszczenie mu życia. Muszą się dowiedzieć, gdzie Eric je schował.

– Gdzie jest mieszkanie Erica?

– Niedaleko centrum, w dzielnicy River West.

Pociąg wjechał na stację. Ludzie wsiadali i wysiadali. Weszło trzech bezdomnych, a wraz z nimi starszy pan w eleganckim garniturze, na twarzy miał wyraz niesmaku, a pod pachą trzymał gazetę.

– Ile jeszcze przystanków? – Luke nie lubił bezczynnego siedzenia, ktoś mógł się mu przyglądać i poznać jego twarz. – Gdzie powinniśmy wysiąść?

Bezdomni zaśmiali się z jakiegoś żartu. Starszy pan siedzący na wprost

Luke'a i Aubrey przyjrzał się im, jakby oceniając ich według jakiejś surowej, sobie tylko znanej skali. Otworzył gazetę i zaczął czytać.

Luke dostrzegł swoją podobiznę – zdjęcie zrobione przez kamerę przy bankomacie – na pierwszej stronie. Tytuł głosił TRAGICZNE FAKTY Z ŻYCIA PODEJRZANEGO O ZABICIE BEZDOMNEGO. Pewnie opis śmierci ojca w dziwnej katastrofie lotniczej i śmierci matki w wypadku samochodowym. Dwie tragedie w życiu Luke'a.

Aubrey dostrzegła nagłówek i dotknęła jego dłoni. Pociągnęła go za rękaw, wstali i przeszli na środek wagonu, w kierunku grupy bezdomnych, którzy rozgościli się w tym miejscu. Reszta pasażerów odsunęła się na bezpieczną odległość od tej trójki.

Stali przy drzwiach. Luke patrzył w okno. Za szybą rozpościerało się miasto. Szkoda, że nie mógł się cieszyć jego widokiem.

Luke obejrzał się na mężczyznę.

Zaczął przeglądać pierwszą stronę gazety. Zwinął ją i położył na kolanach, zdjęcie Luke'a znalazło się na wierzchu.

## 24.

Mouser widział, jak nadjeżdża pociąg, do którego wsiedli – na pewno by ich nie dogonił. Dlatego przestał biec.

Eric kłamał. To oni zniknęli wejście do piwnicy. Co oznaczało, że Eric zginął, próbując ich chronić. Zatem musieli wiedzieć, gdzie ukrył pieniądze. To było jedyne rozsądne wytłumaczenie.

Odwrócił się i poszedł do samochodu zaparkowanego na płatnym parkingu. Poczł, jak po cieie rozlewa mu się ciepł. Kiedy wsiadał do samochodu, zadzwonił jego telefon.

- Dorwałeś ich? – Snow wydawała się zmęczona.
- Nie wszystkich. Tylko Erica. Luke jest z jego kobietą. Myślę, że Eric powiedział im, gdzie ukrył pieniądze. Chciał chronić tę dziewczynę.
- Mogę pomóc. Dokąd teraz jedziesz?
- Nie przejmuj się. Niedługo wrócę do motelu. Wszystko będzie dobrze.
- Mogę się z tobą spotkać. Mam samochód.
- Masz samochód?
- Nie podeszła mi ta lekarka. Pożyczyłam jej samochód, kiedy przyszła mnie obejrzeć. – Była poirytowana. – Nie powinna była próbować mnie powstrzymać.
- Co zrobiłaś?

– W końcu nie była prawdziwym lekarzem.

Nie poczuł nic oprócz rozczarowania, kiedy w ten sposób zakomunikowała mu o popełnionym morderstwie.

– Nie traktuje się przydatnych ludzi w ten sposób.

– Widziała nasze twarze.

Nie chciał się z nią kłócić.

– Znajdź sobie jakiś motel. Zamelduj się. Odpoczywaj. Zadzwoń do mnie później. Nie rób krzywdy nikomu innemu.

– Musimy się trzymać razem.

– Pomóż mi, robiąc to, o co cię proszę. Znajdę ich.

– Proszę, spotkaj się ze mną gdzieś.

Nie mógł pozwolić na to, żeby błąkała się po Chicago. Umówił się z nią na Navy Pier, niedaleko jeziora Michigan; był to charakterystyczny punkt miasta, stał tam diabelski młyn, łatwo jej będzie go znaleźć. Rozłączył się. Był zirytowany i nie pomyślał, że ranna Snow może się bać samotności. Myślał tylko o misji. Telefon znów zadzwonił. Tym razem był to Henry.

– Jak tam Snow?

– Będzie dobrze. Eric nie żyje. Luke uciekł. Będę go musiał trochę podreżyc. Nie zabraniaj mi. Zasłużył na to. Obaj to wiemy.

Henry westchnął głęboko.

– Masz pieniądze?

– Nie.

– A co z dziewczyną Erica?

– Jest z Lukiem. Myślę, że wiedzą, gdzie są schowane pieniądze. – W głosie Mousera słyhać było przygnębienie.

– To dziwne, że Eric zaoferował pomoc Luke'owi po tym, jak go porwał.

– Musieli zawrzeć układ.

– Mouser, powiedz mi, dlaczego miałbym nie napuścić na ciebie Mrocznej Drogi, skoro nas zawiodłeś. Mam tu długą listę ludzi, którzy lepiej by sobie poradzi z szukaniem naszych pieniędzy.

– Ponieważ przyznanie się do porażki byłoby dowodem na to, że nie panujesz nad sytuacją. Nie masz kontroli nad ich pieniędzmi. Mogą się wtedy zdenerwować, że to ty dowodzisz. Mogą cię chcieć kimś zastąpić. – Henry milczał, co oznaczało, że Mouser trafił w czuły punkt. – Daj mnie i Snow dokończyc tę sprawę. Muszą ciągle być w Chicago.

W słuchawce Mouser słyszał tylko tykanie zegara.

– Rozczarowujesz nie tylko mnie, ale całą Mroczną Drogę – powiedział w końcu Henry.

Mouser nie dbał zbytnio o pragnienia innych ludzi, ale pozostali członkowie Mrocznej Drogi mogli mu się przydać.

– Jeśli mi pomogą, to ich nie zawiodę. – Pomyślał, że to najbardziej dyplomatyczny sposób ujęcia sprawy.

– Zatem Mroczna Droga będzie cię wspierać. Pod warunkiem że nie będziemy się zagłębiać w szczegóły obecnej sytuacji. Nie chcę, żeby reszta grupy spanikowała albo żeby ktoś chciał się wycofać. – Henry oferował mu układ; nie powiadomią reszty organizacji, że mają jakieś problemy.

– Dobrze – powiedział Mouser. – Najpierw musimy jakoś namierzyć Aubrey Perrault. Może jej samochód ma GPS. Uciekli pociągiem, ale musi mieć samochód. Potrzebujemy też wtyczki w banku Erica. Musimy wysledzić, gdzie przelał pieniądze, musiał je ukryć w miejscu, gdzie miał do nich łatwy dostęp.

Cisza.

– Luke. Wszystko z nim w porządku?

– Widziałem, jak uciekał. Wydawało się, że nic mu nie jest. – Miał ochotę dodać, że postrzelił Snow, kto by zatem dbał o to, czy nic mu nie jest.

– Nie zrobiłeś mu krzywdy.

– Nie. – Tylko dlatego, że nie miałem okazji, pomyślał. Denerwowała go ta troska Henry'ego o Luke'a. Misja, misja, nie można było się koncentrować na czymś innym. Henry stawał się dla niego ciężarem. Jednak nie odezwał się ani słowem.

- A przy okazji, jak tam lekarka dla Snow? – spytał Henry.
- W porządku. Jak najbardziej w porządku – odparł Mouser.



Starszy mężczyzna przyglądał się Luke'owi. Ten udawał, że patrzy w okno. Kątem oka dostrzegł, że mężczyzna wyciąga z kieszeni komórkę, wybiera numer i coś mówi do telefonu. Jego opanowanie – pewność w głosie – była bardziej przerażająca, niż gdyby wyciągnął nóż lub pistolet.

– Dojeżdżamy do kolejnego przystanku – wyszeptała Aubrey. Luke starał się utrzymać obojętny, spokojny wyraz twarzy, jak gdyby nie interesowało go, co robi ten starszy człowiek.

– To ten chłopak z gazety – oznajmił mężczyzna pozostałym pasażerom. Schował telefon. – Ten chłopak z Houston, który zabił bezdomnego. – Postukał w gazetę.

– Oszalał pan – powiedziała Aubrey. – Proszę zostawić mojego brata. – Umiała kłamać na zawołanie.

– Zawiadomiłem policję. – Był z siebie bardzo zadowolony. – Zabił bezdomnego – zwrócił się do trójki obszarpańców.

Jeden z bezdomnych – chuderlak koło czterdziestki – złapał Luke'a za ramię.

Aubrey odciągnęła go od Luke'a.

– Prosiłam, żeby zostawić go w spokoju.

– Nie pozwólcie im uciec. – Mężczyzna wskazał na nich oskarżycielsko gazetą.

Wszyscy zachwiali się, kiedy pociąg zahamował, i nagle dwóch bezdomnych przycisnęło Luke'a do ściany. Czuł było od nich winem i potem. Kiedy drzwi się otworzyły, Luke i Aubrey wypadli wraz z bezdomnymi z wagonu. Luke zamachnął się i uderzył jednego z mężczyzn w rozczochraną brodę. Poczul, że natrafił na jego zęby i wargi.

Aubrey złapała drugiego z mężczyzn za tłuste włosy i zaczęła krzyczeć o pomoc.

Inni ludzie złapali Luke'a za ręce, pociągnęli ze sobą i rzucili na kamienną podporę.

– Przestańcie! – wrzasnęła Aubrey.

Tłum zafalował, na pomoc Luke'owi i Aubrey ruszyło trzech młodych mężczyzn. Aubrey złapała Luke'a i zaczęli uciekać. Zwolnili przy schodach, kiedy minął ich spieszący się dokądś policjant.

Zniknęli we mgle.



## 25.

– Gdzie mógł ukryć te pieniądze?

Luke i Aubrey wędrowali po cichej okolicy na północ od centrum miasta. Aubrey ciągle oglądała się za siebie. Musimy cały czas iść, myślał Luke.

– Pracował w banku... Gdziekolwiek są te pieniądze, zdecydował się zginąć, aby utrzymać to w sekrecie.

– Co oznacza, że mógł je ukryć wszędzie – powiedziała. – Zgaduję jednak, że przelał je na jakieś konto, pewnie w innym banku, z którym nie miałby takich oczywistych powiązań. – Głos się jej załamał. Wyczuł, że chce się od niego odciąć.

– Wiem, że zależało ci na nim. Przykro mi, naprawdę mi przykro.

– Czyżby? – Wpatrywała się w chodnik. – To przez niego wpakowałeś się w to wszystko.

– Nie. On był pionkiem, tak jak ja i ty. Nawet ci, którzy nas ścigają, są tylko pionkami. Królem na szachownicy jest mój ojczym. Królową ta suka Jane. Musi być szalona, skoro próbuje odebrać pieniądze terrorystom.

– Nie lubię szachów i nie lubię być pionkiem. – Uniosła głowę i spojrzała na niego z pełną żalu przekorą. – Wkurzam się wtedy.

– To dobrze. To nam pomoże utrzymać się przy życiu.

Znów zaczęli iść.

– Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. Tak bardzo starał się mnie przekonać, że stoi po stronie dobra. Ciągłe mówił o tym, co dla mnie zrobił, ile dla mnie zaryzykował...

– Wykorzystał twoje porwanie, żebyś do niego wróciła.

Pokiwała głową ze wstydem.

– Brzmi okropnie. Ale chciał, żebyśmy znów byli razem. – Znów obejrzała się za siebie. – Naprawdę nie jestem taka wyjątkowa. Nie wiem, dlaczego tak mu na mnie zależało.

Luke pomyślał o jej opanowaniu, jej odwadze, kiedy prosiła Erica, by nie zostawiał go przykutego do łóżka, jej pomysłowości, kiedy broniła go przed bezdomnymi w kolejce. Bardzo dobrze wiedział, dlaczego Eric nie chciał się rozstawać z kobietą taką jak ona.

– Jak go poznałaś?

– Spotkałam go w jego banku. Zakładałam tam konta firmowe. On się nimi zajmował.

Przypomniał sobie, że przyjaciółka Aubrey wspomniała na blogu o jej firmie eksportowo-importowej.

– Kilka miesięcy temu kupiłam przedsiębiorstwo importowe. Od znajomego. Ceramika z Ameryki Południowej, afrykańskie ozdoby i biżuteria, rękodzieło i meble z Meksyku i Europy Wschodniej, nic drogiego. Jednak trzeba pilnować wydatków, zajmować się zagranicznymi płatnościami, przyjmować przelewy zza granicy, dużo różnych problemów. Eric pomógł mi się z tym uporać. Potem zaprosił mnie na kolację... Myślałam, że jest porządnym człowiekiem. Niezbyt często wybieram właściwych facetów.

– Czy udało mu się odzyskać twoje uczucia po tym, jak cię uwolnił?

– Nie wiem. Czułam jednocześnie wściekłość i wdzięczność. Ale kiedy zobaczyłam relację w telewizji... rozpoznałam cię... wiedziałam, że miał coś wspólnego z morderstwem tamtego człowieka. Tak chciał mnie uratować. To by mnie z nim na zawsze związało, a ja bardzo się bałam. Ten, kto go ściga, nie podda się tak łatwo.

Minęli niemal pustą restauracyjkę, Aubrey spojrzała na menu w oknie.

– Jesteś głodna? – spytał. Zdał sobie sprawę, że sam umiera z głodu, ale proponowanie kolacji wydawało się mu trochę nie na miejscu.

– Nie zjedliśmy naszej pizzy. – Potarła skronie. – To okropne, że w ogóle myślę o jedzeniu. – Zaburczało jej w brzuchu.

– W porządku. Staramy się przetrwać.

– Dziwne. Wszystko dookoła wydaje się takie normalne. – Splotła ramiona. – My się zmieniliśmy, a świat nie.

Restaurację wypełniało ciepłe światło, nieliczni klienci śmiali się, popijając kawę i jedząc kanapki lub specjalność dnia. Weszli do środka, Luke źle się czuł ze świadomością, że będzie musiał usiąść w bezruchu, wśród ludzi. Oboje po kolei poszli do łazienki, umyli twarze i dłonie. Luke zastanawiał się, czy Aubrey nie ucieknie, ale kiedy wrócił do stolika, czekała na niego. Zamówili jajecznicę, boczek, tosty i gorącą kawę, dzięki której poczuli przyjemne ciepło. Patrzyła w swój kubek.

– Powinam się załamać. Ale to w końcu luksus móc sobie pozwolić na cierpienie. W naszej sytuacji musimy po prostu iść dalej.

Miała rację. Musieli podążać naprzód, musieli też szybko znaleźć pieniądze.

– Luksusem, którego nie mamy, jest czas.

– Co masz na myśli?

– Ci ludzie spodziewają się niedługo dostać te pieniądze. Mają one związek z dużym zamachem, większym nawet niż ta bomba w Teksasie. Mouser nazywał tę operację Piekielny Ogień. Musimy się dowiedzieć, co to jest, ze słów Mousera wnioskuję, że wydarzy się niedługo. W ciągu kilku dni.

Przez pół minuty milczała, zastanawiając się nad czymś. Poczekała, aż kelnerka ponownie napełni ich kubki i odejdzie od stolika.

– Policja powinna wkrótce znaleźć Erica.

- Tak.
- A potem zaczną szukać mnie.
- Tak.
- Pracodawcy Mousera, niezależnie od tego, kim są, też zaczną mnie szukać.
- Tak.
- Jeśli znajdzie mnie policja, to znajdzie mnie też Mouser.
- Cóż...
- Odcięli prąd, Luke. Mają o wiele większe możliwości, niż mi się wydawało.

Pił kawę.

- Jeśli zgłosisz się na policję, możesz oczyścić mnie z winy.
- Uniewinnisz się, jeśli znajdziesz pieniądze. Udowodnisz, że Eric miał motyw, aby cię porwać. Potem przekażesz pieniądze i wszystkie informacje o Mrocznej Drodze w ręce FBI.

Przekazać wszystko FBI. Pięćdziesiąt milionów. Ojczyzna zdrajcę. Nie chciał, żeby Henry poszedł do więzienia. Zdał sobie sprawę, choć był z tego powodu zły i jednocześnie zawstydzony, że życzy Henry'emu śmierci za to, jakie zgotował mu piekło. Nie. Schował twarz w dłoniach i poczekał, aż nienawiść, którą poczuł, nieco zelżeje.

- Nie masz pojęcia, w co się pakujesz, Aubrey.
- Nie mogę powiedzieć policji nic więcej ponad to, co powiedziałam tobie. Powinniśmy się trzymać razem.

Poczuł ciężar odpowiedzialności. Ledwie udało mu się uciec przed wysłannikami Mrocznej Drogi; nie miała pojęcia, z jaką brutalnością mogą się spotkać. Dostrzegł jednak w jej twarzy nieugiętość i postanowił się nie kłócić. Chciała się ukryć; nie winił jej za to. Chciała mu pomóc ze względu na Erica.

- Dwie ofiary porwania postanawiają trzymać się razem.
- Tak – powiedziała cicho.
- Nie umiem walczyć, ale nie pozwolę, aby ci ludzie wywinęli się od odpowiedzialności za to, co zrobili mnie, Ericowi lub tobie.

Jej postawa dodała mu otuchy.

– Nie rozumiem jednego: dlaczego Eric po prostu nie ukrył się gdzieś z pieniędzmi? Dlaczego nie poleciał do Tajlandii, nie zabrał pieniędzy i nie zaszył się gdzieś z nimi? – spytał.

– Dziś powiedział mi, że zawarł układ, który będzie dla nas ratunkiem. Tuż przed tym, jak się pojawiłeś. Piliśmy wino, aby to uczcić, tylko że nie zdążył mi jeszcze opowiedzieć szczegółów.

– Układ.

– Układ, w którym miał nas ochraniać ktoś wpływowy, tak jak twierdził ten człowiek, Mouser, zanim zastrzelił Erica. – Chrząknęła i potarła oczy. – Byłam wściekła na Erica, że wpakował mnie w to wszystko. Chciałam się uwolnić, a on przekonywał, że nie mam innej drogi wyjścia niż przy jego pomocy.

– Kto miał go chronić? Może mógłby chronić również nas?

– Może – powiedziała. – Nazwał to układem. Musiał coś zaoferować w zamian.

– Pięćdziesiąt milionów – stwierdził Luke.

Przypomniał sobie o papierach, które wyciągnął z marynarki Erica, kiedy szukał pistoletu. Wyjął je teraz z tylnej kieszeni i wygładził na stole.

– Co to jest? – spytała Aubrey.

– Papiery, które Eric miał w kieszeni. – Każda ze stron była wydrukiem potwierdzającym otwarcie konta w banku. Banki były rozsiane po całej Ameryce: Tennessee, Nowy Jork, Kalifornia, dwa oddziały w Teksasie, Minnesota, Waszyngton, Missouri. Nazwy banków nic mu nie mówiły; były to raczej lokalne oddziały, a nie ogólnokrajowe sieci.

– Tam pewnie znajdują się konta, które założył dla Mrocznej Drogi.

– Jak sprawdzimy, czy coś na nich jest?

Spojrzał na nią.

– Myślisz, że przelał na nie pieniądze?

– To miałyby sens. Może otworzył te konta i wpłacił tam pieniądze, ale nie przekazał informacji na ich temat Mrocznej Drodze. W ten sposób

miałby dostęp do pieniędzy, nawet jeśli oni go nie mają.

– Nie możemy do nich jeździć, te banki są rozsiane po całym kraju – zauważył. – Trzeba znać hasło, jeśli chce się sprawdzić stan konta przez telefon lub Internet.

– Dlatego najpierw musimy znaleźć te hasła – powiedziała.

– Może były w jego głowie.

– Do tylu kont? Nie. Był typem człowieka, który wszystko sobie zapisuje.

Do restauracji weszło dwóch policjantów. Rozejrzeli się po sali; Luke był do nich odwrócony tyłem. Przez chwilę poczuł ich wzrok na sobie. Razem z Aubrey wpatrywali się w kubki, czekając, aż policjanci rozsiądą się przy stoliku po drugiej stronie sali i zajmą się studiowaniem menu.

– Musimy iść. Natychmiast – powiedział Luke. Czuł, że jest zlany potem.

Zapłacił za posiłek i wyszli z restauracji. Aubrey mocno się o niego oparła, głaskała go po plecach, używając tych czułości jako kamuflażu. Nie wyglądał jak zabójca policjanta podczas samotnej ucieczki. Pilnował się, żeby nie spojrzeć w stronę policjantów.

Kiedy byli na zewnątrz, odsunęła się od niego i splotła ramiona. Minęli trzy przecznice, znaleźli przystanek i obmyślili, jak dostać się z powrotem do Lincoln Park, gdzie Aubrey miała zaparkowany samochód. Było to nowe volvo, Luke zaczął badać podwozie.

– Wiesz, czego szukasz? – spytała.

– Tak naprawdę nie – odpowiedział. – Jakiegoś urzędnika namierzającego. Jakbym je mógł rozpoznać. – Uśmiechnął się szeroko, a ona odpowiedziała nieśmiałym uśmiechem.

– Albo jakiejś bomby. Ale ze mnie optymistka, co? – W jej głosie słychać było wyczerpanie.

Luke wysunął się spod samochodu.

– Nie widzę tu niczego, co wydawałoby mi się nie na miejscu.

– W porządku. – Wsiedli, Aubrey wjechała w ciemną uliczkę.  
– Dokąd jedziemy?  
– Tam, gdzie będziemy się mogli zastanowić. Muszę się przespać. –  
Luke czuł się bardzo zmęczony. Jego organizm przestał wydzielać adrenalinę. Wydawało mu się, że jego ucieczka trwa już całe wieki.

– Gdzieś, gdzie jest tanio – dodała.  
– Gdzieś, gdzie jest tanio – przyznał jej rację.  
– Wszystko, co Eric mi powiedział, było kłamstwem – stwierdziła nagle, a z jej oczu popłynęły łzy. Nie szlochała.

Łzy po prostu płynęły po jej twarzy, otarła je wierzchem dłoni.

Prowadziła i Luke nie wiedział, jak ma się zachować, aż w końcu położył swoją dłoń na dłoni, którą trzymała kierownicę.

Tylko dla otuchy.

Żadne z nich nie zauważyło, że na najbliższym skrzyżowaniu zamontowana była kamera śledząca ruch, która zimno im się przyglądała, kiedy zjechali z pobocza i ruszyli w mrok.

## 26.

Snow spała w motelowym łóżku, wyczerpana bólem gojącej się rany i nierozważnym morderstwem, którego dokonała. Mouser włączył laptop i zapuścił się w internetowy świat Mrocznej Drogi.

Przez większość czasu czuł się samotny, ale kiedy logował się na szfrowanej stronie Mrocznej Drogi, czuł się tak, jakby wślizgiwał się do ciepłej kąpieli. Szczęście, błogość, świadomość tego, że gdzieś przynależy. Były to dla niego niecodzienne doznania.

Nie była to jedna strona, ale raczej sieć kilku dobrze zabezpieczonych stron umieszczonych na rosyjskim serwerze. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się niewinne – wręcz nudne – dopiero kiedy wpisało się hasło, zyskiwało się dostęp do wszystkich jej tajemnic. Hasło otrzymywali tylko ci, którzy zostali sprawdzeni przez Henry'ego Shawcrossa. Niewielu członków Mrocznej Drogi było w stanie wymienić imiona swoich towarzyszy. Spojrzał na Snow; nie znał jej prawdziwego imienia. Tak było lepiej.

Wyrwało mu się westchnienie pełne ulgi i zadowolenia. Przeczytał nowe wpisy na stronie – pisane w języku Mrocznej Drogi. Radość i gratulacje z powodu eksplozji rurociągu naftowego w Kanadzie. Jednemu z członków Mrocznej Drogi udało się spowodować milionowe straty gospodarcze w



Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, przy czym poniesione przez niego koszty wyniosły zaledwie pięć tysięcy dolarów na plastik i transport. Wszyscy przybijali między sobą wirtualne piątki. Skażenie mięsa bakteriami *E. coli* w fabryce żywności w Tennessee również określano jako sukces, był to wynik współpracy dwóch członków Mrocznej Drogi, którzy poznali się dopiero w organizacji i wykorzystali wspólną wiedzę i umiejętności, aby skazić fabrykę i wywołać popłoch w amerykańskich domach. Niskie koszty, duża skuteczność.

Kilkoro wybranych, którzy dowiedli swoich umiejętności, weźmie udział w operacji Piekielny Ogień.

Pominał resztę gratulacji. Ktoś z Alabamy chciał się podszkolić z materiałów wybuchowych i szukał nowego źródła broni. Mieszkający w Los Angeles mężczyzna chciał połączyć siły z innymi grupami, aby wspólnie spowodować utrudnienia w ruchu w czasie Dnia Niepodległości. Jeszcze inny forumowicz z Belgii wszedł w posiadanie dużej liczby numerów kont przypisanych do kart kredytowych z amerykańskiej bazy wojskowej i teraz je sprzedawał.

Mouser zatrzymał się przy jednym z wpisów – angielski haker rozsiewał wirus trojana poprzez pornograficzne strony internetowe z Sankt Petersburga, wirus szybko się rozprzestrzenił; haker twierdził, że opanowuje tysiąc komputerów osobistych dziennie. Wirus ten wychwytywał wszystkie hasła i informacje dotyczące kart kredytowych, które były przechowywane w danym komputerze. Haker sprzedawał te informacje w zestawach po sto sztuk; licytacja zaczynała się rozkręcać.

Mouser zastanowił się przez chwilę. Swoje ostatnie trzy akcje przeciwko Bestii – amunicję, koszty podróży i zakwaterowania – sfinansował dzięki zakupieniu zestawu takich zainfekowanych systemów. Było to trochę podobne do zakupu funduszu powierniczego; niektóre z systemów mogły okazać się źródłem cennych informacji; inne – zwykle należące do nastoletnich chłopców – nie były zbyt przydatne. Mimo wszystko dane osobowe

i informacje na temat konta zawsze były coś warte – biorąc pod uwagę, jak kiepsko im szło w ciągu ostatnich kilku dni, on i Snow mogą potrzebować nowych danych, przynajmniej na jakiś czas. Dopóki sytuacja się nie uspokoi. A jeśli dostanie pieniądze, które mu obiecano, to może odsprzedać te informacje komuś innemu. Brał pod uwagę serbską organizację przestępczą lub pewną muzułmańską komórkę terrorystyczną, której członkowie zawsze byli chętni do zakupów.

Mouser zaliczył dwa zestawy, a potem zamieścił swoje ogłoszenie.

*Potrzebne dokładne wymiary kartek za 24. Tyłko 2. 1 GPS.*

W języku używanym przez członków Mrocznej Drogi oznaczało to tyle, że szuka informacji z baz danych wszystkich kart kredytowych, dotyczących obciążeń dwóch kart w ciągu ostatniej doby oraz informacji z GPS dla jednego samochodu, który należał do Aubrey. Czekał.

Pięć minut później ktoś odpowiedział:

*Być może da się zrobić. Co w zamian?*

Mouser odpisał:

*Wymiana usług na terenie USA.*

Usługi oznaczały zabójstwo – oferował, że może kogoś zabić w zamian za dostęp do potrzebnych mu danych.

Dostał odpowiedź:

*Nie jestem ze Stanów. Przykro mi. Powodzenia.*

Potem pojawiła się kolejna oferta:

*Mogę pomóc. Wyślij szczegóły na [skeech@netter.net](mailto:skeech@netter.net).*

Adres e-mail był elementem kamuflażu – kliknięcie w niego przenosiło użytkownika na całkowicie legalną stronę internetową, funkcjonującą jako forum poświęcone amerykańskim filmom i serialom. Strona należała do holdingu, który był również właścicielem Travport Air Cargo. Grupa dyskusyjna wywodziła się z Malezji, a posty publikowano zarówno w płynnej angielszczyźnie, po malezyjsku, jak i łamaną angielszczyzną, która świetnie się nadawała do szyfrowania informacji. Stronę również umieszczono

na rosyjskim serwerze, a jeśli zaszła taka potrzeba, wpisy członków Mrocznej Drogi były automatycznie usuwane z systemu. Nie była to doskonała anonimowość, ale wystarczała.

Wszedł na forum, założył nowy profil i zalogował się na stronie. Zaczął nowy wątek, pytając łamaną angielszczyzną o mające się w najbliższym czasie ukazać DVD ze słowem „usługi” w tytule. Chwilę później dostał długą odpowiedź pełną skrótów i slangu SMS-owego.

Rozmawiali przez chwilę, wciąż kamuflując swoje wiadomości, aż jego rozmówca wysłał mu zakodowaną wiadomość, w której podał numer telefonu z kierunkowym z Nowego Meksyku.

Mouser zadzwonił do niego.

Odebrał po trzecim dzwonku.

– Jestem twoim nowym znajomym – powiedział Mouser.  
– Mogę zdobyć dla ciebie te informacje. – Jego rozmówca miał niski, ochryply od nikotyny głos i mówił z hiszpańskim akcentem. – Zajmie mi to kilka godzin.

– Potrzebuję ich natychmiast.

– To bez znaczenia. I tak zajmie to kilka godzin.

Mouser westchnął.

– Możesz zagwarantować stały monitoring trasy samochodu?

– Dopóki ktoś nie odkryje mojej obecności w bazie danych. Nie ma gwarancji. Powinno ci to wystarczyć, żeby się zorientować, gdzie znajdują się twoje cele.

– Co chcesz w zamian?

– Zabijesz jakiegoś gliniarza i będziemy kwita.

– Wszystko jedno jakiego?

Mouser pomyślał przez chwilę. Policjanci służyli Bestii. Czuł podekscytowanie na myśl o tym, że jakiś policjant chodzi sobie po świecie nieświadomy, że wkrótce umrze jako zapłata za potrzebne Mouserowi informacje.

– W porządku.

– Jak się nazywa właściciel samochodu?

– Aubrey Perrault. To Volvo, numer rejestracyjny F52-TJR, z Illinois. Dziś był zaparkowany w Lincoln Park, niedaleko Armitage.

– Mój znajomy ma dojsście do filmów z prawie wszystkich kamer w mieście. Mogę sprawdzić, czy ta kobieta nie pokazała się gdzieś w Chicago w ciągu ostatnich kilku godzin, to pomoże zawęzić poszukiwania; skontaktuję się z tobą przez stronę internetową. – Postanowili, że nie będą już rozmawiali przez telefon; obie komórki były na kartę, należało je zniszczyć po dobieciu targu.

Mouser podziękował i rozłączył się. Wylogował się z malezyjskiej strony i wrócił na stronę Mrocznej Drogi. Tak wielu ludzi, każdy chciał coś zdziałać, miał konkretne umiejętności, cel. Wymieniali się tym, co umieli najlepiej, i tym, do czego mieli dostęp, gotowi walczyć z potężnym wrogiem. Armia, ukryta w mroku, gotująca się do wojny, która zmieni oblicze świata. Mroczna Droga zbudowana przez Henry'ego Shawcrossa z cegieł, których dostarczył mu Luke Dantry. Był świadkiem narodzin przerażającego i pięknego stworzenia, Bestii sprawiedliwości.

Piekielny Ogień miał być zwiastunem jej narodzin.

Mouser spojrział przez okno na rozgwieżdżone niebo i zastanawiał się, czy można na nim dojrzeć satelitę GPS, który pomoże jego nowemu kumpłowi w odnalezieniu Aubrey i Luke'a. Miał ochotę posłać całusa temu elektronicznemu szpiegowi.

## 27.

Luke i Aubrey pojechali do małego motelu na przedmieściach Chicago położonego przy drodze międzystanowej 55 do Saint Louis, zameldowali się w tym samym pokoju z dwoma łózkami. Aubrey zapłaciła gotówką; Eric dał jej trochę pieniędzy, kiedy wrócił do domu, ponieważ nie mogli używać kart kredytowych.

Luke był bardzo wyczerpany, ale mimo to przysiadł na łóżku i przyjrzał się liście stanów, banków i kont. Nie wiedział, od czego zacząć. Przy kontaktach nie było żadnych nazwisk, haseł czy sposobów identyfikacji, jedynie zapiski Erica. Wszystkie informacje, jakie były mu potrzebne, przepadły wraz ze śmiercią Erica. A jeśli konta te zostały zamknięte, to wszelkie informacje były bezużyteczne.

Chyba że dzięki tym wskazówkom uda mu się odgadnąć, dla którego członka Mrocznej Drogi było przeznaczone dane konto. Najprawdopodobniej ludzie ci byli rozsiani po całych Stanach, Mouser i Snow też nie mieszkali obok siebie. Bank, w którym założono konto Mrocznej Drogi, musiał znajdować się gdzieś w pobliżu ich miejsca zamieszkania. To może pomóc ich znaleźć.

Aubrey brała prysznic, Luke siedział tyłem do drzwi łazienki. Położył się i niemal natychmiast zasnął. We śnie stał w samolocie, którym leciał jego ojciec. Człowiek, który dokonał zamachu, zniknął, ale widział na jednym z siedzeń przed sobą skulone ciało swojego ojca.

– Tato – zawołał. Dłoń ojca spoczywała na skutecznej mrozem szybie, spomiędzy jego palców wysunął się medalik ze świętym Michałem.

Dotknął ramienia ojca.

Zmarły mężczyzna odwrócił się i wstał, wtedy okazało się, że to nie Warren Dantry, ale Henry. Jego twarz i usta były sine, próbował udusić Luke'a.

Luke usiadł, czując, że zaschło mu w ustach i leje się z niego pot. Aubrey zdążyła się ubrać, ale włosy miała wilgotne; obserwowała Luke'a ze swojego łóżka. Włączyła telewizję. Kiedy spojrział na ekran, zobaczył zdjęcia dwóch martwych mężczyzn. Byli to Chris i ten biedny policjant.

Sięgnął po pilota i pogłosił dźwięk. Nikt nie został aresztowany. Nie było podejrzanych.

– Za chwilę wrócę.

Przeszedł cztery ulice, na ruchliwym skrzyżowaniu, na wprost sklepu spożywczego, stał zapomniany automat telefoniczny. Zbyt blisko motelu. Podjechał kilka kilometrów autobusem i znalazł inny sklep z automatem telefonicznym. Wrzucił do niego kilka ćwierćdolarówek i powiedział szybko i wyraźnie:

– Dzwoniłem wcześniej ze wskazówkami dotyczącymi zabójstwa policjanta. Dwoje ludzi, którzy są odpowiedzialni za jego śmierć, mogą mieć związek z bombą, która wybuchła w Teksasie, pracują nad większym zamachem, nazywają go Piekielnym Ogniem, ale nie wiem, na czym ma polegać. – Odłożył słuchawkę. Mógł wspomnieć o Henrym, ale tego nie zrobił. Dlaczego? Nie musiał być wobec niego lojalny. Jednak nie był w stanie wypowiedzieć tych słów, tego, co naprawdę o nim myśli. Podniósł słuchawkę, chcąc znów wykręcić numer, ale zrezygnował.

Zdawał sobie sprawę, co nim kierowało: chciał się osobiście rozprawić z Henrym. Chciał, żeby Henry stał przed nim słaby i niezdolny do obrony, chciał, aby się przyznał, że wykorzystał i zdradził Luke'a. Żeby czuł się winny, choć przez kilka chwil, za to, że praca, jaką Luke wykonywał ze

szlachetnymi intencjami, została wykorzystana do zbudowania czegoś tak potwornego. Była to niepokojąca refleksja, która dręczyła Luke'a, kiedy wracał do motelu.

Kiedy wrócił, Aubrey oglądała inny kanał informacyjny. Władze stanu Alaska wydały oświadczenie, że ujęto trzech mężczyzn z Seattle, którzy próbowali uszkodzić rurociąg naftowy niedaleko Sitki. Aresztowani mieli przy sobie kilka bomb domowej roboty, które wystarczyłyby do poważnego zniszczenia konstrukcji i przerwania dostaw. Mężczyźni ci wywodzili się podobno z ekstremistycznej organizacji ekologicznej, giełda zareagowała na te informacje niemal histerycznie, zważywszy na wieści o podłożeniu bomby pod rurociągiem w Kanadzie kilka dni wcześniej. Ropa osiągnęła rekordowe ceny, natomiast reszta rynku zanotowała spadek. Miliony wirtualnych dolarów wyparowały.

– Seattle – powiedział Luke. – Znalazłem tam kilku ekologów ekstremistów, których dane przekazałem Henry'emu. To mogą być oni.

– Lub nie.

– Kiedy tylko słyszę o ataku lub przestępstwie natury politycznej, od razu wydaje mi się, że Mroczna Droga ma z tym coś wspólnego. Boże, podałem im tyle danych. Nawet jeśli tylko około pięćdziesięciu spośród nich było wystarczająco zdeterminowanych, to i tak wychodzi po milionie na głowę.

– Nasze życie opiera się na kruchych fundamentach – powiedziała Aubrey. – Wystarczy, aby kilku ekstremistów postanowiło zniszczyć gospodarkę, mogłoby im się to udać, gdyby działali wystarczająco precyzyjnie. Kiedy się w nas uderzy, stajemy się bezbronni. Energia. Żywność. Łączność. – Spojrzała na niego ze smutkiem w oczach. – Jeśli wystraszą wystarczająco wielu ludzi, to wpłynie na nasze życie.

– Niestety – odpowiedział. – To tak jak z jedenastym wrześniem. Grupa zdeterminowanych fanatyków jest w stanie tak wiele zdziałać. Było ich dziewiętnaścioro, a cała operacja kosztowała pół miliona. Te dupki mogą być o wiele groźniejsze, mając tak dużo pieniędzy. Nie tylko jeden atak.

Może cała długa seria. Dookoła zapanuje terror.

Kolejna informacja dotyczyła Erica, choć nie wymieniono go z nazwiska. Na ekranie widać było taśmę policyjną zabezpieczającą budynek przy Armitage. Nie było świadków, brakowało rysopisu zabójcy. Widziano tylko trójkę ludzi – mężczyznę i kobietę ściganych przez innego mężczyznę – którzy wbiegli na jezdnię, niemal powodując groźny wypadek autobusu. Prezenter mówił:

– Dostajemy informacje, że dostawy prądu w rejonie Lincoln Park zostały przerwane z powodu usterki systemu komputerowego, choć w żadnej innej części miasta nie odnotowano awarii sieci energetycznej. Dostawca prądu bada sytuację.

Odgarnęła wilgotne włosy.

– Brzydko pachniesz, Luke. Może weźmiesz prysznic.

Nie mył się, odkąd był w domku nad wezbrany potokiem. W łazience wszedł pod strumień gorącej wody i solidnie się namydlił. Był jej wdzięczny, że postanowiła z nim zostać; nie chciał być sam. Nie miał ochoty z powrotem wkładać brudnych ubrań, ale nie było wyboru. Plecak ze zmianą ubrań został w pracowni Chrisa.

Aubrey leżała skulona pod kołdrą. Drzemała. Podszedł do swojego łóżka i zgasił światło. Wtedy dostrzegł, że nie wyłączył światła w łazience. Kiedy je zgasił i w ciemności wracał do łóżka, niechcący potknął się o materac Aubrey.

Usiadła gwałtownie, z ust wyrwał się jej urywany krzyk.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam, Aubrey.

– Nic mi nie jest. Myślałam... śniło mi się, że znowu jestem w tym domku...

– W porządku. – Usiadł na swoim łóżku. – Ja też miałem wcześniej zły sen. – Słyszał szelest pościeli, kiedy w ciemności z powrotem się położyła.

– Kiedy tam byłam – powiedziała – przykuta do łóżka, bałam się, że nikt mnie nie znajdzie. Że umrę z głodu. Albo z pragnienia. Śmierć w



samotności. Nawet lunchu nie lubię jeść sama.

Zaśmiał się cicho, a ona najpierw westchnęła, a potem zaczęła płakać, za Erikiem, za życiem, jakie zostało jej odebrane.

Luke obserwował smugę księżycowego światła, która wpadała do pokoju. Spojrzał na Aubrey i dopiero po chwili dostrzegł, że wyciągnęła ku niemu dłoń.

Wziął ją za rękę.

– Tylko na chwilę – zastrzegła.

Wiedział to i rozumiał.

– Też myślałem, że umrę w tym domku w lesie – powiedział. Uściśnął jej dłoń. Wydawało mu się, że przestał na chwilę oddychać. Pociągnęła go ku sobie. Przytulili się, oboje spragnieni ciepła, oboje zmęczeni.

Potem pocałował ją zachłannie, jakby chciał wyrazić swoją radość z faktu, że wciąż jeszcze żyje. Był to długi, powolny pocałunek. Jej wargi miały smak kawy.

– To zły pomysł – stwierdził.

– Nieważne. Kilka ostatnich dni to ciąg złych pomysłów. Już go nie kochałam. Zniszczył mi życie. Nie mogę... Chcę po prostu...

Rozumiał. Chciała poczuć, że żyje, zapomnieć o zagrożeniu. Odsunęła się od niego na chwilę nieśmiało, dotknął jej koszulki, a ona podniosła rękę, chciała zapomnieć o lęku. Rozebrał ją, a potem zdjął z siebie ubranie i pochylił się, by ją pocałować. Jego medalik dotknął jej piersi.

– Co to? – spytała, dotykając srebra.

– Święty Michał. Dostałem go od ojca, zanim zmarł. Mówił, że będzie mnie strzec.

Przyjrzała się medalikowi, trzymając go w dłoni, a potem przesunęła tak, żeby znalazł się na plecach Luke'a.

– Łaskocze mnie – powiedziała.

– Okay. – Luke zamknął oczy i poczuł, że zdejmuje mu bokserki.

Kochali się łagodnie, a potem obydwójce poczuli się lepiej i zasnęli. W środku nocy Luke'a obudziło trzaśnięcie drzwi na korytarzu. Może powinien

czuwać, stać na straży, na wypadek gdyby Mouserowi i Snow udało się jakimś cudem ich odnaleźć, ale wiedział, że nie dadzą rady tego zrobić, że on i Aubrey są bezpieczni, niewidzialni. Jednak nie mógł zasnąć. Myślał nie o kobiecie skulonej w jego ramionach, śpiącej spokojnie dzięki chwilowemu poczuciu bezpieczeństwa, ale o Henrym.

Zastanawiał się, co zrobi, kiedy go zobaczy: króla kłamców o fałszywej twarzy, zdrajcę, węża, który powiedział: „Zaufaj mi”, a potem wypaczył te słowa.

Luke zdał sobie sprawę, że zaczyna planować morderstwo.

## 28.

Obydwoje spali do późna, aż przez zasłony przedarło się słońce. Kiedy Luke się obudził, ona leżała obok, przyglądając się mu.

– Nie powinnam była – powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. Wydawało mu się, że dostrzega w jej oczach żal. Zamrugła, jak gdyby zdawała sobie sprawę, że można go odczytać z jej spojrzenia, i pocałowała go najpierw w usta, a potem w czoło. Rękę zatrzymała na jego płaskim brzuchu.  
– Nie żałuję, że to zrobiliśmy.

– Nie powinniśmy tego robić, to już się nie powtórzy – stwierdził. – Ale ja też nie żałuję.

– Dobry z ciebie facet.

– Z ciebie też. To znaczy nie facet. Ale dobry. – Nie szły mu zazwyczaj takie poranne rozmowy, tym razem nie było lepiej. Poczł ukłucie żalu, ponieważ to wszystko skomplikuje i tak trudną sytuację między nimi. Nie był gotowy na kolejne problemy. Jeśli jednak miał się szykować do bitwy, to chciał mieć przy sobie Aubrey: mądrą i odważną partnerkę.

– W porządku? – spytała.

– Tak. A ty?

– Smutno mi z powodu Erica. Nie nie poradzę, że tak się czuję.

Nie odpowiedział.

- Ale my... możemy jakoś wyplątać się z tej całej sytuacji – powiedziała. – Odzyskać nasze życie.
- Jeśli się dowiemy, z kim dobił targu i gdzie ukrył pieniądze.
- Od czego zaczynamy?
- Od tej komórki. – Podniósł klapkę telefonu, który zabrał z kieszeni Erica, i przeszukał historię połączeń. Aubrey zaglądała mu przez ramię. Był tam tylko jeden numer. Zagraniczny.
- To kierunkowy do Francji – powiedziała Aubrey. – Kilka miesięcy temu pojechaliśmy z Erikiem do Paryża. Miał coś do załatwienia, a ja nigdy tam nie byłam.
- Do załatwienia? – zapytał. – Co takiego?
- Nie wiem, jakieś sprawy bankowe.
- Luke wybrał opcję oddzwania.
- Czy to rozsądne?
- Przekonamy się – odpowiedział. Cztery sygnały, a potem:
- Halo? Rozpoznał głos Brytyjki.
- Witaj, Jane – powiedział.
- Nie wydawała się zaskoczona tym, że zna jej imię.
- Nie ciebie się spodziewałam.
- Wiem, Eric Lindoe nie żyje.
- Smutne. Miałam nadzieję, że przetrwa chociaż weekend. Niech zgadnę. Luke Dantry, uciekinier?
- Dlaczego zależało ci na moim porwaniu? Dlaczego wplątałaś w to niewinnych ludzi?
- To nic osobistego, mój drogi – odparła.
- Ty suko, to bardzo osobiste! – zdenerwował się Luke. – Dlaczego to zrobiłaś?! Czy ja lub Aubrey coś ci zawiniłiśmy?!
- Nie. Dlatego to nic osobistego. – Jej głos był chłodny, pozbawiony emocji. – Nie znajdziesz mnie. Nic nie możesz mi zrobić.

– Mam do ciebie pytanie. Wiedziałaś o pięćdziesięciu milionach. Kto zatem ofiarował je Mrocznej Drodze? Skąd się wzięły te pieniądze?

– Niektóre tajemnice zabieramy ze sobą do grobu, mój drogi. Będę milczała jak głaz.

– Te pięćdziesiąt milionów, na których tak ci zależy, znajdę wcześniej niż ty.

– Bardzo w to wątpię, mój drogi. – Potem usłyszał trzaśnięcie, Jane zakończyła połączenie.

Spróbował zadzwonić ponownie. Brak odpowiedzi.

– Dlaczego Brytyjka mieszkająca w Paryżu miałaby nas wykorzystywać do swoich rozgrywek?

– Obrażanie jej nic nie dało.

– Aubrey, ta kobieta nie będzie z nami negocjować. Chyba że dowiemy się, gdzie są ukryte pieniądze. Tylko wtedy być może uda się nam zachęcić ją do wyjścia z kryjówki. – Pokręcił głową. – Chcę się dowiedzieć, skąd pochodzą te pieniądze.

Aubrey przygryzła wargę.

– Przyszło mi do głowy, gdzie mogą być te pieniądze.

– Gdzie?

– W rodzinnym domu Erica. Zatrzymaliśmy się tam w drodze do Chicago, po tym, jak porzuciliśmy twój samochód w Dallas. Eric przyjechał po broń swojego ojczyma. Dom stoi pusty; ojczym zmarł niedawno i Eric nie zdążył go sprzedać. – Przełknęła ślinę. – Może chciał nie tylko zabrać broń. Może chciał coś tam zostawić.



Dom leżał kilka przecznic od Cicero, niedaleko lotniska Midway, w okolicy, której lepsze dni wydawały się nie tyle wspomnieniem, co mało prawdopodobną opowieścią. Wąskie ceglane domy stały sfoczone obok siebie, jakby chciały sobie coś wyszeptać do ucha. Niektóre z budynków były zadbane, inne wymagały remontu. Mieszkańcy pracowali w ogródkach, na rogach ulic, znudzeni, roześmiani lub zagniewani. Minęli trzech

nastolatków, którzy przyjrzeni się im z mieszaniną wyrachowania i udawanej obojętności. Luke zaparkował przed starym domem rodziny Lindoe. Niewielki ogródek był zarośnięty trawą. Wszystkie okna miały zaciągnięte zasłony. Budynek wyglądał jak najbardziej nieśmiałe dziecko na tej ulicy.

– Eric wykupił dom dla rodziców, kiedy zarobił większe pieniądze – powiedziała.

Luke pomyślał, że gdyby zarobił duże pieniądze, to kupiłby rodzicom dom w jakiejś miłszej okolicy, nie wiedział jednak, jak wyglądały relacje w tej rodzinie. Może kiedyś był to szczęśliwy dom, w którym warto było zostać ze względu na wspomnienia? Po co bogaty facet, któremu dobrze się wiedzie w życiu, zatrzymał taki dom? Z sentymentu? A może dlatego, że był zamieszany w jakieś lewe transakcje? Czy po sześciu miesiącach testament został już poświadczony? Nieruchomość pewnie wciąż na papierze należała do ojczyma Erica. Idealne miejsce na kryjówkę.

Otworzyli drzwi jednym z kluczy, które Eric miał w kieszeni. W środku unosił się zapach pleśni.

– Nie zaglądał tu zbyt często – stwierdził Luke.

– Niezbyt. Jego mama zmarła na raka dwa lata temu. Ojczym umarł pół roku temu na zawał serca. Niedługo po tym, jak się spotkaliśmy. Eric mówił, że jego ojczym nie chciał żyć bez swojej żony.

– Rozumiem. Mój ojczym mówił to samo po śmierci mojej mamy.

– Przykro mi, Luke. Jak...?

– Wypadek samochodowy. Prowadziła. Noc była deszczowa. Wpadli w poślizg, uderzyli w barierkę, przekoziolkowali po zboczu. Ona zmarła, on przeżył.

Aubrey otworzyła usta, a potem je zamknęła. Zapadła niezręczna cisza.

– Ale przez to, czego dowiedziałeś się o swoim ojczymie...

– Zaczynam się zastanawiać, czy to naprawdę był wypadek. – Pokręcił głową. – Henry omal nie zginął. Długo dochodził do siebie. Nie wiem.

Wydawało mi się, że uwielbiał moją mamę. Ale jest wybornym kłamcą. Może nigdy się nie dowiem prawdy.

Aubrey uścisnęła mu dłoń.

Włączył światło w kuchni.

– Eric zaparzył mi herbaty, kazał usiąść tutaj i poczekać na niego – przypominała sobie. – Wciąż byłam w szoku po tym, co się stało. Nie wiem, co robił, kiedy na niego czekałam.

– Dokąd poszedł?

– Na tył domu.

Drzwi na końcu korytarza prowadziły do sypialni, wewnątrz meble owinięto folią. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał zakonserwować wspomnienie o lepszych czasach w przezroczystym bursztynie. Wszędzie pełno było kurzu.

Przeszli do kolejnego pomieszczenia. Sypialnia Erica. Niewiele się tu zmieniło od czasu, kiedy Eric dostał stypendium i wyjechał na Uniwersytet Illinois. Na ścianach poprzyczepiano wycinki dokumentujące jego osiągnięcia – od szkoły średniej, poprzez college i późniejszą edukację – ołtarzyk dumnych rodziców. Syn, który zawsze dokonywał dobrych wyborów, aż wreszcie dokonał bardzo złego.

Luke przyjrzał się wycinkom.

– Był przewodniczącym stowarzyszenia najlepszych studentów, a skończył jako morderca, porywacz i bankier terrorystów.

Przesunął dłonią po oprawionych w ramki dokumentach: list do Erica z ofertą jego pierwszej pracy w dziale operacyjnym jednego z krajowych banków; Eric na tle bliskowschodnich piasków; na placu budowy; wymieniający uścisk dłoni ze starszym, eleganckim biznesmenem pochodzenia arabskiego; Eric w Londynie w towarzystwie innych bankierów; na chłostanej wiatrem plaży utworzonej pomiędzy pustynią a morzem, przyglądający się, jak powstaje szkielet budynku hotelowego.

– Naprawdę dużo czasu spędzał za granicą. Wspominał kiedyś o tym?

– Nie. – Zamilkła na chwilę, przypatrując się zadowolonemu Ericowi stojącemu na pustyni. – Kupiłam kiedyś przez swoją firmę naprawdę niezwykle wazy z Papui-Nowej Gwinei. Na każdym boku miały wymalowaną twarz, wyglądały jak totemy. Ericowi bardzo się spodobały. Może dlatego, że, podobnie jak on, miały kilka twarzy.

– Jest w pewien sposób podobny do Henry'ego. Henry uwielbia zdjęcia, na których widać go w towarzystwie wpływowych osób. Nie rozumiem, dlaczego Eric i Henry się w to zaangażowali. Dlaczego? Po co ryzykować?

– Niektórzy ludzie wciąż chcą mieć więcej pieniędzy, zadowolenia, władzy – stwierdziła Aubrey. – Wymień jakiś narkotyk, a zaraz znajdzie się ktoś, kto jest od niego uzależniony.

Zajrzał do szafy.

– Pomóż mi szukać.

– Czego szukamy?

– Czegoś, co nie powinno tu być.

Trzy minuty później znalazła laptop schowany za starymi książkami na górnej półce. Stary i tani model wraz z kablem.

Luke włożył wtyczkę do kontaktu i włączył go. Pojawiło się okienko do wpisywania hasła.

– Jakies pomysły? – spytał Luke.

Aubrey potarła usta.

– Spróbuję. – Usiadła i zaczęła wpisywać słowa. – Spróbuję wpisać słowa, które coś dla niego znacząły.

Luke dalej przeszukiwał pokój. Znalazł dwa pistolety – nabite glocki. Starto z nich numery seryjne. Leżały schowane w pudełku pod łóżkiem, pod stertą starych komiksów. I pieniądze. Pięć tysięcy dolarów w gotówce.

Nie pięćdziesiąt milionów, bo te zajęłyby sporą część pokoju.

Luke położył pieniądze i broń na łóżku.

– Nic nie pasuje – stwierdziła Aubrey.

– Pomyśl przez chwilę. Mówiłaś, że zakładał ci konta bankowe. Czy wymyślał także pierwsze hasło?

– Nie zmieniałam tego, co wymyślił – powiedziała. – Były o wiele



trudniejsze do złamania, niż to, co przychodziło mi do głowy. Używałam mojego imienia, numeru telefonu lub imienia pierwszego kota. On wymyślał coś, co było łatwo zapamiętać, ale trudno odgadnąć.

– To znaczy?

– Twierdził, że należy używać słów, w których litery można zastąpić cyframi, a mimo to będą tak samo wyglądać. Na przykład E można zastąpić 3, zamiast L wstawić 1. Mówił, że to o wiele pewniejsze niż samo słowo, a wciąż łatwo to zapamiętać.

– Jakie miałaś hasła?

– Aubrey, ale zamiast E było 3. Dla konta, które założył mi po powrocie z Paryża, hasłem był Paris z 5 zamiast S.

– Co zwiedzaliście we Francji?

– Głównie Paryż. Montmartre, Saint-Germain-des-Prés, Luwr. Atrakcje turystyczne. Odwiedziliśmy też Wersal i na kilka dni wpadliśmy do Strasburga.

– Jeździliście jeszcze dokądś wspólnie?

– Nie.

– Wypiszmy wasze wspólne zainteresowania, miejsca, gdzie wspólnie byliście.

– To, że wymyślił dla mnie hasła, które coś dla niego znaczyły, nie oznacza, że jego hasła również będą miały związek ze mną.

– Może nie – powiedział. – Ale ty byłaś dla niego najważniejsza. Zarzykował dla ciebie wszystko, Aubrey. Założę się, że myślał głównie o tobie, kiedy chował te pieniądze. To była polisa ubezpieczeniowa dla was obojga.

Znalazł kartkę i zaczął na niej wypisywać miejsca, gdzie wspólnie byli Eric i Aubrey, wszystko, co jej zdaniem ich łączyło – udawane kłótnie na temat przewagi drużyny Cubs nad White Sox, jego obsesja na punkcie koszykówki w wykonaniu Chicago Bulls, ulubione zespoły, programy telewizyjne i filmy, restauracje, w których bywali, wino, które pili przy szczególnych okazjach, miejsca, gdzie razem byli. Luke miał wrażenie, jakby przeprowadzali autopsję szczęśliwszych chwil z życia Erica. Zaczęli bawić się

słowami, zastępując litery cyframi, zgodnie z systemem Erica. E i B zamieniali na 3, L na 1, S i G na 8, a P na 5. Powstało mnóstwo możliwości.

Kiedy tak wypisywał różne warianty haseł, zdał sobie sprawę, że czas ucieka. Może jakiś sąsiad zapuka do drzwi, ciekawy, kto zaparkował pod pustym domem. Może pojawi się tu policja, szukając wskazówek dotyczących śmierci Erica. Poczul, że nad górną wargą zbiera mu się pot. Podał jej kartkę.

– Zaczynij je wpisywać.

Zaczął po kolei wklepywać każde słowo.

– Nie, nie, nie.

Po dziesiątym „nie” stwierdził:

– Jesteś negatywnie nastawiona.

Udało się za czterdziestym drugim razem.

– Ten laptop – powiedziała Aubrey – stał się właśnie naszą maskotką.  
– Obróciła ku niemu ekran. Po wpisaniu hasła pojawił się zwyczajny pulpit.

– Jakie było hasło?

– *Versailles*, ale zamiast L były jedyńki. Powinam się była domyślić.

Nasza wizyta w Wersalu była naprawdę udana. Zastanawiał się głośno, czy moglibyśmy się tam pobrać.

Znów zapadła ciężka cisza, przerwał ją Luke.

– Dzięki Bogu, że bankierzy są tak konsekwentni.

Wstała, a on pochylił się nad laptopem. Zaczął przeglądać pliki. Kilka plików tekstowych, program pocztowy, przeglądarka internetowa, nic więcej nie zainstalowano. Luke otworzył jeden z plików tekstowych; wymieniono w nim te same konta, co na kartce papieru, którą miał przy sobie Eric. Obok każdego z kont była nazwa lokalnego banku, hasło i nazwa firmy. Firmy nosiły nazwy, które niewiele mówiły o ich działalności: Lionhead Consulting; Three Brothers Partners; Jester, Inc. – nic, co by mogło wskazywać na dokładny profil działalności. Naliczył kilkanaście nazw.

– Założył konta dla różnych firm.

– Sprawdź je. Zobacz, czy na którymś z nich nie ma tych pięćdziesięciu milionów – przynagłała go.

Luke wchodził po kolei na strony banków, wpisywał nazwę i hasło do konta. Słyszał, że Aubrey wstrzymuje oddech, stała tuż za nim.

Jednak na każdym z kont było tylko po sto dolarów, zapewne minimalna suma, dzięki której konta pozostawały aktywne.

– To są pewnie konta, które założył dla Mrocznej Drogi – stwierdziła. – Żeby mogli mieć dostęp do pieniędzy. – Westchnęła.

– Pieniądze ukrył gdzie indziej. Mógł je przenieść na jakieś konto w Marolt Gold, zmienić hasło i otworzyć nowe konta na inne nazwiska. Zaczynał w dziale operacji bankowych, wyczytałem to w jego życiorysie. To znaczy, że miał potrzebne umiejętności. Możemy nigdy nie odnaleźć tych pieniędzy. – Ogarnęła go rozpacz.

Po kolei wpisywał do wyszukiwarki nazwy firm. Nie miały stron internetowych.

– Żadna z tych firm nie istnieje. Kolejny fałszywy trop.

– Luke, musimy znaleźć te pieniądze. – W jej głosie zabrzmiał zawód.

– Sprawdźmy, jakie strony odwiedzał ostatnio. – Luke otworzył historię przeglądarki, w której znajdowały się adresy wszystkich odwiedzanych stron. Oprócz stron banków Eric odwiedził jeszcze tylko jedno miejsce w Internecie: stronę poświęconą programom telewizyjnym.

– Dziwne – stwierdził Luke, klikając w jej adres. Znowu pojawiła się strona z prośbą o zalogowanie.

– Po co ten login? – spytała Aubrey.

– Nie wiem. Oglądał dużo telewizji?

– Głównie sport. Mecze Bullsów.

Luke przypomniał sobie miniaturową piłkę do gry w koszykówkę z logo Chicago Bulls.

– W trakcie ukrywania milionów przed mordercami wszedł sobie na zagraniczną stronę poświęconą programom telewizyjnym. To tak, jakby

wyść do fryzjera w trakcie pogrzebu, to nie ma sensu.

– Zaloguj się i zobacz, co się stanie – zasugerowała Aubrey.

Wpisał hasło *Versailles*, ale było niewłaściwe. Wziął do ręki kartkę z hasłami, jakie wymyślili, i zaczął je po kolei wpisywać, żadne nie pasowało.

– Nie zniosę kolejnej porażki.

– Jeśli to nie hasło, które ma związek z tobą... to z czym?

– Może z jego potajemnym życiem?

– Mroczna Droga. – Wpisał tę nazwę, ale nie była hasłem. Próbował różnych jej wariantów, zastępując litery cyframi.

Kilka pierwszych wersji zostało odrzuconych, aż w końcu wpisał *Mroczna Droga*. Hasło zostało przyjęte.

Otworzył się przed nim mroczny świat.

Przejrzał stronę, która się załadowała. Było na niej sporo wpisów, niektórzy z uczestników używali tych samych loginów, które wykorzystywali na stronach, gdzie znalazł ich kilka tygodni temu. Ich wpisy na stronie Mrocznej Drogi były bardziej stonowane. Porady, jak prac pieniądze dzięki niedrogim polisom ubezpieczeniowym, prośba o pomoc w nauce korzystania z karabinka automatycznego, pomysły na to, w jaki sposób szrapnele mogłyby wpłynąć na liczbę zgonów wśród cywilów. Wymieniano się ofertami zabójstwa, tajnymi informacjami, skradzionymi tożsamościami i kartami kredytowymi. Świętowano wybuch bomby w Teksasie, zniszczenie rurociągu w Kanadzie i zainfekowanie żywności bakterią *E. coli*, które spowodowało panikę w całym kraju.

Rynek oparty na przemocy, miejsce, gdzie można się było wymienić pokręconymi pomysłami. Poczuł przerażenie. To on znalazł tych ludzi, przekazał ich dane Henry'emu jako abstrakcyjne fragmenty profilowania psychologicznego, a teraz okazało się, że stworzyli wspólnotę. Gorzej. Tajną armię, która jest gotowa do rozpętania wojny w kraju.

– O mój Boże – wyszeptała Aubrey.

Próbował wyszukać wątki poświęcone Henry'emu Shawcrossowi, Snow i Mouserowi, ale nic nie znalazł. Potem wpisał hasło Piekielny Ogień. Nic.

– Świętują niedawne zamachy, ale nie rozmawiają o tym Piekielnym Ogniu – powiedział. – Musi to być coś oddzielnego i innego od tych zamachów.

– Może odwołali tę operację, skoro nie mają pieniędzy?

– Nie wyglądają na organizację, która cokolwiek odwołuje. Może jest w to zaangażowana tylko część grupy. Kilku członków. – Luke wylogował się z forum.

– Dlaczego się wylogowałeś?

– Pewnie mają oprogramowanie, które zapamiętuje każdego logującego się użytkownika, każdy adres i hasło. Nie chcę, żeby wiedzieli, gdzie jestem. – Otarł usta. – Czytałem o podobnej organizacji z Bliskiego Wschodu, którą założył handlarz bronią, by łatwiej przemieszczać materiały wybuchowe w regionie. Mogli zniknąć z jakiegoś miejsca, zabrać ze sobą bazy danych i władze nie były ich w stanie odnaleźć.

– Pokaż to policji.

– Tak zrobię. Kiedy znajdziemy jakiegoś członka tej organizacji, który będzie chciał mówić. W przeciwnym wypadku mogą po prostu rozplynąć się w powietrzu.

Otworzył program pocztowy. Pozostała w nim tylko jedna wiadomość:

*Twoja oferta została przyjęta, a nasza ochrona zostanie poszerzona. Bądź w LAP dwudziestego trzeciego o godzinie 19, stamtąd was zabierzemy – Drummond.*

– Znasz tego Drummonda? – spytał. Wiadomość została wysłana z popularnego serwera pocztowego, gdzie konto da się założyć w ciągu trzydziestu sekund. Dwudziesty trzeci był dzisiaj; spotkanie miało się odbyć za dwie godziny.

– Nie – odpowiedziała.

– Ochrona zostanie poszerzona. To ten układ, o którym ci mówił, ochrona dla was obojga – stwierdził Luke. – Musimy się dowiedzieć, kim jest Drummond.

– Czy my też możemy zawrzeć taki układ?

– Oczywiście. Bardzo bym się teraz cieszył, mając jakąś ochronę. Może Drummond będzie nam w stanie pomóc. Dowiemy się, co to jest ten LAP i dostaniemy się tam w ciągu dwóch godzin.

Luke włączył Internet i wyszukał LAP Chicago. Pokazały się strony związane z programem pomocy prawnej, oferty tancerek tańczących lap dance i strona Lakefront Air Park. Prywatnego lotniska.

– To musi być to – stwierdził Luke.

– Spotyka się z kimś na prywatnym lotnisku?

– Jeśli zawarł jakiś układ, to pewnie jego pierwszym punktem jest zapewnienie ucieczki. Chodźmy.

Wstała, dotknęła fotografii Erica Lindoego, chłopca o pełnym świetła spojrzeniu i szerokim uśmiechu, którego czekała wspaniała przyszłość. Ucałowała palce i przytknęła je do fotografii, a potem odwróciła się i wyszła.

Zabrali laptop, pieniądze, broń i udali się na północ, w stronę jeziora Michigan.

## 29.

Biuro lotniska Lakefront było niewielkie, o niskim sklepieniu i nowoczesne. Lśniły w nim szkło i chrom. Jadąc tam, przebijali się przez popołudniowe korki, a kiedy dotarli na miejsce, zachód zabarwił niebo na pomarańczowo. Promienie słońca odbijały się w lustrzanych szybach.

Aubrey zaparkowała auto na parkingu położonym obok budynku.

– To wszystko jest szaleństwem – stwierdziła, kiedy szli w stronę wejścia. Wiatr, który uspokajał się całe popołudnie, nagle znów się wzmógł, bezwiednie przysunęli się bliżej siebie.

– Masz rację – powiedział – dlatego nikt nie będzie się tego spodziewał.

Biura lotniska były słabo oświetlone i, co zaskakujące, nieco zaniedbane, jakby większość pieniędzy poszła na projekt budynku, a na jego wyposażenie przeznaczono jedynie marne grosze. Przy jednym z biurków siedział mężczyzna około trzydziestki, patrząc w monitor swojego komputera. Miał azjatyckie rysy, był chyba dość niski, przy ustach miał niewielką bliznę. Skrzywił się, patrząc na coś na monitorze – czego Luke nie widział – jak gdyby zastanawiając się nad złymi informacjami, które tam wyczytał.

Luke przejął inicjatywę.

– Dzień dobry. Jestem Eric Lindoe. Na dziś mam wyczarterowany lot.

– Z kim? – Mężczyzna wykrzywił się w uśmiechu. Pierwsza przeszkoda.

– Z panem Drummondem.

– Dzień dobry, panie Lindoe. Jesteśmy po tej samej stronie. – Wyciągnął dłoń. – Frankie Wu.

Luke uściskał dłoń Wu, mając nadzieję, że nie spoczęły mu się ręce.

– To drugi pasażer, Aubrey Perrault.

– Witam.

Wu uściskał dłoń Aubrey.

– Trzęsie się pani, pani Perrault. Boi się pani latania? Niepotrzebnie.

– Bardzo się boję – odpowiedziała Aubrey, zerkając na Luke'a.

– Podobnie jak moja żona. Boi się jeszcze bardziej, kiedy ja siedzę za sterami. Jest pani w dobrych rękach.

Aubrey uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Już mi lepiej.

– Paliwo zatankowane, a my jesteśmy gotowi do lotu, panie Lindoe.

Dokąd, do licha, lecimy? Chciał to wiedzieć. Ale nie bardzo mógł pytać.

– Nie mają państwo bagażu? – spytał Wu, przyglądając się ich niewielkim torbom. Zatrzymali się po drodze i kupili trochę ubrań, nic poza tym. W swoim plecaku Luke miał jeszcze broń, laptop i pieniądze, które zabrali z domu Erica, klucze Erica dzwoniły Luke'owi w kieszeni.

– Nie potrzebujemy zbyt wiele bagażu – powiedziała Aubrey.

– Niech pani wytłumaczy to mojej żonie. – Wu wyłączył komputer i zapisał coś w notatniku.

– Mam nadzieję, że zabrałam odpowiednie ubrania – stwierdziła Aubrey. Dobrze, pomyślał Luke.

– Pogoda w Nowym Jorku jest dość ładna. Jutro w Paryżu może padać.



Nowy Jork. Paryż. Nie jeden, ale dwa cele podróży. Czy ktoś miał dołączyć do nich w Nowym Jorku i razem z nimi lecieć do Francji? Luke poczuł panikę – ani on, ani Aubrey nie mieli przy sobie paszportów. Nie mogli lecieć do Paryża.

Paryż. To tam była Jane, osoba odpowiedzialna za ich porwania. Spojrzał na Aubrey, lekko pokręciła głową. Kiedy on, Aubrey i Wu szli po asfaltowej nawierzchni w stronę samolotu, Luke pomyślał: Nie rób tego. Odwróć się i uciekaj. Aubrey ma rację, to wariactwo.

Szedł jednak w stronę samolotu.

Gdyby odwrócił się i uciekł, nigdy by się nie dowiedział, dlaczego człowiek, którego traktował jak ojca, tak go zdradził. Nigdy by się nie dowiedział, kto go ściga; jego życie byłoby jedynie namiastką życia, w ciągłym strachu, z piętnem mordercy. Koniec z uciekaniem i unikami. Szykowny, drogi samolot, który był częścią planu ucieczki zmarłego Erica, miał go przenieść w samo centrum wydarzeń.

Poczuł ucisk w gardle, kiedy zbliżali się do samolotu. Prywatny odrzutowiec. Podobny do tego, w którym zginął jego ojciec. Bolesne wspomnienia powróciły: deszczowa noc w Waszyngtonie, uścisk na do widzenia i zapach Old Spice, którego używał ojciec; następnego poranka w kuchni zapłakana matka, która rozpacziała w samotności, ponieważ chciała, by Luke spokojnie przespał noc; listy z uczelni, gdzie ojciec wykładał – Kair, Bonn, Londyn; relacje na temat wypłynięcia statku ratunkowego z wybrzeża Karoliny Północnej, któremu udało się odnaleźć wrak samolotu tydzień po katastrofie. Wspominki na temat, jakim cudownym nauczycielem był ojciec; słuchanie tego wszystkiego, matka tak mocno ściskająca jego rękę, że czuł, jak pulsuje jej krew w żyłach.

I Henry, który przedstawił się Luke'owi w czasie stypy. W rękę miał talerz z kurczakiem i sałatką, podał Luke'owi chłodną dłoń, mówiąc, jak bardzo podziwiał jego ojca. Jak bardzo będzie mu go brakowało. Jakby ktokolwiek mógł tęsknić za nim bardziej niż Luke i jego mama.

Zaczął się nagle zastanawiać, jak wyglądałoby teraz jego życie, gdyby nie uciekł z domu trzy dni po pogrzebie. Podsunął Henry'emu łatwy sposób na wrócenie się do rodziny. Gdyby został w domu, może matka nigdy nie zaprzyjaźniłaby się z Henrym Shawcrosssem.

Wsiedli wraz z Frankiem Wu do samolotu. Learjet był większy, niż spodziewał się tego Luke, miał kabinę dla pasażerów i oddzielną dla pilota. W pasażerskiej mogło się pomieścić dziesięć osób. Z przodu znalazło się miejsce na niewielki aneks kuchenny. Aubrey usiadła, Luke obok niej, czuł, jak wali mu serce.

Wu skończył przegląd samolotu. Aubrey i Luke czekali w milczeniu. Wu chodził z komórką przyciśniętą do ucha. Powiedział kilka słów, a potem tylko słuchał, jednocześnie kontrolując samolot.

– Powiadomił kogoś, że dotarliśmy na spotkanie – stwierdziła Aubrey.

– Może – odpowiedział Luke. Nie miał pojęcia, co robi, jeśli Wu zażyczy sobie jakiegoś dowodu tożsamości Lindoego. Powie, że zgubił. Strumyczek potu spłynął mu za uchem.

– Wszystko w porządku?

– Mój ojciec zginął w katastrofie samolotu takiego jak ten. W firmie czarterowej pracował mechanik, nazywał się Ace Beere. Miał ekstremistyczne poglądy, które wygłaszał w pracy, dowiedział się, że go zwolnią. Dokonał sabotażu w samolocie, którym leciał mój ojciec. Wybierał się wraz z zaprzyjaźnionymi profesorami na przylądek Hatteras, żeby trochę odpocząć i łowić ryby. Chciałem lecieć razem z nim, nie zgodził się. Beere zniszczył układ klimatyzacji w samolocie tak, że maszyna rozszczerła się w trakcie lotu. Wszyscy na pokładzie się udusili. Samolot leciał, minął wybrzeże, aż rozbił się gdzieś nad Atlantykiem. – Rozejrzał się dookoła. – Tak, ten samolot jest naprawdę podobny. – Znów ścisnęło go w gardle.

– O mój Boże. Tak mi przykro. Dasz radę?

– W porządku. – Złapał się siedzenia. Nagle poczuł wręcz fizyczną obecność ojca.

- Zbladłeś.
- Nic mi nie będzie.
- Opowiedz mi o swoim ojcu. Dlaczego był taki fajny. – Położyła mu rękę na kolanie.

Jej uścisk przywracał mu siły.

– Zawsze był gotów mnie wysłuchać. Zawsze miał dla mnie czas. Często był poza domem, wykladał za granicą i nie zawsze z nim jeździliśmy. Ale kiedy wracał, czułem się jak najważniejsza osoba na świecie. Tak jakby chłonał każde moje słowo. Zabierał mnie na ryby, razem strzelaliśmy... ojcowie już nie robią takich rzeczy. Zawsze spodziewał się po mnie tego, co najlepsze. Z miłości, a nie z powodu wysokich oczekiwań. – Zamilkł zakłopotany i ścisnął w dłoni medalik ze świętym Michałem, który miał ukryty pod koszulą. – Zawsze chciałem zrozumieć, dlaczego tamten człowiek ich zabił. Jak niszczy się życie kogoś niewinnego, jak człowiek sobie tłumaczy taką decyzję? Popenił samobójstwo, zatem nigdy się nie dowiem. Ale to ukształtowało moje życie. Moją karierę. Gdybym nie interesował się psychologią przemocy... nigdy nie byłbym w stanie pomóc Henry'emu w zbudowaniu Mrocznej Drogi. Wszystko sprowadza się do śmierci taty. To mnie ukształtowało, stworzyło takim, jaki teraz jestem.

Wu wrócił na pokład. Znow się uśmiechał.

- Wygląda na to, że taśma i klej dalej trzymają.
- Ha, ha – powiedziała Aubrey.
- Sprawdź pan, jak trzyma sznurek? – spytał Luke.
- Przymocowałem go na ślinę – odpowiedział Frankie Wu. – Wylatujemy za kilka minut. – Zniknął w kabinie pilota i zamknął za sobą drzwi.

Luke nachylił się i wyszeptał Aubrey do ucha:

- Może nas podsłuchiwać przez interkom.

Aubrey pokiwała głową. Potem powiedziała głośno:

- Eric, weź mnie za rękę. Pan Wu mógł nie sprawdzić całej taśmy.

Luke wziął ją za rękę. Było to jednocześnie dziwne i dobre uczucie.

Był Erikiem Lindoe, przynajmniej przez następne kilka godzin, póki nie spotka dobroczyńcy swego porywacza.

Dziesięć minut później wzbili się w mroczne niebo i poszybowali na wschód.



Spała, a Luke się jej przyglądał. Sam chciał zasnąć, ale nie mógł.

Nowy Jork. Paryż.

Spojrzał przez okno, przez chmury przebijało światło miast, Illinois ustępowało miejsca Indianie, a za nią widać było połacie Ohio i Kentucky. Pomruk silników działał na niego uspokajająco.

Podszedł do kabiny pilota i otworzył drzwi. Frankie Wu mówił coś cicho przez radio, przerwał i odwrócił się z uśmiechem.

Luke zapytał:

– Czy mogę skorzystać ze swojej komórki? Nie wiem, czy w prywatnych samolotach obowiązują inne zasady.

– W kabinie jest telefon, z którego może pan skorzystać.

– Ale nie z mojego.

– Nie. Dziwię się, że chcesz do kogokolwiek dzwonić, Ericu. – Jak gdyby wiedział, że Eric uciekał, że był w tarapatach.

– Muszę się z kimś pożegnać – odpowiedział Luke.

Frankie Wu bez słowa odwrócił się w stronę sterów. Luke zamknął drzwi. Nie miał zamiaru korzystać z telefonu w kabinie; mógł być na podsłuchu, a Luke nie chciał, aby Wu usłyszał jego rozmowę. Usiadł na końcu kabiny i wyjął telefon, który zabrał z kieszeni Erica, ten, który służył do kontaktów z Jane, i wybrał numer Henry'ego.

– Halo? – głos Henry'ego zdradzał zmęczenie. Odbiór był dość słaby.

Przez chwilę nie był w stanie nic powiedzieć. Słuchał oddechu Henry'ego.

– Halo? – powtórzył Henry nerwowo.

- Ty nędzna imitacja człowieka.
- Luke. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, że nic ci nie jest.
- Nigdy, przenigdy nie wybaczę ci tego, co mi zrobiłeś.
- Luke. Posłuchaj mnie. Mogę ci pomóc. Jestem twoją największą szansą.
- Ty draniu. Wiedziałeś, że zostałem porwany, słuchałeś, jak błagam cię o pomoc, i odłożyłeś pieprzoną słuchawkę. Widziałem cię w telewizji...
- Moi klienci... okazało się, że nie są tymi, za których ich uważałem. Wykorzystali nas obu. Nie pozwolili mi zrobić nic innego, jedynie potępić cię publicznie. Spotkaj się ze mną, a wspólnie ustalimy, jak się wyplątać z całej tej sytuacji.
- Sytuacji? To coś poważniejszego. Wysłałeś za mną Snow i Mousera, żeby mnie dopadli. Chcieli mnie zabić. Mordowali ludzi, próbując zabić mnie. – Załamał mu się głos. – Strzeliłem do jednego z twoich psów, a drugiego zraniłem nożem, tobie zrobię to samo.
- Nie skreślaj mnie. Nie rób tego. Powiedz mi, gdzie jesteś. Wyślę ci pieniądze; wszystko, czego potrzebujesz, żeby się ukryć. Mouser miał cię tylko odnaleźć i przyprowadzić do mnie. Żebym mógł ci... wytłumaczyć.
- Wytłumaczyć co? Że wykorzystałeś mnie do stworzenia organizacji terrorystycznej? Żartujesz sobie? Co takiego chcesz mi wytłumaczyć?
- Mogę się rozprawić ze Snow i Mouserem i każdym, kto cię ściga. Jest jednak jeszcze jeden człowiek, który chce cię dopaść. Drummond. Trzymaj się od niego z daleka, od niego lub kogokolwiek z organizacji o nazwie Quicksilver.
- Luke'owi zabrakło tchu.
- Nie wierzę ci.
- Posłuchaj mnie uważnie. Domek, w którym cię przetrzymywano, został wynajęty przez organizację o nazwie Quicksilver Risk. Trzymaj się od nich z daleka. Błagam cię, żebyś mnie wysłuchał. Wiem, że wiele spraw zawałem, ale nigdy nie chciałem twojej krzywdy, nigdy.

- Mam nadzieję, że zginiesz, Henry, a ja przy tym będę.
- Na Boga, Luke! – Henry podniósł głos. – Przez dziesięć lat byłem dla ciebie jak ojciec.
- Nie masz prawa wymawiać słowa „ojciec” – odpowiedział Luke.  
Henry jakby nie zważał na pogardę Luke'a.
- Nie próbuję cię zabić, próbuję cię uratować. Próbuję się dowiedzieć, kto nas atakuje, wykorzystuje. Za twoim porwaniem stoi Quicksilver. Trzymaj się od nich z daleka. – Zamilkł, a Luke nie mógł zebrać myśli. – Człowiek, który został zastrzelony w Houston, nazywał się Allen Clifford. Znałem go. Twój ojciec też. Kiedyś razem pracowaliśmy. W szczególnym projekcie rządowym. Wszyscy, którzy zginęli w samolocie wraz z twoim ojcem, brali udział w tym projekcie. Nazywał się Klub Książki.
- Co masz na myśli, mówiąc, że pracowaliście dla rządu? – Luke nie mógł zacerpnąć tchu. – Ojciec był przecież profesorem historii.  
Słowa Henry'ego paliły go jak ogień.
- Po wypadku zostało tylko trzech członków Klubu Książki. Ja. Allen Clifford. I Drummond.
- Był wykładowcą. Naukowcem. To wszystko kłamstwa...
- To wszystko prawda! – zagrzemiał Henry. – Drummond myśli, że należysz do Mrocznej Drogi. Wini cię za śmierć swojego przyjaciela. Pojawił się u mnie i próbował zastraszyć, żebym cię mu wydał. Ma możliwości, żeby cię odnaleźć. Znam tego człowieka, kiedy cię znajdzie, zginiesz.
- Nie możesz ode mnie żądać, żebym uwierzył w to wszystko. – Wstał, przeszedł na tył samolotu i zdusił w sobie ochotę, żeby wrzasnąć.
- Próbuję dowieść, że jestem po twojej stronie. Proszę, synu.
- Nie nazywaj mnie synem. Nie jestem twoim synem. Nigdy nim nie byłem. Gdybyś był po mojej stronie, nigdy byś mnie w to nie wciągnął. Pomogłem ci. Dzięki mnie stworzyłeś tę bandę zabójców, świrów i

wyrzutków. Spotkałem się z twoim kumplem Chrisem. Umawiałeś się i podawałeś dłoń czubkom, którzy uważają, że amerykańska Al-Kaida to świetny pomysł. Przychodziłeś do nich z otwartymi ramionami, chciałeś im dawać pieniądze. – Oparł czoło o ścianę. – Rozdajesz pieniądze terrorystom. Jesteś śmieciem.

– Nie okłamałem cię. To moi klienci mnie okłamali. Wykorzystują twoje badania w sposób, którego nie przewidziałem. Muszę się z tobą spotkać.

– Nie, Henry.

Usłyszał, jak Henry nabiera powietrza.

– Kocham cię, jakbyś był moim własnym dzieckiem. Na początku wydawało mi się, że będą z tobą same problemy. Byłeś rozpieszczony, stawiałeś się, zawsze wszystko wiedziałeś lepiej. Ale z czasem pokochałem cię tak, jakbym był twoim ojcem, Luke. Chciałem cię tylko chronić. Robić to, co dla ciebie dobre. Spotkajmy się w miejscu, które sam wybierzesz, i zastanowimy się, jak oczyścić twoje imię i zapewnić ci bezpieczeństwo. Wspólnie.

– Nie miałeś dość odwagi, by mi pomóc. Mogłeś pójść na policję, do FBI, ale tego nie zrobiłeś. Zostawiłeś mnie, żebym umarł.

– Próbuję nas ratować.

– Udowodnij to. Piekielny Ogień, Henry. Co to jest?

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza.

– Powiedz mi, co to jest. Zdradź mi swój największy sekret, a wtedy uwierzę, że chcesz mi pomóc. Wiem, że to coś innego niż ataki, które mają miejsce teraz. Coś większego, prawda? Co to jest? Bomby? Samoloty? Broń biologiczna? A może atomowa?

Znowu cisza łamiąca serce, niszcząca rodzinę. A potem:

– Nie znam tego sformułowania. Przysięgam, że nie wiem, co to jest.

– Żegnaj Henry.

Połamał telefon i rozrzucił jego części po podłodze. Nie widział sensu

w ponownej rozmowie z Henrym czy z Jane. Co mógł zrobić: błagać ich, żeby oddali mu jego dawne życie? Pieprzyć proszenie i błaganie.

Wypełniły go wściekłość i rozpacz, jakich dotąd nie doświadczył. Wyobrażał sobie, jak by to było zabić ojczyma. Jednak wizja twarzy Henry'ego wykrzywionej strachem i wyrzutami sumienia szybko się rozmyła.

Nie możesz go zabić, bo wtedy staniesz się taki jak on, pomyślał.

Stał nad szczątkami telefonu, a furia ustępowała miejsca hardości, tak mu potrzebnej niezłomnej sile.

Podczas gdy Aubrey spała, on siedział na podłodze z tyłu samolotu z kolanami podciągniętymi pod brodę i zastanawiał się, co niosła ze sobą ciemność, w której leciał: ocalenie czy śmierć. Przez chwilę jego dłoń zaciśnęła się na medaliku ze świętym Michałem. Siła, moc do przewyciężenia zła w najczystszej postaci. Musiał odnaleźć w sobie odwagę, rozniecić jej płomień i wciąż go podsycać. Wsunął medalik pod koszulę. Szum silników nie pozwalał mu zasnąć, zamknął zatem oczy, żeby zastanowić się nad kolejnym posunięciem.



## 30.

Kiedy Luke zmierzał do Nowego Jorku, Mroczna Droga torowała sobie drogę przez samo serce Ameryki.

Mecz futbolu rozgrywany w szkole średniej na przedmieściach Kansas stał się celem ataku, ponieważ zamachowiec był neonazistą, a szkoła nosiła imię żołnierza, który zginął w pierwszej fazie wojny w Iraku. Żołnierz był Żydem. Neonazista nie mógł znieść, że widział żydowskie nazwisko na tablicy z imieniem szkoły, którą mijał każdego dnia w drodze do pracy.

Mecz był zacięty, z czego neonazista bardzo się cieszył, bo gdyby był na słabym poziomie, to więcej ludzi zdecydowałoby się wyjść przed jego końcem. Na szczęście wynik – słyhać było pełen emocji głos komentatora – miał się rozstrzygnąć w trakcie końcowych trzech sekund. Wygrała lokalna drużyna. Neonazista potarł ciemny tatuaż na szyi – stylizowaną swastykę – zazgrzytał zębami i pomyślał: nikt nie będzie o tym pamiętał. Ludzie wlewali się na parking, machając flagami, transparentami, dziewczyny śmiały się, obejmując chłopców. Wtedy wcisnęła pierwszy przycisk.

Bagażnik samochodu, który zaparkował na samym środku parkingu, otworzył się automatycznie.

Dostrzegł, że biała dziewczyna trzymająca za rękę chłopaka, który wyglądał na Meksykanina, spojrzała na otwierający się bagażnik. Neonazista znów zazgrzytał zębami. W ciągu dwóch pokoleń świat skundleje do reszty,

jeśli ludzie nie pojmą w końcu, że nie mogą postępować, jak im się podoba, pomyślał.

Poczekał, aż na parkingu pojawi się więcej ludzi, ale nie zdążą jeszcze wsiąść do dających bezpieczne schronienie samochodów.

Przycisnął drugi guzik.

Bomba nie była zbyt duża; Snow zrobiła ją miesiąc temu. Neonazista, który odebrał ją w zeszłym tygodniu, napakował do niej gwoździ, śrub i nakrętek.

Chaos. Błysk, który go oślepił. Krzyki, fala gorąca i, wyobrażał sobie, odgłos tysięcy ostrzy przecinających ciało i kości. Potem usłyszał wrzaski, o wiele gorsze, niż sobie wyobrażał. Przedśionek piekła.

Wsiadł do samochodu i odjechał, pilnując się, żeby poruszać się tylko bocznymi drogami. Służby ratunkowe zablokują pewnie cały ruch. Jadąc na południe, wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Operacja wykonana pomyślnie – powiedział, kiedy ktoś odebrał. – Mogę wziąć udział w operacji Piekielny Ogień.

Henry Shawcross – choć neonazista nie wiedział, kim jest – odpowiedział:

– Nastąpiła zmiana planów.

– Odwołano Piekielny Ogień?

– Nie. Sprawdź tę skrzynkę pocztową. – Henry podał mu adres konta na Gmail i hasło do niego. – Będzie tam nazwa miasta. Jedź tam, zadzwoń z nowego telefonu na kartę, kiedy dojedziesz, i czekaj na dalsze instrukcje.

– Kiedy dostanę pieniądze?

– Postępuj zgodnie z instrukcjami. – Rozłączył się.

Neonazista zagryzł wargi. Ani słowa gratulacji? Jego kontakt sprawiał wrażenie kogoś, kto stracił serce do walki. Neonaziście nie podobała się taka reakcja, ale co mógł zrobić? Narzekać? Najpierw misja, tak mu mówiono, odkąd spotkał się na kawie z tym gościem w okularach i wymiętej marynarce. Tyle czasu spędził w sieci, narzekając na pieprzonych Żydów (i różne inne grupy) oraz ich starania o zniszczenie Ameryki, że spotkanie z

kimś, kto dostrzegł jego potencjał, dobrze mu zrobiło. Pierwsza fala ataków niemal dobiegła końca, teraz mogą się na dobre zabrać do karania tego znieprawionego świata. Chciał znaleźć się jak najdalej od szkoły, więc przejechał piętnaście kilometrów, zanim zatrzymał się przed kawiarnią z dostępem do Internetu. Otworzył laptop i sprawdził konto pocztowe.

Wiadomość brzmiała po prostu: CHICAGO.

Sprawdził stronę z najświeższymi wiadomościami. Wybuch bomby stał się najważniejszą informacją. Zrobiło mu się gorąco i zachciało mu się śmiać. Dobrze było stać się pięścią, która wymierza sprawiedliwość. Piekielny Ogień będzie o wiele potężniejszy od tego drobnego ciosu. Trząsał się z podekscytowania. Dzięki obiecany mu pieniądзом mógł zwerbować innych ochotników. Kupić broń automatyczną. Lepsze komputery do produkcji bomby, dobrej jakości materiały wybuchowe w większej ilości. Mógł planować działania na obszarze całego Środkowego Zachodu.

Mógł zostać kimś, kto będzie kształtował oblicze świata.

Kusiło go, żeby wejść na stronę Mrocznej Drogi, ale nie. Jeszcze nie teraz. Nie tutaj. W kawiarni było kilku klientów. Kelnerka wyglądała na Żydówkę, próbowała przyjrzeć się tatuazowi, który miał na szyi. Nagle poczuł, że chce jej zejść z oczu.

Wsiadł do samochodu i pojechał na północ, w stronę Chicago, w mrok. Wciąż słyszał krzyki – w jego głowie układały się w symfonię, którą sam stworzył, arcydzieło.



Drugi z ataków miał miejsce w Los Angeles w Kalifornii, przed wejściem do niewielkiej restauracji na Sunset Boulevard. Dzień ten, ewenement w południowej Kalifornii, był burzowy. Przez ulice przetaczały się ulewy, było wietrznie. Mężczyzna czekał w samochodzie w bocznej uliczce. Nigdy wcześniej nie zabił i ręce trzęsły mu się ze strachu na myśl o tym, co ma zrobić. Otworzył teczkę leżącą obok niego, choć przeglądał

ją godzinami w ciągu ostatnich kilku dni, kiedy nie modlił się w meczecie lub nie próbował ukryć tego, co robi, przed ojcem i matką, którzy nie byli by z tego zadowoleni.

Zdjęcie celu zostało wydarte z okładki jednej z jego książek, w której opisywał, jak należy toczyć wojnę z islamem, a którą niewierni kupili w setkach tysięcy egzemplarzy. Jego przemyślenia cytowano w Waszyngtonie; miał posłuch wśród wpływowych ludzi, którzy mogli postąpić wbrew woli Allaha. Był profesorem historii na Uniwersytecie Kalifornijskim, specjalistą od terroryzmu i Bliskiego Wschodu, wykształconym człowiekiem, który tak naprawdę niewiele wiedział. Nie można było dopuścić do tego, żeby dalej głosił swoje teorie, a on coraz więcej pisał i mówił o zagrożeniu przemocą ze strony muzułmanów mieszkających w Ameryce, jak to miało miejsce we Francji, Niemczech i Wielkiej Brytanii, gdzie stali się oni rodzimym źródłem terronu.

Młody mężczyzna dostrzegł profesora. Szedł spieszenie pod parasolem wraz ze swoją żoną i nastoletnią córką. Deszcz zaczął słabnąć w ciągu ostatnich piętnastu minut, Allah sprzyjał jego misji.

Młody mężczyzna opuścił szybę w samochodzie, byli pięć metrów od niego.

Trzymał broń w gotowości. Trzy metry. Musiał to zrobić; nie mógł dać się ponieść nerwom, jeśli chciał wziąć udział w większym dziele.

Podniósł broń i poprosił Allaha, by prowadził jego rękę, a potem wystrzelił z przerobionego półautomatu, mając nadzieję, że mżawka nie wpłynie zbyt szybko na tor pocisku.

Żona i córka, które szły z przodu, upadły z krzykiem. Dostrzegł, że dziewczyna zginęła na miejscu, na jej głowie rozlała się plama krwi; żona krzyczała, była ciężko ranna. Profesor – jego cel – potknął się, próbując pomóc swoim najbliższym, zaczęła do niego docierać potworność tego, co się stało.

Zabójca strzelił jeszcze raz, kolejna seria kul przeszła ciało profesora.

Cała trójka leżała w kałuży krwi, obmywana deszczem.

Właśnie zabił całą rodzinę, przez chwilę poczuł ucisk żalu, ale potem pomyślał: dobrze. Dobra robota.

Upadli przed winiarnią, z której wybiegł mężczyzna, a zaraz za nim kobieta, chcąc pomóc zamordowanej rodzinie.

Głupi czy odważni? – pomyślał zabójca. Nie miało to znaczenia. Zastrzelili ich oboje, znów przygryzając wargę, tym razem bez wyrzutów sumienia. Nie chciał, żeby go zauważono, żeby ktoś zapamiętał numer rejestracyjny. Wjechał na Sunset Boulevard, mknął szybko, dwukrotnie przejechał na czerwonym świetle, skręcał w boczne uliczki. Samochód ukradł rano, podmienił tablice rejestracyjne z jakimś autem na lotnisku. Wjechał do hrabstwa Orange i zaparkował w cieniu meczetu, wtedy zaczął mu się uspokajać oddech. Dokonał zbiorowego morderstwa w samym środku dnia i uciekł. Teraz może wziąć udział w Piekielnym Ogniu. Dowiódł swej wartości.

Zadzwoił z komórki. Dowiedział się, że nastąpiła zmiana planów i nie pojedzie do Houston, musi sprawdzić konto pocztowe, o którym wcześniej nie słyszał. Skorzystał z komputera w bibliotece publicznej i zalogował się.

Wiadomość brzmiała: CHICAGO.

Został wybrany nie tylko przez Allaha, ale też przez swych towarzyszy broni, innych wojowników, kimkolwiek byli. Kiedy jechał na wschód, opuścił szybę w samochodzie, aby wilgotne powietrze ochłodziło mu skórę i pomogło przygotować się do bitwy i chwały, które czekały na niego.

# 31.

Bridger, skulony i związany, leżał w bagażniku samochodu; Henry spojrział na niego bez cienia litości. Były chłopak Snow został wydany przez członka Mrocznej Drogi, który go znał; spotkali się przypadkiem w Alabamie, Bridger błagał go o pieniądze i jakąś kryjówkę. Na polecenie Henry'ego człowiek ten zawiózł Bridgera w bagażniku na pole położone w północnej części Wirginii.

Stojąc tak pod rozgwieżdżonym niebem, Henry, pierwszy raz od kilku lat, poczuł, że ma ochotę na papierosa. Rozmowa z Lukiem bardzo go zdenewrowała. Wcześniej wydawało mu się, że Luke zechce go przynajmniej wysłuchać. Gdyby udało mu się dojść do słowa, Luke z pewnością wszystko by zrozumiał. Ciągle na myśl przychodziła mu Barbara, której ostatnie słowa były podobne do tych Luke'a: „Wiem, kim jesteś”. Wypowiedziała je tuż przed wypadkiem, kiedy złapał za kierownicę, żeby zmusić ją do zjechania na pobocze, chcąc na nią wpłynąć, przekonać ją, że nie ma racji. Gdyby posłuchała, samochód nie przerwałby barierki i nie stoczyłby się po wzgórzu. Przez cały czas miał otwarte oczy, krzyczał jej imię i patrzył, jak umiera.

Gdyby Luke posłuchał, dałoby się uniknąć nieuchronnej tragedii.

Barbara znalazła telefon komórkowy w jego biurku. Używał go do kontaktowania się z Bliskim Wschodem. Jego ośrodkowi analityczno-badawczemu

powodziło się coraz gorzej, Henry spędzał noce, wczytując się w swoje artykuły poświęcone tragedii jedenastego września i zastanawiał się, dlaczego nikt mu nie uwierzył, kiedy przewidział, że taki dzień nastąpi. Nie dopuszczał do siebie myśli, że pominął istotne szczegóły, które miały wpływ na przebieg całego ataku. Czuł gniew na myśl o tym, że go zignorowano; czuł się jak dziecko, któremu się dokuczają, a ono myśli sobie, że jeszcze wszystkim pokaże. Popijał whisky i posepniał. Miał wielu znajomych na Bliskim Wschodzie, niektórzy z nich byli luźno powiązani z terrorystami, z którymi rozmawiał i których osobowość analizował. Zaczął się rozglądać, dzwonić do nich, prosić o spotkania; chciał znaleźć odpowiedź na pytanie, jak może z większą dokładnością przewidzieć ataki terrorystyczne. Jak może zdobyć szersze uznanie, rozkręcić swój biznes, zostać kimś ważnym?

Zdał sobie w końcu sprawę, że potrzebuje kogoś, kto pomoże mu wprowadzić jego plany w życie.

Znalazła tę komórkę i odsłuchiwała wiadomość nagrany na pocztę głosową, którą zapomniał skasować, gdy dzwonił do niego znajomy arabskiego miliardera. Nie było to zbyt mądre. Ale odsłuchiwał wiadomość, kiedy Barbara mu przerwała, dlatego po prostu wyłączył telefon. Wiedziała, że to nie ten aparat, z którego na co dzień korzysta. Co też w nią wstąpiło, żeby szperać w jego rzeczach, odsłuchiwać przeznaczone dla niego wiadomości? Czyżby bała się, że ją zdradza, że ten telefon służy mu do kontaktów z kochanką? Uwielbiał Barbarę. Zdawał sobie sprawę, jakim był szczęściarzem. Poczekała, aż będą sami w samochodzie, dzień później, żeby się przed nią wytłumaczył. Mógł wszystkiemu zaprzeczyć w trakcie jazdy, ale za bardzo nim to wstrząsnęło.

Nie popełni takiego błędu ponownie. Poprzedni kosztował go utratę Barbary; nie straci w ten sposób syna.

Przyjechał na to opuszczone pole ze swojego domu w Alexandra, bacząc, żeby ani Drummond, ani nikt inny go nie śledził. Wydawało mu się,

że wszystko jest w porządku, dopóki nie przypomniał sobie, że jeśli Drummond nadal ma kontakty w sferach rządowych, to mogą go namierzać za pomocą satelitów.

Nie jesteś aż tak ważny, tłumaczył sobie. W tym tkwi twoja siła. Gdyby zdali sobie sprawę, jak wiele znaczysz, to pewnie nadal pracowałbyś dla rządu. Może byłbyś tam, gdzie zaczynałeś, po stronie aniołów.

Potem jednak powiedział sobie: gdyby traktowali cię jak kogoś ważnego, to żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła.

– Chcę z nim porozmawiać sam na sam.

– Przejdę się – powiedział młody mężczyzna z Alabamy, który dostarczył mu Bridgera. Zniknął w ciemnościach. Henry wyciągnął Bridgera z bagażnika i oparł go o zderzak samochodu. Chłopak wciąż miał na sobie skórzaną kurtkę z naszytym orłem.

– Miałem bardzo zły dzień – zaczął Henry. – Wiesz, moje zajęcie sprawia, że wysyłam artykuły o taktyce i teorii postępowania wobec zagrożenia terroryzmem do najpotężniejszych tego świata.

Bridger gapił się na niego.

– Ostrzegłem dziś moich klientów przed wieloma atakami, które mogą się wydarzyć: kontynuacją tego, co zapoczątkowała bomba w transporcie chloru, zamachem na nasze zasoby paliwa, pojawieniem się aktów przemocy o neonazistowskim charakterze. Wszystko, co przewidziałem, naprawdę się wydarzyło.

Bridger jęczał zza knebla.

– Ciągle myślałem o przemocy, Bridger. I wiesz co, kiedy się tak o niej myśli, to samemu zaczyna się tracić nad sobą panowanie. To niezbyt dobrze dla ciebie.

Bridger otworzył szeroko oczy z przerażenia. Henry wyjął mu knebel z ust, a wtedy Bridger zaczął krzyczeć o pomoc.

– Nikt cię tu nie usłyszy – wyjaśnił spokojnie Henry. – Jakie to miłe uczucie móc tak powiedzieć. To najmiłsza chwila mojego dnia, Bridger.

Ku obrzydzeniu Henry'ego Bridger zaczął płakać.



- Znalazłeś się tutaj przez swoją gadatliwość.
- Ja nic nie zrobiłem, naprawdę.
- Nie zrobiłeś, bo twój kontakt z Quicksilvera został zamordowany, zanim zdążyłeś nas sprzedać.
- Nie. Nie wiem, o czym mówisz.
- Widać cię na taśmie z kamery śledzącej ruch uliczny w Houston, synu.
- To nie ja, to nie ja. – W żadnym wypadku nie był bohaterem, strach wyzierał z każdej komórki jego ciała, niemal z niego promieniował.
- To byłeś ty. Nawet gdybyśmy nie mieli twojego zdjęcia, to ta kurtka z orłem na plecach jest zbyt gustowna i wyrafinowana, aby mogła należeć do kogokolwiek innego niż ty, Bridger.

Bridger zwiesił głowę.

- Złamałeś Snow serce.
- Ona... nie musicie jej krzywdzić.
- Nie winię jej za twoją zdradę. Poza tym jest przydatna. Już znalazła sobie faceta, który zajął twoje miejsce przy jej boku i w łóżku – i dodał – kiedy jesteś nikim, łatwo cię zastąpić. – Henry uśmiechnął się do siebie. Wiedział, co mówi. Jego zdaniem Warren Dantry nie był zbyt dobrym ojcem czy mężem i zastąpienie go okazało się nietrudnym zadaniem.

– No dobrze. Znów możemy być przyjaciółmi, a Mroczna Droga może ci wybaczyć. – Henry przykucnął przy więźniu. – Powiedz mi, co to jest Quicksilver.

- Nie znam tej nazwy.
- Mężczyzna, z którym miałaś się spotkać, pracował dla firmy o nazwie Quicksilver. Kim oni są?
- Nie wiem. Mówili... – Bridger zamilkł, jakby szukając właściwych słów.

Henry wyciągnął rękę i złapał go za palec, a potem złamał go jednym ruchem. Wieki temu Drummond nauczył go, jak to robić w celu samoobrony.

Bridger zawył, zaczął wierzgać nogami i uderzać ramionami i głową w zderzak samochodu. Kiedy wreszcie był w stanie wydusić z siebie słowa, zaczął błagać.

– Nie rób tego więcej!

– Masz jeszcze dziewczęć. I minutę, żeby zmienić zdanie, a potem złamię ci kolejny palec. – Poczekał chwilę, aż Bridger poczuje ból i zacznie się bać.

Bridger zacisnął zęby.

– Sądzisz, że Quicksilver przybędzie ci na ratunek? Raczej nie. Jestem twoją jedyną nadzieją, Bridger. Wybaczmy ci. Ukryjemy cię. Ale najpierw musisz nam pomóc.

Minuta minęła, w ciszy rozlegały się jedynie słabe pojękiwania Bridgera. Był tylko śmieciem, facetem, który pałętał się od jednej rasistowskiej organizacji do drugiej po całym Południu, zwykle robił im tylko strony internetowe i machał transparentem w trakcie żalonych manifestacji. Spotkał Snow pięć miesięcy temu i zamieszkali razem; chciał się nauczyć konstruowania bomb, ale brakowało mu zdolności i stał się jedynie chłopcem na posyłki, który zdobywał dla niej materiały.

Henry delikatnie sięgnął po kolejny palec Bridgera i wymacał złączenie stawów, zanim jednak zdążył go złamać, Bridger zaczął rozpaczliwie wyrzucać z siebie słowa:

– Ktoś zadzwonił na moją komórkę. To był ten człowiek.

– Jak się nazywał?

– Nie powiedział. Mówił, że wie, że to ja zdobywałem dla Snow materiały do bomb. Powiedział, że jeśli nie chcę spędzić reszty życia w więzieniu, to muszę pójść na współpracę. – Przełknął ślinę.

Jak Allen Clifford w ogóle dowiedział się o Snow? – zastanawiał się Henry. Odpowiedź była oczywista, ktoś z Mrocznej Drogi jest szpiegiem.

– Ten gość powiedział, że mi zapłacą, że mnie ukryją, zadbają o to, żebym nie poszedł do więzienia. Miałem mu opowiedzieć wszystko, co wiem, na tym spotkaniu w Houston.

– Skąd wiedziałeś, nad czym pracuje Snow?

– Słyszałem, jak z tobą rozmawiała. – Pokręcił głową ze wstydu.  
– Szpiegowałeś ją.  
– Wiedziałem, że zrobiła kilka prostych bomb na zamówienie. Jedna była dla faceta z Minnesoty, druga dla gościa z Missouri, dla kilku hippisów ze Seattle. Ale potem zaczęła pracować nad hurtowym zamówieniem.  
– Bridger przygryzł wargę. – Pomyślałem, że spotkam się z tym gościem, złapię go i przyprowadzę do was. Żebyśmy się dowiedzieli, kto jest naszym wrogiem, rozumiesz. Jestem po waszej stronie.

– My? Nie jesteś jednym z nas. Nie jesteś wystarczająco bystry. – Henry złamał mu kolejny palec, a Bridger zwymiotował sobie na kolana. – To za kłamstwo, i do tego jeszcze nieudolne.

Bridger zaczął wyć, płakać i pluć na ziemię.

– Myślałem, że... udowodnię, że jestem przydatny. – Jego głos przeszedł w żalospny jęk. – Nie jestem zdrajcą.

– Udowodnij to. Powiedz mi wszystko, a pozwolę ci zadzwonić do Snow i ją przeprosić.

– Zgodziłem się. Gość powiedział, że spotka się ze mną w centrum Houston. Chciałem się spotkać gdzieś na ulicy, na wypadek gdyby to była pułapka. Żebym mógł zwiać. – Jak gdyby pułapki nie dało się zastawić na ulicy, co też się stało na polecenie Jane. – Powiedziałem mu, że ma się przebrać za bezdomnego i dać mi znak ręką, kiedy teren będzie czysty.

– Jaki był cel tego spotkania?

– Miałem mu powiedzieć wszystko, co wiem o Snow i bombach. Wiedziałem o stronie internetowej, na którą się loguje, żeby rozmawiać z ludźmi z całego świata, no wiesz, takimi jak my. Jak się dostać na tę stronę i co planuje Snow. Miałem im podać nazwiska. Znałem tylko twoje i Snow.

– A Clifford... tak się nazywał ten facet... co miał ci dać w zamian?

– Ochronę. Nowe życie za granicą. Pomyślałem, że wyjadę do Szwecji lub Islandii, do jednego z tych krajów, gdzie mieszkają prawie sami biali.

Tak mu powiedziałem. Oczywiście chciałem go złapać i przyprowadzić Snow, żebyście mogli go przesłuchać.

– Oczywiście. Wiedział o Piekielnym Ogniu? O członkach Mrocznej Drogi?

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby Bridger poważnie zastanawiał się nad tym pytaniem, oczywiście w takim stopniu, w jakim był w stanie sprostać temu zadaniu jego powolny umysł. Potem pokręcił głową.

– Wiedział, że szykuje się coś sporego. Nie wiedział co konkretnie, myślę, że nie.

– Dziękuję ci, Bridger. Chciałbym się dowiedzieć, czy Clifford wspominał o mnie.

– Nie.

– Czy mówił o Luke'u Dantrym?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek sugerował, że należy do organizacji związanej z policją lub rządem?

– Nie.

– W jaki sposób przekonał cię, że może ci zapewnić ochronę?

– Powiedział, że ukryją mnie lepiej niż federalni albo policja, bo nie będzie żadnych dokumentów, żadnych śladów, po których można by do mnie dotrzeć.

Żadnych dokumentów? Zatem Quicksilver nie postępował zgodnie z zasadami rządowymi. Henry potarł skronie, zaczynała go boleć głowa. Słowa Bridgera jeszcze bardziej wszystko skomplikowały.

Musi działać, zanim Jane lub Quicksilver zdołają przeszkodzić w rozpoczęciu operacji Piekielny Ogień. Najwyraźniej ci z Quicksilvera nie wiedzieli wcześniej o planowanej pierwszej fali ataków; nic nie przeszkodziło w realizacji tych działań. Podejrzewali jednak, że pierwsza fala zamachów była tylko wstępem do czegoś większego.

Poklepał Bridgera po policzku.

- Okay. Nastawię ci palce i będziesz mógł iść.
- Naprawdę? Naprawdę?

Henry pokiwał głową, słysząc żalną nadzieję w jego głosie.

- Naprawdę.

Poszedł do swojego samochodu, wyciągnął kamerę i statyw, przykręcił obiektyw do filmowania w ciemnościach i włączył nagrywanie.

- A to po co?
- Żeby zniechęcić innych.

Stał tyłem do kamery, a mimo to włożył na głowę kominiarkę, którą wyjął z kieszeni marynarki. Bridger zaczął jęczeć.

- Obiecałeś... przecież obiecałeś.

Henry pomyślał, że później wytnie te słowa. Złamał pozostałe osiem palców. Przy czwartym Bridger stracił przytomność z bólu. Kopnął go w jądra, żeby go ocucić. Źrenice rozszerzyły mu się z przerażenia. Henry jednym ruchem poderżnął mu gardło.

Potem położył rękę na ramieniu Bridgera, czując, jak ucieka z niego życie, i powiedział:

– Oto, jak kończą ci, którzy próbują zdradzić Mroczną Drogę. – Nagranie zostanie wkrótce umieszczone na stronie organizacji, powinno to rozwiązać kwestie związane z lojalnością.

Dziesięć minut później chłopak z Alabamy wrócił ze swojego spaceru. Spojrzał na ciało Bridgera i Henry usłyszał, jak głośno przełyka ślinę.

- Cóż.

– Pozbądź się go. Upewnij się, że go nie znajdą. Zakop ciało głęboko. Potem jedź do domu. Otrzymasz w zamian dodatkowe pieniądze lub dodatkowe szkolenie na nasz koszt, co wolisz.

Chłopak pokiwał głową, był blady.

- Chcę się nauczyć konstruowania bomb.
- Dopilnuję tego.

Henry pojechał do domu. Usiadł przy komputerze.

Quicksilver – musiał się dowiedzieć, kim oni są. Trzeba ich będzie zniszczyć. Jeśli byli nową wersją Klubu Książki, grupą, która działała poza ograniczeniami rządowymi, to ich działalność może być monitorowana, śledzona i wykrywana.

Wśród klientów Henry'ego Shawcrossa były największe firmy telekomunikacyjne, które obawiały się ataków na swoją infrastrukturę; firmy transportowe, które nie chciały się stać celem zamachów; były też firmy świadczące usługi finansowe. Ich szefowie zdawali sobie sprawę, że fala ataków może zagrozić ich zyskom, jeśli spowoduje kryzys finansowy.

Wykorzysta możliwości swoich klientów, aby znaleźć tych z Quicksilvera.

Długo zastanawiał się nad każdym słowem, a potem wysłał gotową wiadomość do najważniejszych i najbardziej dyskretnych osób, jakie znał w firmie każdego ze swoich klientów:

*Potrzebuję Państwa pomocy jako jednego z moich najważniejszych klientów. Jeden z wysokich urzędników państwowych poprosił mnie o zbadanie, jak szybko bazy rządowe oraz należące do prywatnych przedsiębiorców będą w stanie wykryć tajną działalność prowadzoną na terenie Ameryki, i określenie, na ile spójne są te informacje. Spodziewam się, że to on jest odpowiedzialny za podejmowanie decyzji o rozdzielaniu lukratywnych kontraktów dla tych firm.*

*Stworzyłem dwie fikcyjne tożsamości: Allena Clifforda i Kevina Drummonda. Proszę o wykorzystanie baz danych obejmujących branże takie, jak: łączność, finanse, transport, transakcje płatnicze i ubezpieczenia, aby ich odnaleźć. Uczyliłem ich współnikami w legalnej firmie o nazwie Quicksilver Risk Management. Proszę o przysłanie wszystkich rezultatów dotyczących tych dwóch osób, wraz z konkretną datą. Dziękuję i przypominam, że obowiązuje nas klauzula poufności.*

Henry podejrzewał, że nie będzie musiał zbyt długo czekać. Będzie to najlepszy sposób na poznanie jego wroga.

Potem wysłał kolejnego e-maila do swoich klientów. Jego pierwsze zdanie brzmiało:

*Już wkrótce grupa Shawcross zaprezentuje serię artykułów poświęconych najbardziej prawdopodobnym zamachom, jakie mogą mieć miejsce w Stanach Zjednoczonych.*

Operacja Piekielny Ogień da mu opinię niezwykle przenikliwego człowieka.

## 32.

Luke obudził się z drzemki, w którą zapadł, opierając się o ścianę samolotu. Stał nad nim Frankie Wu. Luke czuł, że boli go ciężka od snu głowa. Z trudem się dobudził.

– Co się stało?

– Nic, panie Lindoe. Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku. Nie siedzi pan w fotelu.

– Przepraszam. Usiadłem, żeby pomyśleć, i za bardzo się zamyśliłem.  
– Wstał nieporadnie.

Frankie Wu przyglądał się mu ze skrzyżowanymi ramionami.

– Czy nie powinien pan pilotować samolotu? – spytał Luke. Wrócił na siedzenie. Jego plecak leżał na boku, zastanawiał się, czy tak go zostawił, zanim zasnął. Czy Wu go przeszukał?

– Włączyłem autopilota. Chciałem tylko sprawdzić, panie Lindoe, czy niczego państwu nie brakuje.

Znów użył jego fałszywego nazwiska, z delikatnym naciskiem. Wie. Ale nie każe ci się z tego tłumaczyć. Jeszcze nie. Nie chce sobie robić problemów w czasie lotu.

– Kiedy lądujemy w Nowym Jorku?

– Za czterdzieści minut.

Luke spojrzął na Aubrey; spała. Nie był tym zaskoczony, nie dziwiło go



też, że sam zasnął. Sen był ucieczką. Nagle poczuł wilczy głód.

Wu obrócił się bez słowa i wrócił do kabiny pilota. Zamknął za sobą drzwi.

Luke otworzył plecak. Broń była na miejscu. Sprawdził ją. Rozładowana. Magazynek zniknął i nie było go nigdzie w plecaku. Broń była bezużyteczna. Jednak pieniądze, które wziął z domu Erica, zostały na swoim miejscu. Podobnie jak laptop. Obudowę miał chłodną, nikt go nie włączał.

Wu przeszukał jego bagaż.

Luke podszedł do aneksu kuchennego. Cicho przejrzał szuflady. W jednej z nich znalazł listę potraw i napojów przewidzianych na czas lotu. Zostały zakupione przez Quicksilver Risk z adresem w Nowym Jorku. Quicksilver.

Poczuł lęk. Podniósł słuchawkę telefonu pokładowego. Zadzwoił na informację w Braintree. Pamiętał nazwę firmy, która wynajmowała domek, ponieważ ogłaszała się na tablicy obok bramy. Podano mu numer, na który zadzwonił. Jeśli wynajmowali domki, to musieli mieć jakiś numer awaryjny, na wypadek gdyby wynajmujący napotkali jakieś problemy w nocy. Kiedy się dodzwonił, wysłuchał wiadomości na automatycznej sekretarce, gdzie podawano numer telefonu; zadzwonił tam.

– Tak?

– Halo. Mój ojciec zaginał, mógł wynajmować od państwa domek. Domek numer trzy. Na skraju. Czy wynajęła go firma Quicksilver?

– Wiele osób dzwoni do nas w sprawie tego wynajmu – konsultant był nieco naburmuszony.

– Proszę. Allen Clifford, nie wiemy, gdzie jest...

– Cóż, zostawił domek w fatalnym stanie, zniszczył meble w sypialni, musieliśmy obciążyć jego kartę dodatkowymi kosztami.

– W jaki sposób zapłacić? Dopilnuję, aby wszystko wynagrodzić pańskiej firmie.

– Kartą obciążeniową. Firmową. Quicksilver Risk Management.

– Dziękuję. – Luke odwiesił słuchawkę. Jezu, zapłacili za wynajem domku, Henry miał rację. Nie oznaczało to, że można mu zaufać. Ale nie

mógł też ufać tym ludziom. Starał się uspokoić, głęboko oddychając.

Wydarł adres firmy z listy potraw. Droga ucieczki, którą znalazł Eric, była pułapką.

Znalazł w kuchence kanapki i zjadł jedną. Miasto, które nigdy nie zasypia, wyglądało z tej odległości jak miniaturowa galaktyka. Domyślił się, że pewnie wylądują w New Jersey po drugiej stronie rzeki.

Potrząsnął Aubrey za ramię. Zamrugła oczami, przytomna i gotowa. Podał jej kanapkę i wyszeptał słowa:

– Pilot wie. Musimy uciekać.

Otworzyła szeroko oczy z przerażenia i wyszeptała w odpowiedzi:

– Jaki mamy plan?

Żałował, że nie omówili tego wcześniej w jej samochodzie, ale wtedy nie wiedzieli, czy dostaną się na pokład samolotu. Będą musieli improwizować. Wyszeptał jej do ucha:

– Firma o nazwie Quicksilver zapłaciła za wynajem domku, gdzie nas przetrzymywano, i za ten lot też.

Zobaczył w jej oczach przerażenie.

– Kim oni są? – spytała bezgłośnie.

Wzruszył ramionami.

– Rób to co ja – wyszeptał, a ona pokiwała głową.

Wziął ją za rękę i czekali na lądowanie.



Samolot kołował w kierunku niewielkiego terminalu na prywatnym lotnisku. Wu poprosił ich przez interkom, żeby pozostali na miejscach.

Luke go nie usłuchał. Wstał, podszedł do drzwi i pociągnął za dźwignię. Drzwi otworzyły się i w mroku nocy zabrzmiał alarm. Aubrey była tuż za nim i razem wyskoczyli na asfalt. Aubrey wylądowała tuż obok niego i zaczęli uciekać.

Poprzez ryk silników słyszał, jak Frankie Wu, do niedawna tak przyjacielski, wrzeszczy z wściekłością. Pas startowy był ogrodzony, jakiś nowy

samolot przygotowywał się do startu po tym, jak Frankie Wu wylądował.

Kiedy Luke i Aubrey podbiegli do krawędzi pasa, usłyszał, jak ktoś krzyczy.

– Luke! Luke Dantry! Zatrzymaj się!

Obejrzał się, a wtedy Aubrey się z nim zderzyła. Zobaczył dwóch mężczyzn, którzy mijali właśnie samolot, którym przyleciał. Wu stał w drzwiach, wskazując na nich. Szybko się zbliżali. Komitet powitalny Quicksilvera, pomyślał Luke. Jeśli z Aubrey nie ruszą się z miejsca, to zginą. Zbliżał się kolejny samolot.

Damy radę, pomyślał. Aubrey mocno chwyciła go za rękę.

Biegli po pasie startowym, startujący samolot oświetlił ich reflektorami, siła wyrzutu jego silników sprawiła, że obydwójce zostali powaleni na kolana.

Obejrzał się ponownie – jeden ze ścigających ich mężczyzn miał składany karabin, zdejmował go z pleców.

– Aubrey, uciekaj! – wrzasnął Luke.

Poderwali się na nogi, biegli na złamanie karku, chcąc dobiec do płotu. Dwanaście metrów; za siatką był parking, na nim kilka samochodów. Dalej widać było smugę światła, to autostrada.

Pod stopami mieli teraz trawę. Wciąż biegli.

Dotarli do płotu. Chciał pomóc Aubrey, ale ona była szybsza, zwinnie się wspinając pod górkę. Kiedy dotarła do drutu kolczastego, zatrzymała się na chwilę i owinęła głowę płaszczem, a potem prześlizgnęła się między jego zwojami.

– Nie dam się znowu złapać! – krzyknęła. Dobrze wiedział, co czuje: pełen bezsilności lęk, powracającą myśl, że to nie może się dziać naprawdę. Czuł się tak, kiedy Eric Lindoe przystawił mu pistolet do żeber, porwał go z normalnego świata w jakiś koszmar. Wiedział, co czuła, kiedy ktoś założył jej na głowę worek w chwili, gdy wychodziła z biura.

Była po drugiej stronie, podarła sobie nogawkę spodni.

Zdarł z siebie kurtkę i podążył za Aubrey, wrzeszcząc cały czas, żeby biegała i nie oglądała się za siebie.

Okrył głowę kurtką, dało się słyszeć zbliżające się głosy, ktoś krzyknął – Nic z tego! – Potem poczuł uderzenia o siatkę, odgłos wystrzału.

Cienka kurtka nie stanowiła dobrego zabezpieczenia. Czuł, że drut wbiła mu się w głowę, w plecy, w tyłek. Grawitacja okazała się silniejsza od strachu i spadł po drugiej stronie, czując, że w ostatniej chwili zranił sobie brzuch.

Uderzył o ziemię, spanikował i odrzucił od siebie kurtkę, biegnąc w stronę parkingu.

Aubrey znikła. Parking nie był zbyt duży i nie było jej nigdzie widać w świetle rzucanym przez księżyc. Gdzie się podziała?

Schowała się, pomyślał, a potem zobaczył samochód, który podejrzanie szybko wyjeżdżał z parkingu. Dostrzegł w środku jej twarz, kiedy próbowała zbliżyć się do szyby.

– Aubrey! – wrzasnął. Obejrzał się. Ludzie z Quicksilvera, którzy ścigali go aż do ogrodzenia, biegli teraz, wrzeszcząc coś do telefonów. Nie spieszyli się już tak. Nie było powodu. Po drugiej stronie ich kumple czekali, żeby złapać Luke'a i Aubrey. Być może na każde z nich czekała odrębna grupa. Usłyszał odgłos uruchamianego silnika i jakiś samochód zaczął pędzić wprost na niego.

## 33.

Luke biegł. Nie kierował się w stronę parkingu, gdzie ścigający go mercedes mógłby zagrozić mu drogę, tak jak to się stało w przypadku Aubrey; nie biegł też z powrotem w stronę ogrodzenia zwieńczonego drutem kolczastym, bo tam byli ci, którzy wcześniej go gonili.

Biegł w stronę autostrady.

Najpierw wąski skrawek trawy – niecałe dwadzieścia metrów – potem droga lokalna, a za nią sznur samochodów, ruch o tej porze był jeszcze dość spory, ludzie wracali z Manhattanu.

Za nim mercedes z ludźmi z Quicksilvera zjechał z asfaltu na trawę.

Czuł, jak po łydkach spływa krew z ran, które wyszarpał mu drut kolczasty. Nie odważył się obejrzeć za siebie; nie chciał tego widzieć. To było gorsze, niż kiedy ścigali go Mouser i Snow, ponieważ tu miał do czynienia z całym zespołem ludzi, którzy go osaczali.

Dobiegł do drogi lokalnej, jakiś minivan ledwie go wyminął z przeraźliwym trąbieniem, niemal wypadając z drogi. Samochód przejechał, zostawił za sobą swąd palonej gumy, a z daleka Luke usłyszał okrzyk: – Ty kretynie! – Ścigający go mercedes przejechał przez trawę, zbliżał się błyskawicznie, a kiedy Luke zerknął za siebie, zobaczył, że ktoś opuszcza tylną szybę samochodu.

Szybko ocenił, jaki ma wybór. Mógł pobiec w prawo, gdzie droga lokalna skręcała w kierunku odległego skrzyżowania, a mercedes mógł go przejechać lub wziąć na maskę. Mógł też pobiec w lewo, co oznaczało, że znajdzie się na jednokierunkowej, ruchliwej drodze. Jednak po lewej był wjazd na autostradę, którego boki zabezpieczono betonowym murem, co oznaczało, że mercedes będzie musiał jechać pod prąd i wykonać obrót o sto osiemdziesiąt stopni, żeby nadal jechać za nim po autostradzie.

Ruszył w kierunku wjazdu.

W jego stronę jechały dwa samochody, oba głośno zatrąbiły, wbiegł pomiędzy nie, gnał po białej linii oddzielającej pasy. Biegł jak maszyna, niósł go wiatr, Luke próbował wykrzesać ze zmęczonych mięśni ostatki sił.

Z tyłu dało się słyszeć pisk hamulców, usłyszał zgrzyt metalu trącego o metal. Skręcił, wbiegając wjazdem na autostradę, obok niego przemknął kolejny samochód.

Luke podbiegł na szczyt wjazdu i obejrzał się do tyłu. Mercedes zaczął manewr skrętu w kierunku wjazdu, spod kół szedł mu dym.

Pięć pasów ruchu, ścianka oddzielająca dwie jezdnie od siebie, a potem pięć kolejnych pasów. Złapią go, jeśli będzie się trzymał pobocza i biegł zgodnie z kierunkiem ruchu. Albo rozgniotą o betonową ścianę.

Jednak po jezdni mknęły samochody, nie mógł tak po prostu przez nią przebiec, to byłoby jak taniec ze śmiercią, gdzie jeden nieostrożny ruch lub gapowaty kierowca mogą go pozbawić życia.

Nie miał czasu na myślenie. Widział nadjeżdżające samochody i ich światła, musiał je ominąć.

Przemknęła obok niego załadowana półciężarówka, wbiegł na pierwszy pas tuż za nią, na pasie obok pędziło kombi. Jego kierowca wcisnął hamulec, Luke podskoczył i obiegł samochód dookoła, umożliwiając mu przejazd, potem przebiegł przez trzeci pas ruchu.

Mercedes wjeżdżał na autostradę. Luke zamarł, ale nie miał wyboru, mijało go pięć rozpędzonych aut. Był w potrzasku, mercedes zbliżał się do niego, jego kierowca starał się wjechać na pas, na którym stał Luke.

Mercedes jechał wprost na niego, Luke wyczekał, aż piąty samochód śmignął obok, i biegł dalej, słyszał pisk hamulców i zgrzyt metalu, kiedy jakiś samochód zjechał na sąsiedni pas i otarł się o inny pojazd. Mercedes wymijał inne auta, jechał wprost na Luke'a, który widział triumfalny wyraz twarzy kierowcy.

Wtedy w tył mercedesa uderzyła hamująca ciężarówka.

Luke odwrócił się i przebiegł ostatni pas ruchu, po czym przeskoczył przez betonowy murek. Samochody zwalniały, bo wszyscy chcieli zobaczyć, co się stało, i choć ruch w kierunku Nowego Jorku nie zamarł, to jednak Luke'owi udało się szybko przebiec na drugą stronę jezdni.

Na zjeździe z autostrady o włos minęła go ciężarówka, kiedy upadał na asfalt, niemal przejechała mu po palcach. Dostrzegł, że kierowca wcisnął hamulec. Wydostał się ze zjazdu, zeskakując z jego krawędzi. Spadł jakieś pięć metrów w dół, w miękką ziemię. Upadł na jedno kolano, było mu zimno, cały się trząsał, w jego żyłach, jak trucizna, buzowała adrenalina. Podniósł się niepewnie i próbował złapać oddech, czując, że nogi wreszcie przestają mu się trząść.

Biegł drogą lokalną, czując ciężar plecaka na plecach.

Mają Aubrey. Musi ją odbić.

Wbiegł na skrzyżowanie, zobaczył tam sklep nocny. Luke wszedł do środka i usłyszał delikatną hinduską melodię. Kilka minut temu próbował nie dać się rozjechać, a teraz robił zakupy. Zastanawiał się, czy widać po nim zdenerwowanie. Kupił zestaw pierwszej pomocy, gorącą kawę i butelkę wody. Poszedł do łazienki i obejrzał swoje zranienia. Na brzuchu miał cienkie, płytkie rozcięcie – drut kolczasty zahaczył o skórę w miejscu, gdzie podwinęła mu się koszula. Druga rana biegła od łydki aż do dolnej części pleców, zapiekła go jeszcze bardziej, kiedy ją zobaczył. Nałożył na

skaleczenia żel odkażający i w najgorszych miejscach zalepił plastrami, a potem połknął aspirynę. W czterech łykach wypił całą wodę. Potem napił się jeszcze ciepłej kawy, poczuł, że powoli zaczyna się rozgrzewać.

Kiedy wyszedł ze sklepu, skierował się w stronę przeciwną do autostrady. Musiał być w ruchu. Było późno, jednak wiedział, że nie przestaną go ścigać. Nie czuł z tego powodu paniki, ale raczej spokój, którym napełniała go podjęta decyzja.

Wypowie wojnę tym ludziom.

Najpierw to, co najważniejsze. Wciąż był za blisko lotniska i autostrady, ci z Quicksilvera mogą mieć kumpli.

Niedaleko dworca autobusowego znalazł taksówkę, z której właśnie ktoś wysiadał. Pokazał kierowcy adres, pod którym Quicksilver miał siedzibę, ten wyrwany z listy potraw w samolocie.

– Czy wie pan, w jakiej to części miasta?

– Niedaleko Uniwersytetu Nowojorskiego w Greenwich Village – powiedział kierowca, sprawdzivszy lokalizację na szczegółowej mapie.

– Jedźmy.

Kierowca opowiedział mu o wszystkim, co w Nowym Jorku jest nie tak. Luke zawsze lubił tu przyjeżdżać. Siedział na tylnym siedzeniu i słuchał jednym uchem, żeby w odpowiedniej chwili przytaknąć z grzeczności. Kiedy dojechali do skweru Waszyngtona, Luke poprosił kierowcę, żeby wysadził go przy wejściu do parku. Przespacerował się kawałek w mroku, a potem usiadł na jednej z ławek. Rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nic mu nie grozi, a w pobliżu nie ma policjanta; dostrzegł tylko jakiegoś pijaka, który siedział dziesięć metrów dalej i gapił się na trawę, jakby mógł z niej wyczytać wszystkie tajemnice wszechświata.

Co zrobią z Aubrey?

Przez dłuższy czas wyobrażał sobie wszystko co najgorsze, a kiedy pijak poprosił go o pięć dolarów, Luke wstał i wyszedł z parku. Nie poszedł szukać siedziby Quicksilvera. Znalazł niewielki hotel, w którym nocowali



uniwersyteccy goście, i zapłacił gotówką za maluteńki pokoiik. Zameldował się jako Brian Blue, ponieważ w holu wisiał abstrakcyjny obraz w błękitach, a Brian było imieniem jego wkurzającego, gadatliwego sąsiada, który opowiadał o Luke'u w telewizji. Rozciągnął się na nierównym materacu. Chciał zasnąć, ale nie mógł. Mieli Aubrey. Znow została porwana, do żywego raniła go myśl o tym, co ona teraz przeżywa. Porwania nie są czymś, do czego można się przyzwyczaić.

Sądził, że to bezpieczne wyjście. Żałował, że jej nie namówił, by poszli na policję; teraz byłaby bezpieczna. A on mógłby zakończyć tę walkę, zniknąć, uciec, znaleźć jakiś kamień, pod którym mógłby się schować.

Wyjrzał przez okno. Nie dało się żyć, ciągle uciekając, ukrywając się – też nie. Nie może się poddać, jeszcze nie. Nigdy nie czuł się tak samotny, nawet wtedy, gdy leżał w tym domku, przykuty do łóżka. Wówczas ucieczka była jedynym wyjściem, jakie rozważał. Teraz mógł próbować uratować Aubrey albo iść na policję i się poddać, albo walczyć z Mroczną Drogą i Henrym.

Rozpakował plecak. Bezużyteczny pistolet, laptop, który zdążył dokładnie przejrzeć. Wyciągnął z kieszeni klucze Erica. Miniaturowa piłka do koszykówki z logo Chicago Bulls – breloczek – zaczepiła się o brzeg kieszeni. Pociągnął mocno.

Na brzegu piłki był ledwie widoczny zaczep, tuż pod logo Chicago Bulls. Nie zauważył go wcześniej. Nacisnął go kciukiem.

Piłka rozdzieliła się na dwie części.

W środku była wtyczka USB, dopasowana do portu w komputerze.

Breloczek służył jednocześnie jako pendrive do przechowywania plików komputerowych.

– O mój Boże – wyszeptał Luke. Włączył laptop i zalogował się. Po-tem podłączył do niego pendrive.

Jego ikona pojawiła się na ekranie. Przygryzając wargi i wstrzymując

oddech, Luke kliknął na nią. W środku był pojedynczy plik. Próbował go otworzyć, ale wtedy na ekranie pokazał się tylko szereg bezsensownych znaków, przypadkowe cyfry i litery.

Plik był zaszyfrowany.

Eric zaczynał swoją karierę od działu operacji bankowych; musiał się znać na szyfrowaniu. Luke wiedział, że to pewnie ten plik zawiera dane dotyczące miejsca przechowywania pięćdziesięciu milionów dolarów. Nic innego nie byłoby tak ważne. To urządzenie było ubezpieczeniem Erica od pewnej śmierci z rąk członków Mrocznej Drogi, jego kartą przetargową w rozmowach z ludźmi z Quicksilvera. Po prostu nosił je w kieszeni.

To na nim były informacje dotyczące pięćdziesięciu milionów dolarów, był to klucz do powstrzymania Henry'ego i Mrocznej Drogi.

Nie miał jednak pojęcia, jak rozszyfrować te informacje. Klucz deszyfrujący musiał się znajdować na jakimś komputerze i nie był to ten laptop.

Włożył broń pod poduszkę; nawet nienabita dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Wsunął tam również klucze z breloczkiem. Potem zamknął oczy, już sam ogrom tego, co musiał jeszcze zrobić, sprawiał, że poczuł się wyczerpany.

Za jego oknami była noc, ale oczy Mrocznej Drogi i Quicksilvera wciąż obserwowały ciemności, skanowały każdą kartę kredytową, każdą bazę hotelową, szukając nazwiska Erica lub Luke'a, jakiegokolwiek znaku, błędu, który pozwoliłby im poznać miejsce jego pobytu.

A kiedy tak wypatrywało go tysiące elektronicznych oczu, on spał.

## 34.

Ten dzień doprowadzał Mousera do szału. Snow słabo radziła sobie w roli chorej; spała niespokojnie, ciągle się budziła i zamartwiała, czy przypadkiem Piekielny Ogień nie zostanie odwołany. Mouser czekał, aż haker z Mrocznej Drogi dostanie się do bazy danych GPS i powie mu, gdzie są Aubrey i Luke. Wydeptywał ścieżki w i tak już wytartym dywanie w ich motelowym pokoju, gdzieś na południu Chicago. Snow albo drzemała, albo przyglądała się wędrówkom Mousera.

– Był w tej piwnicy – powiedziała w końcu. – Czy to cię męczy, kochanie? Ja też byłam z nim sam na sam w lesie, a mimo to mi uciekł.

– Nie jestem zadowolony z tego, jak nam idzie. Stać nas na więcej.

– Chodź tu – poprosiła. – Połóż się obok mnie, a zaraz się uspokoisz.

Przełknął ślinę, wiedząc, że nie powinien.

– Nienawidzę czekania.

– Potrzebuję trochę więcej ciepła, niż daje ten koc – stwierdziła.

Położył się obok niej, przekonany, że nie będzie miała na nic ochoty, nie po tym, jak oberwała w ramię. Ale miała. Pamiętał o jej bandażach i starał się być delikatny. Cały czas miała otwarte usta, nie wiedział, czy było jej dobrze czy źle, dopóki, na końcu, nie uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Potem patrzył w sufit i rozmyślał: Bóg zesłał mi ją, aby pomagała mi w walce z Bestią. Nie miałem szczęścia w pogoni za Lukiem, ale to się zmieni. Zaczyna mu brakować możliwości. Nie może pójść na policję. Prawie wszędzie, dokąd się uda, dopadnie go Mroczna Droga.

– Wiesz, dlaczego nienawidzę rządu. A ty z jakiego powodu? – Jej oddech ogrzewał mu ramię.

Nie miał zamiaru odpowiadać, ale wtedy jej palce zaczęły powolną wędrówkę po jego brzuchu.

– Znałem Tima McVeigha – powiedział.

– O!

– Nie chwalebę się. Nie byliśmy kumplami, ale wpadaliśmy na siebie na różnych... spotkaniach ludzi, którym nie podobało się to, jak rząd ogranicza prawa swoich obywateli. Kilku moich znajomych postanowiło pójść w ślady McVeigha i podłożyć bombę w dużym centrum handlowym. Nie znałem ich planów, ale i tak dostałem wyrok, bo zadzwonili do mnie z pytaniem o to, jak zdobyć materiały wybuchowe, a ja na nich nie doniosłem. Wygadali się o mnie, nie zrobiłem nic złego, a mimo to poszedłem do więzienia na pięć lat.

Snow milczała.

– Tam spotkałem pewnego faceta. Henry'ego. Rozmawiał z terrorystami działającymi na terenie kraju, próbował dostać się do naszych głów. Sprawdzał, czy nienawidziłem ojca, czy byłem zdominowany przez matkę, taki psychobekot.

– Uważa, że terroryści nienawidzą swoich ojców?

– Niektórzy. Mówił, że tak się często dzieje. Kumpel przysłał mi do więzienia kilka książek, które napisał Henry.

– Oddałabym życie za mojego tatę – powiedziała cicho Snow. – Wiem, co to znaczy lojalność.

– Rozmawialiśmy. Lubiłem rozmawiać z Henrym. Kiedy wyszedłem, nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, zatrudniałem się jako mechanik, kiedy była okazja. Ciągle myślałem o tym, jak zmusić Bestię do zapłaty za pięć lat mojego życia.

Czuł, że dotyka palcami jego torsu, wytatuowanych napisów ŚMIERĆ i CHWAŁA, a potem zaczyna głaskać go po brzuchu.

– Wiele straciliśmy przez nasz rząd – powiedziała.

– Ty więcej niż ja. Swoją rodzinę. Pamiętam wściekłość, jaką czułem po masakrze w Waco, strzelaninie w Ruby Ridge, po tym, co się stało na waszej farmie w Wyoming...

– Pokaż mi – wyszeptwała, dotykając jego męskości. – Pokaż mi, jak bardzo byłeś wściekły.

Tym razem kochał się z nią brutalniej, nie zważając na jej rany. Wzdychała i kręciła się, zaciskała zęby. Kiedy skończyli, położyła sobie jego głowę na brzuchu i delikatnie głaskała mu włosy. Czuł, że mógłby tak leżeć bez końca, bezpieczny, czując ciepło jej skóry. To było złe uczucie. Misja była ważniejsza. Misja ponad wszystko.

Tuż przed dziesiątą wieczorem zadzwonił jego telefon. Mouser odebrał:

– Tak?

– Znalazłem ich – powiedział haker z Mrocznej Drogi.

– Gdzie?

– Wczoraj wieczorem sfilmowała ich jedna z kamer monitorujących ruch. Dzięki temu wiedziałem, skąd zacząć poszukiwania w bazie danych GPS, i udało mi się ich znaleźć. Samochód Aubrey Perrault stoi teraz niedaleko lotniska Lakefront. Prywatne lotnisko na północy miasta. – Podał Mouserowi adres.

– Dzięki.

– Kiedy zabijesz dla mnie tego gliniarza... prześlij mi wycinki z gazet.  
– Rozłączył się.

Mouser wstał z łóżka i ubrał się. Prywatne lotnisko. Najpierw nazwisko Erica wstawione na listę pasażerów, a teraz prywatny samolot gotowy do wywiezienia ich z Chicago. On, Henry i Snow walczyli z kimś, kto miał do dyspozycji spore środki.

– Wstawaj – powiedział nieco ostrzej, niż zamierzał.

Snow usiadła.

- Trzeba mi zmienić bandaż.
- Wstawaj. Natychmiast. Są na lotnisku. Uciekają z miasta. Musimy czym prędzej jechać. – Cała jego delikatność znikła. Teraz nic innego już się nie liczyło.



Mouser zaparkował. Niewielkie lotnisko wydawało się nieczynne. Dostrzegł strażnika – starszego, krępego Murzyna – szedł chodnikiem niedaleko terminalu.

Zaskoczyli go z pistoletami i zmusili do wejścia do budynku, używając w tym celu jego karty magnetycznej.

Strażnik obawiał się o swoje życie. Ciągłe powtarzał Mouserowi, że ma żonę, dwie córki, troje wnuków. Wciąż powtarzał ich imiona jak litanię. Jakby przyzywał świętych, którzy go ochronią.

Snow przeglądała zawartość komputera; nie był zabezpieczony hasłem.

– Dwoje ludzi wpisanych na listę pasażerów lotu do Nowego Jorku, na prywatne lotnisko New Jersey Ridgecliff. Pilot Frankie Wu. Pasażerowie: Eric Lindoe i Aubrey Perrault.

– Sprytny drań – Mouser pokręcił głową.

Snow uniosła brew.

– Radziłabym ci, żebyś sobie darował ten pełen podziwu ton.

– Nita. Shawnelle. Latika. Joy. Trevor. David. Shawn – mówił strażnik, z oczami wbitymi w podłogę, jakby mógł dostrzec twarze ukochanych w splotach wykładziny.

– Pamiętaj o nich w swoich myślach – powiedział Mouser. – Mogę o coś zapytać?

Strażnik – po sześćdziesiątce – spojrzał na niego, twarz wykrzywiła mu się z żalu. Chyba wraz z wiekiem wcale nie jest się lepiej przygotowanym na śmierć – pomyślał Mouser.

– Zanim zacząłeś tu pracować, co robiłeś?

– Jestem na emeryturze. Wcześniej byłem policjantem.

– Dzięki – powiedział Mouser i jednym strzałem zapłacił rachunek za usługi hakera.

Snow przyglądała się wszystkiemu, a potem znów spojrzała na ekran.

– Kto zapłacił za lot? – spytał Mouser.

– Quicksilver Risk Management.

– Zdobądź dla nas bilety na lot do Nowego Jorku dzisiejszej nocy. –

Uśmiechnął się; nie zdarzyło mu się to nawet wtedy, kiedy się kochali. –

Cieszę się, że wreszcie wiem, kim jest nasz przeciwnik.

## 35.

Aubrey wydawało się, że umarła.

Otaczała ją ciemność. Po chwili powoli zaczęła jej wracać świadomość. Ręce miała wyciągnięte nad głową, zaczynały jej cierpnąć, przez moment pomyślała, że znów leży na wąskim, twardym łóżku w tym domku we wschodnim Teksasie i czeka, aż pojawi się Eric i ją uwolni, ten dzielny głupiec. Oczywiście tylko jej się tak wydawało i zaraz wydała z siebie odgłos ni to śmiechu, ni to kaszlu.

Poruszyła się, przeciągnęła i poczekała, aż trochę się uspokoi, starała się chłonąć otoczenie. Ręce miała związane nad głową, a w wysuszonych ustach czuła chemiczny posmak. Chciało się jej pić.

Jęknęła. Lot do Nowego Jorku poszedł zupełnie nie po ich myśli. Dla czego dała się wciągnąć w to szaleństwo? Plan nie wypalił. Przypomniała sobie doganiających ją mężczyzn, którzy wepchnęli ją do samochodu, próbowała walczyć. Krzyczała. Potem poczuła ukłucie i ogarnęła ją czarna noc. Pamiętała jakieś buczenie, ciemność, szum pracującej maszynierii. Czuła się tak, jakby spała kilka dni lub nawet lat.

Wszystko poszło nie tak. Luke. Czy udało im się go złapać?

Zapaliło się słabe światło i Aubrey dostrzegła, że leży w wąskim pomieszczeniu. Próbowwała zwalczyć otępienie spowodowane jakimiś środkami psychotropowymi i skupić się na twarzy mężczyzny, który się nad nią pochylał.



Twarz mężczyzny. Wydawała się znajoma. Potem zamknęła oczy. Kiedy je znów otworzyła i zaczęła myśleć przytomniej, to wrażenie, że skądś go zna, minęło.

– Aubrey?

Z trudem odpowiedziała.

– Gdzie ja jestem?

– „Gdzie”, to dobre pytanie. Powiedz mi, gdzie może teraz być Luke Dantry.

– Nie wiem.

Głos – nie otwierała oczu, bo nie chciała patrzeć na tego człowieka – nie odpowiedział. Mężczyzna odsunął jej włosy z twarzy.

– Czy mam uwierzyć, że dwie ofiary porwania, które doświadczyły tak wiele jak ty i Luke, nie opracowały sobie planu awaryjnego, na wypadek gdyby je rozdzielono?

– Nie. Spaliliśmy w samolocie.

Usłyszała śmiech.

– Tak, lubisz spać w samolocie. – Zaryzykowała i znów otworzyła oczy. – Prawie ci uwierzyłem, kiedy powiedziałaś, że nie wiesz, dokąd uda się Luke. Ale nie do końca.

– Mówię prawdę.

Długa przerwa.

– Porozmawiajmy o Ericu. Miał nam wyjawić pewne informacje.

– Informacje?

– Opowiedz mi, co wiesz o Mrocznej Drodze.

Nie była pewna, co odpowiedzieć.

– Eric mówił mi o nich... to ekstremiści, każdy z nich ma swój cel. Trzymał to w tajemnicy. Zerwaliśmy ze sobą – dodała. Kręciło się jej w głowie. Łóżko lekko się przechyliło i zdała sobie sprawę, że buczenie, które słyszy, nie rozlega się w jej głowie i nie spowodowały go leki. Ten dźwięk w tle przypominał odgłos silników samolotu. Spojrzała na metalowy, zakrzywiony sufit nad głową i pomyślała: Znów jestem w samolocie. Dokąd mnie zabierają?

– Bardzo mądrze. – Patrzył na nią. W słabym świetle dostrzegła, że jego spojrzenie było zimne. Jest pozbawiony wszelkich sentymentów, pomyślała. Starła się przypomnieć sobie, czy był wśród ludzi, którzy złapali ją w Nowym Jorku. Wydawało się jej, że nie. Wstał. Miał na sobie czarne spodnie i granatową koszulę, spod której wystawał niewielki fragment srebrnego łańcuszka. – Pomożesz mi znaleźć Luke'a Dantry'ego.

– Nie wiem, gdzie on jest ani dokąd może pójść.

– Zadzwońmy do niego i powiadommy go, że wciąż żyjesz.

– O Boże, nie zabijaj mnie! Nie rób mi krzywdy! – Czowała obrzydzenie, kiedy usłyszała błagalny ton swego głosu, ale ogarnął ją strach, a serce łomotało w piersi, jakby miało eksplodować.

– Zadzwońmy do Luke'a. Powiesz mu, że żyjesz. – Wyciągnął telefon komórkowy, wykręcił numer i słuchał. Po dłuższej chwili rozłączył się.

– Nie miał przy sobie telefonu Erica?

– Zniszczył go.

Mężczyzna odwrócił się bez słowa i wyszedł z pomieszczenia.

Podniosła głowę. Była chyba w jakimś samolocie transportowym. Na końcu kabiny zobaczyła człowieka, który wydawał jakieś polecenia młodszemu mężczyźnie siedzącemu za biurkiem, miał przed sobą kilka ekranów komputerowych. Młody mężczyzna odpowiedział z francuskim akcentem, mówiąc coś, czego nie była w stanie zrozumieć. Szef i Francuz, nazwała ich sobie w myślach. Francuz spojrzał na nią i dostrzegła, że na policzku ma półokrągłą bliznę.

Francja. Paryż? Czy zabierali ją do Paryża, tak jak mówił Frankie Wu w Chicago?

To nie miało sensu. Dlaczego zabierali ją, a zostawiali Luke'a?

– Dlaczego? – spytała. – Dlaczego? – Chciała wiedzieć.

Wstrzymała oddech.

Szef znów na nią spojrział i podszedł do jej łóżka.

– Jak wiele dla niego znaczysz?

– Nie wiem.

– Czy będzie cię próbował znaleźć, czy raczej będzie dalej uciekał?

– Nie wiem.

– Dlaczego uciekł?

– Nie wiem. Mówił, że musi. – Aubrey nie chciała się przyznać, iż wiedzieli, że to Quicksilver zapłacił za domek, w którym ich trzymano. Bała się tego, co mogłoby się wtedy stać.

Szef spoglądał na nią przez dziesięć sekund, które wydały się jej najdłuższymi w życiu.

– Prześpij się – powiedział. – Jesteś teraz bezpieczna.

Aubrey mu nie wierzyła. Ani trochę. Ale zamknęła oczy i udawała, że śpi, starając się wsłuchiwać w każdy dźwięk, każde słowo, wszystko, co mogłoby jej pomóc w zorientowaniu się, gdzie jest i jak może stąd uciec.

## 36.

Quicksilver Risk mieściło się w dwunastopiętrowym budynku niedaleko skweru Waszyngtona. Jego ściany lśniły od szkła i chromu, był o wiele nowocześniejszy niż otaczająca go architektura. Nie powiewała nad nim purpurowa flaga z logo Uniwersytetu Nowojorskiego, jak to było w przypadku innych budynków w okolicy, Luke nie zauważył też, żeby przy którymś z wejść tłoczyli się studenci. Obserwował budynek już piętnaście minut, ale nie zauważył, żeby ktoś do niego wchodził lub z niego wychodził.

Sprawdził w książce telefonicznej – nie było w niej Quicksilver Risk. Firma, której nie zależało na obecności w książce telefonicznej, a która mieściła się w budynku, do którego nikt nie wchodził i z którego nikt nie wychodził.

Luke stał na rogu ulicy. Niespiesznie czytał „Timesa”, którego wyciągnął ze śmietnika, i raz po raz spoglądał na zegarek.

Co teraz? Wedrzeć się do środka i zobaczyć, co się stanie? To może go wpędzić w pułapkę. Jeśli Frankie Wu zauważył, że z kuchni zabrano listę potraw, albo jeśli zmuszą Aubrey do mówienia, to będą wiedzieli, że Luke poznał ten adres. Będą na niego czekali.

Może Aubrey była tutaj. W środku. W tarapatach.

Potrzebował pomocy. Ktoś musiał mu powiedzieć, jak odczytać ten zaszyfrowany plik. Jeśli ludziom z Quicksilvera zależało na tych pięćdziesięciu milionach od terrorystów, to zawrze z nimi układ. Wymieni ten plik na Aubrey. Oczywiście nie mogło im przeszkodzić w zabranii mu pendrive'a i zabiciu ich obojga.

Luke podjął decyzję. Musi wejść do jaskini lwa. Zwinął gazetę i ruszył w kierunku budynku. Za szklanymi drzwiami wejściowymi dostrzegł portiera. Wydawał się bardzo zasadniczym typem, potężnie zbudowany, grube łapy wystawały mu z rękawów granatowego uniformu. Wszystko w nim emanowało siłą i wyglądał, jakby mógł jednym uderzeniem posłać Luke'a do szpitala. Czy był jednym z tych ludzi z lotniska? Jego twarz nie wydawała się Luke'owi znajoma.

Luke postukał w szybę. Zauważył, że jest grubsza, niż zwykle bywa.

– Dzień dobry panu – powiedział portier. Stał za zamkniętymi drzwiami, ręce miał splecione z tyłu, wyraźnie nie zamierzał mu otworzyć.  
– Z kim chce się pan widzieć?

To nie był zwykły portier. Raczej ochroniarz.

– Z panem Drummondem. – Pamiętał to nazwisko z wiadomości w skrzynce pocztowej Erica, wspominał też o nim Henry. – Nazywam się Luke Dantry. Czeka na mnie.

Portier otworzył drzwi i przytrzymał je dla Luke'a. Hol był chłodny, wyłożony płytkami, stało w nim duże biurko z otaczającym go granitowym kontuarem, za jakim zwykle chowa się monitory. Nie wywieszono tam spisu lokatorów – nie był to budynek mieszkalny. Pomieszczenie miało niewielkie rozmiary, za biurkiem znajdowało się dwoje drzwi z masywnej stali. Żadnych dekoracji.

Nie czuł ruchu powietrza. Delikatny szum był chyba odgłosem pracującej maszynierii, a nie echem rozmów i kroków ludzi na górze. Luke miał dziwne wrażenie, jakby wchodził do bunkra, schronu, czegoś w stylu domów komiksowych herosów. Portier zerkał na niego uprzejmie, jednocześnie

wpisując wiadomość na klawiaturze komputera. Najwyraźniej telefon by nie wystarczył. Albo nie chciał, żeby Luke usłyszał to, co ma do powiedzenia.

Luke spojrzął w oko kamery podwieszanej w rogu. Pozwolił jej sfilmować swoją twarz.

– Pan Drummond zobaczy się z panem. – Portier przesunął dłoń po biurku. Zamki w drzwiach wejściowych zamknęły się z cichym kliknięciem.

Został uwięziony.

– Proszę za mną – powiedział portier.

Najwyraźniej wejście nie mogło pozostać niestrzeżone. Twierdza na Manhattanie. Drzwi windy otworzyły się i portier gestem dłoni zaprosił Luke'a do środka.

Wjeżdżali na górę w ciszy. Była to najbardziej bezszelestna winda, jaką Luke kiedykolwiek jechał. Nagle się zatrzymała i rozległ się delikatny gwizd. Portier wyciągnął zza pazuchy ogromny pistolet i przytknął go Luke'owi do skroni.

– Ma pan przy sobie broń. Proszę oszczędzić nam obu kompromitującego przeszukiwania.

– W tylnej kieszeni spodni. Ale jest nienabita. – Spróbował małej prowokacji. – Pański kumpel, Frankie Wu, zabrał mi magazynek.

Portier zabrał mu pistolet.

– Frankie zrobił dobrze przynajmniej jedną rzecz, zanim wrócił do Chicago.

Luke spojrzął na sufit windy.

– Wykrywacz metalu?

– Nic aż tak prymitywnego. – Portier wpisał jakiś kod na klawiaturze i winda znów ruszyła. Przestał celować w Luke'a, a ten uświadomił sobie, że może już zacząć oddychać.

– Ten budynek jest dość, hm, nietypowy. Świetna lokalizacja, a niewykorzystana.

– Pan Drummond może to panu wyjaśnić. Jeśli będzie chciał.

Usłyszał delikatne „ping”, kiedy dojechali na najwyższe piętro. Drzwi windy otworzyły się, ukazując podłogę z prostych drewnianych desek i elegancki perski dywan biegnący przez całą długość korytarza. Na końcu otworzyły się jakieś drzwi.

– Miał broń, proszę pana. Teraz skanery pokazują, że jest czysty – zameldował portier.

Mężczyzna, do którego skierowano te słowa, był ubrany w ciemny golf i dżinsy, włosy miał przyprószone siwizną, szeroki w barach. Niezbyt wysoki, ale umięśniony. Jego twarz świadczyła o tym, że niejedno w życiu przeszedł. Grymas na czole nadawał mu wygląd kogoś, kto dużo czasu spędza, czytając materiały, z którymi się nie zgadza.

– Broń. Rumienię się z dumy. Witaj, Luke. – Nie uśmiechał się.

– Dzień dobry, panie Drummond – powiedział Luke. Zastanawiał się, czy Drummond wie, że Eric nie żyje. Musi wiedzieć. Ten człowiek wygląda, jakby wiedział wszystko. – Możemy porozmawiać?

– Marzyłem o tym dniu. – Drummond uniósł brew. Wydawał się przyglądać twarzy Luke'a, jakby to była mapa, którą kiedyś widział, lecz która zdążyła z czasem zmienić swój wygląd.

Portier odwrócił się i wyszedł.

Drummond obserwował wychodzącego. Delikatnie się uśmiechnął.

Luke postanowił zacząć z grubej rury.

– Czy jest tu Aubrey Perrault?

– Nie.

– Czy wie pan, gdzie ona jest?

– Tak, wiem. Jest bezpieczna.

– Wątpię. Pańscy ludzie strzelali do nas wczoraj wieczorem.

– Gumowymi kulami. Powodują ból, ale nie ranią, jeśli wie się, jak należy ich używać.

Luke przypomniał sobie, jak kule uderzały w trawę pod ich stopami. Mogli im strzelać w nogi, ale tego nie zrobili.

– Przestraszyłeś wszystkich, kiedy tak wbiegłeś na autostradę. Mogłeś się zabić, Luke.

– Patrzy pan na mnie, jakby mnie znał.

– Wiem, kim byłeś, Luke. Teraz bardzo mnie ciekawi, kim się staniesz – odparł Drummond.



## 37.

Pokój miał najbardziej niezwykle ściany, jakie Luke kiedykolwiek widział. Niczym tapeta pokrywały je gigantyczne fotografie. Na każdej ze ścian przymocowano tylko jedno, ogromne zdjęcie. Na jednym z nich młoda dziewczyna kuliła się w zbombardowanych ruinach kamiennego domu. Twarz miała jak duch. Kolejne zdjęcie przedstawiało ludzi na bliskowschodnim bazarze, ich twarze były skrzywione strachem, oglądali się za siebie, tam, gdzie czaiło się zagrożenie. Snajper, samochód-pułapka? Nie wiadomo. Przerazenie i rezygnacja na ich twarzach były uczuciami uniwersalnymi w swojej wymowie. Na kolejnym zdjęciu Luke rozpoznał byłego senatora, złamanego tragedią, który opierał się o ganek jakiegoś domu.

– Ten senator. Zginął mu syn. Czytałem o tym w gazetach. Studiował w Japonii, zastrzelił go tam jakiś terrorysta – stwierdził Luke. – Nietypowy wystrój.

– Nie jestem typowym człowiekiem – odparł Drummond. – W końcu zaprosiłem cię do swojego biura, chociaż przyczyniłeś się do śmierci mojego przyjaciela.

– Wczoraj porwałeś moją przyjaciółkę.

– Jest bezpieczna. A mój przyjaciel nie żyje.

– Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Allena Clifforda. Zostałem porwany i zmuszony do kierowania samochodem z bronią przytkniętą do

brzucha. Potem uwięziono mnie w domku, za który zapłaciła twoja firma.

Drummond uniósł brew.

– Zapłaciliśmy za wynajem domku. To, że cię tam uwięziono, nie miało z nami nic wspólnego. Ale zabiłeś Allena Clifforda.

– Nie zabiłem Allena Clifforda. Wiem, kto to zrobił.

– Kto?

– Eric Lindoe. Wykonywał rozkazy jakiejś Brytyjki o imieniu Jane, która porwała dziewczynę Erica. Porwanie mnie i zabicie Clifforda to był okup, który Eric miał zapłacić za bezpieczeństwo Aubrey.

– Wygodnie ci go oskarżać, skoro nie ma go tutaj i nie może się obronić.

– Nie żyje. Zginął w Chicago. Porwał mnie w Austin, żeby zdobyć pewne informacje od mojego ojczyma. – Pomyślał, że nie będzie na razie wspominał o pięćdziesięciu milionach; rozmowa skupiłaby się tylko na tym temacie, a on chciał najpierw dowiedzieć się czegoś więcej.

– Opowiedz mi wszystko – poprosił Drummond. – Żeby odkryć prawdę, musimy sobie ufać. Nastawiano nas przeciw sobie, Luke, a nie powinniśmy być wrogami. Też musisz tak uważać, skoro pojawiłeś się tutaj, choć jeszcze wczoraj przed nami uciekałeś. – Drummond zaprosił go gestem w kierunku stolika o szklanym blacie. – Usiądź.

Luke usiadł, Drummond zasiadł naprzeciw niego. Drummond uśmiechnął się szerzej.

– Tak jak Eric, chcesz zawrzeć jakiś układ. Powiedz mi, co wiesz, a ja zagwarantuję ci coś w zamian.

– Najpierw pytam ja, potem ty, może uda nam się dobić targu.

– W porządku. Ty najpierw; jesteś gościem – stwierdził Drummond. – Zdecyduję, czy ci zaufać, na podstawie tego, jak inteligentne będą twoje pytania.

Jeśli mu się nie uda – jeśli nie zada właściwych pytań – może się nigdy

nie dowiedzieć prawdy. Drummond może też sobie z nim pogrywać. Nie był jeszcze gotowy na chwalenie się tym, że ma przy sobie zaszyfrowany plik; najpierw chciał się jak najwięcej dowiedzieć. Drummond przyglądał się mu bacznie; wyglądał jak kot, który wygodnie się usadawia przed norą myszy.

– Pierwsze pytanie: Czy Quicksilver ma coś wspólnego z moim porwaniem?

– Nie. Domek został wynajęty z wyprzedzeniem. Clifford miał tam przesłuchać podejrzanego. Człowiek, z którym miał się spotkać, jakiś nieudacznik o nazwisku Bridger, który uciekł, kiedy ty i Eric się tam pojawiliście, miał sprzedać informacje dotyczące rodzimej siatki terrorystycznej. Podejrzewam, że Clifford został zabity, a domek wykorzystany jako wasze więzienie, żeby uświadomić twojemu ojczymowi i Mroczej Drodze o istnieniu Quicksilvera, ponieważ zarówno Clifford, jak i wynajem domku prowadzą na nasz trop. Ktoś chciał, żeby członkowie Mroczej Drogi dowiedzieli się, że Quicksilver depcze im po piętach. Żebyśmy dowiedzieli się o sobie nawzajem.

– Wiesz o Mroczej Drodze?

– Nie znałem tej nazwy, dopóki Eric nie wymienił jej dwa dni temu. Wiemy, że jest to nieformalne stowarzyszenie ugrupowań ekstremistycznych o skłonnościach do używania przemocy, które współpracują ze sobą, dzieląc się dostępnymi środkami, taktyką i informacjami. Podejrzewam, że mieli swój udział w ataku na stację kolejową w Ripley, jak też innych zamachach, które miały miejsce w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– Zamachach?

– Zainfekowanie fabryki żywności w Tennessee bakteriami *E. coli*. Podłożenie bomby pod rurociągiem w Kanadzie. Próba wysadzenia w powietrze rurociągu na Alasce. A zeszłego wieczoru eksplozja w trakcie szkolnego meczu futbolowego w Kansas City, ośmioro zabitych, stu rannych. Do tego jeden z głównych teoretyków polityki antyterrorystycznej

został zabity wczoraj wieczorem w Los Angeles wraz ze swoją rodziną, kiedy wychodził z restauracji.

– O Boże, nie! Powinieneś wiedzieć, że to ja znalazłem tych ludzi.

– Znalazłeś ich wszystkich dla kogo? Dla Henry'ego? – Kiedy wypowiadał to imię, skrzywił się z niesmakiem.

– Wmówił mi, że to badania nad profilami psychologicznymi dla jego ośrodka analityczno-badawczego. Podałem mu tysiące kontaktów. Wybrał spośród nich najbardziej oddanych sprawie i niebezpiecznych. Jestem pionkiem, którego użył do swej rozgrywki.

– Henry cię wykorzystał. Jesteś wkurzonym pionkiem – stwierdził Drummond.

– Dokładnie. Co to jest Quicksilver?

Drummond jakby nie usłyszał pytania.

– Mogę ci zaproponować to samo, co zaproponowałem Ericowi. Wyjazd z kraju, zmiana nazwiska. Będziesz bezpieczny. Ty za to powiesz wszystko, co wiesz o Mrocznej Drodze. Taki jest układ.

– Nie. Nie chcę się ukrywać. Chcę odzyskać moje życie. Moje dobre imię. Chcę, żeby nie oskarżano mnie o zamordowanie Clifforda i tego policjanta w Chicago. Chcę też pomóc w powstrzymaniu Mrocznej Drogi.

– Bardzo to szlachetne z twojej strony, ale niepotrzebne – stwierdził Drummond. – Poznałeś moją propozycję. Nie bierzesz udziału w tej walce, Luke, i moim zdaniem najlepiej by było, żebyś gdzieś przeczekał, aż minie zagrożenie. Pomożesz nam, mówiąc wszystko, co wiesz o Mrocznej Drodze. To będzie twój wkład.

– To za mało. Proszę. Pomogłem zbudować tę organizację. Chcę pomóc w jej zniszczeniu. Nie mogę siedzieć w jakimś bezpiecznym miejscu, podczas gdy Henry będzie dowodził komórką terrorystyczną.

Drummond przyjrzał mu się uważnie.

– Dlaczego Henry posłużył się tobą?

– Nie wiem, pewnie dlatego, że byłem pod ręką. Czym jest Quicksilver?

Jesteście z CIA? FBI? Jesteście jakąś tajną grupą? Czym? – Zaczerpnął tchu. – Jesteście czymś w rodzaju Klubu Książki?

- Skąd wiesz o Klubie Książki?
- Henry. Bardzo mu zależało, żebym się z tobą nie zobaczył.
- Założę się, że tak było.
- Znałeś mojego tatę? Pracowałeś razem z nim dla rządu? Co robił?
- Ani słowa więcej o Quicksilverze.

Mierzyli się spojrzzeniami. Luke spróbował innej taktyki. Drummond nie chciał odpowiadać na jego pytania, ale chciał ich słuchać.

- Co to za zdjęcia?
- Moje liczne klęski.

Luke odwrócił się od tych świadectw dokumentujących cierpienie.

– Czyżbyś sam zawiódł tych ludzi?

– Powiedzmy, że są solą na moje rany. Schrzanilem kilka spraw i dlatego ci ludzie musieli cierpieć. Pamiętam o nich. Każdego dnia. Nie mam wyboru.

– Czy Klub Książki próbował pomagać ludziom?

– Najczęściej nam się udawało, ale nie zawsze. Dobro nie zawsze zwycięża.

– Mógłbyś schować te zdjęcia.

– I tak miałbym te twarze przed oczami. Łatwiej patrzeć na nie, kiedy wiszą na ścianach, niż widzieć je w moich snach.

– Nie rozumiem, dlaczego chciałeś pomóc Ericowi w wydostaniu się z Chicago, skoro zabił twojego przyjaciela.

– Ponieważ powstrzymanie Mrocznej Drogi jest ważniejsze niż zemsta. Eric dokonał złego wyboru, działając pod przymusem. Kiedy wszystko się wyjaśniło, był gotów zdradzić Mroczną Drogę. Nie lubiłem go, ale robię co konieczne, aby ocalić innym życie.

– Wymienię to, co wiem, za uwolnienie Aubrey i informacje na temat Quicksilvera. W innym wypadku nie zawieram żadnego układu.

– Zakładasz, że skrzywdzimy Aubrey. Nie mamy takiego zamiaru. Stoimy po stronie dobra – powiedział Drummond.

– Powiedz mi zatem to, co chcę wiedzieć.

– Nie mogę. Chcę, żebyś mi całkowicie zaufał. Musisz mi wszystko powiedzieć, Luke, i proszę, proszę, nie zadawaj mi pytań. Dla dobra swojego kraju musisz z nami w pełni współpracować i pozwolić się ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Dlaczego mam ci zaufać, skoro ty nie chcesz zaufać mnie? – zapytał Luke.

Drummond westchnął. Sięgnął pod golf i wyciągnął zza niego łańcuszek, z którego zwisał medalik ze świętym Michałem, dokładnie taki sam, jaki nosił Luke. Miecz w jednej dłoni, w drugiej tarcza, rozpięte szeroko skrzydła.

Luke otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Skąd to masz?

– Dostałem od starego przyjaciela na kilka tygodni przed jego śmiercią.

– Starego przyjaciela – powtórzył Luke.

– Twojego ojca. Jednego z moich najlepszych przyjaciół. A zatem, czy wiedząc to, będziesz mi w stanie zaufać?

Luke przyjrzał się twarzy Drummonda.

– Tak. – Kiedy zobaczył, że Drummond ma dokładnie taki sam medalik jak on, w jego głowie od razu zrodziły się setki pytań.

– Mój ojciec...

– Nakazałby ci, żebyś mnie wysłuchał i zrobił dokładnie to, co ci każe. Proszę. Dla twojego własnego bezpieczeństwa nie mogę ci więcej wyjaśnić. A teraz pomóż mi tak, jak potrafisz. Opowiedz mi wszystko, co wiesz, o Mrocznej Drodze.

– Powinienem chyba zacząć od tego co najważniejsze. Od pięćdziesięciu milionów dolarów.

Drummond uniósł brew. Luke dostrzegł, że nie lubi niespodzianek. A ta informacja nią była.

– Pięćdziesięciu milionów czego?

## 38.

Henry Shawcross pochylał się w ich stronę nad stołem i powiedział:

– Ci z Quicksilvera mają mojego syna. Odzyskamy go.

Mouser i Snow spojrzeli po sobie. Nad hotelowym stolikiem unosiła się cienka smużka dymu z papierosa Mousera; siedzieli przy oknie, ale Snow nalegała, żeby zasunąć zasłony. Twierdziła, że mogą ich namierzyć satelity. Henry pomyślał, że może mieć rację. Przyglądał się ich twarzom; byli wymizerowani i zmęczeni. Niedobrze. Powinni być w świetnej formie.

– Mam tu raport policyjny dotyczący strażów, które słyszano niedaleko lotniska, gdzie wylądował samolot Luke'a. Jakiś mężczyzna wbiegł na jezdnię, powodując kilka stłuczek. Został złapany przez ludzi Quicksilvera.

– Henry przyjechał wczoraj późnym wieczorem z Waszyngtonu, kiedy Snow i Mouser powiadomili go, że Luke poleciał do Nowego Jorku.

– Kim są te palanty z Quicksilvera? – zapytał Mouser.

Henry ruchem ręki odgonił dym sprzed nosa.

– Zeszłej nocy zaaranżowałem dla kilku spośród moich klientów ćwiczenie testujące ich system bezpieczeństwa, mieli znaleźć wszystkie ślady prowadzące do Quicksilver Risk i moich starych przyjaciół, Drummonda i Clifforda, których nazwałbym najemnikami. Quicksilver to mała firma

konsultingowa zajmująca się zarządzaniem ryzykiem, ale jestem pewny, że to tylko pozory. Wykorzystując firmy, które działają jako przykrywki, stali się właścicielami budynków na terenie Stanów Zjednoczonych, Europy, Azji i Bliskiego Wschodu. Mają konta w bankach na całym świecie, które nominalnie należą do różnych firm.

– Czy są powiązani z CIA?

– Drummond pracował kiedyś dla Departamentu Stanu. Ale nie sądzę, żeby to byli oni. Nie rozumiem też, dlaczego CIA lub FBI zadawałyby sobie tyle trudu, żeby pozostać w ukryciu, chyba że łamią prawo i nie chcą, żeby dobrał się do nich Kongres.

– Chcesz, żebyśmy zaatakowali budynek – stwierdziła Snow.

– To coś dla mnie – oznajmił Mouser.

– To nie jest typowy budynek. Nie ma lokatorów. Na pewno będą tam ludzie z obsługi. Musicie tylko odbić Luke'a. Wszystkich innych zabijcie, jeśli wam się uda.

– Wszystko po to, żeby uratować Luke'a? Wiesz, że będziemy go musieli zabić, Henry. Zrozum, jakie są fakty. On nie przejdzie na naszą stronę.

– Chcę z nim porozmawiać. Zapakujcie go do samochodu i przywieźcie do mnie.

– Zaakceptuj fakty – powtórzył Mouser. – Nie masz racji.

– To ja tu rządę, Mouser. Nie ty.

– W tej chwili tak – odparł Mouser.

Henry zignorował jego butną odpowiedź.

– Dzięki Bridgerowi Quicksilver wie o naszym istnieniu. Musimy ich zniszczyć, zanim podejmą jakieś działania.

– Tylko my dwoje i ty? – spytała Snow.

– Mam pilną pracę związaną z Piekielnym Ogniem. Zorganizowałem wam kogoś z Mrocznej Drogi do pomocy. – Spojrzał na Snow. – Musimy przenieść twoje bomby. Muszę wiedzieć, czy nie zastawiłaś jakichś pułapek w swoim magazynie w Houston.



- Dlaczego?
- Nie będzie cię tam, żeby nadzorować ich przeniesienie. Wysłałem ekipę z Mrocznej Drogi, która przeniesie bomby na nowe miejsce.
- Dlaczego je przenosicie? – spytała Snow.
- To tajna informacja. Wezmiesz udział w akcji, w trakcie której możesz zostać pojmana.
- Nie zastawiłam pułapek – powiedziała Snow po chwili namysłu. – Dobrze się opiekujcie moimi Dzieciątkami.
- Kierujesz tą akcją – powiedział Mouser – choć ty ponosisz winę za to, że wdepnęliśmy w bagno.
- Największą porażką jest to, że nie potraficie schwytać Luke'a – odparł Henry – dlatego znalazłem wam kogoś do pomocy.



Sweet Bird nie lubił czekać na innych ludzi, ale niecierpliwość mogła w dzisiejszych czasach kosztować życie. Pan Shawcross zaproponował mu wystarczającą ilość broni, żeby pozbyć się wszystkich konkurencyjnych gangów w Queens i New Jersey. Albańczyków, niedobitków Włochów, chciwych Rosjan i Azjatów. Nie mógł odrzucić takiej propozycji. Nawet jeśli ryzyko było dość duże. Jego babcia, która nie doczekała chwili, kiedy został szefem gangu, i miała nadzieję, że będzie lekarzem, nauczyła go jednej rzeczy, którą wtoczyła mu do głowy słodkimi słowami i ostrym pasem: Korzystaj z okazji, nie daj im umknąć.

Zatem kiedy wcześniej rano zadzwonił do niego Shawcross, Sweet Bird uważnie przysłuchał się propozycji, która stanowiła rzadką okazję zdobycia sobie potężnego przyjaciela.

- Być może będziesz musiał zaatakować budynek.
- Budynek? Chyba sobie żartujesz.
- Nie lubię, kiedy ktoś się waha.
- Nie waham się. Słucham. Nie lubi pan pewnie idiotów, którzy pakują się w coś, zanim to przemyślą.

– Jeśli to zrobisz, do zachodu słońca będziesz jednym z najpotężniejszych ludzi w Nowym Jorku. Mam dla ciebie sporo pracy.

Głos pana Shawcrossa nęcił go ze słuchawki. Pan Shawcross zawsze dotrzymywał słowa. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy wysłał Sweet Birdowi bardzo porządne belgijskie karabiny, wyszkolił jego ludzi i pomógł im pozbyć się konkurencyjnych bossów narkotykowych, a także sprawiających problemy narkomanów. Dostarczył kilka pierwszej jakości granatów, dzięki którym Sweet Bird wyeliminował paru informatorów w ich samochodach bez konieczności uciekania się do zawodnych bomb domowej roboty. Dzięki stronie internetowej należącej do Mrocznej Drogi znalazł kilka niewielkich agencji ubezpieczeniowych, które sprzedawały niedrogie polisy. Dzięki nim mógł wyprać i zalegalizować pieniądze ze sprzedaży narkotyków.

Czekał na ludzi Shawcrossa na zapleczu agencji, kilka przecznic od Greenwich Village. Miał ze sobą pięciu ludzi ze stałego składu, jeden z nich był kuzynem Sweet Birda, skłonny do przemocy kandydatem na gangstera, którego Luke znalazł dwa miesiące temu na forum poświęconym miejskim wojnom; reszta była zaprawiona w walkach ulicznych. Obserwował, jak starannie sprawdzali swoją broń. Sam miał przy sobie jeden z tych świetnych belgijskich karabinów, pogładził dłońmi chłodny metal. Przerobił trochę płaszcz, żeby mógł pod nim nosić broń bez rzucania się w oczy. W tle słychać było wiadomości CNN, w których rozmawiano o fali ataków, która przetaczała się przez Stany; gwałtowny wzrost przestępczości sprawił, że Amerykanom coraz trudniej było uwierzyć w to, iż mogą żyć, jakby nic się nie działo.

Dwie minuty później ktoś zapukał do drzwi. Kiedy Sweet Bird je otworzył, zobaczył na progu szczupłego, umięśnionego mężczyznę ostrzyżonego po wojskowemu i ładną, ale patrzącą spode łba kobietę o krótkich, białych włosach. Podali właściwe hasło.

– Mouser. Snow. Miło was poznać. Nigdy wcześniej nie poznałem osobiście nikogo z Mrocznej Drogi.

– Zrozumiałeś, jaki jest plan? – zapytał Mouser. – Rozumiesz też, że ja dowodzę.

– To nie wyższa matematyka – odparł Sweet Bird. – Bierzmy się do roboty.

Wyjechali dwoma samochodami. Mouser prowadził. Snow spytała:

– Powiedziałeś temu gościowi, że Luke Dantry ma zginąć, jeśli tam jest?

– Nie – odpowiedział Mouser. – My się tym zajmiemy. Nie ufam nikomu innemu.

– On jest z Mrocznej Drogi. Jest w porządku.

– Nikt nie jest w porządku. Myślałem, że Henry jest okay. Rozprasza go ta troska o pasierba. To stało się naszym problemem. Jeśli Luke jest tam w środku, to nasze problemy się skończą.

## 39.

– Nic nie wiesz o tych pięćdziesięciu milionach – stwierdził Luke. – Chyba żartujesz.

Drummond przyjrzał się mu uważnie, jakby zastanawiając się, czy to nie blef.

– Nic nie wiedziałem. – Przekrzywił lekko głowę, jakby wsłuchiwał się w szum klimatyzacji. Przez ułamek sekundy jego spojrzenie powędrowało w róg kuchni. Gdyby Luke tak bacznie nie obserwował jego reakcji, pewnie by nawet tego nie zauważył. On też spojrzął w róg. Zobaczył niewielki otwór w suficie. Być może była tam kamera.

Nagle poczuł się, jakby byli obserwowani. Być może to tylko jego wyobraźnia. Jednak w ciągu kilku ostatnich dni nauczył się ufać swojemu instynktowi.

– Człowiek tak zdesperowany jak Eric wspominałby o każdej sprawie, która mogła mu pomóc w zapewnieniu sobie bezpieczeństwa. – Luke znów spojrzął na Drummonda. – Nie przemilczałby kwestii pięćdziesięciu milionów.

– Przekazanie nam informacji o Mrocznej Drodze zapewniłoby mu wystarczającą ochronę. Nie musiał wspominać o pieniądzach. – Po raz pierwszy Drummond wydał mu się poruszony. – Staraliśmy się go zidentyfikować na podstawie zdjęć z garażu na lotnisku w Austrii i zrobionych,

kiedy przekroczyliście dozwoloną prędkość pod Mirabeau. To on się z nami skontaktował.

– Czekaj, skąd wiedział, jak was znaleźć?

– Była to dla nas zagadka. Wiedział, że Quicksilver to coś więcej niż firma zajmująca się zarządzaniem ryzykiem. Chciał ochrony i przekazał mi wystarczająco dużo informacji o Mrocznej Drodze, abym uwierzył, że mówi poważnie. Nie zdążyłem się z nim spotkać twarzą w twarz.

Luke zdał sobie sprawę, że Drummond nie miał powodu, żeby kłamać.

– Czyli zamierzał zatrzymać pieniądze dla siebie. Wyciągasz z niego przydatne ci informacje, ukrywasz go gdzieś, gdzie nie może go osiągnąć Mroczna Droga, a on znika. Czekają na niego pięćdziesiąt milionów, do których nie ma dostępu ani Mroczna Droga, ani Quicksilver. Jesteście zbyt zajęci toczeniem wojny ze sobą nawzajem, żeby skupiać się na jego poczynaniach. – Był to prosty, lecz genialny plan.

– Gdzie są te pieniądze? – spytał Drummond.

– Powiedziałaś, że to nie ma znaczenia.

– Pieniądze pozwalają na rozkwit terroryzmu. Gdzie one są, Luke? Musimy je zabezpieczyć, zanim znajdzie je Mroczna Droga.

– Powiedz mi, co to jest Quicksilver, a dam ci te pięćdziesiąt milionów.

Drummond zamilkł na chwilę, jak gdyby powstrzymując gniew, wtedy Luke coś zobaczył; miniaturową słuchawkę w uchu Drummonda.

– Okay – powiedział Drummond. – Powiesz mi, gdzie są pieniądze, a ja odpowiem na twoje pytanie.

– Najpierw ja. – Luke obserwował róg kuchni, na który spoglądał Drummond. – Czy ktoś się nam przygląda? Albo nas podsłuchuje?

– A co za różnica? – Dla Luke'a oznaczało to potwierdzenie.

Wziął głęboki oddech, a potem znów zapytał:

– Chcę wiedzieć, jaki jest związek między tobą, moim ojczymem i moim ojcem. Dlaczego masz taki sam medalik jak ja?

Drummond złożył palce pod brodą i zmarszczył czoło.

– To związek między wami spowodował, że mnie zaatakowano. Jesteś po jednej stronie barykady, po drugiej jest Henry, obaj jesteście częścią przeszłości mojego ojca.

Drummond milczał przez długie dziesięć sekund.

– Twój widok przywołuje wiele wspomnień. Kiedyś niosłem cię na barana. Pamiętam, jak byłeś malutki, widziałem cię kilka razy w domu twoich rodziców. Na początku było nas trzech. Ja. Twój ojczym. I twój ojciec.

Te słowa wytrąciły Luke'a z równowagi. Jego ojciec prowadził sekretne życie, to, w co zawsze wierzył o swoim ojcu, zaczynało się nagle zmieniać. Zakręciło mu się w głowie.

– Na początku. Masz na myśli Klub Książki?

– Klub Książki był żartobliwą nazwą, ponieważ należeli do niego głównie profesorowie i pisarze, ale się przyjął. Departament Stanu zwerbował twojego ojczyma, a potem twojego ojca. Twój ojciec znalazł kilku innych, w tym mnie. Mieliśmy pracować w tajnym stowarzyszeniu, które miało w nowatorski sposób przyjrzeć się współczesnym problemom i spróbować znaleźć dla nich rozwiązania. Co robić, kiedy przywódca jakiegoś kraju staje się naszym wrogiem? Można dokonać na niego zamachu; jest to jednak zawsze tylko tymczasowe rozwiązanie. A może, sugerowali członkowie Klubu Książki, istnieje sposób, żeby osłabić wpływy tego człowieka. Być może wystarczy przeprowadzić niewielkie zmiany gospodarcze, które dotkną jego najzagorzalszych zwolenników, albo poddać go politycznym naciskom, których nie będzie interpretował jako interwencji państw zachodnich. To bardziej skuteczne niż zamach. Jednak wymaga to wyobraźni, ludzi i dobrze przemyślanych działań, które spowodują pożądane wydarzenia. To tylko przykład. Profesorowie byli mózgowcami; ja, Clifford, a czasami również profesorowie, realizowaliśmy zadania. Odnieśliśmy kilka sukcesów. Czasem subtelne działanie daje bardziej spektakularne rezultaty niż użycie siły. – Wskazał na fotografie. – Zaliczyliśmy też kilka porażek. Subtelność nie zawsze jest skuteczna.

– Nie za bardzo mogę to sobie wyobrazić. – Luke pokręcił głową. – Mój ojciec był profesorem historii. Tweedowe marynarki, w każdym kącie pełno książek, o których nikt nie słyszał, palce umazane kredą. A ty twierdzisz, że walczył z terroryzmem?

– Był jednym z najlepszych w tym fachu. Nie zdajesz sobie sprawy, jak dobry był ten zespół.

Luke znów usiadł. Zrobiło mu się duszno.

– To dlatego tak często wyjeżdżał na gościnne wykłady. Europa, Azja, Afryka. Nie chodziło wcale o wykłady czy prowadzenie badań. Chodziło o... szpiegowanie.

– Tak.

– Czy moja mama wiedziała?

– Nie wiem.

– Nie kłam. Wiedziała?

– Nie – powiedział Drummond po chwili. – Większość z nas nie miała żon. Tylko twój ojciec. Trzymał to przed nią w tajemnicy. Takie były rozkazy.

Rozkazy. Jego ojciec działał w tajnej organizacji. Ile tajemnic skrywał w sobie uśmiech Warrena Dantry'ego? Luke poczuł, że łzy napływają mu do oczu, i zamrugał, nie pozwalając im wypłynąć.

– A mój ojczym?

– Tak samo.

Rozejrzał się po pokoju, próbując odgadnąć, gdzie jeszcze mogą być kamery. Dziwne, że można dostać ataku klaustrofobii w pokoju pełnym okien.

– Tak. Ale oczywiście, kiedy zginął twój ojciec, rozpadł się również Klub Książki. Kilka tygodni przed swoją śmiercią zaczął planować stworzenie nowej grupy, ponieważ Klub Książki miał problemy. Twój ojciec i ojczym często się spierali ze sobą. Henry chciał się postarać o większe pieniądze, więcej uwagi departamentu, twój ojciec wolał nadal trzymać się na uboczu i realizować zadania.

– Quicksilver jest spadkobiercą Klubu Książki.

Drummond potarł twarz.

– Tak, założyliśmy organizację o nazwie Quicksilver. Twój ojciec zmarł, nim jego dzieło przybrało dzisiejszy kształt. Quicksilver powstał jako wynik naszej wcześniejszej pracy nad nowymi sposobami walki ze złem, powstrzymaniem terroryzmu, zanim się rozprzestrzeni, wykorzystywaniem nowych strategii w podejściu do starych problemów.

Nowy sposób. Zastanawiał się, skąd brali na to pieniądze, na ten budynek, na ochronę, prywatny odrzutowiec, na wszystko, czym mógł się pochwalić Quicksilver.

– Czy wciąż jesteście częścią Departamentu Stanu?

Zaśmiał się chropawo i pokręcił głową.

– Stworzyliśmy Quicksilvera, a ty przyczyniłeś się do stworzenia Mrocznej Drogi. – Drummond pocił się, jakby podsłuchujący ich ludzie oceniali to, co mówił, i bacznie go obserwowali.

Rozległ się dzwonek telefonu. Drummond pozostał na miejscu.

– Nie odbiorę – powiedział – bo chcę ci wyjaśnić, dlaczego tak mi zależy na tym, żebyś był bezpieczny. Twój ojciec uratował mi kiedyś życie, odwdzięczam się mu najlepiej, jak potrafię. Ukryję cię przed wojną.

– Wojną?

– Zaczyna się wojna. Tajna wojna.

Telefon przestał dzwonić. Cisza zawisła między nimi jak mgła.

– Nie da się prowadzić wojny w tajemnicy. Ludzie zwracają uwagę na rzeczy takie jak armie, kule czy pociski. – Luke pokręcił głową.

– Takich wojen już się nie prowadzi. Były dobre kiedyś. Potyczki, w których wrogie strony używały rządu swojego kraju jako reprezentanta. Pionka. Wpływy były kartą przetargową, a strony konfliktu były dwie, nie tysiące, jak teraz; każda ze stron wiedziała, że ma wsparcie swojego rządu, ich interesy były zbieżne, rządy pokładały w nich zaufanie. – Przez chwilę Drummond sprawiał wrażenie, jakby nie miał już siły mówić. Telefon



znów zaczął dzwonić. – Jednak rządy nie powstrzymały ataków z jedenastego września. Ani też wybuchów bomb na Bali, w Madrycie, Londynie czy Jordanii. Czy wiesz, ile one kosztowały?

– Tysiące ludzkich istnień.

– Tak. Oczywiście straty te niezwykle trudno oszacować, ale pomyśl: ile kosztowały? Ich negatywny wpływ na gospodarkę. Kto ponosi koszty gospodarcze?

– No cóż, wszyscy.

– Wszyscy? – Głos Drummonda był pełen pogardy.

Telefon przestał dzwonić.

– Okay. Najwięcej straciły rządy i duże firmy. Potem skutki zniszczeń obejmują niższe warstwy.

– Tak właśnie się dzieje, Luke. Tak. A po tych atakach mamy po prostu uwierzyć, że rząd wykona swoje zadanie. Ochroni nas. Że rozmaite rządy na świecie, wraz ze swoimi urzędami, które składają się z milionów potrzebnych, lecz niezależnych od siebie elementów, w okowach reguł i biurokracji, zaczną nagle działać skutecznie i spowodują rozwój swego kapitału ludzkiego i infrastruktury, który pomoże w walce z każdym cieniem i wariatem, każdym dupkiem, który ma laptop i własny cel? Sam wiesz, jakich ludzi znalazłeś dla Mrocznej Drogi. Wiesz, że mogą rozwiać się jak dym, że są w stanie spowodować wiele cierpienia za pomocą niewielkich nakładów finansowych i własnego fanatyzmu. Konieczne jest zachowanie równowagi sił. – Iskra z jego spojrzenia zgasła. – Jestem tutaj, żeby cię ochronić. Ale daj mi te pięćdziesiąt milionów, Luke. Powiedz mi wszystko, co wiesz o Piekielnym Ogniu.

– Nawet nie wiem, jakiego rodzaju to będzie atak. – Przestraszyło go to, że Drummond znał nazwę Piekielny Ogień. Pomyślał nagle: czego dowodzi medalik ze świętym Michałem? Niczego. Można go podrobić, żeby zdobyć zaufanie. Można kłamać. Nie było dowodu na to, że Drummond mówił prawdę.

– Pomyśl. To dzieło Mrocznej Drogi, wymieniałeś z nimi tyle listów.

Musisz wiedzieć, jaki obiekt by wybrali, gdyby chcieli wyrzucić wielkie wrażenie. Co byłoby dla nich wymarzoną celą, który faktycznie mogliby zaatakować.

– Już atakują różne cele. – Luke zamilkł. – Myślę jednak, że te ataki nie są częścią operacji Piekielny Ogień. Piekielny Ogień to coś większego. Na swojej stronie rozmawiają o atakach, ale ani słowem nie wspominają o Piekielnym Ogniu. Musi to być coś innego od tej serii niewielkich zamachów; coś związanego z pieniędzmi, na których im tak zależy. W psychologii terroryzmu nie jest czymś niezwykłym traktowanie mniejszych zadań jako prób, testów kwalifikujących do bardziej niebezpiecznych misji.

– Masz rację. Choć te ataki są przerażające, to wciąż mają ograniczony zasięg. Mają znaczenie wyłącznie lokalne. – Drummond zmarszczył czoło. – Może potrzebują tych pięćdziesięciu milionów, żeby sfinansować nową serię zamachów. Jeśli ich nam nie przekażesz, to ryzykujesz, że Mroczna Droga zagarnie te pieniądze.

– Jeśli ktoś jeszcze nas słucha lub obserwuje – wykrzyknął Luke w stronę sufitu – jeśli ma Aubrey, to chcę z nim porozmawiać. Proszę!

Drummond zakrztusił się ze śmiechu.

– Mądry z ciebie dzieciak. Domyśliłeś się, że ktoś nas podgląda. Ciesz się mnie to.

Telefon znów zaczął dzwonić. Drummond odebrał. Słuchał kogoś po drugiej stronie, a potem powiedział.

– Na litość boską! Najpierw niech powie, co wie, a potem zdecydujemy.

Drummond odwrócił się i poszedł w stronę innego pokoju, gdzie chciał dokończyć rozmowę.

Luke wstał i podniósł krzesło, głos w słuchawce musiał jednak ostrzec Drummonda, bo ten się odwrócił. Luke zamachnął się krzesłem z całej siły i uderzył Drummonda w głowę. Potem natychmiast uderzył go jeszcze raz, Drummond upadł.

Jęczał, z tyłu głowy sączyła mu się krew, miał półprzymknięte powieki. Telefon leżał na podłodze.

Luke podniósł słuchawkę.

– Halo? Widzieliście, jak Drummond ucina sobie drzemkę?

Cisza. Brak sygnału. Rzucił telefon i spojrzął ku górze, gdzie były kamery.

– Nie gram w wasze gierki. Jasne?! – wykrzyknął w powietrze. – Chcę, żebyście oddali mi Aubrey. Opowiem wam, co wiem o Mrocznej Drodze, kontaktach, wszystko, ale oddajcie Aubrey i powiedzcie, kim jesteście. Słyszycie mnie?!

Drummond zajęczał.

– Przepraszam – powiedział Luke. Zaciągnął Drummonda do niewielkiej spiżarki, zatrzasnął drzwi i zablokował klamkę krzesłem. Kiedy zamknął już Drummonda w towarzystwie ciast w proszku i butelek piwa, ponownie odwrócił się w stronę ukrytych kamer.

– Hej! Dlaczego chowacie się za plecami starszego człowieka? – kpił.

Telefon zadzwonił. Luke odebrał.

– Wypuść Drummonda ze spiżarki. – To była Aubrey. – Mają mnie. Musisz go wypuścić.

– Aubrey? Nic ci nie jest?

– W porządku. Nie zrobili mi krzywdy, Luke. Ci goście są chyba po stronie dobra.

– Daj mi porozmawiać z kimś, kto tym dowodzi.

Minęło kilka chwil. Zapadła cisza i Luke myślał przez chwilę, że połączenie zostało przerwane. W końcu usłyszał w słuchawce nieznaną głos:

– Uwolnij pana Drummonda. I musicie natychmiast opuścić budynek – zażądał ktoś mówiący z delikatnym francuskim akcentem.

– Co się dzieje?

– Natychmiast opuście budynek. – Został zaatakowany.

– Przez kogo? – Otworzył drzwi do spiżarki i wyciągnął stamtąd Drummonda. Był zamroczony, krew sączyła mu się z ucha i ze skroni.

Luke znów przyłożył słuchawkę do ucha.

- Kim jesteście?
- Uciekaj stamtąd, Luke! Natychmiast!

Odłożył słuchawkę i zaczął przetrząsać apartament w poszukiwaniu broni.

Znalazł sypialnię, obok niej małe biuro. W biurku znalazł pomięty szary skoroszyt, który wyglądał, jakby ktoś go tam wepchnął w pośpiechu.

W środku były różne papiery. Informacja prasowa o śmierci jego ojca; katastrofa samolotu z kilkoma uznanymi profesorami na pokładzie. Teczka dotycząca Ace'a Beere'a, człowieka, który przyznał się do manipulowania maszynierią samolotu, nim strzelił sobie w łeb. Nalepiona kartka z notatką: *Sprawdzić kamery na lotnisku pod kątem ujęć z ostatniego lotu Klubu Książki, porównać z podejrzanymi z Mrocznej Drogi, poprosić archiwum fotograficzne o porównanie twarzy.*

Pod notką znajdowało się stare zdjęcie Mousera. Było tam też nowe zdjęcie, wyglądało jak klatka z filmu nakręconego przez kamerę, podpis głosił LOTNISKO LAKEFRONT. Mouser i Snow idący w stronę wejścia. Kolejne ujęcie Mousera, tym razem chyba z kamery nadzorującej ruch na Armitage, podczas pościgu po zastrzeleniu Erica. Fotografia była słabszej jakości, ale wciąż był to bez wątplenia Mouser.

Luke poczuł skurcz w brzuchu. Mouser. Czy miał coś wspólnego ze śmiercią jego ojca? Skąd Quicksilver miał dostęp do tych ujęć?

Ostatni dokument przypięto do zdjęcia mężczyzny zastrzelonego w Houston. Fotografia była niewyraźna, lekko prześwietlona przez słońce. Wyglądała, jakby zdjęcie zrobiono na pustyni; za mężczyzną ciągnęły się wydmy. Na fotografii obok tego człowieka stał ojciec Luke'a. Trzymał rękę na jego ramieniu. Byli ubrani w wojskowe stroje, przy boku mieli broń. Obok jego ojca stał Drummond, uśmiechał się i obejmował ojca ramieniem.

Do fotografii dołączono wydruk będący zapisem służby niejakiego Alena Clifforda dla Departamentu Stanu. Odszedł stamtąd dwa tygodnie po śmierci ojca Luke'a.

Pospieszył do kuchni. Drummond usiadł na podłodze, trzymał się za głowę.

– Drummond!

– Co? – padło opryskliwe pytanie, jego głos był pełen bólu.

– Bardzo przepraszam. Twoi przyjaciele mówią, że musimy stąd uciekać, ktoś nas zaatakował.

Drummond skupił wzrok na czerwonym światełku, które migało w kuchni.

– Ktoś próbuje przedrzeć się przez system zabezpieczeń. – Niepewnie stanął na nogach. – Mamy nieproszone towarzystwo, Luke. Mroczna Droga musiała cię tu namierzyć. Mam nadzieję, że jesteś gotowy do walki.

## 40.

Dziesięć minut wcześniej Snow zapukała do drzwi budynku Quicksilvera. Portier wstał i obejrzał ją zarówno przez kamerę monitorującą ulicę, jak i przez kuloodporne drzwi.

– Przyszłam się zobaczyć z panem Drummondem z Quicksilver Risk Management – powiedziała z niepewnym uśmiechem Snow.

Portier zdawał się niewzruszony jej postawą. Spojrzał na nią twardo.

– Akwizytorom dziękujemy – odprawił ją przez interkom.

– Nie jestem akwizytorem. Reprezentuję firmę komputerową, która zarejestrowała znak handlowy Quicksilver Risk Management w stanie Nowy Jork, próbowałam się na wszelkie sposoby skontaktować z Quicksilverem pod tym adresem, ale nic nie poskutkowało. – Przeczesała ręką swoje śnieżnobiałe włosy.

– Nie jesteśmy zainteresowani.

– Cóż, mogą być państwo zainteresowani tym, że mój klient planuje wnieść pozew przeciwko wam o korzystanie z zastrzeżonego znaku handlowego. Jeśli nie pozwoli mi pan porozmawiać ze swoim zwierzchnikiem, to będę musiała wezwać policję i prasę, a następnie powiadomić ich, że nie chcą państwo przyjąć dokumentów sądowych.

Portier nie był upoważniony do udzielania informacji na temat personaliów właścicieli budynku. Jego zdaniem policji też nie powinno to interesować. Jednak ta kobieta robiła scenę, a jednym z jego zadań było chronienie budynku przed zainteresowaniem ze strony społeczeństwa i policji.

Weszła do środka, kiedy nacisnął guzik zwalniający zamki. Sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej okazałą kopertę.

– Doprawdy, jak wasi klienci się z wami kontaktują?

Kiedy odzwrotny sięgnął po paczkę, jedna jej część eksplodowała. Kula wdarła się w jego ciało, jakby to był papier, i mężczyzna przewrócił się na granitowy kontuar.

Snow przypomniawszy sobie umundurowanych mężczyzn, którzy otoczyli palącą się farmę, jedyny dom, jaki kiedykolwiek znała, i ucieszyło ją, że portier zginął. Podeszła do frontowych drzwi i wpuściła Mousera. Podparła drzwi metalowym klinem, żeby się nie zamknęły. Razem usunęli ciało portiera z widoku.

Pospieszyli w stronę windy. Przeciągnęła przez czytnik kartę z elektronicznego skanera kodów, która była połączona ze zmodyfikowanym palmtopem, dostali ten zestaw od Sweet Birda, miał im pomóc w odblokowaniu windy; w ciągu trzydziestu sekund urządzenie przetestowało tysiące kombinacji, znalazło tę właściwą i drzwi windy się zamknęły. Snow przycisnęła guzik najwyższego piętra. Tam zaczęła poszukiwania.

Winda zaczęła jechać do góry. Zatrzymała się gwałtownie na piątym piętrze.

Sweet Bird wysłuchiwał ich meldunku dzięki odbiornikowi zamontowanemu w uchu.

– Zrozumiałem – powiedział. Odwrócił się do kolegów. – Nasi szpanerzy wpadli w pułapkę. – Nie miał zamiaru cały dzień bawić się w żołnierza; nie chciał narażać siebie lub swoich ludzi na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Nie miał jednak wyboru. Kierowca furgonetki włączył się do ruchu, miał objeżdżać budynek dookoła, aż zostanie wezwany.

Drzwi były podparte, ale Sweet Bird kopnął podpórkę, żeby zamknęły się za nimi.

– Wejdz do systemu komputerowego – rozkazał jednemu ze swoich ludzi. – Sprawdź, czy windę da się jakoś uruchomić, czy musimy iść schodami.

Nagle z drzwi po drugiej stronie holu wypadło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Strzelanina rozpoczęła się w chwili, kiedy Sweet Birdowi udało się zanurkować za granitowy kontuar.



– Poszukaj guzika, którym można odblokować windę – zażądała Snow przez mikrofon. Odgłos strzelaniny, jaka rozpętała się pięć pięter pod nimi, nagle ucichł.

Podczas gdy czekała na odpowiedź, w windzie zapadła cisza. Snow miała nadzieję, że Sweet Bird i jego ludzie byli wciąż żywi.

– Znalazłem – powiedział Sweet Bird.

Winda ruszyła gwałtownie i zaczęła wjeżdżać na ostatnie piętro.

– Jeśli Luke albo te dupki mają nasze pieniądze, to zabijemy ich, jak tylko je dostaniemy.

– Ja biorę chłoptasia – stwierdziła Snow. – Zranił mnie bardziej niż ciebie. Kula jest gorsza niż cios nożem.



– Czy wiesz, kto zabił mojego ojca? Czy to był Mouser?

– Na litość boską, nie teraz, Luke. Masz tu broń. Wynosimy się stąd.

– Powiedz swoim znajomym po drugiej stronie kamery, żeby zadzwonili na policję, jeśli coś nam grozi.

– Oni są daleko. Nie mogą nam pomóc.

– Co to znaczy daleko?

– W Europie.

– Dlaczego zabierają Aubrey do Europy? – Potem przypomniał sobie słowa Frankiego Wu w Chicago, kiedy omawiał trasę ich podróży. Nowy Jork. Paryż.



– Umiesz się tym posługiwać? – Drummond wyjął glocka 9 z szafki w kuchni i podał go Luke'owi.

– Jeśli będę miał wystarczająco dużo czasu, żeby wycelować.

– Nie bądź perfekcjonistą. – Skręcili za róg w stronę wejścia. Drzwi windy były otwarte, a Mouser wycelował swój półautomat i otworzył ogień. Kule wbiły się w dębową okładzinę na ścianie, tuż przy uchu Luke'a, Drummond popchnął go za róg, ostrzeliwując przeciwnika.

Wycofali się do kuchni. Wymuskany salon – nieskazitelne kanapy, szklane stoliki, porażające zdjęcia niepotrzebnego cierpienia wyeksponowane na ścianach – wszystko to zostało zniszczone w trakcie ostrzału.

Drummond i Luke schowali się za blatem w kuchni. Kilka kul odbiło się od jego granitowej powierzchni.

Potem cisza.

Drummond wskazał na drzwi w rogu kuchni i gestem wytłumaczył Luke'owi, że prowadzą na dach. Musieli przebiec prawie cztery metry bez żadnej osłony.

Luke pokręcił głową.

– Chłoptasiu – odezwała się Snow – mam ślady od tego łańcucha na szyi i ranę w ramieniu. – Potem zamilkła.

Luke wiedział, co się stanie, jeśli Snow dostanie go w swoje ręce. Czeka ją go tortury.

Patrzył na Drummonda i nasłuchiwał odgłosu stąpania po okruchach szkła. Ale panowała cisza. Cisza, która nappełniała go przerażeniem.

Ciągnęła się w nieskończoność.

– Żaden z sąsiadów nie zadzwonił po pomoc, panie Drummond! – krzyknął Mouser. – Ten budynek jest pusty. Nasi ludzie sprawdzili wszystkie piętra i nie znaleźli nikogo. Jak was na to stać w Nowym Jorku?

– Majątek rodzinny – odparł Drummond i sięgnął do szuflady kuchennej, by wyciągnąć z niej spory nóż.

– Jak ci idzie, Luke?! – zawołał Mouser.

– Lepiej niż Snow! – odrzyknął Luke. Czy to ty zabiłeś mojego ojca?  
– pomyślał Luke. Chciał o to zapytać, ale nie mógł wymówić tych słów.

– Żaden z ciebie przeciwnik – odrzekł Mouser. – Jeśli będziesz współpracował, to wrócisz sobie do domu, do twojego przybranego tatusia. Jeśli nie, oddam cię mojej dziewczynie, gwarantuję ci, że nie rozdaje lizaków. A teraz się zamknij i pozwól porozmawiać dorosłym. Panie Drummond?

– Co, dupku?

– Powiedz mi, kto próbuje oszukać Mroczną Drogę.

Drummond się nie odzywał.

– Ty pomożesz mnie, a ja pomogę tobie. – Głos Mousera słychać było coraz bliżej.

– Dobra. Oto warunki – powiedział Drummond. – Pójdziecie sobie, a ja was nie zabiję. – Snow milczała; Luke pomyślał, że pewnie podchodzi coraz bliżej, szczerząc zęby we wrednym uśmiechu. Zaryzykował i wyrzwał zza rogu wyspy kuchennej, ale niczego nie zobaczył.

– Pójdę sobie, ale z Lukiem, a ty będziesz żył.

– To Eric ukradł wasze pieniądze. Nie my. Idę tylko z Lukiem – odparł Drummond.

– Mamy przewagę. Ludzie z gangu czekają w holu. Jesteśmy dwanaście pięter nad ziemią. Nie macie dokąd uciec.

– Chyba że w moje ramiona – głos Snow zabrzmiał, jakby była po drugiej stronie kuchennego blatu.

Mouser kontynuował negocjacje.

– Eric ukrył kasę, a wy mieliście go stąd zabrać. Myślę, że Eric dał pieniądze Aubrey i Luke'owi.

– Chcicie wiedzieć, co Eric zrobił z waszymi pieniędzmi? – spytał Luke. – Wiem dokładnie, gdzie je ukrył. Jeśli zginiemy, nigdy się tego nie dowiecie. – Został im tylko blef. Luke bał się coraz bardziej. Nie chciał się jednak poddać temu uczuciu.

Drummond znów wskazał w kierunku schodów. Nie da rady, pomyślał Luke, nie da rady. Ale nie mieli wyboru.

– Luke, nie zmęczyło cię to uciekanie? – spytał Mouser.

Luke pokazał Drummondowi dłoń z rozcapierzonymi palcami, a potem wskazał na drzwi prowadzące na dach. Następnie znowu otworzył dłoń i zaczął zginać palce. Pięć palców. Cztery. Odliczał.

Luke chciał zastrzelić Mousera. Czuł, jak narasta w nim nienawiść i wściekłość.

Trzy. Dwa.

– Luke, nie chcesz się znów zobaczyć ze swoim ojczymem? Macie sporo do omówienia – powiedział Mouser.

– Nie – odparł Luke. – Ty z nim porozmawiaj. Obydwaj jesteście zdrajcami.

Jeden palec. Drummond poruszył ustami, bezgłośnie mówiąc: Uciekaj. Nie miał się jak z nim kłócić. Nie mógł się oglądać za siebie.

– Teraz – wyszeptał Drummond. W jednej dłoni trzymał nóż, a w drugiej pistolet.

– To ty jesteś zdrajcą! – warknął Mouser, a wtedy Luke rzucił się w kierunku schodów. Spodziewał się gradu kul. Schylił się nisko, wbiegając po schodach, usłyszał odgłos strzałów, krzyk wściekłości Mousera i wrzask Snow.

Dach. Wybiegł przez drzwi, Drummond był tuż za nim, miał zakrwawione ramię. Luke zatrzasnął drzwi i zamknął zasuwę. Dziwne, że znajdowała się po zewnętrznej stronie – to faktycznie musiało być wyjście awaryjne Drummonda.

– Nie mamy jak się skąd wydostać.

– Nieprawda. Na dół. – Drummond zacisnął zęby z bólu.

– To samobójstwo.

Kule zaczęły uderzać w okucie wokół zamka.

Drummond złapał Luke'a i odciągnął od drzwi. Oprócz uderzeń we wzmocnione drzwi Luke słyszał szum samochodów jadących po ulicy kilkadziesiąt metrów niżej i tupot niezliczonych stóp po chodniku.

– Nigdy nie pozwól, by przytrafiła ci się sytuacja bez wyjścia – poradził mu Drummond.

– Właśnie się w takiej znaleźliśmy.

Drummond zaczął odgarniać nogą żwir wokół wystającej z dachu metalowej kopułki, która sprawiała wrażenie części jakiejś instalacji. Została zabezpieczona elektronicznym zamkiem.

– Mamy piętnaście sekund.

– Co do licha robimy?

– Jeśli ci na dole są uzbrojeni, to będziesz musiał strzelać. Możesz się bać, ale nie myśl o tym. Czas, abyś udowodnił, że jesteś synem swojego ojca.

Właz się otworzył i Drummond nakazał Luke'owi gestem, by ten wczułgał się do środka. Za nimi drzwi na dach zaczęły wychodzić z zawiasów.

– Bądź cicho. Ani słowa.

Luke wsunął się w ciemność. Wąski tunel wiódł w kierunku szybu windy. Prawie trzy metry pod sobą Luke dostrzegł kabinę windy, na jej dachu było wejście.

Drummond miał chyba zamiar dostać się do windy i zaatakować Snow i Mousera od tyłu. Zaskoczą ich strzałami w plecy. Jednak kiedy tylko Mouser i Snow dostaną się na dach i zobaczą, że jest pusty, czyli za kilka sekund, Mouser zda sobie sprawę, że musieli z powrotem wejść do budynku. Wtedy zaalarmuje resztę ludzi w środku.

Drummond zamknął za sobą właz i przytknął brudny palec do ust. W słabym świetle kontrolek i poświacie z szybu windy wyglądał jak stary, zmęczony lew. Jego ramię było zalane krwią.

Postrzelili go. Luke musiał mu pomóc dostać się do lekarza.

Krzywiąc się z bólu, Drummond wbił kod w klawiaturę na dachu windy i blokujące właz zamki otworzyły się ze szcęknięciem. Wtedy wbił inny kod, najpewniej dezaktywując skaner wykrywający broń, żeby winda mogła zjechać niżej. Luke zaczął otwierać właz na dachu windy, ale wtedy Drummond złapał go za ramię. Wskazał na coś.

W otworze widać było wnętrze kabiny i leżący na podłodze pod przyciskami

wybierania piętér palmtop wraz z czytnikiem do kart. Luke domyślił się, że Snow i Mouser musieli użyć elektronicznego wytrychu, żeby obejść zabezpieczenia windy.

Usłyszał, jak drzwi zostały wyważone, Mouser rozkazał Snow zostać na dachu.

Luke otworzył właz do windy i delikatnie wślizgnął się do środka. Jeśli go usłyszą...

Snow i Mouser wkrótce się zorientują, że dach jest pusty, i domyślą się, że Drummond i Luke wrócili do środka. Za kilka sekund wpadną na korytarz i rzucą się do windy.

Nacisnął przycisk parteru.

Nic się nie wydarzyło. Drzwi pozostały otwarte; winda się nie ruszyła.

W oddali usłyszał, jak Mouser krzyczy do Snow, że droga wolna.

Jeszcze raz wcisnął przycisk. Nic. Wyjął kartę z czytnika i ponownie nacisnął guzik. Dalej nic. Winda nie chciała się ruszyć.

Tamci zmienili kod dla windy. Żeby Luke i Drummond znaleźli się w pułapce. Nie mieli stąd innej drogi ucieczki.

Luke przyjrzał się czytnikowi kart. Spędził tak wiele czasu przy komputerze, pomagając w tworzeniu Mrocznej Drogi, a nie da sobie rady z czymś takim? Jeśli to urządzenie pomogło złamać pierwotny kod, powinno teraz uruchomić windę; ponownie wsunął kartę w czytnik. Palmtop połączony z czytnikiem za pomocą cienkiego kabelka zaczął pracować. Po jego ekranie przesuwaly się cyfry.

Usłyszał, jak ktoś zbiega po schodach. Przyspieszone oddechy.

Na ekranie dalej pojawiały się i znikaly cyfry.

Luke przywarł do drzwi windy, żeby nie było go widać z korytarza. On nie widział ich, a oni jego. Usłyszał ich głosy ledwie kilka metrów od siebie.

– Nie uciekli przez dach, żadnych wybitych szyb, niczego, po czym

mogliby zjechać na dół – Mouser zdawał się mówić do jakiegoś niewidzialnego rozmówcy. – Muszą być w środku, Sweet Bird.

Winda wydała z siebie cichy, zdradliwy dźwięk i zaczęła się powoli zamykać.

Usłyszał, jak ktoś biegnie, między zamykające się drzwi wsunęła się lufa pistoletu. Drzwi zaczęły się otwierać.

Luke pomyślał w jednej chwili, że wahanie oznacza śmierć. Chwycił pistolet za lułę, nim znalazł się na celowniku.

Do windy wpadła Snow. Przechyliła się w jego kierunku, próbując odzyskać kontrolę nad pistoletem i wycelować go w brzuch Luke'a. Spoza jej zakrwawionego ramienia widać było Mousera, który pędzi w kierunku windy zdemolowanym korytarzem, z bronią wzniesioną ku górze.

Snow była niesamowicie silna i zatopiła zęby w nadgarstku Luke'a, cały czas próbując wycelować w niego broń. Szamotała się z nim, stając mimowolnie na linii strzału pomiędzy Lukiem a Mouserem.

Pędzący korytarzem Mouser krzyknął do Snow:

– Zejdź mi z drogi!

Luke kopnął panel sterowania windy, kiedy mocował się ze Snow, udało mu się trafić w przycisk zamykania. Drzwi się zamknęły i winda zaczęła zjeżdżać.

Nadal siłował się ze Snow, która usta miała zbroczone jego krwią. Jej broń wyślizgnęła mu się z ręki. Skierowała ją w stronę Luke'a. Nie miał się dokąd wycofać. Odepchnął ją, wyszarpując jej broń, potem się potknął i runął w róg windy.

Zatrzymali się nagle, Luke usłyszał, jak metal zgrzyta o metal. Snow upadła na niego, próbując pochwycić pistolet, i poczuł, że broń wystrzeliła.

Snow zgięła się wpół, krew chlusnęła mu na nogi. Nie wiedział, czy to jego krew, czy jej. Otworzyła szerzej oczy, kiedy upadła.

Drummond zeskoczył przez właz i wylądował na kolanie.

Luke zobaczył w oczach Snow strach, dotknęła rany na piersiach dłonią zaciśniętą w pięść, jakby chciała zatrzymać uciekające z niej życie.

Naplula mu w twarz, kiedy pochylił się nad nią, i umarła.

– Ja... ja... – Luke nie wiedział, co powiedzieć.

– Zabiłaby cię, a później sobie z tego żartowała – stwierdził Drummond. – Chodźmy. Sprawdźmy, na którym piętrze jesteśmy.

Luke usłyszał, jak nad nimi Mouser wykrzykuje imię Snow.

# 41.

Mouser potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co się stało. Te dwa dranie – staruch i ten słabeusz z dziewięcioma zyciami – weszli do kabiny windy przez dach.

Otworzył drzwi siłą. Musiał zebrać całą swą odwagę, ale zajrzał w ciemność szybu.

Usłyszał odgłos strzału i zobaczył, że Drummond wskakuje z dachu kabiny do środka. Zamknął za sobą właz.

– Kochanie! – krzyknął w czeluść. Echo odpowiedziało mu: „Nie... Nie...”.

Wewnątrz szybu dostrzegł poręczę. Wskoczył do środka i złapał się ich mocno. Zaczął schodzić.



Siódme piętro. Pobiegli w kierunku schodów. Całe to piętro stanowiła ogromna, pusta przestrzeń. Miękkie światło rysowało betonową podłogę w kwadraty. Nie było się gdzie ukryć.

Cicho, lecz szybko dobiegli do schodów. Kilka pięter niżej usłyszeli odgłos otwieranych drzwi.

– Cholera! – wyszeptał Drummond i oparł się o Luke'a. Rany głowy i ramienia sprawiły, że mówił niewyraźnie i chwiały się na nogach. – Nie daj



się ponieść emocjom. Zachowaj dystans i trzeźwy umysł. Zawsze.

- Daruj sobie te rady – powiedział Luke.
- A tak w ogóle nie mam już amunicji.
- Mam pistolet, który mi dałeś.

Doszli do trzeciego piętra. Przechowalnia. Żadnych lokatorów. Wszędzie skrzynki i pudła. Owinięte w folię meble biurowe – krzesła i biurka.

Drummond nasłuchiwał.

- Nadchodzą. Są chyba na klatce schodowej.
- Wyjdziemy przez okno. – Luke dopadł okien i zaczął wyglądać na dół. Po jednej stronie budynku niemal nikt nie chodził.

Odarł jedno z biurek z plastiku i przeplótł wąż gaśniczy przez otwór szuflady, potem wypchnął biurko przez okno. Szyba pękła z hukiem, a biurko poleciało w dół, ciągnąc za sobą rozwijający się wąż. Biurko zawisło trzy metry nad ziemią, dyndając jak zepsute wahadło.

- Chodź! – wrzasnął Luke. – Właż mi na plecy. – Nie było czasu, żeby po kolei zeszli w dół. Luke ugiął się pod ciężarem Drummonda i dopadł zaimprovizowanej liny.

## 42.

Kamery w kuchni Drummonda zostały zniszczone w trakcie strzelaniny, którą rozpętali Mouser i Snow. Obserwatorzy – szef, wystraszony Francuz i Aubrey – musieli się zatem zadowolić obrazem satelitarnym budynku Quicksilvera. Widzieli, jak Luke i Drummond wycofują się na dach, znikają we włązie, potem zobaczyli, jak na dach wydostają się Mouser i Snow, a kilka sekund później na powrót znikają we wnętrzu budynku.

Aubrey wydała z siebie okrzyk przestraszu.

Ekran komputera umieszczono w rogu pomieszczenia, Aubrey ledwie słyszała odgłosy rozmowy, bo zagłuszał ją ryk silników. Dostała jakieś leki, najpierw po to, żeby zasnąć, potem, żeby zmusić ją do mówienia, tak się jej przynajmniej wydawało. Leżała na koi i wpatrywała się w szary sufit, kiedy podszedł do niej szef, kazał jej wstać i porozmawiać z Lukiem przez telefon.

Luke przeżył. Szef mówił jej, co ma powiedzieć, a ona wykonywała polecenia. Potem zobaczyła i usłyszała strzały w kuchni, dalej nie było już nic.

Szef odepchnął Aubrey od ciemnego ekranu.

– Musicie pomóc Luke'owi – błagała. – Proszę. – Od leków kręciło się jej w głowie.

Szef zignorował jej słowa.

– Jakaś odpowiedź od ochrony?

– Żadnej – powiedział wystraszony Francuz. – Musimy przyjąć, że zabili ich ci uzbrojeni ludzie z parteru.

– Drummond?

– Nie odpowiada. Pewnie jest zajęty.

– Wejdz do systemów komputerowych budynku. Skasuj wszystkie dane. Co możesz tam zainstalować, żeby zamydlić oczy policji?

– Mamy gotową historyjkę. Ten budynek to prototyp, zbudowano go, aby testować systemy zabezpieczeń, które są następnie wprowadzane do sprzedaży. Wyczyścimy komputery, a następnie zainstalujemy odpowiednie dane, żeby poprzeć tę tezę.

– Dobra. Niech to będzie coś prostego.

Francuz zabrał się do pracy.

– To im nie pomoże! – wrzasnęła Aubrey.

Szef spojrzał na nią.

– Wiem. Wróć na miejsce i połów się. Wkrótce lądujemy.

Stary samolot transportowy zaskrzypiał i Aubrey spojrzała ponad ramieniem mężczyzny. Na ekranie, który przekazywał obraz z kamery satelitarnej, widać było chmurę szkła, przez którą przebiło się biurko wylatujące z trzeciego piętra budynku.

– Luke? – wyszeptała z niedowierzaniem Aubrey.

## 43.

Wąż gaśniczy wytrzymał ciężar, biurko dyndało dobre trzy metry nad ulicą.

Luke złapał się mocno węża i ześlizgnął na blat biurka. Drummond był szczupły, ale bardzo umięśniony i ważył chyba z tonę.

Luke spojrział ku górze i zobaczył chudego mężczyznę, który patrzył na nich przez rozbite okno.

Mężczyzna wycelował w nich karabin i poczekał kilka chwil, mówiąc:

– Bardzo mi ułatwiłeś zadanie.

Za jego plecami Drummond wykonał gwałtowny ruch i Luke poczuł, że wyciągnął mu pistolet zza pasa, a potem usłyszał huk wystrzału tuż za uchem.

Chudzielec schował się do środka albo padł martwy, tego Luke nie był pewny. Wąż gaśniczy wymknął mu się z rąk, razem z Drummondem uderzyli w biurko, ześlizgnęli się z niego i zaczęli spadać. Luke poczuł, że Drummond osłania go ciałem, chcąc przyjąć na siebie impet uderzenia o beton.

Zabolało. Luke poczuł, że z płuc ucieka mu całe powietrze. Wylądował na Drummondzie, którego oddech stał się krótki i urywany. Luke nie mógł skupić wzroku – zauważył, że biurko wisi nad nimi.

Trzeba uciekać.

Wstał nieporadnie – czuł się tak, jakby wszystkie jego mięśnie oderwano od ciała, a potem poupychano z powrotem – i spróbować dźwignąć Drummonda z chodnika.

– Nie dam rady... złamałem nogę... idź – wysyczał Drummond.

Luke nie miał zamiaru zostawiać go tutaj. Podniósł go i wsparł na swoich ramionach. Wśród szumu popołudniowego ruchu rozległa się policyjna syrena.

Wziął Drummonda w ramiona i zaczął go wlec w kierunku ulicy. Chciał się jak najszybciej oddalić od budynku i przebywających w nim morderców.

– Moje kluczyki – Drummond poklepał się po kieszeni.

– Masz samochód?

– Moje kluczyki – powtórzył, potem rozległ się strzał, który trafił go w plecy, niedaleko dłoni Luke'a, który go podtrzymywał. Kula przebiła się koło kręgosłupa, a siła wystrzału niemal przewróciła Luke'a.

Tłum, który gęstniał wokół nich, nagle się rozpierchł, jakaś kobieta krzyczała, studenci rozbiegli się w popłochu.

Luke się nie zatrzymał. Niedaleko była mała kawiarnia, wszedł do niej, ciągnąc za sobą Drummonda, kiedy właściciel właśnie wychodził na zewnątrz, żeby zobaczyć, co tym razem dzieje się na ulicy. Przy stolikach siedzieli ludzie z nosami przyklejonymi do swoich laptopów, z ich ust wydobyły się okrzyki przerażenia, barmanka zaczęła krzyczeć.

– Proszę, niech ktoś wezwie policję! – zawołał Luke.

Drummond z wysiłkiem otworzył oczy.

– Moje kluczyki. Uciekaj. Nie wzywaj policji. – Przez chwilę skupił spojrzenie na twarzy Luke'a. Złapał medalik ze świętym Michałem, który wysunął się zza koszuli Luke'a, kiedy ten przy nim ukląkł. Chciał jeszcze sięgnąć do kieszeni i umarł.

O Boże, pomyślał Luke. W kieszeni zmarłego znalazł kluczyki z otwieraczem do butelek w roli breloczka. Sięgnął po broń Snow, którą Drummond zaciskał w dłoni.

Kiedy wziął broń do ręki, wszyscy w kawiarni się cofnęli.

Zastanowił się chwilę, potem zerwał Drummondowi z szyi medalik ze świętym Michałem. Pobiegł za ladę i tylnym wyjściem wybiegł na wąską uliczkę. Jej koniec był zagrodzony metalową bramą.

Kluczyki. Samochód. Drummond musiał mieć samochód. Na otwieraczu do butelek był wygrawerowany adres parkingu pod wynajem. Cztery przecznice dalej.

Luke wspiął się na bramę, skoczył na ulicę i zaczął biec.

## 44.

Ostatnia kula w długiej karierze Drummonda trafiła Sweet Birda w podbródek, upadł do tyłu z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

Mouser podniósł karabin, który leżał obok jego zwłok. Wystrzelił raz i, jeśli mu się poszczęściło, to tym jednym strzałem zranił Drummonda i Luke'a.

W budynku miało za chwilę rozpętać się piekło. Musiał stamtąd uciekać. Nie miał czasu na pożegnanie ze Snow. Złożył na jej ustach pożegnalny pocałunek i zostawił w kabinie windy. Kiedy wybiegał z budynku, mrugał oczami, żeby odgonić napływające łzy, musiał uciec przed policją i wmieszać się w tłum. Część ludzi Sweet Birda zginęła, a reszta rozpierzchnęła się w tłumie.

Luke i Drummond ją zamordowali. Bardzo szybko udało mu się zemścić na Drummondzie, ale Luke wciąż był żywy. Mouser poczuł, jak ogarnia go zimna chęć mordowania, którą czuła Snow, jakby jej duch przenikał jego ciało. Dygot w jego sercu powoli ustawał. Nawet nie wiedział, jak naprawdę miała na imię.

Dopadł tylnego wyjścia kawiarni; widział, w którą stronę pobiegł Luke. Ciało Drummonda wciąż leżało rozciągnięte na podłodze. Sprawdził mu kieszenie. Nic. Nie było jeszcze glin; na zewnątrz kobieta w fartuchu kelnerki rozmawiała z policjantem, wskazywała w kierunku sklepu.

Wycofał się tylnymi drzwiami. Biegająca tamtędy uliczka była pusta, wychodziły na nią tyły innych budynków. Gdzie się podział Luke? Dokąd zamierzał pójść?

Mouser przypomniał sobie trasę lotu przewidzianą dla Erica – widział ją na lotnisku w Chicago – Nowy Jork, a potem Paryż.

Pobiegł w kierunku bramy zamykającej uliczkę, był wściekły na Luke'a, ale też na Henry'ego, który zlecił mu to bezsensowne zadanie.



Garaż miał cztery piętra i Luke szedł spiesznie wśród rzędu samochodów, naciskając guzik pilota, aż jeden z samochodów – Ford – zamrugał światłami. Otworzył bagażnik, była tam walizka i spakowana torba. Wziął walizkę i położył ją z przodu, na siedzeniu pasażera. Samochód wciąż pachniał nowością. Nie przejechał nawet dwustu kilometrów. Luke przeszukał podręczny schowek. Został sprzedany niejakiemu Jamesowi Morga-nowi.

Pilot samolotu, Frankie Wu, wspominał coś o Paryżu. Musiał być powód, dla którego Eric miał międzyładowanie w Nowym Jorku – może miał się spotkać z Drummondem i dobić z nim targu w sprawie wymiany informacji – a potem polecieć do Paryża.

Ale po co? Na jeszcze jedno spotkanie? Drummond mówił, że ludzie, którzy przysłuchiwali się ich rozmowie, lecieli do Paryża.

Włączył się do ruchu, zostawiając za sobą budynek Quicksilvera i obserwując w tylnym lusterku, czy nie dostrzeże gdzieś Mousera. W myślach wciąż przypominał sobie strzał, który zabił Snow. Intencje nie miały tu znaczenia. Zabił ją. Zakończył czyjeś życie, jednak los, jaki ją spotkał, był wynikiem jej osobistych decyzji.

Kiedy zatrzymał samochód na czerwonym świetle, otworzył walizkę. Dwa kanadyjskie paszporty, jeden dla Drummonda, na nazwisko James



Morgan, drugi dla Luke'a, na nazwisko Tom Morgan. Fotografia w paszporcie była przerobioną wersją jego zdjęcia z prawa jazdy, sprytnie poszerzoną tak, żeby spełniała wymogi paszportowe. W środku były pieczętki wjazdu na teren Stanów Zjednoczonych i Bahamów. Wydawały się autentyczne. Policzył gotówkę. Około dwóch tysięcy dolarów. Znalazł karty kredytowe na nazwisko Tom Morgan. Obietnica, że gdzieś go ukryją, była prawdziwa i miała zostać zrealizowana natychmiast. Znalazł też dwa bilety na późny lot do Paryża, zakupione na fałszywe nazwiska, dwa siedzenia obok siebie. Samochód miał GPS, na następnych światłach Luke wpisał jako adres docelowy lotnisko JFK.



Aubrey leżała na koi, kiedy usłyszała, jak wystraszony Francuz mówi do szefa:

- Mamy sygnał z samochodu Drummonda.
- Udało mu się wydostać? – spytał szef. Na ujęciu z kamery satelitarnej wydawało się, że Drummond został postrzelony.

Cisza.

- Zastanawiam się, co teraz zrobią – powiedział Francuz.
- Śledź samochód. I znajdź Henry'ego Shawcrossa. Chcę wiedzieć po prostu, czy jest w samolocie, czy w pociągu, gdzie ten drań się znajduje!
- Wysyłamy zespół do oczyszczenia terenu?

Aubrey zamknęła oczy i udawała, że śpi. Może, jeśli będzie im się wydawało, że śpi, będą rozmawiali trochę swobodniej, starając się przekrzywić ryk silników.

- Nie. Jeśli ktoś w ogóle wyszedł z tego żywy, to musi sobie teraz poradzić sam – powiedział szef, Aubrey słyszała, z jaką goryczą wypowiada te słowa. – Czasem trzeba kogoś poświęcić.
- Możemy skontaktować się z autem – powiedział Francuz. – Jeśli Luke został sam, to jest pewnie przerażony.

– Z pewnością musimy zdobyć zaufanie młodego Dantry'ego – powiedział szef. – Rozegraj to jakoś, porozmawiaj z nim.

Aubrey poczuła, że ktoś nad nią stanął. Otworzyła oczy. Szef patrzył na nią z zaciętą miną.

– Jak on to robi?

– Co?

– Uciekł tym ludziom. Odnalazł nas. Jest taki sprytny. Czy Shawcross go szkolił?

– Szkolił? Luke jest studentem psychologii, a te wasze gierki napędziły mu niezłego stracha. Inteligentna osoba pod presją może być niebezpieczna.

– Lepiej powiedz mi prawdę, Aubrey.

– Nie kłamię. – Przesunęła językiem po wysuszonych wargach. – Po prostu chcemy się z tego wyplątać, odzyskać nasze dawne życie.

Mężczyzna pochylił się ku niej.

– Wrócisz do domu, jeśli nam pomożesz. Te pięćdziesiąt milionów, o których Luke wspominał Drummondowi. Gdzie one są?

– Nie wiem. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi pieniędzmi. Chcę do domu.

– Do domu – powtórzył szef. – Mam nadzieję, że to możliwe.

## 45.

Henry chciał być świadkiem pojmania Luke'a – a przynajmniej czekać w furgonetce, którą go zabrają z siedziby Quicksilvera. Musiał się przedtem zająć niezwykle istotnym elementem operacji Piekielny Ogień. Najbardziej zależało mu na tym, żeby osobiście zabić Drummonda, jeśli był w tym budynku. Jednak były wcześniej wyznaczone priorytety. Nie mógł nikomu zlecić tego zadania.

Szyld sklepu, który mieścił się na spokojnej ulicy w Queens, głosił: SERWIS SPRZĄTAJĄCY. Nie odnotowano na nim, że ostatnio nastąpiła zmiana właściciela. Firma, z główną siedzibą w Nowym Jorku, miała swoje oddziały w czternastu największych miastach kraju, realizowała zlecenia obejmujące sprzątanie i utrzymanie budynków rządowych, a także siedzib korporacji. Jej pracownicy musieli mieć odpowiednie zezwolenia, a do tego gruntownie ich sprawdzano. Firma istniała od dwudziestu lat, jej właścicielowi, którym była osoba prywatna, udało się odnieść sukces. Człowiek Henry'ego został tam zatrudniony cztery miesiące temu, z jego polecenia. Przeszedł pomyślnie wszystkie kontrole, ponieważ miał czyste konto, nigdy nie był karany. Praca w serwisie sprzątającym wiązała się z niską pensją, jego szef uważał za szczęśliwy zbieg okoliczności, że udało mu się zatrudnić tak pilnego i inteligentnego pracownika.

Henry wszedł do środka i przedstawił się fałszywym nazwiskiem. Jego człowiek, który był kontrolerem w firmie, już na niego czekał. Przeszli do magazynu położonego na tyłach budynku.

Tam kontroler otworzył jedno z pudeł.

– Popatrz – zaczął po arabsku.

– Mów po angielsku – poprawił go Henry. – Nie chcę, żeby ktoś się nami zainteresował.

– Dobrze – odpowiedział tamten angielszczyzną z lekkim akcentem. – Tak jak pan prosił. Dwadzieścia masek chirurgicznych.

– Czy nie będzie dziwne, jeśli ktoś założy taką maskę przy sprzątanii?

– Nie. Sprzątanie to brudna robota. Są w komplecie z kombinezonami.

Zamówiłem dwadzieścia sztuk w rozmiarach, o które prosiłeś.

Henry spojrział na kombinezony.

– Ta kieszeń jest dostatecznie duża, żeby schować w niej broń?

– Tak, różne modele. Sprawdziłem to.

– A przepustki?

– Aktywowałem. Musiałem trochę pogrzebać w głównej bazie danych. Nie może pan teraz nikogo wymienić. W tej chwili już nie dam rady załączyć identyfikatora z innym zdjęciem.

– Rozumiem. – Henry uważnie przyjrzał się dwudziestu przepustkom. Wyglądały na autentyczne, bo takie były. Do listy pracowników firmy właśnie dodano dwudziestu nowych, którzy nie byli zatrudnieni i którzy nie zostali sprawdzeni, ich dane ukryto w bazie danych do wydawania przepustek, gdzie przechowywano informacje dotyczące blisko dwóch tysięcy pracowników z całego kraju.

– Kontrola bazy danych skończyła się wczoraj. Natychmiast dodałem nowych pracowników. Powinniśmy być bezpieczni przez jakieś dwa do trzech dni. Mam nadzieję, że do tego czasu pańska akcja dojdzie do skutku.

– To nie pańskie zmartwienie.

– Firma zostanie namierzona jako element wspólny we wszystkich atakach, po tym, jak operacja Piekielny Ogień zostanie zrealizowana.

– Gwarantuję, że zostanie pan wysłany w wybrane miejsce. Proszę się udać na lotnisko lub do biura firmy transportowej Travport. Wywiozą pana z kraju.

– Rozumiem.

Kontroler i Henry zakleili pudła i wspólnie załadowali je do furgonetki Henry'ego. Henry pojechał do jednego z biur Travport i wysłał pudła do biura w Chicago.

To był przedostatni element w przygotowaniach do operacji Piekielny Ogień. Jeśli tylko będzie miał Luke'a pod kontrolą, to wszystko się uda.

Zadzwonił jego telefon, Henry odebrał, był pewien, że to jakieś dobre wieści.



Telefon w samochodzie zadzwonił, kiedy Luke wjeżdżał na parking przy lotnisku. Odebrał.

– Halo?

– Czy to Luke? – Męski głos, francuski akcent, ta sama osoba, która rozmawiała z nim u Drummonda.

– Tak.

– Wszystko w porządku?

– U mnie tak, ale Drummond nie żyje. Przykro mi, lecz nie mogłem go uratować. To on mi pomógł.

– Bardzo nad tym ubolewamy. Miał wyjątkowe życie.

Luke nie wiedział, co odpowiedzieć, przeszedł zatem od razu do konkretów.

– Mam te pięćdziesiąt milionów, na których tak zależy Mrocznej Drodze. Wymienię je na informacje o przeszłości mojego ojca, musicie też umieścić Aubrey w jakimś bezpiecznym miejscu.

– Nie rozumiem. Przeszłości twojego ojca?

– Drummond zajmował się sprawą jednego z zamachowców, znanego jako Mouser. Chcę wiedzieć, czy Mouser jest podejrzewany o zamordowanie mojego ojca.

– A co z tobą?

Poczuł zaskakującą pewność.

– Chcę nadal walczyć z tymi ludźmi. Chcę do was dołączyć.

Chwila przerwy, a potem:

– To nie jest twoja wojna, Luke.

– To jest jak najbardziej moja wojna. Nie chcę się gdzieś ukrywać pod zmienionym nazwiskiem w nadziei, że pokonacie Mroczną Drogę. Jestem częścią tej rozgrywki.

– Luke, walczyłeś z kimś, kto był zwykłym pionkiem w tej bitwie.

– Jesteście w Paryżu? Znalazłem bilety na dzisiejszy lot. Drummond miał mnie przywieźć do Paryża, prawda?

– Tak, gdybyśmy uznali, że tak będzie najlepiej. Ale...

– Zatem zobaczymy się wkrótce. – Rozłączył się.

## 46.

Nocny samolot do Paryża był prawie pełny. Luke trochę się bał, kiedy podczas odprawy posłużył się fałszywym paszportem, ale skanery na lotnisku nie zaalarmowały obsługi. Drummond kupił bilety w klasie biznes. Welurowe siedzenia pozwalały się rozłożyć bez zawadzania pasażerowi, który siedział z tyłu. Miał miejsce przy oknie, nie zdejmował ciemnych okularów i nasunął czapkę na czoło.

Siedzenie obok niego, przewidziane dla Drummonda, pozostało puste. Westchnął z ulgą. Wyciągnął z kieszeni medalik Drummonda i porównał go ze swoim – były takie same.

„Dzięki temu będziesz bezpieczny”, powiedział ojciec. Co dokładnie miał na myśli? Luke zawsze uważał, że miało być to bezpieczeństwo w metafizycznym sensie, wsparcie moralne, ale teraz wydawało się, że obietnica ojca była o wiele bardziej konkretna. Wsunął medalik Drummonda z powrotem do kieszeni.

Na kolację zjadł kuskus z jagnięcina, sałatkę i pucharek lodów. Potem nakrył się kocem i zapadł w głęboki sen.

Obudził się kilka godzin później, kiedy zbierano zamówienia śniadaniowe. Pierwsze, co zobaczył, to chmury unoszące się nad polami Francji. Usiadł, trąc oczy schowane za ciemnymi okularami, a wtedy odezwał się Mouser:

- Dobrze ci się spało, w przeciwieństwie do mnie.

Luke zamrugał oczami. To nie mogła być prawda. Jednak Mouser siedział obok niego.

Usta wykrzywiły mu się w szatańskim grymasie. Był to uśmiech gorszy od ciosu nożem.

– Jeśli zaczniesz panikować, zepsujesz lot reszcie pasażerów. W najgorszy możliwy sposób.

Luke zdołał wykrztusić z siebie pytanie:

– Jak ty się tu...?!

– Obydwoj musielimy się dostać do Paryża. Liczba lotów jest ograniczona.

Luke rzucił okiem na siedzenia obok Mousera. W środkowym rzędzie siedziała para starszych ludzi, wyglądali na turystów. Za nimi dwóch biznesmenów, jeden spał, a drugi skupił się na ekranie swojego laptopa. Klasa biznes zapewniała im komfortowy lot.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedział szeptem Mouser.

– Kłamca. – Pomyślał o wykrwawiającym się na śmierć Drummondzie. O twarzy jego ojca, kiedy wsiadał do tamtego samolotu.

Czy zabiłeś mojego ojca? Dlaczego stałeś się podejrzanym tak wiele lat po fakcie? Luke miał ochotę zapytać go o wiele rzeczy. Zacisnął dłonie w pięści.

W kieszeni miał pendrive ukryty w breloczku przedstawiającym piłkę do koszykówki. Klucz do pieniędzy.

– Dlaczego lecisz do Paryża, Luke? – Mouser upił łyk wina z kieliszka, który stał przed nim. – Chyba potrzebujesz odpoczynku po tych wszystkich przygodach.

Luke nie odpowiedział. Musiał w jakiś sposób uciec. Pilot zakomunikował, że będą lądować za dwadzieścia minut.

– No powiedz. Bo jeśli powiadomię stewardesy, że masz fałszywy paszport... Tak przy okazji, mój jest prawdziwy. Podjąłeś spore ryzyko. Zastanawiam się, co jest warte takiego ryzyka. Jedyne, co mi przychodzi na myśl, są pieniądze. Eric też chciał pojechać do Paryża. Podążasz jego śladem.



Muszę go obezwładnić, pomyślał Luke. Pokonać go i uciec, nie dając się złapać.

– Oddasz mi pieniądze – zaproponował Mouser – a puszcę cię wolno. Nasza wojna dobiegnie końca.

– Kłamiesz.

– Nie winię cię za to, co się stało w Nowym Jorku. To Snow jest winna. Pchała się tam, gdzie nie była potrzebna. – Patrzył na Luke'a niewzruszonym spojrzeniem.

– Ale ja winię cię za Drummonda. I... – przerwał.

– I co? – wysyczał Mouser.

– Czy kiedykolwiek... – Począł, aż minie ich stewardesa. – Czy sabotowałeś prywatny samolot? Lecący z Waszyngtonu do Karoliny Północnej? Dziesięć lat temu?

Mouser nie odpowiadał, choć Luke wpatrywał się w niego z napięciem. Tamten jednak dalej się uśmiechał.

– Nie, nie znam się na samolotach i ich elektronice.

Luke nadal mu się przyglądał. Nie wierzył w to zapewnienie.

Psychologia terroryzmu głosiła, że ekstremiści nie lubią się przyznawać do braków w wiedzy. Była to powszechna cecha. Każdy z nich był omnibusem. Wystarczyłoby zwykłe „nie”. Luke nie wspominał o tym, że w grę wchodziła manipulacja przy układach znajdujących się w samolocie. Nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

Nawet jeśli Mousera zaciekawiło to pytanie o Karolinę Północną, to nie dał tego po sobie poznać.

– Odpowiedziałem na twoje pytanie, teraz ty odpowiedz na moje. Gdzie są pieniądze?

Luke po raz pierwszy skłamał:

– Eric ukrył je na kilku kontach.

– Podaj mi ich numery.

Luke postukał się w skroń.

– Nie wierzę, że zapamiętałeś numery kilku kont, są dość długie.

– Miałem motywację. Jeśli mnie zabijesz, nigdy ich nie poznasz.

Mouser spojrział na niego.

– Masz zamiar podać te informacje komuś w Paryżu. Żeby odzyskać Aubrey.

– Tak. – I jeszcze po to, żeby Mroczna Droga nie mogła ich zagarnąć. Nie miał zamiaru wspomagać terrorystów. Zastanawiał się, czy może wykorzystać to spotkanie jako pułapkę zastawioną na Mousera. Może będzie to sposób, żeby wydać go ludziom z Quicksilvera? W głowie zaczął mu się formować plan.

– Ledwie znasz tę kobietę. – Mouser patrzył przed siebie. – Ja ledwie znałem Snow. Czasem „ledwie” oznacza „wystarczająco”. Przerwał na chwilę. – Studiujesz, nie chcesz żyć tak jak teraz. Podaj mi informacje o kontaktach i będziesz wolny.

Koła samolotu dotknęły pasa startowego.

Co takiego powiedział mu Henry, wieki temu, na lotnisku w Austin, kiedy komentował jego pracę? Jesteś dobry w zarzucaniu przynęty.

– Spotykam się z Quicksilverem. Mogą sprawić tobie i Mrocznej Drodze o wiele więcej problemów niż ja – powiedział Luke.

Kapitan ogłosił, że samolot podkołuje do autobusu, który następnie przetransportuje pasażerów do terminalu.

– Dobiłeś z nimi targu.

– Nie – skłamał Luke. – Zależy im tylko na pieniądzach. Mam pomysł.

– Jaki?

– Chodź ze mną na spotkanie. Możesz porwać któregoś z nich, dowiedzieć się, czym jest Quicksilver. Ale ja i Aubrey będziemy wolni. Będziesz miał pieniądze i wroga.

– Dlaczego miałbyś mi pomagać?

– Bo chcę, żeby wszyscy zostawili mnie w spokoju. Ty, Quicksilver. To wy powinniście ze sobą walczyć. – Luke wiedział, że jeśli zrobi scenę na lotnisku, żeby doprowadzić do zaareztowania Mousera, to jego też zaareztują. A wtedy nigdy nie dowie się prawdy.

Ludzie z Quicksilvera będą obserwowali każdy ich ruch. Mają swoje sposoby; zobaczą Mousera, jak tylko się tam pojawi. Wtedy go zabiją, pomyślał Luke.

– Pomagam ci uratować twoją kobietę po tym, jak ty zabiłeś moją–  
szept Mousera był tak cichy, że Luke ledwie go słyszał. Pasażerowie zaczęli się tymczasem zbierać do wyjścia z samolotu. – Mam wrażenie, jakbym zawierał pakt z diabłem.

Ja też, pomyślał Luke.

# 47.

## *Paryż*

Luke nie był w Paryżu od czasu rozpoczęcia studiów. Wtedy przyjechał tu w towarzystwie ojczyma i matki, przy okazji jakiejś konferencji. Jako dziewiętnastolatek beztrąsko wędrował się paryskimi uliczkami – odwiedzał księgarnie, kawiarnie, miejskie parki i dzielnicę łacińską niedaleko Notre Dame. Polubił to miasto, ale nigdy później w nim nie był.

Miał jednak nadzieję, że ta krótka przygoda z Paryżem teraz mu się przyda. Wydawało się, że francuski Mouser nie wykracza poza *oui* i *non*, a to mogło uratować Luke'a. Obydwaj mieli tylko bagaż podręczny, zaraz po pobieżnej kontroli dokumentów wyszli z hali przylotów i udali się w kierunku postoju taksówek.

Luke sprawdził komórkę i odsłuchał wiadomość głosową: „Żeby odzyskać Aubrey, spotkaj się z nami pod wieżą Eiffła godzinę po wylądowaniu samolotu”. Mouser zabrał mu telefon i sam odsłuchał wiadomość.

- Nie wiedzą, że tu jestem – powiedział.
- Nie. – Biorąc pod uwagę możliwości Quicksilvera, nie byłby zdziwiony, gdyby już wiedzieli. Niech to będzie zaskoczeniem dla Mousera.
- Wieża Eiffła. Widokowo – mruknął Mouser. – Oddaj mi telefon.
- Dlaczego?

– Nie chcę, żebyś ich zawiadomił, że tu jestem.

Luke chciał wysłać SMS-a ze słowem „Mouser” albo „Pomocy” pod numer, z którego do niego telefonowano. Żeby ostrzec tych z Quicksilvera. Zawahał się.

– Zabiję cię, jeśli tylko będziesz próbował mnie oszukać – poinformował go Mouser. – Dawaj telefon.

Luke posłuchał.

Mouser położył mu ciężką dłoń na ramieniu.

– Chodź, załatwiłem transport.

Samochód stał w rogu parkingu. Mouser wyjął kluczyki z pojemnika przymocowanego pod zderzakiem. Był to luksusowy Mercedes.

Otworzył bagażnik. W środku były torby i walizki. Niektóre z nich długie, wąskie i oznaczone logo producenta sprzętu golfowego. Luke domyślił się, że nie zawierały kijów golfowych. Ktoś dostarczył temu człowiekowi broń i przywiózł ją dla niego na lotnisko. Mouser miał sprzymierzeńców we Francji.

Mroczna Droga obejmowała swoim zasięgiem nie tylko Amerykę. Luke szukał ekstremistów jedynie w Ameryce, ale jeśli mieli oni kontakty z innymi, rozszanymi po całym świecie... przeraziła go ta myśl.

– Wsiadaj – rozkazał mu Mouser.

Luke posłuchał. Mouser nie usiadł za kierownicą, patrzył na ekran swojego telefonu. Jak gdyby dostał e-mail. Odwrócił się tyłem do Luke'a. Trzydzieści sekund później wsiadł do samochodu, wyglądał na wściekłego.

Wyjechali z garażu z piskiem opon.

## 48.

Mouser wziął jedną z długich walizek – oznaczonych logo brytyjskiego producenta sprzętu golfowego – i włożył słuchawkę do ucha Luke'a, mówiąc:

- Będę słyszał każde twoje słowo. Jeśli się tego pozbędziesz, zginiesz.
- Gdzie będziesz?
- W pobliżu. Nie schrzań tego, bo cię zastrzelę, nawet jeśli masz te numery kont. Jak będziesz grzeczny, pozwolę Aubrey odejść.

Nie, pomyślał Luke, to ty zginiesz. Jednak odwrócił się i poszedł w kierunku wieży. Kiedy się obejrzał, Mousera już nie było. Nie przypuszczał, że Mouser będzie go w stanie podsłuchiwać. To czyniło plan bardziej skomplikowanym. A jeśli pozbędzie się słuchawki, Mouser z pewnością go zastrzeli – Aubrey też „sprzątną”. Musiał ostrzec tych z Quicksilvera w jakiś inny sposób.

Podstawa wieży Eiffla i plac pod nią były większe, niż zapamiętał. Dostrzegł francuskich żołnierzy, którzy patrolowali plac z bronią, przyglądając się twarzom setek turystów i zwiedzających, wypatrując wśród nich zagrożenia. Przez wiosenne chmury przedarły się promienie słońca.

Zadzwoił jego telefon. Odebrał.

To była Aubrey, wystraszona.

- Luke?
- Nic ci nie jest?

– Nie. Podam ci teraz instrukcje. – Opanowała drżenie głosu. – Odjedź od rzeki i wieży, idź w stronę zakrętu, przy którym zatrzymuje się autobus wycieczkowy. Zobaczysz mnie.

W oddali, za ścieżkami i niskimi krzakami, Luke zobaczył skracającą w tamtym miejscu ulicę, w zatoczce stał autobus, siedzący w nim turyści nie wychodzili na zewnątrz, robili zdjęcia wieży Eiffla ze środka.

– Dobrze.

W drugim uchu usłyszał szept Mousera:

– Jeśli ich ostrzeżesz, to najpierw strzele, a potem nauczę się żyć bez tych pieniędzy.

– Zgoda – powiedział i do Mousera, i do Aubrey.

Tyle w kwestii jego doskonałej pułapki. Przyprowadził tego szaleńca na spotkanie, mógł tylko mieć nadzieję, że ludzie z Quicksilvera zauważyli, iż mają nieproszonego gościa. Jeśli nie... będzie musiał tak pokierować spotkaniem, żeby nie pozbyć się pendrive'a z zaszyfrowanymi plikami, odzyskać Aubrey i nie narazić na niebezpieczeństwo jej lub ludzi z Quicksilvera.

Minął żebraczkę, która, wyciągając ku niemu rękę, spytała: – Mówisz po angielsku? – Potem mężczyznę ze sznurem tandetnych miniaterek wieży Eiffla. Luke rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nie dostrzeże gdzieś Mousera.

Chodnik po jego lewej stronie prowadził do kiosku z zastłoniętymi okiennicami i pustego placu zabaw. Dalej była szeroka ścieżka dla pieszych i biegaczy; za nią rozciągały się spore kamienice, pamiętał ze swojej poprzedniej wizyty, że jedna z nich była siedzibą ambasady czeskiej. Mouser raczej nie mógł się tam ukrywać. Znów spojrzął w kierunku zatoki dla autobusów, starając się wypatrzeć kryjówkę Mousera i jednocześnie szukając wśród wielu twarzy Aubrey.

Kiedy Luke poszedł na spotkanie, Mouser ruszył szeroką alejką dla biegaczy, allée Léon Bourgeois. O tej porze biegło tamtędy zaledwie kilka osób, słuchawki na uszach skutecznie izolowały ich od świata. Sprawdził otoczenie, szukając najlepszej kryjówki. Na prawo ciągnął się szpaler drzew oceniających alejkę, wśród nich stał kiosk, w którym w cieplejsze

dni sprzedawano pamiątki, dalej był plac zabaw. Mouser szedł zdecydowanym krokiem, zawsze był to najlepszy kamuflaż. Przystanął na tyłach kiosku, a potem wykorzystał stojący tam agregat prądu, żeby wspiać się na zielony daszek budyneczku. Nie była to idealna kryjówka; mógł go dostrzec każdy, kto zadrze głowę, przechodząc aleją, jednak biegający byli zajęci własnymi sprawami. Mouser pomyślał, że właśnie to jest problem współczesnego świata. Każdy żyje w swoim własnym świecie, nieświadomy tego, że otaczająca ich cywilizacja zamienia się w piekło.

Wyciągnął karabin z torby. Jeszcze tylko kilka sekund i wykona zadanie. Wycelował w głowę Luke'a.



Luke starał się nie panikować. Gdzie ona była? Grupa turystów zebrała się przed jednym z autokarów, potem do niego wsiedli i odjechali, zaraz na jego miejsce podjechał następny.

– Czy mówi pan po angielsku? – zagadnęła go kolejna kobieta. Zignorował ją i przepchnął się obok grupy japońskich turystów. Wtedy zobaczył Aubrey, stała kilka metrów od niego na skraju chodnika. Miała na sobie płaszcz i kapelusz, była blada, wyglądała na zmęczoną.

Obok niej stał mężczyzna, który właśnie się odwrócił i napotkał wzrok Luke'a.

Jego zmarły ojciec.

Luke zamarł. Zamrugał oczami. Nie. Ten człowiek był łyсы; ojciec z jego pamięci miał siwiejącą czuprynę. Ale te oczy. Nerwowy grymas ust. Idealnie prosty nos.

Patrzył na Luke'a. Luke poczuł, jakby całe otoczenie wieży zapadało się w sobie, a otaczających go ludzi nagle spowiła mgła, hałas paryskiej ulicy zamienił się w szum, gdzieś w tle. Usłyszał głos Mousera w słuchawce, ale nie rozumiał ani jednego słowa. Zabrakło mu powietrza; ugięły się pod nim nogi. Trzymał się w pionie jedynie siłą woli.



To nie mogła być prawda. A jednak była. Ojciec nie uśmiechnął się do niego, ale zamknął oczy, jak gdyby poczuł w tej chwili ból Luke'a. Dziesięć lat. Dziesięć lat opłakiwania i tęsknoty za ojcem, jego brak, który ciągle tkwił w sercu, nieustanne ściskanie kawałka srebra, który był ostatnim podarunkiem od niego.

I słowa ojca, kiedy się ostatni raz widzieli: „Będę za tobą tęsknił w każdej chwili”. Przypomniawszy sobie o nich. To wszystko było kłamstwem, gigantycznym kłamstwem, które nie tylko raniło uczucia, ale trafiało prosto w serce. Kłamstwem, które zabijało.

Jego ojciec nie umarł. Był tutaj. Zszokowany Luke poczuł, że nie może oddychać, zrobiło mu się gorąco. Zrobił dwa kroki, chcąc biec ku ojcu... potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje. To nie był zwykły, szary, paryski poranek. Przecież znalazł się na celowniku terrorysty.

Zapomniał o wszystkich planach i strategiach, które wymyślił. Zaczął się trząść.

– Tato? – zabrzmiało to raczej jak westchnienie niż słowo. Nie. Tego już za wiele. Nie da rady. Ale musiał.

– Co? – spytał Mouser w słuchawce.

Nie mógł pozwolić, żeby Mouser mógł zastawić swoją pułapkę. Musiał się jakoś pozbierać mimo tych emocji.

– Powiedziałem: „a niech to”. Nie widzę jej. – Luke zamrugnął oczami. Poczuł, że płacze, zanim zdał sobie z tego sprawę. – Nie ma ich tutaj. Idziemy. Po prostu dam ci te pieniądze. Chodźmy. – Odwrócił się, żeby odejść.

– Ja ją widzę. Kobieta, z którą byłeś w Chicago. Przed tobą, stoi z jakimś łysym facetem. Co się do cholery dzieje? – spytał groźnie Mouser.

– To nie ona. – Nie był w stanie wymyślić nic innego.

– Luke. Nie rób mnie w konia!

Może nie rozpoznał taty, pomyślał Luke. Może nie pamięta każdego, kogo zabił.

Jakiś przechodzień złapał go nagle za ramię i powiedział:

– Luke, wszystko w porządku. – Rozpoznał głos Francuza, który rozmawiał z nim przez telefon.

Luke próbował pokręcić głową.

– Zabierz ich stąd. Proszę, zabierz ich stąd.

– Co?

– Snajper! Biegnijcie, uciekajcie stąd! – Luke rzucił się w kierunku ojca i Aubrey. – Aubrey, tato, uciekajcie!

– Tato? – wysyczał mu Mouser do słuchawki. – W co ty... – potem zamilkł, słowa nie miały już znaczenia.

Kula przeszła powietrze, trafiając w chodnik pod stopami Luke'a. Zatrzymał się i niemal upadł. Rozległ się drugi strzał i ludzi zmierzających w kierunku wieży ogarnęła panika.

– Snajper! – wrzasnął Luke. Kolejny strzał i ludzie zaczęli uciekać, krzycząc i wpadając na siebie nawzajem. Obejrzał się, szukając Francuza – biegł trawnikiem w stronę, z której strzelano, z wyciągniętą bronią, nagle upadł. Jedna z kul trafiła go w gardło.

Luke stracił równowagę, kiedy wpadła na niego grupa turystów starających się wrócić do autobusu. Stracili mu z nosa okulary przeciwsłoneczne. Zaczęli go tratować, ktoś nadepnął mu na dłoń, poczuł, jak depczą mu po głowie, policzkach. Z trudem udało mu się wstać. Zobaczył, że ojca i Aubrey otoczyło trzech mężczyzn, którzy przystawili im broń z tyłu głowy i popychali ich gdzieś wśród tłumu.

To była pułapka. Mroczna Droga chciała się pozbyć przeciwnika i teraz się to udało. Luke podarował Mouserowi Quicksilvera na tacy – a ten nie pracował w pojedynkę.

– Tato! – wrzasnął Luke. Dostrzegł, że cała grupa zmierzała w stronę zatoki dla autobusów, niesiona przez spanikowany tłum. Luke starał się ich dogonić. Kiedy odłączył się od reszty uciekających, zauważył, że Aubrey i ojciec zostali wepchnięci do furgonetki. Samochód miał z boku rysunek ciasta i napis TROIS PETITS GÂTEAUX. Trzy małe ciasteczka.

Zatrzaśnięto drzwi i furgonetka wjechała na ulicę. Luke przebiegł przez

trawnik i wpadł na szeroką, obsadzoną drzewami aleję spacerową, starając się nie stracić samochodu z oczu.

Jednak ten nagle skręcił ostro w prawo. Zaczął jechać wzdłuż alei. Kierowca pokazywał na Luke'a. Wracali po niego.

Luke odwrócił się i zaczął biec w kierunku wieży. Obejrzał się za siebie z przestachem i zobaczył twarz człowieka, który kierował furgonetką, zaciśnięte zęby, skoncentrowany, zamierzał go przejechać.

Luke nie miał dokąd uciec. Furgonetka przejechała obok niego, uderzyła go końcówką karabinu, którą wystawiono przez okno, upadł. Furgonetka zahamowała gwałtownie. Luke usłyszał wycie syren samochodów policyjnych, uzbrojeni strażnicy wyprowadzali ludzi z placu, szukali źródła strzałów. Samych strzałów nie było już słychać, Mouser zdążył się wycofać. Oczywiście. Jego kumple mieli dokończyć robotę.

– Na pomoc! – krzyknął Luke. – *Aidez-moi!* – Jednak we wszechogarniającej panice nikt go nie usłyszał.

Jeden z ubranych na czarno mężczyzn wyskoczył z samochodu i zaczął biec w kierunku Luke'a, miał broń. Krzyczał po angielsku, rozkazując mu natychmiast wsiadać. Przez ułamek sekundy Luke widział, że Aubrey i jego ojciec leżą w środku, twarzami do podłogi.

Niech tylko do mnie podejdzie, pomyślał nagle. W ciągu kilku ostatnich dni obudziła się w nim jakaś, dotąd uspiąca, brutalna siła, jakby kujonowaty przeszukiwacz stron internetowych, który nie rozmyślał nigdy o prawdziwym niebezpieczeństwie, zniknął. Widok ojca, żywego, zmienił wszystko. Luke nie miał zamiaru ponownie go stracić.

Przywarł do ziemi. Uzbrojony mężczyzna podbiegł do niego, Luke wycylił czas co do sekundy, a potem odwrócił się i posłał mu kopniaka. Nie był to może najzgrabniejszy cios, ale na tyle silny, że agresor się zachwiał. Luke kopnął go w krocze. Mężczyzna zawył i zwinął się z bólu, Luke bez wahania kopnął go w głowę i wyrwał mu broń. Pobiegł do furgonetki.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn w środku wycelował w niego pistolet. Aubrey poderwała się z podłogi i złapała tego człowieka za ramię. Drzwi się zatrzasnęły i w środku rozległ się odgłos strzału.

Luke strzelił w opony furgonetki, ale wycelował zbyt wysoko i kula trafiła w zderzak. Wtedy między nim a furgonetką znalazła się grupa uciekających ludzi, i nie mógł ryzykować kolejnego strzału. Torował sobie drogę przez tłum, próbując się zbliżyć do samochodu i uszkodzić opony.

Jednak furgonetka wycofała się i przyspieszyła, jadąc przez rzednący tłum. Nie mieli już czasu, żeby go łapać, wokół było pełno francuskiej policji. Samochód wjechał w avenue Charles Floquet i zniknął mu z oczu.

Luke schował zdobyczną broń pod marynarką i zaczął biec. Przez głowę przelatywały mu myśli. Mouser. Mouser będzie wiedział, dokąd ich zabrano.

Ostrzał snajperski chyba się skończył. Zatem Mouser raczej by nie ryzykował pozostawania w swojej kryjówce. Musiał uciekać, ale czy uciekał do samochodu? Jeśli nie mógł się spotkać z kolegami z Mrocznej Drogi, to pewnie musiał się czym prędzej stąd ewakuować. Wokół szybko tworzyły się korki – przechodnie uciekali, wyjeżdżały autobusy z turystami, policja zamykała drogi, samochód, którym dojechali pod wieżę Eiffla, nie gwarantował bezpiecznej ucieczki. Żaden snajper nie chciałby skończyć w tym korku.

A przecież tuż obok znajdowała się stacja metra. Mógł się mylić. Ale Mouserowi pewnie bardziej zależało na bezpieczeństwie niż odzyskaniu samochodu; to było myślenie typowe dla terrorysty. Pobiegł w kierunku wejścia do metra.

## 49.

Luke wmieszał się w tłum ludzi uciekających z placu i pobiegł wraz nimi do stacji Champs de Mars, która mieściła się na wprost wieży, po drugiej stronie ulicy. Zbiegł do podziemi. Kolejki po bilety były dość długie, więc Luke przeskoczył bramkę biletową, wcześniej przepraszając stojącego przed nim mężczyznę. Wszyscy chcieli jak najszybciej uciec z placu i nikt nie zwrócił uwagi na to, że nie kupił biletu. Stacja metra była dość spora, każdą z przechodzących przez nią linii oznaczono innym kolorem. Luke dostrzegł kogoś, kto był ostrzyżony na krótko, tak jak Mouser. Poszedł w tamtą stronę.

Mouser. Na pewno. Szedł w kierunku stacji linii oznaczonej na żółto, była to szybka kolej miejska, która jeździła wzdłuż Sekwany. Gęsty tłum zaczął się przeciskać do wejścia podjeżdżających, piętrowych wagonów. Ludzie głośno rozmawiali między sobą, słychać było płacz dzieci. W powietrzu wyczuwało się nastrój paniki. Nikt, nawet przełomie, nie spojrzał na Luke'a. Choć był przyczyną tego całego zajścia, czuł się tak mały i anonimowy jak mrówka.

Stracił Mousera z oczu. Przycisnął mocniej do ucha słuchawkę, którą dał mu Mouser, ale niczego nie usłyszał. Mouser przerwał połączenie. Luke wyrzucił słuchawkę na posadzkę. Nie chciał, żeby Mouser znów ją włączył i usłyszał, co się u niego dzieje.

Luke stanął na palcach i zaczął przyglądać się dziesiątkom ludzi stojących na dworcu. Cholera. Potem zobaczył Mousera. Po lewej, dziesięć metrów od niego, on też przypatrywał się tłumowi, jego spojrzenie powoli wędrowało w kierunku Luke'a.

Ciemne okulary, za którymi Luke skrywał się w samolocie, strącili mu uciekający ludzie. Musiał zatem schować się w tłumie, i niechący uderzył jakąś młodą kobietę, która wypuściła z siebie potok wściekłych słów, kwestionując po francusku jego inteligencję. Miała kruczoczarne, postawione na żel włosy, jej chłopak, który stał obok, był z kolei całkiem łysy, a na głowie miał okulary przeciwsłoneczne.

Rozległ się ryk nadjeżdżającego pociągu. Tłum poruszył się o kilka centymetrów do przodu.

– Próbujesz pocałować kogoś w tyłek? – tak chyba zabrzmiało pytanie chłopaka. Luke zignorował ten komentarz i dalej klęczał na posadzce.

Pociąg zatrzymał się i otworzyły się drzwi.

Fala ludzi ruszyła do przodu. Luke wyjął z kieszeni zwitek dolarów Drummonda, podał je chłopakowi i powiedział łamaną francuszczyzną:

– Chciałbym kupić – a potem dodał po angielsku – twoje okulary. – I spróbował to pokazać.

– Co jest z tobą? – spytał chłopak. – Nie chcę twoich dolarów.

Ale dziewczyna zaśmiała się i zdjęła mu okulary z czoła, a potem włożyła je na twarz Luke'a. Wzięła pieniądze.

– Proszę. Kupiliśmy je za kilka groszy na ulicy. Teraz możemy kupić jeszcze tuzin w podobnie beznadziejnych kolorach. – Dobrze mówiła po angielsku. Spojrzała na Luke'a z uwagą, jakby się zastanawiała, jakie były powody tej dziwnej transakcji.

Zza ciemnych szkieł Luke obserwował, jak Mouser zajmuje siedzenie na parterze wagonu. Zdawał sobie sprawę, że jeśli tam zostanie, to Mouser zauważy go niezależnie od tego, czy będzie miał okulary na nosie, czy też nie. Wszedł zatem na górę, w ślad za poznaną właśnie parą, serce waliło mu w piersi. Mouser mógł wysiąść na każdej ze stacji, a wtedy zgubi go na dobre; nie mógł kontrolować, kto wsiada, a kto wysiada z niższego piętra

wagonu. Stał blisko schodów, to była jego jedyna nadzieja. Jeśli Mouser podejdzie do schodów i spojrzy w górę, to go dostrzeże. Wtedy Luke będzie martwy.

Jeśli go zgubię, to jak odnajdę Aubrey i ojca? – pomyślał.

Mój ojciec. Te dwa słowa były dla niego jak ciosy w klatkę piersiową. Dlaczego? Dlaczego ojciec udawał, że nie żyje, opuścił żonę i syna – dlaczego pozwolił, aby zajął się nimi człowiek taki jak Henry Shawcross? Dlaczego pozwolił swoim najbliższym na doświadczanie tak ogromnego cierpienia? Dlaczego wykorzystał w ten sposób śmierć swoich najbliższych przyjaciół?

Luke rozmyślał, że nie dowiedział się nigdy, jaki naprawdę jest Henry; najwyraźniej to samo mógł powiedzieć o ojcu. Była to dla niego bolesna prawda. Potrząsnął głową, jakby chciał się otrząpać z tych myśli. Nie. Jeśli będzie się nad tym teraz zastanawiał, to emocje uniemożliwią mu działanie. Żal i niedowierzanie mogą zaczekać.

Pociąg ruszył, ludzie tłoczyli się również na schodach.

– Wciąż podobają ci się moje okulary, wariacie? – spytał chłopak po angielsku. Najwyraźniej postanowił przypodobać się swojej dziewczynie. – Może masz też ochotę kupić koszulę. Albo fajne spodnie?

Dziewczyna zachichotała.

– Nie. Ale potrzebuję pomocy – odpowiedział Luke. – Słyszeliście strzały?

Chłopak wznosił oczy ku górze.

– Wyszliśmy z metra, a kiedy zobaczyliśmy, że wszyscy tu biegają, wróciliśmy do środka. – Wzruszył ramionami. – Jutro wieża też będzie stała na placu.

– Jak możemy ci pomóc? – zainteresowała się dziewczyna. Luke zauważył, że to ona rządzi w tym związku.

– Moja dziewczyna tu studiuje. Spotyka się z jednym facetem. – Wszyscy zakotysali się, kiedy pociąg zaczął nabierać prędkości.

– Aha – odezwała się dziewczyna.

Chłopak się skrzywił.

– Miał się z nią spotkać dziś pod wieżą. Nie przyszła, a teraz ja go śledzę.

– Czyli to ty strzelałeś do niego – zażartował chłopak. – Tak, zemsta jest słodka.

– Nie.

– Ten facet wie, jak wyglądasz – zgadła dziewczyna.

– Miała nasze wspólne zdjęcie przy łóżku. Jestem pewien, że mnie widział. – Kłamstwo przychodziło mu łatwo, ponieważ naprawdę czuł się zdradzony. Jego ojciec był największym kłamcą z nich wszystkich. – Ale on jest niebezpieczny. Trochę szalony. Chcę się dowiedzieć, gdzie mieszka. Siedzi na parterze, a nie chcę, żeby mnie zobaczył.

Dziewczyna uniosła brew z rozbawieniem.

– Myślisz, że zmylą go te tanie okulary – zaczęła coś mówić po francusku, rozpięła plecak swojego chłopaka i wyciągnęła z niego włóczkową czapkę. – Włóż to.

– To niezbyt, jak to się mówi, higieniczne – marudził chłopak. Potem zaczął jej coś perswadować po francusku.

– Masz czystą głowę. – Włożyła czapkę na głowę Luke'a i schowała jego jasne włosy pod wielokolorowym materiałem. Potem wyciągnęła różowo-zielony szalik, pasujący kolorystycznie do czapki. – Zrobiłam to dla niego, ale nigdy ich nie nosił.

– On też nie będzie – stwierdził chłopak.

– Będę – powiedział Luke. Dał dziewczynie jeszcze trochę pieniędzy. Jej uprzejmość była dla niego zaskoczeniem.

Palce dziewczyny zatrzymały się na chwilę w dłoni Luke'a, ale potem dotknęła tą samą ręką policzka swojego chłopaka.

– A ty, kochanie, dostaniesz nową czapkę.

– Kowbojski kapelusz – powiedział chłopak.

Dziewczyna się roześmiała.

– Gdzie jest następny przystanek? – spytał Luke, rozcierając ramiona. Nie był w stanie ustać na miejscu.



– Pont de l'Alma – odparł chłopak. – Ten po nim, Les Invalides, jest punktem przesiadkowym do kolejnych linii.

Ludzie wokół nich rozmawiali, głównie po angielsku i francusku, o strzelaninie na placu. Dziewczyna wciąż przypatrywała się Luke'owi, który miał wrażenie, że go przejrzała.

– Musisz bardzo kochać tę dziewczynę, skoro jej wybaczasz – powiedziała.

– Ją kocham – odparł Luke. – Ale jego nie. – Chłopak się zaśmiał.

Pociąg zwolnił, bo wjeżdżali na stację. Ludzie przepychali się obok nich, chcąc zejść kilka stopni bliżej wyjścia.

– Wsiadacie tutaj? – spytał Luke.

Spojrzeni po sobie, a potem pokręcili głowami.

Luke zszedł ostrożnie kilka stopni w dół, starając się zająć dogodną pozycję. Chciał ich zapytać, czy Mouser wysiadł z metra, ale w wagonie było zbyt wielu ludzi. Nie mógł ryzykować, że go przegapią. Zajrzał na dół i zaczął przyglądać się tłumowi. Dostrzegł tył głowy Mousera. Wyglądało na to, że wściekle coś wystukuje na klawiaturze swojego telefonu i nigdzie się nie wybiera.

Pociąg się zatrzymał, a drzwi otworzyły się z sykiem. Trochę ludzi wysiadło, ale wagon wciąż był zatłoczony. Weszło kilka osób.

Mouser nie ruszył się z miejsca, wciąż był odwrócony plecami do Luke'a. Broń, którą Luke ukrył pod kurtką, przyciśnięta do jego boku, bardzo mu ciążyła. Pociąg ruszył z Pont de l'Alma. Mouser wstał i zaczął przeciskać się między pasażerami. Uśmiechał się.

Luke wszedł z powrotem na górę.

– Wsiada na następnej stacji. Dziękuję za pomoc.

– Nie ma za co. Dziękujemy za pieniądze. – Chłopak uścisnął mu rękę, a wtedy Luke zorientował się, że dziewczyna zauważyła jego broń. Otworzyła szeroko oczy. Wiedzieli, że pod wieżą była strzelanina, a teraz stał przed nimi człowiek, który potrzebował ciemnych okularów i czapki dla kamuflażu, a pod kurtką, za pasek spodni, ma wetkniętą broń.

Strach w jej oczach sprawił, że Luke zamarł. Mogła zacząć krzyczeć. Mogła zaczepić pierwszego napotkanego policjanta na następnej stacji.

– Proszę – odezwał się tonem usprawiedliwienia – nie jestem tym złym facetem. To nie ja. – Nie wiedział, co jeszcze może powiedzieć.

Wahała się, chłopak spojrzał na nią, zorientowawszy się nagle, że między nią a Luke'em powstało jakieś napięcie i źle je interpretując. Był niezadowolony. Odciągnął dziewczynę od Luke'a, poprowadził ją w dół schodów, w kierunku wyjścia. Spojrzała na Luke'a w niemym przerażeniu, drżały jej wargi.

– Nie jestem złym facetem. – Powiedział bezgłośnie, poruszając wargami.

Les Invalides. Pociąg się zatrzymał. Na tej stacji wysiadało o wiele więcej osób, ale Luke chciał poczekać do ostatniej chwili, żeby się upewnić. Tym razem Mouser wyszedł, przechodząc cztery metry od Luke'a, spieszył się. Luke wysiadł z wagonu ostatni, Mouser był kilka metrów przed nim, a między nimi stał chłopak z dziewczyną.

Luke chciał skorzystać z osłony, jaką dawały pomarańczowe kolumny podtrzymujące strop, i schować się za nimi, ale po namyśle stwierdził, że musi zaryzykować i trzymać się blisko Mousera. Para szła przed nim. Dziewczyna wyciągnęła telefon z torebki i zaczęła z kimś rozmawiać.

Na szczycie schodów Mouser odwrócił się i spojrzał w tłum za swymi plecami. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po Luke'u, ale go nie poznał z powodu okularów, czapki i ohydneho szalika okrywającego brodę i policzki.

Potem odwrócił się w stronę wyjścia.

Luke pospiesznie wszedł na schody, obawiał się, czy Mouser nie będzie na niego czekał, ale nie, nie było go tam. Stał na ruchomym chodniku, który przesuwiał się obok dzieł jakiejś abstrakcyjnej sztuki, znów był zajęty telefonem, wpatrzony w ekran wysyłał SMS-y. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

Luke zorientował się, że świeżo poznana para gdzieś mu znikła. Może przesiedli się na inną linię.

Mouser dojechał do końca ruchomego chodnika i zszedł z niego, nie patrząc za siebie. Kiedy Luke się obejrzał, dostrzegł na drugim końcu chodnika dziewczynę i chłopaka z pociągu.

Rozmawiali z policjantem.

Musiał się pospieszyć. Jeśli gliny zatrzymają go, zanim zdąży zatrzymać Mousera... poczuł panikę. To przez niego Aubrey i ojciec znaleźli się w niebezpieczeństwie, więc to on musi ich uratować.

Szybko dotarł do wyjścia ze stacji i wjechał windą na górę. Przed nim, za niewielkim parkiem, znajdował się gmach pałacu Inwalidów, pod którego złotą kopułą mieściły się muzea i pomniki francuskiej wojskowości. Na prawo miał Orsay, jedno z nowszych francuskich muzeów. A dookoła rozciągał się porośnięty trawą placyk, po którym leniwie przechadzali się ludzie.

Piętnaście metrów przed nim zatrzymało się czarne bmw, otworzyły się tylne drzwi i Mouser wsiadł do środka. Luke obrócił się w miejscu; Mouser nie mógł go teraz zobaczyć, a samochód ruszył w jego kierunku.

Samochód był coraz bliżej, przerażony Luke szedł w stronę windy, która zjeżdżała na stację metra.

Ze stacji wyszedł policjant. Patrzył wprost na niego.

Luke znalazł się w pułapce. Po jednej stronie miał policjanta, a po drugiej Mousera w bmw. Zaryzykował i zatrzymał się. Samochód przejechał pędem obok, nie zauważyli go. Luke przeszedł na drugą stronę ulicy, podążając w ślad za bmw.

Rozpoznał Mousera – jego głowa była widoczna w tylnej szybie. Kierowca odwrócił się, żeby z nim porozmawiać.

Henry Shawcross. Jego ojczym.

Ty draniu, pomyślał. Nareszcie zobaczył na własne oczy, że Henry jest zdrajcą, dał się przyłapać w towarzystwie Mousera. Luke nie mógł pozwolić im uciec. Rozglądał się gorączkowo, ale nie dostrzegł nigdzie taksówki. Nie miał jak za nimi jechać. Przebiegł pędem przez ulicę w stronę Muzeum Orsay.

Obejrzał się. Policjant też biegł. Gonił go. Dziewczyna go wydała.

Dobiegł na postój taksówek przy muzeum, jeden z samochodów wepchnął się do przodu, inni zaczęli na niego trąbić. Luke szybko wsiadł do środka.

– Dziękuję. Niech pan jedzie. *Vite*. Wieża Eiffla.

Kierowca, młody mężczyzna w jego wieku, pokiwał głową i wjechał na ulicę. Przejechał obok policjanta, który stanął zdezorientowany.

– Pod wieżą szaleństwo, za duży ruch – powiedział taksówkarz. – Strzelanina... – jego angielski był całkiem niezły.

– Okay – zgodził się Luke. Nie obchodziło go, dokąd pojedą. Czarne bmw zniknęło. Jak miał teraz odnaleźć ojca i Aubrey? – W takim razie na posterunek.

Taksówkarz przyglądał mu się w lusterku.

– Najpierw ucieka pan przed policjantem, a teraz chce jechać na posterunek.

– Pomylił mnie pan z kimś innym.

Taksówkarz chyba nie zrozumiał.

– Proszę zaczekać. – Drummond powiedział, że on, Henry i jego ojciec pracowali dla Departamentu Stanu. Jeśli Quicksilver przejęło schedę po Klubie Książki, to pewnie powinien poprosić o pomoc rząd. – Proszę mnie zawieźć do ambasady amerykańskiej.

– Muszę spytać o adres. – Wyjął telefon, połączył się z kimś i zaczął coś mówić, chyba po rosyjsku.

Luke opadł na oparcie siedzenia. Taksówka kluczyła ulicami, kierowca wciąż rozmawiał przez telefon. Wyłączył radio.

– Jak daleko do ambasady?

Taksówkarz odłożył telefon i gwałtownie skręcił w cichą uliczkę. Zahamował i obrócił się na siedzeniu. W ręku miał mały pistolet, który wycełował w Luke'a. Rozległo się szczęknięcie i Luke poczuł, że coś uderzyło w szalik i zaplątało się w zwojach wełny. Złapał za pistolet, głową uderzył w dach samochodu. Obrócił pistolet w kierunku taksówkarza i wystrzelił.

Strzałka trafiła kierowcę w szyję, natychmiast opadł na kierownicę. Samochód podjechał do przodu, uderzając w zaparkowaną przed nimi furgonetkę. Luke wyrwał strzałkę z szalika. Uratował go spontaniczny podarunek dziewczyny z metra.

Jezu, pomyślał Luke. Czekał na mnie. Wepchnął się przed wszystkich, żeby mnie zabrać. Wiedział, że jestem w metrze. Jak to możliwe?

Kierowca taksówki oddychał płytko. Spał.

Luke obmacał strzałkę tkwiącą w jego szyi; natrafił na jakiś sznureczek. Pociągnął go i zza kołnierzyka taksówkarza wyłonił się medalik z uzbrojonym aniołem.

Święty Michał. Taki jak jego, jak Drummonda.

Czy ten anioł był znakiem Quicksilvera? Drummond miał taki i należał do tej organizacji. Skoro jednak taksówkarz też był członkiem organizacji, to dlaczego chciał go zaatakować?

Luke podniósł pistolet strzałkowy i komórkę kierowcy, wziął też jego portfel. Wsiadł z taksówki i zaczął biec. Kiedy przebiegł trzy przecznice, zatrzymał się i spojrzał na ekran telefonu, przejrzał historię połączeń. Rozpoznał ostatni numer telefonu, bardzo dobrze go zapamiętał.

Jane. Inicjatorka porwania.

Quicksilver, Mroczna Droga, pięćdziesiąt milionów dolarów, wszystko to stało się nieważne. To Jane była osobą odpowiedzialną za cały ten mętlik. To przez nią jego życie zmieniło się w jakąś chorą rozgrywkę; to ona wysłała za nim tego taksówkarza.

Jeśli taksówkarz faktycznie należał do Quicksilvera, to musiał być zdrajcą, który pracował dla Jane.

To był jej błąd, pomyślał Luke. Teraz będzie mógł ją znaleźć.

Pionek bije królową, pomyślał, biegnąc.



Luke wiedział, że musi unikać miejsc, gdzie były zamontowane kamery – być może to kamery bezpieczeństwa z metra pomogły taksówkarzowi go

namierzyć – biegł zatem, dopóki nie znalazł biblioteki. Jednak nawet tam była zamontowana kamera. Pochylił głowę i odwrócił się w drugą stronę.

Otworzył portfel taksówkarza. Plik euro, francuskie prawo jazdy, szara karta magnetyczna. Wyglądała jak elektroniczna przepustka.

Musiał teraz tylko znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł z niej skorzystać.

Usiadł przed komputerem. Wpisał adres strony, który widział w komputerze, w starym domu Erica: miejsce spotkań Mrocznej Drogi w Internecie. Wszedł na stronę poświęconą serialom telewizyjnym i wpisał hasło Erica. Wciąż działało; ktoś z Mrocznej Drogi był bardzo nieuważny.

A może po prostu byli zbyt zajęci przygotowaniami do operacji Piekielny Ogień, w końcu nie wiadomo, co szykowali. Ta myśl go zmroziła.

Zalogował się jako Eric i zaczął nowy temat z prośbą o pomoc: „Mam telefon komórkowy, który muszę namierzyć. Natychmiast. Proszę o pomoc”. Potem wpisał numer telefonu Jane.

Czekał. Kliknął na post o linku do krótkiego filmu i, ku swojemu przerażeniu, zobaczył na nim zbliżenie twarzy mężczyzny, który w Houston czekał na Allena Clifforda. Ta sama tania kurtka, poorane bliznami policzki – Luke pamiętał, jak tamten uciekał przed siebie. Jego oczy były pełne przerażenia, kiedy ostrze zaczęło powoli przecinać mu gardło.

Luke wyłączył film, nim ktokolwiek obok mógł zauważyć, że ogląda egzekucję. Zrobiło mu się niedobrze. Tak właśnie robią, jeśli kogoś złapią. Tak postąpią z Aubrey i z jego ojcem.

Przeskoczył do angielskiego serwisu informacyjnego, strzelanina była tematem dnia. Nie złapano jeszcze nikogo podejrzanego.

Wrócił na stronę Mrocznej Drogi, pełen nadziei, choć miał marne szanse. Czekala na niego odpowiedź. „Mam informacje o telefonie. Co mogę dostać w zamian?”.

Coś go natchnęło i użył kłamstwa, które wydało mu się kuszące: „Mam zestaw kont bankowych, które czekają na wyprane pieniądze”.

Czekał. Zajęło to godzinę, ledwie ją wytrzymał. „Dobrze”, taką odpowiedź dostał na prywatne konto Erica. Telefon był zarejestrowany na Jane

Mornay, mieszkała w Paryżu, niedaleko Saint-Germain, przy rue de l'Abbé-Grégoire. Wylogował się ze strony, oczywiście nie wysłał w zamian obiecwanego zestawu kont. Oszukanie człowieka, który namierzył dla niego telefon, oznaczało zapewne, że jego hasło zostanie unieważnione i nie będzie już mógł korzystać ze strony, ale nie miało to znaczenia. Znajdzie kobietę, która była winna temu wszystkiemu, kobietę, która pozbawiła go jego dotychczasowego życia.

Będzie też bliżej prawdy o swoim ojcu, o jego życiu, o Piekielnym Ogniu. Sądził, że Jane była punktem wspólnym wszystkich wydarzeń, niewidzialną ręką, którą miał właśnie wyciągnąć na światło słoneczne.

Wyszedł, znów osłaniając twarz przed okiem kamery. Miał wrażenie, że elektroniczne oko śledzi właśnie jego.

## 50.

Mouser wyrzucił Aubrey i Warrena Dantry'ego z furgonetki, częstując ich kopniakami, aż wylądowali u stóp Henry'ego Shawcrossa. Ubite klepisko starej, ogromnej szopy cuchnęło końmi i sianem. Aubrey zamrugała. Promienie słońca kreśliły linie na ciemnej podłodze. Za Henrym stało bmw. Próbowała stać się jak najmniejsza, zwinęła się w kłębek. Jeden z mężczyzn uderzył ją po tym, jak przeszkodziła mu w oddaniu strzału do Luke'a, a na końcu przystawił jej lufę do głowy, żeby Warren Dantry siedział spokojnie. Spojrzała na Mousera, Henry'ego i dwóch pozostałych zbirów. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wszyscy patrzyli na jej towarzysza.

Warren Dantry przewrócił się na plecy, Henry wpatrywał się w jego twarz. Mouser zaczął:

– Poznajesz...

Henry uciszył go gestem.

– Byłeś w samolocie. Zginąłeś – powiedział Henry.

– Witaj dupku – odparł Warren.

Mouser dostrzegł, że Henry'emu zaczęły drżeć dłonie, zwinął je w pięści.

– Luke się wywinął – stwierdził Mouser. – Nie ma mowy, żeby był amatorem. Moim zdaniem cały czas pracował dla swojego tatusia. Wyszedłeś na największego głupca na tej planecie, Henry.



– Nie – zaprzeczył Henry. – Nie, nie. To niemożliwe.  
– Co „nie”? – spytał Warren. – Nie, że tu jestem, czy nie, że Luke zdołał cię przechytrzyć?

– Zostawcie nas – powiedział Henry. – Chcę porozmawiać na osobności z tym chodzącym trupem.

– Nie – odparł Mouser. – Jesteś zaślepiony, Henry. Zaślepiony przez swoje uczucie dla pasierba. Koniec z tym. Nie jesteś w stanie podejmować decyzji. Ryzykowałeś nasze pieniądze, całą naszą organizację i operację Piekielny Ogień. Teraz ja tu rządę.

Henry posłał mu spojrzenie pełne nienawiści.

– Nie ma mowy.

– Jezu, Henry, ty naprawdę się na niczym nie znasz – wtrącił się Warren Dantry. – Nawet gdy powinieś być najmądrzejszym gościem w okolicy.

– Zamknij się. Zamknij się, zamknij się, przecież jesteś martwy. – Chociaż mówił zimnym głosem, słychać w nim było mordercze nuty.

– Naukowcy powinni brać pod uwagę przede wszystkim to, co widzą – stwierdził Warren.

Henry złapał Warrena i zaciągnął go do bocznego pomieszczenia. Zatrzasnął za sobą drzwi. Pchnął Warrena na podłogę.

– Co to jest Quicksilver? – spytał Henry.

– Twoja śmierć – odpowiedział Warren. – W przeciwieństwie do mojej ta twoja będzie prawdziwa.

Henry przyjrzał się twarzy Warrena.

– Czymkolwiek jest, musieli ci zapłacić fortunę, żebyś zostawił swoją żonę i dziecko. Byłbym bardzo szczęśliwy na twoim pogrzebie, gdyby nie to, że widziałem, jak cierpieli Luke i Barbara. Chyba w ogóle o tym nie pomyślałeś. – Ukłąkł przy nim. – Myślisz, że przegrałem? To ty przegrałeś, ty draniu. Przegrałeś ostatnie dziesięć lat.

– Musiałeś przejąć moje życie, bo nie byłbyś w stanie stworzyć sobie własnego.

– Uwielbiałem być mężem Barbary i ojcem Luke'a. Byłem w tym lepszy od ciebie.

– Daj spokój. Wszystko zniszczyłeś. Barbara wiedziała, kim jesteś, kim się stałeś.

Henry wstał.

– Podejrzewam, że zaczęła ci mówić, co wie o twojej nielegalnej działalności, kiedy byliście wtedy w drodze. Znałem ją lepiej niż ktokolwiek inny. Nie byłaby w stanie powstrzymać swojej wściekłości. Zaczęła cię wyzywać, prawda?

„Wiem, co robisz, Henry. Nie dasz rady mnie oszukać”. Jej słowa, pełne jadu. Próbował coś wyjaśnić, przekonać ją, że nie ma racji. Złapał za kierownicę, błagał ją, żeby się zatrzymała. „Wynoś się z mojego domu, Henry, z naszego życia. Chcę, żebyś zniknął na zawsze”. Samochód wpadł w poślizg, zgrzyt barierek, które nagle się przerwały, dachowanie.

– Zabiłeś ją.

– To był wypadek. Głupi wypadek.

– Tobie nie przytrafiają się wypadki, Henry. Jesteś jak morowe powietrze, śmierć ubrana w kiepski garnitur.

Henry kopnął Warrena w brzuch. Mocno.

– Zamknij się. – Potem kopnął go w twarz. Z ust Warrena trysnęła krew, po klepisku potoczył się kawałek zęba. Henry pochylił się, złapał Warrena za głowę i zaczął tłuc nią o ziemię.

– Nie żyjesz! Nie żyjesz! Zaraz znowu będziesz martwy! – krzyczał Henry.

– Puść go! – Mouser stał w drzwiach, trzymając Aubrey. Pistolet w jego dłoni był wycelowany w głowę Henry'ego.

– Mówiłem ci, żebyś zostawił nas w spokoju – odparł Henry.

– Potrzebujemy go żywego. – Mouser zaprowadził Aubrey do krzesła, które stało w rogu. – Dostarczy nam informacji albo dostaniemy za niego okup.

– Nie, musi umrzeć, teraz.

– Znowu stać się trupem? – Mouser przytknął lufę pistoletu pod nos Henry'ego. – Posłuchaj tylko, co ty wygadujesz. Powtarzam: jest nam potrzebny.

Henry odepchnął broń.

– Po co? Sam mogę ci powiedzieć, co to jest Quicksilver, jeśli stoi za tym ten palant. To grupa jajogłowych plus kilku osiłków, którzy mają oceniać zagrożenia i zajmować się ich niekonwencjonalnym zwalczaniem. Tak jak Klub Książki. To on mi go zabrał; przywłaszczył sobie wszystkie osiągnięcia.

– Quicksilver to coś na znacznie większą skalę niż Klub Książki. Tak samo jak Luke jest kimś o wiele bardziej znaczącym, niż ty kiedykolwiek byś mógł się stać. – Warren wypluł kolejny kawałek zęba i trochę krwi.

– Ty – zwrócił się Mouser do Warrena. – Ile o nas wiesz? Konkretnie.

Warren zawahał się, wtedy Mouser wycelował broń w głowę Aubrey.

– Mów albo ją zabiję.

– I tak nas zabijecie. – Warren spojrzał na Aubrey ze smutkiem w oczach. – Przykro mi Aubrey, ale taka jest prawda.

– Wiem. – Aubrey zamknęła oczy. Jakby czekała, aż kula zakończy ten koszmar.

– Sądzę jednak, że jeśli tak wam zależy na tych pieniądzach, to powinniście ją oszczędzić. Luke może się zgodzić na wymianę.

Mouser zastanowił się przez chwilę.

– Mam ochotę ją zastrzelić. Wielką. Tylko dlatego, że Luke zabił moją kobietę. – Mouser złapał za pierś Aubrey, aż ta jęknęła z bólu. Potem brutalnie pocałował ją w policzek, a ona próbowała się wyrwać. Wtedy ponownie przeniósł spojrzenie na Warrena. – Pracujesz dla Bestii, prawda?

– Bestii?

– Rządu Stanów Zjednoczonych.

– Nie pracuję dla rządu. Już nie. – Warren uniósł brew. – To chyba Henry bierze pieniądze od rządu, żeby finansować swój zespół. Ja nie. – Mówił to w taki sposób, jakby był to jakiś przejaw moralnej wyższości.

– Jak udało ci się uratować? – spytał Mouser.

– Nie macie innych zmartwień? – rzucił Warren.

– Odpowiedz. Powinieneś być zginąć razem ze swoimi kolegami z tego samolotu.

– Przegapiłem lot.

Mouser oblizał górną wargę.

– Ci dwaj na zewnątrz. Dokonywali zbiorowych gwałtów, kiedy nie byli w stanie nic wydusić od wieśniaków. Z chęcią spędziliby kilka godzin z Aubrey.

– W ostatniej chwili jednak nie wsiadłem do samolotu – powiedział Warren.

– Dlaczego?

– Ktoś do mnie zadzwonił tuż przed startem. Dostałem propozycję pracy, nad którą musiałem się natychmiast, na osobności, zastanowić. Powiedziałem moim przyjaciółom, że później do nich dołączę. Kiedy samolot się rozbił, wiedziałem, że to nie był wypadek. Mój nowy pracodawca uznał, że najlepiej będzie, jeśli się ukryję. Dla mnie, dla mojej rodziny. Żeby nie stali się potencjalnymi celami.

– Ty zimny draniu – powiedziała Aubrey. – Luke cię uwielbiał. Nie zasługujesz na jego miłość.

– To, że moi wrogowie myśleli, iż umarłem, stanowiło dla Luke'a ochronę. Aż do teraz. – Warren przypatrywał się Henry'emu. – Chciałeś, żeby był taki jak ty. Nie udało ci się to.

– Ciii... – syknął Mouser. – Mówisz, że nie pracujesz dla Bestii. Tylko Bestia może stworzyć zespół, który będzie miał do dyspozycji takie fundusze.

– Mroczna Droga jest armią, choć nie jest częścią żadnego rządu – odparł Warren. – Jesteśmy jak awers i rewers tej samej monety.

Mouser zmarszczył czoło.

– Działacie poza prawem, my też – ciągnął Warren. – Witajcie na wojnie przyszłości.

– Czyli jesteście bandą nadzianych strażników sprawiedliwości z całego świata? Daj spokój!

– Nie musimy przestrzegać prawa. Tak jak wy. To może być dla was zagrożenie, pełnoprawny przeciwnik.

– Zamknij się, Warren. – Henry wydawał się spokojniejszy, bardziej opanowany. Odwrócił się do Mousera. – Nie powie nam nic konkretnego. Może gdyby coś groziło Luke'owi. Ale tak nie będzie mówił.

Mouser pochylił się nad twarzą Warrena i wrzasnął:

– Co wiesz o Piekielnym Ogniu?!

– Nie uda się wam przeprowadzić tych ataków – odpowiedział Warren.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Warren zamknął usta.

– Twój syn jest podobny do ciebie – powiedział Mouser.

– Dziękuję – odparł Warren.

– Mam na myśli, że obaj jesteście zbyt głupi, aby się zorientować, kiedy macie naprawdę poważne problemy. On miał szczęście, twoje się właśnie skończyło.

– Jeśli go zabijecie, nie dostaniecie pieniędzy.

– Widzisz, tak właśnie wyglądało myślenie życzeniowe Henry'ego. Uważam, że jeśli umieścimy kogoś w banku Erica i włamiemy się do systemu, to dowiemy się, gdzie schował pieniądze. To będzie o wiele prostsze niż szukanie Luke'a, który może wie, a może nie wie, gdzie są pieniądze.

– Luke nie wie – wyrzuciła z siebie Aubrey. – Możecie nie tracić czasu na pościg za nim. Eric był od ciebie mądrzejszy. Zabiłeś go z zimną krwią, ale on zadbał o to, żebyś nigdy nie zobaczył tych pieniędzy. Zbyt dobrze je schował.

Mouser kopnął ją w klatkę piersiową, Aubrey upadła, zwiijając się z bólu. Odwrócił się do Warrena.

– Dokąd pójdzie twój syn?

– Jego jedynym wyjściem jest oddanie się w ręce policji.

– Raczej tego nie zrobi – stwierdził Mouser. – Myślę, że będzie szukał pomocy u tych z Quicksilvera. Jesteśmy zainteresowani tą organizacją i jeszcze jedną osobą. Brytyjką, która nazywa siebie Jane.

– Nie znam żadnej Jane – odpowiedział Warren.

– Myślę, że znasz. Nastawiła nas przeciwko sobie. Ponosi odpowiedzialność za śmierć twojego człowieka w Houston, próbowała ukraść

nasze pieniądze. Jest naszym wspólnym wrogiem.

Warren patrzył na niego w milczeniu z zaciśniętymi ustami.

– Nie znasz jej – powiedział Mouser.

– Nie. Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Myślę, że nie znasz jej jako Jane, ale pod jakimś innym imieniem.

Może Jane to imię, którego używała w trakcie porwania. Myślę, że mogła cię wyrolować – zaryzykował Mouser.

Warren dalej milczał, ale Aubrey dostrzegła na jego twarzy, że słowa Mousera trafiły w sedno.

– Czy twój syn pracuje dla ciebie? Czy był szpiegiem dla Quicksilvera? – spytał Mouser.

Warren odczekał chwilę. Spojrzał na Aubrey, która wpatrywała się w niego.

– Tak. Tak, Luke pracuje dla Quicksilvera.

– Cholera, kłamie, żeby postawić mnie w złym świetle! – zdenerwował się Henry.

– Sam sobie bardzo dobrze z tym radzisz – odparł Mouser. – Zdaję sobie sprawę, że ten facet chce cię strącić z twojego stołka.

– Jedyne, czego chcę go pozbawić, to jego nędzne życie – wtrącił się Warren.

– Dostrzegam również coś, co wam obydwu zdaje się umykać. To Luke jest elementem wspólnym wszystkich wydarzeń. Tylko on ma osobiste powiązania zarówno z Quicksilverem, jak i z Mroczną Drogą. Ta suka Jane o tym wiedziała. Nie należy do Mrocznej Drogi. Musi zatem wiedzieć o Quicksilverze. – Mouser splótł ramiona.

Henry i Warren patrzyli na siebie z wściekłością. Mouser podszedł do biurka i otworzył laptop.

– Nie likwidowałem konta Erica na stronie internetowej Mrocznej Drogi, żeby zobaczyć, czy ktoś z niego skorzysta. Zostało wykorzystane raz, już po śmierci Erica, domyśliłem się, że użyli go Luke lub Aubrey. Ktoś korzystający z konta Erica właśnie wysłał prośbę o namierzenie telefonu.

– Luke kogoś szuka – stwierdził Henry. – Gdzie jest? Czy możesz dojść, z jakiego miejsca się logował?

Mouser przyjrzał się ekranowi.

– Dostał obietnicę odpowiedzi od jednego z naszych. Zadzwoń do niego, Henry. Powiedz, żeby nam podał informacje na temat tego telefonu, a potem trochę poczekał, zanim przekaże je Luke'owi. Chcę wiedzieć, gdzie jest ta osoba i kto jest właścicielem tej nieruchomości. Myślę, że Luke tam pojedzie.

– Chcesz zastawić pułapkę – powiedział Henry. – Ja tam pojedę, porozmawiam z nim.

– Nie. Chodzi o coś więcej niż pułapkę. To koniec, Henry. Istnieją inne sposoby na odzyskanie naszych pieniędzy. – Mouser spojrzał na Aubrey. – Była jego dziewczyną. Może nas wprowadzić do tego banku. Zna tam jego przyjaciół, współpracowników. Możemy dostać się do środka i wysledzić, gdzie ukrył pieniądze.

Odpowiedź od hakera pojawiła się szybko, Mouser odczytał ją z ekranu: „Zarejestrowany na Jane Mornay pod tym adresem. Przy rue de l'Abbé-Grégoire”.

– Ja tam pojedę. Jeśli Luke tam jest, będę z nim mógł porozmawiać.

– Dorośnij. Nie możesz mieć wszystkiego. Mama cię tego nigdy nie uczyła? – Mouser wyciągnął telefon i zaczął wybierać jakiś numer. – Znam tu też innych ludzi oprócz ciebie, Henry, kiedyś z nimi handlowałem. Czas na zdecydowane działania. Potem wrócimy do domu i zajmujemy się operacją Piekielny Ogień. Pieniądze nie są ważniejsze niż nasza misja. Możemy zdobyć dodatkowe fundusze dla Mrocznej Drogi.

– Nie możemy. Nie wiesz, kto nas finansuje. Zabiją nas za to, że straciliśmy te pięćdziesiąt milionów.

– Nie nas. Ciebie.

Henry patrzył na niego w milczeniu.

– Wiem, od kogo są te pieniądze. Myślałeś, że cię nie sprawdzę po tym, jak zaproponowałeś mi wejście do Mrocznej Drogi, ty idioto?! Mam

swoje własne kontakty, Henry. Kiedy opiszę im twój brak kompetencji i koncentracji, książkę wypłaci nam nową transzę. Nie brakuje mu pieniędzy i na pewno sporo wyłoży w najbliższych latach. A jeśli będziesz się ze mną kłócił, to cię zastrzelę. Przejmuję dowodzenie. Jeśli będziesz ze mną walczył, zginiesz.

– Co, do cholery, planujesz?! – powiedział Henry podniesionym głosem.

– Chcę ubić dwa ptaszki jednym kamieniem – odparł Mouser.



# 51.

Rue de l'Abbé-Grégoire była dość spokojna, Luke użył karty magnetycznej, którą zabrał taksówkarzowi, żeby dostać się na parter budynku. Wszedł do środka.

Jaskinia lwa. Prawda o jego porwaniu. Prawda o jego przeszłości.

Było tu cicho jak w grobie. Wszedł na górę wąskimi schodami. W jednej ręce wciąż trzymał kartę taksówkarza, w drugiej broń, którą odebrał jednemu z osizków Mrocznej Drogi pod wieżą Eiffla. Taksówkarz już pewnie odzyskał przytomność i zadzwonił do Jane z ostrzeżeniem.

Tabliczka na drzwiach głosiła LAUNCELOT CONSULTING. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Przytknął kartę do zamocowanego obok terminalu. Nie działała. Spróbował ponownie. Nadal nic.

Przyszedł mu do głowy pomysł. Przytknął swój medalik ze świętym Michałem do terminalu.

Drzwi się otworzyły.

Ledwo oddychał. Te drzwi stanowiły zagrożenie o wiele większe niż porwanie, kule czy brutalność Snow i Mousera. Za nimi mogła się kryć prawda. O jego ojcu, ojczymie, cieniach, które czaiły się gdzieś tuż pod powierzchnią jego życia, czekając na dogodną chwilę, a teraz go otoczyły. Wyciągnął rękę z pistoletem przed siebie i wszedł do pustego holu. Zamknął drzwi za sobą i usłyszał trzask zaskakującego mechanizmu.

Grobowa cisza.

Przeszedł się po pomieszczeniach biura. Klucz magnetyczny otwierał wszystkie drzwi, z wyjątkiem jednych. Stały tam rozkładane łóżka, stół, na którym porozkładano broń, była też mała kuchnia. W powietrzu unosił się zapach jak z domku letniskowego: aromat jedzenia pomieszany z papierosami i potem. W jednym z pokoi w rogu stała tylko jedna połówka. Na poduszce dostrzegł pojedyncze, długie, ciemne włosy. Na stoliku obok leżały pierścionki Aubrey i jej zegarek.

Aubrey. Trzymali ją tutaj.

Wszedł do kolejnego pomieszczenia.

Ściany były pełne papierów. Wycinki, fotografie, notatki. Dotyczyły Mousera, Snow i tego chudzielca, który próbował zabić Luke'a i Drummonda w Nowym Jorku.

Było tu prawie jak w gabinecie ojca. Jego tato lubił przyczepiać notatki i fiszki do ściany, fragmenty tekstów dotyczące historii, ekonomii i polityki, żeby szukać w nich wspólnych elementów, które pomagały mu się zagłębić w jakieś dawne tajemnice albo były zaczątkiem artykułu naukowego czy też książki. Widok tego papierowego kolażu był dla niego uderzający; myśli jego ojca poprzechcipiane do ściany.

Przyjrzał się wycinkom i fotografiom. Na środku ściany przypięto karteczkę z napisem PIEKIELNY OGIEN? Pismo należało do jego ojca. Ściana wyglądała, jak jakiś niedokończony projekt, jakby jego ojciec próbował zebrać razem wszystkie wiadomości o Mrocznej Drodze.

Pierwsza z fotografii przedstawiała mężczyznę, który był umówiony na spotkanie z Allenem Cliffordem w Houston, a którego egzekucję Luke widział na stronie Mrocznej Drogi. Miał małe oczy, miękko zarysowane usta, modnie ostrzyżone włosy. Obok było zdjęcie jego prawa jazdy; nazywał się Bridger. Z drugiej strony – lista miejsc, gdzie poprzednio przebywał. Dalej wisiało zdjęcie przedstawiające człowieka, którego Luke nie był w stanie zapomnieć – Allen Clifford. Żywy, obok zdjęcie jego ciała, które znalazło się w prasie. Luke odczytał ręczne zapiski przychepione pod

zdjęciami: „Informator, z którym ma się spotkać Clifford, chce sprzedać informacje dotyczące zbliżającego się ataku terrorystycznego, mającego objąć zasięgiem liczne miasta”, potem notka sprzed czterech dni: „Informator spotykający się z Cliffordem domaga się, żeby spotkanie miało miejsce na otwartej przestrzeni. Nie chce się spotykać w budynku, krańcowa paranoja. Nalega na spotkanie na rogu niedaleko schroniska dla bezdomnych przy McCoy Street, w pobliżu centrum o dziewiątej wieczorem. Na prośbę informatora Clifford ma się przebrać za bezdomnego”.

Mouser naprawdę nazywał się Dwayne York. Na ścianie wisiało powiększone zdjęcie jego nowojorskiego prawa jazdy. Prowadził własną działalność w Dallas, projektował strony internetowe. Były wojskowy. Karnie zwolniony z wojska. Jego znajomi mówili na niego Mouser, ponieważ strzelał do myszy na terenie bazy wojskowej. Potem zajął się kotami i psami. Długa historia powiązań z organizacjami paramilitarnymi; spędził jakiś czas w więzieniu z powodu związków z radykalnym ugrupowaniem, które próbowało podłożyć bombę w budynku rządowym.

Zdjęcie zrobione w dniu, kiedy rozbił się samolot ojca. Ujęcie z kamery przemysłowej, mężczyzna w kombinezonie roboczym przechodzi obok kamery, ma lekko przekrzywioną głowę. Wygląda trochę jak Mouser.

Ten drań to zrobił, pomyślał Luke. Majstrował coś przy samolocie ojca, zabił jego przyjaciół, sukinsyn.

Snow. Prawdziwe imię i nazwisko: Roanna Snowden. Jedna z niewielu pozostałych przy życiu członków sekty Krew Baranka. Luke pamiętał, że federalni najechali ich ranczo; sektę oskarżano o gromadzenie broni. Był wtedy jeszcze dzieckiem, podobnie jak Snow. Studiowała potem chemię, a potem gdzieś zniknęła. Najwyraźniej zajęła się konstruowaniem bomb.

Chudzielec z Nowego Jorku. David Byrd, zwany Sweet Bird. Długa lista wykroczeń, rozrysowana siatka przestępcza, z nim pośrodku, więzienia i długość wyroków. Wiele z nazwisk na liście zakwalifikowano do innej

grupy, powiązanej z pewnym meczetem w Queens, jedna osoba miała znajomych wśród radykalnych wyznawców wahabizmu w Arabii Saudyjskiej. Pod zdjęciem Sweet Birda przyczepiono informacje na temat kilku niewyjaśnionych przestępstw, między innymi zamordowania zastępcy prokuratora okręgowego. Wyciągi z kont, z których wynikało, że jeden z jego kolegów kilkakrotnie zlecił firmie Travport przewóz towarów. Luke pamiętał tę nazwę; Travport była jedną z firm, której kontami zarządzał Eric. Potem długa lista niedawnych ataków, niewielkich, wymierzonych w infrastrukturę miasta: zasilanie, światła kierujące ruchem. Sabotaż na małą skalę, ciosy wymierzone w tkankę codzienności.

Były tam zdjęcia porozmieszczane na mapie, na których udokumentowano strzelaninę w Los Angeles, wybuch bomby w Kansas City, zniszczony rurociąg w Kanadzie, ataki na pociąg z chlorem w Teksasie, jakby ten, kto stworzył ten kolaż – jego ojciec – próbował zebrać w całość ludzi i miejsca, znaleźć powiązania między nimi.

Kiedy tak patrzył na mapę, do głowy przyszła mu pewna myśl. Konta, które Eric pozakładał w całym kraju. Kalifornia, Minnesota, Missouri, Teksas – w miejscu lub niedaleko miejsca zamachów. Nawet ten nieudany zamach – na Alasce, gdzie ekstremiści zostali aresztowani – pamiętał, że w wiadomościach podawano, iż podejrzani pochodzili ze Seattle. Waszyngton również był na liście kont.

Podszedł do stołu wypełnionego ekranami komputerów. Jeden z ekranów pokazywał film ze stacji Les Invalides. W rogu ekranu znajdowała się stopklatka, na której widać było jego, jak wsiada do pociągu na Champs de Mars. Taksówkarz musiał dostawać informacje drogą radiową i szybko przemieszczać się na kolejny przystanek. Kolejne ujęcie, na którym stoi na ruchomym chodniku stacji Les Invalides.

Nie mógł uwierzyć w to, że nikogo tu nie zastał. Potem jednak się zastanowił. Jego ojciec był więźniem Mrocznej Drogi. Francuz zginął pod wieżą Eiffla, a taksówkarz leżał nieprzytomny w samochodzie. Może

członkowie Quicksilvera we Francji nie byli zbyt liczni? Ale gdzie się podziała Jane Mornay?

Jeśli należała do Quicksilvera – do organizacji jego ojca – to dlaczego to wszystko zrobiła? Dlaczego naraziła Luke'a na niebezpieczeństwo?

Spróbował jeszcze raz otworzyć drzwi, przy których nie zadziałał klucz elektroniczny. Zamknięte.

Zerwał jedną z zasłon i owinął nią broń. Potem wystrzelił w zamek.



Po dwudziestu minutach negocjowania i kłótni Mouserowi udało się w końcu dobić isticie szatańskiego targu. Mouser był znany i szanowany wśród członków islamskiej komórki terrorystycznej; wcześniej sprzedał im skradzione dane dotyczące kart kredytowych. Przywódca terrorystów słuchał uważnie, kiedy Mouser przedstawiał mu swój plan.

Potrzebował bomby, i to natychmiast.

Kolejny męczennik pochodzący z ich szeregów planował detonację bomby za trzy tygodnie, kiedy wizytę we Francji miał składać izraelski premier. Wszystko było gotowe. Męczennik chciał wykonać swoje zadanie.

Mouser przekonał przywódcę terrorystów, że muszą dokonać ataku na biuro izraelskiej służby wywiadowczej, które mieści się przy jednej ze spokojnych ulic. Musieli jednak działać natychmiast. Atak na takie biuro będzie wielkim ciosem zadany syjonistom tuż przed wizytą ich premiera. Mouser obiecywał również w ramach zapłaty zamach na budynki należące do Żydów w Stanach Zjednoczonych. Zdradził też, które z akcji stracą na wartości wskutek planowanych zmasowanych ataków zwanych operacją Piekielny Ogień, które miały się rozpocząć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Terrorysty mogli kupić i sprzedać akcje zgodnie z jego wskazówkami, a dzięki temu nieźle zarobić.

Przywódca komórki dał się przekonać. Poświęcenie męczennika już teraz pozwoli im pozyskać cennego sprzymierzeńca.

Dziesięć minut po telefonie Mousera męczennik zakończył swe modlitwy i ruszył w drogę, z niezwykle ostrożnością pokonując ulice Paryża.



Za zamkniętymi drzwiami znajdował się niewielki pokój. Leżały tam jakieś kartoteki, wydruki, w rogu stała spora niszczarka. Pod ścianą umieszczono szafki na dokumenty. Otworzył jedną. Była pusta. Kolejna również, ale na jej dnie leżały resztki papieru. Trzecia z szafek była zamknięta.

Przestrzelił zamek. Trzęsły mu się ręce. W środku znalazł zaledwie kilka skoroszytów.

Jeden z nich dotyczył jego ojczyzna. Był dość pokaźny, kilka stron wyrwano. Były to stare notatki Henry'ego spisane na firmowym papierze Departamentu Stanu, przyklejano do nich karteczki samoprzylepne. Większość z tych zapisków dotyczyła zagrożeń, jakie płynęły z rozwoju taniej turystyki – grupy ekstremistów mogły zaszkodzić danemu krajowi, ponosząc niewielkie nakłady finansowe i mierząc w jego infrastrukturę. Najwyraźniej był to ulubiony temat rozważań Henry'ego z początków działalności jego grupy analityczno-badawczej. Liczne notki dopięte do rozmaitych zestawień liczbowych świadczyły o tym, jak intensywnie niegdyś rozmyślał nad tematem.

*Jedenasty września kosztował pół miliona dolarów, a spowodował 80 miliardów dolarów strat. Zamachy bombowe na Bali – 2 miliardy dolarów zniszczeń przy 60 tysiącach nakładów. Zamach bombowy w Madrycie – 50 miliardów dolarów strat w zamian za jakieś 12 tysięcy w marihuanie, ecstasy i gotówce. Eksplozje bomb w Londynie – 3 miliardy dolarów strat przy 18 tysiącach wydanych dolarów.*

Jak gdyby wszystkie te okropieństwa były jedynie wstępem do tego, co Mroczna Droga może rozpuścić w Ameryce i u jej sprzymierzeńców. Na ile mogliby sobie pozwolić, dysponując pięćdziesięcioma milionami dolarów?

Mogliby spowodować całą serię zamachów podobnych do tych z jedenastego września, ciągnący się miesiącami lub latami horror. A do tego, jeśli wróg już przebywał na terenie kraju, jeśli terroryści jednoczyli się, niezależnie od wyznawanej ideologii, w imię wspólnego celu, to czy mogli być jeszcze bardziej niebezpieczni? Luke wepchnął skoroszyt z powrotem do szafki. Nie było mu już niedobrze; czuł tylko nieustającą wściekłość, ponieważ zdał sobie sprawę, jak bardzo został wykorzystany.

Akta Erica. Sporo zapisków dotyczących jego banku, Marolt Gold, który wydawał się specjalizować w prowadzeniu kont bogatym Amerykanom i ludziom o wątpliwej reputacji. Zebrane informacje świadczyły o tym, że Quicksilver interesował się bankiem Erica od kilku miesięcy z powodu jego powiązań z pewnym arabskim miliarderem, którego podejrzewano o finansowanie organizacji terrorystycznych. Zdjęcie przedstawiające Erica i Aubrey w szczęśliwszych czasach, twarz Aubrey ocieniały olbrzymie okulary, ale uśmiech na jej twarzy widać było wyraźnie. Eric i Aubrey razem w Wersalu – pamiętał, że Aubrey bardzo chciała tam pojechać, a wariant piśmowni nazwy tego miejsca został później wykorzystany przez Erica jako hasło.

Dobry Boże, pomyślał. Jak długo Quicksilver śledził Erica?

Akta Luke'a. Ktoś postawił czerwoną pieczęć ze słowami NIE NAWIĄZYWAĆ KONTAKTU na jednym z przedstawiających go zdjęć, zrobionym całkiem niedawno, kiedy wychodził z domu Henry'ego w Waszyngtonie w czasie ostatnich świąt.

Święta, kiedy jego życie było jeszcze normalne, a jego ojciec go śledził. Ile to świąt spędził, oplakując ojca, czując jego doskwierający brak za każdym razem, kiedy zapachniała choinka, tymczasem on właśnie wtedy go obserwował. Patrzył, jak Luke płacze, jak toczy się jego życie.

Chyba że to nie ojciec go obserwował.

A jeśli to Jane? Jej telefon został zarejestrowany pod tym adresem. W jaki sposób była powiązana z jego ojcem?

Akta dotyczące matki. Na wierzchu teczki widniało słowo WYELIMINOWANA? I data jej śmierci.

Upadł na kolana. Wyeliminowana? Znak zapytania czynił to słowo jeszcze gorszym. Czy Henry ją zabił, choć sam prawie zginął w tym wypadku? Przewertował dokumenty, ale nie znalazł niczego, co potwierdzałoby tę hipotezę – zdjęcia jej i Henry'ego zrobione z ukrycia, historia jej życia. Zdjęcia rozbitego samochodu.

– Mamo – powiedział na głos, a potem nie mógł już z siebie wydusić słowa. Nie był w stanie myśleć. Czuł ciężar w piersiach. Jaką prawdę o niej ukrywano przed nim? Czy wiedziała, że ojciec żyje? Wydawało się nie do pomyślenia, że mogłaby utrzymywać to przed nim w tajemnicy. Z żony człowieka, którego Luke uważał za bohatera, stała się żoną kogoś, kto był godną pogardy szumowiną, zwyczajnym zdrajcą.

Zebrał papiery. Wrzucił je do torby i zasunął zamek. Inne akta dotyczyły ludzi, których nie znał, dziesiątek ludzi, których nazwiska nic mu nie mówiły. Z wyjątkiem jednego. Akta Aubrey Perrault, na okładce napisano w nawiasie nazwisko Lindoe. Otworzył teczkę. Pusta. Wszystkie papiery, które były w środku, zniknęły. Jak gdyby ktoś chciał, żeby Aubrey zniknęła.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że na progu stoi młoda kobieta z bronią w ręku. Wycelowaną w niego.

– Nie podnoś broni. Rzuć ją – powiedziała z brytyjskim akcentem.

Posłuchał. Nie opuściła broni.

– Trochę się spóźniłeś na spotkanie po latach – powiedziała. – Witaj Luke'u Dantry.

– Witaj, Jane.

– Kopnij broń w moją stronę. – Mówiła jak nauczyciel, który wydaje komendy przedszkolakowi.

Zrobił, co kazała. Kopnął broń pod stół.

Jeśli zaskoczył ją tym, że znał jej imię, to nie dała tego po sobie poznać. Była tak spokojna, jakby właśnie weszła do dobrej restauracji, żeby napić



się wina z przyjaciółmi. Jednak wciąż nie opuszczała broni. Jej głos był zimny jak lód. Uśmiechnęła się nieszczerze. Pewnie była kiedyś ładna, ale wymuszona twardość sprawiła, że wydawała się nieatrakcyjna.

– Cóż, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało.

– Tak. Dzięki Bogu – powiedział Luke. – Ponieważ to ja jestem kluczem do tego wszystkiego, czyż nie?

– Kluczem?

– Do twojego planu. Twojego spisku.

– „Spisek” brzmi tak okrutnie.

– Na początku nie mogłem tego zrozumieć. Mój ojczym uważał, że to Quicksilver stoi za moim porwaniem. Ale to nie byli oni. To ty. Ty sama. Należysz do Quicksilvera, ale pracujesz na własny rachunek. Zdradziłaś organizację. Zmusiłaś Erica, żeby zabił Allena Clifforda, chciałaś sprowokować swoich kolegów z firmy, napuścić ich na Mroczną Drogę. W Quicksilverze byłaś odpowiedzialna za śledzenie Henry'ego i mnie po tym, jak zginęła moja mama. Odkryłaś istnienie Mrocznej Drogi i to, że Henry miał dostać spore pieniądze. Rozpętałaś wojnę między tymi dwoma organizacjami. Chciałaś w ten sposób zagarnąć pieniądze Mrocznej Drogi i zwalić całą winę na Quicksilvera.

– Bardzo dobrze. Obserwowałam, jak twój ojczym i pewien niezbyt sympatyczny miliarder dobili targu w londyńskim parku. To dlatego wiedziałam, że mogę ukraść te pieniądze. – Znów uśmiechnęła się z wyższością. – Nie można być zdrajcą w prywatnej firmie. Wolę raczej określenie wolny strzelec.

– Drummond i inni ludzie z organizacji nie wiedzieli o pięćdziesięciu milionach. Tylko ty. Zataiłaś tę informację przed moim ojcem i resztą.

– Cóż za strata – stwierdziła. – Jesteś mądrzejszy od obu twoich tatuśców.

– Byłem dla ciebie idealnym pionkiem. Miałem ojca w Quicksilverze i ojczyma w Mrocznej Drodze. Kiedy zostałem w to zamieszany, obie strony

wdały się w wojnę. To właśnie owa tajemna wojna, o której wspominał Drummond. Nie będzie rozgrywana oficjalnie. To jak nowy pojedynek CIA i KGB. Jej uśmiech zdrzął. Luke mówił dalej:

– Ta cała wojna jest dla ciebie świetnym kamuflażem, żeby się wyknać. Możesz zostać uznana za zmarłą lub porwaną przez Mroczną Drogę. Skontaktowałeś Erica z Drummondem, obiecałeś mu, że możesz go ukryć przed gniewem Mrocznej Drogi. Że może sprzedać posiadane przez siebie informacje o Mrocznej Drodze, Mouserze i moim ojczymie w zamian za swoje nowe życie. Jednak te pięćdziesiąt milionów to był wasz wspólny sekret. Pozwoliłeś, żeby schwytano i zamordowano twoich przyjaciół. A wszystko dla tych brudnych pieniędzy.

– Pieniądze nie są złe. Pieniądze to radość, bezpieczeństwo i życie wolne od trosk. Zupełne przeciwieństwo pracy dla Quicksilvera. Bardzo mi tu brakuje pakietu świadczeń socjalnych. – Niemal niezauważalnie podniosła broń. Lepiej strzelić mu między oczy. – Oferowałeś Quicksilverowi numery kont, na których zostały ukryte pieniądze dla Aubrey.

– Tak. Mam plik z informacjami na temat kont.

– A ja mam klucz deszyfrujący.

– Dwie połówki układanki. Jeden ma królowa, a drugi pionek.

– Nienawidzę szachów – powiedziała, krzywiąc się. – Podaj mi te numery kont, Luke, natychmiast.



Męczennik przyglądał się budynkowi, który stanowił cel jego zamachu. Był zdenerwowany; spodziewał się, że nie pójdzie do raju jeszcze przez kilka tygodni, a teraz nie miał czasu, żeby uspokoić swój umysł. Ludzie mijali budynek, nikt do niego nie wchodził i nikt nie wychodził. Obok była katolicka księgarnia, a nad nią mieszkania, po przeciwnej stronie znajdował się sklep z materiałami dla plastyków. Sprzedawali narzędzia, którymi później wykonywano bezbożne podobizny, mówił sobie. Starał się nie myśleć o dwóch ładnych, młodych kobietach, które stały w wilgotnym

powietrzu i śmiejąc się, kończyły palić gitanes'y. On też palił te papierosy. Starał się im nie przyglądać, ale ich śliczne twarze przyciągały jego spojrzenie jak magnes. Był słaby, a pokusa taka silna. Śmiały się, dym spowijał ich twarze, musiał sobie wbić do głowy, że to demony. Paryż był miastem demonów. Dziewice w niebie będą piękniejsze, będą miały błyszczące oczy, perłowe uda i zniewalający uśmiech.

Dwukrotnie przejechał obok budynku, wyglądał jak człowiek poszukujący najprostszej miejskiej przyjemności – miejsca parkingowego. Kiedy znów znalazł się przed budynkiem, ucieszyło go, że dziewczęta albo dokądś poszły, albo weszły do sklepu z materiałami dla artystów. Nie chciał już na nie patrzeć.



- Możesz odłożyć broń, Jane.
- Mogę?
- Omówmy warunki – zaproponował Luke.

Jej twarz stała się mniej napięta, Luke pomyślał, że są coraz bliżej prawdy.

– Warunki. Dasz mi te pięćdziesiąt milionów i będziesz wolny, mając nadzieję, że Mroczna Droga cię nie dopadnie. Mouser może cię żywcem obdrzeć ze skóry, jeśli cię dorwie, a inni są pewnie gorsi od niego. – Wskazała dłonią na zdjęcia Mousera, Snow i Sweet Birda. – To fanatycy, ale nieźle sobie radzą. Jestem pewna, że ich zemsty nie dałoby się zapomnieć.

– Dwoje z tej trójki nie żyje – powiedział. – Już się ich nie boję tak jak na początku.

– Na twoim miejscu zabiłabym Mousera. On się nie podda.  
– Zatem dam ci pieniądze i nie dostanę nic w zamian. – Nie wypuści mnie żywego, pomyślał Luke. Nie by na tym nie zyskała.

– Oferuję ci ten sam układ co Ericowi. Obiecywałam, że mogę kupić nowe życie dla niego i Aubrey. Dostaniesz ćwierć miliona, znikniesz. Pomogę ci się gdzieś przyczaić.

– Jesteś taka sama jak ci z Mrocznej Drogi. Zniszczyłaś mi życie, ty dziwko! I po co? Żebyś dostała to, na czym ci zależy, inni są nieważni, nie obchodzą cię niewinni ludzie.

– Kiedy tak mówisz, wydaję się takim potworem, Luke. Doprawdy. To należy do naszych obowiązków. W końcu staramy się odebrać pieniądze terrorystom. Jestem lepsza od Mrocznej Drogi. A teraz proszę o plik. Mam klucz deszyfrujący na komputerze w innym pokoju.

Wyszedł na korytarz. Będzie miał tylko jedną szansę. Odeszła od okna, wciąż celowała w niego.



Nareszcie zwolniło się miejsce dokładnie na wprost budynku. Jakiś starszerek wyjechał swoim peugeotem i, mruczając coś do siebie, pojechał rue de l'Abbé-Grégoire.

Męczennik zaparkował z dużą starannością; żeby przetrwać w Paryżu, trzeba było umieć parkować równolegle, a on był w tym bardzo dobry. Nie rozpaczał, ale myślał o ojcu, który dwa lata temu zmarł na raka, o matce, która nic nie rozumie. Niebo było białe od deszczu. Zastanawiał się, czy w raju też pada taki chłodny deszcz; nie pamiętał, czy ktoś wspominał o tym, jaka tam jest pogoda. Czuł się tak, jakby ktoś inny poruszał jego mięśniami, jak gdyby działały niezależnie od jego mózgu i serca. Chciał poczuć teraz dotyk swojej matki, żałował, że zobaczył te dziewczęta sprzed sklepu z materiałami dla plastyków, żałował, że nie skończył szkoły, ale żadna z tych rzeczy nie będzie miała znaczenia. Był słaby. Czekał na niego chwała przewyższy to wszystko. Czyż nie?

Męczennik podniósł urządzenie, które było kiedyś kontrolerem gier. Przewody prowadziły do bram raju. Bał się. Jakiś cienki głosik w jego głowie pisał: „Nie rób tego!”.

Uciszył głos w sobie i wcisnął guzik.

## 52.

Jane poszła za nim do pokoju z komputerem. Stał na biurku przy oknie. Pochyliła się nad biurkiem i pomachała bronią, żeby się nie ruszał.

– Rzuć mi breloczek.

Posłuchał. Otworzyła miniaturkę piłki i wsunęła pendrive w gniazdo USB.

Jedną ręką pisała coś na klawiaturze. Drugą wciąż trzymała wycelowany w niego pistolet.

Będzie musiała spojrzeć na ekran, kiedy pojawią się informacje o kontaktach. Wtedy się na nią rzuci. Na pewno do niego strzeli, ale to będzie jedyna chwila, kiedy odwróci od niego uwagę. Jeśli będzie czekał, to zginie.

Spoglądała to na niego, to na ekran komputera, który w ciemnym pokoju rozświetlał jej twarz na niebiesko. Jane go nie zabije, dopóki nie upewni się, że ma to, czego chciała.

Zebrał się do skoku.

– Jest. – Ale głos Jane, dotąd tak przepelniony pewnością i ironią, nagle stał się nerwowy. – Ukryte na widoku, a to d...

Okno – i cały świat – podłoga, gdzie stała Jane, zniknęły. Błysk, jakby Bóg otworzył oko, oślepił Luke'a. Było i nie ma, pozostało tylko światło i kurz. Siła wybuchu wyrzuciła go w powietrze, cisnęła nim wśród drobnego żwiru w miejsce, gdzie kiedyś była ściana, potem uderzył o jakiś betonowy

element, obok niego spadł deszcz gruzu, przykrywając róg pokoju, gdzie wcześniej stała Jane z bronią w ręku i zadowolonym uśmiechem na twarzy. Obijał się o jakieś żelastwo. Wszystko wokół wydawało się rozpadać w proch. Krzyk uwiązał mu w gardle. Chwilę potem wszystko się uspokoiło, hałas i chaos zniknęły, nastąpiła martwa cisza.

Luke uświadomił sobie, że wciąż oddycha, skoro kaszle, a każda rana napęnia go przeszywającym bólem. Kiedy spróbował się poruszyć, wszystkie jego mięśnie jęknęły w proteście. Widział nad sobą strzępy mlecznobiałego nieba; nie było już dachu, jego jedna część znalazła się na ulicy, a druga przykryła Luke'a. Po ścianie frontowej pozostało tylko wspomnienie; gęste obłoki pyłu zaznaczały, gdzie niegdyś znajdowały się ściany. W nosie miał pełno kurzu. Fragmenty dachu spadły niedaleko miejsca, gdzie został rzucony podmuchem. Ściana wytrzymała nacisk, chroniąc go tym samym od przygniecenia gruzem. Zamrugał oczami. Znów spróbował wstać. Mógł poruszyć stopami. Rękami też. Podłoga się zapadła, pojawiło się w niej pęknięcie, poszerzające się w jego stronę. W środku widać było tylko kurz.

Stał na czworakach, sprawdził, czy coś sobie złamał. Bolała go twarz. Miał zapuchnięte oczy, wciąż mrugał z powodu kurzu i oślepienia wybuchem. Odczołgał się od pęknięcia i krawędzi podłogi – pamiętał, że jest sześć pięter nad ziemią.

– Co do cholery, co do cholery, co do cholery – mamrotał sam do siebie. Próbował się pozbierać. Budynek może się zawalić. Na pewno się zawali. Miał przerażającą wizję, że zostanie uwięziony żywcem w grobowcu, którego pokrywą będą setki ton gruzu, zostanie skazany na powolną i samotną śmierć. Strach go otrzeźwił. Posuwał się na czworakach. Schody, którymi się tu dostał, te od frontu, pewnie się zawaliły, ale musiały być jakieś tylne schody.

Podłoga jęczała, zapadała się i prawie wpadł w jakąś dziurę. Pod sobą słyszał huk walących się ścian. Podłoga była mocno przechylona; nie widział zbyt dobrze, bo wszędzie unosił się kurz. Usłyszał wycie syreny policyjnej. Pomoc była blisko.

Próbował sobie przypomnieć układ budynku. Schody. Recepcja. Korytarz. Po obu jego stronach biura.

Zdał sobie sprawę, że posuwa się w złą stronę. Odwrócił się, mając nadzieję, że nie doczołgał się do żadnej krawędzi. Rozcapierzył palce przed sobą, badając po omacku teren. Namacał ścianę. Drzwi. Siła wybuchu wyrwała je z zawiasów i wepchnęła do środka. Szukał dalej. Cały czas natrafiał na ścianę. Ślepy zaułek. Żadnych schodów od tyłu. Wyczołgał się na zawalony korytarz.

Budynek zajęczał. Luke pomyślał, że mógł zostać wzniesiony, zanim do użytku weszły stalowe belki, i cała konstrukcja trzyma się w pionie jedynie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Znalazł kolejne drzwi, również wepchnięte do środka siłą wybuchu. Przeczłogał się pod nimi i wtedy skończyła się podłoga. Sięgnął ręką za jej krawędź, ale na nic nie natrafił. Wysunął nogę i palcami natrafił na szczątki klatki schodowej. Staął nogą na stopniu, nie zawalił się. Dostawił drugą stopę i powoli opuścił się na schody. Trzęsąc się, usiadł. Potem położył się na brzuchu i zaczął powoli czołgać w dół po schodach.

Zszedł tak trzy pietra. Na trzecim ściany nie były już tak popękane, więc stanął na nogi. Wypróbował stopień. Za jego plecami klatka schodowa była pokrzywiona na wszelkie możliwe sposoby.

Kiedy doszedł na parter, okazało się, że klatka schodowa jest tam rozcięta na pół. W miejsca, gdzie kiedyś były stopnie, powbijały się dymiące fragmenty, które wyglądały jak części samochodu.

Zeskoczył ze schodów pomiędzy kawałki szkła, palącą się gumę i powykręcane, rozgrzane kawałki metalu.

Zasypana gruzem ulica wyglądała jak fragment księżycowego krajobrazu. Sąsiednie budynki również zostały zniszczone, zawałyły się ich frontowe ściany, chociaż konstrukcje wciąż stały. Na dachu jednego z budynków wybuchł pożar.

Luke przedzierał się przez pokruszone cegły i osmalone kamienie.

Ani śladu Jane. Pewnie wybuch zmienił ją w proch. Co się do cholery stało?

Bomba.

Mroczna Droga przypuściła atak na Quicksilvera. Znaleźli ludzi jego ojca – może ojciec się wygadał. Albo Aubrey. Chcieli wymordować tych z Quicksilvera. Używali już bomb do ataku na college i pociąg z chlorem. A teraz użyli ich również tutaj.

Zakaszła i wypluł trochę krwi. Ktoś go dotknął. Spojrzał ku górze. Jakaś młoda kobieta łagodnie do niego przemawiała po francusku. Zaczynał rozróżniać słowa, choć nadal szumiało mu w uszach. Próbowła pomóc mu iść. Dostrzegł innych rannych dookoła, byli w szoku, jakaś kobieta szła, przytrzymując złamaną rękę, zobaczył starszego mężczyznę ze sporym rozcięciem na łysej czaszce. Luke dotknął swojej twarzy i poczuł, że jest mokra od krwi. Ból w jego ciele się nasilał, jakby w członkach budziła się jakaś bestia.

Młoda kobieta wciąż do niego przemawiała uspokajającymi słowami, podtrzymując go, przez kurz przebijało kremowe niebo.

Odsunął się od niej, ale nie chciała go puścić, Luke dostrzegł, że na końcu ulicy pojawiły się radiowozy, karetki i wozy straży pożarnej.

– *Non* – powiedział.

Dalej mówiła po francusku coś, czego nie zrozumiał, i próbowała go przytrzymać. Chyba myślała, że on też jest w szoku. Pewnie miała rację. Ale o policji nie było mowy. Będą chcieli wiedzieć, jak się nazywa. Dlaczego się tu znalazł. Dowiedzą się, że jest poszukiwany w Stanach Zjednoczonych. Nie.

Podziękował kobiecie i wyrwał się z jej rąk. Niepewnym krokiem minął gromadzący się na końcu ulicy tłum, ludzie zatrzymywali go, oferując pomoc, przekonani, że jest w szoku. Odmawiał im. Przeszedł obok ludzi wybiegających w popłochu z restauracji. Wszedł do środka, skierował się do łazienki i zwymiotował. Potem przyjrzał się sobie w lustrze. Miał opuchnięte, podbite oczy. Brakowało mu jednego zęba po lewej stronie. Usta też spuchły,



jakby ktoś go uderzył. Na czole miał pełno ran, aż do linii włosów, nos też był rozcięty. Podobnie jak policzek. Całe jego ciało bolało jak jedna wielka rana. Włosy miał sztywne od kurzu. Koszula była w strzępach, spod których prześwitywało poranione ciało. Na szyi czuł chłód medalika ze świętym Michałem, który również był cały w kurzu.

Zmył z twarzy brud i maź. Zorientował się, że nie ma pistoletu. W części jadalnej restauracji dostrzegł tacę ze sztućcami i wziął z niej spory nóż. Nie chciał pozostać bezbronny. Włożył nóż za pasek od spodni.

Wrócił na ulicę, tam zatrzymał go jakiś mężczyzna w fartuchu i powiedział po francusku:

– Powinien pan pójść do szpitala. Czy potrzebuje pan pomocy?

Wyglądał na bardzo uprzejmego. I pewnie taki był, pomyślał Luke. Większość ludzi na świecie jest przyzwoita. I dobrze. Nie udają, że nie widzą cierpienia. Na świecie istnieje dobro, znów pomyślał Luke, a Mroczna Droga chce je wyplenić. Zniszczyć.

– Nic mi nie jest – powiedział. – Dziękuję.

Ruszył zatłoczoną ulicą. Policja otoczyła alejki. Ilu niewinnych ludzi? – pomyślał. Ilu zostało pogrzebanych pod gruzami lub zginęło na miejscu? Był wściekły i zrobiło mu się niedobrze. Karetki już odjeżdżały, wioząc pierwszych ewakuowanych z miejsca wybuchu do szpitala. Otoczony przez gapiów czuł się inny, samotny w tłumie, jakby był błakającym się między nimi duchem.

Wtedy zobaczył go w oddali. Henry Shawcross. Stał niedaleko kordonu policji, patrząc na zniszczoną l'Abbé-Grégoire. Stał na palcach. Jego twarz była jak wyrzeźbiona z kamienia. Na palcach, spoglądający na ulicę, naczynny świadek piekła, które pomógł stworzyć.

Henry obrócił się tyłem do tłumu i zaczął iść w stronę pozostałych na miejscu karetek, do których wnoszono rannych.

Szuka mnie. Chce się przekonać, czy przeżyłem, pomyślał Luke. Podszedł do Henry'ego, złapał go za ramię i spytał:

– Przyszedłeś tu, żeby złożyć wieniec na moim grobie?

Henry się nie poruszył; zaskoczony wciągnął tylko gwałtownie powietrze.

– Mam broń. Jesteś tu sam?

Henry pokiwał głową.

– Jeśli mnie okłamiesz, zginiesz. Zabiję cię i nawet nie drgnie mi powieka. Zaczynaj iść do samochodu.

– Luke.

– Role się odwróciły, ty draniu. Teraz ja porywam ciebie.

Henry usłuchał. Luke wciąż trzymał go za ramię, czuł, jak Henry się trzęsie.

– Dzięki Bogu, że żyjesz... – zaczął Henry.

– Nie wciskaj mi kitu. Sprzedałeś mnie. Zostawiłeś mnie na pewną śmierć.

– Nic takiego nie zrobiłem. Cały czas próbowałem...

Luke złapał Henry'ego za mały palec i gwałtownie go przekręcił. Henry zatchnął się i prawie stanął.

– Może to dziwne, ale nie mam teraz ochoty wysłuchiwać jednego z twoich wykładów na temat mojego życia. Już to przerobiliśmy. – Szli środkiem zamkniętej ulicy, z dala od innych przechodniów, którzy mogli usłyszeć ostre słowa Luke'a.

– To dzieło Mrocznej Drogi, tak czy nie? – spytał Luke.

Henry pokiwał głową. Był zrozpaczony.

– Mouser tak zarządził. Nie słucha już moich rozkazów. Próbowałem go powstrzymać.

– Jasne, już widzę, jak dzwonicz na policję.

– Luke, proszę cię. Miałem zamiar zastrzelić człowieka z bombą, zanim zdąży ją zdetonować. Spóźniłem się. Wiele ryzykowałem, pojawiając się tutaj...

– Oszczędź mi opisu swojego bohaterstwa. Czy oni mają Aubrey i mojego ojca?

Henry znów pokiwał głową.

– Żyją?

- Tak.
- Zatem to wszystko po to, żeby mnie zabić?
- I zniszczyć organizację Quicksilver.
- Zabiliście niewinnych ludzi.
- To jest wojna.
- Bawicie się w wojnę, ale to nie jest wojna.
- Rozejrzyj się. Pomyśl o tym, przez co przeszedłeś, Luke. Wojna. Wojna innego rodzaju. Rozgrywana w tajemnicy. Ale wciąż wojna.
- A ty jesteś po stronie tych złych – dodał Luke.
- Dobrzy już mnie nie chcieli. – Odwrócił wzrok.
- Co?
- To mój samochód. – Henry zatrzymał się przy bmw.
- Wsiadaj i ruszaj.

Henry posłuchał. Kiedy usiadł za kierownicą, Luke przyłożył mu nóż do żeber.

– Godzinami jechałem z bronią przytkniętą do żeber. Mam nadzieję, że tobie spodoba się to bardziej niż mnie.

- Luke, pozwól mi wyjaśnić...
- Zabierzesz mnie tam, gdzie są Aubrey i ojciec. Rozumiesz?
- Tak.
- To, czy cię zabiję, zależy od tego, jak będziesz się zachowywał. Rozumiesz?
- Tak, Luke.
- Jedź.

Henry włączył się do ruchu i ruszył w kierunku Pont Neuf, przejechał na drugi brzeg Sekwany. Luke wciąż mu się przyglądał. Niby człowiek, ale tuż pod jego skórą czaił się szatan. Był rozzarowany, wściekły i czuł nienawiść. Żadne wytłumaczenia nie mogły tego zmienić. Jednak mimo to chciał, żeby Henry się wytłumaczył.

- Dlaczego? – spytał Luke.
- Jest tak wiele powodów. – Głos Henry'ego znów nabrał nieco pewności siebie. – Nie wiem, od czego zacząć.

- Chcę wiedzieć, dlaczego stałeś się zdrajcą.

Długa cisza. Luke dźgnął go nożem. Niezbyt mocno, przebił tylko materiał koszuli i skaleczył skórę pod spodem.

– Aaaa! – Henry prawie krzyknął. Zakrztusił się. – Chcesz, żebym rozbił samochód? – Z bólu uderzył dłonią o kierownicę. – Policja może spytać, dlaczego jestem zakrwawiony, a ty trzymasz nóż.

– Nie rozumiałeś pytania? Odpowiedz. Dlaczego? Jesteś mi to winien, Henry. Za te wszystkie lata, kiedy udawałeś kogoś, kim nie jesteś; zachowywałeś się, jakby ci zależało na mnie i mamie.

– Bo zależało.

– Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Wtedy Henry po prostu odpowiedział:

– Bo nikt nie chciał mnie słuchać.

Był to tak drobny powód; małe żale małego człowieczka. Z tak błahej przyczyny można zdradzić kraj, rodzinę i wyrzec się honoru.

Luke nie wiedział, co powiedzieć. Zamiast być wściekłym na Henry'ego poczuł się zdezorientowany.

– Henry, ja zawsze cię słuchałem. Ufałem ci.

– Ty i twoja matka byliście dla mnie niezwykle dobrzy, Luke. Po prostu tego nie rozumiesz.

– Zatem słucham.

– Klub Książki był moim pierwszym projektem. Został pomyślany jako grupa profesorów pracujących na całym świecie, których werbował Departament Stanu. Wszyscy pracowaliśmy dla niego w tajemnicy, dokonaliśmy analiz, rozmawialiśmy z kadrą naukową krajów i regionów, na których się skupialiśmy. Mieliśmy lepszy kontakt z rzeczywistością niż większość naukowców. Mogliśmy wymyślać nowe sposoby pozyskiwania siły wywiadowczej, wpływania na sytuację w innych krajach, a nasi pomocnicy...

– Drummond i Clifford.

– Tak, oni wprowadzali nasze pomysły w życie. Ja też czasem im

pomagałem, podobnie jak twój ojciec. Tworzyłem profile psychologiczne wielu terrorystów i ekstremistów. Pisaliśmy artykuły. Nie były przeznaczone do publikacji, miały raczej wskazywać politykę postępowania w sytuacjach zagrożenia. Układ był taki, że nasze dane nie miały być ujawniane; pracowaliśmy dla niejawnej filii CIA podlegającej Departamentowi Stanu.

– Nielegalna organizacja.

– Tajna. Żaden z nas nie pracował jako szpieg, chociaż szkolono nas w tej dziedzinie, bali się, że ktoś może nas porwać, chcieli, żebyśmy umieli się bronić. Nazywali nas mózgowcami i mięśniakami. Jednak naszym głównym zajęciem było uważne przyglądanie się zmianom zachodzącym w społeczeństwie, którymi inni naukowcy się nie zajmowali. – Potarł wargi. – Przewidzieliśmy upadek Związku Radzieckiego na sześć lat przed faktem. Zlekceważono nas, jako bandę jajogłowych, którzy w tajemnicy pracowali dla Departamentu Stanu i nawet nie ujawniali swoich nazwisk. Przewidzieliśmy, że po upadku Związku Radzieckiego do głosu dojdą dżihadyści. Faceci z bronią w Afganistanie zniechęcą Amerykę tak samo, jak nienawidzili Rosjan, i postanowią otworzyć obozy treningowe dla terrorystów. Nikt nam nie wierzył. – Głos mu się załamał. – Przewidziałem tragedię jedenastego września, użycie samolotów jako broni i wybór konkretnych celów, na dziesięć lat przed tym faktem. Nikt mi nie uwierzył. Nikt nie potraktował moich analiz poważnie. Wiesz, jak się wtedy czułem?

Luke nie współczuł Henry'emu, ale trudno było nie mieć choć trochę litości dla niego.

– Nikt nie będzie cię słuchał tylko z tego powodu, żeby nie ranić twoich uczuć.

– Nie. To było coś więcej niż zranione uczucia. Założyłem Klub Książki. Ale przejął go twój ojciec. Tłamsił mój każdy pomysł. Znalazłem innych profesorów, zaoferowałem im tę jedną, wspaniałą szansę, ale oni chcieli słuchać tylko twojego ojca. Uważali, że brak mi doświadczenia, że

jestem mołem książkowym i nie nadaję się na przywódcę. Nie byłem wystarczająco mądry. Miałem jeden dobry pomysł, Klub Książki, a potem stałem się bezużyteczny.

– Zatem, lekceważony i niekochany, wynająłeś Mousera, żeby ich zabił i upozorował wypadek.

Henry otworzył usta, potem je zamknął i znów otworzył. Jak ryba wyjęta z wody. Jednak, ponieważ miał nóż przystawiony do boku, powiedział:

– Dokładnie. I tak nikt nas nie słuchał. Po jedenastym września zupełnie się skompromitowaliśmy... wyobrażasz sobie, jakie skutki miałyby ujawnienie moich zapowiedzi? Rząd nie chciał ryzykować. W ogóle. Dlatego nie stworzono kolejnej organizacji podobnej do Klubu Książki.

– A Mouser wrobił niewinnego człowieka w zamach lotniczy, a potem go zabił. Gdzie poznałeś Mousera?

Henry zakaszał.

– Miałem za zadanie tworzenie profili terrorystów, sprawdzanie, czego możemy się od nich nauczyć. Spotkałem go w więzieniu. Polubiłem go. Wtedy nie miał tak radykalnych poglądów. Pogorszyło mu się.

– Próbowalesz zabić mojego ojca, a potem miałeś jeszcze czelność twierdzić, że ci na mnie zależy? Tylko dlatego, że byłeś o niego zazdrosny?

– Jesteś taki jak on. Taki sam. Myślałem, że jesteś podobny do swojej matki, ale jesteś taki jak Warren.

Luke milczał przez chwilę. Pomyślał, że mógłby teraz zabić Henry'ego, nawet gdyby przez to ich samochód się rozbił i obaj by zginęli.

– Czy moją mamę też zabiłeś? Twarz Henry'ego wykrzywiła się w żalu.

– Dobrze wiesz, że nie.

– Okazuje się, że nic o tobie nie wiem.

– To był wypadek. Kierowała autem. Wiesz, że sam prawie zginąłem. To był wypadek.

- Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego.
- To mnie zabij, Luke. Mówię ci, że nigdy bym nie skrzywdził twojej matki, możesz w to wierzyć lub nie. Zabij mnie, jeśli musisz.
- Myślisz, że tego nie zrobię? Naprawdę mi nie wierzysz?
- Wiem, że w głębi ducha jesteś przyzwoitym człowiekiem, który nie zabije kogoś, kogo traktował jak ojca – powiedział Henry. – Możemy pomóc sobie nawzajem w rozwiązywaniu naszych problemów.
- Ach. Zdradziłeś już swoich przyjaciół, rodzinę i kraj, teraz zdradzisz również Mroczną Drogę.
- Wolałbyś, żebym był lojalny wobec nich czy pomógł tobie? – spytał Henry. Ruch zgęstniał i Henry często naciskał klakson, torując sobie drogę wśród aut i autobusów na place de la Concorde.
- Pomóż mi. Jak mogę powstrzymać Mroczną Drogę?
- Nie możesz. Należy do niej zbyt wielu ludzi.
- Na czym polega operacja Piekielny Ogień?
- Piekielny Ogień to faza druga. Pierwsza fala zamachów była etapem eliminacji.
- Czym?
- Zastanów się, Luke. – Jakby było to jakieś ćwiczenie na inteligencję.
- Etap eliminacji – powtórzył Luke. – Jak inicjacja w gangu, trzeba popełnić mniejsze przestępstwo, zanim zostanie ci powierzone dokonanie większego. To tym są te ataki? Pociąg z chlorem w Teksasie, bakterie *E. coli* w Tennessee, zniszczenie rurociągu. Zamach w college'u?
- Henry pokiwał głową.
- Jak egzamin – powiedział Luke. – Jeśli go zdasz, zostaną ci powierzone poważniejsze zadania. Takie jak Piekielny Ogień.
- Tak.
- Pieniądze – dodał Luke. – Pięćdziesiąt milionów. Dostaniesz ich część, jeśli się spiszesz, jeszcze więcej, jeśli przyczynisz się do przeprowadzenia operacji Piekielny Ogień.
- Tak.

– Skąd je macie? Pieniądze miały być dostarczone i wyprane, tak mówił Eric. Skąd?

Henry oblizwał wargi. Jego oddech stał się hałaśliwy.

– Muszę wyjaśnić.

Eliminacje. Luke przypomniał sobie różnych ludzi ze strony internetowej Mrocznej Drogi, którzy chcieli zostać terrorystami, proszących i otrzymujących fachową pomoc z konkretnych dziedzin.

– To inwestycja. Ktoś z zagranicy inwestuje w organizacje terrorystyczne w Ameryce.

Henry pokiwał głową.

– Twoje badania nad terroryzmem. Komunikowałeś się na ich temat również z cudzoziemcami. – Przyłożył nóż do gardła Henry'ego. Nie dbał o to, czy zobaczy ich ktoś przejeżdżający obok.

– Kto?

– Starszy saudyjski książę. To on wyłożył te pięćdziesiąt milionów. Da więcej, jeśli się nam powie. Finansuje grupy w całej Europie, Afryce Wschodniej, na Filipinach, w Australii.

Luke opuścił nóż. Myślał, że wie, jak rozległy jest ten spis, ale to wyznanie nim wstrząsnęło.

– Dlaczego?

– Mówiłem ci, od lat przed tym ostrzegam, nawet z moim nowym zespołem. Piszę artykuły, zbyt mało ludzi mnie słucha, ale teraz... będą musieli. Przewidziałem wszystko, co się wydarzy. Na ten temat są wszystkie moje artykuły z ostatnich sześciu miesięcy. Wszystkie, które ukazały się w tym tygodniu.

– Przewidujesz przyszłość, a potem sprawiasz, że twoje przewidywania się sprawdzają. A teraz... wszyscy będą cię słuchać. I nieźle płacić za twoje przemyślenia. A do tego będą cię uważali za niezwykle mądrego człowieka.

Henry otworzył usta, żeby powiedzieć „tak”, ale z jego ust nie padło żadne słowo.

– Zdasz sobie sprawę, jak bardzo jesteś żałosny?



Henry otarł usta.

- Dlaczego?
- Mówiłem ci.
- Dlaczego ja? Dlaczego wmieszałeś w to mnie?

– Myślałem, że będę po prostu pisał artykuły... z tobą. A kiedy nasze przewidywania się sprawdzą, obaj odniesiemy sukces. Nie sądziłem, że będę musiał tym wszystkim kierować. Zajmować się pieniędzmi, rekrutować ludzi do Mrocznej Drogi. Jednak, ponieważ to był mój pomysł, książkę chciał, żebym się zaangażował osobiście. Nie mogłem mu odmówić. Myślałem, że będziemy współpracować w obrębie mojej grupy badawczo-analitycznej, a nie poprzez Mroczną Drogę.

Henry wjechał na autostradę, która biegła przez północne przedmieścia Paryża.

Luke nie był w stanie na niego spojrzeć. Czuł się tak, jakby spojrzął do jakiejś studni i zobaczył w niej spiętrzone ciała, gnijące w wodzie, widok, który zawsze będzie go prześladował.

– Piekielny Ogień. To będą zamachy bombowe, prawda? Snow była w to zamieszana.

– Snow zrobiła wiele bomb. Zostały rozmieszczone w sześciu miastach.

– W których?

Telefon w samochodzie zadzwonił.

- Mouser – wyszeptał Henry.
- Powiedz mu, że widziałeś moje zwłoki.

Henry odebrał i nastawił telefon na głośnik. Mouser był zniecierpliwiony.

- No i co? Co się stało?
- Wygrałeś, Mouser. Wygrałeś.
- Luke?
- Nie żyje. Widziałem. Leżał na ulicy.
- Ludzie jego ojca?

- Tak samo.
- Doskonale. Coś jeszcze?
- Nie.

Mouser odłożył słuchawkę. Nie pożegnał się.

- Gdzie są te bomby, Henry?
- Powiem ci, jeśli uda nam się zawrzeć układ. – Henry spojrzął na niego z ukosa. – A jeśli mnie zabijesz, to nie odzyskasz ani Aubrey, ani ojca.

– Jaki to układ?

– Mouser nie chce, żebym cię chronił. Zabije mnie, jestem tego pewien, i obejmie dowodzenie nad Mroczną Drogą. Chcę nietykalności. Chcę ochrony.

– Tak naprawdę nie mogę ci tego obiecać.

– Quicksilver to coś więcej niż tylko biuro w Paryżu czy Drummond w Nowym Jorku. Mogą zapewnić ochronę. I ja tego chcę.

– Dobrze.

– To będzie fala zamachów bombowych. Sto czterdzieści eksplozji.

Sto czterdzieści bomb. Mój Boże.

– Gdzie? W których miastach? – Przypomniał sobie miejsca, w których dokonano poprzednich ataków. Czy teraz uderzą właśnie tam? A może zupełnie gdzie indziej?

– Powiem ci, kiedy będę bezpieczny. Nie wcześniej. – Henry spojrzął na zegarek. – Lepiej się pospiesz. W ciągu kolejnej godziny Mouser przeniesie gdzieś twojego ojca i Aubrey.

– Opisz mi, gdzie są przetrzymywani.

Henry milczał. Dopiero gdy Luke zmienił pozycję, szykując się do zadania ponownego ciosu, odezwał się:

– Nie bądź idiotą. Jeśli chcesz ich uwolnić, potrzebujesz mojej pomocy. Nie mogę się tam pojawić zakrwawiony. Domyśla się, że coś jest nie tak. Zaczynaj myśleć, Luke. – Wyciągnął dłoń i ścisnął Luke'a mocno za nadgarstek, a potem puścił. – Nienawidzisz mnie. W porządku. Ale razem

tkwimy w tym bagnie po uszy. Powinieneś mi powiedzieć, co zamierzasz. Jeśli tam pójdziesz ze mną jako zakładnikiem, to nic nie zyskasz.

- Prawda. Potrzebuję broni.
- Schowek po stronie pasażera.

Luke otworzył go i wyciągnął stamtąd niewielką berettę. Sprawdził, była naładowana. Nie podziękował.

– Powiedz mi, co zamierzasz – powtórzył Henry. – Właśnie podarowałem ci broń.

- Wejdziemy tam i zabiję Mousera.
- Ma ze sobą ludzi. Nie masz szans. Nie chcę, żebyś zginął, Luke.

Spójrz na mnie. Boże, w końcu to ja cię wychowywałem.

- Nie widzę, żebyś miał łzy w oczach.
- Nie umiem płakać. Dobrze o tym wiesz.
- Dzięki, ale dam sobie radę. Gdzie oni są?
- Księżę ma posiadłość pod Paryżem. Jechałem stamtąd jak wariat, żeby powstrzymać tego zamachowca.

– A może raczej upewnić się, że wykonał zadanie.

– Wiesz, że to nieprawda. Jeśli wierzysz w to, że życzyłem ci śmierci, to zabij mnie od razu. Zrób to. Zabij mnie.

– Muszę cię mieć żywego, Henry. – Przypomniał sobie słowa ChicagoChrisa, teraz to on próbował wejść do jakiej grupy: – Jesteś moją kartą wstępu.

## 53.

Posiadłość otaczał kamienny płot. Stojący za ogrodzeniem dom wyglądał jak zamek, wielki, ale nieco przybrudzony. Otoczenie budynku zostało oczyszczone, ale nie posadzono nowych roślin, więc dom wyglądał na nieco zaniedbany. Pięć kilometrów dalej mieściła się francuska baza lotnicza, firma Travport korzystała z niej przy okazji dostarczania przesyłek kurierskich.

– Księżę jest właścicielem Travport dzięki sieci spółek.

– To on skontaktował cię z Erikiem. – Luke przypomniał sobie zdjęcia, które widział w pokoju Erica, w domu jego rodziców: on pozujący z jakimś biznesmenem wśród piasków pustyni.

– Tak. – Henry zamilkł na chwilę. – Eric zajmował się jego finansami, kiedy był odpowiedzialny za projekty zagraniczne. Za zgodą księcia wrócimy z Mouserem jednym z samolotów Travportu. W ten sposób łatwiej podróżować z więźniami. To, co chcesz zrobić, to szaleństwo.

– Nie pytam cię o zdanie – powiedział Luke z tylnego siedzenia. Henry opisał mu pokrótce, jak wygląda posiadłość. Mały, stary zamek, który pieniądze księcia uratowały od popadnięcia w całkowitą ruinę, stał w jej centrum. Za nim znajdowała się spora szopa, dom dla gości. Za nią był kolejny dom i to w nim przetrzymywano Warrena Dantry'ego i Aubrey Perrault.

Tak przynajmniej twierdził Henry. Ale przecież był on królem kłamców.

– Strażnicy?  
– Zostało dwóch. Teraz, kiedy nie ma już bazy Quicksilvera w Paryżu i niedobitki jego członków gdzieś się rozproszyły, raczej nie spodziewam się przybycia posiłków.

– Zastrzelę strażników – stwierdził Luke. – Jeśli mnie wydasz, ciebie też zastrzelę.

– Czy rozkazywanie mi sprawia ci przyjemność? – Henry był niemal rozbawiony.

– Kręgosłup, Henry, to tam strzelę. Jeśli przeżyjesz, jakaś pielęgniarka będzie ci musiała wycierać brodę i zmieniać pieluchę. – Znał Henry'ego na tyle, aby wiedzieć, że najbardziej bał się utraty kontroli.

Henry skierował samochód ku wejściu.

– Zajmę się kamerą – powiedział.

– Przestań gadać. Nie chcę, żeby się zastanawiali, z kim rozmawiasz.

Henry się zamknął. Wprowadził kod dostępu; kiczowata barokowa brama otworzyła się z patosem. Wjechali.

– Co byś teraz normalnie zrobić? – spytał Luke.

– Podjechałbym do drugiego domu.

Sytuacja wielce niekorzystna. Tak naprawdę było ich czterech na jednego, bo Henry nie był po jego stronie. Był po swojej własnej stronie. Luke pochylił się nisko, wciąż mocno trzymając nóż. Najpierw poczuł, jak strach paraliżuje każdą komórkę jego ciała, a potem – jak nagle znika.

Samochód się zatrzymał.

– Jesteśmy w domu. Drzwi będą zamknięte.

Luke wyjrzał znad oparcia. Dodatkowy dom był wzniesiony z kamienia.

– Masz klucz?

– Tak, Luke, mam.

– Wsiadaj.

Henry wysiadł z samochodu. Luke wstał i wsunął nóż do tylnej kieszeni spodni. Szedł za Henrym, trzymając pistolet tuż przy jego zębrach.

Henry otworzył drzwi. Luke popchnął go, używając jako tarczy, Henry nie protestował. Przeszli od drzwi frontowych, przez salon, aż do położonej

z tyłu budynku kuchni. W domu panowała grobowa cisza. Luke'owi przyszła do głowy szalona refleksja, że nawet w grobie jest pewnie głośniejsze. Jak na bazę terrorystów to miejsce było stanowczo zbyt ciche. Luke dostał gęśniej skórki.

– Nie ma ich – stwierdził Henry.

Luke wsłuchiwał się w ciszę panującą w domu. Usłyszał, jak zaskrzypiał jeden ze stopni na schodach.

Henry kłamał.

Luke wciąż trzymał Henry'ego za ramię, ale broń wycelował ponad jego ramieniem. Nasłuchiwał kolejnego skrzypnięcia. Nic nie usłyszał. Kopniakiem otworzył tylne drzwi i pociągnął Henry'ego za sobą, w róg pomieszczenia.

Pięć sekund później zza otwartych drzwi wyłoniła się lufa karabinu, potem trzymająca go dłoń, a następnie całe ramię.

Luke wycelował i strzelił raz za razem. Pistolet miał odrzut silniejszy, niż się tego spodziewał. Pierwsza kula trafiła w cel, druga spudłowała. Zobaczył, że z rękawa jego przeciwnika uniósł się dym, a potem buchnęła spod niego krew. Osilek oparł się o drzwi i uniósł broń do strzału, ale Luke pchnął ku niemu Henry'ego, ten chwycił go obiema rękami. Razem uderzyli w ścianę, a potem obaj osunęli się na podłogę.

Mężczyzna zaczął coś krzyczeć z wściekłością w swoim języku. Uderzył Henry'ego z całej siły; Henry upadł, ale trzymał go mocno za włosy. Zaczęli się siłować, a Luke szukał sposobności do strzału.

Zastrzel ich obu, pomyślał, ale nie był w stanie.

Osilek odepchnął Henry'ego, odrzucając go na stół kuchenny. Potem osunął się na podłogę, jego ramię ociekało krwią. Ręce miał puste.

Gdzie się podziała jego broń? Zniknęła.

Henry. Ten drań ją przejął. Luke obejrzał się w kierunku rogu kuchni. Henry zniknął.

Luke pociągnął za spust. Coś się zacięło. Albo magazynek był pusty. Albo nie umiał prawidłowo używać tej broni. Była bezużyteczna.

Mężczyzna dopadł Luke'a, wbił mu palce w gardło i zaczął dusić. Luke złapał go za dłonie i próbował się uwolnić, kopał na oślep. Był większy i wyższy od swojego napastnika, ale tamten był silniejszy i miał większe doświadczenie w walce.

Mężczyzna zaczął walić głową Luke'a o podłogę. Luke puścił jego dłonie, odepchnął się od podłogi i chwycił napastnika ramieniem, robiąc razem z nim obrót. Drugą ręką udało mu się dosięgnąć noża, który schował w tylnej kieszeni spodni.

Wbił go w bok mężczyzny. Poczul, że ostrze natrafia na kość, facet zawył. Nie miał drugiej szansy, Luke wyrwał nóż z jego boku, trysnęła krew, wtedy wbił ostrze w gardło.

Mężczyzna się przewrócił. Umierał. Luke wysunął się spod niego, ręce miał śliskie od krwi, nie mógł oddychać.

Kiedy spojrział ku górze, zobaczył, że stoi nad nim Henry z bronią w ręku.

– Nikogo więcej tu nie ma. Dom jest pusty. Musiałem się upewnić – powiedział spokojnie Henry.

Luke wpatrywał się w niego, odsunął się od konającego terrorysty, z którego ust leciała krew. Człowiek ten na wargach miał pianę, oczy rozwarły mu się z przestachu, z bólu. Luke nie mógł odwrócić wzroku. Widział przed sobą okropieństwo powolnej śmierci w całej okazałości. Zabił przedtem Snow, ale ona umarła w ciągu kilku sekund. Nie miało znaczenia, że ten człowiek na to zasłużył. Luke poczuł, że coś się w nim zmienia, w jego mózgu, kiedy tak obserwował to powolne konanie drugiego człowieka.

Umierający mężczyzna zakaszłał, zwinął się z bólu, jego oczy zdawały się prosić o to, czego usta nie były w stanie wypowiedzieć. W przeciwieństwie do gwałtownych śmierci, których był dotąd świadkiem – Snow, ChicagoChris, tego biednego policjanta na ulicy w Chicago – ta śmierć nie nadeszła natychmiast. Przyglądali się jego cierpieniu.

– Na litość boską, zakończ już jego mękę – poprosił Luke.

Henry spojrział na broń, którą trzymał w dłoni, ale się nie poruszył.

Mężczyzna znowu zakaszłał i krew wytrysnęła z jego z ust, złapał się za ranę, a potem skonał.

– Mój Boże, to było paskudne. Ale go zabiłeś – powiedział Henry. – Musimy cię teraz umyć.

Luke oderwał wzrok od zwłok i spojrział na Henry'ego. Umyć mnie, jakbym był dzieckiem, które bawiło się w błocie. Henry trzymał broń, ale nie celował w Luke'a.

– Mogłeś go zastrzelić – powiedział Luke. – Mogłeś zakończyć tę walkę, żebym nie musiał...

– Żebyś nie musiał zrobić tego, co było konieczne? Poradziłeś sobie. – Głos Henry'ego nie wyrażał żadnych emocji. – Musiałem się upewnić, że nikogo więcej tu nie ma, żeby nie zaatakowali naszych tyłów. Jest pusto.

Naszyc tyłów. Jakby byli drużyną. Szok spowodowany zamordowaniem człowieka umniejszył nieco wściekłość Luke'a na Henry'ego. Ale jego ojczym miał broń.

Luke zastanawiał się, czy Henry go zastrzeli. Tak naprawdę go nie znał. Znał tylko kłamstwa, które mu opowiadał.

– Trzymałeś się z boku, żeby zobaczyć, czy sobie poradzę. Kogo chcesz ze mnie zrobić? Siebie? – Luke wstał i znów poczuł wściekłość, taką jak wtedy, kiedy dźgał nożem swojego napastnika. – Wykorzystałeś mnie, żebym stworzył dla ciebie siatkę terrorystów. Dzięki temu nie mogłem pójść na policję. Mogłem się zwrócić tylko do ciebie.

– Jesteśmy rodziną – odpowiedział Henry cicho.

– Wciągnąłeś mnie w to tylko po to, żeby mnie od siebie uzależnić. Sprawileś, że nie mam innego wyboru poza tobą. Wszystko po to, żebym do ciebie dołączył? – Była to przerażająca prawda. – Myślisz, że skoro wykorzystałeś mnie do stworzenia Mrocznej Drogi, ukryłeś przed policją i sprawileś, że musiałem zabić człowieka, to stanę się bardziej podobny do ciebie? – Splunął na buty Henry'ego. – Nie można się różnić bardziej od siebie niż my dwaj.



– Jesteś całą moją rodziną, Luke. Całą rodziną, jaką kiedykolwiek miałem. – Henry wymówił te słowa z trudnością. Udało mu się przywołać coś, co przy odrobinie dobrej chęci można by uznać za uśmiech. – Chciałem, żebyśmy byli razem.

– Gdzie, w celi? Skoro chciałeś, żebyśmy byli rodziną, mogłeś prowadzić normalne życie i pozwolić mi na to samo. Nie wiesz, co to znaczy rodzina.

– Wiem, że nie powinniśmy na siebie naskakiwać w trudnej chwili. – Henry zmoczył ręcznik i rzucił go do Luke'a, jakby zmywanie krwi z dłoni było dla niego czymś tak powszednim jak mycie rąk przez ogrodnika. – Wydaje się oczywiste, że skoro Mouser i reszta zniknęli, a ten człowiek czekał tu, żeby mnie zabić, to wpadłem w niełaskę Mousera i Mroczonej Drogi – powiedział Henry. – Musimy zawrzeć zgodę, Luke. Mamy szansę.

– To nie była zwykła rodzinna kłótnia – odparł Luke. – Nie będzie żadnej zgody. Nie ma na to żadnej szansy. Powiedz mi, gdzie ich zabrał Mouser.

– Podejrzewam, że do Chicago, samolotem Travportu. Wydaje mu się, że może odnaleźć te pięćdziesiąt milionów, jeśli prześledzi poczynania Erica w prywatnym banku, w którym był zatrudniony. Pieniądze, Luke. Gdzie są te pieniądze?

– Ta twoja sprytna bomba zniszczyła zaszyfrowany plik, który zawierał informacje dotyczące kont. Jane udało się go odszyfrować. Ale mnie nie udało się tego zobaczyć, a wszystkie dowody zostały zniszczone.

– Nie powiedziała nic na temat tego, gdzie się znajdują?

– Nie. – Tylko jej ostatnie, pełne wściekłości słowa. „Ukryte na widoku, a to d...”.

– Jeśli uda się nam zagarnąć te pieniądze, zanim im się to uda, cóż, wtedy Mroczna Droga przegra. Rozpadnie się bez obiecanych pieniędzy, a ten miliarder nie będzie znów próbował inwestować w rozwój terroryzmu. Moglibyśmy się obaj ukryć. Wszystko byłoby dobrze.

– Nie dla ojca i Aubrey.

Henry zacisnął wargi. Śmiał się, ale nie chciał tego po sobie pokazać. W końcu miał broń.

– Próba ich uratowania to samobójstwo. Zginiesz.

Uderzył ojczyrna, mocno, pięścią w szczękę. Henry osunął się na podłogę z twarzą pełną bólu. Wycelował broń w Luke'a. Ale nie wystrzelił.

Powiedział niewyraźnie:

– Próbuję cię ratować...

– Przestań kłamać. Po prostu przestań. – Luke kopnął Henry'ego. Znów mocno. W brzuch. Zrobił to, nim zdał sobie z tego sprawę. Henry ze świstem wypuścił całe powietrze z płuc. Luke znów uderzył go w twarz, zrobiło mu się żal tego człowieka, który o niego dbał, był jego przyjacielem, starał się być dla niego jak ojciec. Wszystko to było najgorszym z możliwych, szatańskim kłamstwem. Mógł go zabić, ale były rzeczy gorsze niż śmierć.

– Powiedz mi, gdzie umieścicie te bomby, albo cię zabiję.

– Zmienią teraz cele, bo Mouser wykluczył mnie z organizacji. Będą się bać, że dogadam się z władzami.

– Odpowiedz mi. Jakie były pierwotne cele?

– Centra handlowe. Zamachy na zwykłych ludzi. Łatwo podłożyć bomby. – Henry odwrócił twarz ku podłodze. – Mówię ci, że zmienią plany, bo działają w stresie, tak wiele rzeczy poszło źle. Mouser będzie... myślał w szerszej perspektywie. Będzie chciał dzięki operacji Piekielny Ogień oddać hołd Snow.

Zaciągnął Henry'ego do kuchni. Potem poszedł do sypialni, na łóżku leżała para zapomnianych kajdanek, pewnie skuto nimi jego ojca lub Aubrey. Wrócił do kuchni, gdzie Henry leżał skulony na podłodze w pozycji embrionalnej, kaszlał. Luke zaciągnął go w pobliże zwłok strażnika. Zatrzasnęła kajdanki na prawym nadgarstku Henry'ego i sięgnął po rękę zmarłego.

– Luke, proszę, nie!

Kajdanki się zatrzasnęły.

– Zostawiam cię z twoim przyjacielem. Pasujecie do siebie bardziej niż my dwaj.

– Nie rób tego! Mogę ci pomóc!

– Powiedz mi, gdzie w Chicago będzie ich przetrzymywał Mouser.

– Naprawdę mnie wtedy wypuścisz?

– Tak, Henry. Powiedz mi, gdzie ich znajdę.

Henry westchnął.

– Część członków Mrocznej Drogi ma spotkanie w sprawie zamachów w biurze Aubrey.

– Przygotowują się do operacji Piekielny Ogień.

– Tak. To ostatnie spotkanie przed atakiem. Zabierz mnie ze sobą. Porozmawiam z nimi za ciebie.

– Powiedz mi coś wartościowego – zażądał Luke.

– Będzie ci potrzebne hasło. Bez niego od razu cię zabiją! – wykrzyknął Henry. – Wypuść mnie, a ci je zdradzę.

– Powiedz mi.

– To „determinacja”.

Luke odwrócił się i zaczął wychodzić.

– Obiecałeś, że mnie wypuścisz. – Szept Henry'ego przeszedł w zawođenje. Wzniósł ramię; wtedy podniosła się także ręka martwego mężczyzny, jakby ostatni raz błagał o litość.

– Skłamałem. – Popatrzył na swojego ojczyma. – Jeśli jeszcze kiedykolwiek cię zobaczę, to zginiesz.

Luke poszedł na górę, umył twarz, włosy, zmył z siebie krew.

– Luke?

W szafie znalazł czystą koszulę i spodnie, które prawie na niego pasowały. Zakrwawione ubrania rzucił na podłogę.

– Luke? Proszę. Nie zostawiaj mnie.

Przeszukał walizkę, którą rozpoznał jako własność Henry'ego. Była tam elektroniczna przepustka podpisana PERRAULT IMPORTS. Firma Aubrey. Podstawił ją pod nos Henry'emu.

– Eric ją przysłał, żebyśmy mogli się tam dostać, kiedy przyjdzie czas.  
Luke nie powiedział ani słowa; przeszedł obok Henry'ego, nawet się nie obejrzał.

– Luke! Luke! Proszę, nie zostawiaj mnie tak!

Luke zamknął za sobą drzwi.

Wsiadł do samochodu Henry'ego i pojechał na lotnisko de Gaulle'a. Tam przebukował swój bilet powrotny na lot do Chicago. Musiał trochę poczekać. Znalazł automat telefoniczny i zadzwonił na policję. Łamaną francuszczyzną powiedział, gdzie można znaleźć jednego z ludzi odpowiedzialnych za popołudniową eksplozję w Paryżu, przykutego do martwego człowieka. Potem odłożył słuchawkę.

Henry, pomyślał, nie za bardzo nadaje się do więzienia.

## 54.

W czasie długiego lotu do Chicago Luke ukrył swoją poobijaną i posiniaczoną twarz za szklami ciemnych okularów, cały czas obmyślał plan, wypełniając notatkami notes, który kupił na lotnisku, potem schował go do kieszeni. Rozmyślał o tym, co powie ojcu i o co go zapyta, jeśli przetrwają ten koszmar. Zastanawiał się też, w jaki sposób Mroczna Droga może wykorzystać ponad setkę bomb, które miała w swoim posiadaniu.

Ku jego przerażeniu samolot musiał przymusowo lądować w Nowym Jorku z powodu niesprzyjającej pogody w Chicago. Maszyna stała na pasie startowym dodatkowo sześć godzin. Luke poczuł się chory od tego czekania. W końcu znów wystartowali, ale i tak godzinę krążyli wokół miasta, czekając, aż skończy się burza nad Chicago.

Kiedy wysiadł z samolotu o północy, zdał sobie sprawę, że ktoś z Mrocznej Drogi może już na niego czekać.

Nie mógł przestać myśleć o Henrym. Niech dowie się, co to znaczy porzucenie, niech poczuje, jak to jest, kiedy ktoś pozbawia cię twojego dotychczasowego życia i wyrzuca je do kosza.

Podszedł do stanowiska firmy zajmującej się wynajmem samochodów. Ciągle oglądał się za siebie, bo zarówno Quicksilverowi, jak i Mrocznej Drodze łatwo go było odnaleźć w czasie podróży. Żeby go uwięzić. Miał tego dosyć. Podpisał umowę wynajmu samochodu, używając fałszywego

prawa jazdy i karty kredytowej, które dostał od Drummonda. Jego samochód stał na najwyższym poziomie parkingu. Osoba z obsługi kazała mu sprawdzić samochód pod kątem ewentualnych uszkodzeń i podpisać się na formularzu. Ledwie spojrzął na samochód, był to Lincoln Navigator, i namazał na dokumentach swoje fałszywe nazwisko.

Pracownik firmy powiedział, że idzie po kluczyki, i zniknął w biurze. Kiedy drzwi znów się otworzyły, wyszedł zza nich Frankie Wu, pilot, który przywiózł Aubrey i Luke'a do Chicago na zlecenie Quicksilvera.

Luke zamarł. Rozejrzał się. W pobliżu nie było żadnego z pracowników firmy.

– W porządku? – spytał Frankie Wu.

– Tak. – On należy do Quicksilvera, pomoże mi, pomyślał Luke. Nie będzie musiał działać sam.

– Wsiądźmy do samochodu – powiedział Frankie. – Będziemy mogli porozmawiać o twoim tacie.

Wu siadł za kierownicą. Na przednim siedzeniu było pełno sprzętu, Frankie nie miał zamiaru go przełożyć, więc Luke usiadł na tylnym siedzeniu.

Kiedy wyjeżdżali z garażu, Luke zauważył, że strażnik przy bramie po prostu pomachał Frankiemu, nie sprawdzał papierów wozu, bez przeszkód wyjechali w noc.

– Muszę pomóc mojemu ojcu – zaczął Luke. – Pomóż mi.

– Nie, Luke – odpowiedział Wu. – Mam swoje rozkazy. Nie narażamy się Mrocznej Drodze. Przykro mi.

## 55.

– Jak mnie znalazłeś? – spytał Luke. Jego głos wydawał się nikać w ciszy panującej w samochodzie.

– Korzystałeś z dokumentów, które przygotował dla ciebie Drummond. Nasz system alarmuje nas za każdym razem, kiedy ich używasz. Tym bardziej że Paryż miał za zadanie cię odbić, a tymczasem całe biuro zostało wysadzone w powietrze. – W głosie Wu słychać było wściekłość.

– Wściekaj się na Mroczną Drogę. To oni zaatakowali wasze biura, i to w Nowym Jorku, i to w Paryżu.

– Przez ciebie straciliśmy wielu dobrych ludzi.

– To przez zdrajcę w szeregach Quicksilvera. Brytyjkę, która przedstawiała się jako Jane. Nie wiem, jak naprawdę miała na imię. Ale to ona nastawiła przeciwko sobie ludzi z Quicksilvera i Mrocznej Drogi, to ona stała za moim porwaniem i zabiciem Allena Clifforda w Houston, próbowała ukraść pieniądze Mrocznej Drogi.

– Teraz najważniejsze, żebyśmy przeżyli kolejny dzień, po to, by móc z nimi walczyć. Zniszczyli dwa nasze biura, próbując cię zabić. Jesteś dla nich ważny. Moim zadaniem, jedynym zadaniem, jest ukrycie cię w jakimś bezpiecznym miejscu. Wkrótce zjawi się kolejna ekipa, żeby mi pomóc.

Luke poczuł, że narasta w nim rozczarowanie.

– Wtedy będzie za późno. Musisz mi pomóc teraz. Oni tu są. Planują serię zamachów bombowych, być może na centra handlowe, może w jakichś innych miejscach. Mają dziesiątki gotowych bomb. Nie możemy czekać, musimy natychmiast zacząć działać.

Luke dostrzegł w lusterku, że Wu spozjrzał na niego lodowatym wzrokiem.

– Mam swoje rozkazy. Dostarczyć cię w bezpieczne miejsce, gdzie będzie można cię chronić, i dowiedzieć się od ciebie jak najwięcej o Mrocznej Drodze.

– Nie rozumiesz. Oni mają mojego ojca. Mają moją przyjaciółkę. Przywieźli ich tutaj.

– Mam rozkazy. Przykro mi. Jestem tu sam.

Nic więcej nie dodał i zaczął wjeżdżać na autostradę.

– Na miłość boską! Proszę cię. Nie należysz do CIA albo czegoś podobnego? Nie jesteś chyba jedynym ocalałym?

Wu nie odpowiedział.

– Posłuchaj mnie. – Opowiedział Wu, co się stało w Paryżu. – Oni tutaj są, w naszym zasięgu. Nie zabili mojego ojca, żeby zdobyć od niego informacje na temat Quicksilvera, na pewno nie zawahają się użyć wymyślnych tortur. Aubrey wciąż żyje, by pomóc im w uzyskaniu dostępu do kont Erica w banku; sądzą, że umożliwi im dostanie się do banku, ponieważ jest jego klientką. Jeśli znajdą te pięćdziesiąt milionów, będą mogli wspomagać terrorystów na terenie całego kraju, będą w stanie rozpętać tu prawdziwy chaos. Terroryzm jest dość tani, stać ich będzie na niekończące się zamachy, o wiele więcej, niż widzieliśmy dotychczas. Mają za sobą arabskiego miliardera, który inwestuje w amerykańskich terrorystów. Nie rozumiesz, jak bardzo są niebezpieczni?

– Ostatnią rzeczą, jaką mogę zrobić teraz, kiedy Quicksilver jest tak bardzo osłabiony, to atak w pojedynkę.

– Masz mnie.



- Ciebie? Nie. Ty nie zostałeś wyszkolony.
- Sam się szkoliłem.
- To byłoby samobójstwo.
- To pozwól mi zadzwonić na policję – stwierdził Luke. – I wszystko im opowiedzieć.
- Opowiedzieć co?
- Mam informacje dotyczące gigantycznej operacji, którą planuje Mroczna Droga. Gromadzą się tu, w Chicago, żeby rozprościć wśród swoich członków setki bomb, nie wiem tylko, w których miastach uderzą.
- Nie masz dowodów. Nie masz pewności. Poza tym jeśli im o tym powiesz, będziesz musiał powiedzieć również o Quicksilverze. Nie mam na to zezwolenia.
- Tu chodzi o tysiące istnień. Dziesiątki tysięcy. Nie dbam o to, czy zostanieie zdemaskowani.
- Nie mam zezwolenia. Jestem tu sam. Sam.
- Quicksilver. Co to dokładnie jest?
- Quicksilver? – odparł Frankie Wu. – Żywe srebro. Przydomek szybkonogiego boga Merkurego.
- Tak, teraz wszyscy jesteście naprawdę szybcy. – Luke wyciągnął swój medalik ze świętym Michałem zza koszuli. – Masz taki?
- Tak – odparł Wu, ale nie zdjął rąk z kierownicy.
- Dlaczego święty Michał?
- Kiedy mieszkańcy imperium rzymskiego przestali oddawać cześć Merkuremu, wiele jego świątyń zostało poświęconych świętemu Michałowi, który był symbolem zwycięstwa dobra nad złem.
- Jego ojciec musiał rozważyć założenie Quicksilvera, zanim Klub Książki został dziesiątkowany.
- Następca Klubu Książki. Wymyślanie nowych sposobów zwalczania zagrożeń. Tylko że Quicksilver o wiele bardziej skupia się na walce niż na teorii.
- Jak tam sobie chcesz.

– Mój ojciec należał do tajnej grupy, która pracowała dla Departamentu Stanu, nazwali się Klubem Książki. Był w niej również mój ojczym, Drummond i ten facet, który zginął w Houston.

Czekał, aż Frankie Wu coś powie, ale on tylko uniósł brew.

– Klub Książki trafnie przewidywał, jakie zmiany zajdą na świecie, ale nikt nie chciał słuchać jego członków z powodów politycznych; nikt nie chciał przyznać racji jajogłowym, którzy nie należeli do struktur władzy. Jednak ktoś wiedział o istnieniu Klubu Książki i o tym, że przewidywania mojego ojca się sprawdzały. Może ktoś z departamentu, kto przeniósł się do CIA. Ojciec dostał ofertę lepszej pracy i postanowił udawać, że zginął. Może po to, żeby kontynuować to, co robił, wymyślać i identyfikować przyszłe zagrożenia. Rząd postanowił w końcu dać mu prawdziwe zadanie. Takie, o którym nie powinniśmy wiedzieć. CIA nie powinno wykonywać żadnych działań na terenie Ameryki...

– Nie masz racji. Nie jesteśmy z CIA. – Frankie Wu pokręcił głową.

Luke przypomniał sobie dokumenty, które widział w paryskim biurze, nim wybuch bomby wszystko tam zniszczył. Notatki i raporty pochodziły z archiwów Departamentu Stanu, nie było tam nic nowego na temat zagrożeń, żadnych nowych przemyśleń. Stosunkowo małe koszty przeprowadzenia zamachów, jeśli porówna się z wywołanymi przez nie stratami gospodarczymi. Przypomniał sobie relację poświęconą zniszczeniu rurociągu w Kanadzie kilka dni temu: kilka tysięcy na materiały wybuchowe wobec milionów, które straciła gospodarka.

Koszty ataku na infrastrukturę ekonomiczną były niskie.

Przypomniał sobie słowa Drummonda: „Quicksilver powstał jako wynik naszej wcześniejszej pracy nad nowymi sposobami walki ze złem, powstrzymywaniem terroryzmu, zanim jeszcze na dobre się zacznie, wykorzystywaniem nowych strategii w podejściu do starych problemów”.

Nowe sposoby.

„A po tych atakach mamy po prostu uwierzyć, że rząd wykona swoje zadanie. Ochroni nas. Że rozmaite rządy na świecie, wraz ze swoimi

urzędami, które składają się z milionów potrzebnych, lecz niezależnych od siebie elementów, w okowach reguł i biurokracji zaczną nagle działać skutecznie i spowodują rozwój swego kapitału ludzkiego i infrastruktury, które pomogą w walce z każdym cieniem i wariatem, każdym dupkiem, który ma laptop i własny cel?”.

Luke nagle wpadł na pewien pomysł:

– Już wiem, Quicksilver jest finansowany przez sektor prywatny. Nie żaden rząd.

Frankie Wu spojrzała na niego w lusterku.

– Czy największe firmy na świecie powinny siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż znowu poleje się krew? Mają wierzyć, że wymiar sprawiedliwości, wojsko i rząd wygrają każdą bitwę w tej szemranej wojnie? Ci, którzy stoją po stronie dobra, potrzebują pomocy nie tylko ze strony polityków. Pomocy, której nie będzie ograniczać biurokracja czy korzyści polityczne, z racji których walczy się ze światowym terroryzmem, jakby nadal chodziło tu o wojnę Zachodu ze Związkiem Radzieckim lub nazistami. To nie jest już wojna dwóch armii przeciwko sobie. To już nawet nie jest wojna między narodami.

– W tej wojnie walczą ze sobą grupy ludzi. – Wu odchylił się na siedzeniu. – To prawie to samo, co wojna między korporacjami, tylko że w tym przypadku jesteśmy uzbrojeni. Twój ojciec był geniuszem.

Był. Jakby znów umarł.

– To on był prawdziwym twórcą Klubu Książki. Twój ojczym był tylko kiepskim naśladowcą innych, oportunistą, który chciał uszczknąć nieco cudzej sławy. Podczas gdy twój ojciec stanął po stronie ludzi, którzy pragną na świecie pokoju, równowagi i wolnego handlu, twój ojczym dołączył do przeciwnej im grupy.

– Henry uważa, że przewidział katastrofę jedenastego września – powiedział Luke. – I że nikt go nie słuchał.

Wu parsknęła.

– Jezu, co za facet. Myślisz, że gdyby ktoś szczegółowo przewidział, co się stanie jedenastego września, taki artykuł zostałby zignorowany? Widziałem to, co napisał; Drummond rozesłał nam ten tekst, kiedy wszystko się zaczęło, była to część profilu psychologicznego Henry'ego Shawcrossa. Cały ten artykuł był niezwykle ogólny; jedynie sugerował, że samoloty mogą zostać wykorzystane jako broń, poza tym nie określił konkretnych celów ani też grup, które mogłyby dokonać zamachu. Henry Shawcross przekonał siebie samego... i tylko siebie... że jest zlekceważonym prorokiem, który mógł ocalić świat, ale zbytnio się wkurzył, bo nikt nie zwracał na niego uwagi. To czubek. – Wu pokręcił głową. – Tylko wśród tych szumowin Henry może być gwiazdą.

Quicksilver. Rodzaj prywatnego CIA finansowanego przez korporacje. Luke mógł to sobie wyobrazić, wpływały do nich pieniądze z budżetu przeznaczonego na ochronę albo też były to sumy ukryte w kontraktach zawieranych przez korporacje. Albo pieniądze przeznaczone na badania. Nie był to zbyt kosztowny rodzaj ubezpieczenia; finansowanie i wysyłanie w teren grupy ludzi, którzy działali poza prawem, w imię walki z terroryzmem. Koszty takiej działalności były pewnie niższe niż straty ekonomiczne, jakich doświadczyłyby te przedsiębiorstwa w razie kolejnych poważnych zamachów. Można było ukryć sumy wystarczające na utrzymanie tej grupy, rozłożyć koszty pomiędzy firmy najbardziej narażone na straty z powodu zamachów terrorystycznych. A nawet jeśli taka organizacja nie mogła stać się niewidzialna dla rządów, to czyż nie przymknęłyby one na to oczu? W końcu to kolejna armia do walki z terroryzmem, taka, której ręk nie pęta biurokracja, a więc może być pomocna. Albo też doprowadzić do katastrofy.

- Nie działacie legalnie.
- Nie. Ale aż do teraz udawało nam się realizować nasze zadania.
- Aż do teraz – powtórzył Luke. – Teraz jesteście zbyt przerażeni, żeby zareagować.

– Co dokładnie chciałeś wymienić w zamian za swojego ojca? – spytał Wu. – Przecież nie mieli zamiaru tak po prostu ci go oddać.

– Wymienić? Daj spokój. Miałem zamiar ich po prostu zabić, a potem odbić mojego ojca i przyjaciółkę. – Luke wypowiedział te słowa beznamiętnym tonem, który przeraziłby go jeszcze tydzień temu. Ale naprawdę tak myślał.

– Masz skłonności samobójcze?

– Nie – odpowiedział Luke cicho. – Ale przyczyniłem się do stworzenia Mrocznej Drogi. Mój ojczym mnie oszukał, lecz to dzięki mnie Mroczna Droga nabrała swojego charakteru. Muszę ich powstrzymać.

– Powinniśmy spojrzeć na to wszystko w szerszej perspektywie – stwierdził Wu.

– W szerszej perspektywie? – Pamiętał, że jego ojciec często powtarzał te słowa. – A co powiesz na to, jako na szerszą perspektywę: Planują zamach na masowy atak. – Spojrzył na zegarek. – Spotkanie w sprawie tego zamachu właśnie trwa. Możesz zniszczyć tę organizację, ale tylko wtedy, jeśli zaczniesz działać! – powiedział Luke podniesionym głosem.

– Mówiłeś, że przyczyniłeś się do powstania Mrocznej Drogi. Możesz nam pomóc dojść, kto jest w nią zaangażowany i gdzie się znajduje. Nie możemy ryzykować twojego życia w niezaplanowanym ataku na komórkę terrorystyczną. Ukryjemy cię. Znajdziemy sposób, żeby wykorzystać twoją wiedzę. Znasz ich lepiej niż ktokolwiek inny, jesteś cennym źródłem informacji.

To znaczy, że miał się pożegnać ze swoim dotychczasowym życiem. Zostawić to wszystko.

Wierzył Wu. Quicksilver nie przestrzegał prawa. Luke nie miał pojęcia, czy kierowali się przyzwoitością, choć chciał wierzyć w to, że każda grupa, na której czele stał jego ojciec, będzie stała po stronie dobra.

– Proszę cię, muszę pomóc mojemu ojcu. Możesz już nigdy nie mieć okazji zabić Mousera. W grę wchodzi tysiące istnień.

- Rozkazy mi nie pozwalają.
- Pieprzyć rozkazy! Myślałem, że masz być przede wszystkim elastyczny, szybki i reagować na rozwój sytuacji. Podaję ci wszystkich tych dupków na tacy, a ty się boisz.

Ten upór – biurokratyczny debilizm – strasznie go irytował. Zdradził Wu szczegóły spotkania w biurze Aubrey; nie zmieniło to jego zdania.

- Nie powiem wam nic o Mrocznej Drodze, chyba że pomożecie mojemu ojcu.

Wu zachowywał się, jakby nie słyszał tych słów.

- Co jest z tobą nie tak? Nie jesteś wcale lepszy od tych gryzipiórków, których chcieliście zastąpić! – wybuchnął Luke. – Zadzwoń przynajmniej na policję lub powiadom FBI, powiedz im, że Mouser i te zbiry tam będą!

- Co prawda mogłaby to być dla nas potencjalna dekonspiracja, ale pomyślę o tym – odpowiedział Wu.

Luke osunął się na oparcie fotela całkowicie rozczarowany.

Spojrzał na zegarek. Jestem tu sam, mówił Wu. Cóż, Luke też był sam. A mimo to dotarł aż tutaj. Czasem jedna osoba wystarczy, żeby coś zdziałać.

Zamilkł i zaczął sobie układać w głowie plan. Drummond mówił mu, że ma się nie przejmować. Wu był wyszkolonym członkiem Quicksilvera, a kto wie, co to oznaczało. Może należał kiedyś do CIA lub FBI, a może był po prostu gościem, który nie bał się trudnych sytuacji, jeśli w grę wchodziło odpowiednie wynagrodzenie. Wyszkolono go do walki. Luke musiał być zatem mądrzejszy.

Zaskoczyć go czymś.

- Muszę się do czegoś przyznać – powiedział.

Wu spojrzał na niego.

- Do czego?
- Nie jadę dalej z tobą – odpowiedział Luke i otworzył drzwi samochodu. Jechali prawie sto na godzinę.
- Co u diabła?! – wrzeszczał Wu. – Wracaj tutaj do cholery!

Luke stał w otwartych drzwiach, szukając punktu zaczepienia na dachu samochodu.

Wu nie miał zamiaru zwolnić.

Luke przedostał się na dach samochodu w chwili, kiedy Wu przeciął kilka pasów ruchu i z rykiem klaksonu pędził w kierunku zjazdu z autostrady.

– Oszalałeś?! – krzyczał.

Luke wiele ryzykował. Nie mógłby walczyć z Wu, bo to groziło rozbięciem samochodu, a potrzebny był mu środek transportu. Musiał po prostu wywabić Wu z auta, a nie miał czasu, żeby czekać, aż Wu dowiedzie go w jakieś bezpieczne miejsce. Musiał działać natychmiast.

Samochód skręcił gwałtownie, żeby wyminąć inny pojazd, ale nie zwolnił, przez ten manewr Luke omal nie spadł z dachu.

Wu przyspieszał, jadąc wzdłuż pobocza, Luke widział tylko, jak obok śmigają bariereki, którymi zabezpieczony był zjazd z autostrady.

Otarli się o jedną z barierek, posypały się iskry, spadały na dach obok Luke'a. Jakiś jadący tą drogą samochód zaczął przeraźliwie trąbić, Wu znów gwałtownie skręcił i wjechał na zjazd z autostrady, który prowadził do centrum Chicago.

Przejechał na czerwonym świetle.

Nie zwalnia? Dlaczego? Bo musi jechać szybko, głupku. Chce cię zrzucić z dachu. Wkurzyłeś go. Chce, żebyś nie miał siły walczyć.

Wu wjechał z piskiem opon na parking obok supermarketu. Kiedy wjeżdżał na wolne stanowisko, gwałtownie nacisnął hamulec. Jednak Luke zorientował się, co planował Wu, i udało mu się wślizgnąć z powrotem do samochodu, w chwili kiedy Wu użył hamulców.

Gwałtowne hamowanie rzuciło Luke'a w kierunku przednich siedzeń, wylądował Wu na głowie, a potem uderzył w przednią szybę, która popękała. Całym swoim ciężarem przycisnęła Wu do kierownicy.

Samochód gwałtownie się zatrzymał.

Luke, zamroczony, z rozciętym tyłem głowy, zsunął się na Wu i zaczął szukać broni, którą ten miał pod kurtką. Jego palce natrafiły na rękojeść i udało mu się wyrwać broń, choć Wu próbował ją przytrzymać.

Luke przyłożył pistolet do skroni Wu. Ten zeszywniał.

- Wysiadaj! Zostaw kluczyki w stacyjce! – rozkazał Luke.
- Nie zastrzelisz mnie – stwierdził Wu.

Luke przesunął nieco lufę pistoletu i wystrzelił. Kula strzaskała okno od strony kierowcy. – Owszem, zastrzelę.

Wu wysiadł z samochodu.

- Jesteś idiotą i samobójcą!
- Tak – odparł Luke. – Jestem tu sam. – Wciąż trzymał pistolet wymierzony w Wu, wślizgnął się za kierownicę i odjechał, wiatr wiał mu w twarz przez dziurę w bocznej szybie.



## 56.

Luke wiedział, że jadąc z roztrzaskanymi szybami, będzie przyciągał uwagę wszystkich patroli policyjnych.

Musiał jednak zaryzykować. Jeśli zostanie zatrzymany przez jakiegoś policjanta, to po prostu opowie mu wszystko, co wie. Podał Wu informacje niezbędne do powstrzymania ataku, jeśli on sam nie będzie tego w stanie zrobić. Gdyby teraz skontaktował się z policją, wyjaśnianie całej sprawy zajęłoby zbyt wiele czasu – mogliby mu nie uwierzyć. Poszukiwano go w związku ze śmiercią policjanta w Chicago. Członkowie Mrocznej Drogi mogli po zakończeniu spotkania po prostu zniknąć, zabierając do swoich miast śmiercionośne pakunki.

Musiał działać. Natychmiast.

„Jestem tu sam”, tak brzmiały słowa Wu. Ale jeden człowiek mógł coś zdziałać, walcząc z najgorszymi instynktami, jakie drzemią w ludziach.

To właśnie reprezentowali sobą Mouser i reszta. Pozbawić innych wyboru, pozbawić ich bezpieczeństwa i zastąpić je pokręconym i gorzkim obrazem świata, który był według nich doskonały. Taki tok myślenia był wspólny dla różnych ideologii, które wyznawali członkowie Mrocznej Drogi. Pożądali władzy, a mogło ją im zapewnić jedynie wprowadzenie ciągłego terroru, jaki zawładnęłyby codziennością.

Wjechał na szosę i pomknął w kierunku biura Aubrey. Spotkanie w

sprawie operacji Piekielny Ogień odbywało się w niewielkim, zaniedbanym pasażu handlowym, na południe od centrum. Noc była chłodna i mglista, a ruch mały, w miarę jak Luke oddalał się od autostrady. Kiedy przejeżdżał obok grupy sklepów tworzącej pasaż, zauważył znak PERRAULT IMPORTS. Firma Aubrey.

Eric – lub Henry – ustanowili jej biuro centrum odbioru bomb. To miało sens. Nikt nie będzie się dziwił, jeśli w różnych dziwnych godzinach pod siedzibą firmy importowej będą się pojawiały furgonetki. Częste dostawy będą interpretowane przez ciekawskich sąsiadów jako element jej działalności zawodowej.

Zrobiło mu się niedobrze, kiedy pomyślał, jak Aubrey została wciągnięta do świata Erica i jak została wykorzystana. Nawet jeśli Eric darzył ją prawdziwym uczuciem, to zmusił ją do przejścia na ciemną stronę – podobnie jak Henry zmusił jego.

Zaparkował swój samochód na ulicy za pasażem. Stało tam kilka latarni. Otworzył drzwiczki i sprawdził magazynek w pistolecie Wu. Do lufy przykręcony był tłumik, a on nigdy wcześniej nie strzelał z jego użyciem. Włożył pistolet za pasek od spodni.

Miał w głowie tylko niejasny plan, ale wszystko zależało od tego, czy w biurze są przetrzymywani jego ojciec i Aubrey. Sądził, że tam będą. Jeśli nie, to nie będzie się musiał martwić o to, jak ich uwolnić. Jeśli tam będą, to będzie musiał wybierać. I będzie to ciężka decyzja. Przede wszystkim chciał powstrzymać rozpoczęcie operacji Piekielny Ogień.

Niezależnie od ceny, jaką będzie musiał zapłacić.

Przeszedł na drugą stronę jezdni. Biuro Aubrey mieściło się na jednym z końców pasażu; obok niego było biuro księgowo-podatkowe, sklep z damską odzieżą, salon piękności i sklep monopolowy. Codziennosc Ameryki.

Przed biurem Aubrey zaparkowano sześć furgonetek przeprowadzkowych, wszystkie należały do jednej firmy.

Poszedł w kierunku zaparkowanych pojazdów, a gdy znajdował się kilka metrów od pierwszej z nich, zza aut wysunął się jakiś cień.

Strażnik! Chudy, wyglądał na wystraszonego i był niewiele starszy od Luke'a.

– Cześć – powiedział Luke. – Przyszedłem się zobaczyć z Mouserem. Przepraszam za spóźnienie.

Strażnik zapytał go o hasło.

Pomodlił się w duchu o to, żeby hasło, które podał mu Henry, tymczasem nie uległo zmianie.

– Determinacja.

Strażnik pokiwał głową.

– Dostałem rozkazy, że mam się tu zjawić i wziąć jedną z furgonetek – powiedział Luke.

– Przyszedłeś piechotą?

– Chciałem się upewnić, że nie ma tu glin. Wygodniej było mi przyjść, to było mniej podejrzane, niż gdybym jechał. – Luke zatrzymał się półtora metra od strażnika.

– Podejdź tutaj i połóż ręce na bocznej ścianie furgonetki. Każdy musi zostać przeszukany.

Podszedł do Luke'a, a ten pomyślał wtedy: takiego błędu spodziewałbym się po sobie. Uderzył mocno strażnika, najpierw w twarz, a potem jeszcze pistoletem. Ten upadł nieprzytomny. Luke nie musiał strzelać.

Przeszukał strażnika. Znalazł kluczyki przyłączone do breloczka z firmy wynajmującej furgonetki. Spróbował otworzyć drzwi najbliższej z nich. Zamknięte. Spróbował z drzwiami kolejnej. Otworzyły się.

Pojazd był pusty. Co oznaczało, że przynajmniej niektóre z bomb wciąż były w budynku. Wciągnął strażnika do furgonetki i tam go zostawił. Pomyślał, że do czasu, kiedy strażnik dojdzie do siebie, on albo wygra, albo będzie trupem.

Wyciągnął przepustkę, którą zabrał Henry'emu, i wypróbował ją na drzwiach wejściowych. Otworzyły się.



Parter był jednocześnie wystawą sklepu i miejscem dostaw. Pełno tu było ozdób, ich różnorodność dowodziła tego, że świat stawał się coraz mniejszy. Luke torował sobie drogę wśród labiryntu, który tworzyły tanie kopie afrykańskich masek i drewnianych symboli płodności, chińskie lampiony, meble inspirowane kulturą Wschodu i piramidy ułożone z chińskiej porcelany. Na schodach wisiała jasnopomarańczowa strzałka i napis WIECEJ OKAZJI NA GÓRZE. Stanął u stóp schodów i doszedł go gwar głosów.

Zastanowił się. Bomby musiały zostać dostarczone tutaj, bo Snow nie byłaby w stanie ich porzucić z Houston. Chicago znajdowało się bardziej po drodze. Ale gdzie je przechowują? Najprawdopodobniej nikt nie otwierał sklepu, odkąd Aubrey zniknęła. Aubrey nic nie wspominała o tym, że zatrudnia jakichś ludzi. Bomby są z pewnością przechowywane w miejscu, gdzie ich obecność nie będzie budziła zaskoczenia.

Poszedł w kierunku magazynu, który znajdował się na tyłach pomieszczenia. W skąpym świetle żarówki widać było, że wszędzie porozstawiane są pudła.

Dostrzegł wciąż zapakowane pudła chińskich figurek, jakieś szwedzkie meble, biurko, sterty papierów. Na tablicy korkowej przypięto zdjęcia przedstawiające Erica i Aubrey: na kolacji, na łodzi, przechadzających się wzdłuż jeziora Michigan.

Gdzie mogli ukryć bomby? Mouser jest tutaj, na pewno chciał je obejrzeć, poza tym musiał pokazać reszcie, jak się uruchamia ich mechanizm. Jeśli były w jakichś pudełkach, to na pewno są teraz otwarte.

Przysunął ku sobie jedno z otwartych pudełek. W środku były jakieś szare uniformy i maseczki podobne do chirurgicznych. Były tam również przepustki ze zdjęciem, wszystkie wystawione na firmę Ready-Able. Co najmniej dwadzieścia, każda z nich miała kod kreskowy. Na pierwszej małym drukiem widniał napis NYC. Przejrzał kolejne. Waszyngton, Atlanta, Dallas, Chicago, Boston.

Każda przepustka została oznaczona skrótem nazwy systemu komunikacji

publicznej danego miasta. DART w Dallas, MAR-TA w Atlancie, CTA w Chicago, MBTA w Bostonie, Metro w Waszyngtonie, MTA w Nowym Jorku. Henry skłamał. Nie chodziło o centra handlowe. Ich celem był transport publiczny. Ponad sto bomb, żeby zaatakować metro i autobusy w sześciu największych miastach Stanów; były w dwóch różnych strefach czasowych, więc jednoczesny atak na wszystkie będzie miał katastrofalne skutki. Zginą tysiące ludzi; już sama liczba bomb gwarantowała przerażające żniwo.

Na stole, na wprost biurka, dostrzegł sześć otwartych pudełek. Na bocznych ściankach miały wypisane po hiszpańsku słowa BOTIQUÍN DE PRIMEROS AUXILIOS. Nie znał hiszpańskiego zbyt dobrze, zajrzał do środka.

Zestawy pierwszej pomocy. Zwykłe, białe, na górze miały wymalowany czerwony krzyż. Jednak większe niż te, które można kupić w sklepie, większe od takich, jakie widuje się czasem w miejscach publicznych, na przykład w centrach handlowych i na lotniskach. Albo w szkołach.

Albo w pociągu i w metrze.

Otworzył jedną ze skrzyneczek. W środku były gwoździe i śruby, zapakowane w cienkie plastikowe worki, żeby nie pobrzękiwały. Zaś na środku leżała pomarańczowa cegła, zrobiona z czegoś, co przypominało glinę, była połączona za pomocą drucików z telefonem komórkowym.

Bomba, uzbrojona plastikiem, jak się domyślił. Ostrożnie odłożył pudełko i zaczął liczyć, ile było tych zestawów pierwszej pomocy. Tuzin w pudełku. A ile pudełek? Też tuzin. Sprawdził skrzyneczki w każdym z pudełek. We wszystkich były bomby.

Sto czterdzieści cztery bomby. Henry mówił prawdę. Te zestawy pierwszej pomocy zostaną przymocowane do ścian pojazdów przewożących ludzi przez członków „ekipy sprzątającej”, którzy musieli się tylko tam zjawić, zostawić bomby i zniknąć. Maseczki chirurgiczne – z których korzystały ekipy sprzątające – pomogą im w ukryciu tożsamości, ponieważ nie byli zamachowcami-samobójcami. Sto czterdzieści cztery bomby

rozdzielone między sześć miast. Wiele wagonów na wielu torach. Zamach na ludzi, którzy jadą do pracy – zupełnie jak ten jedenastego września i eksplozje bomb w Londynie i Madrycie. Tani do przeprowadzenia atak, który spowoduje milionowe lub nawet miliardowe straty gospodarcze i, co gorsze, spowoduje śmierć tysięcy niewinnych ludzi.

Ta myśl sprawiła, że krew zmroziła mu się w żyłach.

Przerażała go skala tego przedsięwzięcia. Telefon służył zapewne do uruchomienia bomby. Ale czy zdetonuje się ona wtedy, kiedy ktoś zadzwoni na numer tego telefonu? Nie. Było ich zbyt dużo, a Luke podejrzewał, że bomby miały wybuchnąć jednocześnie, albo w tak krótkim czasie od siebie, jak to tylko możliwe. Zatem jak?

Potem do głowy przyszło mu proste rozwiązanie. Zaschło mu w gardle.

Miał wybór. Mógł teraz zdetonować jedną z bomb – zabijając siebie, ale też większość członków Mrocznej Drogi, ale też swojego ojca i Aubrey, jeśli tu byli. Zginą. Operacja Piekielny Ogień nie zostanie przeprowadzona. Albo – była też inna możliwość.

Usłyszał, że ktoś otworzył i zamknął za sobą drzwi wejściowe. Podjął decyzję. Nie miał zbyt wiele czasu.

A co mi tam, pomyślał. I tak za chwilę zginę.



Minutę później usłyszał:

– Cześć, Luke.

Do magazynu wszedł Henry Shawcross, celował z pistoletu do swojego pasierba, który klęczał przy otwartej szufladzie z dokumentami, przeglądając jej zawartość.

Luke wstał.

– Nie wiedzą, że tu jesteś, prawda? – powiedział Henry bardzo cicho.

– Nie.

– Zabiłeś strażnika, który stał na zewnątrz.

- Nie, ogłuszyłem go i wrzuciłem do jednej z furgonetek.
- Jesteś miłszy ode mnie.
- Udało ci się uciec. I dotrzeć tutaj. – Nie musiał reagować na słowa Henry'ego.

– Kluczyki do kajdanek były w kieszeni człowieka, którego zabiłeś. Twój pomysł obrócił się przeciwko tobie.

Luke zamknął oczy. Głupi błąd, który będzie go wiele kosztował.

- Wyszedłem stamtąd zaraz po tobie. Przyleciałem tutaj samolotem Travportu. – Henry uśmiechnął się lekko. – Wiedziałem, że tu będziesz i że zabawisz się w dobrodusznego głupka. Co cię opętało? Czego szukałeś?

- Śladów, które pomogą odnaleźć miejsce, w którym Eric schował pieniądze.

- Pieniądze. A co one cię obchodzą?

- Potrzebuję ich. Żeby się ukryć. – Luke spojrzał Henry'emu prosto w oczy. Niech myśli – przynajmniej przez chwilę – że Luke też jest materialistą, skoro miał nadzieję, że jego przybrany syn się do niego upodobni. – Co teraz?

Henry wzruszył ramionami.

- Trudny wybór. Wszystko, co było dobre w moim życiu, zostało mi odebrane, Luke. Nawet ty mnie zdradziłeś.

- Sam zniszczyłeś swoje życie. Ja tego nie zrobiłem.

- Nie. To Warren zniszczył moje życie. Ledwo dawałem radę dorównać mu, kiedy był martwy. Teraz, kiedy okazało się, że żyje, jest to jeszcze trudniejsze.

Luke nie odpowiedział. Henry rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby sprawdzając, że wszystko jest w porządku, potem znów spojrzał na Luke'a.

- Masz broń.

- Tak.

- Odwróć się. Ręce na szafkę.

Luke posłuchał. Henry przeszukał go i zabrał mu broń.

- Są na górze – powiedział Luke. Miał pomysł. Gdyby tylko udało

mu się nabrać Henry'ego. – Wydaje mi się, że jest tam mój ojciec.

– Zatem chodźmy, żebyście się nareszcie mogli spotkać – odezwał się Henry głosem pełnym nienawiści.

Weszli po schodach, najpierw Luke, czując na karku lufę pistoletu Henry'ego. Czuł się tak, jakby wchodził na chybotałą podstawę szubienicy.

Na drugim piętrze stały importowane meble; Mouser i sześciu mężczyzn siedzieli przy stole ogrodowym. Mouser zauważył Luke'a, potem do środka wszedł Henry. Zatrzymał się.

– Co u diabła! – zaklął.

Nad głową Mousera wisiało kilka zegarów, Luke spojrzął na ich tarcze, na każdym była inna godzina. W głębi pomieszczenia zobaczył swojego ojca i Aubrey przywiązanych do krzesel. Aubrey miała podbite oko; ojciec został pobity, pod nosem i na ustach widać było zakrzepłą krew.

– Co do diabła tu robisz? – zapytał Mouser.

– Zjawiłem się, żeby poprowadzić spotkanie – odparł cicho Henry.

Światło nad stołem było dość słabe, Luke przypomniał sobie sławne postaci z historii, których osobowości omawiali na zajęciach z psychologii, próbując odgadnąć, co nimi kierowało: przywódcy rewolucji francuskiej, którzy chcieli doprowadzić do upadku porządku społecznego i nieuchronnej w takiej sytuacji śmierci tysięcy osób; John Wilkes Booth, planujący morderstwo człowieka, w pojedynkę zmienił bieg historii, nie dopuszczając do zerwania unii, kiedy poddano ją próbie ognia; bolszewicy, próbujący zbudować raj, który w ostatecznym rozrachunku okazał się ruiną zbudowaną na kościach milionów ofiar.

– Powiedziałeś, że nie żyje – Mouser wpatrywał się w Luke'a.

– Skłamałem – odparł Henry. – Ja tu dowodzę. Nie ty.

– Już nie. – Mouser podniósł broń i wycelował ją prosto w głowę Henry'ego.

– Panowie – powiedział Henry. – Obiecано wam dalsze i o wiele większe inwestycje w sprawy, które was interesują, jeśli uda się wam przeprowadzić



te początkowe ataki. Mouser nie ma waszych pieniędzy, ja je mam. – Wskazał głową na Luke'a. – I on. Jeśli nas zabijecie, wszelkie finansowanie Mrocznej Drogi zostanie natychmiast przerwane.

– O, nie – odezwał się jeden z mężczyzn. Miał wychudłą twarz i przypominał Luke'owi fretkę, na jego szyi widać było tatuaż. – Chcemy dostać pieniądze już teraz.

– Nic z tego. – Henry uśmiechnął się do Mousera. – Ale z ciebie idiota. Nie potrafisz kierować tą grupą.

– Nikt nami nie kieruje – odezwał się kolejny z mężczyzn. – Robimy to, co chcemy. Jeśli nam się uda, dostaniemy pieniądze. Taka była umowa.

To działa jak fundusz inwestycyjny, pomyślał Luke. Organizacja terrorystyczna. Przeciwnieństwo grupy takiej jak Quicksilver, który był organizacją antyterrorystyczną.

– Nie dostaniecie pieniędzy bez nas – powiedział Luke, patrząc na Henry'ego, jakby chciał powiedzieć: „dobra, wchodzę w to”. Nie miał wątpliwości, że odrzucony i rozczarowany Henry zastrzeli go w chwili, kiedy przestanie być potrzebny.

Ojciec wpatrywał się w niego, ale Luke nie był w stanie na niego spojrzeć. Każda sekunda przybliżała go do śmierci. Ale w końcu tak było każdego dnia. Ta myśl go uspokoiła. Musiał to zrobić.

– Nie słuchajcie tego dzieciaka – powiedział Mouser. – On i jego kumpel zastrzelili naszą najlepszą specjalistkę od bomb.

– Tylko dlatego, że próbowała mnie zabić. Zabawne, że kiedy ci to pasuje, możesz zupełnie zapomnieć o tym, że jesteś w żałobie po Snow, tak jak w Paryżu.

Mouser zaczerwienił się na twarzy i zaczął poruszać ustami.

– Jesteśmy tu z powodu pieniędzy. Chcemy się dogadać – kłamał Luke.

– Mówiłeś, że nie masz pieniędzy – odparł Mouser.

– Eric je miał. Jane wiedziała, gdzie są. Powiedziała mi – Po tych słowach

zarówno Aubrey, jak i Warren spojrzeli na niego. – Użyła komputerów Quicksilvera, żeby odkodować plik z danymi dotyczącymi miejsca, gdzie Eric ukrył pieniądze.

Na chwilę przed tym, zanim przez tego tu mądralę wysadzono ich biuro w powietrze. – W głowie wciąż miał ostatnie słowa Jane: „Ukryte na widoku. A to d...”. Eric, drań, który ją zdradził.

Żałował, że nie wie, co miała na myśli. Odpowiedź musiała być prosta. Eric działał w ogromnym stresie. Gdzie mógł ukryć te pieniądze? Ukryte na widoku.

Mouser wycelował broń w Warrena i Aubrey.

– Pieniądze. Natychmiast. Albo oni zginą.

Luke spojrzął na Henry'ego.

– Oddam pieniądze. Ale tylko Henry'emu. W ten sposób to on przejmie dowodzenie. To z nim się dogadałem. On wypuszcza mojego ojca i Aubrey, a ja mu przekazuję kasę. Uzgodniliśmy to. – Jego kłamstwo było szyte grubymi nićmi. Spojrzął na mężczyzn przy stole. – To ja was znalazłem. Wskazałem was Henry'emu. Powołałem Mroczną Drogę do życia. Jesteście mi winni przynajmniej tyle.

– Nikt nie jest ci nic winny – stwierdził mężczyzna z tatuażem.

– Nic nie macie – powiedział Luke. – Co się stanie, kiedy reszta członków Mrocznej Drogi dowie się, że odcięliście ich od milionów przeznaczonych na ataki? – Wskazał na Mousera. – To ty jesteś odpowiedzialny, twoje życie stanie się bezwartościowe.

Mouser spurpurowiał z wściekłości.

– Nikt z nas nie przyszedł tutaj dla pieniędzy. – Niemal wypluł ostatnie słowo.

– Nie, ale dzięki farsie łatwiej się udaje twardziela. Można za nią kupić materiały do złożenia bomby, broń, zlecić komuś brudną robotę. Bez niej jesteście tylko dupkami, którzy publikują żalosalne posty w Internecie i udają, że są ważni.

Mouser wskazał na Henry'ego.

– Chciał, żebyśmy cię złapali. Zabili. Teraz jesteś po jego stronie?  
– Nigdy nie chciałem jego śmierci. To był twój błąd – powiedział Henry. – Idźcie. Zróbcie co konieczne dla operacji Piekielny Ogień. Mouser, zostajesz tutaj. Dogadamy się co do pieniędzy.

– Widzieli nasze twarze – stwierdził Mouser. – Nie potrzebujemy świadków.

– Znacie moje warunki – odparł Luke. Potem zaproponował coś, co mogło być istotne dla tych ludzi: – A może będziecie głosować?

– Naprawdę myślałeś, że będę z tobą negocjował? – spytał Mouser niemal ze śmiechem.

Luke zobaczył, że pozostali członkowie Mrocznej Drogi wymienili ostre spojrzenia. Mouser zignorował propozycję głosowania, a Luke wiedział, że ci ludzie – przywódcy swych własnych ugrupowań czy organizacji – nie przepadali za wykonywaniem rozkazów. Byli przyzwyczajeni do tego, że decydują sami o sobie.

– Nie będzie głosowania. Mam dostęp do funduszy. Robicie tak, jak powiedziałem. Zbierajcie się. Macie wszystkie materiały, prawda? – powiedział Henry.

Mężczyźni przytaknęli. Luke zauważył, że każdy z nich miał w ręku instrukcję obsługi bomby, plany, które wyglądały jak schemat przebiegu linii kolejowych, oraz fotografie i krótki opis systemu sterowania pociągiem, a także stacje docelowe. Mieli wsiąść, zostawić bomby i wysiąść.

– Idźcie. Znacie plan. Szósta trzydzieści rano czasu centralnego, siódma trzydzieści czasu wschodniego, pojutrze – Henry wykonał ruch głową. – Idźcie.

Mieli jeden dzień, żeby wrócić do swoich miast i podłożyć bomby.

– Nie – wtrącił się Mouser. – To ja tu kieruję.

– Czy masz pięćdziesiąt milionów, żeby zapłacić naszym przyjaciołom? Czy udało ci się wykonać choć jedną z rzeczy, o które cię prosiłem?

Zamknij się wreszcie, Mouser – Henry odchrząknął. – Zbierajcie się. Jeden z was znajdzie w swojej furgonetce śpiącego strażnika z dołu. Odpoczywa po bójce.

Mężczyźni wyminęli Luke'a, słyszał odgłos ich kroków po schodach. Potem słyhać było, jak ładują pudełka, wynoszą je ze sklepu frontowymi drzwiami.

– Zatem – powiedział Mouser – tak to się kończy.

– Zostawiłeś w Paryżu jednego ze swoich ludzi, żeby mnie zabił – zaczął Henry.

– Nieprawda. Miał się tobą zająć do czasu przeprowadzenia operacji Piekielny Ogień.

– Kiepski z ciebie kłamca, Mouser.

– Zabawne, nieprawdaż? – wtrącił się Warren Dantry.

Nikt nie spodziewał się, że cokolwiek powie, i wszyscy na niego spojrzeli. Uśmiechnął się mimo ran, Luke przypomniał sobie ten uśmiech ze wspólnych wycieczek na ryby i z czasów, kiedy siadywali razem z ojcem na ganku. Jego głos był dokładnie taki sam, delikatny baryton, starszy, mądrzejszy.

– Tato – zaczął Luke. Przez głowę przemknęło mu tysiące spraw, o które chciał zapytać, które chciał powiedzieć, a potem zabrakło mu słów.

– Zabawne – powtórzył Warren Dantry. – Naprawdę nie umiesz z nikim współpracować, Henry. Ani z tymi dobrymi,, ani z tymi złymi. Zawsze coś spieprzysz. – Spojrzał na Mousera. – Wiesz, że on uważa, naprawdę wierzy w to, iż przewidział zamachy z jedenastego września?

Mouser zerknął na Henry'ego.

– Ale przecież tak było.

– Nieprawda – zachnął się Warren. – Awansowałby na najwyższe stanowiska w CIA albo Departamencie Stanu, gdyby tak faktycznie było. A zamiast tego prowadzi się z tymi szumowinami.

Spójrz na mnie, tato, pomyślał Luke. Ale Warren tego nie zrobił.

– Zamknij się! – warknął Henry. Wycelował broń w Warrena – Zamknij się! Luke jest teraz moim synem. Nie twoim. Zrezygnowałeś z niego. Zamknij się, do cholery!

– Luke, wiesz, że on jest nikim. Nikim. – Warren spojrział na syna. – Próbował mnie zabić. Potem, w wątpliwych okolicznościach, zginęła twoja matka.

– To był wypadek! – wrzasnął Henry. Z ust poleciały mu kropelki śliny.

– Doprawdy? Doprawdy? Doprawdy? – powiedział Warren niskim, hipnotyzującym głosem.

– To był wypadek! – Henry znów niemal wykrzyczał ostatnie słowo, jakby coś mu zaczęło szwankować w głosie.

– Zawrzyjmy pokój, Henry – stwierdził Mouser. – Jezu, zaszliśmy aż tutaj. Pozwól, że ja porozmawiam z tym draniem. Wydrę z niego każdy sekret dotyczący Quicksilvera.

– Nie będzie mówił. Powinien zginąć – powiedział Henry. – Nie patrz teraz, Luke.

– Nie! – wrzasnął Luke. Rzucił się w kierunku Henry'ego.

Wtedy świat eksplodował.

## 57.

Pięć furgonetek nie zdążyło wyjechać z pustego parkingu. Luke nastawił zegar w zapalniku jednej bomby z każdego pudełka tak, żeby wybuchły za piętnaście minut. Wystarczająco dużo czasu, żeby załadować furgonetki, zapalić papierosa i poplotkować przez chwilę (na dole powstała koncepcja zabicia Mousera i Henry'ego, którą omówiono, a następnie odrzucono).

Wszystkie furgonetki – z wyjątkiem jednej – stanęły w płomieniach w odstępach trzech sekund od siebie, wyrzucając w powietrze kawałki metalu i płonące opony. Śruby i gwoździe zapakowane do każdej z bomb pocięły terrorystów na kawałki.

Furgonetka stojąca najbliżej sklepu pozostała nietknięta. Ponieważ Luke spieszył się, żeby przestawić zegar w detonatorze, niechcący odłączył kable w dwóch ostatnich telefonach i przez pomyłkę tego nie zauważył. Sygnał z telefonu komórkowego nie zdetonował bomby. Kierowca – najtwardszy i najstarszy spośród całej ekipy, wytatuowany facet, który był odpowiedzialny za wybuch bomby w college'u w Kansas City – przyglądał się fruwiącym kawałkom furgonetek swoich kolegów. Wstał z siedzenia. Powypadały mu szyby w samochodzie, podobnie jak wszystkie ze sklepów w pasażu handlowym. Jedna z furgonetek rozbiła się na opuszczonej ulicy, cała płonąła. Widział resztki jednego ze swoich kolegów, rozczłonkowanego i

spalonego, leżał kilka metrów przed nim.

Bomby, pomyślał, ktoś majstrował przy bombach. Przez następne dwieście sekund po prostu czekał, wiedział, że jeśli ktoś przestawił zegar w detonatorach jego bomb, to już był martwy i nie było sensu uciekać.

Ale przecież bomby w pozostałych samochodach wybuchły niemal jednocześnie. A w jego furgonetce nie. Zdał sobie sprawę, że jest bezpieczny. Wyjechał z parkingu i nacisnął gaz, myśląc sobie, że musi wykonać powierzone mu zadanie.

Siła wybuchu sprawiła, że okna powpadały do środka sklepu Aubrey, rozpedzone powietrze porwało Luke'a w górę i rzuciło nim w Henry'ego. Luke wpadł na niego z impetem, ale nie usłyszał strzału. Oślepił go ogień; próbował dostrzec cokolwiek, choć ból rozsadał mu czaszkę.

Przestawienie zegarów w detonatorach okazało się skuteczne. Luke podniósł się z trudem. Zobaczył, że Aubrey upadła na plecy, wciąż przywiązana do krzesła, z zakrwawioną twarzą. Obok niej leżał jego ojciec, również przewrócony siłą wybuchu. Henry też leżał na podłodze, zamroczony. Broń, którą trzymał w ręku, zniknęła.

Gdzie się podziała? I gdzie był Mouser?

Luke poczuł falę gorąca. Po zasłonach pełzły płomienie, płonące resztki furgonetek spowodowały pożar w budynku. Towar wystawiony w sklepie – afrykańskie maski, drewniane stoliki, sterty azjatyckich ubrań, wszystko to się paliło. Budynek stanął w płomieniach.

Nie widział nigdzie Mousera.

Nagle ktoś chwycił go od tyłu za gardło. Poczuł, że do czoła przytknięto mu lufę pistoletu. Machnął głową do tyłu i udało mu się uderzyć Mousera w twarz. Obrócił się i chwycił broń, wystrzelona kula roztrzaskała się o betonową posadzkę. Uderzył Mousera w szczękę, był to najmocniejszy cios, jaki dotąd udało mu się komukolwiek wymierzyć. Poczuł pod palcami

pękającą kość i rozdzierający ból ręki, spowodowany siłą uderzenia.

Mouser zachwiał się i zrobił kilka kroków do tyłu, prawie potknął się o Henry'ego, który próbował wstać. Płomienie odbijały się w pełnych wściekłości oczach Mousera, z wyciem rzucił się na Luke'a. Pochwycił go, obaj przewrócili się i zaczęli toczyć po podłodze w kierunku płonącej ściany frontowej.

Szamotali się we wścieklej walce wręcz na śmierć i życie. Mouser z nienawiścią chwycił Luke'a za gardło. Odbili się od okien, od płonących zasłon i znów wylądowali na podłodze. Luke czuł, że zaczynają się palić jego włosy i koszula. Wyrwał się na chwilę z uścisku przeciwnika i zaczął gasić ogień, ale wciąż nie puszczał Mousera.

Mouser zaczął krzyczeć, kiedy zapaliła się na nim koszula. Wyrwał się; obaj znów potoczyli się po podłodze. Luke gasił na sobie ubranie. Mouser robił to samo, a kiedy spojrział na Luke'a, ten z całej siły kopnął go w twarz i poczuł, jak łamie mu nos i szczękę. Złapał terrorystę za pasek i szyję, a potem rzucił go o ścianę, czując, że płomienie wędrują mu po plecach. Mouser wypadł przez płonące okno, machając ramionami, zaczął się cały palić, nim jego głowa roztrzaskała się o asfalt.

Leżał w bezruchu i przez ścianę ognia Luke dostrzegł, że jego szyja jest wykrzywiona pod nieprawdopodobnym kątem.

Na parkingu dostrzegł pięć zwęglonych furgonetek, spalonych i rozerwanych wybuchem.

Pięć. Nie sześć.

– Jeden uciekł! – krzyknął. Kiedy się obrócił, dostrzegł, że Henry zbiega po schodach.

Nie miał czasu go gonić. Pomógł Aubrey wstać i rozerwał jej więzy. Zaraz potem wspólnie uwolnili jego ojca.

– Tato! Tato! – krzyczał Luke. Ojciec otworzył oczy i spojrział na niego ogłuszony.

– Pospieszcie się! – krzyczała Aubrey.



Pobiegli w kierunku wyjścia, za nimi. płomienie zaczęły obejmować resztę budynku.



– Jednemu z nich udało się uciec – powiedział Luke. Ani śladu Henry'ego na parkingu. Biegli, Warren wspierał się na Luke'u, Aubrey trzymała go za rękę z drugiej strony. – Musimy go złapać.

– Nie wiemy, dokąd pojechał – zaczęła Aubrey.

– Będzie się kierował na autostradę – powiedział Warren.

– Jedź na zachód – odpowiedziała Aubrey. – To najbliższa trasa.

Usłyszeli ryk syren policyjnych i strażackich. Nieliczne samochody przejeżdżające ulicą zatrzymywały się, wysiadali z nich ludzie, przypatrywali się zniszczeniom. W samochodzie Warren uścisnął Luke'a.

– Luke, Luke – powtarzał. Objął twarz Luke'a dłońmi, po twarzy płynęły mu łzy. Cały się trząsł.

– Tato. W porządku, musimy znaleźć tego gościa. – W głowie znów pojawiły mu się tysiące słów, które chciał powiedzieć i usłyszeć – wyjaśnienia ojca, zapewnienie o miłości, chciał powiedzieć, jak bardzo jest wściekły za to, że ojciec go zostawił – ale to wszystko musiało poczekać. Ostatni zamachowiec uciekał.

Luke przypomniał sobie fałszywe słowa pożegnania, jakie usłyszał od ojca: „Będę za tobą tęsknił w każdej chwili”. Takich chwil były lata. Jego ojciec zaczął mówić:

– Przepraszam. Jest mi tak bardzo przykro z powodu tego wszystkiego, co ci się przydarzyło. Niech to będzie na początek.

Luke usiadł za kierownicą, obok siadł ojciec. Aubrey usadowiła się z tyłu.

– Mój Boże – powiedział ojciec. – Mój Boże. Luke. Chryste.

– Tato? W porządku? Aubrey, nic ci nie jest?

– Tak. Nic nam nie jest. W porządku. – Jego głos był ochrypły, na ustach miał zakrzepłą krew. – Mój Boże. Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. Poprzestawiałeś liczniki w bombach, prawda? – W jego głosie po-brzmiewało zaskoczenie i duma, niemal zakrzuszył się ze śmiechu.

– Luke? – Aubrey dotknęła jego ramienia i ścisnęła je pokrzepiająco. Obejrzał się. Była przerażona, cała się trzęsła, pocierała dłonie, jakby chciała się rozgrzać. – Cieszę się, że po nas wrócicieś – powiedziała cicho.

Luke wjechał na ulicę. Do pasażu zbliżały się pojazdy ratunkowe, wóz strażacki i samochód policji. Przemknął obok nich. Ford navigator był szybszy niż furgonetka. Kierowca był pewnie wstrząśnięty. Może porzucił bomby na parkingu, bo obawiał się, że przy nich też manipulowano.

A może doszedł do wniosku, że miał szczęście i jeśli nie zginął, kiedy inni ginęli, to pewnie nic mu się nie stanie. Albo nic go to nie obchodziło; terroryści uwielbiali opromieniać się chwałą.

Minął pierwszą grupę ratowników jadących na miejsce i przejechał na czterech czerwonych światłach, przyspieszył do stu sześćdziesięciu na godzinę. Była pierwsza w nocy i ulice świeciły pustkami. Przed sobą zobaczył tylne światła jakiegoś samochodu, jedyne w okolicy.

Niewielka furgonetka.

Dogonił ostatniego zamachowca. Kierował jedną ręką, a drugą sięgnął po broń.

– Masz tato, ty lepiej strzelasz.

– Moje dłonie – odpowiedział Warren. Podniósł je i dopiero teraz Luke dostrzegł, że są zniekształcone. Połamali mu kilka palców.

Co ci dranie zrobili jego ojcu! Przycisnął gaz i dogonił furgonetkę.

– Tato, przejdź do tyłu!

Ojciec posłuchał, przeszedł nad siedzeniem, pomogła mu Aubrey.

Luke wzniosł pistolet, zrównał się z furgonetką.

Zamachowiec wyciągnął broń i strzelił. Luke poczuł, że kula przeszła tuż obok jego nosa, uspokoił drzenie rąk i wystrzelił. Chybił. Strzelił ponownie, w tej samej chwili, kiedy strzelił kierowca furgonetki; jego kula uderzyła w dach forda, kilka centymetrów od głowy Luke'a. Nad uchem zamachowca pojawiła się krew, przechylił głowę, furgonetka wjechała na chodnik. Wbiła się we frontową ścianę pralni samoobsługowej, posypały się szyby. Luke zatrzymał samochód i podbiegł do furgonetki. Zamachowiec leżał nieżywy na siedzeniu.

– Luke. Wracaj tutaj! Zadzwonimy do oddziału saperów, oni będą wiedzieli, co z tym zrobić! – zawołał Warren.

Luke wrócił do samochodu. Ojciec znów siedział z przodu, przypatrując się Luke'owi, jakby nigdy wcześniej go nie widział, jakby szukał w nim śladów tego chłopca, którym kiedyś był.

– Tato. O Boże. Nic ci nie jest. Żyjesz. – Chciał opowiedzieć o tym wszystkim, co kotłowało mu się w głowie. – Naprawdę żyjesz.

– Wiem, że masz mnóstwo pytań.

– Nie. Tylko jedno. Dlaczego?

– Dobra, wiem. Ale jedźmy, zanim zjawi się tu policja. Natychmiast.

Luke usłuchał i wjechał na jezdnię. Położył broń między sobą a ojcem. Nie chciał już nigdy więcej trzymać jej w dłoni. Wjechał na autostradę, która prowadziła do centrum Chicago.

W samochodzie zapadła cisza. Przerażająca, krępująca cisza. Adrenalina sprawiła, że Luke miał ochotę mówić, ale nie wiedział co. Aubrey też chciała coś powiedzieć – Luke usłyszał, że wzięła głęboki oddech – ale się nie odezwała.

Luke wpatrywał się w ulicę. Odzyskał wreszcie głos. Zapytał spokojnie:

– Zatem, powiedz mi, tato, dlaczego? Dlaczego?

Warren chciał odpowiedzieć.

- Wiem, że nie ma... – Nagle przerwał.
- Chcę ci wybaczyć – zaczął Luke. – Muszę tylko wiedzieć dlaczego...
- Nie mógł mówić dalej, tak bardzo było mu ciężko, z tym całym żalem i zaskoczeniem.

Ojciec nic nie odpowiedział.

Luke spojrzął na niego i zobaczył lufę pistoletu, którą Aubrey przytknęła do czaszki jego ojca.

## 58.

– Gdzie są pieniądze, Luke? – usta Aubrey niemal muskały ucho Luke'a, jej oddech całkiem go zmroził.

– Co, do diabła, wyprawiasz?!

Warren Dantry się nie poruszył. Spojrzał na Luke'a, jego wzrok był pełen zaskoczenia.

– Pieniądze, chciałabym, żebyś mi powiedział, gdzie są. – Głos Aubrey był bardzo opanowany, spokojny, tak jak wtedy, kiedy groziło im niebezpieczeństwo w Lincoln Park, w samolocie do Nowego Jorku, czy w sklepie, kiedy wołała, żeby biegli do samochodu. – Ty i Henry mówiliście, że je masz.

– Dlaczego o to... – a potem zrozumiał. Brakujący element.

Jeśli Jane zaplanowała, że Eric będzie musiał go porwać jako okup za Aubrey, to do porwania Aubrey musiałyby wykorzystać jakąś inną osobę. Jakiegoś mężczyznę, mówiła o nim Aubrey.

Ale co, jeśli nie było żadnego porywacza? Nagle go olśniło. Worek, który Aubrey miała mieć na głowie, nawet po tym, kiedy porywacz wyszedł. Nie leżał nigdzie na podłodze ani pod łóżkiem. Jego nadgarstki po tym, jak był przywiązany do łóżka jedną noc, były całkiem poobcierane. Przypominał sobie, jak gładka była skóra Aubrey, kiedy uwalniał ją z więzów.

Nikt nie mógł dowieść, że Aubrey naprawdę została porwana. Nikt, oprócz samej Aubrey.

Sfingowała porwanie. A to by znaczyło... że była po stronie Jane.

„To ty sama”, powiedział do Jane. Ale ona nie działała sama. Miała współpracowniczkę, która obserwowała postępy Mrocznej Drogi. Nie należała do organizacji, ale sypiała z kimś, kto tam był.

Czy Jane w ogóle się dowiedziała, jaką rolę Eric odgrywał w Mrocznej Drodze?

– Tato, czy Quicksilver podejrzewał Erica Lindoego o powiązania ze światem przestępczym? – Przypomniał sobie, że widział raporty dotyczące banku Marolt Gold w teczce poświęconej Ericowi, w paryskim biurze Quicksilvera.

– W tym banku znajdowało się kilka podejrzanych kont – odpowiedział cicho Warren. – Tak, obserwowaliśmy tę instytucję od jakiegoś czasu. Wysłaliśmy też agentkę, żeby śledziła pewnego arabskiego księcia, który był zainteresowany finansowaniem terrorystów. – Przełknął ślinę. – Myślę, że znałeś ją jako...

– Jane. – Luke obejrzał się za siebie. Musiał przemówić Aubrey do rozsądku. Jeśli powie jej, gdzie jego zdaniem są pieniądze, to zabije ich obu. Język miał jak kamień.

Odpowiedziała głosem pełnym przestrachu:

– Chcę wiedzieć, gdzie są pieniądze. „Ukryte na widoku. A to d..”, powiedziała Jane.

– Henry kłamał. Blefował.

– Wiesz, gdzie one są – nie odpuszczała Aubrey. – Musisz to wiedzieć. Powiedz mi. – Głos się jej załamał. – Po tym, co przeszłam. Te pieniądze mi się należą.

– Nic ci nie powiem, jeśli nie odłożysz broni.

– Powiedz mi, Luke. Teraz. Nie zatrzymuj się. Jedź dalej.

Pędzili autostradą, Luke wyprzedzał coraz to nowe auta.

– Nie uwierzysz mi – powiedział. Jego ojciec uniósł zniekształcone dłonie, oczy miał pełne bólu, bo Aubrey wbijała mu lufę pistoletu w tył głowy.

– Właśnie odzyskałeś swojego ojca – powiedziała Aubrey. – Mów, zanim ci go zabiorę!

– Myślałem, że Eric cię wykorzystywał, ale to ty wykorzystywałaś jego – stwierdził Luke. – Firma eksportowo-importowa, sporo przekazów z zagranicy, konieczność przelewów na zagraniczne konta. Świetny sposób dla Erica, żeby obracać pieniędzmi przy użyciu twoich kont. Na początku myślał, że to on cię wykorzystuje. Ale chciałaś, żeby tak było. Sądziłaś, że może mieć dostęp do pieniędzy przeznaczonych na finansowanie Mrocznej Drogi. Czy rozmawialiście czasem przed snem, opowiadał ci, w co jest zamieszany?

– Nie, Jane i ja same się tego domyśliłyśmy. Dzięki temu, że szpiegowała księcia dla Quicksilvera.

– Jane pracowała dla nas, ale Aubrey nie – powiedział Warren. Samochód natrafił na wzniesienie na jezdni i broń kilka razy uderzyła go w głowę.

– Miałam się zbliżyć do Erica – powiedziała spokojniejszym głosem. – Sypiałam z nim. Zaczął o mnie myśleć. Po tym, jak mnie porwano, powiedziałam mu, że ci z Quicksilvera mogą chcieć nam pomóc. Uwierzył w to.

Luke obserwował ją w lusterku.

– Nigdy cię nie porwano. Chciałyście go sprowokować do działania i utrzymać pozory twojej niewinności. Byłaś poza wszelkim podejrzeniem.

Wydała z siebie nieokreślony dźwięk.

– Aubrey, nie musisz nikomu robić krzywdy.

– Tak, muszę. Pieniądze. Jane i ja pracowałyśmy na nie wiele miesięcy. Gdzie one są?

Luke zobaczył, że pędzi za nimi jakiś sedan.

– Nie mam ich. Nie wiem, gdzie Eric je ukrył.

– Kłamiesz! Powiedz mi albo twój ojciec zginie!

Luke spojrzął na ojca. Ten pokręcił głową.

– Nie mów jej. Nie pozwól im wygrać.

„A to d...”, Jane nie miała na myśli Erica. Myślała o Aubrey. Sądziła, że została przez nią oszukana. Ścigający ich samochód zaczął się zbliżać. Henry. Jechał szybko, w dłoni trzymał pistolet.

– O Jezu – westchnął Luke, uderzając navigatorem w samochód Henry'ego. Navigator zakołysał się, Warren obrócił się na siedzeniu i złapał broń Aubrey.

– Powiedz mi natychmiast, gdzie są pieniądze! – wrzasnęła.

– Nie strzelaj do niego! – krzyknął Luke. – Eric ukrył je na widoku. Są na twoich kontaktach w jego banku!

Aubrey nacisnęła spust. Kula trafiła jego ojca w pierś z ogromną siłą, Warren osunął się na siedzenie pasażera. Luke wcisnął hamulce, samochód wpadł w poślizg. Obok nich jechał Henry. Zamiast prowadzić samochód, Henry stanął na siedzeniu i zaczął celować z broni przez otwarty szyberdach.

Luke poczuł ciepło lufy pistoletu Aubrey na swojej szyi, potem rozległ się przeraźliwy huk.

Navigators zatrzymał się w chwili, kiedy zderzył się z nimi samochód Henry'ego. Luke patrzył na skulonego na siedzeniu ojca, Warren miał półprzymknięte powieki, jego koszula była cała zakrwawiona. Odwrócił się. Aubrey leżała na siedzeniu, krew tryskała jej z szyi, oczy miała otwarte, usta rozchylone.

Luke spojrział na lewo i dostrzegł Henry'ego, ich samochody stały równolegle do siebie. Henry wciąż wyglądał przez szyberdach z bronią w rękę. Celował w Luke'a.

Luke nie miał broni.

– Moja ostatnia przysługa – powiedział Henry. – Wiesz, gdzie są pieniądze?

Luke pokręcił głową.

– Nie – skłamał. – Nie.

Było to dziesięć najdłuższych sekund w życiu Luke'a. Patrzyli sobie w oczy, oddzielała ich lufa pistoletu. Henry opuścił broń.

– Nie ścigaj mnie. – Luke po raz pierwszy dostrzegł, w skąym świetle latarni na autostradzie, że oczy Henry'ego napędniają się łzami. – Już nie będę cię traktował jak członka rodziny. – Henry wsunął się na siedzenie i



odjechał swoim poobijanym sedanem w noc. A potem zniknął mu z oczu, kiedy wjechał w pierwszy zjazd.

Luke zbadał puls Warrena. Słaby. Przerywany. Zobaczył guzik telefonu na desce rozdzielczej, nacisnął go.

Zamiast głosu ratownika usłyszał, jak Frankie Wu krzyczy:

- Gdzie, do diabła, jesteś?!
- Mój ojciec potrzebuje lekarza, został postrzelony. Powiedz mi, gdzie jest najbliższy szpital.
- Mamy lekarza.
- Został postrzelony. Potrzebna mu operacja.
- Nie możesz go zabrać do szpitala – odpowiedział Wu. – Zadadzą mu zbyt wiele pytań. Chcę, żebyś zrobił dokładnie to, o co cię proszę, Luke. Postępuj według moich wskazówek.

A Luke Dantry, który przestał być najgroźniejszym człowiekiem na świecie, posłuchał go i zaczął jechać, trzymając ojca za rękę i błagając go, żeby znów go nie zostawiał.

## 59.

### *Tydzień później*

Luke doszedł do wniosku, że północne Michigan to najlepsze miejsce, żeby oszaleć. Siedział na ganku i patrzył, jak światło odbija się w tafli jeziora, potem zwinął gazetę i schował ją w jakimś zakamarku, żeby ojciec jej nie zobaczył.

Cała ta historia zdominowała wszystkie nagłówki, ale nie w taki sposób, jak się tego spodziewał. Kilku podejrzewanych o dokonywanie przestępstw ekstremistów znaleziono martwych w miejscu, gdzie nastąpiła seria eksplozji. Dwóch udało się zidentyfikować: byli to dentysta z Milwaukee, który wysyłał wcześniej listy z pogroźkami do koncernów paliwowych, oraz farmaceuta z małego miasteczka w stanie Tennessee, tego samego, w którym tydzień wcześniej pojawiły się doniesienia o skażeniu bakteriami *E. coli*. Kolejnego mężczyznę, znanego neonazistę z Kansas City, znaleziono martwego kilka przecznic dalej, odkryto przy nim kilkanaście bomb zapakowanych w zestawach pierwszej pomocy, uniformy oraz przepustki, które umożliwiłyby mu dostęp do zaplecza transportu kolejowego w Atlancie. W miejscu eksplozji natrafiono również na zwłoki mężczyzny zwolnionego z wojska za nieregulaminowe postępowanie. Pozyskane niedawno z anonimowych źródeł informacje łączyły go z atakiem na budynek biurowy w

Nowym Jorku. Tajne służby FBI sugerowały, że grupa planowała serię zamachów bombowych w Atlancie, a być może również w innych miastach, ale coś poszło nie tak. Teorie dotyczące przyczyn niepowodzenia operacji były tak liczne jak obłoki na niebie. Całe artykuły poświęcano roztrzaskaniu ponurych wizji, jakoby zorganizowane grupy obywateli amerykańskich, niezadowolone z polityki państwa, zaopatrywały się w zakupioną za granicą broń. Nikt nie wspominał nazw Mroczna Droga czy Quicksilver.

Aubrey Perrault spoczęła w cichej, anonimowej mogile, w oazie spokoju, jaką było to miejsce w Michigan. Luke doszedł do wniosku, że takiej ciszy nie zaznała pewnie w całym swoim życiu. Wszystko, co robiła: przekonywanie Erica, żeby uciekł wraz z nimi, to, że została z Lukiem, kiedy on próbował odnaleźć miliony, a nawet, czego Luke dowiedział się później od ojca, próba grania na czas, żeby Jane mogła odnaleźć Luke'a wtedy, kiedy Aubrey upierała się przy Mouserze, że Luke nie wie, gdzie są pieniądze... wszystko to miało na celu przejęcie fortuny. Śledczym w trakcie dochodzenia dotyczącego zamachu udało się odnaleźć pięćdziesiąt milionów ukrytych na jej kontach, FBI przejęło te pieniądze. Osoby prowadzące śledztwo doszły do wniosku, że Aubrey była zamieszana w zamachy terrorystyczne. Wydział księgowości próbował teraz zbadać, skąd pochodziły te pieniądze. Anonimowi informatorzy wskazywali na osobę pewnego arabskiego księcia.

Luke przyglądał się promieniom igrającym na tafli jeziora. Ile imion miała Aubrey? Ile kłamstw składało się na jej życie? Luke był na tyle inteligentny, że udało mu się podjąć walkę z Mroczną Drogą i wygrać, ale zbyt zaślepiony, żeby dostrzec to, że Aubrey nie była ofiarą, ale jedną z osób współodpowiedzialnych za tę masakrę. Dziwnie się czuł, kiedy zdał sobie sprawę, że trzymała się go tylko z powodu jego pomocy w poszukiwaniu zaginionych pieniędzy. Gdyby przy niej odkrył, że breloczek Erica to tak naprawdę pamięć USB, pewnie od razu by go zabiła i zabrała pliki do Jane. Albo gdyby sprawdziła stan swojego konta i zobaczyła, że ma na nim pieniądze, mogłaby je zabrać i uciec do Jane. Wtedy by wygrały.

Luke przyglądał się Frankiemu Wu stojącemu na pomoście i zwijającemu żyłkę wędki. Ostatnie kilka dni spędzili, opiekując się ojcem, który dochodził do siebie po operacji, jakiej go poddano w jednej z prywatnych klinik na północ od Chicago. Lecznica ta znajdowała się pod kontrolą Quicksilvera. Już sam ten fakt sprawił, że Luke zrozumiał, jaki jest prawdziwy zasięg tej tajnej organizacji. Mieli pieniądze, mieli też dojsčia.

Ale tak samo było przecież w przypadku Henry'ego.

– Podjąłeś decyzję? – Ojciec podjechał wózkiem do progu. Błady, wychudły, ale dojdzie do siebie, tak mówili lekarze.

– Co na kolację? Moim zdaniem stek. Zasłużyliśmy na stek. Teraz, kiedy już wstajesz i możesz gryźć.

– Brzmi nieźle, ale pytałem raczej o twoją przyszłość.

– Wciąż jestem uznany za zaginionego.

– Nie musisz nim być.

– Nie muszę? Nie wyobrażam sobie, żeby Henry czy Mroczna Droga pozwolili mi po prostu zacząć żyć moim dawnym życiem.

– Możemy wiele dla ciebie zrobić.

Luke spojrział na ojca, który nie patrzył na niego, ale wpatrywał się w swoje dłonie, zwinięte na kolanach. Luke poczuł jednocześnie miłość i nienawiść. Przez ostatnie dni przyglądał się swojemu ojcu, kiedy ten spał, dochodził do siebie, powoli odzyskiwał siły. Jak dotąd nie usłyszał jeszcze odpowiedzi na swoje pytanie.

– Z wdzięczności za wszystko, co zrobiłeś, Luke, Quicksilver może ci pomóc w powrocie do twojego dawnego życia.

– W ten sposób chcesz mi to wynagrodzić? Wybawić mnie z kłopotów? Sam wpakowałeś mnie w nieźle tarapaty, tato. Ta... wojna stanowiła podbudowę całego mojego życia, a ja nie miałem pojęcia, że kiedyś mogę zostać w nią wciągnięty. Jedynym ostrzeżeniem było to, że dałeś mi medalik ze świętym Michałem i ostrzegłeś, iż pewnego dnia mogę znaleźć się w sytuacji, w której będę musiał stanąć do walki. Wydawało ci się, że po prostu pójdę w twoje ślady? Wielkie dzięki.

Warren przyglądał się swoim pokiereszowanym palcom, jakby nie słyszał wyrzutu w głosie Luke'a.

– Od czasu swej śmierci Eric został uznany za winnego prania brudnych pieniędzy. Manipulował przy raportach pokontrolnych, próbował zataić dokonywane przez siebie przelewy. Możemy sfałszować pliki w komputerach tak, żeby to wyglądało, jakbyś się z nim wcześniej znał, ale całkiem legalnie. On uważał, że wiesz coś o jego działalności, i zaczął cię ścigać. Z upływem czasu uda nam się całkowicie oczyścić twoje imię.

– Użyć kłamstw, żebym mógł żyć w prawdzie? Moje dawne życie nie było prawdziwe. Całe było poddane Henry'emu. Ponieważ mnie zostawiłeś. Porzuciłeś nas.

Ojciec spojrzał mu wtedy w oczy.

– Nigdy nie wybrałbym dla ciebie takiego życia, Luke. Dlatego odszedłem.

– Dlatego nas oszukałeś. Nazwijmy rzeczy po imieniu. – Poczul nieopanowany gniew. Zanim ojciec został postrzelony, nie mieli czasu, żeby porozmawiać. Warren zdążył jedynie powiedzieć, że jest mu przykro.

– Dobrze. Dlatego was oszukałem. Ale sądziłem, że robię to, co najlepsze dla ciebie i twojej mamy. Nie chciałem, żeby ktokolwiek was przesładował. Zabili wszystkich, z którymi współpracowałem. Myślisz, że zastanawiałby się, czy zabić moją rodzinę?

– Oni? To był tylko Henry, tato. To on cię wykurzył, ty mu na to pozwoliłeś, a wtedy on przejął twoje życie. Na litość boską...

– Nie wiedziałem, że to Henry stał za zamachem na moje życie. Przyśięgam.

Przez ostatni tydzień Luke zastanawiał się nad taką możliwością, ale nie chciał o tym rozmawiać, dopóki jego ojciec nie odzyska sił.

– To, co mówiłeś o mamie. Że ją zabił...

– Zawsze będę zdania, że przyczynił się do jej śmierci. Twoja matka była inteligentną kobietą. Mogła odkryć, czym się zajmował. Skonfrontować

to z nim. Jeśli wiedziała to, co my teraz, to musiał ją zabić.

– Nigdy nie znalazłaby się w niebezpieczeństwie, gdybyś był na tyle odważny, żeby z nami zostać. Gdybyśmy byli dla ciebie ważniejsi niż twoja praca.

Warren sięgnął po dłoń syna, ale Luke się odsunął. Zapadła między nimi okropna cisza, w której słychać było jedynie szum wiatru w gałęziach dębów.

– Wolałbyś, żebym nie żył, Luke? – spytał Warren. – To się da zrobić. Wiesz o tym. Nie musisz mnie nigdy więcej spotkać.

– Nie wywiniesz się tak łatwo, tato. Zrobiłeś to, żeby móc kontynuować tę swoją tajemną wojnę, ratować ludzi, dowieść swoich teorii. Chyba jestem dla ciebie tak samo ważny jak praca. Walczyłem w tej wojnie, kiedy ty nie byłeś w stanie, choć nikt mnie na to nie przygotował. Ta wojna była dla ciebie istotna z powodów osobistych, bo ja jestem dla ciebie ważny. Dlaczego nie zostałeś w Nowym Jorku i nie spotkałeś się tam ze mną, a zamiast tego powierzyłeś mnie pod opiekę Drummondowi? Gdybym zgodził się ukryć pod fałszywym nazwiskiem, tak jak proponował mi to Drummond, to czy kiedykolwiek byś się ujawnił, wyjawiał mi, że żyjesz?

– To nie byłoby konieczne.

Luke pokręcił głową.

– Nawet kiedy byłem w niebezpieczeństwie, Quicksilver był dla ciebie ważniejszy.

– Nie, nieprawda. – Warren zamilkł, jakby szukał właściwych słów.

– Po prostu powiedz to, co chcesz powiedzieć, tato.

– Bałem się twojej nienawiści. Mogłem znieść rozłąkę z tobą, ale nie mógłbym znieść tego, że mnie nienawidzisz.

Znów zapadła między nimi długa cisza.

– Nie czuję do ciebie nienawiści. Jeszcze tego wszystkiego nie pojąłem. Być może nigdy nie pojmem. Będę się starał. Ale jestem pewien tego, jaki będzie mój następny krok.

Warren odchrząknął.

- Możesz spróbować wrócić, znów wieść normalne życie albo...
- Nie mogę. Mogę się albo ukrywać, albo pomóc. Nie chcę się ukrywać, ale nie chcę się też zaciągać do Quicksilvera. Poza tym nie wiem, czy jestem ci gotów wybaczyć, a co dopiero z tobą pracować.
- Zasluguję na twój gniew. Przyjmuję to do wiadomości i nie będę się spierał, czy mogłem dokonać lepszego wyboru. Ale chcę, żebyś wiedział, że to, czego dokonałeś... ci wszyscy ludzie, którym uratowałeś życie... to sprawia, że jestem z ciebie bardzo dumny.

Luke wpatrywał się w wodę. Chciał móc wnikać w umysły, które kierują się chęcią zniszczenia. Przez chwilę mu się to udało, ale teraz rozumiał takich ludzi jeszcze mniej niż przedtem. Jego studia i teoretyzowanie nie przygotowały go na Henry'ego, Mousera czy Snow. A jednak udało mu się przeżyć.

Czyżby w pewien sposób domyślał się, że nadchodzą zmiany? Czyżby wyczuwał, nawet jako chłopiec, że jego ojciec ma wiele tajemnic? Poszukiwania ojca, zgłębianie tajników umysłu terrorysty, jego zaskakująca determinacja, żeby kontynuować walkę, skąd to się w nim wzięło? Wszystkie te okropieństwa sprawiły, że dawny Luke zniknął, stał się innym człowiekiem.

Gdyby spróbował wrócić do normalnego życia, cały czas oglądałby się za siebie. Wojny nie trwają wiecznie. A co, jeśli Quicksilver był najlepszym sposobem na szybkie zakończenie tego konfliktu? Dać się zwerbować. Wypełnić swój obowiązek. Pomóc ojcu. Powstrzymać Henry'ego i zmusić go, żeby zapłacił za to, co zrobił. „Jeśli wiedziała to, co my teraz, to musiał ją zabić”. Musiał. Luke przypomniał sobie czas, który poświęcił na pocieszanie Henry'ego, wspieranie. Poczul, jak narasta w nim lodowata wściekłość.

- Co miałbym robić?
- Myślę, że z czasem nadawałbyś się do wykonywania zadań w terenie. – Warren znowu odchrząknął i niepewnie się uśmiechnął. – Poza tym

byłbyś świetny w tworzeniu profili terrorystów. Spotkałeś ich wielu w Internecie, nim znalazłeś tych dla Mrocznej Drogi. Mógłbyś ich znów szukać. Mógłbyś nam pomóc znaleźć kolejne źródło terrorystów, na długo przed ich atakiem. Zidentyfikować ich, być może znaleźć sposoby na powstrzymanie przed użyciem przemocy albo wykluczenie z grup takich jak Mroczna Droga.

Henry próbował go przekonać, kiedy jeszcze naiwnie sądził, że świat nie jest niebezpieczny. Że ci wszyscy niebezpieczni ludzie byli po drugiej stronie lustra, w swojej własnej Krainie Czarów, ale teraz wiedział, że tacy ludzie są wszędzie. Czekają. Mają nadzieję, że będą mogli zaatakować. Wiedział też, że świat potrzebuje takich zwykłych ludzi jak on, którzy podejmą walkę i wygrają tę wojnę. Którzy nie będą się wahali przejść na pewien czas na mroczną stronę życia. Nie musiał już teraz przebaczać ojcu. To przyjdzie z czasem. Mógł wykorzystać gniew, który czuł, i wyważyć dzięki niemu właściwe drzwi. Mógł coś zmienić.

– Znajdziemy Henry'ego i resztę Mrocznej Drogi – powiedział – ty i ja. Zostanę tu na jakiś czas.

Siedzieli potem razem i przypatrywali się, jak słońce zachodzi za tafelę jeziora, malując ją tysiącem barw; ich pierwsze nowe wspomnienie.



## 60.

### *Następnego dnia w Internecie (wiadomość szyfrowana)*

Witajcie na nowej stronie Mrocznej Drogi. Napotkaliśmy przeszkody, ale nasza siła tkwi w elastyczności i umiejętności szybkiego odradzania się po doznanych porażkach.

Pomimo niedawnych niefortunnych opóźnień przeniosłem się za granicę i zdobyłem nowe fundusze do podziału, warunkowane przewidywanymi stratami w ludziach oraz gospodarczymi, które uda się wam spowodować. Zjednałem nam również wpływowych przyjaciół na całym świecie, którzy wspierają nasze dzieło. Spodziewam się dalszego finansowania z ich strony, zatem możemy się skupić na realizacji naszych planów.

Wiedźcie, że grozi nam prawdziwe niebezpieczeństwo. Korporacyjni giganci – globaliści, uzależnieni od władzy lichwiarze naszych czasów – stworzyli własną wersję CIA. Nazywają swoją organizację Quicksilver i będą nas ścigać. Nie czas, aby się chować. Nie czas na nerwy. To czas, aby powstać i stoczyć walkę, w jakiej nigdy wcześniej nie uczestniczyliśmy. Połączyć siły we wspólnej sprawie. Poznać naszego wroga – który zaatakuje pierwszy, być może w sekrecie – aby zetrzeć go z powierzchni ziemi.

Popełniłem błąd, do którego muszę się przyznać. Zaufałem niewłaściwej osobie. Nie przełożyło się to na szczególnie groźne czy też długotrwałe zagrożenie dla naszej organizacji, ale uświadomiło mi, że w przyszłości musimy ostrożniej dobierać sobie sojuszników. Musimy znać siebie nawzajem i nie dopuścić, aby wkraść się między nas ktokolwiek niepowołany.

Wkrótce pojawią się tu instrukcje dotyczące propozycji, które możecie mi przysyłać. Ci, którzy wykonają swoje wstępne misje, zostaną zakwalifikowani do dalszych działań. Myślcie w szerszej perspektywie.

O wiele szerszej.

# Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla wszystkich, którzy wspierali mnie przy pisaniu tej książki i dzięki którym to, że jestem autorem powieści sensacyjnych, sprawia mi taką frajdę.

Mam to szczęście, że przyszło mi pracować z dwiema osobami obdarzonymi najtęższymi umysłami w branży: Davidem Shelleyem z LittleBrown UK i Benem Sevierem z Dutton. Ich entuzjazm, wsparcie i pomocne uwagi nieustannie stanowią dla mnie źródło natchnienia.

Dziękuję również innym, a są to:

Ursula Mackenzie, Hilary Hale, Alison Lindsay, Thalia Proctor, Sean Garrehy, Kirsteen Astor, Nathalie Morse i wszyscy w LittleBrown UK, którzy sprawili, że tak dobrze się czułem w Wielkiej Brytanii;

Brian Tart, Christine Ball, Lisa Johnson, Erika Imranyi, Melissa Miller, Jamie McDonald i wszyscy w Dutton, a także Kristen Weber i Kara Walsh oraz wszyscy w NAL, za ich poparcie i oddanie.

Jak zawsze wyrażam swą najgłębszą wdzięczność wobec Petera Ginsberga, Shirley Stewart, Dave'a Barbora, Holly Frederick i Nathana Bransforda, którzy cudownie się sprawdzają jako moi agenci.

Szczególne podziękowania dla tych, którzy poświęcili swój czas, aby odpowiedzieć na moje pytania i wspierali mnie w trakcie tej przygody: Simona Barila, Trávisa Wilhite'a, Marcusa Sakeya (który jest również autorem świetnych powieści detektywistycznych), Ricka Walla, Marta Wilsona.

Wszelkie błędy i przerysowania mające na celu podtrzymanie napięcia biorę na siebie. Dziękuję również Steve'owi Bennettowi i Nancy MacDonald.

W tej książce pojawia się diaboliczny ojczym; ja sam mam to szczęście, że mój własny jest cudownym człowiekiem. Dziękuję mojej mamie, Elizabeth, mojemu ojczymowi, Dubowi i moim teściom: Becky i Malcolmowi.

W celu uzyskania dalszych informacji o tajnych ugrupowaniach (takich jak Mroczna Droga i Quicksilver) oraz z zakresu psychologii terroryzmu polecam książki *Brave New War* Johna Robba, *Thinking Like a Terrorist* Mike'a Germana, *The Mind of the Terrorist* Jerrolda M. Posta, *Leaderless Jihad* Marca Sagemana oraz *Terror and Consent: The Wars for the Twenty-first Century* Philipa Bobbitta.

I w końcu moje najgłębsze podziękowania dla moich muz: Leslie, Charlesa i Williama, którzy każdego dnia obdarzają mnie swoją miłością i wsparciem, co dla pisarza jest ważniejsze niż tusz.